

WIKTOR  
PIELEWIN



BATMAN  
APOLLO

WIKTOR PIELEWIN



**BATMAN  
APOLLO**

---

NADCZŁOWIEK - TO BRZMI SUPERDUMNIE!

Przełożyła  
Ewa Rojewska-Olejarczuk

Wydawnictwo Literackie

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Od autora

Readmedoc

Kiedy zew usłyszę twój

Powietrzny zamek

The Hard Problem

Limbo

Świadkowie nieuniknionego

Złoty Spadochron

Nieuniknione

*Kalendarz Aztlański*

Siedem Satori

Haute SOS

Dionysus the oracular

Tarcza Ojczyzny

Wielki Wampir

Tajna Czarna Droga

Omen

American Dream

Czyn

Załącznik

# Przypisy

Tytuł oryginału: BETMAN APOŁŁO

Opieka redakcyjna: KRZYSZTOF LISOWSKI

Redakcja: ANNA RUDNICKA

Konsultacja: MAŁGORZATA WÓJCIK

Korekta: URSZULA SROKOSZ-MARTIUK, LIDIA  
TIMOFIEJCZYK

Projekt okładki i stron tytułowych: ROBERT KLEEMANN

Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT

Skład i łamanie: Infomarket

Russian texts copyright © 2013 by Victor Pelevin

Translation rights into the Polish language are acquired via  
FTM Agency, Ltd, Russia, 2013

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, 2014



transcript

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05672-1

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*W życiu wampira są chwile  
skrywanej osłody i cichego  
szczęścia.*

*Biorą się one stąd, że nie  
obowiązują go już  
standardy cywilizacyjne  
liberalnego humanizmu.*

HRABIA DRACULA



## Ostrzeżenie:

Książka zawiera elementy żywego potocznego języka rosyjskiego (niespełna 0,016% tekstu). Może urazić seksualne, polityczne i religijne uczucia czytelniczki oraz pobudzić jej schizofreniczne i paranoidalne kompleksy. Autor nie stawia sobie takiego celu i nie ponosi odpowiedzialności za efekty powstające w umyśle B podczas produkcji agregatu M5.

*Dokument chroniony  
elektronicznym znakiem  
wodnym*

## README DOC

Wszystko, co wiecie o wampirach, to kłamstwo.

Nic, co możecie o nich przeczytać lub usłyszeć we współczesnym świecie, nie odpowiada prawdzie. Wyjątkiem jest moja pierwsza książka – *Empire V*.

Ten krótki wstęp przeznaczony jest dla tych, którzy jej nie czytali, po to, by zwięźle wyjaśnić, czym tak naprawdę jest wampir.

*Empire V* został napisany przez młodego i niedoświadczonego wampira, toteż są w nim pewne istotne nieścisłości, wypływające z mojego

ówczesnego poziomu wiedzy. Jeśli więc nawet przeczytaliście mój pierwszy *ramans*, warto, żebyście poświęcili kilka minut na niniejszy wstęp: nie zaszkodzi odświeżyć sobie w pamięci kluczowych pojęć naszego świata. W razie potrzeby możecie jednak wrócić do niego również później.

Najłatwiej wprowadzić czytelnika w meritum sprawy, wyjaśniając terminy *Empire V*, na które się później natknie: czyli opisać pokrótce nasz wszechświat.

A więc zaczynam – nie w porządku alfabetycznym, ale w takiej kolejności, w jakiej myśli przychodzą mi do głowy.

## 1. JĘZYK, CZYLI MAGICZNY ROBAK

Wampir ze swej natury jest tworem dwojakim, czymś w rodzaju jeźdźca na koniu. W samym centrum jego czaszki znajduje się tak zwany język – prastara istota wyższej natury, żyjąca

w symbiozie z jego mózgiem. Intencje magicznego robaka odczuwamy zazwyczaj jako swoje własne pragnienia. Język jest wszakże dodatkowym mózgiem, toteż wampiry są znacznie mądrzejsze niż ludzie. I w związku z tym znacznie bardziej nieszczęsne. Jak mawiał nasz guru hrabia Dracula, „jeden rozum to źle, a dwa – jeszcze gorzej”.

Porównanie do jeźdźca na koniu jest bardzo trafne: magiczny robak przechodzi z jednego ludzkiego ciała w drugie i jest właściwie nieśmiertelny. Dlatego też w pewnym sensie nieśmiertelny jest również wampir – zmienia się tylko jego powłoka cielesna. Oczywiście, jeśli pełni się funkcję takiej powłoki, cudza nieśmiertelność to żadna pociecha. Chociaż pewne pozagrobowe preferencje jednak mamy.

Ale o tym później.

## 2. BOSKIE IMIONA

Kiedyś ludźmi otwarcie kierowały właśnie

wampiry pod postacią bogów helleńskich i innych. Potem z różnych przyczyn odeszliśmy w cień, ale po dawnemu zachowujemy władzę nad światem. Zgodnie z dawnym obyczajem przybieramy imiona bogów, których czczą ludzie. Są to jednak tylko imiona koni. Żyjące w nas magiczne robaki są bezimienne.

### 3. HAMLET I CHALDEJE<sup>[1]</sup>

Wampiry lubią wpadać w nirwaniczny stupor, który jest skutkiem napływu krwi, kiedy zwieszamy się głową w dół na specjalnej poprzeczce. Jest to związane z fizjologią magicznego robaka, ale my odczuwamy ten stan jako własne zaspokojenie i rozkosz.

Naturalnie przewyższamy ludzi w sposób wręcz niewyobrażalny. Gdybyśmy mieli w sobie chociaż krztynę zarozumiałstwa, wycieralibyśmy nogi o listę „Forbesa”. Ale tak nie jest – my mamy inne potrzeby. Nie zależy nam na tym, żeby bzykać drogie prostytutki na jachtach oceanicznych,

zagłuszając kokainą zapach nadchodzącego rozkładu. Każdy z nas woli spędzić kilka dodatkowych godzin w hamlecie (tak się nazywa ustronne pomieszczenie do zwisania głową w dół). To jest nasza służba, powinność i nagroda. No i, co tu ukrywać, po prostu haj.

Chaldeje też się zaczynają na literę „H”<sup>[2]</sup>. Poza tym nie mają nic wspólnego z hamletem. To nasi ludzcy słudzy, poprzez których kierujemy planetą. Można by ich nazwać kryptoelitą – gdyby to nie było takie śmieszne.

Nie chce mi się o nich zbyt wiele gadać – zresztą, i tak wszystko o nich już wiecie. Tak, widujecie ich często każdego dnia. Oczywiście, jeśli oglądacie telewizję.

#### 4. *BLOOD LIBEL*

Tak zwana krwawa kalumnia albo krwawa potwarz. Ciążące na nas od dawna oskarżenie o straszliwy grzech: że jakoby pijemy ludzką krew

(wampiry starszych pokoleń nie wymawiają głośno tego słowa i posługują się zazwyczaj terminem „czerwona ciecz”, który w ostatnich latach nieco się zestarzał i coraz częściej zastępuje się go skrótem DNA – zwłaszcza w Ameryce).

Należy jednak przyznać, że tę pogłoskę rozpuszczamy my sami, a nie autorzy literatury brukowej. Co więcej, wszystkie głupawe filmy, książki i inne emo – franszyzy o wampirach finansujemy i rozpowszechniamy również my.

Świadomie ukrywamy się za topornymi mitologemami i obrazowością, w którą nie uwierzy żaden dorosły człowiek. To czyni nas absolutnie niewidzialnymi dla społeczeństwa. Uważamy, że będzie lepiej, jeśli zostaniemy fałszywie oskarżeni o prymitywny grzech, niż słusznie przyłapani na wyrafinowanym, o którym powiem później. A poza tym czerwonej cieczy też używamy, tylko nie jako pożywienia. Por. także: *Czarna Zastona*.

## 5. DNA, CZERWONA CIECZ I JEJ PREPARATY

Czerwona ciecz jest głównym agentem informacyjnym organizmu. Kiedy człowiek zgłasza się do szpitala, robią mu morfologię i już po godzinie lekarz wszystko o nim wie. No, prawie wszystko. Tak samo jest z nami. Oczywiście informacja nie jest zakodowana w samej krwi – znajduje się w przestrzeni, nazywanej przez wampiry „limbo”. Krew zawiera tylko szyfry i kody, które pozwalają odczytywać informacje dotyczące danego człowieka. Można to porównać z ograniczonym dostępem do sieci. Degustując cudzą czerwoną ciecz, uzyskujemy wszystkie loginy i hasła. Możemy swobodnie przenikać do świata wewnętrznego innych osób.

Na tej zasadzie opiera się cała wampiryczna informatyka. Wampiry używają preparatów czerwonej cieczy, aby uzyskać dostęp do zasobów wiedzy innego człowieka. Nawet jeśli ten nie żyje, dzięki specjalnemu oczyszczeniu preparatu można



zachować część jego zasobów wiedzy i emocji. Różnica jest mniej więcej taka jak między żywym kwiatem a kwiatem zaszuszonym między stronicami książki. Niektóre wampiry jednak – zwane *undead* – potrafią pokonywać granicę między życiem a śmiercią w sposób niewyobrażalny dla człowieka.

Specjalne technologie oczyszczania pozwalają oddzielić zapisaną w czerwonej cieczy wiedzę od osobowości rozporządzającego nią człowieka. Za pomocą takich preparatów można błyskawicznie wchłonąć ogromne ilości nieznaney wcześniej informacji, zupełnie nie stykając się przy tym z cudzą duszą.

Różne preparaty cz.c. mają zastosowanie w naszych informacyjnych wampotekach i wamponawigatorach, o których opowiem w tej książce.

## 6. UMYŚŁ B, AGREGAT M5 I WIELKA MYSZ

Na co dzień jemy jak ludzie, ale preferujemy produkty ekologiczne. Jeśli nawet wysysamy cudzą krew, to tylko metaforycznie. Jesteśmy najwyższym na Ziemi ogniwem łańcucha pokarmowego, jako że naszym pożywieniem jest sam człowiek, którego kiedyś wyhodowaliśmy właśnie w tym celu. Nie żywimy się jednak płynami ludzkiego ciała, lecz jego oczyszczoną siłą żywotną.

Mam tu na myśli nie cielesny żar, mający prymitywną zwierzęcą naturę, ale energię psychiczną o określonym diapazynie. Jej generatorem jest mózg, wyposażony w drugi system sygnałowy, czyli język, na podstawie którego powstaje myślenie abstrakcyjne.

Paliwem dla tego generatora jest cała kultura ludzkości, a wszystkie jej duchowe rozterki stają się źródłem zasilającego nas psychicznego promieniowania.

Wydziela je tak zwany umysł B; stwarzając go wiele dziesiątków tysięcy lat temu wampiry powołały do życia dzisiejszą ludzkość. Umysł B to

część świadomości przyuczona do myślenia lingwistycznego, w której słowa i oparte na nich obrazy zderzają się i wchodzą ze sobą w reakcje, wytwarzając coś w rodzaju znaczeniowego łuku elektrycznego, w który człowiek jak zahipnotyzowany wpatruje się przez całe życie, uważając go za jedyną realność.

Jeden z naszych poetów porównał język, którym mówią ludzie, do cienia języka – magicznego robaka, żyjącego w ciele wampira. Trudno wyrazić sedno sprawy krócej i celniej.

Nawet niektórzy Chaldeje nie rozumieją, że całe ludzkie myślenie jest „lingwistyczne”, ponieważ wszystkie dostępne im rodzaje percepcji są definiowane ich „szablonami poznania”, czyli słowami. To, czego nie da się określić słowem, dla 99% ludzi w ogóle nie istnieje. Dlatego kultura ludzkości od samego początku była budowana wedle naszych projektów i nigdy nie odchyłała się od nich nawet na milimetr.

Zgodnie z terminologią przyjętą u rosyjskich

wampirów, kultura składa się z dwóch agregatów, „glamouru” i „dyskursu”, połączonych w glamourodyskurs. To są właśnie owe elektrody, między którymi powstaje oślepiający łuk, ukrywający przed człowiekiem wszystkie pozostałe aspekty bytu (wampiry innych wielkich myszestw posługują się odmiennym aparatem terminologicznym, o czym jeszcze wspomnę w tej książce – ale sedno sprawy się nie zmienia).

Spalając glamourodyskurs, umysł B wytwarza szczególnie rodzaj promieniowania, które wampiry nazywają agregatem M5. Jego projekcją socjalną są ludzkie pieniądze. One właśnie stanowią pokarm wampirów.

O prawdziwej naturze agregatu M5 będę mówić na stronicach tej książki z całą niepoprawną politycznie otwartością.

Wampiry nie chwytają agregatu M5 bezpośrednio. Do tego zdolna jest tylko Wielka Mysz – prastara nieśmiertelna istota, swego rodzaju ultraciężka czarna dziura w rozjarzonym

centrum każdej znaczącej kultury narodowej. Jej przybytek nazywa się Hartland; jest to głęboka przepaść z pieczarą na dnie.

Wielka Mysz nie jest istotą fizyczną w tym sensie, w jakim jest nią człowiek. Posiada jednak ciało fizyczne – to gigantyczny nietoperz o niezwykle długiej szyi, ukrytej w specjalnej kamiennej rynnie z oknami. Ciało to na ogół jest niedostępne dla ludzi, ale raz na kilkadziesiąt lat zaszczepia się na nim kolejną ludzką głowę, która staje się nowym człowieczym aspektem Wielkiej Myszy – i jej nową anteną.

Nazywamy tę głowę Isztar; innym wampirzycom nie nadaje się tego imienia. Dzięki tej głowie Wielka Mysz jest w stanie utrzymywać kontakt psychiczny ze zmieniającym się światem na powierzchni ziemi, stwarzając dla ludzi ich marzenia, nadzieje i cele życiowe; one właśnie w ostatecznym rezultacie stają się bablosem. Historię tego, jak moja dziewczyna Hera została naszą nową Isztar, przedstawiłem w książce *Empire V*.

Poprzedniej głowie Wielkiej Myszy urządza się wspaniały pogrzeb, a następnie przechowuje się ją zasuszoną w specjalnej komorze. Na nieprzyzwyczajonych ta podziemna galeria robi okropne wrażenie. Ale my przyzwyczajamy się do wszystkiego.

## 7. BABLOS I CZERWONA CEREMONIA

Wielka Mysz chwyta agregat M5 i przetwarza go w bablos – świętą ciecz, którą w mitologii antycznej nazywano ambrozją, napojem nieśmiertelności („bablos” etymologicznie pochodzi od słowa Babilon, a nie od słowa „babło”<sup>[3]</sup>, chociaż w gruncie rzeczy ta fałszywa etymologia jest całkowicie uprawniona). Bablos to rodzaj mocno skoncentrowanej ropy naftowej, w której skupiają się marzenia i duchowe męki człowieka, przekonanego, że sam decyduje o swoim losie, kierując się własnymi gustami i preferencjami.

Zwyczajny wampir nie żyje po to, by wisieć

w hamlecie. Żyje po to, by ssać bablos. Procedura, podczas której się to odbywa, nosi nazwę Czerwonej Ceremonii.

Konsumentem bablosu nie jest człowiek, noszący w sobie magicznego robaka, ale sam magiczny robak. Co przy tym odczuwa, wampiry nie wiedzą. Ale jest to dla nas niezwykle przyjemne doświadczenie, skutkujące trudnym do opisania transcendentnym doznaniem, podobnym do objawień ludzkich mistyków.

Fizycznie, jak twierdzą niektóre wampiry dysydenci, polega to na tym, że bablos wyłącza na jakiś czas umysł B. Przystajemy być półludźmi, co sekundę produkującymi agregat M5 – i wtedy objawia się nasza nadludzka natura... Jest w tym cudowna rekursywność: zażycie bablosu jak gdyby na jakiś czas uwalnia nas od konieczności wytwarzania bablosu. Nie mam jednak absolutnej pewności, że istotnie tak to wygląda.

Magiczny robak zachowuje nieśmiertelność właśnie dzięki bablosowi. W naszej hierarchii

wartości bablos zajmuje najwyższe miejsce. Jak powiedział jeden z naszych poetów, jest to „bezcenny dar Wielkiej Myszy, jej święte mleko”. Ale trafniejsze byłoby porównanie z heroiną. Raz spróbowawszy bablosu, wampir jest skazany: będzie go namiętnie pragnąć przez całe swoje życie. Ludzka żądza pieniądza – to jedynie słabe odbicie tego wielkiego pragnienia wampirów.

## 8. RUBLOWKA I HARTLAND

Rosyjski Hartland położony jest w lasach niedaleko szosy Rublowskiej.

Chciałbym, żeby czytelnik od razu zrozumiał: nie jest tak, że wampiry urządziły tam Hartland, ponieważ obok jest Rublowka. To Rublowka powstała tam dlatego, że obok jest Hartland. Nigdy nie podobało nam się sąsiedztwo nuworyszów. Ale był to dogodny socjalny bufor, pozwalający oddzielić Hartland od dzikich pól, czyli całej reszty Rosji. A dzisiaj podejmujemy wszelkie niezbędne kroki, by Rublowka stopniowo



popadała w ruinę, a położona tu nieruchomość traciła swoją atrakcyjność i status.

Nasz ideał to wampiryczna enklawa na bezludnym cmentarzysku próżności. Chcemy się ukryć wśród setek wystawionych na sprzedaż mauzoleów złodziejskich marzeń, których nikt nigdy nie kupi z powodu ich horrendalnych cen. Taka jest nasza przemyślana strategia, zgodnie z którą rozwijamy nasz rejon.

## 9. ODWIECZNE CIAŁO

Jak już wspomniałem, fizyczność Wielkiej Myszy jest nieco inna niż ludzka. Może ją widzieć tylko wampir (z rzadkimi wyjątkami z woli samej Myszy). Człowiek po prostu nie zdoła znaleźć wejścia do Hartlandu i pytanie, gdzie się ono znajduje, dla ludzi pozbawione jest sensu. Wampir dostaje się do Hartlandu, skacząc w przepaść. Podczas tego skoku przeobraża się w rodzaj ogromnego nietoperza (latającej myszy), oczywiście, znacznie mniejszych rozmiarów niż

gigantyczna Wielka Mysz. To właśnie jest Odwieczne Ciało, w którym, jeśli wierzyć naszej mitologii, magiczne robaki żyły na Ziemi na setki milionów lat przed pojawieniem się człowieka. Wchodząc do Hartlandu, znów stajemy się ludźmi.

Wampir może wykorzystywać Odwieczne Ciało do niezauważalnego przemieszczania się po świecie fizycznym. W tej postaci nie jest w stanie nas zobaczyć żaden człowiek.

## 10. CZARNY SZUM I CZARNA ZASŁONA

Są to pojęcia bliskie, ale nie tożsame.

Czarny Szum to środowisko informacyjne otaczające współczesnego człowieka. Strumienie informacji, oblewające ludzką świadomość, składają się z nieprzewidywalnej kombinacji mnóstwa starannie przeliczonych modeli dezinformacyjnych (jak ktoś to elegancko określił, Czarny Szum to biały szum, którego wszystkie składniki są opłacone).

Czarna Zasłona to aspekt Czarnego Szumu: technologia informacyjna, pozwalająca wampirom ukrywać swój świat przed ludźmi. Polega ona na tym, że różne zjawiska wampirycznego bytu zwykło się ukrywać pod i n f o r m a c y j n y m i h o m o n i m a m i, czyli maskami znaczeniowymi, wydmuszkami-fantomami, karnawałowo dublującymi prawdziwe treści naszego świata. Wszystkie książkowe i kinematograficzne franszyzy o wampirach, natrętnie przepisywane i w kółko filmowane z roku na rok, to po prostu elementy Czarnej Zasłony. Ma ona nawet projekcję lingwistyczną – właśnie od niej pochodzą rozmaite zwroty, którymi posługują się ludzie, nie rozumiejąc ich sensu („he or she”, „batman” i in.).

Realne wydarzenia i procesy zachodzące w świecie wampirów nasi słudzy chaldeje wypaczają i odgrywają w przestrzeni ludzkiej kultury jako na pół bezsensowne performance (stąd zwroty „społeczeństwo spektaklu”, „jak na dole, tak i na górze” itp.). Dlatego wampiry nie obawiają się żadnego przecieku informacji –

ludzie i tak już wszystko „wiedzą”. W przestrzeni ludzkiej kultury nie pozostała ani jedna czysta stronica, na której można by napisać prawdę: wszystkie są zapełnione starannym, bezsensownym pismem Chaldejów, i żadnego „mane, tekel, fares” po prostu nie będzie na tym tle widać (por. *blood libel*).

Obfite występowanie w tej terminologii „czarnego koloru” nie ma znaczenia fizycznego czy lingwistycznego i wypływa wyłącznie z estetycznych upodobań wampirów. Czerń to nasza barwa narodowa.

## 11. PERCEPCJA POKRYWAJĄCA

Pewnych aspektów materialnych naszej kultury – takich jak pieczara Wielkiej Myszy, Odwieczne Ciało i in. – nie można ukryć za pomocą samych manipulacji kulturowych. Nasze maskowanie ma jeszcze jeden aspekt, którego zrozumienie bywa znacznie trudniejsze. Nosi on nazwę Percepcji Pokrywającej.

Chodzi w niej o to, że ludzie po prostu nie postrzegają elementów wampirycznej rzeczywistości – mniej więcej tak samo jak plamki ślepej, pustego miejsca w samym centrum ich pola widzenia, gdzie strumień światła trafiającego w oko pada w punkt odejścia nerwu wzrokowego. Plamkę ślepą można zlokalizować za pomocą specjalnych doświadczeń, które polecam wszystkim niedowiarkom – są proste, a ich opis łatwo znaleźć w sieci.

Dokładnie tak samo z ludzkiego postrzegania wymazywane są zakazane elementy rzeczywistości. Jak gdyby zasłonięto je łąką, powtarzającą najbliższy dozwolony szablon percepcji. Takie cerowanie rzeczywistości to jedna z ulubionych technologii ludzkiego mózgu i jest nam to bardzo na rękę. Wampiry utrzymują, że specjalnie zaszczepiły człowiekowi ten nawyk w głębokiej starożytności, kiedy zaczynały go hodować jako zwierzę rzeźne.

Mechanizm percepcji pokrywającej nie jest dla mnie do końca jasny. Mogę tylko powtórzyć cudze słowa (nie przejmujcie się, jeśli ich nie

zrozumiecie – ja sam ich nie rozumiem). Przepuszcza się, że wampir w Odwiecznym Ciele jest dla człowieka niewidzialny, dlatego że Krzyk Wielkiej Myszy (por. niżej) zmusza ludzki mózg do przeprowadzenia „przymusowej inspekcji niezliczonych szkiców postrzeganego i do ich przedświadomej cenzury”. Być może sens tego zaklęcia polega na tym, że system nerwowy człowieka tak naprawdę rejestruje wszystko, i po prostu mózg otrzymuje surowy rozkaz, by zredagował to, co postrzega, tak, żeby nas nie było widać.

Na pewno wiem tylko jedno: wampir w Odwiecznym Ciele jest niewidzialny. Co więcej, Percepcja Pokrywająca pomaga wielkim wampirom w ukrywaniu siebie i swoich myśli nie tylko przed ludźmi, ale i przed mniej doświadczonymi współbraćmi.

Wampira, lecącego nad miastem w Odwiecznym Ciele, może zobaczyć tylko inny wampir – ale nie człowiek. Często zadają mi pytanie, czy wampir w tym czasie jest widoczny na radarze. Na to nie

ma odpowiedzi, ponieważ chodzi tu nie o zjawiska fizyczne, ale o ludzkie postrzeganie. Nawet jeśli wampir jest widoczny na radarze, nikt nie będzie widzieć przedstawiającego go punktu na ekranie. Oczywiście poza innym wampirem.

## 12. UKĄSZENIE I KRZYK WIELKIEJ MYSZY

Wampir potrafi ekstrahować małą kroplę czerwonej cieczy spod skóry żywego człowieka, aby uzyskać dostęp do jego świata wewnętrznego. Dzieje się to niedostrzegalnie i niemal mimo woli, kiedy znajdziemy się obok interesującego nas indywiduum. Jest to jedna z naszych superzdolności – rodzaj ukąszenia komara na odległość. Potrzebujemy jedynie odrobiny DNA.

Poprzez ukąszenie kontrolne starsze wampiry mogą kontrolować świadomość młodszych, swobodnie przenikając do ich pamięci i myśli. Ale świadomość wampirów stojących wyżej w naszej hierarchii pozostaje zamknięta dla tych, którzy są

w niej niżej. Do umysłu Wielkiej Myszy zaś nie może zajrzeć nikt – nawet jej wymienna ludzka głowa. Rangę wampira określa właśnie stopień osobistej nieprzezroczystości – nie jest to jednak wyraźna hierarchia, raczej pewna nieformalna tabela rang, w której stale zachodzą fluktuacje i zmiany.

À propos, chciałbym tu wspomnieć o pewnej zabawnej pomyłce. W książce *Empire V* opowiadałem, jak znalazłem w wampotece swojego benefaktora, nieżyjącego Brahmy (od którego przeszedł do mnie magiczny mózgowy robak), dziwny preparat, który nie figurował w katalogu. Nazywał się Ukąszenie i Krzyk Wielkiej Myszy. Zapoznawszy się z nim bez zezwolenia nauczycieli, doszedłem do wniosku, że wampir przebija skórę człowieka iskrą elektryczną. To oczywiście śmieszne.

Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko to, że w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku wśród wampirów panowała moda na ściśle naukowe interpretacje własnego bytu i że



rzeczywiście mierzyły różnice potencjałów między różnymi strefami wewnętrznymi swoich kłów. Tę różnicę potencjałów uznały za wystarczającą do powstania iskry piezoelektrycznej. Ale samej iskry nie udało im się wykryć.

Zmarły Brahma nie tylko zbierał stare maski, ale lubił też ludzką literaturę i sam trochę się nią parał – miał ogromną kolekcję literackich preparatów i koktajli. Jak się później okazało, omówiony tam preparat był szkicem powieści fantastycznej o wampirze robocie. Preparat został sporządzony z DNA pewnego literackiego murzyna, wspólnie z którym Brahma opracowywał tę fabułę. A ja wziąłem to za dobrą monetę.

Później moi nauczyciele wytłumaczyli mi, że ukąszenie wampira jest innej natury. Kły wampira (nasz starożytny poeta nazwał je rogami zwycięzcy) stanowią dla magicznego robaka coś w rodzaju anten. Przez nie wysyła on w przestrzeń psychiczny rozkaz, któremu nie może się przeciwstawić żaden organizm. Rozkaz ten nazywamy Krzykiem Wielkiej Myszy. Jest to coś

w rodzaju dresiarskiego „stój, bój się!”, tylko w formie bardziej rozwiniętej: „stój, bój się, nie zapominaj!”. Żadnych dźwięków wampir przy tym nie wydaje.

Krzyk Wielkiej Myszy sprawia, że człowiek nie czuje ukąszenia, co można od biedy objaśnić z pozycji ludzkiej nauki.

Jednakże absolutnie niewytłumaczalny jest fizyczny aspekt ukąszenia. O nim można mówić jedynie metaforycznie.

Po Krzyku Wielkiej Myszy w maleńkiej cząsteczce ludzkiej krwi rodzi się coś na kształt własnej woli. Na czas tej operacji magiczny robak dokonuje w tej kropelce krwi jakby projekcji swej istoty. I kropli udaje się w niepojęty sposób ożyć, przebić skórę (albo może się przez nią przesączyć), oderwać się od człowieka nosiciela i zawisnąć w powietrzu, gdzie wampir łowi ją ustami.

Jedną z najbardziej mrocznych, ale pięknych interpretacji tej technologii zaproponował mój

znajomy profesor teologii z Kiszyniowa, którego już od kilku lat zatrudniam w charakterze kierowcy spowiednika. Powiedział mianowicie, że na czas tej operacji w kropli krwi rodzi się dusza, która dąży do zbawienia. Kropla krwi usiłuje uciec z nienawistnego i skazanego na zagładę ludzkiego ciała – i dzięki potwornemu napięciu woli oraz współczuciu kosmosu udaje się jej to osiągnąć. Kiedy zawisa w powietrzu poza obszarem skóry, chwytają ją usta wampira. Wówczas dusza jest jakby zbawiona, ponieważ wraca do wampira, do którego należała pierwotnie – albowiem to on stworzył ją w kropelce krwi swoim bezdźwięcznym krzykiem. Jest to jednak oczywiście zbawienie chwilowe, jako że mówimy tu o duszy wampirycznej.

Ach, ci teolodzy.

Opowiem o nich co nieco w tej książce. A teraz, droga czytelniczko, za mną! Wampir ma dewizę swą: w ciemność, wstecz i dalej w głąb!

R

*Rama Drugi*  
*Pustać Rublowska, pełnia*



Wydawnictwo Literackie

# KIEDY ZE W USŁYSZĘ TWÓJ

Był jeden z tych upajających rosyjskich wieczorów, kiedy ma się wrażenie, że wszystkie straszne strony historii ojczyzny zostały już odwrócone, i mamy przed sobą same jasne, bezchmurne, szczęśliwe dni. Właśnie w takich chwilach ludzie poczynają dzieci – bo wszyscy są przekonani, że czeka ich słoneczne szczęście.

Tylko że te dzieci rodzą się nie wiadomo czemu w lutym...

Martwa głowa Isztar leżała (miałem ochotę powiedzieć „zasiadała”, jak gdyby chodziło o wielką ropuchę) na ogromnym złotym półmisku.

Jej nalana twarz w fałdach starczego tłuszczu wyglądała na zmiętą mimo kilku warstw pogrzebowego makijażu. Wydawało się tak chyba

dlatego, że charakteryzator Japończyk namalował wokół jej zamkniętych oczu rozplývające się czarne kleksy, ściekające ciemnymi strumykami na śnieżnobiałe policzki. W Japonii z pewnością wyglądałoby to stylowo i przypominało o świecie duchów. W Rosji budziło skojarzenie ze śmiercią po długim pijaństwie, zakończonym brutalną bijatyką.

Głowa szybowwała nad przepaścią Hartlandu.

W rzeczywistości oczywiście nie szybowwała – półmisek był umocowany na zamaskowanym kwiatami drągu. Ale wyglądało to wszystko tak, jakby głowa unosiła się nad czarną otchłanią, przyjmując ostatni hołd od tych, którzy zbliżali się lękliwie do jej skraju.

Głowa wyglądała majestatycznie nawet z czarnymi zaciekami na policzkach. Włosy, którymi zmarła za życia wstydlíwie zasłaniała swoje kosmetyczne blizny, były teraz zaczesane do góry i upięte w jedną z owych dziwaczných olbrzymich fryzur, które tak lubiła w swoich

trzeźwych dniach: nad potylicą lśniła masywna złota harfa i rude pasma były przywiązane do jej strun, jakby martwa Meduza dawała dla skamieniałych widzów swój pożegnalny koncert.

Tak resztą właściwie było.

Tylko że śpiewała nie martwa głowa, ale śpiewak estradowy z zawiązanymi oczami. Stał na samym skraju przepaści obok dwóch asekurujących go ochroniarzy.

Śpiewak wyglądał kreatywnie, ale dziwnie. Miał na sobie brokatową marynarkę naszywaną strasami, tworzącymi tęcze i gwiazdy oraz także szorty. Jego kunsztownie wystylizowana broda mieniła się, opalizowała nieznośnym chemicznym kolorem. Brzuszek pod marynarką był zbyt wydatny, a nogi zbyt cienkie przy takim zwalistym ciele. Można było pomyśleć, że włożył szorty, chcąc budzić swym wyglądem litość, aby go nie zabito na zakończenie imprezy. Ale w tym celu powinien był zgolić brodę.

– Kiedy zew usłyszę twój,

Choćbym był czy tu, czy ówdzie,  
Zaraz jutro ruszę w bój,  
Żeby Putin nam nie bruździł...<sup>[4]</sup>

Słuchaczy było mało – niewielka grupa na skraju przepaści. Twarze mieli uroczyste i smutne. Odziani byli całkowicie na czarno – prosto, wyszukanie i kosztownie. Zbyt kosztownie jak na to, by jakiś autor kolumny towarzyskiej mógł ich obrazić, wykazując zrozumienie dla tej okoliczności. Kolorystyczną monotonię ich strojów zakłócały tylko drobniutkie iskry innej barwy – spinki, rozetka w butonierce czy szpilka w krawacie. Większość była w podeszłym wieku – prócz jednego w pierwszym rzędzie.

Był to młody człowiek około dwudziestki. Chociaż także od stóp do głów w czerni, wyglądem różnił się od pozostałych. Trudno było nawet powiedzieć, co ma na sobie – czy jest to dziwny kombinezon z kapturem, czy ściśle opinające ciało spodnie i kurtka. Przyjrząwszy się uważniej, można było dostrzec w jego uchu



małeńki brylant. Cerę miał bladą, jakby posmarowaną białym podkładem. A uniesione żelem włosy – być może przez kontrast – wydawały się przesadnie ciemne, jakby je pokryto kruczoczarną farbą. Najbardziej przypominał nową modyfikację emo – hipstera, jeszcze zbyt świeżą, by zdążyła sobie zyskać własną nazwę w kulturze. Ale coś w jego oczach budziło dreszcz – i dawało do zrozumienia, że to po prostu kamuflaż.

Krótko mówiąc, jak już pewnie się domyślacie, to byłem ja.

Facet w szortach jeszcze śpiewał i niektóre jego słowa docierały do mojej świadomości poprzez wszystkie mentalne blokady. Jeśli dobrze rozumiałem, pieśń wyrażała protest. Zresztą, nie byłem pewien, czy rozumiem wszystkie niepokojące znaczenia w bijącym z niego promieniu informacyjnym – coś takiego w odniesieniu do ludzkiej sztuki zdarzało mi się coraz częściej.

– No, no, ależ walnęła testament – westchnął

stojący obok mnie Marduk Siemionowicz. – Żegnam już trzecią Mysz, a takie coś widzę po raz pierwszy... Dobrze, że przynajmniej oczy im zawiązali...

Enlil Maratowicz zajrzał do programu.

– To chyba ostatni – powiedział. – Ten parodysta już był?

Marduk Siemionowicz kiwnął głową.

– Znaczy, na pewno ostatni. Uf, dzięki ci...

Jak zwykle elegancko nie dokończył. Wampiry tej rangi bardzo przestrzegają poprawności.

Znowu nie wytrzymałem i popatrzyłem tam, gdzie w ogóle nie powinienem patrzeć.

Pod głową Isztar stała tonąca w kwiatach trumna z nagim ciałem młodej dziewczyny.

Było to niezwykle piękne i doskonałe ciało – z jednym tylko wyjątkiem: nie miało głowy. Za to Isztar, wzniesiona wysoko nad przepaścią i trumną, nie miała ciała – i obie razem tworzyły jakąś straszną nienaturalną całość. Ciało dziewczyny wydawało się ofiarą, jakiej zażądała dla siebie ta

nienasycona głowa, już martwa, ale wciąż jeszcze pożerająca żywych...

Z trudem odwróciłem wzrok – i znów dałem sobie słowo, że więcej w tamtą stronę nie spojrzę. Znałem tę dziewczynę, jeszcze kiedy miała głowę. I z nią podobała mi się znacznie bardziej.

Polana wokół przepaści dawno nie widziała takiego tłumu – a może w ogóle nigdy. Zazwyczaj można tu było spotkać tylko śpieszącego w dół wampira. I spotkać go mógł tylko inny wampir: z trzech stron przepaść otaczały ogrodzenia rublowskich posesji, należących do członków naszej społeczności, tak że przypadkowy gość nie mógł się tutaj znaleźć.

Dziś jednak wszystko było inaczej. Gdybym nie wiedział, gdzie jestem, chyba bym tego miejsca nie poznał: można było pomyśleć, że wampiry przegrały wojnę z ludźmi – i skapitulowały.

Przepaść, prowadząca do domu Wielkiej Myszy, była całkowicie odsłonięta – pierwszy raz za mojej pamięci. Szarozielony rulon, w który

zwinęto sieć maskującą, stwarzał nastrój niepokoju, poprzedzającego wojnę – jakbym miał przed sobą sztolnię, otwartą przed startem ostatniej rakiety. Co więcej, część ogrodzenia została rozebrana, żeby odsłonić drogę do podziemi. Najdziwniejszą jednak rzeczą w całym tym obrazie była nawet nie wisząca nad otchłanią głowa, ale niebieski autokar, który przejechał przez dziurę w ogrodzeniu i zatrzymał się zaledwie o kilka metrów od przepaści.

Siedzieli w nim mężczyźni i kobiety w perukach, kamizelach, wieczorowych sukniach, czarnych frakach i scenicznych trykotach, ze spływającą w upale charakteryzacją, ze starannie zawiązanymi oczami. Wyprowadzano ich po jednym, żeby wykonali swój numer na skraju przepaści. Potem pomagano im wrócić do autokaru.

Przypuszczam, że była to najbardziej lukratywna impreza w ich życiu, chociaż wątpię, czy wiedzieli, dla kogo śpiewają, recytują i tańczą. Zapewne uważali, że jest to jakieś wspólne

posiedzenie mafii, FSB i Komitetu Międzybankowego, którego uczestnicy nie chcą, żeby ich widziano razem.

Zresztą, nazywając rzeczy po imieniu, tak też było. Właśnie dlatego, myślałem melancholijnie, rzeczy nie mają swoich imion – tylko te, które nadają im chytry i wyrachowani chaldeje.

– Gdzie rozbite marzenia

Opadają znowu siłą ciężenia...

Facet w szortach dośpiewał wreszcie swój numer. Rozległy się zdawkowe oklaski, i ja też dwa razy klasnąłem w ręce. Śpiewak uklonił się w przestrzeń i ochroniarze poprowadzili go z powrotem do autokaru, pilnując, żeby się nie potknął.

– Koniec męki – mruknął Enlil Maratowicz, kiedy ochroniarze podsadzili śpiewaka do pojazdu. – Chyba się jakoś udało.

Gdy tylko to powiedział, zrozumiałem, że oto zaraz wydarzy się coś strasznego. Tak bywa, kiedy

oglądając horror, odczuwasz ulgę, że zakończyła się jakaś mrożąca krew w żyłach sytuacja – i nagle czujesz, że dano ci odetchnąć nie bez powodu.

Naturalnie nie myliłem się.

Wokół mnie rozległ się chóralny jęk grozy. Nawiasem mówiąc, było to rzeczywiście straszne, ponieważ ten zbiorowy jęk wydali nie jacyś tam człowieczkowie, ale stare, wytrawne wampiry, które trudno przestraszyć. Toteż z góry bardzo mocno się napiąłem, a zobaczywszy, co konkretnie wywołało taki lęk w naszych szeregach, odczułem raczej ulgę niż nową falę strachu.

Głowa Isztar otworzyła oczy.

Nie było w tym nic szczególnie przerażającego. Po prostu w środku dwóch czarnych spływających kleksów pojawiły się dwa mętnie połyskujące punkciki. Każdy spośród stojących nad przepaścią wampirów wiele razy widział te mętne punkciki już wcześniej. Nie było się czego bać – zwłaszcza że usta Isztar pozostały zamknięte: nikt nie zamierzał podłączać jej do pompy powietrznej.

Problem wszakże polegał na tym, że Isztar nie patrzyła na nas. Patrzyła na kierowcę autokaru, do którego przed chwilą załadowano ostatniego klauna.

Nie widziałem twarzy kierowcy. Widziałem tors w czarnej mundurowej koszuli i zbieleiałe dłonie na kierownicy. Kierowca szarpał się wściekle w fotelu, jakby utracił kontrolę nad własnym ciałem – i nad pojazdem. Zdawało się, że autokarem kieruje czyjaś zła wola. Pojazd powoli jechał ku przepaści.

Siedzący w środku aktorzy z przepaskami na oczach niczego nie podejrzewali do momentu, kiedy kierowca zaczął krzyczeć. I wówczas jednak nie okazali szczególnego niepokoju – widocznie przed imprezą kazano im zachować spokój bez względu na rozwój wydarzeń. Dopiero kiedy autokar przechylił się na skraju urwiska, kilka osób zerwało opaski z oczu – i też zaczęło krzyczeć. Ale było już za późno na cokolwiek.

Tyłne koła wleciały nad urwiskiem i autokar

runął w przepaść.

Wszyscy zamarli.

Najpierw było słyhać cichnący wielogłosy krzyk. Potem zapadła cisza. Wreszcie po nieznośnie długiej chwili dał się słyszeć głuchy plusk. Był tak cichy, że pewnie w ogóle byśmy go nie zauważyli, gdybyśmy się tak pilnie nie wsłuchiwali.

Pierwszy opamiętał się Enlil Maratowicz. Podszedł na skraj przepaści i zajrzał w dół. Potem uważnie popatrzył w niebo.

– Chcę wiedzieć, co się stało – powiedział. – Gdzie Ozyrys?

– Ozyrys jest chory – odrzekł wampir imieniem Loki. – Wątroba.

– A kto go teraz zastępuje? Kto tu jest nurkiem?

Loki wzruszył ramionami.

– Innego nie ma – powiedział. – Oprócz ciebie. Przecież wiesz, Enlil.

Enlil Maratowicz rozejrzał się po obecnych.



Twarz miał spokojną, tylko jedno oko stało się węższe od drugiego.

– A więc mówicie poważnie, że nie mamy etatowego nurka? I jeśli chcę się dowiedzieć, co się stało, muszę tam skoczyć sam?

Odpowiedziało mu milczenie.

Enlil Maratowicz jeszcze raz powiódł po nas wzrokiem.

– No dobrze – powiedział spokojnie i nawet niefrasobliwie. – Tak zrobię. Sam to zbadam. A potem pomówię o tej sytuacji z Herą. To jest z Isztar Władimirowną. Zwłaszcza że to tuż obok...

Ruszył w stronę przepaści.

– Enlil! – zawołał za nim Marduk Siemionowicz. – Dlaczego miałbyś sam się brudzić. Lepiej... Chcesz, to ja skoczę? Kiedyś umiałem...

Enlil Maratowicz nie zaszczycił go odpowiedzią. Podszedł na sam skraj urwiska i odwrócił się do mnie.

– Rama – rzekł – ty ze mną. Isztar

Władimirowna chce cię widzieć.

Poczułem na sobie kilka zawistnych i pełnych nienawiści spojrzeń. Zresztą, ostatnio już do nich przywykłem.

– Zróbcie tu porządek – polecił Enlil Maratowicz. – Za godzinę wszystko ma być tak jak zwykle. Marduk, załatw z Chaldejami, żeby tych artystów szukano w jakimś innym miejscu... Niech utoną gdzieś w Turcji.

Rozpostarł ręce, jakby sprawdzając, czy marynarka nie ciśnie, i niezdarnie stoczył się w przepaść. Policzyłem do pięciu, podbiegłem do urwiska i rzuciłem się za nim.

Upadek w Hartland to jedna z tych rzeczy, do których nie może całkowicie przywyknąć żaden wampir. Przez kilka pierwszych sekund w dół leci ludzkie ciało – i trzeba, by w duszy zrodził się i rozrósł nieprzewyciężony strach, jako że właśnie on umożliwia transformację. Najpierw do tego eksperymentu konieczny jest specjalny preparat z czerwonej cieczy Wielkiej Myszy.

Potem uczymy się obchodzić bez niego. Im bardziej doświadczony jest wampir, tym mniej się boi – i, czysto teoretycznie, może się zdarzyć, że nie czując dostatecznego strachu, nie zdoła się zamienić w nietoperza i runie na dno. Jednakże im bardziej realna staje się taka możliwość, tym większy wywołuje strach, toteż, tak czy inaczej, w Odwieczne Ciało przechodzimy wszyscy. Po prostu jedni wcześniej, a inni później.

Wrażenie jest takie, jakby palce wreszcie zdołały uczeplić się powietrza, przez które lecą. To znaczy, że ręce już przekształciły się w błoniaste skrzydła – i upadek w czarną dziurę zamienia się w szybowanie nad przepaścią.

Wspominałem już o wątpliwościach, jakie ta procedura budzi w trzeźwym ludzkim umyśle (a ma go każdy wampir). Czym jest ta transformacja? Czy odbywa się ona rzeczywiście, czy zapadamy w rodzaj snu, wypaczającego rzeczywistość? A może się z takiego snu budzimy?

Mądrość wampira polega na tym, że on nie

szuka odpowiedzi na takie pytania. Dopóty, dopóki nie zmusi go do tego życie. Wiedziałem, że taka będzie odpowiedź wszystkich starszych współpracowników. Ale powiedzenie czegoś takiego samemu sobie jest oczywiście niemożliwe – i pytania wciąż się kryją w jasnych zakamarkach duszy.

Najciekawsza (i, co tu ukrywać, najbardziej mroczna) wersja odpowiedzi, jaką poznałem, została zawarta w opowiadaniu fantastycznym pewnego dziewiętnastowiecznego wampoliterata. Rzecz jasna, nigdy go nie drukowano – w każdym razie dla ludzi.

Była to historia o młodym zbuntowanym wampirze (wówczas takie rzeczy pisywano bez odrobiny ironii), który uzyskuje możliwość dokonania całego zjazdu do Hartlandu w ludzkim ciele – i zamiast ukrytego w otchłani korytarza, wiodącego do pieczary Wielkiej Myszy, trafia na dno płytkiej starej sztolni, gdzie na zakopconych belkach wiszą nietoperze. W osobnej niszy, zabazgranej wulgaryzmami, wisi bardzo stary

tlusty nietoperz, pokryty ni to pajęczyną, ni to pleśnią... I to wszystko.

Opowiadanie to powstało jednocześnie z *Sonatą Kreutzerowską* i było wyrazem jadowitej krytyki tradycyjnych instytucji społecznych. Uważano, że instytucje te należy co prędzej zlikwidować, aby utorować drogę dla postępu. Ludzie w tamtych latach zamierzali trafić tym sposobem w świetlaną przyszłość – i napisali wiele podobnych rzeczy.

Historia ta w swoim czasie skłoniła mnie do poważnego zastanowienia się nad tym, dokąd za każdym razem się opuszczam... W Hartlandzie była elektryczność. Działały tam skonstruowane przez ludzi maszyny. Ale wszystko to działo się wyłącznie z woli wampirów. Zupełnie sobie nie mogłem wyobrazić, co się stanie z autokarem, który przypadkowo – i samodzielnie – runął do Hartlandu.

Kiedy jednak wylądowałem nad powierzchnią wody, stało się jasne, że odpowiedzi nie

otrzymam. Uderzywszy pięściami o kamienny brzeg podziemnego zbiornika, znów stałem się człowiekiem – i ujrzałem Enlila Maratowicza. Siedział w kucki na skraju czarnego jeziora. W niepewnym świetle, padającym nań z pieczary, przypominał starego rybaka.

Żadnego autokaru nigdzie nie było widać, tylko nad wodą wisiała jakaś dziwna zielonkawa mgiełka.

– Idź – powiedział. – Ona czeka.

– A jak pan będzie...

Skrzywił się boleśnie.

– Po cóż ci to wiedzieć, chłopcze? Pozostań młody, dopóki możesz. Mówię poważnie. Idź.

Kiwnąłem głową i wszedłem do pieczary.

U wejścia do podziemnej sali obejrzałem się – Enlil Maratowicz wciąż jeszcze siedział na brzegu. Wydało mi się, że zbiera się do skoku, ale nie chce tego robić przy mnie. Przez delikatność ruszyłem szybciej, starając się stąpać po metalowym pomoście jak najgłośniej, żeby Enlil

Maratowicz nie miał wątpliwości, że jestem już daleko.

Ciało Wielkiej Myszy, wiszące pod wysokim podziemnym sklepieniem, wyglądało jak skamielina, nieprawdopodobnie prastary trójwymiarowy ślad. Ale ta skamielina oddychała – i pokryte szarą pleśnią błoniaste skrzydła obejmowały ogromne beczkowate ciało nieco inaczej niż kilka dni temu.

Mówiono, że Wielka Mysz czasem rozpościera skrzydła – i nie jest to widok dla osób o słabych nerwach. Poza tym za każdym razem zdumiewała mnie grubość dochodzących do niej rur, sprawiających, że przypominała raketę na wyrzutni. Te harmonijkowe rury nie były oczywiście przeznaczone do bablosu, ale do wody, powietrza i tak dalej. Ale bablosu Mysz też daje sporo. I gdzie on się podziewa, pytam? Wiedziałem, że ta sprawa interesuje nie tylko mnie, ale bardzo, bardzo wielu.

U wejścia do galerii ołtarzowej stały dwie

marmurowe czasze, do których składano różne rupiecie, jakie nagromadziły się przez wieki na starych ołtarzach – przy zmianie głowy zawsze przeprowadzano generalne sprzątanie i czystkę. W czasach leżały dość zaskakujące rzeczy; dziwne wydawały się nie tyle one same, ile ich sąsiedztwo. Były tu krzemienne groty strzał, wielki nóż z ciemnego metalu z pierścieniem na rękojeści, kryształowa czaszka, srebrna popielniczka łapeć, biały telefon z godłem ZSRR na tarczy – ale nie miałem czasu na oglądanie kolekcji.

Wiedziałem, że Hera mnie już widzi. Albo raczej wyczuwa.

W galerii, jak zawsze, wiał przesycony elektryczną świeżością wietrzyk. Na podłodze nie było ani odrobiny kurzu. Kilka służebnych o zasłoniętych twarzach na mój widok odeszło w półmrok. Nie należało z nimi rozmawiać. Nawet nie wiedziałem, kim są – wampirzycami czy specjalnie wyszkolonymi chaldejskimi kobietami. Choć to ostatnie było raczej mało prawdopodobne.



Prastare głowy w kamiennych wnękach były przykryte białymi żałobnymi chustami z anagramem „MW”. Nie żałowałem zbyt, że te zasuszone siwowłose dynie zostały dziś ukryte przed moim wzrokiem – nawet najkrótsza droga do komnaty z żywą głową zdążyła nastroić odwiedzającego ponuro, kolejny raz przypominając, że człowiek jest śmiertelny nie tylko nagle, ale też masowo.

W drugiej sowieckiej komnacie nastąpiło ważne wydarzenie: wróciła z renowacji głowa Isztaur Zurabowny (spędziła na zabiegach chyba trzydzieści lat). Aż się wzdrygnąłem. Kogo jak kogo, ale ją na pewno należało przykryć chustą – tyle że nie wiadomo dlaczego tego nie zrobiono. Może trzeba było dać jej pooddychać, żeby wywietrzały z niej sole balsamujące. Zresztą, nie chodziło o tę garbatonosą kobiecą głowę z siwym klimakterycznym wąsikiem; nie dopatrzyłem się w niej nic szczególnie przerażającego. Po prostu im bliżej była aktualna głowa Wielkiej Myszy, tym bardziej się denerwowałem. Ale tak właśnie miało

być.

Drzwi do pomieszczenia zmarłej Ishtar Borisowny były już zdjęte. Teraz jej dawna komnata stała się jeszcze jedną salą galerii. Widać było odsunięte pod ścianę meble i wieniec pogrzebowy, zakrywający miejsce, w którym leżała głowa. Zalatywało stamtąd bandażami i śmiercią. Pomyślałem, że kiedy głowę Ishtar ostatecznie wysuszą i odstawią na miejsce, za każdym razem będę musiał przechodzić obok dzisiejszego horroru. Może nawet pozostawią jej otwarte oczy – przy zastosowaniu nowoczesnych technik balsamowania jest to całkiem realne...

Galeria kończyła się świeżo wykutym w skale aneksem. Prowadziły do niego wysokie drzwi z masy perłowej z prostą klamką z białego złota. Wyglądało to wszystko skromnie – Hera lubiła powściągliwą elegancję.

– Wchodź, Rama – przemówił niewidzialny interkom.

Drzwi się otworzyły i wszedłem.

Ta komnata była większa od pozostałych. A może tylko robiła takie wrażenie, ponieważ ściany były całkowicie pokryte ciekłokrystalicznymi panelami.

Ekran ukazywały ciągnące się we wszystkie strony pole pszenicy. Nad polem wiał wiatr, pszenica falowała, a na niebie piętrzyła się sina burzowa chmura... Poza tym w polu stało rozłożyste drzewo, takie wielkie i samotne, że niepojęte było, jak to się stało, że jeszcze nie rozszarpał go piorun. Piękny wallsaver. Metaforyczny.

Wolno spojrzałem w górę.

W jedną ścianę wmontowana była ogromna muszla z delikatnej masy perłowej. Tam właśnie była głowa Hery, ale starałem się na nią nie patrzeć.

Muszla niezbyt mi się podobała. Zapewne designerzy chcieli nawiązać do *Narodzin Wenus* Botticellego, ale wyszło im coś wyglądającego raczej jak pisuar w pałacu szejka. Ze wszystkich

sił odpędzałem od siebie tę myśl, ale byłem pewien, że Hera pochwyci ją już przy następnym ukąszeniu.

Chociaż miałem jeszcze szansę. Mogłem spróbować uniknąć ukąszenia, a potem raz na zawsze zapomnieć o tym obraźliwym porównaniu.

– Dzień dobry, Isztar Władimirowno – powiedziałem.

– Jaka Władimirowna? Rama, coś ty? Dla ciebie jestem po prostu Herą. I dlaczego na mnie nie patrzysz?

Popatrzyłem.

W środku muszli był otwór, z którego wyrastała długa żywa nóżka, przypominająca korzeń olbrzymiego grzyba albo trąbę mamuta albinosa. Z jej wierzchołka uśmiechała się do mnie głowa Hery. Sińce pod oczami już jej zeszły. Wyglądała dobrze. Patrzyłem jednak nie na nią, ale na jej długą kosmatą szyję.

Podobno ta szyja z wiekiem usycha i ciemnieje – im młodsza jest głowa Wielkiej

Myszy, tym nóżka jest dłuższa i jaśniejsza, a głowa obumiera, kiedy cała nóżka nagle wsysa się z powrotem. Często zdarza się to w ciągu jednego straszego dnia. Według takiej skali Hera była bardzo młoda, wręcz nieprzyzwoicie młodzieńcza. Ja jednak jakoś ciągle sobie wyobrażałem, co się stanie, kiedy upłynie wyznaczony jej termin i policzki Hery dotkną powierzchni konchy. Wtedy głowa rzeczywiście będzie przypominać perłę w muszli. Może designer to właśnie miał na myśli. Jak słyszałem, opowiedziano mu wszystko ze szczegółami.

Oczywiście oprócz tego, co się stanie z nim samym.

– Wiesz, co teraz było na górze? – spytałem.

– Wiem.

W dziwny i skomplikowany sposób poruszyła głowę.

Zrozumiałem, że gest jest adresowany nie do mnie, ale do ciekłokrystalicznych paneli: na szyi miała obrożę z zaprogramowanymi żyroskopami,

poprzez które wydawała polecenia ukrytej w ścianach aparaturze – i swojej siedzącej w sąsiednich komnatach świcie. Poprzednia Isztar miała olbrzymi notebook ze specjalnym trackPadem. Jakże szybko zmieniają się epoki.

Ściany pokazały powierzchnię ziemi u wejścia do Hartlandu. Doznałem oszałamiającego uczucia, że w ciągu sekundy wzleciałem z powrotem – na skraj rublowskiej otchłani.

Zobaczyłem niebieski autokar z aktorami, podjeżdżający na skraj przepaści. Na nagraniu było widać, że kierowca z całej siły kręci kierownicą, usiłując odjechać od dziury, ale mu się to nie udaje, jakby Isztar zahipnotyzowała nie jego, tylko autokar (pojazd miał pocziwą wielkooką mordę, która teoretycznie czyniła coś takiego możliwym).

– Okropność – powiedziałem. – Jak to się mogło stać?

– To jej czary – odrzekła Hera.

– Tak – potwierdziłem. – Od razu przyszła mi na

myśl gorgona Meduza.

– Dosyć już o tym. Enlil zaraz to zbada i wszystko opowie.

– Dobra – powiedziałem. – A tak w ogóle co u ciebie?

– Muszę przejąć sprawy od Enlila – westchnęła. – Dziś albo jutro. Minęły już wszystkie terminy, a ja się boję.

– Jak się to odbywa?

Zerknęła na mnie z ukosa.

– Jakbyś nie wiedział. Kąsasz i tyle.

– I żadnych więcej formalności? Żadnych rytuałów?

– Nie.

– No więc czego się boisz?

– Podobno to jest nieodwracalne. Enlila przecież nikt nie kąsa. On wie zbyt wiele. Potem ciężko z tym żyć. Niby dlaczego on ma hamlet nad przepaścią? Żeby odciągało... No dobra, Rama, to moje problemy, po co ja cię nimi obciążam. A co

u ciebie?

– To samo. Nasi mnie nienawidzą. Myślą, że ja tu z tobą całym dniami chlam bablos.

Hera się skrzywiła.

– Nie mów mi o bablosie. Czy ty masz pojęcie, jak to jest, kiedy on idzie? Jak przy okresie, tylko jeszcze gorzej. Zresztą i tak nie zrozumiesz. Szkoda, że mnie nie wolno kąsać, bo bym ci pokazała.

– Słuchaj, a gdzie się ten cały bablos podziewa? Nikt tego nie może zrozumieć. I dlaczego jest go tak mało?

– Tym zajmują się Marduk i Baal. Oni to kontrolują. Ja tu o niczym nie decyduję. Zresztą Borisowna też nigdy nie miała bablosu.

– Ale tobie dają?

– A po co? Na mnie on tak czy owak już nie działa. Teraz mam go w metabolizmie.

– Uprzedzali cię o tym?

Hera przecząco pokręciła głową. Gest był



o wiele bardziej wyrazisty niż u człowieka z normalną szyją.

– Nawet się nie zająknęli. Powiedzieli tylko, że za sukces w życiu trzeba płacić. I im większy sukces, tym wyższa cena. No, a jeśli zostajesz królową, to cena musi być królewska...

– To Enlil cię wpuścił w te maliny?

– Nie – odparła Hera. – Isztar Borisowna. To ona mnie wybrała. Powiedziała tak: „Choćbyś była nie wiem jak piękna, i tak po trzydziestce mało który chłop na ciebie poleci. A tu będą ci nadskakiwać do samego końca. Jak długo będziesz żyła. A poza tym królowa może ze sobą zrobić, co zechce. Wymyślić sobie dowolny wizerunek i puścić go w świat. Na przykład piosenkarki albo top modelki. Będziesz się oglądać w telewizorze, a cała reszta w to uwierzy. A przy odrobinie wyobraźni sama stopniowo uznasz to za prawdziwe... Że to jesteś właśnie ty...”. Wytrzymaj mi łązy...

Wyjąłem z kieszeni chusteczkę – teraz zawsze

miałem kilka przy sobie – i przyłożyłem jej do twarzy. Ale łzy płynęły coraz silniejszym strumieniem.

– Traktowała mnie jak mama. A ja nie miałam mamy... Wyobrażasz to sobie? Mówią ci: córeczko, chcesz być królową? Ja cię nauczę... Jeżeli tylko dasz radę. No i pomyślałam: dam radę czy nie? I uznałam, że dam radę.

– I jak ci idzie?

Zaśmiała się niewesoło.

– Niedawno oglądałam film o Elżbiecie II – powiedziała – i zrozumiałam jedną rzecz. Wiesz, co czyni cię królową? Wyłącznie ilość gówna, które możesz przełknąć z królewskim uśmiechem. Normalny człowiek wyrzyga się i powiesi, a ty się uśmiechasz i żresz, uśmiechasz i żresz. I kiedy dojadasz do końca, wszyscy wokół ciebie już wiszą, sini i martwi. A ty jesteś ich królową...

– Zaraz się rozpłaczę – powiedziałem.

– Nie płacz. Chodź tu, niech cię pocałuję.

Podszedłem posłusznie i objąłem tulącą się do

mnie kosmatą szyję – w ostatnich dniach już do tego przywykłem. Gdy się zamknęło oczy, było tak, jakby się obejmowało wielbłąda albo żyrafę. Wargi Hery były dokładnie takie same jak dawniej, tylko teraz zdawało mi się, że z jej ust bije jakiś dziwny żar, jakby miała grypę i gorączkę.

Potem jej głowa przesunęła się niżej.

Do tego też już przywykłem. Rozpinała suwak zębami i nie lubiła, kiedy jej pomagałem. Ale dziś nie mogła sobie poradzić i musiałem to zrobić sam.

Gładziłem jej włosy i patrzyłem na autokar, raz za razem spadający w czarną przepaść. Zdawało mi się, że ja też zamieniam się w taki autokar, który wciąż spada i spada, ale nie może ostatecznie spaść... A kiedy autokarowi się to wreszcie udało, głowa Hery uniosła się ku mojej twarzy. W oczach znowu miała łzy.

– Nie kochasz mnie teraz – powiedziała. – Wcale.

– Nie kłó się ze mną w to miejsce. Lepiej w szyję.

– Co za różnica. Nie odczuwasz żadnej przyjemności, kiedy ci to robię.

– A czego się spodziewałaś? – odparłem, zapinając spodnie. – Codziennie cztery razy. Wszyscy mi mówią: Rama, zrobiłeś się błądy jak wampir. Wyśmiewają się.

– Ja przez te pięć minut czuję się żywa – szepnęła żałośnie. – Taka jak dawniej.

– Dopiero co widziałem cię taką jak dawniej – powiedziałem. – Na górze.

Natychmiast pożałowałem tych słów, ale było za późno, żeby je cofnąć. Hera rozplakała się jeszcze bardziej.

– Wy, faceci, oprócz pizdy niczego od kobiety nie potrzebujecie – wyszeptała. – Na górze to nie byłam ja, tylko moje dawne ciało. Chwytasz różnicę?

– Uhm – mruknąłem ponuro. – Chwytam. Przepraszam.

Z korytarza dobiegły zbliżające się kroki.

– Wytrzymaj mi łyzy – poleciała Hera.

Szybko doprowadziłem do porządku jej policzki. Zdawało mi się, że oczy obeschły jej same – stały się złe i ostre.

Do komnaty wszedł Enlil Maratowicz.

Ubranie miał kompletnie mokre, w zielonkawobrazowym mule i plamach oleju. Pasma włosów z ciemienia przylgnęło brzydko do wysokiego łysego czoła. W pierwszej chwili pomyślałem, że umyślnie doprowadził się do tak żalospnego wyglądu, by uniknąć wymówek. Poczulem lekkie ukłucie pogardy – a potem zobaczyłem jego oczy i zrozumiałem, że się myłę.

I to jak!

W źrenicach Enlila Maratowicza zdawała się dogasać łuna nieziemskiego zachodu, który dopiero co widział. Zachód ten był straszny i purpurowy. Mimo woli zrobiłem krok do tyłu. Nawet głowa Hery cofnęła się na swojej kosmatej nóżce. Enlil Maratowicz zorientował się, jak ponure robi wrażenie, i spróbował się uśmiechnąć. Ogarnął mnie jeszcze większy lęk. Wówczas on na

kilka sekund zasłonił rękami czoło i oczy. Wyłoniła się spod nich jego dawna twarz – chociaż brudna i zmęczona.

– Królowo – przemówił, gnąc się w elegancko-ironicznym ukłonie – wszystko zbadałem.

– Dlaczego ona ożyła? – spytała Hera.

– Wcale nie ożyła – odrzekł Enlil Maratowicz. – Wszystko było z góry uknute. Myślę, że Isztar Borisowna nie rok i nie dwa obmyślała swoją ostatnią wolę.

– Opowiadaj – rozkazała Hera.

– Isztar Borisowna miała w ostatnich latach swoje kółko zaufanych osób. Różnych aktorów i kuglarzy, którzy zabawiali ją przez łącza wideo. Coś w rodzaju stadka pekińczyków. Mieli nawet specjalną salę do wideokonferencji. Niekiedy przy koniaczku potrafiła z nimi balować po dziesięć godzin – musieli pracować na dwie zmiany. A oni, naturalnie, nic o niej nie wiedzieli. Powiedziano im, że to czyjaś żona, zesłana do klasztoru. I dlatego to takie tajne. Dobrze im płacono.

Przywiązali się do siebie nawzajem i widocznie Isztar Borisowna postanowiła zabrać ich ze sobą na pamiątkę. Długo to przygotowywała. Przez kilka lat. Sama napisała program koncertu... Nie mam pojęcia, co sobie myślała. Ale dobrze wiem, co myślał jej współnik.

– Kto?

– Ten, który śpiewał ostatni. Ten w szortach. Miał w kieszeni breloczek, coś jak kluczyki od auta. Kazano mu nacisnąć guzik, jak skończy śpiewać. Oczywiście za duże pieniądze. Isztar powiedziała mu w sekrecie, że to będzie jej pogrzeb i chce wszystkich nastraszyć, kiedy otworzą się jej oczy na specjalnych sprężynkach. Pokazała mu nawet makietę głowy z tymi sprężynkami. Razem przeprowadzali próby przez łącze wideo. I Isztar za każdym razem płakała. Dlatego on jej wierzył i nie bał się. Nawet było mu jej trochę żal. Co się stanie z autokarem, nie wiedział. Chociaż, kiedy śpiewał: „kiedy zew usłyszę twój”, zaczął coś podejrzewać...

Hera popatrzyła na ekran, gdzie w kółko powtarzała się scena katastrofy – autokar kolejny raz przelatował kołami nad skrajem przepaści.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – powiedziała. – Za to Chaldejce się wystraszyli.

Zdawało mi się, że w jej twarzy rzeczywiście pojawiło się coś królewskiego.

– Niegłupio staruszka wymyśliła – ciągnęła. – Otworzyła oczy i... Jak tam było? Wysłała zew. Znaczy, na sprężynkach? Trzeba to zapamiętać...

Rzuciła mi krótkie, wyniosłe spojrzenie.

– Ja też będę pewnie potrzebować swojego kółka bliskich osób. Swojego dworu. Żebym ich wszystkich widziała na ekranach, a oni mnie... Powiedzmy, na sofie. Zrobimy mi wirtualne superciało... No, ale to później. Brawo, Enlil. Nie starzejesz się. Szybko się dokopałeś. Tylko dlaczego sam? Cóż to, nie miałeś kogo posłać?

Enlil Maratowicz ze skrucą wzruszył ramionami.



– Ozyrys jest umierający – odparł – a nowego nurka nie mamy. Nikt nie chce.

– Dlaczego? – Hera zmarszczyła brwi.

Enlil Maratowicz pokręcił głową.

– Długo by opowiadać.

– Mnie nie potrzeba niczego opowiadać. Chodź no tu. Akurat miałam przejąć od ciebie sprawy...

Enlil Maratowicz popatrzył na mnie. Widząc trwogę w jego oczach, zrozumiałem, że nie tak wyobrażał sobie tę chwilę. Ale nie mógł się sprzeciwić.

– Chodź, chodź – powiedziała Hera.

Enlil Maratowicz zbliżył się do niej z determinacją i przyklęknął na kolano przed jej perłową muszlą. Głowa Hery przepłynęła obok jego szyi, ledwie dostrzegalnie drgnęła i uniosła się w górę. Potem Hera zamknęła oczy.

Nagle jej twarz pokryła się siateczką zmarszczek – jakby była zrobiona ze szkła, w które uderzono kamieniem. Przez jakąś minutę zdawała się walczyć ze sobą, żeby nie zacząć krzyczeć.

I zwyciężyła.

– Oj, jakie to trudne – odezwała się, nie otwierając oczu. – Niesamowicie.

– Tak – przytaknął ze smutkiem Enlil Maratowicz. – Tak to jest.

Umilkli. Głowa Hery z zamkniętymi oczami kołysała się na wygiętej nóżce, a Enlil Maratowicz klęczał przed nią na jednym kolanie. Wyglądał jak herszt piratów, który przybył do królowej, by zamienić złoto na szlachectwo.

Pomyślałem, że monarcha u ludzi uchodzi za najwyższy autorytet w kwestiach szlachectwa i honoru – a zatem może pasować na rycerza nawet pirata, nawet bankiera. Ale czy podczas takiej procedury działa prawo zachowania impulsu? Czy w rezultacie dom panujący nie staje się kapkę piracki i ździebko lichwiarski? I czy po czymś takim emitowane przezeń tytuły nadal błyszczą na nieboskłonie zaszczytów? Chyba nie, oj, chyba nie. A już o orderach niższej kategorii w ogóle nie ma co mówić. Imię ich – honorowy legion...

W tym momencie dotarło do mnie, że mój umysł przeżuwa jedną z najstarszych myśli na ziemi, niezliczoną ilość razy sformułowaną w najjadowitszych pamfletach, po których nie pozostał nawet kurz – i tylko powszechny spadek zapotrzebowania na królewskie usługi sprawia, że widzę w niej coś nowego.

Kiedy oddawałem się tym rozmyśleniom, upłynęło kilka minut ciszy.

A potem Hera otworzyła oczy.

Jej twarz postarzała się o dziesięć lat. To w ogóle nie była jej twarz. To była twarz człowieka, który wie bardzo wiele strasznych rzeczy. Zbyt wiele, by coś jeszcze miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Nie wolno ci więcej tak nurkować – zwróciła się do Enlila. – Gdyby ci się coś stało, to na kogo wszystko spadnie? Potrzebny jest ktoś młody...

Popatrzyła na mnie.

– Wyznaczmy jego.

– Tak jest, Isztar Władimirownno – powiedział

Enlil Maratowicz, patrząc na mnie. – Tylko że Ozyrys nie powinien go uczyć. On jest...

– Wiem – odparła Hera. – Wyślemy naszego Ramę... – Mrugnęła porozumiewawczo do Enlila Maratowicza. – Wyślemy go... Za granicę. Niech sobie od nas odpocznie, skoro się tu dusi. Kiedy wypada następne wtajemniczenie w undead?

Enlil Maratowicz zastanawiał się przez sekundę.

– Za pięć dni.

– No więc go pošlemy. Potrzebny nam nowy nurek. No bo kto by odprowadził Ozyrysa?

– Racja – westchnął Enlil Maratowicz.

– Rama, pojedziesz na szkolenie – oznajmiła Hera. – A teraz idź. Spakuj rzeczy. Mamy sporo do omówienia.

W jej głosie nie było ani rozdrażnienia, ani urazy. W ogóle niczego osobistego. Po prostu naprawdę miała dużo spraw. Zbyt ciężkich nawet dla jej nowej szyi.

Zrozumiałem, że nadal jest mi jej żal. Ale nie

należało jej współczuć. Była królową.

Uśmiechała się do mnie – i czekała, żebym wyszedł.

Złożyłem niezgrabny ukłon, odwróciłem się i odszedłem.

Wychodząc z podziemnej galerii, zauważyłem na czaszy jednego z ołtarzy mały blaszany autobus niebieskiego koloru. Była to dziecięca zabawka z ubiegłego wieku, wielkości paczki papierosów, zrobiona z metalu i plastiku. Autobus był stary i odrapany, jakby kilka pokoleń przedszkolaków bawiło się nim w piaskownicy. Ale ja gotów byłem przysiąc, że godzinę wcześniej go tu nie było.

Co więcej, stał w maleńkiej kałuży wody, która z niego nakapała.



Wydawnictwo Literackie

## POWIETRZNY ZAMEK

Przez dwa dni nikt się mną nie zainteresował.

Nieszczególnie mnie to martwiło. W moim moskiewskim mieszkaniu na takie sytuacje był hamlet.

Trzeciego dnia zadzwonił mój były mentor Loki i poprosił, żebym przyjechał na daczę do Baala Pietrowicza. Drgnęło we mnie radosne przeczucie – do Baala Pietrowicza młode wampiry najczęściej jeździły na Czerwoną Ceremonię. Ale Loki natychmiast ściągnął mnie z niebios na ziemię.

– Bablosu nie będzie, nie śliń się – powiedział. – To ma być instruktaż w sprawie delegacji. Ubierz się przyzwoicie.

Nie bardzo rozumiałem, po co mam się stroić na instruktaż, ale na wszelki wypadek włożyłem swój najlepszy garnitur i starannie się uczesałem.

Kiedy wsiadłem do auta, Grigorij, obejrzawszy mnie sobie w lusterku, trzy razy symbolicznie splunął przez ramię i się przeżegnał. Widocznie wyglądałem godnie.

– Dokąd jedziemy, cesarze? – zapytał.

– Na daczę do Baala.

– A gdzie to jest?

– Sosnowka trzydzieści osiem – odparłem. – Masz to w komputerze. I dzisiaj żadnych rozmówek, mam zły nastrój.

Powlekliśmy się w stronę wyjazdu z Moskwy i niebawem usnąłem – a obudziłem się, kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę w usianym kamerami ogrodzeniu wokół daczy Baala Pietrowicza. Na parkingu przed budynkiem z kolumnami (nie była to wariacja na temat Biblioteki Lenina, jak początkowo sądziłem, ale pomniejszona rekonstrukcja pałacu w Knossos, siedziby



Minotaura) stało kilka ciemnych limuzyn. Wszystkie szychy były w komplecie. Poczujęm nieprzyjemny chłodek w żołądku. Czego oni znów ode mnie chcą?

– Połamania nóg, cesarze – powiedział Grigorij.

– Nie dziękuję – odparłem.

– Jeśli pan nie wróci, po dwóch dniach odstawię samochód do garażu. Wtedy niech pan dzwoni na komórkę.

Kierowcy i szczury pierwsi wyczuwają nadchodzący cios losu, wie o tym każdy funkcjonariusz – i wampiry nie stanowią tu wyjątku. Słowa Grigorija wzmogły jeszcze mój niepokój i pomyślałem, który to już raz, że powinienem go zwolnić. Po prostu z przyczyn ekologicznych.

Baal Pietrowicz czekał przy drzwiach. Był nieprzyzwoicie rumiany i przypominał kulę drogiej szynki, owiniętej w czarny smoking i przyozdobionej chwackimi wąsami.

– Rama – powiedział – chodź szybciej. Wszyscy

już czekają.

Wziął mnie pod rękę i pociągnął za sobą.

Sala, w której odbywały się Czerwone Ceremonie, była zaciemniona – tak mrocznej nigdy jej nie widziałem. Wewnątrz paliły się świece, zbyt nieliczne, by oświetlić tak dużą przestrzeń. Ogromne złote słońce na suficie, w którym odbijały się ich płomyki, wyglądało jak blady księżyc. Fotele, w których zażywano bablos, były nakryte pokrowcami.

Na środku sali stali Enlil Maratowicz, Loki i Baldur. Rozpoznałem ich raczej po sylwetkach niż po twarzach. Obok wznosił się jakiś wąski niesymetryczny stół.

– Tylko się nie przestrasz – szepnął Baal Pietrowicz.

Oczywiście po takich słowach zaczynasz szukać, czego by się tu przestraszyć – i szybko znalazłem.

Nie było to trudne.

To, co wziąłem za wąski stół, okazało się

w rzeczywistości trumną. I od razu stało się jasne, dla kogo jest przeznaczona. Przypomniał mi się gangsterski film, w którym członka mafii, spodziewającego się rytualnego awansowania w hierarchii, wprowadzają do pokoju zebrania, by posłać mu kulkę w tył głowy – i na sekundę przed wystrzałem to do niego dociera...

Instynktownie szarpnąłem się w bok, ale Baal Pietrowicz mocno ścisnął mnie za łokieć. Natychmiast się opamiętałem. Były to oczywiście zbyt ludzkie obawy i zawstydziłem się ich. Nikt spośród wampirów nie strzelił mi w kark, dopóki w moim mózgu żyje magiczny robak.

– Rama – przemówił uroczyście Enlil Maratowicz – ze wzruszeniem i dumą śledzę twoje wznoszenie się po stopniach naszej hierarchii. Dziś jest dla ciebie i dla nas wszystkich, twoich starszych przyjaciół, szczególny dzień.

– Co tu robi ta trumna? – spytałem.

Strasznie nie podobał mi się dźwięk własnego głosu – najpierw ochrypliwy, a potem piskliwy.

Widać byłem jeszcze zbyt wystraszony.

Starsze wampiry roześmiały się.

– Dostępujesz wtajemniczenia w undead – powiedział Enlil Maratowicz.

– Co to jest? – zapytałem tym samym wstrętnym głosem.

– Undead to najwyższa kasta pośród wampirów. To ci, którzy potrafią z własnej woli wchodzić w limbo.

Odchrząknąłem i głos mi się trochę poprawił.

– A co to jest limbo?

– Dowiesz się tego po wtajemniczeniu.

– A na czym ono polega?

– Przekroczysz wrota limbo.

– Co to znaczy?

– Wyruszysz do miejsca świętego dla wszystkich wampirów – powiedział Enlil Maratowicz. – Do zamku wielkiego Draculi. Wrota przekroczysz właśnie w drodze do zamku. Wtajemniczeniem jest sama podróż. Jeśli

przyjdiesz do siebie w zamku, będzie to znaczyć, że je przekroczyłeś.

Zwróciłem uwagę na owo „jeśli”.

– Po przybyciu do zamku – ciągnął Enlil Maratowicz – będziesz już undead.

– A co się stanie w zamku?

– Otrzymasz wszystkie potrzebne wyjaśnienia. I nauczysz się wielkiego starożytnego kunsztu. To samo przydarzyło się kiedyś mnie i głęboko odmieniło moje życie. Powrócisz tu inny. Staniesz się jednym z potężnych filarów, na których opiera się nasz empire...

Zapewne metaforę tę podsunęła Enlilowi Maratowiczowi żółta kolumnada otaczająca dom Baala Pietrowicza. Tylko że, o ile mogłem sądzić, te kwadratowe kolumny pełniły funkcję czysto dekoracyjną – i niczego nie wspierały.

– Miejsce, do którego się udajesz, to nie zwykły materialny zamek, dostępny dla każdego. To próg limbo. Teraz tak czy owak nie zrozumiesz natury tego, co nastąpi. Ale musisz wiedzieć, że to

miejsce to jedna z naszych świętości. Nasza mekka, jeśli wolisz. Wedle obyczaju udajemy się tam w specjalnej trumnie.

– Naprawdę chce pan, żebym się w niej położył? – Skrzywiłem się. – Mówi pan serio?

– Absolutnie – odrzekł Enlil Maratowicz. – To bardzo stary obyczaj, Rama. Cecha wampirycznej tożsamości, równie ważna jak czarny kolor.

– Czym będę oddychać?

– Tam jest wentylacja. Ale nie jest szczególnie potrzebna. Przez całą podróż będziesz w transie. Damy ci specjalną miksturę, sporządzoną z mieszaniny bablosu z ziołami nasennymi i czerwoną cieczą nurków, którzy przeszli to wtajemniczenie. Robi się ją do takich podróży już od tysięcy lat. Loki wszystko przygotował.

Loki pokazał mi małą czarną buteleczkę – i jej widok jakoś mnie uspokoił. A może zaważyło tu słowo „bablos”, na które wszystkie wampiry reagują jednakowo.

– Kiedy mam jechać?

– Teraz zaraz.

I znów poczułem skurcz strachu.

– Ale nikt mnie nie uprzedził!

– Nikogo się nie uprzedza – powiedział Enlil Maratowicz. – Wszystko musi być nagłe jak śmierć. Na tym polega uroda życia.

– Ja nawet nie spakowałem rzeczy!

– Nie będą ci potrzebne. W zamku Draculi otrzymasz wszystko, co niezbędne. A nawet więcej.

– Czy to na długo?

Enlil Maratowicz przecząco pokręcił głową.

– Kurs szkolenia jest krótki – powiedział. – Zaledwie kilka wykładów.

– A czy nie mógłbym polecieć samolotem? – spytałem. – Pan na przykład, Enlilu Maratowiczu, lata własnym dassaultem. A ja mam lecieć w trumnie, tak?

– Rama, rozczarowujesz mnie – nachmurzył się Enlil Maratowicz. – Czeka cię wydarzenie

najbardziej doniosłe w życiu wampira, a ty rzniesz głupa...

Przeżyłem już kilka „najbardziej doniosłych wydarzeń” w życiu wampira – i nie bez trudu zachowałem to życie, toteż słowa Enlila Maratowicza nie wzbudziły we mnie szczególnego entuzjazmu. Ale zawstydziłem się swojego tchórzostwa.

– Czy ty przynajmniej wiesz, dokąd jedziesz? – ciągnął Enlil Maratowicz. – Do prawdziwego powietrznego zamku!

– Powietrzny zamek? Jak to?

– Tak to. Inne wampiry przez całe życie marzą, żeby się tam dostać. – I nie mogą. A ty... Wampir powinien być romantykiem!

Przytaknąłem posępnie.

– Nastaw się poważnie. Zyskasz nowych przyjaciół z innych krajów. Musisz godnie reprezentować rosyjskie wampiry – i pokazać wszystkim, że nasz dyskurs jest niezwyciężony! Patrzy na ciebie Wielka Mysz!



– A kiedy wrócę?

– Jak tylko wszystko się skończy – odparł Enlil Maratowicz. – Wstaniesz z tej samej trumny. W tej samej komnacie. Ale ty sam będziesz już inny.

– No dobrze – powiedziałem. – Co mam robić?

– Położyć się w trumnie. Pomożemy ci...

– Nie wątpię – mruknąłem.

Baal Pietrowicz opuścił się na czworaki przy wąskim postumencie, na którym stała trumna, a Loki wyjął z kieszonki na piersiach czarną chustkę i rozpostarł mu ją na grzbiecie. Zrobili to tak składnie, jakby codziennie ćwiczyli ten numer. Widocznie to także była jakaś tradycja, ważna dla wampirycznej tożsamości.

Domyśliłem się, że mam stanąć na chustce – ale złośliwie postawiłem stopę na plecach Baala Pietrowicza poza jej obrębem – wprost na krzyżu. Zachwiał się, ale utrzymał mój ciężar.

W trumnie było przytulnie i ergonomicznie – czuło się, że jest to droga i luksusowa rzecz. Ale oświetlone chwiejnym blaskiem twarze

pochyłonych nade mną wampirów wyglądały strasznie. Dręczyło mnie złe przeczucie. Próbowałem się uspokoić, powtarzając sobie, że nawiedza mnie ono prawie codziennie, odkąd zostałem wampirem. Nie pomagało to jednak, ponieważ pamiętałem, że za każdym razem tak czy inaczej się sprawdzało.

– Pij – powiedział Enlil Maratowicz.

Loki zbliżył mi do ust czarny flakon.

– To jak u towarzysza Stalina – wyseplenił nieszczerym głosem. – Nad łóżem śmierci wisiał taki obraz, na którym karmiono koźlątko mlekiem z butelki...

Nie zdążyłem wypić wszystkiego – Loki oderwał flakon od moich warg, kiedy została w nim jeszcze prawie połowa płynu, i olśnił mnie domysł (który w ułamku sekundy przerodził się w pewność), że chce ukryć część bablosu, który potem oczyści z domieszek, i że jego gadanie o towarzyszu Stalinie to po prostu próba odwrócenia mojej uwagi.

Nasze oczy się spotkały i zrozumiałem ostatecznie, że mam rację. Już otwierałem usta, żeby się poskarżyć, ale Loki jeszcze mówił, przy czym słowa, padające z jego ust, stawały się coraz dłuższe, tak że wręcz nie sposób się było doczekać końca zdania:

– Towarzysz Stalin ciągle wskazywał palcem to koźlątko, kiedy podawano mu truciznę przez smoczek... Cha, cha, cha!

Mikstura już zaczynała działać – potrójne „cha” zabrzmiało w moich uszach jak łoskot gromu. Wampiry, żółto-czarne w drżącym blasku świec, zastygły i stały się podobne do własnych grobowych pomników.

– *Bon voyage!* – zagrzemiał głos Enlila Maratowicza i coś się zamknęło – może moje oczy, może wieko trumny, a może wszystko razem. Zrobiło się ciemno i cicho.

I tak było dobrze.

I nie trzeba było niczego zmieniać.

Nigdy.

Coś jednak zakłócało mój mroczny błogostan – i szybko się zorientowałem, co mianowicie. To było oddychanie.

A raczej problemy z oddychaniem.

Pod koniec każdego oddechu brakowało mi powietrza. Najpierw całkiem niewiele, ale stopniowo stawało się to coraz bardziej zauważalne, jakbym miał nos i usta zakryte plastikową torebką i jakbym wdychał i wydychał tę samą porcję gazu, w którym za każdym razem było coraz mniej tlenu. W końcu stało się to nie do zniesienia – i zastukałem w wieko trumny, żeby Enlil i Loki otworzyli ją i sprawdzili wentylację.

Ale stukanie się nie rozległo. I nagle z przerażeniem pomyślałem, że mogli już wyjść z sali, pozostawiając mnie samego w uszkodzonym albo po prostu nie uruchomionym należycie transportowym kontenerze. Do diabła z tym całym tradycjonalizmem. Spróbowałem wywołać jakikolwiek hałas, ale było to niemożliwe – wszystko w trumnie było miękkie i sprężyste.

Chyba krzyknąłem, ale bez przekonania, że na zewnątrz mnie usłyszą.

Zrozumiałem, że jeszcze kilka jałowych wdechów i ostatecznie się uduszę. Zacząłem gorączkowo macać rękami wokół siebie, szukając jakiejś szczeliny. Ale ścianki trumny były ściśle połączone i nie wyczułem między nimi żadnego występu.

Pomyślałem, że pewnie postanowili mnie zlikwidować na rozkaz Wielkiej Myszy, i nic się nie da na to poradzić. Zapragnąłem powitać śmierć z rękami złożonymi na piersi. Podniosłem je, na ile pozwalała na to ciasna przestrzeń pod wiekiem, i nagle wyczułem nad swoim splotem słonecznym krążek metalu – malutki cylindryczny występ wielkości korka od butelki. Na brzegach miał szorstkie nacięcia, jak na gałce angielskiego zatrzasku. Spróbowałem go przekręcić – i udało mi się. Rozległ się cichy szcęk i syk powietrza – napływającego, albo, przeciwnie, wypływającego z trumny. Dopiero teraz zauważyłem, że cały czas coś krzyczę. Umilkłem zawstydzony.

Ogarnął mnie nieoczekiwany spokój – wręcz odprężenie. Zrozumiałem, że omal nie padłem ofiarą paniki. Chociaż, gdyby żegnający mnie panowie powiedzieli mi o tym pokrętle, zamiast dzielić się informacjami o ostatnich chwilach tak im drogiego generalissimusa, mogłem tej paniki uniknąć.

Odchyliłem wieko i usiadłem w trumnie. Było zupełnie ciemno – moi oszczędni przewodnicy pogasili wszystkie świece. Widocznie wyszli z sali, gdy tylko zatrasnęło się za mną wieko – bez zbędnych sentymentów. Na szczęście w kieszeni marynarki miałem zapalniczkę.

Uniosłem ją wyżej, pstryknąłem przyciskiem – i natychmiast poczułem kolejny przypływ strachu, nawet silniejszy.

Znajdowałem się w innej sali.

Trumna stała w niskiej krypcie ze sklepionym sufitem. Że jest to krypta, było jasne od pierwszego rzutu oka – dokoła stały inne trumny.

Bez względu na to, jak okropnie się czułem trzy

minuty wcześniej, zapragnąłem natychmiast schronić się w trumnie – i jestem pewien, że tak bym zrobił, gdyby działała tam wentylacja. Ale dopiero co przeżyty strach przed uduszeniem okazał się silniejszy.

Brak tlenu ciągle jeszcze dawał o sobie znać: przed oczami falowały mi żółte kręgi. Pomyślałem z goryczą, że prawdopodobnie nikt nie zamierzał mnie zabijać – po prostu Loki postanowił rosyjskim zwyczajem ukraść trochę bablosu i nie przewidział konsekwencji... Albo przeciwnie, wszystko przewidział i uznał, że parę minut mojej agonii w zamkniętej trumnie to całkiem znośna cena za kilka sekund osobistego szczęścia. Mentalność męża stanu... Można to nawet uznać za ostatnią lekcję daną uczniowi przez mentora. Zresztą, jak uczył mnie tenże Loki, wampir powinien dławić resentyment w zarodku, a moje uczucia w tej chwili podpadały pod tę właśnie kategorię.

Zaczekałem, aż zapalniczka ostygnie, i znów ją zapaliłem. W tym momencie byłem już na tyle

spokojny, że mogłem się uważnie rozejrzeć.

Poza moją w krypcie były jeszcze cztery trumny. Każda stała na osobnym postumencie mniej więcej półmetrowej wysokości. Trzy trumny były jednakowe – owalne, z jasnymi literami L, V.. Tak, nie myliłem się. Louis Vuitton. Trumny były tak eleganckie, że przypominały kosztowne torby tenisowe. Czwarta była w barwach maskujących, topornego kanciastego kształtu – i dwa razy szersza od mojej. *Military style*. Wyglądała najbardziej stylowo. Ta była ostatnia. Moja stała obok – między nią a sportowym trio.

Zapalniczka oparzyła mi palce i znów pogрузyłem się w ciemnościach.

Wreszcie dotarło do mnie, że nie jestem w kostnicy i w ogóle nie jestem w Moskwie. Raczej przybyłem już do miejsca przeznaczenia i widzę dokoła cudze środki transportu. Po prostu przyszedłem do siebie, że tak powiem, w trybie awaryjnym – wcześniej niż pozostali. A więc wtajemniczenie, o którym mówił Enlil



Maratowicz, już się odbyło... Cóż, dobre i to. Ale dlaczego przebudziłem się tylko ja? Może wszyscy pozostali przeżywają teraz to samo?

Jakby w odpowiedzi na swoje myśli nagle usłyszałem cichutkie skrobanie. Dobiegało z tej strony, gdzie stała trumna w barwach maskujących. Natychmiast wyobraziłem sobie okrwawione paznokcie, drapiące od wewnątrz wieko. Znów pstryknąłem zapalniczką, wylazłem ze swego modułu transportowego i przykucnąłem przy wojskowej trumnie. Nie dostrzegłem na niej żadnych uchwytów ani guzików. Delikatnie popukałem w wieko.

W odpowiedzi ze środka natychmiast dobiegło stukanie – szybkie i, jak mi się wydało, nerwowe. Obmacałem pokrywę. Z boku wyczułem niewielki występ, za którym można było zaczepić palce.

– Sekundeczkę! – powiedziałem i z całej siły pociągnąłem wieko do góry.

Trumna przesunęła się i już się zląkłem, że ją przewrócę – ale w tym momencie wieko ustąpiło

i jak oszklenie kabiny samolotu miękko odchyliło się w bok na zawiasach.

Trumna rzeczywiście była dwuosobowa – ale znajdował się w niej tylko jeden pasażer, którego zdążyłem dostrzec na chwilę przedtem, nim zapalniczka zgasła mi od podmuchu powietrza. Była to ostrzyżona na zero dziewczyna w T-shircie i szortach. Na miejscu drugiego pilota leżała zwinięta mata do jogi i niewielki plecak.

Właśnie zamierzałem ponownie zapalić zapalniczkę, kiedy twarde i silne palce ścisnęły mnie za gardło.

– Zakłóciłeś mój sen – powiedział cichy głos. – To był błąd, za który teraz zapłacisz. Wysę z ciebie czerwoną ciecz do dna!

Zaskoczony upuściłem zapalniczkę. W następnej chwili poczułem oddech na policzku – i na sekundę uwierzyłem, że dziewczyna rzeczywiście przegryzie mi gardło. Ale ona się roześmiała – takim szczęśliwym śmiechem – i mój strach natychmiast się rozwiął. A potem cmoknęła mnie

w policzek.

Drgnąłem pod dotykiem jej warg jak porażony prądem. To sprawiło, że roześmiała się jeszcze głośniej. Rozluźniła palce i powiedziała:

- Zapal światło.
- Ale gdzie?
- Pewnie na ścianie.
- Zaraz...

Schyliłem się i zacząłem macać rękami kamienne płyty podłogi. Zapalniczki nigdzie nie było.

- Zaczekaj – powiedziała. – Sama to zrobię.

Nie upłynęła minuta i pod sklepieniem zapaliła się żarówka.

Znów zobaczyłem dziewczynę w koszulce i szortach. Teraz stała przy ścianie, a na twarzy miała małe okulary noktowizyjne, podobne do dwóch naparstków. Kiedy zapaliło się światło, zdjęła je i schowała do kieszeni.

Rzeczywiście była ostrzyżona niemal na zero –

z króciutką szczecinką koloru piaskowego na opalonej głowie. Widziałem wiele kobiecych fryzur, ale do czegoś tak radykalnego nie byłem przyzwyczajony.

– Cześć, krwiopijco – powiedziała. – Dzięki, że mnie obudziłeś.

– Ja? Obudziłem cię? Już skrobałaś, jak wylazłem – odparłem. – Myślałem, że potrzebujesz pomocy.

– Jęczałeś na całą kryptę. Jakby cię ktoś dusił. Co się stało?

– Dusiałem się.

Podeszła do mojej trumny i zajrzała do środka.

– O kurczę. Droga zabaweczka... Stary, masz zamkniętą kratkę wentylacyjną. Przyjechałeś tu w systemie podwodnym.

– W systemie podwodnym?

– Ten uchwyt przestawia trumnę na system hermetyczny.

– Niezbyt się znam na trumnach – powiedziałem

z arystokratycznym chłodem. – Tak mnie zapakowali.

Przekręciła coś wewnątrz mojej trumny.

– Teraz możesz spać spokojnie. Wentylacja włączona. Nazywasz się Rama, tak?

– Ukąsiłaś mnie?

Dziewczyna ze zdziwieniem uniosła brwi.

– Niby dlaczego? Po prostu pocałowałam cię w policzek. Tak się u nas robi przy zawieraniu znajomości.

– A skąd wiesz, że jestem Rama?

– Widziałam twoją fotkę w programie. Wstawiono cię w ostatniej chwili.

Ja w ogóle nie widziałem żadnego programu.

– Mam na imię Sophie – powiedziała.

Uścisnąłem jej rękę. Sophie. Dlaczego „Sophie”? Czy to też boskie imię?

– To od „Sofia – mądrość demiurga”. Jedna z hipostaz czegoś tam...

– Czytasz w myślach, Sophie?

– Nie. Po prostu dużo obcuje z wampirami. Ich pierwszą myślą jest zawsze: ukąsiła czy nie? Drugą – „dlaczego Sophie?”.

Rozejrzała się po krypcie.

– Wybacz mi tę egzaltację. Po prostu jestem strasznie szczęśliwa. Tak się cieszę, że tu jestem. Marzyłam o tym przez ostatnie pięć lat...

Pomyślałem, że teraz już ostatecznie przegapiłem moment, kiedy mogłem niewinnie pocałować ją w odpowiedzi.

Sophie podeszła do trzech zamkniętych trumien i obejrzała je uważnie.

– Wszystko jasne – oznajmiła. – To Francuzi. Ich też widziałam w programie. O tym tam nie napisali, ale jestem pewna, że to teletubisie. Na sto procent.

– Teletubisie? – powtórzyłem. – Coś jak „żabojady”?

Skrzywiła się, jakbym strzelił jakąś gafę.

– Nie. To nie ma nic wspólnego z narodowością. Są mediami demonstratorami. To

nowy zawód, od jakichś pięćdziesięciu lat. Niezupełnie to samo, co nurkowie, ale szkolą się razem z nami.

– Skąd wiesz, że to teletubisie?

– Bo jest ich trzech i są razem. Zawsze jest ich trzech. Najczęściej biorą braci. W miarę możliwości jednojajowe trojaczki. Zdaje się, że teraz specjalnie się ich reprodukuje za pośrednictwem surogatek.

– A co oni robią?

– Pokazują innym, co my widzimy w limbo.

– W jakim limbo?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– A są różne?

– Nie wiem – powiedziałem. – Po prostu wysłano mnie tu zupełnie nieoczekiwanie. W ogóle nie jestem na bieżąco. Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Tutaj ci wszystko wyjaśnią.

– A ile osób jest w programie?

– Było szesnastu kandydatów. Wybrano pięciu.

Miałem ochotę zapytać, gdzie wobec tego podziało się pozostałych jedenastu, ale się zląkłem, że znowu się zdradzę ze swoim nieuctwem. Nie chciałem, żeby wzięła mnie za kompletnego durnia, toteż postanowiłem dalej nie drążyć.

– Obudzimy teletubisiów? – spytałem, wskazując na trumny.

– A po co? To by było niegrzeczne. Nie prosili cię o to.

Popatrzyła na zegarek.

– Jedenasta trzydzieści p.m. Pobudka jutro rano. O jakiejś dziewiątej. Nie chciałbyś się przejść po zamku? Teraz nikogo tu nie ma.

– A wolno? – spytałem.

– Nie wolno – odrzekła. – Ale skoro już mnie obudziłeś... Idziesz?

Kiwnąłem potwierdzająco głową.

Podeszła do drzwi i ostrożnie pociągnęła je ku sobie. Otwarły się ze skrzypieniem. Za nimi była ciemność.



– Teraz to praktycznie muzeum – powiedziała Sophie. – A kiedyś on naprawdę żył...

– Jaki „on”?

– Dracula...

Ruszyła w ciemność, a ja podążyłem za nią.

Znaleźliśmy się na kamiennych schodach – każdy stopień trzeba było odnajdować po omacku. Ciemność była bardzo romantyczna. Wyobrażałem sobie, jak coś nas przestrasza i ona przytula się do mnie z lękiem... Albo ja do niej. Ale w tym momencie zapaliła latarkę.

Na końcu schodów były jeszcze jedne drzwi. Sophie otworzyła je i zobaczyłem długi korytarz pod wysokim sklepionym stropem. W korytarzu było jasno.

Szare światło dzienne padało z okien, za którymi wszakże nie było żadnego widoku, nawet najuboższego. Był tam tylko kamienny worek – otynkowana na szaro ściana mniej więcej metr od szyby. Tak wygląda świat z półsutereny. Dziwne słowo: „półsuterena”. Coś jak „półsutener”...

Korytarz istotnie przypominał galerię muzealną – na ścianach wisiały wszędzie obrazy i różne przedmioty.

– Jeszcze widno – powiedziałem, wskazując na okno. – Jesteś pewna, że już wpół do dwunastej?

– To fałszywe światło – odparła. – Cały zamek znajduje się pod ziemią. Nie ma ścian, Rama. Tylko same korytarze... Takie okna są na każdym piętrze. I witraże. Tu jest dużo witraży.

– Skąd to wiesz?

– Popatrz – powiedziała, wskazując na najbliższy obraz.

Malowidło przedstawiało stojący na wzniesieniu zamek z mnóstwem wież i wieżyczek z białego kamienia pod dachami ze szkarłatnej dachówki. Była to stara feudalna twierdza, a właściwie wielki *manor house* z nadmiarem architektonicznych ozdóbek. Najciekawiej wyglądały okna – na dolnych piętrach były zasłonięte czymś w rodzaju nakładanych kamiennych kieszeni, w których pozostawiono na

górze tylko wąską szczelinę wpuszczającą światło. Właśnie je widziałem w ścianie przed sobą. Na górnych piętrach okna były zwyczajne, tylko zamiast szyb miały witraże.

Nad basztami zamku rozwiewały się flagi – długie i wąskie jak języki żmij. Na jednej ze ścian parteru, niedaleko wejścia, narysowany był czarny krzyżyk z napisem „*you are here*”. Słowem, był to całkiem zwyczajny zamek, gdyby nie jeden szczegół.

Od murów budynku odchodziły w różne strony wąskie odgałęzienia, zakończone podobnymi do budek dla szpaków domkami o witrażowych oknach. Domki wisiały w pustce. Wyglądały ażurowo – a zarazem absurdalnie: było jasne, że taka długa gałązka nie utrzyma masywnego sześcianu na końcu. Przez to zamek przypominał surrealistyczne drzewo o krótkim grubym pniu.

– Jesteśmy na parterze – powiedziała Sophie. – Znaczący, na najgłębszym poziomie. Cały ten zamek jest pod ziemią. A te odgałęzienia to po prostu

podziemne korytarze. Pięknie, co?

– Mogliby go zbudować nad ziemią.

– Wtedy zamek nie byłby tajny – odrzekła. – Czy można ukryć cały zamek? Teraz czegoś takiego nie ukryłbyś nawet w Amazonii. Każdy centymetr jest na Google Maps...

– A gdzie on się znajduje?

– O tym się nie mówi. Ja sama też dokładnie nie wiem. Ta tajemnica jest bardzo ściśle strzeżona.

Postanowiłem nie okazywać zbytniej ciekawości.

– Ale wobec tego to są po prostu podziemia – powiedziałem. – A mnie mówiono, że to powietrzny zamek...

– Dobrze ci mówiono – odparła Sophie. – To podziemny pęcherz powietrza, przy czym właśnie w takim kształcie, jaki widzisz na tym obrazie. Najprawdziwszy powietrzny zamek w dosłownym znaczeniu. Jeśli się zastanowisz przez trzy minuty, zrozumiesz, że żadne inne powietrzne zamki nie istnieją...

Przeszliśmy galerią jeszcze kilka kroków.

– A oto i on – powiedziała z czcią Sophie.

Zobaczyłem na ścianie reprodukcję starej fotografii albo dagerotypu w oszklonych ramach. Był to portret dżentelmena w długim czarnym surducie, siedzącego przy stoliku z przyborami do herbaty. Na podłodze obok stolika leżał jego cylinder. Dżentelmen przypominał francuskiego pisarza Stendhala – miał taką samą czarną piracką brodę.

– Nie tak go sobie wyobrażałem.

– Jego prawdziwego wizerunku się nie rozpowszechnia – powiedziała Sophie. – Nawet zamieniono go z rdzennego mieszkańca Londynu w Transylwańczyka.

– Dlaczego? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Polityka. Londyn nie powinien symbolizować wampiryzmu w świadomości mas. To zbyt sugestywne. City by się sprzeciwiło.

– Ale imię ma jakby nie angielskie.

– Dracula to pseudonim. Jego wampiryczne imię brzmiało Dionysus. Po rosyjsku Dionisus.

– Dionis – poprawiłem.

– Tak. Przyjaciele wampiry nazywali go Dionysus the Oracular<sup>[5]</sup>. Chaldeje uczynili z tego żartobliwego przydomku transylwańskie nazwisko. A sam mit przenieśli do, by tak rzec, miękkiego podbrzusza Europy...

– Skąd ty to wszystko wiesz? – spytałem.

– Interesuję się Draculą już od wielu lat. Tutaj to znów on. Popatrz...

Wskazała na ścianę.

Ujrzałem olejny portret tego samego dżentelmena – tylko w innym ujęciu. Dracula był we współczesnym garniturze – no, albo prawie współczesnym, takie noszono pewnie w połowie ubiegłego wieku. Chyba właśnie przez ten garnitur wydało mi się, że tutaj nie jest podobny do Stendhala, ale do Seana Connery’ego, ucharakteryzowanego na postarzałego Stendhala. Dagerotyp od portretu olejnego dzieliło co

najmniej sto lat – ale Dracula był prawie niezmienny, tylko w jego brodzie pojawiło się kilka srebrnych nitok.

Dalej na ścianie wisiało kilka arkuszy ze szkicami ołówkiem – albo węglem – osłoniętych dużą przezroczystą szybą. Rysunki wyglądały na bardzo stare. Papier był mocno pożółkły: na niektórych arkuszach widniały plamy i okrągłe ślady od kubków albo szklanek. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że są to szkice jakiegoś Leonarda. Zaskoczyłoby mnie tylko, że Leonardo rysował takie dziwne rzeczy.

Wszystkie rysunki przedstawiały jedno i to samo – półnagię starożytnego wampira w wysokiej tiarze, jakie można zobaczyć u indyjskich bożków. Odgadłem, że to wampir, wisiał bowiem głową w dół, zaczepiony o poprzeczkę. Niezwykle wymyślne były jednak jego pozy – wyglądały jak asany indyjskich ascetów. Co więcej, na poprzeczce zahaczona była tylko jedna noga starożytnego wampira – drugą miał albo w pozycji lotosu, albo wygiętą

w zupełnie nieprawdopodobny sposób. Na jednym z rysunków pod wiszącą postacią wypisano ledwie widoczne słowo „Marro”.

– Co za kołpak ma on na głowie? – zapytałem. – Jest przyklejony?

– Fryzura – powiedziała Sophie.

– Co „fryzura”? – nie zrozumiałem.

– Na głowie Mary. Dlatego nie spada. Wtedy robiono takie fryzury – nawijano włosy na pionowe szpilki. Wyglądało to jak świątynia z własnych włosów. Wewnątrz umieszczano malutki ołtarz z płatków kwiatów. A potem urządzano specjalną ganapudzę i wzywano do tej świątyni jakiegoś boga...

– Wtedy, czyli kiedy? – spytałem.

– W Indiach. Dwa i pół tysiąca lat temu.

Jej wiedza była imponująca. Może i ja bym tyle wiedział, gdybym, tak jak ona, latami marzył, żeby się znaleźć w tym miejscu. Ale tydzień temu nawet nie wiedziałem, że ono istnieje. A ona wiedziała...

Następny obraz znałem. Przedstawiał pogrzeb



rycerza, którego odprowadzało na miejsce spoczynku wielu smutnych panów z modnymi bródkami nad kolistymi koronkowymi kołnierzami. Chowano też Draculę – tylko teraz był w zbroi z długą przestrzeliną na piersiach, nad którą unosił się ogromny niebieski komar, wyobrażający, jak należało przypuszczać, duszę. Zauważywszy tego komara, przypomniałem sobie, gdzie widziałem go wcześniej.

– W hamlecie naszego szefa jest taki fresk – powiedziałem. – Tylko na całą ścianę. Dokoła.

– To jest z Okrągłej Komnaty – odrzekła Sophie.

– A co to za niebieski komar? Dusza?

Sophie się roześmiała.

– Ale zajarzyłeś, Rama! Dusza? U Draculi?

– No więc co to jest?

– To, co zamiast.

Postanowiłem nie dociekać, co wampir ma zamiast duszy – mogła uznać to pytanie za głupie. Zwłaszcza że odpowiedzią na nie okazałby się najprawdopodobniej jakiś dyskursizm.

Interesowało mnie co innego: jak Dracula zdołał umrzeć w średniowiecznej Hiszpanii, dożywszy przedtem do połowy ubiegłego wieku. Już miałem to pytanie na końcu języka – kiedy zobaczyłem następny obraz.

Ten znów przedstawiał pogrzeb Draculi.

Tylko tym razem Dracula był meksykańskim kowbojem. Spoczywał w otwartej trumnie, a na jego piersi leżało czarne sombrero, usiane na obwodzie maleńkimi ołowianymi czaszkami. Żałobnicy byli także na tym obrazie – Indianie w barwach wojennych nieśli na aksamitnych poduszkach rewolwery i jakieś ogromne ordery, migoczące mnóstwem brylantów.

Jeden szczególnie dostojny Indianin kroczył przed trumną – i niósł malutkiego rumianego bobasa. Nad piersią martwego Draculi nie było komara. Unosił się za to nad niemowlęciem. Dokładnie taki sam jak na poprzednim obrazie, tylko czerwony.

– Znowu z Okrągłej Komnaty – powiedziała

Sophie.

Jej erudycja zaczynała mnie przytłaczać.

– Co to za Okrągła Komnata? – zapytałem.

– Dawniej mieściła się w najwyższej wieży zamku. Tam Dracula miał swój gabinet. A potem nastąpił collaps.

– Collaps?

– No tak. Przecież powietrzne zamki nie rozsypują się w ruinę. Następuje collaps. Niekiedy obejmujący część. A czasem od razu całość.

– Te freski tu były? – spytałem.

– Nie – powiedziała Sophie. – Czasem były wyświetlane na ścianach. Dwa czy trzy zachowały się na fotografiach. Po prostu odtworzono je farbami...

Przypomniał mi się dom Enlila Maratowicza. Różnił się od zamku Draculi głębokością i kształtem – ale w zasadzie była to taka sama podziemna pustka. Tylko nasze wampiry nazywały tę siedzibę wielką ziemianką. Widocznie ziemianka była rodzimym wariantem powietrznego

zamku.

Obraz z meksykańskim pogrzebem był ostatni – dalej galeria kończyła się zamkniętymi drzwiami. Sophie kilka razy nacisnęła klamkę, ale drzwi się nie otworzyły.

– Wracajmy – powiedziała. – Dopóki nas nie przyłapali.

– A co by wtedy było? – spytałem.

– Nic dobrego. Po zamku Draculi zabraniają tak sobie spacerować. Boją się, że może się dalej rozprysnąć. Jak Okrągła Komnata.

Na pożegnanie jeszcze raz obejrzałem obraz z Indianami i czerwonym komarem.

– Jak to wyświetlano na ścianach?

Sophie nie odpowiedziała i doszedłem do wniosku, że ma już dość moich pytań.

Ale kiedy wróciliśmy do krypty, powiedziała:

– Co do Okrągłej Komnaty. Naprawdę cię to interesuje?

Przytaknąłem.

– Mam trochę informacji...

Odchyliwszy wieko swojej trumny, wyrzuciła z niej na podłogę plecak i dywanik do jogi, położyła się w środku i kiwnęła na mnie palcem, całkiem jakby zapraszała, żebym wsiadł do auta. Pomyślałem, że znajdziemy się bardzo blisko siebie. To znaczy zupełnie blisko...

Podszedłem do jej trumny i trochę niezdarnie położyłem się obok. Miejsca było dosyć. Sophie uśmiechnęła się i opuściła wieko. Zamknęło się bezgłośnie, jak drzwiczki drogiego samochodu.

Czułem ciepło jej ciała. Słyszałem jej oddech. Mógłbym tak leżeć w tej żywej ciemności przez całą wieczność. Ale tak się nie zdarza. Już to wiedziałem.

– Masz informację w preparacie? – zapytałem.

– Po prostu w pliku.

– Gdzie?

– A tutaj.

Na wprost mojej twarzy zaświecił się monitor. Był to mapnik, wbudowany w wieko trumny.

Ukazał się na nim dziwny symbol – czerwone serce z podobną do przestrzeliny czarną gwiazdą.

Odwróciwszy głowę, zobaczyłem twarz Sophie.

– Jesteśmy teraz bliskimi istotami – zagadnąłem.

Nic nie odpowiedziała. Uniosła rękę do ekranu i postukała w niego palcem. Patrzyłem na jej nachmurzoną twarz, oświetloną błękitnym blaskiem.

– Czytaj.

Przeniosłem wzrok na ekran. Widniał tam tekst:

„W tym samym miejscu miał okrągłą komnatę, której używał jako miejsca swych tajemnych doświadczeń i poszukiwań. Zgromadził tam wiele rzeczy cudownych i niepojętych dla przypadkowego gościa – ale jego ulubioną zabawką była latarnia czarnoksięska z bardzo jasną lampą. Latarnia miała skomplikowany mechanizm, uruchamiany stalową sprężyną, i Dracula mógł pokazywać na kolistej ścianie ruchome obrazy.

Zapalał latarnię, żeby wypróbować mądrość swoich gości. Wówczas na ścianie pojawiały się jego wizerunki.

Obrazów takich było trzy – Dracula jako Dziecię, Zmarły i Dojrzały Mąż. Tam, gdzie był Dziecięciem, latał nad nim czerwony komar; tam, gdzie był Dojrzałym Mężem, komar był zielony; a tam, gdzie Zmarłym, niebieski.

Niektóre sceny pochodziły z zamierzchłych wieków i ukazywały Draculę odzianego w skóry, w otoczeniu troglodytów. Na innych – z mniej odległych dni – pojawiał się w złotej koronie wśród królów Atlantydy. Był też przedstawiony jako rycerz, zbójca, mnich, morderca i święty, mężczyzna i kobieta – w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, wśród goryczy i szczęścia.

Obrazy zaczynały migać na ścianach coraz szybciej i w jakimś momencie sceny na nich stawały się nieuchwytnie i chwiejne. I wówczas ukazywał się wyraźnie ogromny pulsujący komar, który, zmieniając kolor, oblatywał komnatę dokoła. Animacja była tak doskonała, że niektórzy padali bez zmysłów.

Dracula pytał każdego o sens tego, co zobaczyli.

«To twoje dawne i przyszłe życia, hrabio» – mówili zazwyczaj goście. – «To ty, taki, jakim byłeś kiedyś i jakim okażesz się w przyszłości».

Dracula odpowiadał, że w latarni uwieczniony jest jeden dzień jego życia albo nawet niewielka jego część. Kiedy

goście zapytywali, cóż to za dziwny i cudowny dzień, Dracula mówił, że jest on zupełnie zwykły i takie są wszystkie jego dni.

«Pewnie nie wychodziłeś dzisiaj z krypty, hrabio, i wypiełeś dużo czerwonego» – mówiły niektóre uczone wampiry, używając niezrozumiałej dla ludzi przenośni. Na to Dracula tylko się śmiał i odpowiadał takiemu gościowi: «Nie rozwiązałeś mojej zagadki i chyba nigdy nie rozwiążesz». Z takimi osobami pił wino, żartował – ale nie dopuszczał ich blisko. Czasem jednak ktoś rozwiązywał zagadkę. Wówczas Dracula prowadził go do wewnętrznych komnat – i miał z nim rozmowę o rzeczach wzniosłych i sekretnych”.

Niżej była ilustracja – obraz z pogrzebem Draculi rycerza. Jeszcze niżej znajdował się kwadracik, w którym powinna być wstawka wideo – ale był czarny i pusty.

– Co to za wstawka? – spytałem.

– Tu powinna być rekonstrukcja – odrzekła Sophie. – Jak mógł wyglądać lot tego komara. Jeszcze nie zrobiłam.

– A skąd jest ten tekst?



– Ze *Wspomnień i Rozmyślań*.

Tytuł pamiętałem – specjalne urządzenie w moim hamlecie czytało mi cytaty z tej pracy, kiedy zawisałem głową w dół na zbyt długo.

– Czy to nie książka samego Draculi? – spytałem.

– Nie – powiedziała Sophie. – To książka wspomnień o Draculi. I jest tam jeszcze zbiór jego wypowiedzi. Chociaż nie ustalono na pewno, czy Dracula rzeczywiście wszystko to mówił. Te cytaty to właśnie tak zwane *Rozmyślenia*. A *Wspomnienia* nie zachowały się w całości. W ogóle nigdzie. Ani na papierze, ani w preparatach. Jest tylko kilka fragmentów takich jak ten. Dziwne, prawda?

– Myślisz, że ktoś je specjalnie zniszczył?

Przytaknęła.

– Kto?

– Wampiry. Żeby ukryć prawdę o Draculi.

– Dlaczego?

– Dlatego że tak naprawdę wcale nie był takim zadowolonym z siebie fircykiem i dowcipnisiem, jakim przedstawia go nasza polityczna mitologia.

– A cytaty wymyślono później?

– Część wymyślono, niektórych nie – powiedziała. – Absolutnie pewne jest tylko jedno: ukryto przed nami jego prawdziwe życie i oryginalne myśli.

– Dlaczego?

– Zrobiono z niego głównego ideologa wampiryzmu. Podstawowy filar, by tak rzec. Ale w rzeczywistości... Jak by to łagodnie ująć... Był dysydem. I to bardzo radykalnym.

– Tołstojowcem? – spytałem.

– Tołstojowcem? A kto to taki?

– To są tacy, którzy piją czerwoną ciecz zamiast bablosu – odparłem. – Sprostaczają się.

– Nie. O wiele bardziej radykalnym.

– A co? – spytałem ponuro. – Jadł mózgi?

– Fu! – prychnęła Sophie. – Bo cię zaraz

wyrzucę z mojej trumienki.

– Przepraszam – powiedziałem. – Ja w ogóle nic o nim nie wiem. U nas w Rosji mało się o nim mówi. Tylko się go cytuje. A na czym polegała ta jego... No, niezgoda z linią partii?

– Podobno chciał uwolnić ludzi. I wampiry też. Zaśmiałem się.

– Ludzi nie da się uwolnić. To niemożliwe. W dyskursie wyjaśnia się, dlaczego.

– Niemożliwe – zgodziła się Sophie. – Ale w głębi tej niemożności jest maciupenka możliwość. Jak żyłka złota w odłamku rudy. I Dracula ją znalazł. W każdym razie tak sądzą niektórzy...

– I ty też? – spytałem.

– Ja chcę znaleźć prawdę – powiedziała. – Idąc śladem Draculi. I wierzę, że on ją znalazł.

– No i gdzie chcesz ją znaleźć? Na dnie morza?

– Dlaczego na dnie morza?

– Jesteśmy przecież nurkami. A właśnie, skąd będziemy nurkować? Ze statku czy z pirsu? A może

tu jest specjalny podziemny basen?

Sophie odwróciła się do mnie twarzą.

– No coś ty? – spytała, patrząc na mnie ze zdumieniem.

– A co? – spytałem z kolei ja. – Przecież szkolimy się na nurków?

– Myślisz, że nurkowie nurkują do wody?

– Nikt mi niczego nie wyjaśnił – powiedziałem żałośnie. – Po prostu mnie tu przysłali. Jak na jakieś zesłanie. A gdzie nurkujemy?

Pokręciła głową.

– W śmierć, Rama. Nurkujemy w śmierć.

Wzdrygnąłem się. Jakoś mnie to słowo wystraszyło.

Chociaż oczywiście, kiedy się leży w trumnie, i to jeszcze w jakiejś krypcie, bać się jakichś słów byłoby śmieszne. Zwłaszcza przy takiej miłej dziewczynie... Nawet nie zastanowiłem się nad tym, co znaczy nurkować w śmierć. O wiele bardziej interesowało mnie, czym się zakończy to

wspólne leżenie w trumnie.

Sophie chyba odczytała moje myśli.

– No dobra – powiedziała. – Idź do siebie. Jutro będzie trudny dzień, trzeba odpocząć.

– U ciebie tak przytulnie. Pierwszy raz widzę taką dużą trumnę.

– *Size matters* – uśmiechnęła się. – *Sometimes*<sup>[6]</sup>. Ale naprawdę musisz iść. Wiem co nieco o tutejszych porządkach. W nocy zrobią tak, żebyśmy zasnęli. A potem rozwiozą trumny po pokojach. Byłoby głupio, gdyby twoja trumna okazała się pusta. W końcu nie jesteś Jezusem. Jesteś Ramą.

Zrozumiałem, że nie ma sensu się sprzeczać.

– Dobranoc, Sophie.

Wygramoliłem się z jej trumny i wlałem do swojej.

Zamknąłem wieko i zrobiłem kilka głębokich wdechów. Wentylacja działała. Opadłem na poduszki i powtórzyłem sobie w duchu straszne

słowa: „nurkujemy w śmierć...”.

Co mogły oznaczać?

Z jakiegoś powodu byłem pewien, że nic złego mnie nie spotka. Gdyby miało mnie czekać coś rzeczywiście okropnego, z pewnością podano by to w jakimś mdląco różowym opakowaniu.

Właśnie różowym, tak. Pełnym ukrytej kłującej grozy. „Różowe okulary...”, których oczywiście nie można już zdjąć. Albo, u Anglików, jeszcze straszniej: „*a bed of roses...*”<sup>[7]</sup>.

Moja trumna była miękka, przytulna i w środku było zupełnie cicho. Czuję się bezpieczny od wszystkich ziemskich napaści. Było mi dobrze. Pomyślałem o Sophie, śpiącej o parę metrów ode mnie. Nie wiem, dlaczego przypomniała mi się sprośna rosyjska czastuszka, zaczynająca się od słów „dziewczę w trumnie nóżką grzebie...”. Aż zakaszlałem ze zmieszania. Potem, żeby się czymś zająć, zacząłem liczyć uderzenia własnego serca – i nawet nie zauważyłem, kiedy trumna uniosła mnie w ciepły i szczęśliwy niebyt.



Wydawnictwo Literackie

## THE HARD PROBLEM

Obudziły mnie dźwięki organów.

Najpierw były ciche, ale stopniowo stawały się coraz głośniejsze, aż w końcu zaczęło mi się wydawać, że moja trumna stoi bezpośrednio między huczącymi piszczałkami. Odrzuciłem wieko i muzyka natychmiast umilkła.

Nie znajdowałem się już w krypcie.

Byłem w pokoju przypominającym celę w średniowiecznym klasztorze. Pokój miał wysokie strzeliste okno z witrażem zamiast szyby. Witraż nasuwał na myśl miniaturę ze starego rękopisu i przedstawiał klęczącego młodego człowieka w niebieskiej bluzie. Nad młodzieńcem szybował czarny nietoperz, roztaczający żółtą poświatę. Wszystko ujęto w nieprawdopodobnej



perspektywie, jak przystało na sztukę sakralną.

Przez witraż wpadały do pokoju żółte, niebieskie i czerwone promienie. Zdawało się, że za oknem jest jasny dzień, ale ja już wiedziałem, że to słońce jest podróbką.

Umeblowanie było spartańskie. Przy ścianie pod witrażem stał stół z dużym półmiskiem, przykrytym spiczastą pokrywką, pod jaką w hotelach podaje się posiłki. Obok był komplet naczyń o alchemicznym wyglądzie, przeznaczony ni to do serwowania potraw, ni to do poszukiwań kamienia filozoficznego – albo, pomyślałem melancholijnie, do poszukiwań kamienia filozoficznego w potrawach.

Pod ścianą stała szafa biblioteczna, wypełniona ciemnymi tomami ze złotymi wytłaczanymi literami na grzbietach (chyba były to jakieś stare łacińskie księgi medyczne). Ułożono je tak równo, że szafa wraz z grzbietami wyglądała jak wyrzeźbiona z jednego kawałka drewna (ciekawe, że przez cały czas, jaki tam spędziłem, nie zadałem sobie trudu,

by sprawdzić tę hipotezę).

Moja trumna stała w małej alkwie. Żadnego innego łóżka w pokoju nie było. Widocznie wampir powinien był spać właśnie tam. Wypałem się jednak całkiem nieźle i ta perspektywa nie napawała mnie strachem.

Wylałem z trumny i poszedłem do łazienki.

Znalazłem tam zmianę bielizny i pełny komplet odzieży – czarne skórkowe pantofle w rodzaju gimnastycznych, luźne niebieskie spodnie i bluzę, podobną do tej, w którą odziany był młodzieniec na witrażu. Tylko moja miała na plecach i piersiach duże słowo

## DI<sup>I</sup>VER

W łazience było to, czego mogłem potrzebować – mydło i szampon, szczoteczka do zębów i drobne przedmioty higieny osobistej, zapakowane w pudełko z napisem „Vanity Kit”<sup>[8]</sup>. Wszystko to patyczki do uszu, jako rzecz

Eklezjasta.

Kilka minut poświęciłem na prysznic i inne czynności. Doprowadziwszy się do porządku, przymierzyłem niebieską bluzę. Okazała się w sam raz – chociaż nie przypadł mi do gustu jej staromodny krój. Pomyślałem, że najwyższy czas coś zjeść, i podszedłem do stołu, żeby sprawdzić, co przygotowano na śniadanie pod spiczastą pokrywką. Podniosłem ją i zobaczyłem kwadratowy kartonik z wypisanym ręcznie fioletowym tekstem:

*Breakfast at 10.00*

*Classes at 11.00*

*Follow the arrows.*

Spojrzałem na zegarek. Było już piętnaście po dziesiątej.

W korytarzu na wprost moich drzwi rzeczywiście wisały dwa znaki ze strzałkami i piktogramami.

Na jednym były skrzyżowane widelec i łyżka pod talerzem, ozdobionym symbolicznym uśmiechem. Symbol ten wyglądał niewymownie złowieszczo – jak czaszka z pieszczelami, szydząca nie tylko ze śmierci, ale i z poprawności politycznej.

Drugi piktogram przedstawiał nietoperza w świetlistej aureoli. Widziałem już coś takiego na witrażu – w przeciwnym razie pomyślałbym, że to szachid w chwili eksplozji. Pod piktogramami – strzałki, wskazujące w prawo. Nawiasem mówiąc, w ogóle nie były konieczne, ponieważ na lewo od piktogramów korytarz kończył się moimi drzwiami.

Korytarz, o owalnym przekroju, był długi i kręty – i przypominał otynkowaną norę z plafonami na suficie. Niebawem połączyły się z nim jeszcze trzy podobne korytarze i stał się prosty i szeroki. Na podłodze pojawiły się kamienne płyty, a na ścianach sztychy z heraldycznymi emblematami.

Wreszcie dotarłem do dużych drzwi, zza których dobiegały głosy. Wisiało na nich znane mi już wyobrażenie uśmiechniętego talerza.

Pociągnąłem drzwi do siebie.

W pierwszej chwili wydało mi się, że niewielka kantyna jest pełna ludzi. Wszyscy byli jednakowo ubrani – w takie same niebieskie bluzy jak moja. Właściwie wszystkie stoliki były zajęte, a przed okienkiem, w którym wydawano jedzenie, stała kolejka. Coś jednak było nie tak.

Wreszcie zorientowałem się co.

Postacie w bluzach trwały nieruchomo. Były to po prostu manekiny, albo może figury woskowe (ich twarze i dłonie wyglądały bardzo realistycznie). Niewyraźny gwar wielu głosów, który usłyszałem na korytarzu, był pewnie nagrany.

Potem zobaczyłem rękę w niebieskim rękawie, która uniosła się nad stolikiem w głębi. Była to Sophie. Oprócz przepisowej bluzy miała czapkę wyszywaną w skomplikowany wzór.

– Rama! Bierz śniadanie i chodź tutaj.

Przy jej stoliku siedziały dwa manekiny i było jedno wolne miejsce.

Podszedłem do okienka, w którym wydawano jedzenie. Było niskie i wąskie niczym otwór strzelniczy na stanowisku ogniowym. Widać w nim było stół i parę dłoni – czerwonych, obrzmiałych i z pewnością nie woskowych.

Wziąłem pustą tacę i wsunąłem ją w szczelinę. Czerwone ręce umieściły na niej kubek z herbatą, widelec, łyżkę, nóż i trzy talerze – z jajecznicą, sałatką i muesli z mlekiem.

Woskowa kolejka nie protestowała.

– Siadaj – powiedziała Sophie. – Tylko najpierw przywitaj się z Francuzami.

– A gdzie oni są?

Sophie wskazała ruchem głowy.

W kącie sali zobaczyłem trzech młodych ludzi w typie galijskim, siedzących przy stoliku w towarzystwie manekinów. Patrzyli na mnie uważnie i, jak mi się wydało, w napięciu.

Ruszyłem do ich stolika, a oni podnieśli się na

powitanie.

– Ez – powiedział pierwszy.

– Tar – powiedział drugi.

– Tet – powiedział trzeci.

– Rama – przedstawiłem się, ściskając im dłonie.

Byli bardzo do siebie podobni – nawet ostrzyżeni na jednakowego języka (dłuższego niż u Sophie). Ez był niższy od pozostałych – albo po prostu się garbił. Tar miał duże znamię na podbródku, a Tet wydawał się tęższy. Myślałem, że zamienimy choćby parę uprzejmych komunałów, ale oni zaraz usiedli i zaczęli wpatrywać się w swoje talerze.

Wróciłem do Sophie i usiadłem przy stoliku.

– Jakie niezwykle imiona. Pierwszy raz takie słyszę.

– To galijscy bogowie – odrzekła Sophie. – W pełnym brzmieniu Esus, Taranis i Teutates. Już mi opowiedzieli, że pierwszemu składano ofiary poprzez powieszenie na drzewie, drugiemu

poprzez spalenie w plecionym koszu, a trzeciemu poprzez utopienie w beczce z wodą.

– Jeśli postanowię im złożyć ofiarę – powiedziałem – będę o tym pamiętać. Jakies nietowarzyskie typy.

– Ze mną rozmawiali dłużej. Pewnie uznali, że jestem z ich branży, tylko starsza.

– Dlaczego?

– Teletubisie golą głowy na łyso. To wymóg zawodu.

– Jak to?

– Jest lepszy kontakt z elektrodą.

Nie próbowałem pytać o elektrodę. Nie chciałem się znowu wykazać niewiedzą.

– Ale oni raczej nie są łysi – powiedziałem.

– Jeszcze nie zostali wyszkoleni. Potem się ogolą.

– A ty też się strzyżesz dla kontaktu z elektrodą? – zapytałem.

– Nie. Po prostu dla urody. Nie podoba ci się?



Już miałem powiedzieć, że podoba, kiedy nad naszymi głowami znów zahuczały organy i Sophie rzuciła.

– Kończ szybciej. Czas na naukę.

Audytorium okazało się dużą i jasną salą z fioletową szkolną tablicą. Przed tablicą stał stół. W dwóch bocznych ścianach znajdowały się wysokie strzeliste okna z wymyślnymi witrażami – przy czym, jeśli wierzyć grze światła, z każdej strony było po jednym słońcu. Z tego wszystkiego zaczęło mi się trochę kręcić w głowie – ale przeszło, kiedy zwróciłem wzrok ku tablicy.

Pozostałą przestrzeń wypełniały prymitywnie pomalowane ławki, w których siedzieli woskowi uczniowie w niebieskich bluzach – tacy sami jak w kantynie. Każdy miał w ręce pióro, a na pulpicie obok leżał wyblakły szkolny zeszyt. Niektóre manekiny miały starodawne siwe peruki z warkoczykiem – widziałem takie tylko na starych portretach.

Wolnych miejsc w klasie było niewiele. Tylko

dwie długie ławki w pierwszym rzędzie były puste. Ez, Tar i Tet wcisnęli się we trójkę do jednej – widać nieznośna im była myśl o rozłące. Sophie zajęła drugą, a ja usadowiłem się obok niej.

Czas płynął, a nauczyciela nie było.

Galijscy bogowie rozmawiali o czymś cicho. Sophie zatopiła się w małej czarnej książeczce z krzyżówkami i już po paru minutach zaczęła się do mnie zwracać o podpowiedź. Najczęściej ich nie znałem, ale raz udało mi się jej pomóc, wyjaśniając, że „Prince of Thieves”<sup>[9]</sup> na dziewięć liter to nie Wład Putin, tylko Robin Hood. Napełniło mnie to międzynarodową kulturową dumą.

Po jakichś dziesięciu minutach nieśmiało zastukano do drzwi.

– *Entrez!* – powiedział jeden z Francuzów.

Drzwi się otworzyły i do klasy wszedł zgrzybiały chłopina w roboczym kombinezonie. Niósł papierową torbę z napisem „CHARCOAL

FOR GRILL”. Poznałem te czerwone, jakby odparzone dłonie – właśnie one całkiem niedawno ustawiały mi jedzenie na tacy.

Po wejściu natychmiast odwrócił się do nas plecami i zaczął rozkładać na półce pod tablicą wyjęte z torby kawałki żółtawej kredy. Pomyślałem, że to tutejszy posługacz do wszystkiego, który postanowił zrobić ostatnie porządki przed lekcją. Chłopina był tak niepozorny i przeciętny, że po stwierdzeniu tego po prostu przestałem go dostrzegać, chociaż cały czas miałem go przed oczami.

A potem usłyszałem jego głos. Jak na sprzątacza mówił coś bardzo dziwnego.

– Nazywam się Ull. Miejsce, w którym odbywa się nasze spotkanie, różni się bardzo od świata, z którego przybyliście. Niektórzy wierzą, że każdy z gości staje tu przed obliczem samego Draculi. Nie skomentuję tego twierdzenia – ale radzę wam zachowywać się tak, jak gdyby było ono prawdziwe. Przyjechaliście tu zdawać swój

najtrudniejszy egzamin. Teraz myślicie, że macie go już za sobą. Myślicie, że już jesteście undead. Ale to nie tak. Narybek to jeszcze nie ryby. Miejcie się na baczności!

Ull zrobił pauzę i rozejrzał się po klasie – przy czym odniosłem wrażenie, że z jednakową uwagą patrzy na naszą piątkę i na woskowe manekiny.

– Co to znaczy undead? – zapytał. – To znaczy, że wszyscy pozostali – i ludzie, i wampiry niższej rangi – w porównaniu z wami są po prostu trupami. Wy pokonaliście życie i śmierć. Wy podnieśliście nogę, by zrobić krok w inny obszar. Ale nie ma pewności, że uda się to każdemu z tu obecnych. Żadnej pewności. Nie spoczywajcie na laurach!

Najwyraźniej wstęp dobiegł końca. Ull odwrócił się do tablicy i napisał na niej wielkimi gotyckimi literami:

# Seminar 1

## Human Hard Problem and Vampire's Easy Way

[10]

– Prowadzę z młodymi wampirami dwa przedmioty – powiedział – diving i maskowanie. Maskowania nie poznacie, bo jak na to jesteście zbyt zarozumiałymi bałwanami. Będę was uczyć tylko divingu. Nasz trzydniowy kurs jest bardzo krótki. Ale to wystarczy, żebyście się dowiedzieli wszystkiego, co niezbędne. Resztę opowiedzą wam w domu. Jesteście wampirami i znacie wiele języków. Dlatego od czasu do czasu będę przechodzić z jednego na drugi. Jesteście moją już dwudziestą trzecią zmianą, więc niech się wam nie zdaje, że mnie czymś zadziwicie. Ale jeśli mimo to chcecie mnie zaskoczyć, postarajcie się zrozumieć przynajmniej połowę tego, co będę wam opowiadać. Jeśli czegoś nie chwyacie, nie wstyďte się mi przerwać i zapytać od razu.

– Nie powinniśmy się przedstawić? – zapytał

jeden z Francuzów.

– Znam cię, Esus. I ciebie, Taranis. I ciebie, Teutates. I was, Rama i Sophie. Wasze dokumenty już przybyły. Spóźniłem się właśnie dlatego, że zapoznawałem się z preparatami. Teraz wiem o was wszystko.

Przyjrzał nam się uważnie, zatrzymując na każdym wzrok po dwie, trzy sekundy, jakby mówił: „Wiem, wiem. I o tym, i o tamtym...”.

Skądinąd miałem dostatecznie wiele wiadomości o wampirach, żeby założyć, że po prostu wciska nam kit, a sam dba o swoją duszę, zachowując zdrową niewiedzę o naszych sercach i umysłach. Dwadzieścia trzy kursy to nie w kij dmuchał...

– A więc – powiedział Ull – jesteśmy wampirami nurkami. Czy ktoś już wie, co to znaczy nurkować?

Jeden z Francuzów, Ez, podniósł rękę.

– Ja wiem. To znaczy dokonywać projekcji astralnej w wymiar pozagrobowy.

Ull uniósł brwi.

– To znaczy?

– No, wychodzić z tułowia w cienkim ciele.

– Wytłumacz dokładniej.

Ez wstał, podszedł do tablicy i narysował człowieka leżącego na łóżku. Potem dorysował u góry coś w rodzaju zjawy i cienką linią połączył ją z leżącą postacią.

– O – powiedział.

– Dziękuję. – Ull kiwnął głową. – Siadaj. Bardzo dobrze, że zacząłeś od tej błędnej teorii. Będzie nam o wiele łatwiej, kiedy pozostawimy ją za sobą. Zjawisko tak zwanego wyjścia z ciała, albo, jak się wyraziłeś, „projekcji astralnej” znane jest ludziom od wielu wieków. Człowiekowi wydaje się, że wychodzi z ciała i patrzy na siebie z boku. Wielu podróżuje w takiej postaci po świecie, odwiedza inne kontynenty i planety. To dość rozpowszechnione doznanie. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku uważano nawet, że jeśli ani razu nie udało nam się wyjść z ciała,

najwyższy czas zmienić diler. Wystarczy jednak trochę pomyśleć, by zrozumieć, że owo doświadczenie to najczystszej wody halucynacja wewnętrznomózgowa, a bynajmniej nie realne wyjście z ciała jakiejś substancji postrzegającej.

– Dlaczego? – zapytał Ez.

– Chodzi o to – odrzekł Ull – że świat, jakim się go widzi przy projekcji astralnej, niczym nie różni się od świata, który zwykle widzimy.

– A dlaczego powinien się różnić?

– Dlatego że wszystko, co widzimy, jest wynikiem procesów elektrochemicznych w oczach, nerwach łączących i mózgu. Aby widzieć po ludzku po wyjściu z ciała, musimy zabrać ze sobą oczy. I mózg też. Gdybyśmy mogli postrzegać rzeczywistość tylko ciałem astralnym, oczy i mózg nie byłyby potrzebne i ewolucja nie musiałaby z takim trudem tworzyć dla nas tych kosztownych kruchych narzędzi. Właśnie dlatego nie istnieje ani jeden wiarygodny przypadek, kiedy tak zwane wyjście z ciała pomogło komuś zdobyć ceną



informację. Żadna z wrogich armii nigdy nie wysyłała do cudzego sztabu astralnych szpiegów. Podczas tak zwanej projekcji astralnej człowiek nie wychodzi poza granice ciała. Nie wychodzi nawet poza granice swojej fantazji. Srebrna pępowina, którą widzi się w takich razach, to po prostu echo doznań prenatalnych.

Ull przekreślił grubym krzyżykiem unoszącą się nad łóżkiem zjawę i odłożył kredę.

– Zapomnijcie raz na zawsze te brednie.

Przyjrzał się nam, oceniając efekt swoich słów.

– A więc, w czym i po co tak naprawdę pogrążają się nurkowie? – zapytał. – Nie nurkujemy w świat astralny, jak myślą niedoksztalceni entuzjaści glamouru. Nie pogrążamy się w elektrycznych skurczach własnych neuronów, jak sądzą wykształciuchy ze strefy dyskursu. Nurkujemy w limbo. Zanim jednak pomówimy o limbo, musimy się zorientować, czym jest nasza świadomość.

Nagle zaczęło mi się wydawać, że czuję słaby

zapach kadzidła, dolatujący z kombinezonu Ulla.

– Żebyście się nie plątali w srebrnych pępownicach i astralnych projekcjach – ciągnął – musicie najpierw zrozumieć, jak są ze sobą powiązane świadomość i mózg. Zaczniemy od wyobrażeń człowieka...

Odwrócił się do tablicy i kilkoma pociągnięciami kredy narysował ludzką twarz w okularach – zarozumiałą, a jednocześnie głupią.

– Najzabawniejsze jest to, że szeroka publiczność już od wielu lat wierzy, że nauce jest to znane. No, mniej więcej znane. Każdy ludzki uczoney wie, że to nieprawda, ale media i tak podtrzymują w ludziach to przekonanie, zwłaszcza że to wcale nietrudne. Wystarczy raz na rok pokazać w telewizji jakiś tomograf i paru szarlatanów w białych fartuchach. Albo kolorową komputerową animację, nałożoną na przekrój mózgu – jak się teraz mówi, *brain porn*. W rezultacie wolni cywilizowani ludzie są przekonani, że w dzisiejszym życiu pozostała tylko

jedna nierozwiązana zagadka – skąd wziąć pieniądze...

Podszedł do naszej ławki.

– Dlaczego tak jest, Rama?

– Bablos – mruknąłem.

Ull poklepał mnie po karku.

– Otóż to. Ponieważ ludzie zostali przez nas wyhodowani w postaci czysto utylitarnej, celem ich procesu myślowo-duchowego nie jest poznanie prawdy, jak mawiają ich uczeni, i nawet nie „życie, wypite do dna”, jak utrzymują ideolodzy glamouru, ale wytworzenie jak największej ilości agregatu M5 w postaci emanacji, które może wychwycić Wielka Mysz. Nie jest w naszym interesie, by ludzie uświadomili sobie prawdziwą sytuację, co mogłoby zagrozić istniejącemu porządkowi rzeczy. Dlatego drugi system sygnalizacyjny, w który wampiry wyposażyły ich mózg, ma specjalnie wbudowane bezpieczniki – bągi.

– Co to jest drugi system sygnalizacyjny? –

zapytał Ez.

– To jest język, w którym ludzie mówią i myślą.

– Konkretnie który?

– Każdy. Wszystkie języki, mimo pozornych różnic, to po prostu różne wersje jednego i tego samego kodu. A kod jest zestawiony tak, żeby komputer stale się zawieszał. Rozumiecie? Sama natura ich myślenia nieuchronnie wprowadza w świadomość nieprawdziwy i dziwaczny obraz świata, który od dzieciństwa pęta im ręce i nogi. Żeby pobłądzić, człowiek nie potrzebuje trzech sosen – wystarczą mu dwa rzeczowniki. Na przykład „podmiot” i „przedmiot”. Im więcej zaś ludzie spierają się ze sobą z powodu słów, tym głębiej grzęzną w trzęsawisku, które sami przy tym stwarzają. Są to, jeśli wolicie, końskie okulary, które każdy z nich nosi na oczach od chwili, gdy zaczyna mówić i myśleć.

– A jakie bagie są w języku? – zapytał któryś z Francuzów.

– Jest ich bardzo wiele. Tyle że prościej będzie

uznać cały język za jeden wielki bag, poza którym w ogóle niczego nie widzą. Uczeni, nawet ci najmądrzejsi, stawiają problemy i formułują swoje odkrycia w systemie kodów, specjalnie zbudowanym tak, by uczynić zrozumienie prawdy niemożliwym. Ludzie mogą tylko rzutować założone w języku zakłócenia.

– Na co?

Ull wykonał szeroki gest rękami.

– Na mikro- i makrokosmos. W rezultacie fundamentalny błąd ich myślenia staje się raz większy, raz mniejszy – w zależności od wybranej skali. Nigdy jednak nie znika całkowicie. Zawsze nakłada się na to, co oni widzą. Na cokolwiek skierowałyby się ich umysł, wszędzie natrafiają na jedną i tę samą nieprzebytą przepaść, której ich myślenie nie jest w stanie przekroczyć – ponieważ samo ją stwarza.

– A wampiry mogą ją przekroczyć? – zapytała Sophie.

Ull poniósł palec.

– Wampiry nie próbują przekraczać tej przepaści. One w niej żyją. Tam jest nasz dom, i zbudowaliśmy go w takim miejscu, żeby nikt nas nie niepokoił. Rama, czy to wszystko nie jest dla ciebie zbyt skomplikowane? Zrozumiałeś, o czym teraz mówiłem?

W głosie Ulla brzmiała taka nieudawana troska, że zrobiło mi się głupio. Pytanie sugerowało jakby, że jeśli ja zrozumiałem, to pozostali rozumieją z pewnością. Najbardziej przykre było to, że Ull chyba nawet nie chciał mnie dotknąć. Zaczerwieniłem się i kiwnąłem głową.

– Ta sama przepaść – podjął Ull – otworzyła się przed ludźmi w ich samopoznaniu, kiedy próbowali zrozumieć, w jaki sposób na skutek pracy ich mózgu powstaje znany im świat. Ślepy zaułek, w którym się znaleźli, otrzymał nazwę Hard Problem. To standardowy bag ich myślenia, który uważają za nierozwiązywalną zagadkę. Wiecie, co to jest?

Klasa milczała.

– Przedstawię to bardzo krótko – powiedział Ull. – Ludzie wiedzą, że łączenie się łańcuchów neuronowych w korze mózgowej jest w określony sposób związane z powstawaniem myśli. Znają nawet lokalizację doznań – jakie odczucia towarzyszą aktywności różnych obszarów mózgu. Na przykład, pobudzenie neuronów w określonej strefie odpowiada odczuciu koloru czerwonego. Na razie wszystko jest proste. Hard Problem powstaje, kiedy próbują wyjaśnić, jak aktywność elektryczna, którą rejestrują przyrządy, staje się odczuciem subiektywnym. Tym, co ludzie nazywają *qualia* – doznawaniem czegoś od wewnątrz. W taki właśnie sposób wiemy, że tablica jest czarna, a policzki Ramy czerwone...

Pomyślałem, że jeśli Ull jeszcze raz spróbuje mnie poklepać po karku, to... No, oczywiście, nie zachowam się po chamsku. Ale dam mu do zrozumienia, że nie jesteśmy już w szkole.

– Wyjaśnienie tego nie jest możliwe – ciągnął Ull. – Chodzi o to, że istnieje nieprzebyta przepaść jakościowa między odczuwaną przez nas

czerwienią... no dobrze, Rama, dobrze – nie taką jak czerwień twojej buzi, ale taką jak czerwień arbuza, maku albo pomidora – a wahaniem elektromagnetycznymi w mózgu, które rejestruje tomograf. Jak, gdzie i dlaczego wyładowanie elektryczne staje się czerwienią, którą widzimy? Tego nie wie nikt z ludzi. Czasem się nawet sprzeczą, czy można twierdzić, że kolor czerwony dla jednego człowieka jest tym samym dla drugiego. Pewność można mieć tylko co do tego, że w trudnych sytuacjach ludzie używają jednego i tego samego słowa.

Pomyślałem, że naprawdę nie wiem, czy kolor czerwony jest dla mnie tym samym, czym jest dla Sophie. A nuż ona widzi go jako niebieski?

– Wampiry rozumieją jednak wadliwość ludzkiego podejścia – kontynuował Ull. – Jest ona związana z błędem tak fundamentalnym, że w ogóle nie sposób wyjaśnić go ludziom. Ludzie uważają, że miejscem, w którym powstaje odczucie czerwieni, zieleni i błękitu, jest ich mózg. Ale mózg to po prostu urządzenie telegraficzno-



szyfrujące, które wysyła zakodowane zapotrzebowania „czerwony, zielony, niebieski” do punktu... No, powiedzmy, wyjściowego, który jest źródłem całego postrzegania w ogóle. Nazywamy ten punkt Wielkim Wampirem.

– A gdzie się on znajduje? – zapytał Tar.

– W ogóle nigdzie. Istnieje sam w sobie i nie opiera się na niczym innym. Nie ma żadnej przyczyny. Przeciwnie – jest przyczyną całej reszty. Mózg w ogóle nie stwarza postrzegania i bytu. Mózg po prostu sporządza *shopping list* – spośród nieskończonych możliwości wybiera te elementy, które mają być odczute w ludzkim życiu. Jest to jedynie prymitywny filtr elektromagnetyczny, który pozwala człowiekowi widzieć przez wąskie dziurki słów. I tylko przez te dziurki. W istocie człowiekowi wolno odbierać tylko zainstalowany w nim program – ludzki język. Właśnie dlatego jest człowiekiem.

– No ale w jaki sposób elektryczność w mózgu staje się kolorem czerwonym? – zapytała Sophie.

Ull odwrócił się do niej i wskazał palcem na witraż.

– Wyobraź sobie człowieka, który urodził się i dorastał... powiedzmy, w gotyckiej katedrze. I nigdy w życiu z niej nie wychodził. W Boga, rozumie się, nie wierzy – jak zresztą wszyscy, którzy długo obserwują jego sługi. I oto siedzi w katedrze, patrzy na migocący witraż i myśli: „No dobrze, nauka udowodniła, że wielkość religii tworzy się za pomocą specjalnych sztuczek ze światłem. Ale nie rozumiem, w jaki sposób szkło, które wytapia się ze zwykłego piasku, się świeci. I to w jednym miejscu na niebiesko, a w innym na czerwono. Ciekawe, jakież to procesy zachodzą w witrażu?” Co byś mu odpowiedział, Rama? Dlaczego witraż w katedrze świeci na czerwono i niebiesko?

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Ull mówi o jakiejś abstrakcyjnej gotyckiej katedrze, skoro ze wszystkich stron otaczają nas świecące witraże.

– Dlaczego? – powtórzył Ull.

– Z powodu dziennego światła – powiedziałem.

– Słusznie. Człowiek nigdy nie wychodził na zewnątrz i nie wie, że szyby stają się niebieskie i czerwone nie z powodu jakiegoś zachodzącego w nich procesu, ale dzięki słońcu. I choćby w ścianach było nie wiadomo ile witraży, źródło światła za nimi jest jedno. Człowiek, moi drodzy, jest właśnie takim witrażem. A dokładniej, promieniami światła, które przez niego przechodzą, zabarwiając się na różne kolory. Promienie potrafią postrzegać tylko siebie. Nie dostrzegają szyb. Widzą tylko kolor, który przybrały. Rozumiecie? Człowiek – to po prostu skomplikowana gama kolorów, na które zabarwiła się wiązka światła, przechodząc przez wymyślną kombinację barwnych szybek. Witraż sam nie wytwarza kolorów. Jest z natury martwy i ciemny nawet wtedy, kiedy przepuszcza przez siebie najbardziej urzekające barwy. Po prostu światło przez chwilę wierzy, że stało się witrażem. A ludzka nauka ze swoimi tomografami usiłuje wytłumaczyć światłu, jak się ono rodzi w witrażu,

przez który przenika. Wielki Wampirze, dopomóż!

I Ull wykonał błazeński ukłon.

Wszystko, co mówił, było zrozumiałe – ale dwa fałszywe podziemne słońca, oświetlające klasę z różnych stron, sprawiały, że jego słowa pozostawiały pewien osad wątpliwości.

– A więc czym jest człowiek? – spytała Sophie. – Witrazem czy światłem?

Ull szturchnął ją palcem.

– Otóż to! – wykrzyknął. – To właśnie jest bag, wmontowany w twoje ludzkie myślenie. Ludzie zawsze będą się zadręczać takimi pytaniami. Dziewczyno, nie zapuszczaj się w to śmierdzące bagno! Wampir nie próbuje wyrazić prawdy słowami. Wampir tylko ją sugeruje – ale zatrzymuje się na mgnienie przed tym, zanim bagi umysłu B zamienią jego rozważania w farsę.

– Czy ludzie przybywają ze świadomego słońca i odchodzą w nie z powrotem? – zapytał Ez.

Ull odwrócił się do niego.

– Znów to samo! – powiedział. – Nie. Człowiek

nie przychodzi i nie odchodzi. Człowiek jest właśnie tym słońcem. To słońce jest tutaj. Prócz niego nie ma w ogóle nic. Rozumiesz?

Ez przecząco pokręcił głową.

– Człowiek to kombinacja odczuć – powiedział Ull. – Złożona gama kolorów, wydzielona z jasnego białego światła, które już zawiera wszystkie możliwe barwy. W jasnym białym świetle jest już wszystko, co może dać każdy kalejdoskop. Kalejdoskop zabiera część spektrum, ale sam nie stwarza światła. Mózg nie jest generatorem świadomości ani latarnią czarnoksiężką. Wręcz przeciwnie! To kalejdoskop zaciemniacz. My nie stwarzamy świadomości w swoim mózgu, ale po prostu odfiltrowujemy i zasłaniamy przed sobą większą część totalności Wielkiego Wampira. To właśnie czyni nas ludźmi. Dlatego mistycy w rodzaju Platona nazywają nas cieniami. My nie wytwarzamy światła. My rzucamy cienie, co jest znacznie prostsze. Nikt nigdy nie wyjaśni, w jaki sposób procesy elektryczne w mózgu stają się odczuciem

czerwonego koloru. Dlatego. Że. Się. Nim. Nie. Stają. Jasne? Można tylko wytłumaczyć, jak czerwone szkło zabarwia – a raczej redukuje – pierwotną nieskończoność do ukrytego w sobie kodu.

– Jak?

– Na czerwonym szkle napisano w języku chemicznym: „O Wielki Wampirze, uczyni się czerwonym. Amen”. Rozumiecie? Nie jesteśmy uczonymi. Jesteśmy wampirami. Nie zamierzamy otrzymać Nagrody Nobla w dziedzinie chemii, my tylko chcemy dostrzec prawdę kątem oka. A prawda jest taka, że z naszego zatrutego słowami mózgu w ogóle nie można jej zobaczyć. Dlatego posługujemy się metaforami i porównaniami, a nie naukowym bełkotem...

Nagle podniósł palec, jakby przypomniawszy sobie coś ważnego.

– À propos nauki. Są teraz takie panele z diod świecących, które zmieniają przezroczystość i kolor na polecenie komputera. To będzie nawet

lepsze porównanie niż zwykły witraż.

– A dlaczego człowiek nie może odczuć całego słońca naraz?

– Po pierwsze, może. Wystarczy, że rozbije witraż. Po drugie, to nie człowiek odczuwa słońce. To słońce w każdym człowieku odczuwa samo siebie – tę swoją część, którą pozostawia widoczną nasz mózg. Odczuwa siebie każda oddzielna myśl – każdy promień, już nie pamiętający, że jest częścią słońca...

Popatrzył na mnie długim spojrzeniem.

– Jak by ci to wytłumaczyć... Rama, wachałeś przecież klej w młodości, prawda?

Chyba jednak nie kłamał co do naszej prywatności. Wzruszyłem ramionami. Nie chciałem drażnić tego tematu przy Sophie.

– Tam też wszystkie efekty powstają dlatego, że wyłącza się większa część postrzegania. Zresztą, inni nie rozumieją...

– Ale wobec tego – zapytała Sophie – jak można należycie rozwiązać Hard Problem?

Ull westchnął.

– Wcale się go nie rozwiązuje. Nie istnieje nigdzie poza zatrutym słowami myśleniem. W jaki sposób uderzenia palców maszynistki stają się wierszem, który poraża nas w samo serce? Nie stają się nim! Przynieśliśmy to serce ze sobą, i wszystko, z czego składa się wiersz, było już w nas, a nie w palcach maszynistki. Maszynistka po prostu wskazuje miejsce, gdzie się to kryło. I choćbyśmy nie wiem jak dokładnie zbadali jej komputer, drukarkę czy łączące je kable, nie znajdziemy miejsca, w którym narodził się ten cud. Aby bowiem nastąpił, maszynistkę musi najpierw odwiedzić sam Wielki Wampir.

Ull powiódł wzrokiem po klasie – i wydało mi się, że zwraca się nie tylko do nas, ale i do siedzących w ławkach woskowych figur.

– No jak, zrozumieliście coś z tego? Na przykład ty, Ez. Wszystko rozumiałeś?

– W zasadzie tak – odrzekł Ez. – Nie rozumiałem tylko jednej rzeczy. Jaki to ma



związek ze światem pozagrobowym?

– Mądry chłopiec – uśmiechnął się Ull. – Właśnie o tym pomówimy szczegółowo jutro. A na dziś to wszystko.

Podniósł swoją torbę po węglu – i natychmiast znów jakby się skulił i zniknął z zasięgu mojej uwagi. Nawet nie zauważyłem, kiedy wyszedł z klasy.

Wykład tak mnie zmęczył, że sens ostatnich słów Ulla zupełnie do mnie nie dotarł. Wstałem z ławki.

– Dokąd idziesz? – spytała Sophie.

– Pójdę odpocząć – powiedziałem. – Głowę mam jak z ołowiu.

– *Take it easy* – odparła.

Chciałem zażartować, że z ołowianą głową trudno to zrobić, ale pomyślałem, że ze zmęczenia zaplączę się w słowach. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w swojej trumnie. Zdaje się, że coś takiego działo się nie tylko ze mną – Francuzi też wyglądali na wykończonych.

Po drodze do domu rozmyślałem, że

prowadzący do mojej celi wąski, kręty korytarz to jedna z surrealistycznych gałęzi, które widziałem na obrazie przedstawiającym zamek Draculi. Tak gałąź wygląda od środka... A z zewnątrz? Czy w ogóle jakoś wygląda z zewnątrz? No bo skąd należy na nią patrzeć? Pewnie stąd, dokąd idę spać...

Po dotarciu do celi padłem do trumny i usnąłem. Obudziło mnie pukanie do drzwi.

Spojrzałem na zegarek. Był już późny wieczór – musiałem przespać i obiad, i kolację. I wszystkie inne zajęcia – jeżeli były.

Wylazłem z trumny i otworzyłem drzwi. Na progu stała Sophie.

– Jak się czujesz? – spytała.

– W porządku – odparłem. – Tylko chce mi się spać.

– Za wiele nowych informacji – powiedziała Sophie. – Kiedy wampir musi dużo myśleć, język czuje się niekomfortowo. Mogę wejść?

Odsunąłem się. Kiedy przechodziła obok,

zwróciłem uwagę, że leciutko pachnie perfumami, czego nie zauważyłem, gdy leżeliśmy w trumnie.

W dodatku była umalowana. Prawie niedostrzegalnie – makijaż był niemal symboliczny. Ale jednak był.

Poczułem podniecenie i mignęła mi przedwczesna myśl, że w moim pokoju zupełnie nie ma miękkiego zakątka, gdzie moglibyśmy się we dwoje umościć. Leżeć można było tylko w moim zaparkowanym w alkwie transportowym kontenerze – ale tam wystarczało miejsca tylko na jedną osobę. Studenckie cele w zamku Draculi wyraźnie nie były przeznaczone na schadzki.

– Rama, pamiętasz, kiedy leżeliśmy w mojej trumnie, powiedziałaś: „jesteśmy teraz bliskimi istotami”. Naprawdę chcesz zostać bliską mi istotą?

Instynkt mnie nie zawiódł.

– Oczywiście – odrzekłem. – I strasznie mi się podoba, że do mnie przyszałaś i sama o tym mówisz.

Sophie się uśmiechnęła.

– Wśród zachodnich wampirów panują w tych sprawach nieco inne obyczaje – powiedziała.

Na moment zatrzymała wzrok na alkwie.

– A gdzie tu jest szafa? – spytała.

– Szafa? – powtórzyłem.

Przywykłem już do tego, że jej myśli wyprzedzają moje. Ale to był zbyt wielki przeskok. W pokoju nie było w ogóle żadnej szafy. Co niespecjalnie mi przeszkadzało – nie miałem tam co chować.

Widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, Sophie rozejrzała się i podeszła do miedzianej ozdoby na ścianie – śmiesznej kościstej łapki, którą wziąłem za zabytkowy wieszak na kapelusze (kiedy chciałem powiesić na nim marynarkę, spadła na podłogę i więcej nie ponawiałem próby).

– Jest tutaj. – Sophie nacisnęła łapkę.

Część ściany odjechała w bok, zamieniwszy się w rozsuwane drzwi. Zobaczyłem obite malinowym aksamitem wnętrze głębokiej szafy z grubą

poprzeczką na wysokości mojej twarzy. Był to zwyczajny hamlet – trochę wąski, ale całkiem komfortowy.

– Nie miałem pojęcia – powiedziałem.

– Tu jest niewygodnie. Za wąsko.

Oczywiście podobało mi się jej chłodne inżynierskie podejście do sprawy, ale zacząłem mieć wątpliwości, czy mój skromny kunszt miłosny zasługuje na takie staranne przygotowania. Żebym jej tylko nie rozczarował... Chociaż odwrotu już nie było.

– Możemy pójść do mnie – zaproponowała Sophie. – U mnie wystarczy miejsca dla dwojga.

Przypomniałem sobie oszałamiające (a może stały się takie w krzywym zwierciadle mojej pamięci) chwile spędzone w jej trumnie – kiedy nasze ciała dzieliło tylko kilka warstw cienkiej tkaniny.

– W zasadzie możemy – odparłem.

– W zasadzie możemy czy naprawdę tego chcesz? – spytała, badawczo patrząc mi w oczy.

– Chcę – powiedziałem i wziąłem ją za rękę. –  
Bardzo chcę.

Korytarz do jej pokoju ciągnął się bez końca –  
mieszkała chyba na końcu najdłuższej gałęzi,  
odchodzącej od zamku. Jej pokój okazał się dwa  
razy większy od mojego, z fotelami i kominkiem,  
w którym wesoło buzował ogień. Stojąca  
w alkowie trumna była zapraszająco otwarta.

Sophie wzięła mnie za rękę i mocno ją ścisnęła.  
Myślałem, że pójdziemy do alkowy, ale pociągnęła  
mnie w zupełnie inną stronę. Zanim zdążyłem  
cokolwiek zrozumieć, nacisnęła taką samą  
miedzianą łapkę jak w moim pokoju. Część ściany  
przesunęła się w bok i ujrzałem głębokie,  
bladoróżowe wnętrze wybitej aksamitem szafy.  
Hamlet Sophie był dwa razy szerszy od mojego.  
Wystarczyłoby tu miejsca nie tylko dla dwojga, ale  
dla trojga.

– Ty pierwszy – powiedziała.

– Ja... Ja?

– Tak, ty.

Teraz dopiero zrozumiałem, czego ona chce. I co konkretnie rozumie przez słowa „stać się bliskimi”. No cóż, można się było tego spodziewać. Jesteśmy przecież, bądź co bądź, wampirami.

Starając się w żaden sposób nie okazać rozczarowania, uchwyciłem przybite do ściany aksamitne uchwyty. Przerzuciwszy nogi przez poprzeczkę, zawisłem głową w dół. Dokładnie naprzeciw mojej twarzy w kominku tańczył pomarańczowy płomień. Teraz widziałem wyraźnie, że jest zrobiony ze szmatek, przypominających podarte pionierskie chusty, trzepoczące w strumieniu ciepłego powietrza.

Ciekawe. Kiedy wszedłem do pokoju, w pierwszej chwili pomyślałem, że jest prawdziwy. Zdawało mi się nawet, że czuję zapach płonących szczap... Tylko skąd miałyby się wziąć pod ziemią? Wystarczyło spokojnie pomyśleć trzy sekundy, żeby wszystko zrozumieć.

Ale skąd wziąć te trzy spokojne sekundy? Kto je

w życiu ma? Nie tylko żyjemy w biegu, ale w biegu umieramy – zbyt przejęci własnymi fantazjami, żeby się chociaż na chwilę zatrzymać.

Ech...

Sophie już wisiała obok. Przechyliwszy się zręcznie, zamknęła drzwi szafy i znaleźliśmy się w ciemnościach. Potem ujęła moją dłoń, ścisnęła ją i znieruchomiała.

Cóż, jak hamlet, to hamlet. Który wampir nie lubi zastygać w bezruchu?

Mnie jednak trudno się było rozluźnić i popaść w znajome odrętwienie. Chodziło o jej dłoń, ściskającą moją. O ciepło jej ciała. I – zwłaszcza – o zapach jej perfum, w których skład, sądząc po fizjologicznej reakcji mojego organizmu (dzięki Wielkiemu Wampirowi niewidocznej po ciemku), wchodziły wszystkie znane nauce feromony.

Przypomniałem sobie dzisiejsze seminarium i krótki dialog Sophie z Ullem.

„Jak można należycie rozwiązać Hard



Problem?” – „Wcale się go nie rozwiązuje...”

Ull oczywiście miał rację. Mylił się tylko mówiąc, że tak naprawdę żaden Hard Problem nie istnieje – już od kilku minut odczuwałem go na sobie w dosłownym sensie. Chociaż, myślałem, kobietę taki punkt widzenia zapewne całkowicie zadowala: przecież skoro nie ma problemu, nie ma też odpowiedzialności.

Czułem, jak w głębi mojej piersi narasta frustracja.

Wiecznie próbują doprowadzić nas do szału swoimi sztuczkami. Kształt, zapach, dotyk, smak, dźwięk i myśl – zwłaszcza myśl, sprowokowana z wielkim i podłym tysiącletnim kunsztem.. Istnieje sześć zmysłów i poprzez każdy z nich bezbronny męski organizm jest w każdej sekundzie podstępnie i chytrze atakowany. A kiedy mężczyzna wpada w tę zasadzkę i nieśmiało sięga po to, co obiecano mu na wszystkich sześciu kanałach informacyjnych, rozlegają się krzyki: „Nie! Za nic w świecie!”, a w tle wyje zbliżająca

się syrena policyjna.

I już nie zamachniesz się maczugą, jak czterdzieści tysięcy lat temu w jaskini, kiedy ludzie byli jeszcze wolni... A gdzie tam.. Teraz wszystko jest na odwrót. Doszło do tego, że anglosaska kobieta podczas seksu nieustannie wydaje standardowe zachęcające dźwięki – *oh yes baby, I like it yeah* – żeby samiec w każdej chwili był pewien, że na razie nie zamierza podać go do sądu. I że jeszcze nie usnęła – ponieważ seks podczas snu automatycznie uczyni z niego gwałciciela. Ten paradygmatyczny przeskok sączy się już na całego z zachodnich filmów porno, od których aż się chce rzygać.

I nikt nie będzie z tym walczyć, myślałem. Wszyscy dawno się pogodzili. Triumfalny pochód homoseksualizmu przez kraje złotego miliarda bynajmniej nieprzypadkowo zbiegł się z rozpasaniem kobiecego terroru płci na tym samym terytorium. Umysłowo ograniczeni świętoszkowie krzyczą o moralnej degradacji ludzkości – a w istocie mężczyzna pozbawiony

steru, zaszczuty i zastraszony, czołga się do ostatniego pozostawionego mu przez los schronienia... Dobrze jeszcze, że Wielki Wampir pozostawił zapasowy tor, po którym nasz pociąg pancerny może objechać ową bezdenną czarną jamę...

Sophie leciutko ścisnęła mi rękę.

– Dobrze ci? – spytała.

– Aha – mruknąłem.

– To dlaczego masz taki ponury głos?

– W końcu jestem wampirem.

Nic nie odpowiedziała. Coś mi jednak szeptało, że ona wie, co się ze mną dzieje – i nie ma dla mnie żadnego współczucia. Absolutnie żadnego.

Nic osobistego. Natura. Klasowy interes gender.

Kobieta zawsze będzie chichotać i pleść swoje drobne rybie intrygi na tle owego niepojętego dla niej bólu – wiedząc tylko, że ten ból jest i że za jego pomocą może zrobić korzystny, bardzo korzystny deal. I dlatego nigdy nie stanie się prawdziwą przyjaciółką i siostrą, ale zawsze

będzie właśnie kobietą – tym, co wisi teraz w ciemności obok mnie. Niczym mniej i niczym więcej...

No cóż, myślałem, czując, jak krew powoli odpływa mi z łędźwi i zmierza ku głowie, no cóż. Nie my zaczęliśmy tę bitwę. Ale mamy czym odpowiedzieć.

– Przypomniał mi się pewien cytat z Draculi – odezwała się Sophie. – „Śmieje się nie ten, kto się śmieje ostatni. Śmieje się ten, kto nie śmieje się nigdy...” Jak myślisz, co on chciał przez to powiedzieć?



Wydawnictwo Literackie

# LIMBO

Następnego ranka Ull napisał na tablicy:

## Seminar 2

**What diBing is and what it is not.**

**Limbo, Animograms and Necronavigators** [\[11\]](#)

– Wczoraj – zaczął, odwróciwszy się do klasy – zapytaliście mnie, co nasza wstępna lekcja miała wspólnego ze światem pozagrobowym. A ja wam zadam kontrpytanie: co to znaczy świat pozagrobowy? Co to w ogóle jest tamten świat? Niech mi ktoś powie. Może ty...

Wskazał na Eza. Ten wzruszył ramionami:

– To wymiar, w którym żyją umarli.

Ull skrzywił się, jakby miał w ustach coś

kwaśnego.

– A tobie samemu podoba się, jak to brzmi? „Żyją umarli”. To dlaczego poumierali, skoro do tej pory żyją? I dlaczego wobec tego są umarli?

Odwrócił się do Teta. Ten zastanawiał się przez chwilę.

– No... Chyba życie w jakiejś formie nadal trwa po śmierci?

– Czy twój telefon gra melodię? – zapytał Ull.

– Tak.

– A jeśli go rozbierzesz i wyjmiesz baterię, będzie grać?

– Nie sądzę.

– A może po prostu zacznie grać inną melodię? Cichuteńko?

– Chyba nie.

– A zmarły człowiek nadal żyje? Ruszcie głowami. „Człowiek” to w ogóle pojęcie filozoficzne. Żywe albo martwe może być tylko ciało.

– Do czego pan zmierza? – zapytał Tar. – Do tego, że nie istnieje żaden świat pozagrobowy?

– Otóż to! – potwierdził Ull.

– To znaczy, że przyjechaliśmy tu nurkować, a nurkować nie ma w co?

– Masz absolutną rację.

– Ale przecież nurkowie jednak w coś nurkują – odezwała się Sophie. – Wobec tego...

– Aby zrozumieć, w co nurkujemy – przerwał jej Ull – trzeba się przedtem dowiedzieć skąd. Powiedziałem, że nie ma żadnego świata pozagrobowego, i mogę to powtórzyć. Ale nie istnieje także świat przedgrobowy. Jest tylko strumień doznań, które składają się na nasze doświadczenie. Kiedy żyjecie, w każdej sekundzie doznajecie nowych wrażeń za pośrednictwem organów swego ciała. Wasza realność to właśnie całkowita suma wszystkich doznań. Martwy człowiek jest martwy właśnie dlatego, że nie pozyskuje już żadnych doświadczeń. Jego realność nie różni się niczym od snu bez marzeń sennych.

Czy ktoś z was pamięta swój ostatni sen, kiedy nic mu się nie śniło?

Ull powiódł wzrokiem po klasie. Wydało mi się, że manekiny z tylnych rzędów są do tej rozmowy lepiej przygotowane niż my – ale z racji bezwładu swych cielesnych powłok nie są w stanie jej podjąć. Klasa odpowiedziała milczeniem.

– Takie sny miewamy każdej nocy – ciągnął Ull. – Ale takiego doświadczenia nie ma nikt, ponieważ na czas snu bez marzeń sennych całkowicie znika ten, kto mógłby je odbierać. To samo odnosi się do stanu po śmierci. Nie ma nikogo, kto mógłby go odczuć. Najbardziej wyrafinowani mistycy mówią, że właśnie na tym zasadza się nasza pierwotna natura, ale wampirów nie interesuje pusta gra słów. My patrzymy na wszystko praktycznie...

Ull przeszedł się kilka razy przed ławkami, ściskając palcami podbródek. Przyszło mi do głowy, że jest podobny do starego i niezbyt już



przytomnego Hamleta, który zapomniał, gdzie położył swoją czaszkę.

– Nie ma żadnego życia po śmierci! Świata pozagrobowego też nie ma! Istota ludzka składa się z dwóch elementów – światła i witrażu. Śmierć je rozdziela. „Życie po śmierci” to oksymoron. Skoro jednak jasne białe światło, o którym tu mówiliśmy, zawiera w sobie w ogóle wszystko, powinny się w nim znajdować nie tylko portrety wszystkich żyjących, ale też portrety wszystkich umarłych. Trzeba tylko popatrzeć na nie przez szkła o właściwym zabarwieniu. Mając dostęp do czerwonej cieczy zmarłych, to jest, przepraszam, do ich DNA, można uzyskać dostęp do biblioteki ciemnych witraży, które były kiedyś żywymi istotami. Na tej zasadzie opiera się szczególnie, unikalny dostęp wampirów do świata pozagrobowego...

– Sam pan przecież mówił, że świat pozagrobowy nie istnieje... – wtrąciłem.

– Słusznie – zgodził się Ull. – Istnieje tylko to,

co światło bytu w danej chwili oświecła. A światła pozagrobowego nie ma, ponieważ jest ciemny. Nie istnieje, dopóki nie padnie nań promień świadomości. Dlatego nazywa się go niebytem... Nie powiesz przecież, że niebyt istnieje. A z drugiej strony, można weń odejść.

– Jak można odejść w niebyt? – zapytał Ter. – Nie rozumiem.

– Nie martw się – odparł Ull. – Umysł, który tego nie pojmuje, nie trafi tam. Dwunogie istoty, pozbawione piór, po prostu umierają. Odejście w niebyt to bardzo trudna rzecz.

Słowa te zabrzmiały niemal marzycielsko. Ull skrzyżował ręce na piersi i zapatrzył się na jeden z witraży.

– Sekret wskrzeszania zmarłych jest prosty – powiedział. – Polega na tym, by połączyć martwy witraż ze światłem świadomości. Limbo to ciemnia fotograficzna, w której znajduje się niewyobrażalna ilość negatywów... Tylko proszę, żebyście zrozumieli od razu – żadna realna

ciemnia, w której przechowuje się ciemne witraże, nie istnieje. Witraże, negatywy to po prostu porównanie. W rzeczywistości są to skomplikowane kody informacyjne, ukazujące światu, jakim się ma stać i jak się zmieniać. My nazywamy je animogramami. To właśnie są dusze w świecie pozagrobowym. Martwe dusze. Czyli szczegółowe odbicia dawnych żywych dusz. Szkice, według których można je czasowo odtworzyć. Są przechowywane w pamięci Wielkiego Wampira. A więc limbo to właśnie pamięć Wielkiego Wampira. Albo, jak się niekiedy mawia, Wieczna Pamięć. W nią właśnie nurkujemy. Przechowywane tam animogramy mogą powracać do życia z woli zewnętrznego obserwatora.

– A czy kiedy ozywają dla zewnętrznego obserwatora – spytałem – to ozywają rzeczywiście?

– Masz ci los – powiedział Ull. – Znowu to samo. Jeśli powiem „tak” albo „nie”, znów wpadniemy w pułapkę słów. Nie trzeba stwarzać

Hard Problemu na równej drodze. Życie to seans filmowy. A limbo to filmoteka. Wampiry nurkowie ożywiają zmarłych, przepuszczając ich przez odbity promień własnej świadomości. Ten konspiracyjny seans subiektywnie przeżywa się jak podróż do świata pozagrobowego. Wszystko, co tam widzimy, jest o tyle realne, o ile realni jesteśmy my sami – ponieważ jest zrobione z nas. Ale poza promieniem naszej uwagi żaden „świat zmarłych” nie istnieje, jak nie istnieje także film, dopóki na taśmę nie padnie promień rzutnika. Martwi ożywają tylko wtedy, gdy znajdą się w sferze waszego zainteresowania. Ale na tę chwilę stają się równie realni jak wy sami. Jak gdyby poprzez was przeżywali dodatkowy odcinek swego życia.

– A czy pamiętają siebie?

– A czy odcisk stopy w piasku siebie pamięta? Siebie – czyli co? Wszystko na tym świecie pamięta jedynie swój kształt. My istniejemy w postaci pamięci o swoich poprzednich stanach. Jedyne, co różni umarłych od żywych, to to, że

w umarłych nie ma promienia, który mógłby ten kształt oświetlić. Jeśli chcecie ich zobaczyć, wy sami musicie stać się dla nich słońcem. A raczej skłonić oświetlające was słońce, żeby oświetliło także ich.

– A dlaczego nie oświetla ich już prawdziwe słońce?

Ull wzruszył ramionami.

– Dlatego że przestali być dla niego interesujący. Czyli, innymi słowy, umarli.

– Proszę pana – zapytał Ez – a czy taka fotografia może się narodzić na nowo?

– Może – odrzekł Ull. – Całkiem zwyczajnie. I wy będziecie brać udział w tym biznesie. Ale to nie znaczy, że nowe życie przeżywa ten sam człowiek, który żył wcześniej. Kiedy stary animogram powtórnie trafia w zasięg wzroku Wielkiego Wampira, zaczyna się zmieniać. Jak gdyby zapala się ponownie. Nowe życie to nowa seria filmu. Mogą być one wieloseryjne i jednoseryjne. Wszystko może być.

Zapewne zainspirowany tą uwagą, Ez zapytał:

– A czy to prawda, że w limbo żyją diabły?

Ull się uśmiechnął.

– Ujmijmy to tak, że nie jesteśmy w limbo jedynymi nurkami. Istnieją szczególne widmowe istoty i nawet rodzaj roślin i owadów, żyjących tylko w tej przestrzeni – pewnego rodzaju flora i fauna. Rozbijają one mniej trwałe animogramy swoim wewnętrznym światłem, co przypomina zjadanie trupów przez ziemne robactwo. Przez mroczny właz limbo zaglądamy w nasz wymiar także istoty z innych warstw świadomości. Wszystko to w gruncie rzeczy związane jest z działaniem światła. Z czasem dokładnie to zbadacie.

– A czy nieboszczycy mogą zaatakować wampira?

– Mogą – odrzekł Ull. – Ale ja bym na ich miejscu nie próbował.

– Czy wampir może obcować z kilkoma nieboszczykami jednocześnie?

– Może.

– A ci zmarli zobaczą się nawzajem?

Ull znów się uśmiechnął.

– Tak naprawdę zmarli nie widzą nawet was. Może to jednak wyglądać tak, jakby was widzieli. I was, i siebie nawzajem. Każdy animogram ma swoją niezależną przestrzeń.

– Skoro każdy animogram ma własną przestrzeń – zapytałem – to w jaki sposób te wszystkie przestrzenie są ze sobą związane? I dlaczego wobec tego mówimy, że te animogramy znajdują się w jednym limbo?

Ull zamyślił się na moment.

– Dobre pytanie. Nie można powiedzieć, że wszystkie animogramy znajdują się w jednym miejscu. Bo takie miejsce nigdzie nie istnieje. Nie można tam dotrzeć rakieta czy łodzią podwodną. Wszystko to są po prostu różne stany naszej własnej świadomości – w istocie sami znajdujemy się w drugiej fazie. Ale podczas eksperymentu rzeczywiście wydaje nam się, że przenieśliśmy się

w inne miejsce. Dlatego w pewnym sensie tak właśnie jest.

– Czy przestrzeń animogramu jest duża? – zapytał Tet.

– Jak cały wszechświat.

– A jak długo można obcować z nieboszczykiem?

– Długo. Ale nie w nieskończoność. Jest to po prostu doczytywanie animogramu, którym przestał się interesować Wielki Wampir. Jak gdyby się donaszało stare ubranie, które w każdej chwili może się podrzeć. Dlatego w limbo nie wolno marnować czasu.

– Czy my zostawiamy na animogramach jakieś ślady?

– Zdarza się. Ale wampir nurek powinien dążyć do tego, by w miarę możliwości żadne z jego działań nie pozostawiało śladów. Jest to, że tak powiem, miernik naszego profesjonalizmu.

– A kiedy ukazujemy się kilku różnym umarłym jednocześnie – zacząłem – i oni zaczynają się



nawzajem widzieć, gdzie się to wszystko dzieje?  
W której z ich indywidualnych przestrzeni?

Ull się roześmiał.

– Rama – powiedział – przypominasz teraz ucznia pierwszej klasy, który pyta nauczyciela o rachunek całkowity. Nie pakuj się w te sprawy przedwcześnie.

– Ja też chciałabym wiedzieć – wtrąciła Sophie – jak to będzie wyglądać dla wampira, jeśli umarłych będzie wielu? W którym konkretnie animogramie wszystko się będzie odbywać?

– Możecie sobie wyobrazić, jak wygląda taka przestrzeń, jeśli widzieliście późne obrazy Salvadora Dali. Był wampirem nurkiem i uprawiał ten sport dla natchnienia, komponując ze swoich zanurzeń skomplikowane koktajle. Ale te płótna przedstawiają, że tak powiem, odświeżoną stronę ciemnej rzeczywistości. My zaś jesteśmy zwykłymi wołami roboczymi i nie dążymy do takich wrażeń. Przeciwnie, staramy się zobaczyć w limbo jak najmniej – dokładnie tyle, ile trzeba, żeby

wykonać zadanie...

– Proszę pana – odezwał się Ez – ciągle mówimy o tym, jak wygląda świat pozagrobowy dla żywych. A jak on wygląda dla martwych?

Ull popatrzył na niego zdumiony.

– Już tłumaczyłem. Nijak.

– Nie – odrzekł Ez. – Chodzi mi o to, jak wygląda śmierć dla tego, kto umiera?

– Zależy dla kogo. W większości wypadków najbardziej przypomina grypowy sen. Z którego się nie obudzą, ale wręcz przeciwnie.

– A co z jasnym światłem, tunelem?

– Efekty tunelowe związane są z narastaniem głodu tlenowego w mózgu. Trwają niedługo i stały się tak znane tylko dlatego, że tworzą ostatnią granicę, jaką można sobie przypomnieć po reanimacji. Ostatniego doznania śmierci nie ma już kto wspominać. Całą resztę znamy tylko my, wampiry nurkowie. Tak... A kto teraz zada mi właściwe pytanie?

Ull popatrzył na mnie i zrozumiałem, na jakie

pytanie czeka. Ale tu znowu odezwał się Ez:

– Kim jest wampir poszukiwacz Boga?

Ull zmarszczył brwi.

– Gdzie o nich słyszałeś?

Ez wzruszył ramionami.

– Pytanie jest niewłaściwe – powiedział Ull – ale odpowiem na nie. To jedna z naszych archaicznych sekt – na szczęście praktycznie wymarła. Wampiry poszukiwacze Boga byli mistykami, którzy wyruszali w limbo, żeby znaleźć Wielkiego Wampira i zabić go. Starożytni wierzyli, że jest to możliwe. Przy czym byli wśród nich tacy, którym się to udawało. Nawet po kilka razy. Właściwie to było powodem upadku sekty – do jej członków stopniowo zaczęło docierać, że dzieje się coś absurdalnego... Był też drugi rodzaj wampirów poszukiwaczy Boga, mniej starożytny – ci wierzyli, że ten, kto ujrzy Wielkiego Wampira, zyska nieśmiertelność. I podobno gdzieś istnieją do dziś. Ale nie jestem na bieżąco, co u nich słychać... Rama?

– Jak wampir nurkuje w limbo?

– A to jest właściwe pytanie. Wampir – w każdym razie współczesny – nurkuje w limbo za pomocą specjalnego urządzenia, które nazywamy „nekronawigatorem”.

Pochylił się nad swoim papierowym workiem, pogrzebał w nim i pokazał klasie kilka wygiętych trójkątnych srebrzystych płytek.

– Ta rzecz, moi drodzy – powiedział – to właśnie środek transportu, na którym będziecie się przemieszczać w limbo. Oczywiście tak naprawdę nie chodzi tu o aparaturę. Po prostu wykorzystujemy swoje możliwości w dość niezwykły sposób. Oprócz nekronawigatora musicie mieć też próbkę czerwonej cieczy zmarłego. Dzięki temu wampir może postrzegać przestrzeń śmierci. Chociaż, jak już mówiłem, poza jego własną świadomością taka przestrzeń nigdzie nie istnieje.

Puścił płytki z rąk do rąk. Jedna od razu trafiła do mnie.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to jakaś proteza zębowa albo aparat korekcyjny, poprawiający nieprawidłowy zgryz. Chyba wkładało się ją na górne zęby, a jej występ dotykał podniebienia. Zobaczyłem na niej coś w rodzaju małych płaskich przyssawek.

– Mocuje się ją na kłach? – zapytałem.

Ull odwrócił się do mnie błyskawicznie z nagle poczerwieniałą twarzą.

– Wynoś się z klasy! Won! – wrzasnęła.

Nawet nie zdążyłem się przestraszyć.

– Ale dlaczego?

– On jest z Rosji – ujęła się za mną Sophie. – Tam do tej pory tak się mówi! Nie chciał nikogo obrazić, to po prostu inna kultura.

Ale Ull już się uspokoił. Odetchnął głęboko i niezdrowy rumieniec zniknął mu z twarzy. Chyba jemu samemu zrobiło się teraz głupio za własne zachowanie.

– Zapamiętaj sobie, Rama – powiedział. – Cywilizowane wampiry Zachodu nigdy nie

nazywają tych zębów tak, jak to przed chwilą zrobiłeś. W przyzwoitym towarzystwie uważa się to za coś niedopuszczalnego i obraźliwego. Mówimy „prawa górna trójka” i „lewa górna trójka”.

– Więc mocuje się je na... na...

– Na prawej i lewej trójce – powiedział Ull. – Specjalnymi śrubkami. Możesz spróbować go włożyć – nie jest naładowany.

Nie miałem ochoty wkładać tego żelastwa do ust – worek Ulla nie budził we mnie zaufania.

Zauważyłem na płycie zaokrąglone i wtopione w powierzchnię przyciski i coś w rodzaju trackpada – wypukłej ruchomej kulki. Kilka razy obróciłem ją palcem – przesuwiała się niezwykle łatwo. Potem nacisnąłem ją leciutko i nagle w metalowej powierzchni otworzyło się miniaturowe okienko, w którym widać było cieniutkie szczecinki – jakby mieściła się tam ukryta szczoteczka do zębów. Krótko mówiąc, była to bardzo dziwna rzecz.

Model, który oglądała Sophie, różnił się od mojego: był grubszy i miał dwie kulki-trackpady. Dziurek z ukrytymi włoskami też było więcej.

– Hej – zagadnąłem – a dlaczego u ciebie jest tyle dziurek?

– Jakich dziurek? To są porty.

– Wiesz, co to jest?

– Oczywiście.

Ull uśmiechnął się, słuchając naszej rozmowy. Widocznie wstyd mu było niedawnego wybuchu.

– My, starzy, sami także jesteśmy zapóźnieni – powiedział. – Mnie też może się przypadkiem wyrwać jakieś brzydkie słowo. W moich czasach wszyscy mówili „czerwona ciecz”. A teraz uważa się to za obraźliwe. Niektórzy domagają się nawet, żeby nekronawigator nazywać „wamponawigatorem”. Ale nie są to zwyczajne kaprysy poprawności politycznej. Ma to określony sens. W ciągu ostatnich dwudziestu lat w tych urządzeniach pojawiło się wiele nowych funkcji. Na przykład wbudowane słowniki i encyklopedie,

dzięki którym można odświeżyć swoją wiedzę w każdej dziedzinie. W związku z tym wiele osób nosi wamponawigator nawet w dzień. Na naszych ludzkich partnerach robi to duże wrażenie przy negocjacjach.

– A nie utrudnia mówienia? – spytałem.

– Utrudnia – potwierdził Ull. – Z każdym rokiem są one grubsze. Ale nasi ludzcy partnerzy są przygotowani na to, że wyższe kierownictwo niekiedy lekko sepleni. W tej kwestii zawsze możemy liczyć na ich pełne szacunku zrozumienie, che, che... Ale przycisków nie dotykaj, Rama... Przyrząd działa prawidłowo tylko w wilgotnym środowisku. Obejrzeście sobie? Wobec tego oddajcie, póki nie popsuliście. Są wprowadzane wykreślone z ewidencji, ale będę na nich szkolił jeszcze niejednego rocznik...

Odczekawszy, aż wszystkie srebrne płytki wrócą do worka, Ull usiadł na krześle pod tablicą i powiedział:

– Mechaniczny nekronawigator w obecnym



kształcie po raz pierwszy wyprodukowano w Niemczech w latach czterdziestych. Zrobili to ci sami niezbyt sympatyczni ludzie, którzy zamontowywali ampułki z cyjankiem w zębach bonzów Trzeciej Rzeszy. Co zapewne rzuca na to urządzenie dodatkowy mroczny cień, che, che...

– A co, wampiry kolaborowały z nazistami? – zapytał Tet.

Brwi Ulla uniosły się wysoko.

– Kolaborowały? My z nikim nie współpracujemy. Pozwalamy tylko Chaldejom, by nam służyli, ale nie oddajemy pierwszeństwa żadnej z ich klik. Nekronawigator skonstruowano w Niemczech wcale nie dlatego, że wampiry miały jakieś powiązania z nazistami. Dla nas to tacy sami nieciekawi klauni jak inni. Po prostu ludzka technologia właśnie tam i wtedy była w stanie zaproponować nam coś pożytecznego... Ale wampiry nurkują w limbo od głębokiej starożytności. Ma to odbicie w całym mnóstwie mitów. I prymitywne nekronawigatory istniały na

długo przed pojawieniem się ludzkich technologii. To urządzenie tak naprawdę liczy sobie co najmniej dziesięć tysięcy lat. Dawniej nazywano je po prostu „pogrążaczami”.

Wstał, podszedł do tablicy i narysował coś w rodzaju greckiej litery gamma z kółeczkami na bokach.

– O – powiedział – popatrzcie na to znalezisko archeologiczne... Tylko, proszę, w moich rękach... To bardzo stara i cenna rzecz.

Na dłoni Ulla pojawiła się duża trójkątna brosza żółtego koloru. Gdyby nie usłyszane wyjaśnienia, wziąłbym ją za zapinkę z jakiegoś kurhanu.

– A jak się ją ładowało czerwoną cieczą? – zapytał Ez. – Tu przecież nie ma szczecinek.

Ull wskazał na długie rowki po bokach złotej płytki.

– Tutaj mocowało się drewniane drzazgi z włoskami. Nawiasem mówiąc, niektórzy konserwatyści do dziś używają starych urządzeń. Zwłaszcza poszukiwacze Boga – ci, jak głosi

legenda, potrzebują czerwonej cieczy trzech świętych, a najlepiej Graala. Dlatego wszyscy Chaldejczycy tyle lat go szukali... No dobrze, nie odciągajmy od tematu.

Ull schował złotą zabawkę do worka.

– Najprostszy nekronawigator to zwykły kawałek metalu, który łączy ze sobą prawą górną trójkę z lewą górną, uciskając jednocześnie podniebienie w miejscu, nad którym znajduje się magiczny robak. Jeśli ten nacisk jest właściwie dobrany, wampir popada w stan, w którym zanurzenie staje się bardzo łatwe... W nowoczesnych modelach sprężynowych nacisk ten jest precyzyjnie regulowany, to duża wygoda. Ale te niuanse zależą od konstrukcji urządzenia... Niemniej w ostatecznym rezultacie wszystkie wamponawigatory, proste i skomplikowane, działają jednakowo. Kiedy wampir nakłada pogrążacz na wiadome zęby i pozwala, by nacisnął na podniebienie, popada w stan, który nazywamy „małym niebytem”.

– Słyszałam też określenie „*lucid death*”<sup>[12]</sup> – wtrąciła Sophie.

Ull przytaknęła.

– Tak też się mówi, ale rzadko. Wszystkie te słowa oznaczają w rzeczywistości jedno i to samo. Zanurzenie się to rodzaj świadomego snu. Treść snu określają preparaty w nekronawigatorze. Jeśli jest on napełniony czerwoną cieczą zmarłego człowieka, wampir klasy undead może się z nim spotkać w limbo. Odbywa się to nie tylko dzięki szczególnemu fizjologicznemu oddziaływaniu nekronawigatora, ale także dlatego, że mały niebyt wyostrza naszą wrażliwość na preparaty.

– A co to znaczy „świadomy sen”? – zapytałem.

– To znaczy, że pamiętasz, dlaczego się w nim znalazłeś. Ale stopień świadomości zależy od nurka. Czasami w ogóle tracimy kontrolę nad wydarzeniami i zapominamy, kim jesteśmy i co się dzieje. Wówczas oglądamy wyrazisty chaotyczny koszmar, niekiedy dość przerażający. Ale nie jest to szczególnie niebezpieczne – w końcu po prostu

przychodzimy do siebie w hamlecie.

– A dlaczego się to wszystko dzieje? – spytała Sophie.

Ull rozłożył ręce.

– Istnieje całe mnóstwo wyjaśnień. Tradycjoniści cytują stare wiersze. Żelazny arkan na Rogach Zwycięskiego i tak dalej... „I noc, i mgła, i stary dom wampira, ukryty w wirze pragnień czczych...” Wiele słów, a mało sensu. Jeszcze mniej jest go w naukowych interpretacjach. Na przykład, że łącząc bieguny anteny psychicznej, jak gdyby zamykamy drużynę Wielkiej Myszy w nieskończonym korytarzu między dwoma lustrami... Jeszcze inna szkoła filozoficzna naucza, że wiadome zęby w ogóle nie mają tu nic do rzeczy, tylko chodzi o nacisk na podniebienie, który sprawia, że magiczny robak szuka spokoju w szczególnym śnie – i ten sen jest jak ucieczka ze świata, do której pociąga on za sobą ludzki aspekt wampira... Osobiście jestem zwolennikiem tej ostatniej wersji.

Ull podszedł do tablicy i narysował schematyczny przekrój odwróconej głowy z otwartymi ustami. Potem wziął kredę w innym kolorze i dorysował w ustach coś w rodzaju wetkniętej między zęby łyżeczki, dotykającej podniebienia.

– Na czas zanurzenia wampir zawisa oczywiście głową w dół. Najczęściej we własnym hamlecie. Nekronawigator trzyma się na wiadomych górnych zębach nawet bez specjalnych zacisków – w czasie seansu górne zęby stają się dolnymi. Wymagany nacisk na podniebienie dawniej powstawał wyłącznie dzięki sile ciężenia – dlatego stare nekronawigatory były dość masywne. Nowoczesne są lżejsze...

Ull wyjął ze swego worka jedną ze srebrnych płytek, najstarszą i porysowaną, i popatrzył na nią z taką czułością, z jaką zapewne jubiler spogląda na oszlifowany przez siebie gigantyczny brylant.

– Ciekawe, że od czasów Trzeciej Rzeszy mechanika bloku nekronawigacyjnego właściwie

się nie zmieniała – powiedział. – Wzrosła tylko wielokrotnie liczba włosków z czerwoną ciecżą, co dało nam znacznie większe możliwości pozagrobowe. Wamponawigatory uruchamia się takim samym trzykrotnym naciśnięciem języka, jakim Reichsführer SS w swoim czasie odbezpieczał plombę z trucizną. Wampiry są konserwatywne i lubią sprawdzoną niemiecką technikę. Postęp jednak stopniowo przenika i tutaj, toteż dodatkowe możliwości pozagrobowe, które daje wamponawigator, rozszerzają się z każdym wiekiem... To jest, przepraszam, rokiem.

– Jakie dodatkowe możliwości pozagrobowe daje wamponawigator? – zapytał Ez.

– Niewyczerpane. Dziś w zasadzie wszelkie, i to każdemu żółtodziobowi od pierwszego dnia jego kariery. Tysiąc lat temu wyszkolenie nurka zabierało o wiele więcej czasu.

– Ale możliwości czego? – uściślił Ez.

– Wszyscy wiecie, co to jest cukierek śmierci – powiedział Ull. – Gdy trzeba okiełznać

rozszałętego niegodziwca, wystarczy włożyć cukierek do ust. Wtedy wasze ciało jak gdyby przypomina sobie nawyki sztuk walki, których nigdy przedtem nie miało. Klucz do nich znajduje się w czerwonej cieczy bojownika dawcy. Wamponawigator – to kilkaset cukierków śmierci, a nawet kilka tysięcy. Znajdują się w nim oczyszczone preparaty z czerwonej cieczy najwytrawniejszych nurków starożytności, którzy przez dziesięciolecia uczyli się wizualizować takie czy inne przerażające lub urzekające zjawiska w swoim kontrolowanym śnie. To pozwala wampirowi działać w sposób nadnaturalny. Oczywiście, nie w świecie fizycznym. Konwencja zakazuje takich preparatów, nawet jeśli kiedyś istniały. Cudów można dokonywać tylko w limbo. Ale tam możecie praktycznie wszystko...

Nagle poczułem, że muszę powiedzieć coś gorzkiego i sceptycznego.

– Po co mamy dokonywać cudów we śnie? – zapytałem. – Czy nie lepiej...



– Nie – przerwał mi Ull. – Nie lepiej. Te umiejętności potrzebne są po to, żebyście mogli swobodnie rozpracowywać animogramy i otaczającą ich rzeczywistość. Bez specjalnych nawyków, jakie daje wamponawigator, musielibyście się uczyć tej sztuki przez połowę życia. Tak jak to było dawniej.

– A co to jest przewijanie animogramów? – zapytał Tar.

– Przewijamy animogramy, w określony sposób ingerując w ich strukturę. Ale o tym pomówimy jutro. Są jeszcze jakieś pytania?

– Jak można kierować wamponawigatorem we śnie? – zapytał Ez.

– Wampir zawsze zachowuje niewielką szczątkową kontrolę nad mięśniami ust i języka, wystarczającą, by posługiwać się urządzeniem.

– A dlaczego nie powiedział pan nic o wampotece? – spytała Sophie.

– Dlatego że nie cierpię tej elektronicznej rozpusty – odparł Ull. – Żartuję, żartuję. Właśnie

zamierzałem wam powiedzieć. Dawne nekronawigatory były czysto mechaniczne, a teraz dołącza się do nich blok z... Jak to się nazywa... Nanonapędem... Nawet nie wiem dokładnie, jak ta nowa część działa. Coś tam cicho brzęczy. Chodzi tu właśnie o tę całą wampotękę, której dawniej nie było. Nekronawigator w połączeniu z nią nazywa się już wamponawigatorem.

– Co to jest? – spytałem.

– To rodzaj encyklopedii z preparatów czerwonej cieczy. Małeńki cylinder z mnóstwem cieniutkich włosków nanostrykawek, wykonanych według specjalnej technologii. Wampotęka ma osobny obwód sterowania. To najbardziej zawodna część, jako że są tam miniaturowe detale i elektronika. Doświadczony nurek nigdy z niej nie korzysta. Częstotliwość awarii tego zespołu jest wprost proporcjonalna do objętości zawartej w nim informacji. Zgodziliśmy się na to, bo wampotęka nie jest zespołem krytycznym. Zawiera tylko nagą informację katalogową, oczyszczoną wcześniej przez wampiry czyścicieli. Coś

w rodzaju preparatów, na których się uczyliście. Pewnego rodzaju sumę dyskursów i wiadomości, przydatnych do przeprowadzania udanej hipnozy animogramów. Informacja w wampotece jest dobrana w taki sposób, by wyprzedzała standardowe ludzkie rozumienie dokładnie o pół kroku. Żeby człowiek, chwilowo wskrzeszony albo nawet żywy, mógł przy niewielkim wysiłku umysłowym zrozumieć wampira. I uświadomić sobie z zawiścią, jak dalece wampir go przewyższa. To jest główne przeznaczenie wampoteki.

– Nie rozumiem – powiedział Tet – jaki sens ma w epoce cyfryzacji zapisywanie informacji w preparatach czerwonej cieczy?

Ull popatrzył nań z politowaniem.

– Sens jest bardzo prosty – odrzekł. – Jeśli chcesz skorzystać z informacji, którą zapchane są ludzkie nośniki cyfrowe, będziesz musiał ją tankować przez ludzki interfejs – dwoje głupich oczu i mózg, powoli analizujący litery. Ściągnięcie

książki czy filmu zajmuje dwie sekundy, przechowywać je można pod paznokciem, ale ładować w siebie zawartą tam informację musiałbyś przez tydzień. A preparat czerwonej cieczy to kanał najszybszy. Nie tylko uzyskujesz dostęp do informacji, ale natychmiast trafia ona do twojej pamięci operacyjnej – i już jest gotowa do wykorzystania. Na tym polega ogromna wyższość wampira nad człowiekiem.

Ull miał absolutną rację.

– Czy trudno jest kierować wamponawigatorem? – zapytałem.

– Tak łatwo, że nawet tego nie omawiamy. Nauczycie się od razu... Podczas małego niebytu ruchami waszego języka nie kieruje sam mózg, ale mózg w symbiozie z magicznym robakiem, dzięki czemu osiągacie taką precyzję, z jaką robot montażowy przesuwa mikroschemat w promieniu lasera. Nie zdarzają się żadne zakłócenia.

– A w jaki sposób zapamiętujemy, gdzie w wamponawigatorze jest jaki preparat? –

zadałem pytanie, którego sam nie bardzo rozumiałem.

Ull zaśmiał się i poklepał mnie po głowie. Byłem tak zajęty myślami, że zapomniałem, jak miałem na to zareagować – a kiedy sobie przypomniałem, było już za późno.

– Pytanie Ramy świadczy o całkowitym niezrozumieniu przedmiotu. Mimo to odpowiem. Przy aktywacji urządzenia pierwsze mikroukłucie w język przekazuje wampirovi całą niezbędną informację techniczną. W ubiegłym wieku popularna była inna metodyka – przed wejściem w trans wampir przez kilka sekund patrzył na schemat wamponawigatora, by odcisnął mu się w mózgu. Ludzka świadomość przy tym niewiele zapamiętuje, ale wyższy umysł wampira rejestruje wszystko z fotograficzną precyzją. Więc nie martw się, Rama. Nikt nie będzie miał problemów z wamponawigatorem, nawet ty...

Te słowa, zamiast pobudzić we mnie ostrą konstruktywną urazę, na co chyba liczył Ull, tylko

znów pograżyły mnie w apatii.

– Koniec lekcji! – oznajmił Ull. – Jutro ostatnie zajęcia. Będziemy omawiać zagadnienia praktyczne. Nie spóźniajcie się...

Postanowiłem zaczekać, aż wszyscy wyjdą z klasy – i zakryłem twarz rękami. Wkrótce hałas i gwar ucichły. Ostatnie, co usłyszałem, był dobiegający z korytarza krzyk Ulla, który z irytacją odpowiadał na spóźnione pytanie:

– Nie! Limbo to nie raj i nie piekło! A my nie jesteśmy szkołą parafialną!



Wydawnictwo Literackie

# ŚWIADKOWIE NIEUNIKNIONEGO

Kiedy zapadła cisza, na wszelki wypadek policzyłem do stu i dopiero wtedy otworzyłem oczy.

I drgnąłem.

Sophie nie wyszła razem ze wszystkimi. Siedziała obok i patrzyła na mnie z uwagą, czekając, kiedy powrócę do życia.

– Przestraszyłaś mnie – powiedziałem.

– Wszystkiego się boisz – odparła przenikliwie – bo dorastałeś w państwie policyjnym.

Nie wiem, dlaczego ta przenikliwość wyprowadziła mnie z równowagi. Postanowiłem przejść na angielski.

– *I always marvel at how an average American combines carrying all that crap inside his or her head with being brainwashed all the way down to her or his ass...* [\[13\]](#)

Konstrukcja zdania wypadła kulawo i ciężko – nie przywykłem do wypowiadania się po angielsku.

– *What?*

Wzruszyłem ramionami. Sophie zaśmiała się nerwowo.

– Po pierwsze, nie ma potrzeby mówić „*his or her*”, można powiedzieć po prostu „*her*”. Jak będziesz wszędzie wstawiać rodzaj żeński, nikt ci nie zarzuci genderycznego szowinizmu. A po drugie, o co ci chodzi?

– Po prostu nie lubię, kiedy się atakuje moją ojczyznę.

– Jesteś śmieszny – odparła. – Wy, Rosjanie, w ogóle jesteście śmieszni. Bo wszystko bierzecie do siebie. A do siebie należy brać tylko pieniądze, reszta to spam. Jesteś wampirem. Dla wampira



państwo policyjne to nie jest coś najstraszniejszego na świecie.

– Wiem – powiedziałem ponuro. – Najstraszniejszy na świecie jestem ja.

– Masz manię wielkości, Rama. Ale jeśli chcesz zobaczyć coś naprawdę strasznego, to dziś jest taka okazja.

– Masz na myśli swoją duszę? – spytałem. – Którą jeszcze raz pokażesz mi w hamlecie?

Znowu się roześmiała, ale poczułem, że udało mi się ją dotknąć.

– Jakiś ty miły, *baby* – odparła. – A ja myślałam, że wczoraj naprawdę staliśmy się sobie bliżsi...

Nagle zrobiło mi się wstyd. Pomyślałem, że zachowuję się jak baba. A za to ona – jak prawdziwy mężczyzna. Moja odpowiedź powinna być ironiczna i lekka. I podrywczco, czyli uwodzicielsko aluzyjna.

– Oczywiście, że staliśmy się bliżsi, *baby* – powiedziałem. – Po prostu się wygłupiam.

Przepraszam, *baby*... À propos państwa policyjnego. Nie przyszło ci do głowy, że pedofilia u Anglosasów to nie odchylenie, tylko źle skrywana orientacja milczącej większości?

– Nie – odrzekła Sophie. – Dlaczego?

– Bo inaczej skąd by się wziął w stosunku do partnera seksualnego taki zwrot jak „dziecko”? Czym jest „*baby*”, jeśli nie freudowskim przejęzczeniem, które powtarza się tak często, że stało się obiegowym wyrażeniem, rozbrzmiewającym w milionach sypialń? Albo nawet nie przejęzczeniem, ale po prostu nawykiem, pozostałym po seksie norweskim?

– A cóż to takiego?

– To seks z niemowlętami. Które nie mogą się poskarżyć. Stąd właśnie ta autoanalityczna histeria. Ten zażarty *denial* na skalę transatlantycką...

Sophie nagle cmoknęła mnie w policzek – zaśmiała się, kiedy drgnąłem zaskoczony. Byłem jednak pewien, że mnie nie ukąsiła.

– Otóż to, *baby* – powiedziała. – Chciałam z tobą pomówić właśnie o sypialniach i partnerach seksualnych.

Poczerwieniłem.

Trudno dyskutować z rozmówcą, nastawionym na określony cel, dokładnie wiedzącym, czego chce. Nie pomaga ani zły nastrój, ani złośliwość. Ani nawet otrzymane od zwierzchników zadanie bronienia narodowego dyskursu.

– Chcesz pomóc bliskiej istocie? – spytała Sophie.

– Zależy, jak bardzo bliska jest ta istota – powiedziałem. – I na jak długo.

Sophie uśmiechnęła się tajemniczo.

– Spodoba ci się, *baby*. Obiecuję.

– Co miałbym zrobić?

– Odwiedzić razem ze mną sypialnię Draculi.

– Po co? – spytałem.

– Kiedyś w tym zamku było archiwum Draculi. I jego rzeczy osobiste. Uważa się, że całe

archiwum zniknęło, kiedy rozprysła się Okrągła Komnata. Podobno wszystkie próbówki się potłukły i preparaty wsiąkły w ziemię. Mówiłam ci już, że to kłamstwo. Archiwum Draculi zniszczono świadomie.

– A co konkretnie chciano ukryć?

– Ślady i świadectwa myśli, do których doszedł pod koniec swego życia. Wszystkie jego zapiski, dzienniki i nawet rzeczy osobiste ukryto albo spalono. Oprócz jednego, jedyne go obiektu.

– Jakiego?

– Obrazu. Który namalował sam Dracula.

– Chcesz go zobaczyć?

Sophie przytaknęła.

– A do czego ja ci jestem potrzebny?

– Widzisz, sypialnia Draculi to miejsce zakazane. Chronione pułapkami, które obmyślił sam hrabia. Można je przebyć tylko we dwoje.

– Jest tam monitoring?

– Tego akurat nie ma – rzekła Sophie. – Nikt by

się nie ośmielił. Zresztą nawet by nie mógł.

Było niepojęte, skąd ona ma takie szczegółowe informacje. Wyraźnie przygotowała się do wyjazdu.

– Są pułapki, a nie ma monitoringu?

– Właśnie dlatego nie ma, że są tam pułapki – odparła. – Gdyby tam był monitoring, obserwator musiałby wyratować tego, kto w nie wpadł. No, albo jakoś zareagować. On by za to odpowiadał. A jeśli nie ma nagrania, nie ma i wydarzenia.

Była to logika prawdziwie wampiryczna.

– A co to za pułapki?

– To niezupełnie pułapki... Znaczy, oczywiście pułapki, ale Dracula wpadał w nie niemal każdej nocy... I to nie sam. Myślę, Rama, że to jest właśnie to, czego chcesz...

Przełknąłem ślinę.

– Więc pójdziesz? – spytała.

– Kiedy?

– Dziś w nocy.

– Pójdę – powiedziałem z determinacją.

Uśmiechnęła się.

– Świetnie. Przyjdę po ciebie o północy. Nie śpij.

Jakimż głupim i ufnym zwierzęciem jest mężczyzna. Stale wpada w jeden i ten sam potrzask, który, nawet tego nie ukrywając, szykuje mu wroga istota o zimnej rybiej krwi. I mało, że wpada – sam tego potrzasku szuka. Często za wielkie pieniądze.

Mimo wszystko zasnąłem.

Sophie musiała kilka razy pukać, żeby wyciągnąć mnie z trumny. Ale kiedy otworzyłem drzwi i ją zobaczyłem, aż przygryzłem wargę – tak była piękna. Miała na sobie czarny dres, który upodabniał ją do ninja albo do więźniarki z jakiegoś nowoczesnego i stylowego zakładu karnego gdzieś w Skandynawii.

Wywołała mnie na korytarz.

– Nie wejdiesz? – spytałem.

– Teraz nie pora. Mamy najwyżej trzy godziny.

Chodźmy szybciej.

Dała mi znak, żebym milczał i szedł za nią.

Szybko dotarliśmy do miejsca, gdzie odnoga mojego prywatnego korytarza łączyła się z resztą zamku. Tak jak się spodziewałem, Sophie skierowała się do głównych schodów.

Kiedy weszliśmy na wyłożony różnobarwnymi płytkami podest, przywołała mnie do wąskich drzwiczek z symbolem pożarniczym – albo tym, co za niego wziąłem.

Były tam narysowane języki płomieni i wiszący nad nimi hełm. Hełm przypominał raczej kask rzymskiego legionisty niż nakrycie głowy strażaka, pomyślałem jednak, że w autonomii wampirycznej ten wizerunek mógł się zachować jeszcze z czasów antycznych – i że mam teraz przed sobą rodzaj pompejańskiego pęcherza kulturowego. Niesamowite, ile hipotez historycznych mogą stworzyć w tak krótkim czasie podniecenie i strach.

Za drzwiami nie było jednak żadnego sprzętu

przeciwpożarowego. Zobaczyłem ceglany mur, z którego sterczały żelazne klamry, prowadzące w górę i w dół. W niszy, bez podłogi i sufitu, było to przejście awaryjne. Gdzieś daleko w dole – tak daleko, że z pewnością zakręciłoby mi się w głowie, gdybym nie był wampirem – świecił czerwony punkcik, podobny do ogieńka papierosa.

Sophie precyzyjnie się przez drzwiczki i zniknęła w górze. Ruszyłem za nią, ale stanęła mi nogą na głowie i omal nie zepchnęła do studni.

– Zamknij właz – syknęła.

Trudno było to zrobić jedną ręką, ale jakoś sobie poradziłem – i dokoła zrobiło się całkiem ciemno.

Zaczęliśmy się wspinać w górę.

Szyb stopniowo się rozszerzał. Kilka razy Sophie zapalała latarkę i rozglądała się dokoła. Potem gasiła światło i ruszała dalej. Podczas jednego z takich przystanków wreszcie coś znalazła. Przywarła do cegieł i kopnęła w ścianę. Posypał się na mnie pył. Sophie kopnęła jeszcze



raz i zrobiło się widniej. Otworzyły się takie same drzwiczki w ścianie jak te, przez które weszliśmy do szybu.

– Wyłazimy – powiedziała Sophie.

Znaleźliśmy się na innym podeście z podłogą z kolorowych rombów.

– Dlaczego nie poszliśmy schodami? – zapytałem.

– Nie ma przejścia.

Zobaczyłem, że prowadzące w górę schody kończą się masywnymi drzwiami, zamkniętymi na kilka grubych rygli. Na stopniach przed drzwiami leżała gruba warstwa kurzu – jakby specjalnie nasypanego przez dekoratorów. Było widać, że drzwi dawno nie otwierano.

– Dokąd prowadzą te drzwi? – spytałem.

– Do wielkiej sali – powiedziała Sophie. – Tam Dracula przyjmował gości.

– Można tam wejść?

– Teraz już nie.

Przeszliśmy pod wykładanym malachitem łukiem, po bokach którego stały dwa pozieleniałe ze starości posągi, wyobrażające kozłonogich satyrów z otępiałymi z rozkoszy oczami i nieprzyzwoicie sterczącymi brązowymi członkami. Nigdy dotąd nie widziałem niczego tak bezpruderyjnego. Zresztą, nie dziwota – z pewnością wszystkie tego rodzaju antyki, które trafiły w ręce ludzi, wiele stuleci temu zostały przetopione na dzwony i ukrzyżowania. Coś takiego mogło się zachować tylko u wampirów.

– Hrabia musiał podtrzymywać image libertyna – powiedziała Sophie. – Przyjaźnił się nawet z młodym Oscarem Wilde’em, który wiele od niego przejął. W ówczesnej Anglii od wampira oczekiwano właśnie tego.

– A co, był pedziem? To jest gejem?

– Nie sędzę. Ale zawsze starał się wywoływać u Chaldejów jak najbardziej dwuznaczne wrażenie...

Korytarz, którym szliśmy, był wyłożony dębową

boazerią. Światło wpadało przez okienne witraże, przedstawiające kawalerów i damy, harcujących na koniach pod murami twierdzy w otoczeniu zwierząt i ptaków. Między witrażami wisiały obrazy podobne do ilustracji w romansach rycerskich. Zauważyłem stojące we wnękach ścian wazony ze świeżymi kwiatami.

– Kto tutaj mieszka? – spytałem.

– Nikt. Ale wszystko jest utrzymywane tak jak za życia hrabiego.

Zatrzymała się pod dębowymi drzwiami ze szczególnie kunsztowną płaskorzeźbą, wyobrażającą ptaki w koronie wielkiego drzewa.

– Tu są prywatne komnaty hrabiego – powiedziała. – Teraz słuchaj. Kiedy przejdziemy przez te drzwi, żarty się skończą. Jeśli chcesz stąd wyjść z powrotem, rób dokładnie to, co ci powiem. Od razu, bez zastanowienia. Rozumiesz?

Ogarnął mnie niepokój.

– Mówiłaś przecież, że mi się spodoba – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Spodoba ci się. Ale nie ma gwarancji, że przy tym zachowasz życie.

Po tych słowach chyba bym zawrócił – gdybym miał pewność, że odnajdę drogę powrotną. Ale nie miałem jej. Mogłem wleźć do szybu z klamrami. Ale wątpliwe, czy odnalazłbym w głębokiej ciemnej studni pierwsze drzwiczki, które tak lekkomyślnie zamknąłem.

– Zaraz, zaraz – powiedziałem. – Nie ma tak dobrze. Najpierw mi powiedz, co tam będzie. I dlaczego muszę cię słuchać.

– Zobaczysz dużo różnych rzeczy – odrzekła Sophie. – A słuchać mnie musisz dlatego, że będziesz udawać hrabiego.

– Ja? Przed kim?

– Przed jego machiną uwodzenia.

Najwyraźniej moja mina zrobiła na niej złe wrażenie. Sophie zasepiła się.

– Nie – powiedziała po chwili. – Nie dasz rady udawać hrabiego. Udawać hrabiego będę ja.

– A ja?

– Ty będziesz... – przez sekundę szukała słów – odgrywać dziewczynę, z biednej, ale porządnej rodziny, którą hrabia podjął kolacją, niepostrzeżenie ugryzł w szyję i przywiózł do domu, bo biedulka nie miała gdzie nocować.

– Czemu tak pokrętnie? – spytałem.

– *Based on the true story* – powiedziała i położyła rękę na kłamce. – Odegramy prawdziwą scenę z prywatnego życia hrabiego, którą dobrze znam...

– Skąd?

– Z DNA jednej z jego kochanek, która u niego gościła. Wiem z najdrobniejszymi szczegółami, co widziała i słyszała. Mało tego, umiem na pamięć wszystko, co mówił jej Dracula – cały jego rytuał, że tak powiem. Spróbujemy go powtórzyć. Jeżeli nie będzie zbyt wielkich odchyień od fabuły, wszystko powinno pasować. Żeby utrzymać się w ramach czasowych, będę mówić to samo co hrabia.

– A co ja mam odpowiadać?

– Co chcesz.

– A po co to wszystko?

– W rezultacie – odrzekła Sophie – mam nadzieję zdobyć pewną nagrodę. Bardzo niewielką. Której bardzo potrzebuję. A ty... Ty też dostaniesz swoją nagrodę.

Brzmiało to obiecująco.

– Okej – powiedziałem.

– No to skup się, zaczynamy. Jesteś gotów?

Przytaknąłem.

Otworzyła drzwi. Za drzwiami było ciemno.

– Panie przodem – powiedziała nienaturalnym męskim głosem.

Zrobiłem krok w ciemność. Przez sekundę nic się nie działo. Potem przez twarz przemknęła mi fala powietrza – jakby tuż obok zatrzepotało lekkie skrzydło albo wachlarz. Chociaż mógł to być po prostu przeciąg.

Zapaliło się światło i zobaczyłem wielką

komnatę o wyszukanym, staromodnym wystroju. Przy ścianie stało łóżko z baldachimem, wykonanym (dość realistycznie) na kształt rozwartej paszczy krokodyla. Jak na sypialnię jednak było tu zbyt wiele *objets d'art*. Na ścianach wisiały obrazy, a po obu stronach łóżka stały zbroje rycerskie ze złotą inkrustacją – jeden żelazny rycerz miał w rękach miecz, a drugi kopię. Pod ścianą stał niski stolik z przyborami do herbaty. Obok dwa fotele. Ale przytłaczające wrażenie robiła podłoga z kamiennych płyt, poprzedzielanych głębokimi czarnymi szczelinami.

– Napijemy się herbaty? – spytała basem Sophie.

Aż podskoczyłem. Sophie się zaśmiała.

– Nie bój się. Kiedy się wcielam w Draculę, mówię męskim głosem.

Poczułem nagłą chęć, by wyjść z tego pokoju z powrotem na korytarz. Nacisnąłem klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte.

– Już za późno – wyszeptała Sophie.

Nie wiedziałem, w czym imieniu to powiedziała – swoim czy Draculi.

Podeszła do stolika, potarła zapalnik i zapaliła płaską spirytusową maszynkę pod przypominającym kolbę szklanym czajnikiem. Nad maszynką pojawił się krąg błękitnego ognia.

– Bardzo nowoczesny ten czajnik – zauważyłem. – Czy w jego czasach takie były?

– Nie wiem – odparła Sophie.

– A kiedy konkretnie żył Dracula?

– Najprościej będzie powiedzieć, że zawsze. Do wielkich transcendentnych istot w ogóle nie da się zastosować takiego pojęcia jak daty życia. Zawsze otaczają je anachronizmy i chronologiczne paradoksy. W różnych epokach Dracula pojawiał się wśród ludzi pod różnymi postaciami i za pomocą specjalnych praktyk mocno wydłużył swój byt fizyczny. Widziałam nawet sentencje Draculi, w których mówi o programach komputerowych i wirusach. Ale to już ewidentne przegięcie...

Sophie popatrzyła na zegarek.



– Niestety, drogie dziecię – powiedziała basem – kiedy mówiłem, że na mnie i na tym miejscu ciąży klątwa, nie żartowałem.

– Przerazasz mnie – odrzekłem.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Nie mam władzy nad tym, co teraz nastąpi – oznajmiła tym samym melancholijnym głosem. – Jeśli chcesz odejść, odejdz! Tak, tak, odejdz – po cóż masz ginąć razem ze mną? Tak, chcę tego – nie ze względu na siebie, ale na ciebie, na czyste kwiecie twojej młodości... O nie, tylko nie to! Drzwi się nie otwierają? A więc już za późno... To jest właśnie owa klątwa, o której mówiłem..

Słowa Sophie zakładały pewien dramatyzm wydarzeń, ale wygłaszała je bez szczególnej intonacji, sprawdzając czas na zegarku i robiąc długie pauzy między zdaniami.

Potem usiadła przy stoliku i zaprosiła mnie, bym usiadł obok.

– Pijemy herbatę – powiedziała swoim zwykłym głosem i rzeczywiście zaczęła zaparzać herbatę

w lśniących chemiczną czystością szklanych naczyniach, które stały przed nią na tacy.

Usadowiłem się w fotelu naprzeciw.

– Co się tu dzieje?

– Bo widzisz – odrzekła – hrabia Dracula był nie tylko donżuanem, ale również mizoginem, co zresztą jest połączeniem dość częstym. Wiedział, jakie struny kobiecego serca potrafić, żeby osiągnąć to, czego chce. Ale tyle razy w swoim życiu powtórzył rytuał uwodzenia, że stopniowo zaczęło go to śmiertelnie nudzić. W końcu, zgodnie z modą zaprzeszłego wieku, postanowił go zmechanizować.

– Jak można zmechanizować uwodzenie?

Sophie spojrzała na zegarek i zrobiła minę, która miała imitować poważną męską twarz.

– Chcesz wiedzieć – przemówiła basem – kto mnie przeklął? Nie pytaj. Mroczne tajemnice wampirów nie uszczęśliwią cię, moje dziecko. Twój czysty i jasny umysł nie pomieści grozy owej lodowatej nocy... Nie, nie powinnaś wiedzieć...

Odpowiedzi uwodzonej istoty nikt nie dubbingował, ale i tak były całkowicie zrozumiałe.

Usłyszałem cichy zgrzyt. A potem spostrzegłem, że podłoga się poruszyła. Zaczęła się obniżać – a my razem z nią. Łoże jednak pozostało na miejscu.

Sophie, jak przystało na uwodziciela, zachowała spokój i nadal się uśmiechała.

– Nie bój się, moje dziecię – zadudniła basem. – Nie jesteśmy jeszcze na dnie piekła... Na razie...

– Co, on rzeczywiście to mówił? – spytałem.

– Uhm. Potwór jeden.

Szyb, do którego się opuszczaliśmy przy akompaniamencie szczękania niewidzialnych kół zębatych, robił się coraz głębszy. To, co kiedyś było płytami podłogi, okazało się płaskimi zakończeniami czworograniastych kolumn. Łoże-krokodyl nawisało teraz nad nami – zdawało się, że spoglądamy z dołu w ogromną paszczkę przedpotopowego gada. Płyty podłogi utworzyły

coś w rodzaju prowadzących w górę schodów – można było jeszcze nimi wrócić do aksamitnych zębisk.

Sophie popatrzyła na zegarek.

– Przepaść... – wyrzekła basem. – O, gdybym mógł po prostu zasnąć na wieki w tej otchłani... Ale zgotowano mi inny los...

Minęło jeszcze parę sekund, potem zabulgotało i na najniższej płycie podłogi zaczęła się zbierać ciemna kałuża. Ciecz szybko się podnosiła – wkrótce zatopiła kilka płyt. Była czerwona. Ciemnoczerwona.

– Po co on to wymyślił? – spytałem.

– Dracula mówił, że upokarza go konieczność uciekania się do przedkoitalnych łgarstw. I starał się sprowadzić do minimum wszystkie, jak mawiał, obłudne melodramaty.

– W taki sposób? – zapytałem, wskazując czerwoną kałużę, stopniowo zbliżającą się do naszych stóp. – Czy to nie za bardzo kłopotliwe?

– Jeżeli miałyby to być jeden raz, to tak. Ale on

stawiał na powtarzalność. Eksploatował stworzoną przez siebie romantyczną aureolę przez całe dziesięciolecia. Jeśli nie stulecia. Kiedyś jego włoskie i greckie przygody zainspirowały Johna Polidoriego do stworzenia pierwszej znaczącej postaci aktywnego seksualnie wampira arystokraty. Wielu rozumie to dzisiaj jako alegorię brytyjskiego kolonializmu, ale rzeczywistość jest znacznie prostsza...

Przypomniałem sobie wiersz ze szkoły. Był to jeden z tych nielicznych wypadków, kiedy wiedziałem na pewno, kto napisał wersy, które utkwily mi w głowie.

– „Brytyjska muza sen dziewoi banialukami niepokoi, i dziś, na osobliwy gust, to Wampir będzie wśród jej bóstw, to...”<sup>[14]</sup> Czy jeszcze ktoś tam – powiedziałem. – Puszkina.

– No widzisz, dotarło nawet do waszych kopnych śniegów. Dracula starał się nie zmieniać wizerunku bez koniecznej potrzeby. Płaszcz z czerwonym podbiciem, nakładane, za

przeproszeniem, kły – wszystko to wprowadził w modę właśnie on. Oczywiście to cyniczne. Ale działało lepiej niż wszystkie dzisiejsze metody podrywu.

Przypomniałem sobie, jak definiował „podryw” mój nauczyciel Loki: „połączenie niecznych chwytów i cynicznych podstępów, stosowanych przez szmatławców, którzy nie są w stanie albo nie chcą uczciwie rozliczyć się z kobietą za seks”. Głośno tego jednak oczywiście nie powiedziałem. Zamiast tego spytałem:

– Dlaczego kobiety łapią się na coś takiego?

– Kobiece serce samo wypatruje okazji, żeby się nabrać – westchnęła Sophie. – Dlatego bardzo łatwo je oszukać.

Tymczasem czerwona farba podpływała coraz bliżej naszych nóg. Wyglądało to naprawdę groźnie.

– Moim zdaniem – odezwałem się – powinnaś teraz coś powiedzieć basem.

Popatrzyła na zegarek.

– Lada chwila mroczne morze zemsty – zadudniła – zamknie się nad moją głową. Ze wszech miar zasłużyłem na zgubę i nie buntuję się... Jaka szkoda, moje dziecię, że podzielisz ze mną mój los...

Milczałem.

– Tu powinieneś zadać pytanie – powiedziała Sophie normalnym głosem. – Czy nie można powstrzymać klątwy.

– Powiedzmy, że je zadałem.

– Ocalić mnie może tylko miłość – odrzekła basem Sophie – która nagle zapłonęła w sercu młodej i czystej istoty... Ale czy to w ogóle możliwe?

– To jakiś upiór z Canterville – skrzywiłem się.

Sophie kiwnęła głową.

– Teraz wiesz, skąd młody Wilde zaczerpnął fabułę.

– A co, on też tu siadywał?

Sophie jakoś niepewnie wzruszyła ramionami.

– I ten prymitywny chwyt naprawdę działał?

– Działają tylko rzeczy proste – powiedziała Sophie. – I w sprawach prostych, i w skomplikowanych... Wyobraź sobie, że jesteś dziewczyną Draculi, która widzi, że czerwona ciecz za chwilę popłami jej ulubioną sukienkę, i szuka cywilizowanego wyjścia z tej dziwacznej sytuacji. Co byś powiedział?

– Miłość? – zapisał cienkim głosem. – Nie wiem, moje serce należy do innego. Ale promień współczucia jest w nim tak jasny, tak świetlisty... On wyrwie cię z tego mroku, miły Draculo... Oto moja ręka...

– Wspaniale – powiedziała Sophie. – Właściwie słowo w słowo. A gdzie ręka?

Wstałem i podałem jej rękę. Wzięła mnie za palce i poprowadziła po wąskich i stromych kamiennych schodach. Wreszcie dotarliśmy na górę i padliśmy na łożo. Teraz było to jedyne wysokie i bezpieczne miejsce w sypialni. Ucieczka była niemożliwa – pod drzwiami



wejściowymi ziało urwisko, na którego dnie ciemniała czerwona ciecz. Stolik do herbaty wydawał się Atlantydą, tonącą w oceanie zemsty.

Metodyka Draculi zaczynała mi się podobać.

– Muszę do łazienki – powiedziałem.

– Znów prawie zgodnie z tekstem – zaśmiała się Sophie. – O, tędy.

Zobaczyłem, że nie wszystkie płyty podłogi wokół łóża zjechały w dół – przy ścianie pozostała dróżka do niewielkich drzwi, ukrytych za zwierciadłem. Dróżka przypominała ścieżkę w górach – przejść do łazienki można było tylko przywierając do jednego z rycerzy, a potem do ściany.

Nigdy wcześniej nie widziałem wiktoriańskich urządzeń sanitarnych i miałem uczucie, jakbym popełniał świętokradztwo na ołtarzu nieznanego boga. Kiedy wyszedłem ze świątyni fajansu i miedzi, Sophia leżała na wznak z poduszką podłożoną pod głowę i z uwagą wpatrywała się w ścianę z obrazami. Przedostałem się po

kamiennej ścieżce z powrotem, delikatnie położyłem się obok i powiedziałem:

– Zdaje się, że rozumiem etyczny sens tego rytuału.

– Ach tak. I na czym on polega?

– Wiele razy zauważyłem, że kobieta... Jak by to powiedzieć... Nie to, że odczuwa strach przed zbliżeniem... Ale, ujmijmy to tak, nie chce brać za nie odpowiedzialności. Odpowiedzialność zawsze albo ponosi partner, albo jest wynikiem nieprzewidywanego zbiegu okoliczności. Widocznie Dracula też nie chciał brać na siebie zbyt wielkiej odpowiedzialności i postanowił wykorzystać nieprzewidywany zbieg okoliczności, który postarał się zmechanizować. Żeby maksymalnie uprościć wstępny melodramat... Myślę, że nie liczył na to, iż jego towarzyszka uwierzy w prawdziwość tego, co się dzieje – kobiety nie są jednak aż tak głupie. Dawał jej tylko możliwość udawania, że uwierzyła. Żeby mogła zachować twarz w całym jej bezdusznym

grymasie. Bardzo po angielsku. Prawdziwy dżentelmen...

– Nic nie rozumiesz – powiedziała Sophie niemal czule.

– Tak?

Kiwnęła głową, popatrzyła na zegarek i przemówiła basem:

– Mój upadły aniele... Mówię „upadły”, albowiem już prawie runęłaś w otchłań grzechu wraz ze mną... Ale jasny promień miłości w twoim sercu ocali nas oboje, wiem to... Ale dość już słów...

Odwróciła się do mnie i nakryła wargami moje usta. Zrozumiałem nagle, że Dracula w tym momencie przechodził do rzeczy, i że Sophie chyba traktuje to serio. Oddałem jej pocałunek, a potem jej ręce przebiegły po moim ciele i pojąłem, że jest nastawiona wręcz bardzo serio...

Następne pół godziny opuszczę. Jest to jedno z najśłodszych i najczulszych wspomnień mojego życia i nie jestem jeszcze gotów, by się nim

dzielić. Zresztą nie mam z kim.

Przez pół godziny leżeliśmy obok siebie, a ja bezustannie plotłem:

– Dracula był oczywiście geniuszem podrywu. Ocalić wampira to nie w kij dmuchał. Ale teraz coś takiego by nie zagrało. Teraz trzeba wstawiać lasce jakiś ekologiczny kit. Że ulegając plugawym żądzom, zmniejsza wspólny ludzki *carbon footprint*<sup>[15]</sup> albo ratuje bezdomne zwierzęta... Że niby jeśli się pograżysz w wirze namiętności, uratujesz tych dziesięć pieszków. I zdjęcie na stół. Można nawet tak szantażować. Albo, jeszcze lepiej, stare cyrkowe konie. Że nie zrobią z nich kiełbas, tylko pozwolą spokojnie dożyć gdzieś na południu Francji... Nie, o południu Francji lepiej nie mówić, bo baba pęknie z zazdrości. Nie rozumiem, dlaczego takiego podrywu nie stosuje się jako rodzaju uzbrojenia. Kobieta, żeby rozłożyć nogi, zawsze musi mieć jakiś wzniósły powód moralny. Moim zdaniem to biologia... Słuchaj, a może następnym razem zrobimy to

w trumnie?

– A nie spodobało ci się w łóżku?

– Spodobało mi się, dziecino. Ale w trumnie ciekawiej.

– W trumnie trudno będzie rozłożyć nogi – powiedziała Sophie. – Nawet jeśli będzie do tego wzniosły powód moralny.

Leżała obok mnie całkiem naga, chyba zupełnie o tym nie pamiętając. Zauważyłem tatuaż na jej ramieniu – czerwone serce z czarną gwiazdą w środku. Widziałem już ten symbol na ekranie monitora w jej trumnie. Gwiazda była trochę nierówna i przypominała poszarpany ślad po kuli. Znajdowały się na niej dwie malutkie białe literki – LH. Przypominały równiutkie ostre zęby...

– Koniecznie musimy spróbować w trumnie – powiedziałem. – To teraz moja idée fixe... W co się tak pilnie wpatrujesz?

– W cel.

– To znaczy?

– Popatrz na obrazy – powiedziała Sophie. –

Niczego nie zauważyłeś?

Popatrzyłem na ścianę. Gdyby nie wspomniała o obrazach, wątpię, czy zwróciłbym na nie uwagę. Ale teraz wydało mi się, że pojawił się wśród nich nowy.

Widniał na nim namalowany olejem duży czerwony kwiat. Ostentacyjnie niedbałe wykonanie upodabniało go do hieroglifu, nakreślonego pędzlem malarskim przez śpieszącego się kaligrafa. Nie pamiętałem barwnej plamy w tym miejscu. Ale nie można było podejść do obrazu – ziała pod nim trzymetrowa wyrwa.

– To nowy obraz? – zapytałem.

Sophie przytaknęła.

– Pojawia się, kiedy podłoga zjeżdża w dół. Ale to wystarczy. Łóżko należy obciążyć... Cóż, w określony sposób. Nie da się czegoś takiego imitować, wczoraj próbowałam co najmniej godzinę. A teraz udało się prawie od razu...

Pochyliła się i głośno cmoknęła mnie w usta.

– Dzięki, kochanie. A teraz będziesz musiał

trochę побыć mężczyzną.

– W jakim sensie? – spytałem z napięciem.

– Potrzebna mi twoja pomoc fizyczna. Jeśli wystarczy ci siła. Chcę osiągnąć tego obrazu. Będziesz musiał stanąć na dole, a ja stanę ci na ramionach.

– Chcesz go ukraść?

– Nie. Chcę zdjąć z niego kilka kawałeczków gruntu. Nikt nie zauważy... Tylko szybko, nie mamy czasu... Potem się ubierzesz.

Utrzymując na ramionach jej ciężar (który ciągle przenosiła z nogi na nogę), zastanawiałem się, czym była ta niezwykła przygoda – nagłym wybuchem prawdziwej namiętności ze strony Sophie czy przemyślaną próbą wprowadzenia łoża w drgania jedynie właściwej amplitudy i częstotliwości... Nie wychodziło mi z głowy to jej „wczoraj próbowałam co najmniej godzinę”...

– Gotowe – powiedziała wreszcie i zeskoczyła na stopień obok tego, na którym stałem.

Trzymała małą pincetkę i dwie przezroczyście

foliowe torebki, do jakich pakuje się tabletki i narkotyki.

– Coś ty tam zebrała? – zapytałem.

Usiłowała schować swój łup za plecami, ale przytrzymałem jej rękę i po krótkiej walce, pod koniec całkiem na serio, odebrałem jedną torebkę.

W środku było coś jakby odrobina farby, zdrapanej z płótna. Chyba Sophie powiedziała prawdę. Ale z farby sterczały jakieś włoski... Wszedłem po kamiennych stopniach i siadłem na łożu – tam, gdzie było więcej światła. Teraz mogłem lepiej obejrzeć zdobycz.

– To przecież komar! – wykrzyknąłem.

– Dokładnie – odrzekła Sophie.

– I co, przyleźliśmy tu z powodu komarów?

– To komary z DNA Draculi – powiedziała Sophie, siadając obok. – Kiedy Dracula malował w plenerze, chwycił komary, które go ugryzły, i wklejał je w obraz. W ten sposób pozostawiał tajny klucz wampirom z przyszłości, które zechcą nawiązać z nim kontakt.



– A po cóż mamy nawiązywać kontakt z Draculą? – spytałem.

– Ty nie masz po co – odparła Sophie. – A ja mam do niego parę pytań.

Poczułem się dotknięty.

– A dlaczego ja nie mam po co?

– Bo nieszczególnie się troszczysz o wyzwolenie ludzkości.

– Mówisz tak, bo jestem wampirem z Rosji?

Sophie zmarszczyła brwi, szykując się do odpowiedzi, ale w tym momencie dało się słyszeć dalekie zgrzytanie jakiegoś mechanizmu. Zauważyłem, że płyty podłogi znów zaczynają się poruszać. Sophie popatrzyła na zegarek.

– Drogie dziecię – przemówiła basem. – Wkrótce będzie świtać. Nie godzi się, by zwykli ludzie widzieli cię wychodzącą rankiem z domu wampira... Pora ci ruszać w drogę.

Popatrzyłem na Sophie, potem na wiszący na ścianie obraz.

Ale obrazu już tam nie było. W tym miejscu ciemniała tylko zwykła dębowa płyta.

– Jak się nazywał ten obraz? – spytałem.

– *Świadkowie Nieuniknionego* – odparła Sophie.

– Dracula miał na myśli komary?

Popatrzyła na mnie jak na idiotę.

– Miał na myśli tych, którzy będą chcieli go spotkać. I przyjdą tu po klucz.

– A co to jest „nieuniknione”?

– Naprawdę nie rozumiesz? Miłość. Która jest zarazem przepustką do tajemnicy. Dracula dał to jasno do zrozumienia, w ten sposób urządzając dostęp do obrazu...

Nagle doznałem wrażenia, że patrzy na mnie mnóstwo ukrytych w ścianach szklanych oczu.

– No ale skoro świadkami miłości nie są komary, to kto? – spytałem, rozglądając się po komnacie.

– Jak to kto, Rama – powiedziała czule

Sophie. – My, ty i ja.

Nagle rzeczywiście poczułem się jak idiota. I to nieuleczalny.

– A teraz chodźmy stąd – rzuciła Sophie. –  
Najwyższy czas się zmywać.



Wydawnictwo Literackie

## ZŁOTY SPADOCHRON

Nazajutrz w klasie Sophie przywitała się ze mną nie tyle może niezycliwie, co niezbyt życzliwie – i natychmiast przestała zwracać na mnie uwagę. Usiadła w ławce obok mnie, odwróciła się do Eza i zaczęła z nim rozmawiać po francusku. Ez opowiadał coś zabawnego i Sophie śmiała się tak radośnie, że natychmiast zrobiłem się zazdrosny.

Zachowywała się, jakby w nocy nic się między nami nie wydarzyło. Można by pomyśleć, że po prostu przyśniły mi się te wszystkie wczorajsze transformacje płci (określenie to doskonale pasowało i do przemieszczania się kamiennych płyt<sup>[16]</sup>, i do jej wcielenia się w Draculę).

Naprawdę mógłbym w to uwierzyć, gdyby nie komar z przyklepionym kawałeczkiem farby,

którego dokładnie sobie obejrzałem przed wyjściem na wykład. Ale komar był prawdziwy.

Wreszcie przyszedł Ull. Sophie i Ez zamilkli i zrobiło mi się trochę lżej.

Ull napisał na tablicy:

**Seminar 3**  
**Golden Parachute**  
**Miscellaneous**  
**Final Initiation**

[\[17\]](#)

Odłożył kredę i ze smutkiem popatrzył na klasę.

– To nasze ostatnie zajęcia – powiedział. – Potem rozjedziecie się do domów i wciągniecie w robotę. Będziecie wykonywać wiele różnych zleceń – każda wspólnota narodowa stawia teraz przed wampirami nurkami szczególne zadania. Gdybyście jednak spytali, co jest zadaniem najważniejszym dla nas wszystkich z praktycznego punktu widzenia, odpowiedziałbym bez wahania: oczywiście Złoty Spadochron. Właśnie o nim

będziemy dziś mówić.

Podszedł do tablicy i narysował na niej kilka symboli religijnych – chrześcijański krzyż, półksiężyc, gwiazdę Dawida, jakiś indyjski zakrętas i nieznaną mi znak pisma chińskiego.

– A oto, nad czym macie się zastanowić. Każdy człowiek wie, że kiedyś umrze. Dlatego – właśnie dlatego – istnieją na świecie religie. Im bliżej rozwiązania, tym częściej człowiek biega do świątyni lokalnego kultu, gdzie za niewielkie pieniądze obiecują ocalenie tego, czym człowiek uważa, że jest. Niektórzy szczególnie ufni ludzie tak bardzo się boją zniknięcia po śmierci, że z szumem i trzaskiem rozstają się z życiem z własnej woli, nalepiwszy sobie na czoło wątpliwy bilet do raju... Zdumiewające jest jednak co innego. Ten religijny niepokój występuje tylko wśród nizin społecznych. Jeśli sięgniemy do wyższych warstw ludzkiej hierarchii, napotkamy dziwną, by nie rzec szokującą obojętność w kwestiach pozagrobowych... W każdym razie tak to wygląda z boku...

Ull przeprowadził od każdego z narysowanych symboli kreskę do góry, tak że wszystkie zbiegły się w jednym punkcie, nad którym postawił gruby znak zapytania.

– Zaledwie kilka stuleci temu władcy Europy tak się przejmowali swoimi duszami, że wszczynali awanturnicze wojny o Grób Pański – czyli, innymi słowy, o własne zbawienie. Ich wschodni kontrahenci z takim samym entuzjazmem walczyli o swoje miejsce w raju, wyrysowane według innych szablonów... W naszych czasach wszakże nominalni przywódcy ludzkości odnoszą się do tych zagadnień obojętnie – jakby połączeni w szybujący nad ziemią *jet set*...<sup>[18]</sup> W każdym razie tak to wygląda dla niewtajemniczonych. Wśród ludzi prostych do tej pory zdarzają się konflikty religijne – ale wybuchają one zazwyczaj na gruncie socjalnym, kiedy jeden tłum nędzarzy idzie gromić drugi. Czy jednak widzieliście choćby jednego spośród władców współczesnej ludzkości, który troszczyłby się o swój los po śmierci?

Pytanie Ulla budziło szacunek do samych siebie: zwracał się do nas jak jeden wieczny obserwator do innych istot tej samej wyższej natury. Choć klasa milczała. Pytanie było retoryczne.

– Nie – ciągnął Ull. – Nie widzieliście. Dziś wyrażenie „krucjata” to po prostu niepoprawna politycznie metafora operacji wojennej, mającej na celu eksploatację bogactw naturalnych w interesach kapitału transnarodowego. Już od wielu stuleci ludzka elita zachowuje się tak, jakby problemy pośmiertnej odpłaty nie miały dla niej żadnego znaczenia. Co jest zresztą bardzo, ale to bardzo dziwne. No bo skoro ci wyczerpani tyłoma zbrodniami ludzie dokładają takich wysiłków, by wdrapać się na sam szczyt piramidy socjalnej, dlaczego nagle ogarnia ich taka obojętność wobec wszystkiego, co ma być dalej? Nawet ze zwykłego ludzkiego tchórzostwa powinni się gorączkowo uwijać w obliczu nieuchronnej śmierci. Mogą nie wierzyć w Boga, ale żaden ludzki umysł nie jest w stanie całkowicie wyzbyć się nadziei na własną nieśmiertelność. Należałoby oczekiwać



testamentów, pozostawiających ogromne majątki kapłanom różnych wyznań w zamian za modlitwy o pośmiertny dobrobyt. Widzielibyśmy potworne piramidy grobowe, wzniesione przy użyciu najnowszych technologii. Nic takiego jednak nie obserwujemy. Wszystko wygląda tak, jakby ludzka elita już dawno cichaczem rozwiązała problem swego pośmiertnego losu... Autorzy kolumn towarzyskich lansują pogląd, że najwyższa kasta finansowa współczesnego świata przyjęła w charakterze ostatniej pociechy kabałę. W rzeczywistości jednak z tą nauką flirtują głównie wdowy po nuworyszach, piosenkarki pop, kucharze elity i jej trenerzy od badmintona. Dlaczego więc milczą same szczyty władzy? Dlaczego są tak metafizycznie pasywne – i to od wieluset lat?

– Złoty Spadochron<sup>[19]</sup> – mruknęła Sophie, nie podnosząc oczu.

Ull pogroził jej palcem.

– Kto jeszcze wie? – zapytał.

Nikt więcej się nie zgłosił.

Ull podszedł do Sophie i poklepał ją po karku. Doznałem dziwnego uczucia: ulgi, że nie ja zostałem wybrany do tej roli – a zarazem czegoś, co dziwnie przypominało zazdrość. I to nie wiadomo o co konkretnie.

– Masz całkowitą rację, dziewczyno! Złoty Spadochron. To określenie już dawno funkcjonuje w świecie, ale Czarna Zasłona, jak zawsze, ukrywa prawdę za informacyjną błazenadą. Ludzie używają wyrażenia „Złoty Spadochron”, mówiąc o drobnych bonusach i preferencjach swojej elitki – o jakiejś tam emeryturze parlamentarnej czy odprawie menedżera bankowego. Ale na niższych socjalnych piętrach nikt nawet nie podejrzewa, czym to tak naprawdę jest.

– A czym jest? – zapytał Ez.

Ull odwrócił się do niego.

– Pytałeś poprzednio, czy zmarły – a raczej animogram – może się narodzić na nowo. W pewnych przypadkach może. Czasem jest to

związane z procesami poza naszą kontrolą. A czasem sami przykładamy do tego rękę. Wampiry mają własną technologię przeobrażenia. Właśnie ona otrzymała nazwę Złoty Spadochron. Spadochronu tego używają zarówno wampiry, jak i nasi najbardziej zaufani Chaldeje. Czyli sama śmietanka ludzkości.

– A po co wampirowi Złoty Spadochron? – zapytał Tet. – Wampir jest nieśmiertelny!

– Masz absolutną rację – uśmiechnął się Ull. – Ale tylko w połowie. Porównanie z człowiekiem i koniem słyszeliście tak często, że już dawno wam obrzydło. Niemniej w swojej istocie jest ono bardzo prawdziwe. Musicie zdawać sobie sprawę, że nie tak łatwo jest wytrenować konia bojowego. Magiczny robak – władca świata i ludzi – nie będzie żyć w pierwszym lepszym mózgu, narażając się na niebezpieczeństwo stwarzane przez nieprzewidywalny ludzki umysł. Magiczne robaki wykorzystują jednych i tych samych nosicieli przez całe stulecia, jeśli nie tysiąclecia.

Ull zrobił pauzę, jakby dając nam czas na przetrawienie tych słów. Potem ciągnął dalej:

– Robak nie przejmuje się jednak genetycznymi właściwościami ciała, które będzie zamieszkiwać. O wiele ważniejsze są dlań wrodzone właściwości umysłu, z którym łączy swoją tajemniczą moc. Dlatego nieśmiertelny jest nie tylko magiczny robak. W pewnym sensie nie podlega rozkładowi również jego nosiciel. Wy wszyscy, siedzący w tej sali, jesteście reinkarnacjami. Każde z was wielokrotnie spadało w śmierć ze Złotym Spadochronem. I powracało do służby w nowym życiu.

Tym razem milczenie trwało dłużej. Nie wytrzymałem i podniosłem rękę.

– Proszę, Rama.

– A jak wampiry znajdują takich przeobrażonych?

Ull się uśmiechnął.

– Mechanizmy karmiczne są tak skonstruowane, że wokół wampirów stale płaczą się stada ludzi,

którzy kiedyś byli ich nosicielami. Wszyscy oni mają niezbędne nawyki z poprzednich wcieleń. Takich ludzi jest znacznie więcej niż magicznych robaków, chcących zmienić ciało. Stosunek liczbowy jest mniej więcej taki jak między rosyjskim oligarchą a pięknymi dziewczynami, gotowymi oddać mu to, co dziewczyna ma najcenniejszego. Kiedy przyszły nosiciel robaka dorasta, sam znajduje swoich władców. Wystarczy tylko, że na asfalcie, po którym będzie szedł, narysują jakiś znak, runę albo piktogram. Nikt spośród innych ludzi po prostu nie zwróci na ten znak uwagi. A w umyśle przyszłego wampira błyskawicznie nastąpi reakcja alchemiczna i zatrzyma się on, by poznać swych nowych przyjaciół.

– Ale skoro mechanizmy karmiczne włączają się automatycznie, to po co w ogóle troszczyć się o reinkarnację? – spytałem.

– Człowiek, który stał się wampirem i nosi w swoim mózgu magicznego robaka, nabiera dość mrocznej karmy – odrzekł Ull. – Między innymi

dlatego, że całe życie spędza w zbytku, to jest w pewnym sensie pasożytuje na cierpieniach innych ludzi. Dlatego bez pomocy nurków byłby obowiązany runąć w ciemne warstwy pozagrobowej pomsty, gdzie elementy jego świadomości zostałyby pożarte przez demony gniewu i zawiści.

– Obowiązany? Wobec kogo? – zapytał Tet.

– Wobec samego siebie – odrzekł Ull. – Wobec tego słońca, które świeciło przez jego witraż.

– A po cóż to słońcu?

– Zapytaj je. Nie jesteśmy teologami, tylko wampirami. Złoty Spadochron to technologia, która pozwala wampirom zachować kompleks odruchów i przyzwyczajień, optymalnych dla nosiciela magicznego robaka, nawet po jego śmierci. Nurkowie przeprowadzają martwego wampira przez obszar pozagrobowej pomsty i pomagają mu się odrodzić w nowym ciele w korzystnych okolicznościach.

– Nie nazwałbym okoliczności swoich narodzin

szczególnie korzystnymi – powiedziałem.

Ull rozłożył ręce.

– Wampiry często należą do najwyższej ludzkiej arystokracji – odrzekł – jak na przykład nasi francuscy goście. Ale my nie traktujemy takich rzeczy poważnie. To po prostu obyczaj, którego celem jest nadanie przyszłym nosicielom Języka już przy narodzinach wysokiego statusu społecznego. Ale prawdziwa arystokracja jest na świecie tylko jedna – to my. Nasza społeczność to jakby klub, którego członkowie należą doń już od paru tysięcy lat. Żaden ziemski król czy królowa nigdy nie zostaną tam przyjęci tak po prostu. Prowadzi tam jedynie Ukąszenie. Decyzję o osiedleniu się w czyimś ciele podejmuje magiczny robak – a nie owo ciało. Jeśli on nie zechce, nie pomoże żadna błękitna krew...

– Czy Chaldejom też przysługuje Złoty Spadochron? – zapytałem.

– Tak. Ale nie z pobudek humanitarnych. To jeden ze sposobów naszej kontroli nad ludźmi. I co

tu ukrywać, także zarobek. Złoty Spadochron kupują nasi najbardziej oddani i bogaci słudzy, stojący na progu śmierci. Kosztuje to większą część majątków nawet największych światowych finansistów. Ale za to ratuje ich przed piekielnymi mękami. W każdym razie święcie w to wierzą. Ocalając grzeszników przed pomstą, oczywiście łamiemy wszystkie moralne prawa boskie i ludzkie. Co dodatkowo ukazuje Chaldejom, jak wielkie wpływy mamy we wszechświecie.

– A jak przeprowadzamy zmarłych? – spytałem.

– Na Wergiliusza – odparł Ull. – Nawiasem mówiąc, „Wergiliusz” to oficjalna nazwa nurka przewodnika. A praca jest pożyteczna i zaszczytna. Chociaż trudna. Wymaga doskonałych profesjonalnych nawyków.

– Jasne – odezwał się Tar. – A w jaki sposób pomagamy martwym wampirom narodzić się na nowo?

– Sami się rodzą. Doprowadzamy ich do punktu, w którym staje się to możliwe, nie pozwalając, by



runęli w dolne światy. W języku technicznym nazywa się to „przewijanie animogramu”. Doprowadza się go do stanu, w którym można go przechowywać dowolnie długo – dopóki nie nastąpią korzystne warunki do jego przeobrażenia. Los Chaldejów, szczerze mówiąc, niezbyt nas obchodzi, ale staramy się nie utracić ani jednego spośród własnych braci. Ich traktujemy ze znacznie większą troską niż tłuste kocury, z którymi łączą nas stosunki czysto komercyjne... Ale tego wszystkiego dowiedzie się po powrocie do domu.

– Czym jeszcze zajmują się nurkowie? – zapytał Ez.

– Wieloma rzeczami – odrzekł Ull. – Niektóre są dość nieprzyjemne. Przede wszystkim ekstrakcja różnych wiadomości. Nurkowie mają dostęp nawet do tego, co zniknęło ze świata ludzi. Dawniej zdarzało się często, że nosiciela ważnej informacji najpierw zabijano, żeby nikt nie mógł się dostać do jego pamięci, a potem nurkował do niego wampir... Wiele głośnych zabójstw było związanych właśnie z tym...

– A czy to prawda, że nosiciela trzeba było zadusić żółtym sznurem? – zapytał Ter.

– Zabić można w dowolny sposób – odrzekł Ull. – Ale rzeczywiście w starożytności rytuałem było uduszenie. Uważano, że najdoskonalszą komunikację można osiągnąć, gdy mózg nie jest uszkodzony. Ale to zwykły przesąd. I teraz się czegoś takiego nie praktykuje. Z rzadkimi wyjątkami. Mam na myśli uduszenie żółtym sznurem. W rzeczywistości modus operandi nie jest zbyt istotny...

– Słyszałem, że jest to najbrudniejsza robota – powiedział Tet. – Ekstraktorów nazywa się nawet „gównowozami”.

Ull popatrzył na niego dziwnie.

– Cóż – odrzekł – to prawda. Określenia „gównowóz”, „gównojad”, „szambodzet” i tak dalej są jak najbardziej zasłużone. Ekstraktor to najtrudniejsza robota w sensie moralnym i emocjonalnym. Ale ze wszech miar potrzebna. Jeśli wampir ma powołanie do ofiarnej służby

mimo upokarzająco niskiego statusu w hierarchii i ciągłych szyderstw glamourowych obiboków, to jest to robótka w sam raz dla niego...

Przemknęła mi przez głowę myśl, że Ull wcześniej pracował właśnie jako ekstraktor.

– Dlaczego jest to nieczysta robota? – spytałem.

– Chodzi o to – powiedział Ull – że informację z limbo można wydobyć tylko w jeden sposób – stając się jej nosicielem. A przy tym trzeba przeglądać mnóstwo wewnętrznego ludzkiego materiału, jako że potrzebną frakcję pamięci trudno oddzielić od reszty składu. To prawie tak, jak pozyskiwać perły, łykając je razem z muszlami. Ekstraktor jak gdyby zaczerpuje cudzą świadomość swoją i wynosi ją na powierzchnię. Stąd te asenizacyjne porównania.

Przypomniałem sobie mokry kosmyk, przyklejony do czoła Enlila Maratowicza, i dałem sobie słowo, że nie zostanę ekstraktorem nawet pod groźbą śmierci.

– A kto to są nurkowie przepowiadacze? –

zapytał Ez.

– W tej kwestii nie mogę was oświecić – powiedział Ull – bo sam niewiele wiem. Słyszałem tylko pogłoski. Niektórzy wierzą, że w limbo znajduje się informacja nie tylko z przeszłości, ale także z przyszłości. Podobno są nurkowie, którzy uzyskują do niej dostęp. Choć ja osobiście nie rozumiem, w jaki sposób – tu przecież potrzebne byłoby DNA z przyszłości. W każdym razie teoretycznie. Ale wszystko to są zwykłe spekulacje. Jeśli nawet coś takiego istnieje, to jest utrzymywane w ścisłej tajemnicy. W tym również przede mną.

– Ale czy gdyby informacja o przyszłości trafiła w przeszłość, moglibyśmy tę przyszłość zmienić?

– Nie sądzę – odparł Ull.

– Dlaczego?

– Podpowiada to zdrowy rozsądek – odrzekł Ull. – Wyobraźcie sobie, że jedziecie pociągiem bez okien do jakiegoś miasta. Ale nie wiecie, do jakiego. Potem ktoś pozwala wam wyjrzeć przez

sekretne okno i widzicie zbliżającą się wieżę Eiffla. I co? Czy w tej sytuacji możecie zrobić tak, żeby pociąg przyjechał nie do Paryża, ale do Bombaju? Nawet gdybyście się wdarli do kabiny maszynisty z dwoma rewolwerami i paczką dolarów w zębach, nic wam z tego nie przyjdzie. Nie mówiąc już o tym, że takim agresywnym pasażerom nikt by nie pozwolił wyglądać przez sekretne okna. Ja osobiście przypuszczam, że przyszłość pokazuje się tylko tym, którzy z góry ją akceptują.

– Kto pokazuje?

– Ci – powiedział Ull – którym jest ona znana. Dlatego nie ma co się o nią martwić, wszystkie kontakty z przeszłością już zostały w niej uwzględnione. Martwcie się o teraźniejszość. Jeszcze jakieś pytania?

– Proszę pana – zapytał Ez – a kto to są „mirskie świnki”<sup>[20]</sup>?

Ull zmarszczył brwi.

– Nie wiem. Ale nie radziłbym ci interesować

się zbytnio tą sprawą... Ani słowa więcej. Już...

Postawił na stole swoją papierową torbę po węglu.

– Wczoraj obiecałem, że pokażę wam coś ciekawego – powiedział – i spełniam tę obietnicę. Dziś nastąpi wasze inauguracyjne zanurzenie w limbo. Nie będzie takie jak wszystkie następne. Ale zgodnie z tradycją właśnie ono staje się pierwszym doznaniem wszystkich nurków już od około trzech tysięcy lat...

– Będziemy mieli próbną degustację? – zapytałem.

– W tym zamku nie musicie zażywać preparatu z czerwonej cieczy zmarłego – powiedział Ull. – Wystarczy, że usłyszycie specjalny rezonator, nastrojony na konkretne doznanie.

Otworzył torbę i wyjął z niej archaicznie wyglądający kamerton z ciemnego metalu.

– Czyje to doznanie?

– Pewnego wampira z głębokiej starożytności – odrzekł Ull. – Miał na imię Aides. W ramach

łączenia obowiązków był u starożytnych Greków bogiem świata podziemnego. Zgodnie z naszą tradycją zostajecie nurkami po tym, jak na kilka sekund staniecie się tym Wielkim Umarłym. To najważniejsza minuta w waszym życiu i śmierci. Zamknijcie oczy i skupcie się...

Słowa Ulla wywarły na mnie silne wrażenie. Zacisnąłem powieki i postarałem się usunąć z głowy wszystkie myśli.

Nic się nie działo. Trwało to tak długo, że ciemność zaczęła mi już doskwierać.

A potem nagle zrozumiałem, że słyszę cichy, równy dźwięk o dziwnym tembrze. Nie zauważyłem momentu, kiedy się zaczął. Uświadomiłem sobie tylko, że już jakiś czas brzmi mi w uszach.

Efekt tego dźwięku był wstrząsający.

Ciemność przed moimi oczami wyciągnęła się w długi korytarz, a potem ten korytarz nagle rozwinął się wokół mnie na trzysta sześćdziesiąt stopni, jakbym był igłą cyrkla. W tym rozmachu

była taka moc, że zakręciło mi się w głowie, a ciemność przede mną zamieniła się w nieogarnioną pustą przestrzeń.

Zobaczyłem wokół siebie plamy bladego światła.

Pod stopami miałem nieskończone czarne lustro z czegoś, co wyglądało na wypolerowany do przezroczystości kamień. Ciągnęło się we wszystkie strony jak okiem sięgnąć. Było to chyba twarde szkło wulkaniczne w rodzaju obsydianu. Przez jego tafłę prześwitywały różnobarwne światełka – zapalały się, kreśliły jakąś figurę geometryczną albo wzór i znikwały.

Nade mną czerniało niebo. Strach było tam patrzeć. Ciemność wsysała – góra i dół zamieniały się miejscami i zaczynało mi się wydawać, że mam nad sobą nie niebo, ale otchłań, nad którą zwisam głową w dół. Wystarczyło jednak opuścić głowę i zawrót mijał.

Między lustrem na dole a ciemnością na górze była przestrzeń wypełniona niewyraźnymi



cieniami, migoczącymi światełkami i rzadkimi rozbłyskami – wszystko to powstawało, kiedy zaczynałem się wpatrywać w mrok.

Nagle na mojej lewej ręce pojawił się płaski krąg z metalu podobnego do brązu. Wyglądało to tak, jakby z ciemności na moim lewym łokciu wylądowało frisbee i uczepiło się go dwiema mocnymi pętlami. Nawet nie zdążyłem się przestraszyć.

Krąg wyglądał dokładnie jak antyczna tarcza. Wyrtyo na nim wzór przypominający coś pośredniego między dwustronnym toporem a nietoperzem. Tarcza wydawała się zdumiewająco lekka – w ogóle nie czułem jej ciężaru.

Potem w mojej prawej ręce pojawiła się długa tyczka z tego samego metalu. Też była lekka, z wąskim dwuzębnym ostrzem.

Potem moja głowa obrosła hełmem – uświadomiłem to sobie, zauważywszy, że patrzę na świat przez szczeliny w brązie. Stałem się czymś

na podobieństwo antycznego wojownika hoplity.

Pobiegłem przed siebie – lekkim truchtem, przyciskając tyczkę do boku. Od czasu do czasu, kiedy światełka wokół gasły i robiło się całkiem ciemno, zaczynało mi się wydawać, że nie biegnę, ale z każdym krokiem zanurzam się coraz głębiej w czarnym oceanie, bez sensu majtając nogami. To było oczywiście straszne. Ale potem światełka znów się pojawiały i strach znikał.

Biegłem w ciemność coraz dalej i dalej – albo może coraz głębiej i głębiej. Czasem światełka podlatywały do mnie całkiem blisko. Były różnych rozmiarów i kolorów. Niektóre brzęczały jak rozgniewane osy. Lekko odtrącałem je tarczą, a one bez sprzeciwu leciały dalej. Być może po prostu sprawdzały moją starożytną brązową przepustkę...

Potem zacząłem dostrzegać chybotliwe konstrukcje, podobne do latawców o różnych kształtach. Leciały wolno w jednym kierunku, jakby unosił je wiatr. Stawały się widoczne, kiedy

staralem się je znaleźć – i jeśli patrzyłem na nie długo, zaczynały świecić. Im dłużej się im przyglądałem, tym przybywało ich więcej – jakby przyciągało je moje zainteresowanie.

Jeden z takich cieni znalazł się w centrum mojej uwagi. Zbliżało się do niego czerwone światełko, podobne do fluorescencyjnej piłki tenisowej. Zderzyły się i wszystko zniknęło w tęczowej eksplozji, która mnie oślepiła i ogłuszyła.

– Rama, otwórz oczy. Wszyscy już obejrzel.

Ull rozejrzał się po przycichłej klasie.

– Z tego prastarego doznania – powiedział – można by wnosić, że limbo to ciemny stadion, gdzie latają świecące owady i biegają wampiry, ubrane w uniform starożytnych wojowników. Ale w rzeczywistości jest całkiem inaczej. To, co widzieliście, to bezosobowy stopień percepcji, oczyszczony ze wszystkich kodów. Tak widzieć limbo mogą tylko najwięksi spośród undead. Wasze doznania będą inne. To, na co się natkniecie, będzie zależało od właściwości

przewijanego animogramu, ale jako całość będzie przypominało zwyczajny świat. Tyle że będzie się on zmieniać, wypróbując wiele różnych form, zanim wasz umysł rozpozna coś znajomego. Limbo to niezupełnie przestrzeń. I czas w limbo – to niezupełnie czas.

– A co tam jest tak naprawdę? – zapytał Tet.

– Pytanie, co tam jest tak naprawdę, nie ma sensu, albowiem odpowiedź zależy od tego, kto będzie patrzeć: pszczoła, nietoperz, człowiek czy wampir. Wy jesteście wampirami. Z czasem nauczycie się nastrajać limbo tak, by uczynić sobie z niego przytulny zakątek. Najważniejsze – przy niczym nie zatrzymywać się na dłużej.

– A co to za włócznia? I tarcza?

– Tak wygląda tradycyjny ekwipunek nurka – powiedział Ull. – Liczy sobie kilka tysięcy lat i wielu profesjonalistów uważa ten rynsztunek za najodpowiedniejszy do naszych celów. Włócznia Aidesa, Hełm Aidesa i Tarcza Aidesa zawsze figurują w katalogu waszego wamponawigatora.

Z ich pomocą można sobie poradzić z większością zadań praktycznych. Ale w ogóle możecie przybierać dowolne postacie. Pamiętajcie tylko, że w limbo do dobrego tonu należy minimalizm. Nie odpalacie tam bomb atomowych i nie wywołujecie wielkich powodzi. Ograniczacie się do minimum środków, niezbędnych do realizacji zadania. Rama, znów masz pytanie?

– Tak – powiedziałem. – Dokąd biegł ten Aides?

– Nie wiem. Do jakiegoś celu. Ale po limbo się nie biega. Bieg to po prostu najprostsz y z ludzkich szablonów, jaki można nałożyć na takie doznanie. Jest to widziana we śnie transformacja abstrakcyjnego wysiłku, dokładanego przez wampira w celu dotarcia do obiektu jego zainteresowania.

– Co to za światełka?

– Nazywamy je „wolnymi memami”. Nie będziecie ich widzieć. Będziecie widzieć tylko swojego klienta, czyli przewijany animogram.

Wolne memy są przy tym właściwie niedostrzegalne. Mniej więcej tak jak gwiazdy w dzień.

– A dlaczego nazywa się je „memy”?

– Sam nie wiem. – Ull wzruszył ramionami. – Po prostu tak się utarło. To wolne myśli elementarne. A nazywa się je „wolnymi”, bo nikt ich nie myśli. Memy jak gdyby myślą się same. Wygląda to tak, jakby miały swoje własne światło.

– Czy może istnieć myśl, której nikt nie myśli?

– Rzeczywiście brzmi to dziwnie – zgodził się Ull. – Ale to samo odnosi się również do myśli w ludzkiej podświadomości. Nikt ich nie myśli. A potem nagle nabierają energii i biorą naszą głowę szturmem. I, jak dowodzi praktyka kryminalna, stają się nie tyle rzeczywistością, ile rzeczywistością najważniejszą ze wszystkich. Ich następstwa odczuwa się przez wiele lat. Dlatego zapewniam was, że może.

– A skąd się biorą wolne memy? – zapytała Sophie.

– Nie wiem. Być może jest to podświadomość Wielkiego Wampira, w którego umyśle pojawiają się i znikają my wszyscy. Niektórzy uważają, że są to odłamki nieśmiertelnych istnień, rozbitych przez niepojętą siłę. Coś odwiecznego, jak pierścienie Saturna, ale nadal żywego. Inne wampiry sądzą, że memy znajdują się w pustce od samego początku i są elementami, z których powstają ludzkie i anielskie języki. Jeszcze inni nie wykluczają, że wiele memów, połączywszy się razem, może zrodzić nowe istnienie. I wszystkie te punkty widzenia ze sobą polemizują... Ale wy się nad tym nie zastanawiajcie. Memy nie mają z wami nic wspólnego. Mogą je widzieć tylko wielcy mistrzowie...

Ull wyjął ze swego worka drugi kamerton.

– Realność, moi drodzy, jest znacznie bardziej prozaiczna. Teraz zademonstruję, jak limbo będzie wyglądać dla was. Patrzcie uważnie i postarajcie się zapamiętać wszystkie szczegóły, bo będę odpytywać. Zamknijcie oczy...

Minęło kilka sekund i usłyszałem dźwięk drugiego kamertonu. Miał inny tembr.

Nagle zobaczyłem samochód hamujący na rogu pustej ulicy. Trudno było powiedzieć, gdzie to się działo – ale ulica wydawała się absolutnie realna, z mnóstwem obrzydliwych szczegółów, które może stworzyć tylko żywe życie.

Z samochodu wysiadł starszy mężczyzna w pasiastym garniturze i zamknął drzwi.

Skądś z góry spadła mu na łysinę kropla.

Podniósł oczy i druga kropla wylądowała mu na czole. Skrzywił się zaskoczony – i spadła na niego trzecia kropla. Słyszałem nawet odgłos, z jakim krople rozpryskiwały się na skórze.

Nagle z pasiastym jegomościem i otaczającym go światem zaczęło się dziać coś strasznego. Zniknęła ulica, zniknął samochód, a ręce mężczyzny wykręciły się do tyłu i okazało się, że są przywiązane sznurem do kamiennego słupa. Na jego szyi pojawiła się żelazna obroża z kolcami, które nie pozwalały mu poruszać głową. Całe pole



widzenia wypełniła jego opalona łysina, jakbym skierował na nią kamerę i zrobił wielkie zbliżenie.

Na łysinę znowu spadła kropla wody. Widziałem w najdrobniejszych szczegółach, jak się rozbryznęła. Przywiązany do słupa człowiek krzyknął.

Popatrzyłem w górę. Na słupie nad jego głową wisiało starodawne miedziane naczynie z cienkim dziobkiem, w którym już wzbierała następna kropla.

W mojej ręce pojawiła się włócznia – prawie taka sama jak w poprzednim widzeniu. Uderzyłem nią w słup i strąciłem jego czubek razem z miedzianym naczyniem. Potem dotknąłem włócznią żelaznej obroży i ta posłusznie upadła na ziemię. Z taką samą łatwością, jakby mi się to śniło, jednym muśnięciem włóczni rozwiązałem sznury, krępujące ręce pasiastego jegomościa. Mężczyzna pobiegł przed siebie.

Przed nim były półkoliste dębowe drzwi z wielką żelazną klamrą. Chwycił za nią, pociągnął

i drzwi stanęły otworem. Mignęła za nimi sylwetka dużego chudego psa o sterczących uszach. Jegomość przekroczył próg. A potem pies i pasiasty jegomość zafalowali i zamienili się w chmurę różnobarwnych bryzgów, po czym wszystko zniknęło równie nagle, jak się pojawiło.

– To był fragment rzeczywistego przewijania z programu „Złoty Spadochron” – powiedział Ull. – Jeszcze się do syta napatrzycie na takie projekcje przerażonych umysłów, obiecuję wam. Teraz pytania. Powiedzcie, kiedy zniknęła ulica i samochód, gdzie się znalazł mężczyzna, który z niego wysiadł?

– Przy słupie – odpowiedziałem. – To chyba była taka stara tortura kropli wody.

– A gdzie się znajdował słup? Na ulicy? W polu? W jakimś pomieszczeniu?

Zacząłem się zastanawiać. O dziwo, nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. I chyba nikt inny też nie – wszyscy milczeli.

– Następne pytanie. Gdzie znajdowały się drzwi

z żelazną klamrą? Rama?

– Za drzwiami był pies – powiedziałem.

– To prawda – przytaknął Ull. – Ale gdzie były same drzwi? Przecież drzwi są w domach, ogrodzeniach, w ścianach. Gdzie były te?

– Nie zauważyłem – przyznałem się.

– Czy ktoś zauważył? – zapytał Ull.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Pokazałem wam ten fragment tylko w jednym celu – powiedział Ull. – Żebyście od razu pojęli, czym limbo różni się od rzeczywistości. Chodzi o to, że moje pytania nie mają sensu. Ponieważ wampir, który przewijał ten animogram, nie zainteresował się ani miejscem, w którym stał pal tortur, ani tym, gdzie znajdowały się drzwi, przez które wyslizgnął się jego podopieczny. Dlatego pal nie stał nigdzie. I drzwi też. Wszystko, co widzicie w limbo, powstaje wyłącznie dzięki uwadze, jaką temu poświęcacie, świadomie czy nieświadomie. Profesjonalizm nurka polega na tym, aby, jak mówił wielki Ockham, nie mnożyć bytów bez

potrzeby. Zapamiętajcie to dobrze, moje dzieci, a ułatwi wam to funkcjonowanie... I odnosi się to nie tylko do limbo, ale wszystkiego innego w życiu.

Ull schował kamertony do swego worka i popatrzył ze smutkiem ponad naszymi głowami – na woskowych drugoroczników z ostatniego rzędu.

– Mój kurs dobiegł końca – powiedział. – Po tym, jak przez kilka chwil byliście starożytnym Aidesem, otrzymujecie prawo do tytułu „Wielki Umarły”. Mam nadzieję, że doda wam to optymizmu, poszanowania własnej godności i pewności siebie. Reszty dowiecie się w domu. Jeśli jednak ktoś ma jeszcze jakieś pytania, z przyjemnością na nie odpowiem.

Tar podniósł rękę.

– Mówił pan poprzednim razem, że limbo to przejście do innych światów – przypomniał. – A potem pan powiedział, że powstaje ono tylko w naszej świadomości. Jak wobec tego może

prowadzić do innych światów?

– No właśnie z tego powodu! – odrzekł Ull. – I tylko dlatego! Głupota człowieka polega na tym, że szuka on innych bytów w martwym materialnym kosmosie, który rejestruje pięć jego prymitywnych zmysłów. Ten zewnętrzny kosmos to po prostu niewielki i niezbyt interesujący skrawek rzeczywistości. Namalowana na chybcika panorama, którą można uznać za dekorację do ziemskiego tworu.

– Tymczasem – powiedział Tar – o tej panoramie ludzie dowiedzieli się już tyle, że nawet znaleźli w niej kilka tysięcy planet podobnych do Ziemi. Oddalonych od siebie o miliony lat świetlnych...

Ull machnął ręką.

– Zainteresowanie człowieka dekoracją polega na kolorowaniu jej i dorysowywaniu.

– A może to ona dorysowała nas wszystkich?

– Mówisz teraz jak człowiek – odparł Ull. – A wampir patrzy na ludzi ze śmiechem i smutkiem. To są krople wodospadu, które myślą: „Oto ja.

A oto mój świat”. Są przekonane, że kosmos wokół nich jest wciąż ten sam, tylko oni po prostu inaczej go widzą w różnych epokach. Wyliczyli nawet jego rozmiary i wiek i znaleźli sobie przodków pośród wykopanych z ziemi kamieni. Ale to tylko sen, który dzisiaj śni się ludzkości. Nikt nie wie, jaki sen przyśni się jutro. Sen może mieć całe mnóstwo schizofrenicznych szczegółów, o których prawdziwości śpiący jest przekonany w stu procentach. Tylko że sny co kilka minut się zmieniają. Ludzie nie rozumieją, że są po prostu kroplami postrzegania, z których składa się ich rzeczywistość. A rzeczywistość to właśnie to, co sobie uświadamiają.

– Czyli że rzeczywistość jest cały czas różna?

– Oczywiście. Wiara w to, że istnieje niezależny od wodospadu świadomości świat zewnętrzny ze swoją stałą historią to po prostu część tego snu, który śni się ludziom teraz. I ten sen już się po trochu zmienia. Wodospad ludzkiej niewiedzy jest cały czas różny, jednakowa jest tylko pewność, że wszystko idzie jak trzeba i sytuacja jest pod

kontrolą. Ta sama pewność, która towarzyszy nam w każdym śnie, co sprawia, że sny nie wydają nam się snami, kiedy je śnimy.

– Chce pan powiedzieć, że ludzie na próżno poszukują nowych światów? – zapytał Tet.

– Co to znaczy „na próżno”? Człowiek wszystko robi na próżno. Przede wszystkim żyje. Człowiek nie rozumie, że inne światy znajdują się nie w fikcyjnym wymiarze materialnym, który specjalnie namalowano tak, żeby nawet najkrótsza podróż po nim była znacznie dłuższa niż jego życie, ale w głębinach świadomości. W tych jej warstwach, które nie sposób zobaczyć przez ludzki kalejdoskop zaciemniacz. Limbo – to przestrzeń, w której takie odczucia stają się możliwe.

– Doznamy ich? – zapytał marzycielsko Tar.

– W żadnym razie – odrzekł Ull. – Wampir, przeciwnie, ze wszystkich sił stara się ich uniknąć. Wampir nie szuka kontaktu z dziwnymi doznaniem i bytami, które rozerwałyby go na strzępy. Nie jesteśmy szaleńcami. W limbo są rzeczy

niewyobrażalne i niezmierzone, ale posługujemy się nimi w celach czysto praktycznych. Staramy się zobaczyć i poznać jak najmniej. Dlatego wasza robota wyda się wam w praktyce dość przyjemna. I prozaiczna. Nastawcie się na to od razu.

Nie słuchałem już Ulla i nagle pojąłem, że przeobrażę limbo na własną modłę, jeśli kiedykolwiek będę mógł sam organizować tę przestrzeń. Był taki film animowany – *Jezyk we mgle*. O jezyku, który wędruje dokądś nocą przez lasy i łąki, przez mgły i strachy. I tak będzie ze mną. Mgła, noc. Sosny, dęby czarodzieje. I w górze gwiazdy... A będę w tej mgle chodzić w czarnym skórzanym płaszczu. I w czapce z wysoką główką, na której rozpostrze skrzydła srebrny nietoperz. Albo nie, jeszcze się zastanowię.

Ull odwrócił się do naszej ławki.

– Dlaczego tak posmutniałaś, Sophie?

Zauważyłem, że Sophie rzeczywiście wygląda na zmartwioną.



– Na początku było tak ciekawie. Jasne białe światło, kalejdoskopy, witraże. Nieskończone światy. A teraz się okazuje, że używamy tego jasnego białego światła po to, żeby transportować tłuste kocury z dala od piekła?

– Cóż, można by tak powiedzieć – odparł Ull. – Nie jesteśmy przecież aniołami, Sophie. Jesteśmy wampirami. A poza tym to, o czym mówisz, również jest częścią jasnego białego światła. I my też, i nawet tłuste kocury. Więc się nie martw. Przywykniesz.

Chyba jednak jakiś niewyjaśniony smutek ogarnął wszystkich.

Ull także wyglądał markotnie. Powiódł wzrokiem po klasie.

– Do zobaczenia przy kolacji – powiedział. – Szczęśliwych zanurzeń, chłopcy i dziewczęta. Jak to się mówi, siedem stóp pod umrzyka skrzynią!

Wszyscy wstali z miejsc i obstąpili Ulla, który zaczął coś mówić o pożegnalnej kolacji. Ja pozostałem na miejscu – ogarnęła mnie apatia.

I to już koniec – myślałem. – Teraz do domu...  
Do rodzimych trumien...

Słowa te jednak nie dodawały otuchy. Wiedziałem już, że w rodzimych trumnach są problemy z wentylacją. I w ogóle, dziwne, że trumny rodzimej produkcji jeszcze... Co takiego powinny robić trumny? Butwieć? Dziwne, że jeszcze nie butwieją...

Wstałem, wyszedłem z audytorium i powlokłem się do swojego pokoju. Chciałem tylko jednego – spać.



Wydawnictwo Literackie

## NIEUNIKNIONE

Obudziło mnie pukanie do drzwi.

Słowo „obudziło” trochę tu nie pasuje, ale nie sposób dobrać innego. Chodzi o to, że miałem długi, mroczny sen, który całkowicie zapomniałem po przebudzeniu. Pamiętałem tylko, że te trzy krótkie stuknięcia w drzwi stanowiły jego ważną część – i nie mogłem pojąć, jak stały się jawą. Poza tym wiedziałem, że za drzwiami jest Sophie, ale z jakiegoś powodu spotkanie z nią jest bardzo niebezpieczne.

Wahałem się przez parę sekund, a potem postanowiłem, że nie będę się pozbawiać radości życia z powodu bezsensownych elektrycznych fluktuacji przeładowującego się mózgu.

– Proszę wejść! – zawołałem.

Drzwi się otwały. Na progu rzeczywiście stała Sophie.

Miała na sobie długą czarną suknię z rozsianymi rzadko cekinami. Prawdziwa wieczorowa toaleta.

– Przydzielili mi to tutaj – uśmiechnęła się, widząc moje zdziwienie – jako jedynej kobiecie.

– Czy to nie kreacja z intymnej kolekcji Draculi? – spytałem. – Pewnie wkładał ją na schadzki z młodym Oscarem Wilde’em.

– Takiej informacji nie mam – odparła. – Słuchaj, chciałbyś trochę pogruchać w mojej trumience? Dziś jest ostatni dzień, kiedy to możliwe...

– Chciałbym – powiedziałem.

– No to chodźmy. Ale zaraz, niedługo kolacja pożegnalna.

Podobało mi się, że po raz drugi przychodzi do mnie sama.

Od dzieciństwa uważałem, że w stosunkach między mężczyzną a kobietą brakuje owej ufnej i lekkomyślnej prostoty, jaka istnieje między

przyjaciółmi, którzy postanawiają razem dać sobie w szyję. W końcu tu również chodzi o krótką i właściwie nie pozostawiającą śladu przyjemność... Jak to by było pięknie, myślałem, umawiać się z kobietą na akt miłosny z beztróską swobodą planujących popijawę studentów...

Później doszedłem do wniosku, że jest to trudne do osiągnięcia z powodu biologicznego podziału pracy. Mężczyzna daje życie, jego zarodek – a kobieta je nosi, odgrywając rolę nie mniej ważną i w jakimś sensie nawet kluczową. Jej funkcja rozrodcza jest męcząca i wiąże się z długim okresem bezbronności – toteż jest rzeczą naturalną, że zwierzęcy instynkt każe jej wybierać partnera bardzo starannie. Cały komizm sytuacji polega jednak na tym, że ten instynkt działa z całą mocą nawet wtedy, kiedy chodzi nie o zasianie nowego życia, ale o spędzenie sobotniego wieczoru.

Kobieta musi mieć nietuzinkowy intelekt i siłę woli, żeby się nauczyć wykrywać i tłumić tę odwieczną hipnozę ciała, która wypacza jej charakter i pozbawia ją konkurencyjności na rynku

usług biologicznych.

Sophie, jak mi się wydawało w tym momencie, była właśnie taką doskonałą istotą – i podążając za nią korytarzem, myślałem, że Ameryka jeszcze długo pozostanie dla świata lśniącym *cutting edge*<sup>[21]</sup> nie tylko w sferze technologii, ale i w dziedzinie najefektywniejszych wzorców zachowań.

Ach, gdyby kobiety wiedziały, jak taka prostota serca podnosi je w naszych oczach! Ale skostniała jaskiniowa pamięć przypomina samicy, że jest dla samca atrakcyjna tylko na kilka minut przed kopulacją, i dlatego robi ona, co może, by rozciągnąć je w godziny, dni i tygodnie – i wytargować dla siebie jak najwięcej skór i paciorków...

W minutę po wejściu do pokoju leżeliśmy już w przestronnej trumnie Sophie, w której unosił się wzruszający zapach jakichś delikatnych perfum. Sophie sama zdjęła suknię, co bardzo ułatwiło mi życie – nie byłem pewien, czy poradziłbym sobie

szybko z jej zapięciem. W trumnie wcale jednak nie było tak wygodnie, jak sobie wymarzyłem – ale ta niewygodność miała swój urok: utrudniając osiągnięcie przyjemności, ciasnota ukazywała ją jakby z nieznanej, świeżej strony...

Nie zdążyłem jednak zejść zbyt daleko.

Przeszkodziło mi zupełne głupstwo – ledwie odczuwalne ukłucie w szyję. Od razu zrozumiałem, co oznacza, i chociaż ze wszystkich sił starałem się nie zwracać na nie uwagi, okazało się to niemożliwe. Moje podniecenie w kilka sekund zamieniło się w przykrość i gniew.

– Ukąsiłaś mnie?

Sophie zamrugnęła ze skruchą.

– Ja po prostu... Już tyle razy w życiu się nacięłam. I więcej nie chcę.

One zawsze tak mówią – pomyślałem. – Zawsze.

– Wybacz – szepnęła Sophie. – Ale teraz już wiem.

– Co wiesz?

– O tobie. O tobie i waszej Wielkiej Myszy.

– O Herze?

Sophie przytaknęła.

– A poza tym widzę, że i tak niczego nie zrozumiałeś. Biedny chłopczyk. Chociaż nie miałeś szans zrozumieć. Niczego ci nie powiedziano, a ty sam w ogóle nie kumasz.

– Czego nie kumam?

– Nie wiesz, po co cię tu wysłano. Po co cię szkolą na nurka.

– A ty niby wiesz?

– Wasz główny wampir – powiedziała. – Enlil. Przecież też jest nurkiem. Sam widziałeś. Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego się wyszkolił?

– Nie – odrzekłem. – Pewnie, żeby mieć jak największą kontrolę?

Pokręciła przecząco głową.

– To bardzo wzruszająca historia. Wasza poprzednia Isztar... Kiedy była młoda, przypominała trochę twoją Herę. A Enlil



przypominał ciębie. Oboje niedawno zostali wampirami. I mieli śmieszny, półdziecięcy romans, zupełnie jak ty i Hera, który dokładnie tak samo nie zdążył się skończyć – ponieważ Wielka Mysz pilnie potrzebowała nowej głowy.

– To niemożliwe – powiedziałem.

– Możliwe – odparła Sophie. – Nieboszczka Isztar sama ci o tym mówiła. To były bardzo wyraźne aluzje. Tylko że ty niczego nie rozumiałeś.

Wytężyłem pamięć.

– Zaczekaj... To było, kiedy zszedłem do Hartlandu drugi raz? Powiedziała, że Enlil miał dziewczynę podobną do Hery. I że w końcu się ze sobą nie przespali. A potem opowiedziała żart o czarnej mambie – jest taka okropnie jadowita żmija. Jeśli nie poprosisz, żeby cię ukąsiła, możesz nawet przez długie lata rozkoszować się jej ciepłem... Myślałem, że po prostu radzi, żebym był ostrożny z Herą... A ty chcesz powiedzieć, że to ona była dziewczyną Enlila?

Sophie przytaknęła.

– To prawdziwa wampiryczna love story – powiedziała. – Niesamowicie piękna. Ale nie rozgłaszają jej. Uważam, że szkoda...

– Co to za historia? – zapytałem.

– Kiedy Ishtar została Wielką Myszą, początkowo myślała, że utraciła Enlila na zawsze. W każdym razie jako kochanka. Ponieważ nie miała już ciała.

– Logiczne – wtrąciłem, żeby nie milczeć.

– Ale potem ukąsiła ówczesnego przywódcę wampirów Kronosa i dowiedziała się wielu nowych rzeczy. Dowiedziała się o undead. O zwykłych i o wielkich.

– A czym się oni różnią?

– Zwyczajni undead uzyskują dostęp do świata cieni, pozostając przy tym przy życiu. Mogą nawiązywać kontakt z animogramami i to wszystko. A wampirzyca, która zostaje Wielką Myszą, to już wielka undead.

– Dlaczego?

– W pewnym sensie tracąc ciało, rzeczywiście umiera. Po czym pozostaje w limbo w tym wieku i stanie ducha, w którym była, gdy odcięto jej głowę. Zarazem jednak nadal żyje wśród nas – jako Wielka Mysz. Dlatego istnieje jednocześnie jako żywa istota i jako animogram w limbo. Wielka Mysz może utrzymywać kontakt ze swoim animogramem. Może się poczuć zwykłą kobietą, jeśli schodzący do limbo nurek ożywi jej animogram promieniem swojej uwagi. Co więcej, Wielka Mysz może w tajemniczy sposób oddziaływać na tego nurka. Teraz rozumiesz?

– Nie do końca.

– Kiedy wasza poprzednia Isztar została Wielką Myszą, przede wszystkim wytoczyła ze swego martwego ciała całą czerwoną ciecz. I zamieniła ją w preparaty. Żeby wystarczyło im z Enlilem na całe życie. A Enlil z miłości do niej został nurkiem. I spędzał dni i noce w limbo z jej animogramem. A raczej z nią samą – jako że Wielka Mysz nie może rozdzielić animogramu i żywej istoty.

Ogarnęło mnie mroczne przeczucie.

– Ale Wielka Mysz tak naprawdę nie jest w limbo? – spytałem. – Jest w świecie realnym? Czy ona żyje?

– O Wielkiej Myszy nie można powiedzieć nic konkretnego. Mogą o niej coś wiedzieć tylko najwięksi undead. Podobno jej ludzka głowa przeżywa wszystko, co się dzieje z jej animogramem. W ciągu dnia Ishtar obserwowała świat jako Wielka Mysz, a zasypiając, znów stawała się tą dziewczyną, którą kochał Enlil. I spotykali się na kwitnącej łące swojej młodości...

– Miał chłop szczęście – powiedziałem.

– Tak – zgodziła się Sophie, nawet nie dostrzegając mojego sarkazmu. – Do późnej starości miał młodziutką kochankę. Bo animogramy się nie starzeją. I z najstraszniejszej przestrzeni na świecie uczynili rodzaj domu schadzek. Wampiry bywają czasem prawdziwie wielkie, Rama...

Poczułem się źle. Z jej słów wynikały już nie przecucia, ale całkiem jasne i konkretne wnioski – a ja wciąż usiłowałem nie dopuścić ich do swej świadomości. Ale dłużej nie mogłem się już opierać.

– Chcesz powiedzieć, że Hera... to jest Isztar, wysłała mnie, żebym się szkolił na nurka, właśnie dlatego?

Sophie się zaśmiała.

– Przypomnij sobie. Ukąsiła Enlila, żeby przejąć sprawy, a już dziesięć minut później kazała ci jechać na szkolenie. Potrafisz dostrzec najprostsze związki przyczynowo-skutkowe?

Próbowałem znów objąć ją za szyję, ale chwyciła moją rękę i odsunęła ją – delikatnie, ale stanowczo.

– Potrafię – westchnąłem. – Co, przestałem ci się podobać?

– Masz dziewczynę – powiedziała Sophie. – I ta dziewczyna czeka na ciebie.

– To nie dziewczyna, tylko animogram –

odparłem. – Czysty koszmar.

Sophie wzruszyła ramionami.

– Jesteś wampirem. Wraz z wielką władzą przychodzi też brzemię. Każdy z nas dźwiga swoją trumnę.

– Jakoś mi się nie podoba taka wersja życia osobistego – powiedziałem. – To tak, jakbym nurkował w głębinę, na której dnie pływa kalendarz ścienny ze zdjęciami jednej i tej samej martwej dziewczyny. I jakbym teraz musiał go dzień za dniem kartkować.

– To nie kalendarz – odparła Sophie. – Ona będzie żywa na tyle, na ile żywy będziesz ty. Najciekawsze...

Zamyśliła się.

– Co? – spytałem.

– Ona niekoniecznie będzie pamiętać, że umarła i przebywa w limbo. Dla Wielkiej Myszy jest to możliwość pobycia tą dziewczyną, której głowę nosi. Myślę, że jej się to podoba. Zawsze to lepsze, niż kiedy cię doją od rana do wieczora...

I jeszcze jedno. Podobno kiedy nurek obcuje z potężnym bytem klasy undead, różni się to mocno od pracy ze zwykłym animogramem. Działa to na świadomość w sposób tak nieprzewidywalny, że w ogóle nie wiadomo, kto przy tym jest kalendarzem. To ciebie zaczynają kartkować jak animogram. Wielka Mysz nie tylko sama potrafi zapominać, że znajduje się w limbo. Sprawia, że i ty zapomnisz.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – spytałem podejrzliwie.

– Już dawno postanowiłam zostać nurkiem – powiedziała Sophie. – I gromadziłam całą dostępną informację.

Podłożyła rękę pod głowę i zapatrzyła się w sufit. Serce na jej ramieniu odwróciło się do góry nogami, stając się parą czerwonych pośladków. Nie wiem, czy studiowała ten gest przed lustrem, ale symbolika była całkowicie jasna. Postanowiłem jednak zaryzykować jeszcze raz – i spróbowałem ją objąć. Trzepnęła mnie po

palcach.

Wydało mi się, że tak naprawdę wcale nie chce się opierać – ale skłania ją do tego niepojęty aspekt etyki kobiecej albo wampirycznej. Nagle zrozumiałem, co powinienem powiedzieć.

– Czy mogłabyś okazać wielkość ducha?

– Czyli co? – spytała z zainteresowaniem.

– Mogłabyś na jakiś czas o wszystkim zapomnieć?

Zamyśliła się.

– Ja bym może i mogła... Ale ty sam – dasz radę?

– Ja?

– Co, zdradzisz swoją Wielką Mysz?  
Z Amerykanką?

– Ależ z rozkoszą...

Poczułem się po tych słowach nieswojo, ale mimo to powtórzyłem:

– Bez trudu...

Sophie popatrzyła na mnie dziwnie.



– Wielka Mysz, w porządku – powiedziała. – Ale potrafisz zdradzić Herę?

Zirytowało mnie to.

– Ja nie muszę jej zdradzać. To ona mnie zdradziła. Przynajmniej w sensie fizycznym. Czy ty wiesz, jak mnie już zmęczyło to...

Zabrakło mi odwagi, by kontynuować, i zamiast tego przesunąłem palcem po jej wargach. Nie protestowała.

– Ale dla tej biedulki byłoby to bolesne, gdyby się dowiedziała – mruknęła. – Bardzo bolesne.

– Trudno – odparłem. – Mnie też jest czasem ciężko.

– No to powiedz głośno: „Zapieram się Hery. Zapieram się jej dla ciebie”.

– Zapieram się – powiedziałem. – Z wielką przyjemnością.

– Pamiętaj – szepnęła Sophie czule i ze smutkiem. – To był twój własny wybór.

Zrozumiałem, że udało mi się dobrać właściwy

szyfr do zamka, i teraz Sophie nie będzie się już opierać.

Ileż te kobiety mają na sobie haftek i zapinek – nawet kiedy są całkiem nagie. I każdą trzeba rozpinać troskliwie i delikatnie, bo inaczej nic z tego nie będzie...

Ale to także jest biologia, myślałem, kiedy moje ręce ślizgały się po jej ciele, bo kobieta musi być pewna, że samiec gotów jest dla niej znieść wszelkie przeciwności. Wszystko to jest na wieki odlane w granicie, który kiedyś był płynną magmą – te schematy mają więcej lat niż kontynenty. Jakże naiwny jest człowiek, myśląc, że może oszukać naturę...

Trumna, chociaż dwuosobowa, zamieniała znajome operacje z cudzym ciałem w skomplikowane zadanie inżynieryjne – w związku z czym doznania były szczególnie intensywne. Nigdy, nigdy wcześniej akt miłosny nie dał mi tyle rozkoszy. Aż sam się przestraszyłem jęku, jaki wydałem w decydującym momencie.

Sophie się roześmiała.

– Cudownie – wyszeptalem z satysfakcją. –  
Było ci dobrze?

Sophie zaśmiała się jeszcze głośniej i zdawało mi się, że słyszę w jej śmiechu zimne, niepokojące nutki – jak kawałeczki lodu, chrzęszczące w kielichu szampana.

– Aha – powiedziała.

Lepiej, żeby tego nie mówiła. Takim tonem.

– Co się stało? – spytałem.

– Jak to co? Właśnie mnie przeleciałeś.

– Dlaczego tak mówisz...

Znów się zaśmiała – lodowato i złośliwie.

– Ja przecież wiem, co myślisz o kobietach,  
Rama. Jaskinia, maczuga...

– Kąsać bez pozwolenia to podłość –  
powiedziałem. – Myślałem, że po prostu jest ci ze  
mną dobrze...

– Dobrze? Czy ty w ogóle wiesz, co kobieta  
czuje w czasie tej procedury? Jak to jest?

Nie wiedziałem już, czy mówi poważnie, czy żartuje.

– Jak to nie wiem? – odparłem. – Kiedyś ukąsiłem... Tylko już zapomniałem.

Nagle z niewiarygodną siłą ścisnęła mnie za ramiona.

– To ja ci przypomnę...

Ogarnął mnie strach.

Działo się coś dziwnego. Jakaś część mnie wiedziała, co mianowicie – i bardzo nie chciała w tym uczestniczyć. Ale to zrozumienie było ukryte zbyt głęboko. Nie byłem w stanie sięgnąć tam umysłem.

– O tak – powiedziała Sophie. – A potem jeszcze tak...

Znalazła się na mnie, rozpostarła ręce i zaczęła nimi uderzać po bokach trumny jak ptak skrzydłami.

Uderzenia stawały się coraz silniejsze – i mój strach również. Działo się coś niewiarygodnego – zgodnie z prawami fizyki powinna była sobie

porozbijać ręce do krwi, ale zamiast tego ścianki trumny zatrzęszczały i przekrzywiły się, a potem w ogóle rozpadły.

A potem strach minął.

Nagle zmieniła się perspektywa tego, co widziałem, i chyba nawet siła ciężenia działała teraz w drugą stronę. Sophie nie leżała już na mnie, ale jak gdyby wisiała naprzeciw, odpychając mnie z całej siły wymachami rąk.

I oczywiście nie były to już ręce – ale wznoszące się i opadające w pustce czarne skrzydła.

Odrzucały mnie nie ich uderzenia, ale wzbijany przez nie wicher. Wiedziałem, że jeśli ten wicher oderwie mnie od Sophie (tymczasem zamieniła się w coś ogromnego, jakby ścianę, porośniętą czarną zwierzęcą sierścią, w którą się wczepiłem), to koniec ze mną. Nadal jednak miałem przed sobą jej twarz – i mogłem poprosić, żeby mnie nie zabijała.

– Sophie! Proszę!

Zaśmiała się mściwie. I wtedy zrozumiałem – albo raczej przypomniałem sobie – że to nie Sophie.

To była Hera.

Moje palce się rozwarły i kolejny wymach czarnych skrzydeł odrzucił mnie w przestrzeń. Ale teraz już się nie bałem. Wiedziałem, co się zaraz stanie. Stopniowo wracała mi pamięć.

Przez kilka sekund zdawało mi się, że chaotycznie koziółkuję w pustce. A potem stopniowo zacząłem czuć swoje prawdziwe ciało.

Wisiałem głową w dół, z nogami zahaczonymi na poprzeczce – jak w hamlecie. Ale nie był to hamlet. To była...

Ostatecznie przypomniałem sobie wszystko na sekundę przed otwarciem oczu. Przez tę bardzo długą sekundę wzbierał we mnie nieznośny wstyd, wiedziałem bowiem, że tak czy owak oczy będę musiał otworzyć.

Teraz nie był to już początek lat dwutysięcznych, kiedy pojechałem na szkolenie nurków, tylko

drugie dziesięciolecie dwudziestego pierwszego wieku.

I było to moje służbowe rendez-vous z Herą.

Kolejne.

Kiedy znów ją zdradziłem.

Co prawda, z nią samą.

Zdradzałem ją na każdej naszej schadzce. Niekiedy z Sophie, której tak naprawdę nie widziałem już od kilku lat. Niekiedy z innymi fantomami. Hera wynajdowała w mojej pamięci mnóstwo różnych masek. Ale jej ulubionym numerem było moje spotkanie z Sophie w zamku Draculi.

Prawie zawsze żądała, żebym się jej wyparł – i robiłem to, niekiedy żartem, niekiedy na serio. I zawsze zaraz potem następowało przebudzenie. I konieczność otwarcia oczu. Tak jak teraz.

Otworzyłem je.

Wisiałem w buduarze Wielkiej Myszy na srebrnej poprzeczce, przypominającej ogromne strzemię. Na wprost mnie, w odległości zaledwie

metra, znajdowała się twarz Hery – kołysała się pośrodku perłowej muszli na długiej, pokrytej sierścią nóżce. Oczy miała zamknięte, a na ustach zastygły rozmarzony uśmiech. Z kącika jej ust do zgięcia mojego łokcia ciągnęła się cienka jak nić srebrzysta rurka.

Wyciągnąłem sobie z ręki cienką igłę.

– Hera – wyszeptałem ochryple – nie chcę, żeby za każdym razem...

Ledwie dostrzegalnie pokręciła głową, nakazując mi milczenie.

– Dzięki, skarbie. Było cudownie. Za każdym razem jest zastrzyk energii na cały tydzień. Gdyby nie ty, nigdy bym się nie dowiedziała, że podłóść ma takie głębie...

– Dlaczego ciągle to powtarzasz? – spytałem. – No dobrze, ukarż mnie. Ukarż najsurowiej, jak chcesz. Ale tylko raz.

– Mam cię ukarać? Ciekawe jak?

Zamyśliła się.

– Mam pomysł. Chcesz, to wsadzimy cię do



więzienia?

– W jakim sensie? – zapytałem.

– Dosłownym.

– Za co?

– Za wiersze.

– Jakie?

– Te, które wygrzebałam w twojej łepetynie,  
Rama. O, na przykład ten...

Rozciągnęła usta od ucha do ucha, wybałuszyła  
oczy (co zapewne miało wyobrazać mnie)  
i zadeklamowała piskliwym głosem kastrata:

– A szczęście – czegoż pragnąć  
więcej?

Na psychotropów lekkim haju

W zwyczajnej trumnie niby w raju

Z najmilszą trzymać się za ręce...

Marzyłem tylko o jednym – żeby się zapaść pod  
ziemię. Ale i tak znajdowałem się pod nią bardzo  
głęboko, dlatego coś takiego było raczej

niemożliwe.

– Podłożyłeś się jak nie wiem co – ciągnęła Hera. – Propagowanie narkotyków – to raz. Propagowanie samobójstwa – to dwa. A jeśli jeszcze wspomnieć prokuratorowi, że twoja najmilsza to undead, to razem z nekrofilią dadzą ci z dziesięć lat... Jesteś Rosjaninem – chyba nie trzeba ci tłumaczyć, co będzie z twoją dupą w zonie, prawda?

– To nieuczciwe szperać w cudzych zapiskach – powiedziałem. – A mówiąc o psychotropach, miałem na myśli bablos. Którego nie widziałem już od roku. Inne narkotyki mnie nie interesują.

– To będziesz mógł to powiedzieć w sądzie prokuratorowi. Dobra, nie bój się, łobuzie. Żartowałam. Następnym razem spotkamy się za...

Popatrzyła na jeden z ciekłokrystalicznych paneli na ścianach, tam, gdzie migotały daty kalendarza z kolorowymi zapiskami.

– W piątek w przyszłym tygodniu. Będę miała okienko. Akurat zdążę się stęsknić za twoim

czarnym fałszywym sercem. A teraz wynocha.

Na to nie było żadnej odpowiedzi.

Starając się zachować godność, zląłem z poprzeczki na podłogę.

– Aha – powiedziała Hera. – O mało nie zapomniałam. Twoje wiersze to kompletne gówno.

Ukloniłem się i wyszedłem.

Za drzwiami stała starszyzna wampirów – Enlil Maratowicz, Marduk Siemionowicz i Baal Pietrowicz. Często spotykałem ich w tym korytarzyku pod perłowymi drzwiami. Zawsze starali się dostać na audiencję u Wielkiej Myszy zaraz po jej spotkaniu ze mną – w nadziei na korzystny układ hormonalno-neuroprzekaźnikowy, który powinienem był zapewnić.

– No? – zapytał Marduk Siemionowicz. – Jak tam nasza pani?

– Dzisiaj jest dobra – powiedziałem.

– Ile razy pluła?

– Ani razu.

Marduk Siemionowicz i Baal Pietrowicz wymienili spojrzenia.

– Co, w ogóle ani razu?

Pokręciłem przecząco głową.

– Mówię przecież, że jest dobra. Naprawdę dobra.

– Mówiła „skarbie”?

– Tak.

– Enlil – zapytał zafrasowany Marduk Siemionowicz – zgodzisz się, żebym poszedł pierwszy? Bo ty ją znów przeciążysz. A ja mam...

– Wiem – odrzekł Enlil. – Idź.

Marduk Siemionowicz z wdzięcznością skinął rudą głową i zniknął za perłowymi drzwiami.

Powlokłem się korytarzem do wyjścia. Po kilku krokach dogonił mnie Enlil Maratowicz.

– Rama – powiedział – dwa słowa.

Posępnie kiwnąłem głową.

Weszliśmy do kolejnej komnaty ołtarzowej, gdzie urządzono coś w rodzaju poczekalni.

Pamiętałem jeszcze czasy, kiedy były tu apartamenty żywej Isztar – a teraz patrzyła na mnie jej niewidząca głowa. Staruszka wyglądała prawie tak jak na swoim pogrzebie, tylko włosy na czubku głowy miała ułożone w srebrny półksiężyc.

Jakże chwiejny i nietrwały jest świat...

Enlil Maratowicz z przesadną uprzejmością puścił mnie przodem i wcale się nie zdziwiłem, czując lekkie ukłucie w szyję. Bardzo dawno już mnie nie kąsał. Co było nawet dziwne, biorąc pod uwagę ciężącą na mnie odpowiedzialność.

Usiedliśmy na fotelach pod ścianą.

– No cóż – powiedział Enlil Maratowicz. – Nieźle się spisujesz.

– Jakie tam nieźle – odrzekłem ponuro. – Właściwie jeden i ten sam sen. Już od pół roku.

– To znaczy, że pani się podoba – powiedział Enlil Maratowicz. – Powinieneś być szczęśliwy.

– Nigdy przy tym nie wiem, że to Isztar. I ona cały czas się domaga, żebym się jej wyparł. A ja...

Z goryczą machnąłem ręką.

– Ma pełne prawo mówić, że jestem podlec.

Enlil Maratowicz zaśmiał się cicho, a potem popatrzył na zasuszoną głowę Isztar odgradzoną aksamitnymi sznurami (pozostawiono jej metr kwadratowy powierzchni – resztę miejsca zajmowały fotele dla czekających na audiencję).

– Ech, młodzież – powiedział. – Jacyż z was romantycy. Niewinni, śmieszni. Za to właśnie was kochamy. Myślisz, że między mną a Borisowną było inaczej?

Mrugnął porozumiewawczo do zmumifikowanej głowy.

– Podobała mi się jedna z jej służebnic. I Borisowna, kiedy to odgadła, zaczęła się w nią zamieniać. I razem ze mną przygotowywała truciznę. Niby dla głowy Isztar. To jest dla samej siebie. Żebym jej nalał do ucha, jak tatusiowi Hamleta. A potem planowaliśmy, jak to otrujemy razem tego zapleśniałego potwora, podmienimy jej głowę i będziemy żyć długo i szczęśliwie. I tak przez dziesięć lat, przed każdym intymnym

zbliżeniem... Masz pojęcie? Wiesz, jak mi było, kiedy się budziłem? Wciąż w tym samym miejscu?

– Ale po co to wszystko? Nie można normalnie? Dlaczego ona nie może być po prostu Herą?

– Nic nie rozumiesz – powiedział Enlil Maratowicz. – Nie rozumiesz, co to jest Wielka Mysz.

– Czego konkretnie nie rozumiem?

– Wielka Mysz odgrywa wobec ludzi bardzo specyficzną rolę. Powiedzmy, że nie całkiem altruistyczną.

– I co?

– A to, że ona – a przynajmniej jej głowa – musi się stale utwierdzać w tym, że ludzie są podli i bez serca. Wtedy jej... hm... funkcje wobec ludzi są moralnie usprawiedliwione. Zauważyłeś, że Isztar, zmuszając cię, żebyś popełnił zdradę albo podłość, zawsze odwołuje się do twojego... Jak by to powiedzieć... bardzo ludzkiego pierwiastka?

Tego się nie spodziewałem. Ale chyba Enlil miał rację.

– Oto masz odpowiedź – ciągnął. – Wiesz, co robimy z ludźmi. A raczej, co ludzie robią ze sobą na nasz rozkaz. Płoną jak drwa, całkowicie przekonani, że sami wybrali swoje życie i los. Wielka Mysz to nasz niewidzialny wielki piec. Właśnie na niej zasadza się cała bezmyślna ludzka krzątanina. To ona jest ową czarną dziurą, w której znikają ich życia. Jeden z jej tytułów to Wieczna Noc. A ty jesteś jej kochankiem. Kawalerem Nocy. Można powiedzieć księciem małżonkiem. I jesteś jej potrzebny właśnie jako wiarołomny człowiek. Teraz rozumiesz?

– I znajduje powód do zemsty nad ludźmi?

Enlil Maratowicz skrzywił się, jakbym powiedział coś nieprzyzwoitego.

– Tak bym tego nie ujął. Po prostu za każdym razem znajduje w waszych stosunkach nowe potwierdzenie tego, że ludzie nie zasługują na inny los. Stale potrzebuje świeżej urazy do ludzkości w charakterze swoistej psychicznej witaminy. Ty na razie bardzo dobrze sobie radzisz, dlatego się



nie przejmuj.

– I co, będę ją tak zdradzać raz za razem?

Enlil Maratowicz kiwnął głową.

– Ja kiedyś próbowałem przestać – powiedział. – Myślałem, że lada moment nauczę się kontrolować zanurzenie. Ale Isztar jest silniejsza. Limbo to jej dom. Choćbyś nie wiem jak się starał, będziesz widzieć tylko to, co ona zechce.

– A kto w niej tego chce? – zapytałem. – Hera czy Isztar?

– Nikt nie może powiedzieć, gdzie zaczyna się Hera i kończy Isztar – odparł. – Ale powiem ci jak profesjonalista profesjonalście, że Isztar nie ma szczególnych pragnień. Albo raczej że są one jak wiatr, który stale wieje w jednym i tym samym kierunku. Sam wiesz, w jakim.

Nie byłem pewien, czy wiem, ale na wszelki wypadek nic nie powiedziałem.

– W Herze pozostają jeszcze ludzkie pragnienia i myśli – ciągnął Enlil – ale nie jest w stanie

mocno narozrabiać. Kiedy jej ludzkie pragnienia osiągają określoną intensywność, budzi się w niej Wielka Mysz. Dlatego oddzielanie ich od siebie jest bezproduktywne.

– Jasne – powiedziałem. – Dzięki za lekcję.

Enlil Maratowicz się uśmiechnął.

– Proszę.

– No to jadę się odespać – powiedziałem. – Jutro przez cały dzień będę gnić w łóżku.

– Obawiam się, że nic z tego – westchnął Enlil Maratowicz. – Mamy naradę z Chaldejami. Już jutro.

– Jaką naradę? Po co?

– Spotkanie w sprawie cyklu kalendarzowego. Jako książę małżonek i Kawaler Nocy musisz być obecny. Czas, żebyś się ze wszystkim zapoznał. Włączył się w ważne zagadnienia.

– Co to za cykl kalendarzowy?

– Dowiesz się jutro.



Wydawnictwo Literackie

## *KALENDARZ AZTLAŃSKI*

Enlil Maratowicz udzielał audiencji Chaldejom w swojej nowej Sali Przyjęć. Spotkanie było formalne, ponieważ poprosili o nie sami Chaldejczycy. Domyślałem się jednak, że wcześniej nakłaniano ich do złożenia tej prośby. Wystarczająco długo byłem wampirem, żeby rozumieć pewne rzeczy bez tłumaczenia.

Moja obecność miała wymowę nie tylko ceremonialną, ale i symboliczną: chodziło o to, by przypomnieć Chaldejom o miejscu, w którym mogą się znaleźć, jeśli ich zamiary nie będą dostatecznie wrogie – albo, co zdarzało się znacznie częściej, dostatecznie mądre. W ogóle jednak podejrzewałem, że jest to pusty rytuał, z powodu którego jednak musiałem wstać o godzinę

wcześniej.

Enlil Maratowicz ubrał się bardzo oficjalnie – w czarny smoking i czarną jedwabną kosworotkę<sup>[22]</sup> z bladoliliowym guzem pod szyją. Było mu w tym bardzo do twarzy.

– Nie byłeś tu jeszcze – powiedział. – Podoba ci się?

Nowa Sala Przyjęć robiła wrażenie. Była ogromna – i natychmiast przytłaczała pustką i chłodem. Brąz i ciemny kamień wystroju stwarzały wrażenie jakiejś imperialnej dziedziczności, twardej jak skała, ale niedostatecznie rozszyfrowanej na to, by można było przedstawić konkretne roszczenia o charakterze moralnym lub prawnym.

Nie bywałem w starej sali – mówiono jednak, że od dawna nie robi już ona wrażenia na chaldejach, których miała przytłaczać i poskramiać. Nie robiła wrażenia nawet na sprzątaczkach. Nazywali ją „mętym okiem” lub „planetarium” z uwagi na retro-futurystyczny

design i kosmiczną symbolikę, co oczywiście w naszych czasach wyglądało absurdalnie (salę zbudowano w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy człowiek śnił coś zupełnie innego).

Nowa sala była surowa, nowoczesna i nakierowana w przyszłość.

Pod ścianą w głębi wznosił się podest z masywnym tronem z czarnego bazaltu. Oparcie fotela stanowiła starożytna płyta z płaskorzeźbą, przedstawiającą dwugłowego nietoperza (w pierwszej chwili w ogóle się nie zorientowałem, że to nietoperz i wziąłem go za obosieczny topór). Płyta, jak mi objaśnił Enlil Maratowicz, została znaleziona w Iraku i przekazana w darze Rosji ze względu na strategiczne aluzje do polityki państwowej.

Tron miał elektryczne ogrzewanie, ponieważ byłoby bardzo nieprzyjemnie siedzieć na zimnym bazalcie, „dupa odpada” – jak całkiem po ludzku poskarżył się Enlil Maratowicz. Co oznaczał dwugłowy nietoperz w sensie symbolicznym, nie

odważyłem się spytać – zapewne sam powinienem był to wiedzieć. Nie chciałem znowu zdradzać luk w wykształceniu.

Po obu stronach bazaltowego stolca stały dwie grupy brązowych posągów, stwarzające w pustej sali wrażenie, jakby do tronu cisnął się symetrycznie zachłanny tłum. Rzeźby bardzo się od siebie różniły, ale nie od razu dawało się to zauważyć z powodu podobnych zarysów.

– Przyjrzyj się, dopóki mamy czas – powiedział Enlil Maratowicz. – Ciekaw jestem, co powiesz.

Pierwsza rzeźba nazywała się Syzyf.

Zgarbiony proletariusz z nastroszonymi włosami wrywał brązową kostkę z niewidzialnego bruku, a wokół leżało, stało, nawisało i nawet podczołgiwało się z tyłu co najmniej dwudziestu kamerzystów z najróżniejszym brązowym sprzętem – część kręciła w zbliżeniu kostkę brukową, część samego prola<sup>[23]</sup>, a część próbowała zrobić takie ujęcie, by uchwycić w kadr i kostkę, i nastroszoną głowę. Było

niejasne, gdzie proletariusz zamierza cisnąć swój gniewny pocisk – w którąkolwiek stronę by rzucił, wszędzie tylko operatorzy wideo.

Był to, jeśli dobrze pamiętałem chaldejską historię sztuki, przykład tak zwanego rozwiniętego postmodernizmu. Na kostce brukowej widniał drobno wygrawerowany napis. Pochyliłem się i przeczytałem:

„Transmisja wydarzeń bynajmniej  
nie dowodzi, że się one dzieją”.

Naturalnie było to oczywiste w każdym możliwym sensie, wątpiłem jednak, czy napis trafi chociaż w jeden z dwudziestu brązowych materiałów telewizyjnych. Chłopina nie dałby rady dorzucić tej kostki.

Druga rzeźba nazywała się *Tantal*.

Był to Rodinowski *Myśliciel*, tych samych rozmiarów co miotacz kostki brukowej. Otaczał go taki sam pierścień brązowych obserwatorów, tylko ci mieli w rękach nie kamery, ale joysticki od



Xboxa i Playstation, których przewody ciągnęły się do jego uszu, oczu, nozdrzy, ust i nawet krocza.

Kamień, na którym siedział myśliciel, przypominał powiększoną brukową kostkę proletariusza i też był przyozdobiony drobnym napisem:

„Zrozumienie wydarzeń bynajmniej  
nie oznacza, że mają one sens”.

Z tym także trudno było dyskutować.

Rzeźby cieszyły oko swoją symetrią. Była w tym jakaś pewność i niezawodność. Im dłużej się w nie wpatrywałem, tym więcej zauważałem interesujących szczegółów. Ponieważ miotacz i myśliciel byli dokładnie tych samych rozmiarów, zaczynało się wydawać, że to jeden i ten sam człowiek w różnych pozach. Albo nawet w różnych fazach tego samego ruchu – jakby brązowy proletariusz już rozpoczął rewolucyjny zryw, kiedy nagle coś go skłoniło, by usiadł i się zastanowił... I w zasadzie było jasne, co

mianowicie: proletariusz był w portkach i butach, a myśliciel już bez.

Zauważyłem też ledwie widoczne zarysy dwóch luków w suficie – pewnie po to, by w razie konieczności rzeźby można było szybko wymienić za pomocą podnośnika. W nowej sali wszystko było drobiazgowo przemyślane.

– No i jak? – zapytał Enlil Maratowicz.

– Nieźle – powiedziałem. – Adekwatnie. Ale jakoś tak zbyt po ludzku.

Enlil Maratowicz się zaśmiał.

– My też jesteśmy w pewnym sensie ludźmi, Rama. I to nawet bardzo. Ale bardziej jestem ciekaw – dodał głośnym basem – co powiedzą nasi mali przyjaciele, którzy są tu po raz pierwszy...

Obejrzałem się i zobaczyłem, że delegacja Chaldejów jest już na miejscu. Szli gęsiego – jak tego wymagał obyczaj. Ustaliło się to chyba już w starożytności, aby ludziom trudniej było zaatakować wampira. Ci oczywiście nie

zamierzali atakować, w ogóle nie zauważyłem, że się zbliżają, co nie przynosiło mi zaszczytu. Przestrzeń, którą Chaldej musieli pokonać w drodze do nas, była bardzo duża – i wydali mi się podobni do przebierańców, przepływających się przez zamrożoną rzekę.

Znałem wszystkich zaproszonych i wszystkich rozpoznałem, chociaż twarze mieli zasłonięte złotymi maskami. Na czele dreptał drobniutki chudy Chaldej w chlamidzie wyszywanej w bławatki. Był to szef dyskursu profesor Kałdawaszkin. Lubił się ubierać w perkaliki w kwiatuszki. Podobno przejął tę manierę od późnosowieckiego Chaldeja Susłowa<sup>[24]</sup>, który został wampirem po czterdziestce, czego się na ogół nie praktykuje. Widocznie Kałdawaszkin delikatnie napomykał w ten sposób o nagrodzie, której oczekiwał za swój codzienny trud.

Drugi szedł Chaldej w zielonym jedwabnym chałacie i rytualnej spódnicy z farbowanej owczej skóry – też zielonej, ale w nieco innym

odcieniu, co tworzyło ledwie dostrzegalny, subtelny i niezwykle wysmakowany w swej prostocie kontrast, który w pierwszej chwili wydawał się dysonansem – i dopiero później poruszał nerw estetyczny. We włosach miał jakby kilka gronostajowych koków – wybielonych pasemek zakończonych czarnym punktem, a na jego twarzy połyskiwała nowiutka złota maska Gya Fawkesa<sup>[25]</sup>, megapopularna wśród odmładzających się Chaldejów. Tak mógł wyglądać jedynie szef glamouru Szczepkin-Kupernik.

Za nim kroczył potężny rudobrody drągal w czymś w rodzaju brudnej nocnej koszuli. Jego maskę pokrywały matowe plamy – było widać, że nigdy jej nie czyści. Takie niechlujstwo można by uznać wręcz za chamstwo, gdyby nie profesja trzeciego Chaldeja. Był to szef prowokacji Samarcew – i oczywiście prowokował samym swoim wyglądem. W odróżnieniu od dwóch pierwszych Chaldejów trudno go było nazwać „małym przyjacielem” z powodu gabarytów.

Zakładałem jednak, że Enlil Maratowicz prowokuje go w rewanżu, sugerując, że w ogóle nie jest naszym przyjacielem.

– Zdejmujcie maski – powiedział Enlil Maratowicz. – Chcę widzieć oczy. Co myślicie? Szczepkin, co szepcze glamourowe serce?

– Glamourowe serce szepcze o wieczności – odrzekł śpiewnie Szczepkin-Kupernik, oglądając rzeźby. – O jej tajemnych władcach, którym mamy szczęście służyć, i próżnej ludzkiej krzątaninie, która nie pomni swego początku i nie zna końca...

Enlil Maratowicz się skrzywił – trudno powiedzieć, że z niezadowoleniem, ale też bez szczególnej aprobaty.

– Samarcew?

– Wszystko się zgadza – zadudnił Samarcew. – Kostka brukowa to oręż proletariatu, a obraz telewizyjny – oręż burżuazji finansowej. Tylko co do joysticków nie wszystko rozumiem. Zastanowię się.

– Głos ma towarzysz dyskurs<sup>[26]</sup> – powiedział

Enlil Maratowicz, zwracając się do Kałdawaszkina.

Już dawno spostrzegłem w jego zachowaniu wobec Chaldejów manieri ni to prostackiego partyjnego kacyka niskiego szczebla, ni to wysoko postawionego bandziora. Najwyraźniej był to optymalny sposób bycia, który ja sam też powinienem sobie przyswoić. Ale nie było to łatwe.

Kałdawaszkin zbliżył się do posągów i delikatnie dotknął karku jednego z brązowych dziennikarzy.

– Właśnie czytałem ponownie *Wspomnienia* i *Rozmyślenia* waszego najwyższego – powiedział. – Jest tam analiza pewnej interesującej, ale dyskusyjnej myśli. Jeśli spojrzymy na płynącą przed nami rzekę życia, zobaczymy ludzi zajętych tym, co biorą za swoje sprawy. Ale jeśli prześledzimy, dokąd rzeka życia unosi tych ludzi i co się z nimi dzieje potem, w jakimś momencie ujrzemy zupełnie innych ludzi,

zajętych zupełnie innymi sprawami, którzy wypłynęli z poprzednich ludzi i spraw, ale już nie mają z nimi nic wspólnego. To samo stanie się z nowymi ludźmi i ich sprawami. Tak się dzieje od wieków. W każdej sekundzie to, co się dzieje, wydaje się mieć jasny sens. Ale im większy odcinek czasu weźmiemy, tym trudniej będzie powiedzieć, co się w tym czasie działo i z kim.. Jednoznacznie można stwierdzić tylko jedno – wydzieliła się duża ilość agregatu M5, aby się zamienić... Tu jednak skromność każe mi zamilknąć.

– To dobrze – powiedział Enlil Maratowicz. – I co dalej?

– Rzeka życia – podjął Kałdawaszkin – cały czas usiłuje się uwolnić od samej siebie, ale nie może. Świat zmienia się dlatego, że umyka przed własną okropną istotą – i przemyca sam siebie w przyszłość. Rzeka nie może wyciec sama z siebie na zawsze. Może się tylko bez końca zmieniać. Ale chociaż się mówi, że nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki, jej istota pozostaje

ta sama – tak jak pierwsza rzeźba nie różni się od drugiej. I zawsze pozostaje pełen entuzjazmu napór, zdrowe ciśnienie nowego życia, które porusza turbiny tajemnej elektrowni. Niech tam sobie mówią, że to już inna rzeka – dla tych, co są „w temacie”, jest wciąż ta sama. A na jej stromym brzegu stoi ten czarny tron, majestatyczny i piękny. Jedyna niezmienność w zmiennym ludzkim świecie.

– W porzo – pochwalił Enlil Maratowicz. – Szacun. Czuje się, że to mówi szef dyskursu – ni chuja nie zrozumiałem. A co do rzeki życia, można to powiedzieć prościej.

Kałdawaszkin pochylił się w półukłonie, wyrażając pełne szacunku zainteresowanie.

– Jest taki kawał – powiedział Enlil Maratowicz. – Umiera stary rabin. Dokoła zebrali się wierni i proszą: „Rebe, powiedz na pożegnanie jakąś mądrość”. Rabin wzdycha i mówi: „Życie to rzeka”. Wszyscy zaczynają powtarzać: „Życie to rzeka”... Potem jakiś mały chłopczyk pyta:



„A dlaczego?”. Rabin znowu wzdycha i mówi:  
„No dobrze, nie rzeka...”.

Chaldeje roześmiali się grzecznie.

Słyszałem ten kawał już ze dwadzieścia razy. Enlil Maratowicz opowiadał go chyba Chaldejom na każdym oficjalnym spotkaniu. A już na pewno na każdym kapustniku<sup>[27]</sup>.

– Zapamiętaj sobie, Kałdawaszkin – powiedział Enlil Maratowicz – że dyskurs ma być maksymalnie prosty. Bo ludzie dokoła są coraz głupszy. A za to glamour powinien się stawać coraz bardziej skomplikowany, bo im ludzie są głupszy, tym bardziej się robią grymaśni i wymagający.

Odwrócił się tyłem do Chaldejów, wszedł na stopnie i zasiadł na bazaltowym tronie. I natychmiast stał się innym człowiekiem – na jego twarzy pojawiło się zapowiadające burzę niezadowolenie, niczym u marszałka Żukowa przed bitwą.

– Mówcie – polecił. – Ale szybko i krótko. Wiem, że jesteście mądrzy. Udowodnijcie, że

z waszej mądrości jest jakiś pożytek. No?

Chaldeje porozumieli się wzrokiem, jakby uzgadniając, kto będzie mówił. Tak jak się spodziewałem, wystąpił naprzód Kałdawaszkin.

– Nie jest żadną tajemnicą, że dyskurs w Rosji przeżywa teraz upadek – powiedział. – To samo dotyczy glamouru. W rezultacie nie mogą one w pełnym zakresie pełnić swoich funkcji nadzorczo-maskowniczych. Dyskurs wydaje się nie świątynią, w której mieszka prawda, ale po prostu nawoływaniem brygady bazarowych graczy w trzy karty. Glamour zaczyna już budzić niesmak. Co jeszcze gorsze, pojawiają się na jego temat kpiny. Kryzys jest tak głęboki, że jest nam coraz trudniej utrzymywać ludzkie myślenie pod kontrolą.

– A w czym problem? – zapytał Enlil Maratowicz.

– Źle wyglądają sprawy z przymusowym dualizmem.

– Że co? – Enlil Maratowicz zmarszczył brwi.

– Najprościej da się to wyjaśnić metodą Lacana – zaterkotał Kałdawaszkin. – Lacan nauczał, że ideologia rządząca narzuca podstawową sprzeczność, dualną opozycję, w której terminach ludzie powinni widzieć świat. Zadanie dyskursu polega na tym, by uniemożliwić odejście od przymusowej mobilizacji świadomości. Wykluczenie samej możliwości alternatywnej percepcji, że tak powiem, jest absolutnie niezbędne do normalnego funkcjonowania ludzkiego mózgu. A u nas z przymusowym dualizmem jest bardzo źle. W rezultacie wymiar znaczeniowy, który powinien być zakazany i tajny, wyziera wszystkimi dziurami. Bez wysiłku widzi go każdy. To prawdziwa katastrofa...

Enlil Maratowicz jęknął żałośnie.

– Nie można by prościej?

Kałdawaszkin zastanawiał się przez sekundę.

– Pamięta pan profesora Preobrażeńskiego z *Psiego serca*? Proszą go, żeby dał pół rubla na

niemieckie dzieci, a on mówi: nie dam. Mówią mu: cóż to, nie współczuje pan niemieckim dzieciom? A on na to: współczuję, ale i tak nie dam. Pytają go: dlaczego? A on mówi: bo nie chcę.

Enlil Maratowicz zrobił poważną minę i wsparł podbródek na rękach.

– Mów dalej.

– U Bułhakowa jest to pokazane jako przykład wydartej reżimowi najwyższej nomenklaturowej swobody. Wówczas takie zachowanie było niewyobrażalnym wyjątkiem i przywilejem – dlatego Bułhakow tak się tym upaja. A dla pozostałych dyskurs zawsze jest zbudowany tak, że na dźwięk określonych kontrolnych słów muszą ustawić się według wzrostu i zrobić „kolejno odlicz”. Świat żył tak od wieków i tak żyje. Zwłaszcza świat cywilizowany. A Rosja mocno odstaje od cywilizacji. Dlatego że nie pozostało już ani jedno takie słowo. Tutaj każdy uważa się za profesora Preobrażeńskiego i chce zaoszczędzić

swoje pięćdziesiąt kopiejek. Rozumie pan? Dyskurs przestał być obowiązującą mózgową wstawką. Ludzie zaczęli mieć zbyt wiele wewnętrznej pustki. Znaczą luzu. Gdy wewnątrz przeciągi hulają...

– I tak nic nie rozumiem. Nie możesz tego wyjaśnić przystępniej? – powtórzył Enlil Maratowicz.

Kałdawaszkin zastanowił się jeszcze przez kilka sekund.

– Chińscy adepci dao mieli podobną myśl – powiedział. – Spróbuję ją przedstawić własnymi słowami. Funkcjonariusze dyskursu, walcząc o serca i umysły, wciąż domagają się od człowieka, by odpowiadał „tak” albo „nie”. Całe ludzkie myślenie, jak prąd elektryczny, winno przebiegać między tymi dwoma biegunami. W rzeczywistości jednak możliwe są trzy odpowiedzi – „tak”, „nie” i „chuj ci w dupę”. Kiedy zaczyna to sobie uświadamiać zbyt wielu ludzi, oznacza to, że w czaszkach pojawił się luz.

W naszej kulturze osiągnął już wartości krytyczne. Należy go mocno zmniejszyć.

Enlil Maratowicz uśmiechnął się życzliwie do Kałdawaszkina.

– No, teraz ująłeś to właściwie. Czyli możesz, jak się postarasz... Mów dalej.

– W normalnym społeczeństwie możliwość odpowiedzi numer trzy jest zablokowana równie niezawodnie jak trzecie oko. A u nas... Wszystko stało się nieobowiązujące. W rezultacie rola glamouru i dyskursu częściowo zaczyna być widoczna. Co więcej, ludzie odbierają ją jako coś przymusowo narzuconego...

– No i co z tego? – zapytał Enlil Maratowicz. – W końcu tak to naprawdę wygląda. Niech wiedzą.

– Oczywiście. – Kałdawaszkin skłonił się grzecznie. – Ale taka sytuacja nie może trwać długo. Jeśli magiczne ogrodzenie staje się widoczne, nie jest już magiczne. To znaczy już nie istnieje – i nie ma sensu podwyższanie go o metr. Musimy wyprowadzić glamour i dyskurs ze strefy

wysztydzania...

Enlil Maratowicz przytaknął ze zrozumieniem.

– Aby dyskurs i glamour efektywnie wypełniały swoją funkcję, człowiek w żadnym razie nie może patrzeć na nie krytycznie, a tym bardziej analizować ich natury. Przeciwnie, powinien się bać jak ognia tego, że mógłby nie pasować do ostatniej wstawki, i w skupieniu doskonalić się w obu dyscyplinach, ze wszystkich sił starając się źle nie stąpić. To dążenie musi żyć w samym środku jego istoty. Właśnie od sukcesów na tym polu powinna zależeć samoocena człowieka. I jego perspektywy socjalne.

– Zgadzam się – powiedział Enlil Maratowicz. – Wprowadźcie do glamouru i dyskursu potrzebne zmiany. Zresztą nie muszę was uczyć.

– Dziś nie możemy już rozwiązać tego problemu zwyczajnymi korektami. Nie możemy transformować glamouru i dyskursu od wewnątrz.

– Dlaczego?

– Właśnie z powodu wzmiankowanego luzu. Najpierw należy go usunąć. Okiełznać ludzkie mózgi. Nawet w najprymitywniejszy sposób. Pokazać im jakąś szmatę na kiju od szczotki i zażądać, żeby zajęli w tej kwestii stanowisko. Twarde i jednoznaczne. I żeby nikt nie wspomniał o trzecim wariantcie odpowiedzi.

Enlil Maratowicz zastanawiał się przez jakiś czas.

– Tak – powiedział. – To jest myśl. Ale jak to osiągnąć?

– Należy na jakiś czas dołączyć do glamouru i dyskursu trzecią siłę. Trzeci punkt oparcia.

– Co to za trzecia siła? – zapytał podejrzliwie Enlil Maratowicz.

– Protest – powiedział głośno Samarcew.

– Tak – powtórzył Kałdawaszkin. – Protest.

– Potrzebny nam będzie sześćdziesiąty ósmy rok – szepnął Szczepkin-Kupernik.

– Sześćdziesiąty ósmy w wersji light – dodał Samarcew.



Enlil Maratowicz poczerwieniał.

– Co, chcecie, żebym wprowadził czołgi?

– Przeciwnie. – Samarcew podniósł palec. –  
Studentów.

– Ale po co? Chcecie wywołać chaos?

– Enlilu Maratowiczu – powiedział Samarcew. – Nie przekraczamy ram ogólnoświatowej praktyki. Wszyscy ideolodzy współczesnego świata starają się zająć takie miejsce, w którym nie będzie ich można poddać analizie i wyszydzić. Metod jest wiele – obraza uczuć, zastraszenie, protest, dobroczynność i tak dalej. Ale w naszej sytuacji najlepiej będzie zacząć właśnie od protestu.

Kałdawaszkin odchrząknął delikatnie, by zwrócić na siebie uwagę.

– Ktoś kiedyś powiedział – rzekł, mrużąc oczy – że oburzenie moralne to technika, za pomocą której każdemu idiotcie można wpoić poczucie własnej godności. I właśnie do tego powinniśmy dążyć.

– Otóż to – pochwalił Enlil Maratowicz. –

Dzisiaj każdy jest się gotów śmiać z glamouru i dyskursu. Ale nikt nie ośmieli się śmiać ze szlachetnego oburzenia na niesprawiedliwość i ucisk, których zapasy są w naszym kraju niewyczerpane. Protest obywatelski – to technologia, która pozwoli wznieść glamour i dyskurs na niedosiężne wyżyny moralne. Co więcej, pomoże nam wyposażyć każdego ekranowego onanistę w poczucie nieskończonej moralnej prawości. To zaraz usunie z czaszek cały luft. A potem ponownie uruchomimy świątynie dla pozostałych strat socjalnych. Żeby wszędzie paliło się po lampce. I nawet nie będziemy naprawiać ogrodzenia. Publika wszystko robi sama. Nie tylko naprawi, ale i pomaluje. A potem porobi graffiti. I sama skuje sobie za to pysk...

Enlil Maratowicz poskrobał palcem podbródek.

– No to po kolei. Co myśli glamour?

Szczepkin-Kupernik szurnał nóżką.

– Całkowicie się zgadzam z tym, co powiedziano. Należy zacząć od protestu –

i zaangażować w to beau mond. Pozwoli to zmobilizować szerokie warstwy biedoty miejskiej.

– W jaki sposób? – zapytał Enlil Maratowicz.

Szczepkin-Kupernik postąpił krok do przodu.

– Udział elementu glamourowego, światowych obserwatorów i gwiazd popu w połączeniu z życzliwym zainteresowaniem mediów przekształci proces w odmianę *conspicuous consumption*<sup>[28]</sup>. Protest – to bezpłatny glamour dla ubogich. Biedniejsze warstwy społeczeństwa spotykają się demokratycznie z najbogatszymi w celu wspólnej konsumpcji walki o słuszną sprawę. Przy czym spotkanie w przestrzeni fizycznej nie jest już potrzebne. Połączyć się w jednym porywie z bogaczami i znakomitościami można w Internecie. Sterowana rewolucja glamourowa to kierunek równie obiecujący, jak synteza termojądrowa...

– Mów bez tych ozdobników – powiedział Enlil Maratowicz. – Co to znaczy rewolucja glamourowa? Robią ją glamourowe kurwy?

– Nie. Sama rewolucja staje się glamourem. I glamourowe kurwy uświadamiają sobie, że jeśli chcą nadal pozostać glamourowe, muszą szybko stać się rewolucyjne. Bo inaczej za chwilę staną się po prostu śmieszne.

– Nie ma w tym nic radykalnie nowego – zadudnił Samarcew. – Tylko dobrze zapomniane stare. W czasie pierwszej wojny światowej damy z towarzystwa odwiedzały szpitale wojskowe, żeby podawać rannym chłopom baseny. I nabierały poczucia szlachetnego dostojęstwa, wyszywając dla frontowców kapciuchy na tytoń.

– Ale wtedy nie było w tym elementów reality show – powiedział Kałdawaszkin. – A my potrzebujemy właśnie nieustannego reality show, lśniącego wszystkimi blaskami glamouru i dyskursu – ale nie w studiu, tylko wprost na ulicach, którymi chodzą widzowie. Co wreszcie pozwoli uczestniczyć w reality show tym wszystkim, którzy szczerze gardzą takim gatunkiem.

– Będzie to reality show – dodał Samarcew – którego nikt się nawet nie ośmieli tak nazwać. Ponieważ obejmie cały real, który będziemy w należyty sposób pokazywać jemu samemu, używając widza nie jako adresata, ale jako podpaski higienicznej. I kiedy tylko widz poczuje, że nie jest adresatem, tylko po prostu otworem odpływowym, kiedy tylko pozna swoje właściwe miejsce, zapomni o tym, że ktoś próbuje go oszukać. Szczególnie że nie tylko będzie mu się przedstawiać aktualne trendy, ale całkiem realnie bić po mordzie...

– I po jajach? – zapytał surowo Enlil Maratowicz.

– I po jajach też – powiedział Samarcew. – Oczywiście.

Chaldeje wyraźnie poweseleli, uznawszy, że skoro szefostwo żartuje, pomysł jest już prawie zaakceptowany.

Poczułem, że ja także powinienem zabrać głos.

– A jak wciągnąć do protestu glamour? –

spytałem.

– Nie musimy nic robić – zagrzemiał Samarcew. – Sam się wciągnie. Z punktu widzenia glamouru protest to po prostu nowe obowiązujące badziewie, które należy nosić, bo jak nie, to się wypadnie z realu. Jakież urocze i nieodparte połączenia słów! Gest polityczny... Najmodniejszy opozycjonista... Sprzeczność stylistyczna...

– Ale jak to wszystko utrzymać pod kontrolą? A nuż zrobi tak... – Enlil Maratowicz wykonał rękami skomplikowany spiralny gest – i przewróci łódź?

– Nie – uśmiechnął się Kałdawaszkin. – Wszystkie glamourowe rewolucje są bezpieczne, bo kończą się w sposób naturalny – gdy tylko protest wychodzi z mody. Kiedy nowe obowiązujące badziewie przestaje być modne, z realu zaczynają wypadać ci, którzy nadal je noszą. Poza tym robimy rewolucjonistów nie tylko z gwiazd popu. Co znacznie ważniejsze, robimy gwiazdy popu z rewolucjonistów. A wtedy o jakiej

rewolucji może być mowa?

– Więcej będą myśleć o właściwej fryzurze niż o zajęciu telegrafu – dodał Szczepkin-Kupernik.

– Nie telegrafu, tylko Twittera – poprawił Samarcew.

– Mówicie mi tutaj różne piękne słowa – powiedział Enlil Maratowicz. – A wyliczyliście to na modelach?

– A kto nam pozwoli robić wyliczenia bez pańskiej parafki? – odparł Samarcew. – Mogliby to niewłaściwie zrozumieć. Uznać, że robimy to bez uzgodnienia...

– Słusznie – zgodził się Enlil Maratowicz i popatrzył na niego podejrzliwie. – Buntu nie rozpoczyna się bez uzgodnienia. Nawet myśleć o tym nie wolno. A wy, jak widać, myślicie. I to już od dawna. Kiedy ja cię ostatnio kąsałem, co, Samarcew?

Chaldej milczał.

Enlil Maratowicz wstał z tronu i podszedł do niego. Samarcew się cofnął – i chociaż nie

widziałem jego twarzy, fizycznie poczułem jego strach. Byłem pewien, że ukąszenie jest nieuniknione. Ale Enlil Maratowicz mnie zaskoczył. Uspokajająco podniósł ręce i powiedział:

– No, no, już dobrze... Nie chcesz, to nie.

Samarcew już się opanował.

– Niech pan kęsa – powiedział.

– A po co? – Enlil Maratowicz machnął ręką. – Wierzę ci. Tak czy owak nikt przed nami nie ucieknie. Ani na zewnątrz, ani do środka, che, che...

Wrócił powoli do bazaltowego tronu i usiadł na czarnej płycie. Dopiero teraz zrozumiałem, na jaki efekt obliczony był panujący w sali półmrok. Enlil Maratowicz, cały w czerni, zlewał się z tronem i widać było tylko żółty owal twarzy – który nagle wydał mi się niewymownie stary, obojętny i martwy, niczym księżyc unoszący się na nocnym niebie.

– Kiedy planujecie pierwszą falę? – spytał



posepnie księżyc.

– Zimą – odrzekł Kałdawaszkin. – Już niedługo.

– Dobrze. – Enlil Maratowicz kiwnął głową. – Zaczynajcie wyliczenia. Wystarczą wam dwa tygodnie?

– Oczywiście że tak – odparł Samarcew. – Od strony koncepcyjnej wszystko jest gotowe. Czekamy tylko na sygnał.

– No to do roboty – powiedział Enlil Maratowicz. – Ale żebyście mi wyliczyli wszystko aż do ostatniego wygaśnięcia. Aż zniknie w tle.

– Będzie zrobione – rzekł z uśmiechem Samarcew. – I wszystko zademonstrujemy. Do ostatniego kadru.

– Nie będę oglądać wszystkiego jak leci – skrzywił się Enlil Maratowicz. – Co wy? Chcecie mi pokazywać całą waszą kuchnię? Pokażcie mi tylko ostatnią fazę. Na którą wyjdziemy po ośmiu cyklach i sześciu odgałęzieniach.

Nie miałem pojęcia, o czym on mówi, ale Kałdawaszkin najwyraźniej zrozumiał.

– Tak daleko? – zdziwił się.

– Uhm – mruknął Enlil Maratowicz. – Sprawa jest poważna. Musimy wiedzieć, dokąd zmierzamy.

– Ale na takich fraktalach dokładność jest za mała.

– Orientuję się – odparł Enlil Maratowicz. – Za to widać diapazon...

Samarcew i Kałdawaszkin z szacunkiem skinęli głowami, wydało mi się jednak, że ten szacunek był sztuczny. Widocznie Enlil Maratowicz powiedział coś, o czym dobrze wiedzieli – i trafił w sedno.

– Czuje się rękę potężnego stratega – wyszeptał słodkim głosem Szczepkin-Kupernik.

Zabrzmiało to ckliwie – tak dalece, że wszyscy popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

– No dobra – westchnął Enlil Maratowicz. – Wynoście się teraz, pochlebcy i kapusie. Czekam na was za dwa tygodnie. Albo wcześniej. Jeżeli zdążycie...

Podniósł rękę. Na czarnym tle ukazał się jeszcze

jeden żółtawy obiekt – jego pięść, jak gdyby Księżycowi przybył satelita. Enlil Maratowicz wyprostował palce i poruszył nimi lekko, jakby zgarniał okruchy ze stołu.

Chaldeje zgięli się w ukłonie, włożyli maski, ustawili się rzędem i jeden za drugim, gęsiego, ruszyli tyłem do wyjścia z sali, przecinając zamarznąłą rzekę w odwrotnym kierunku... Albo nie rzekę – jak w dowcipie Enlila Maratowicza.

Przez kilka sekund zdawało mi się, że oglądam puszczony do tyłu film, pokazujący ich przybycie do Sali Przyjęć. Kiedy stało się jasne, że Enlil Maratowicz już ich nie przywoła, przeszli z kroku ceremonialnego na zwykły – i nawet na krótko, zanim zniknęli za progiem, odwrócili się do nas plecami.

Enlil Maratowicz wstał z tronu i się przeciągnął.

– Tak to wygląda – powiedział do mnie.

– Czy oni naprawdę rozmyślają o takich sprawach? – spytałem. – Jak wziąć i wywołać

rewolucję?

Parsknął śmiechem.

– Nie, jasne że nie. Jest mnóstwo sposobów, żeby im pokazać, w którą stronę mają wiosłować. I to pokazać tak subtelnie, żeby uważali, że jest to ich własna inicjatywa.

– Tak też pomyślałem – odparłem. – Ale po co to tak komplikować? To znaczy ściemniać, kręcić? Czy nie można po prostu wydać im rozkazu? Przecież to Chaldeje.

– To są podstawy zarządzania, Rama – powiedział Enlil Maratowicz. – Praca niewolnicza jest nieproduktywna. Niewolnik na galerze zawsze wiosłuje gorzej niż zombie, który myśli, że płynie kajakiem. Trzeba by cię posłać na staż do Kalifornii... Jeśli Chaldeje będą przekonani, że to ich własny pomysł, będą o wiele lepiej pracować. Z zapałem. Jeśli wolisz, włożą w to duszę – która jakby pojawi się u nich na czas projektu...

– Uhm – powiedziałem. – A więc to pan uznał, że potrzebna nam jest rewolucja?

– Nie – odparł Enlil Maratowicz. – Ja o takich sprawach nie decyduję.

– To kto decyduje?

– Historia.

– Historia? – spytałem. – A skąd pan wie, czego ona sobie życzy? Przez kogo historia wydaje rozkazy?

Enlil Maratowicz posłał mi długie spojrzenie, badawcze i bardzo poważne, jakby się wahał, czy wyjawić mi sekret, czy nie.

Zawsze tak robił, zanim powiedział mi coś ważnego – chociaż nie miałem pojęcia, dlaczego wciąż mi nie ufa, skoro może szperać w mojej pamięci jak w swojej własnej. Szczególnie dziwnie wyglądało to dzisiaj, po tym, jak sam obiecał mi coś powiedzieć. Widocznie udawał Greka nie tylko wobec Chaldejów.

– Pamiętasz ostatni wykład Ulla? – zapytał wreszcie. – Kiedy go spytaliście, kto to są nurkowie przepowiadacze?

Przytaknąłem.

– Ull odpowiedział, że nie wie – ciągnął Enlil Maratowicz. – Nie był całkiem szczery. On wie. Tylko po prostu nie z każdym się o tym rozmawia.

– O czym się nie rozmawia? – zapytałem.

– Już od wielu lat wampiry mają dostęp do jednej z najważniejszych historycznych kronik dalekiej przyszłości – powiedział Enlil Maratowicz. – Nazywa się ona *Kalendarz Aztlański*. Jest to kodeks, który zostanie sporządzony mniej więcej siedemset lat po naszych czasach w dziewięciu językach, w tym również w ówczesnym rosyjskim. Umieszczono w nim najważniejsze wydarzenia historyczne, poczynając od tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku. W najważniejszych krajach świata. W związku z tym, poczynając od tej daty, mamy znacznie mniejsze problemy z historią. Zero prób i błędów à la „tysiąc dziewięćset czternasty” czy „tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty”. Kierowanie światem sprowadza się teraz do tego, by dopasowywać przebieg wydarzeń do informacji, jakie uzyskujemy z tego kalendarza.

Teoretycznie fizycy twierdzą, że mimo największych chęci nie uda się nam stworzyć niczego innego. Ale zapewniam cię, że ani razu nawet nie próbowaliśmy. Przeciwnie, ze wszystkich sił staramy się zrobić właśnie to, co powinno się wydarzyć. Co nie zawsze jest łatwe. To właśnie jest koniec historii, o którym piszą dobrze poinformowani Chaldejczycy.

– Ale to przecież nudne – powiedziałem. – Co to za życie, kiedy ma się już gotowy scenariusz?

– To wszystko nie jest takie proste, jak się wydaje – odrzekł Enlil Maratowicz. – Chodzi o to, że *Kalendarz Aztlański* został stworzony po strasznych kataklizmach, które unicestwiły... To jest unicestwieniem większość ludzkiej kultury. Są w nim poważne luki i niedokładności, ponieważ w przyszłości, do której mamy dostęp, pozostało bardzo mało świadectw o naszych czasach. Mniej więcej tyle, ile pozostałoby po Rzymie, gdyby pod popiołami ocalało tylko kilka piwnic Pompei.

– Czy wampiry pozostaną w przyszłości?

Enlil Maratowicz kiwnął głową.

– Ale historia ludzi niezbyt interesuje wampiry. Historycy przyszłości odtworzyli ją jakoś na podstawie ocalałych po kataklizmie okruczeń informacji i kroniki aztlańskie składają się w połowie z ich domysłów. Wiele rzeczy z przyszłości przedstawiono tak mgliście, że zalecenia kronik trzeba rozszyfrowywać. Najczęściej odgadujemy ich sens dopiero, kiedy wszystkie wydarzenia nastąpią. Poza tym w *Kalendarzu Aztlańskim* mogą być też opustki. Dlatego nasze kierowanie światem ma sens bardzo ogólny, właściwie rytualny. To tak, jakby się rozszyfrowywało strofy Nostradamusa i wcielało je w życie...

– I co, wedle tego kalendarza w dwa tysiące dwunastym roku mamy glamourową rewolucję?

– Nie wiem – odparł Enlil Maratowicz. – To nasze przypuszczenie. Mogę ci zacytować dosłownie, co mówi o tym roku *Kalendarz Aztlański*.



Wyjął z kieszeni mały notes i otworzył go.

– To jest już przekład na współczesny rosyjski... „Dwa tysiące dwanaście. Rosja. Najważniejsze wydarzenie – «burza dwunastego roku», znana także jako «rewolucja futrzanych cipek», «pussy riot» i «sprawa Mochnatkina»<sup>[29]</sup> – glamourowe niepokoje dwa tysiące dwunastego roku, kiedy damy z wielkiego świata na znak protestu przeciw zalewowi azjatyckości i despotyzmowi przestały podgalać wzgórków łonowe i ich kochankowie oligarchowie byli zmuszeni powstać przeciwko tyranowi. Niepokoje ustały, kiedy nieogolony wzgórek łonowy wyszedł z mody. Znalazły one odbicie w wielu utworach artystycznych – od całkowicie zachowanej w starożytnym schronie bombowym sztuki Turgieniewa *Burza* po wspomniany w kronikach blockbuster 2012, poświęcony najprawdopodobniej tej tematyce...”. Koniec cytatu. To wszystko, co wiemy. Uważasz, że to dużo czy mało?

Wzruszyłem ramionami.

– Otóż to – zgodził się Enlil Maratowicz. – Nie da się powiedzieć, że przyszłość jest znana w detalach. Ale skoro już wzięliśmy na siebie odpowiedzialność za bieg historii, musimy umiejętnie przeprowadzić ją przez te wrota, co jest i łatwe, i bardzo skomplikowane.

– Ale jaki to ma sens – zapytałem – skoro przyszłość i tak nastąpi?

– Jak ty nic nie rozumiesz – westchnął Enlil Maratowicz. – Skoro Wielki Wampir odsłonił przed nami część swego planu, na nas spoczywa część odpowiedzialności za jego realizację. I przyszłość nastąpi między innymi również dzięki naszym wysiłkom. Jesteśmy sługami Wielkiego Wampira, Rama – a zarazem jego uczniami, którzy próbują odgadnąć wielki zamiar na podstawie posiadanych fragmentów szkicu... To fascynująca i straszna praca. Widziałeś dzisiaj, jak oddziałujemy na historię. Subtelnie. Niemal niedostrzegalnie. Ale subtelne oddziaływanie jest najpotężniejsze. Nie kontrolujemy drobiazgów. Pilnujemy, żeby wydarzenia wkroczyły

w określony korytarz, którego ogólne parametry są nam znane. A o szczegóły historia sama się zatroszczy...

– A co to za *Burza* Turgieniewa?

– Turgieniewa już mamy załatwionego. To akurat było najłatwiejsze.

– Ale dlaczego Turgieniewa? Chyba Ostrowskiego?

– Chodziłeś do szkoły? *Burza* Ostrowskiego jest o tym, jak utopiła się młoda kupcówna. Nie ma tam nic o niewygotowanym wzgórku łonowym.

– Dlatego pomyślałem, że to pomyłka w druku.

– W *Kalendarzu Aztlańskim* nie ma pomyłek – powiedział Enlil Maratowicz. – Są tylko opustki. A to na pewno nie jest opustka.

– Dlaczego?

– Dlatego że tę sztukę naprawdę znaleziono w przyszłości. Nie rozumiesz?

Przytaknąłem niepewnie. A po chwili spytałem:

– Ale wobec tego jak ją... zrobiono? Przecież

Turgieniew umarł.

– A cóż to, jeden Turgieniew na świecie? Znaleźliśmy żywego, w Pitrze. Co prawda nie Iwana, tylko Andrieja, ale dla nas to bez różnicy. Daliśmy mu pieniądze, zamówiliśmy tekst według posiadanych parametrów. Żeby tam był nieogolony wzgórek łonowy i bunt oligarchów. No i napisał. I chwalił się, że Beckett zzieleniałby z zazdrości. Akurat, Beckett sreket. Napisał takie gówno, że nikt nie chciał tego wystawić. Ale przecież nie mamy obowiązku wystawiać sztuki. Najważniejsze, żeby trafiła w przyszłość. Wydrukowaliśmy ją w czterdziestu egzemplarzach i upchnęliśmy najbardziej zaufanym Chaldejom. Wszystkim, którzy mają własne bunkry na wypadek wojny atomowej. I kazaliśmy im trzymać ją w bunkrach. Bez podania przyczyn. A jedną kopię umieściliśmy nawet w osiemdziesięciometrowym szybie, coś w tym stylu jak kapsuła czasu. Może to oni nazwali schronem właśnie ten szyb. Krótko mówiąc, jakiś egzemplarz już dotarł w przyszłość. Rozumiesz teraz, jak się pracuje z kalendarzem?

– Rozumiem. A więc będzie bunt oligarchów?

– To akurat nie jest powiedziane – odparł Enlil Maratowicz. – Życie to nie sztuka teatralna. Oczywiście jakieś niepokoje powinny być. Tylko sami będziemy musieli wszystko robić. Mirskie świnki zawsze mają takiego cykora, że rzygać się chce. Można je obciążyć największymi nakładami finansowymi.

– Mirskie świnki? Kto to jest?

– Nie obciążaj się przed czasem.

– Dobrze – powiedziałem. – Interesuje mnie co innego. Jak można zajrzeć w przyszłość?

– To bardzo proste – odrzekł Enlil Maratowicz. – Dla największych przedstawicieli klasy undead – rzecz jasna nie takich jak ty i nawet nie takich jak Isztar – nie istnieje ani przeszłość, ani teraźniejszość, ani przyszłość. Mogą się znajdować jednocześnie we wszystkich tych wymiarach. Ci, którzy stoją na szczycie naszej hierarchii, mogą wchodzić z nimi w kontakt. Oczywiście, jeżeli wielcy undead tego chcą. Ale

coś takiego rzadko się zdarza. Rozmowy z nami ich nie interesują. Przebywają w zupełnie innym wymiarze, Rama. W zupełnie innym rodzaju bytu. Dlatego z całej przyszłości otrzymaliśmy tylko dostęp do kalendarza, a i to nie za darmo.

– A co tam jest dalej w tym *Kalendarzu Aztlańskim*?

– Nie wiem. Informują nas z rocznym wyprzedzeniem. Czasem trzyletnim. Żebyśmy nie budowali zbyt dalekosiężnych planów. Nie wiemy, co będzie dalej. Wiemy tylko, czym się zakończy w ogóle wszystko. To nam pokazano.

– Czym?

– Nie pytaj, Rama. Niczym dobrym.

– Niech pan powie, co?

– Powtarzam ci, nie obciążaj się zbytnio. Jak się naładujesz informacją, to się już nie rozładujesz. Nigdy.

– Koniec świata?

– Żeby tylko jeden. Jest ich tam kilka różnych. Jak u twoich teletubisiów – *red*, *green*, a potem

jeszcze *blue*. I wszystko musimy robić sami. Dobrze chociaż, że jeszcze nie jutro i nie pojutrze... A właśnie, co do teletubisiów. Są już tutaj?

– Wczoraj dzwoniли.

– Co robią?

– Chodzą po klubach.

– To dobrze – powiedział Enlil Maratowicz. – Niech się zrelaksują przed rozszyfrowaniem. Kiedajewa masz jutro?

– Jutro – potwierdziłem.

– Który to już z kolei?

– Siedemnasty.

– Powinno pójść dobrze – powiedział Enlil Maratowicz. – Masz już doświadczenie.

– Pewnie – odparłem. – Wszyscy się relaksują, a ja tyram. To tutaj, to tam.

– Ja też pracuję codziennie – powiedział Enlil Maratowicz. – Kiedajew jest ważny, skoncentruj się. Ja też przyjdę na rozszyfrowanie.

Skinąłem głową i zapytałem:

– A z tym końcem świata... Czy to konieczne? Może dałoby się to jakoś... no, odkręcić?

Enlil Maratowicz uśmiechnął się smutnie.

– A gdzie byś chciał skrócić, Rama? Co, myślisz, że mamy kierownicę? Nam pozwalają tylko naciskać na pedały. A i to, mówiąc między nami, nie zawsze...



Wydawnictwo Literackie



## SIEDEM SATORI

Okulary Saławata Kiedajewa rzucały nieprzyjemny zielonkawy odblask i w ogóle nie widziałem jego oczu, ale niezbyt mi to przeszkadzało.

– Podoba się panu? – zapytał Kiedajew. – Jest pan tu przecież po raz pierwszy, prawda?

– Tak – odparłem.

Na pierwszy rzut oka zdawało się, że miejsce to jest przeznaczone dla osób, które zgadzają się siedzieć na wschodnią modłę na matach. Ale w podłodze pod dzielącym nas stołem było zagłębienie, do którego można było wygodnie i niepostrzeżenie opuścić nogi. Na matach leżały różnokolorowe poduszki i eleganckie konstrukcje, przypominające oparcia krzesel – można się było

o nie oprzeć plecami.

Przed tarasem, na którym siedzieliśmy, urządzono japoński ogród kamieni, o czym informowała schludna tabliczka. Na mój gust jednak to, co widziałem, bardziej przypominało fragment pejzażu księżycowego.

Gruby szary piasek (albo drobniutki popielaty żwir) doprowadzono do idealnie równego stanu – widniały na nim równoległe bruzdki, pozostawione przez miotły zamiataaczy. Na tej pustyni porządku i symetrii było zaledwie kilka wysepek prymitywnej naturalności – okrągłe placki ziemi, porośnięte mchem i trawą. Sterczały z nich nierówne omszałe bryły.

– No, wreszcie niosą – powiedział Kiedajew. – Mają tak wyliczony czas, żebyśmy zdążyli trochę pozachwycać się ogrodem i spokojnie wymienić poglądy. A teraz jedzenie...

Najpierw usłyszałem cichą muzykę. Potem zza krawędzi tarasu wyłonili się wojownicy w strojach samurajskich. Za nimi szli ludzie

w barwnych kimonach i białych opaskach na głowach, z lektyką w kształcie olbrzymiej czarnej ryby na długich uchwytach. Za lektyką postępowwały gejsze z fletami i cytrami – to one grały. Kolumnę zamykali zamiatacze, uzbrojeni w dziwne płaskie miotły, przypominające grabie z mnóstwem cieniutkich haczyków. Starannie wyrównywali piasek, doprowadzając go do takiego stanu, jak przed przejściem procesji.

Pierwszy wojownik dzierżył w rękach sztandar, wyglądający jak proporzec rzymskiego legionu, który w jakiś sposób trafił w łapska japońskiej soldateski. Tylko zamiast orła w metalicznym okręgu błyszczała ryba, a zamiast liter „SPQR”<sup>[30]</sup> widniały litery „SSAT”.

– Co znaczy SSAT? – spytałem.

– To zamierzony lapsus<sup>[31]</sup> – wyjaśnił Kiedajew. – Żebyśmy mieli poczucie intelektualnej wyższości i żebyśmy się pośmiali. Na pewno doliczają to do rachunku. Ich nazwa brzmi „Siedem Satori”. Są bardzo dumni z tego, że mają

najdroższą restaurację sushi na świecie. I pobierają za to dodatkową opłatę – zwłaszcza od naszych oligarchów. Żebyśmy mieli całkowitą pewność, że to najdroższa knajpa, cha, cha...

Lektykę ustawiono na żwirze na wprost naszego stolika. Gejsze i posługacze odsunęli czarny rybi bok, wykonali kilka wymyślnych tanecznych ruchów i między mną a Kiedajewem zaczęła wyrastać skomplikowana konstrukcja z lakowych pudełek, talerzyków, sosjerek i filizanek.

Jedna z usługujących gejsz skłoniła się i zwróciła do Kiedajewa:

– Czy władca jest zadowolony?

– Widzi pan – rzekł Kiedajew, nawet nie patrząc w jej stronę – nawet akcent mają japoński. Żebyśmy nie pomyśleli, że zatrudniają Kazaszki.

Gejsza ukłoniła się jeszcze raz.

– Czy władca chce posruchać fretu?

– Nie – odpowiedział jej wreszcie Kiedajew. – Władca ma tu poważną rozmowę, tak że lepiej, żebyście sobie wszyscy jak najszybciej stąd

poszli.

Te słowa natychmiast przerwały ceremonialny taniec, który wykonywała wokół nas japońska delegacja. Po kilku sekundach procesja z lektyką popłynęła z powrotem, tylko teraz zamiatacze dołączyli do niej z drugiej strony. I niebawem ich miotły zlikwidowały wszelkie ślady.

– Tak i po nas nic nie pozostanie – westchnął Kiedajew. – *All we are it dust in the wind...* [\[32\]](#)

– No, no – powiedziałem. – Tylko bez takich uogólnień.

– Proszę być wielkodusznym i wybaczyć, wciąż zapominam. To przecież dopiero nasze drugie spotkanie...

Kiedajew zdjął okulary, przetarł je i założył z powrotem. Teraz jeszcze silniej opalizowały na zielono.

– O ile się orientuję, wszystkie formalności zostały załatwione – powiedział. – Przepraszam, że to trwało tyle czasu, ale szybciej przekazać takiej sumy w naszym świecie się nie da.

– Nie interesuje mnie aspekt finansowy –  
odparłem sucho. – Ja odpowiadam za transport.

– Tak. Rozumiem. Ale trudno mi o tym mówić.  
Nawet z moim przyszłym przewodnikiem.

– Niech się pan nie denerwuje –  
powiedziałem. – Nie pan pierwszy, nie pan  
ostatni... Wszystko będzie dobrze...

– Bardzo na to liczę. Ale chciałbym wiedzieć,  
jak to się odbędzie?

Wzruszyłem ramionami.

– Już to omawialiśmy. Ale mogę panu  
przypomnieć. To trochę jak przewijanie szpuli  
z taśmą filmową. Jest to jednak bardzo  
odpowiedzialna operacja, jako że taśma – to pan.  
I los całej szpuli zależy od tego, na jakim kadrze  
się ona zatrzyma. Przewijamy ją w takie położenie,  
w którym nic jej nie będzie zagrażać. W tym  
miejscu z czasem pojawi się kiełek nowego życia.

– Brzmi bardzo prosto.

– Prosto – przytaknąłem.

– To pan będzie mnie przewijać?

– Nie będzie się pan rozwijać sam. Każdy po śmierci przewija się sam, i prawie wszyscy się rwą. Ja jestem od tego, żeby się to nie przytrafiło. Będę pana ubezpieczał i pomagał w momentach krytycznych. Jeśli wszystko będzie przebiegać normalnie, nie będę się wtrącał. Niekiedy nawet będzie pan o mnie zapominać. I tak powinno być – inaczej trudno by panu było się przewinać.

– Jak i kiedy konkretnie będzie mi pan pomagać?

Uśmiechnąłem się.

– Sekunda po sekundzie. Wszystko będzie zależeć od przebiegu wydarzeń. Pańska naładowana emocjonalnie pamięć stworzy pewną przestrzeń, w której znajdziemy się obaj. Ta przestrzeń będzie się ciągle zmieniać. Zależy ona od... eee...

– Karmy? – podpowiedział Kiedajew.

– W ostatecznym rozrachunku tak. Ale w sensie praktycznym od przypadkowego zestawu wspomnień i skojarzeń, które znajdują się na

powierzchni. Jeżeli przez cały czas pozostanę przy panu, będę mógł skorygować pańskie widzenia w taki sposób, żeby tkanka pańskiej subiektywnej rzeczywistości się nie rozdarła.

– A dokąd będziemy zmierzać?

– Do środka pańskiego animogramu – powiedziałem.

– Nie rozumiem.

– Proszę wyobrazić to sobie tak. Na powierzchni kuli jest dużo punktów i możemy rozpocząć podróż od któregośkolwiek z nich. Ale środek kula ma tylko jeden i im bliżej niego się znajdujemy, tym mniej jest w tym, co się dzieje, rzeczy przypadkowych i więcej prawidłowości. Przewijamy pana nie do chronologicznego początku pańskiego życia, ale do jego środka.

– A co nim będzie?

– Nie wiem – odparłem. – W każdym przypadku wygląda to inaczej. Za każdym razem sam się dziwię.

– Co będę przy tym odczuwać?



– Wiem tylko, co ja przy tym odczuję.

– To będzie bolało?

– Sądząc po moich poprzednich klientach – powiedziałem – nic nadzwyczajnego się nie zdarzy. Proszę to uznać za nieco egzotyczny przejazd z miejsca na miejsce. Występuje oczywiście pewien stres...

– Ale do czego to jest najbardziej podobne?

Wzruszyłem ramionami.

– Przypomina podróż do środka Ziemi. Jeżeli będą skróty klawiszowe, wszystko pójdzie szybko. Dosłownie w parę godzin. A zwykły człowiek potrzebuje na to czterdziestu dni<sup>[33]</sup>. I mówiąc między nami, nie każdy dojeżdża.

– A ja dojadę?

– Tak jak wszystko inne we wszechświecie – odrzekłem – jest to kwestia prawdopodobieństwa. Jeżeli będzie pan dokładnie wykonywać moje polecenia, ryzyko sprowadzimy do minimum. Najważniejsze, żeby pan ode mnie nie uciekał. Nie stwarzał między nami żadnych barier.

– Postaram się – powiedział Kiedajew. – Jak się to wszystko zaczyna?

– Nie będzie pan pamiętać, że pan umarł – wyjaśniłem. – Spotka się pan ze mną. Ja przypomnę panu w dwóch słowach, co się dzieje, i dam umowny znak, że podróż się rozpoczęła. W tym momencie możliwa jest silna reakcja: strach. Za wszelką cenę musi się pan wziąć w garść.

Kiedajew kiwnął głową.

Było to dziwne kiwnięcie. Właściwie półkiwnięcie. Jego podbródek dotarł do dolnego punktu trajektorii i tu najwyraźniej Kiedajewa olśniła jakaś myśl – twarz mu stężała, a potem zupełnie zbieiała.

– Powtarzam – powiedziałem. – Za wszelką cenę musi pan wziąć się w garść. Proszę pamiętać, że pańskie strachy i nadzieje zaczną się materializować. Im szybciej przestanie pan dokonywać ich projekcji na naszą wspólną rzeczywistość, tym szybciej znajdziemy się poza

wszelkim niebezpieczeństwem. Kiedy tylko dam panu umówiony znak, podróż się rozpocznie.

– Jaki znak? – zapytał cicho Kiedajew.

– Dwa klepnięcia w lewe ramię – powiedziałem.

To mówiąc, przechyliłem się przez stół i dwa razy klepnąłem go w ramię.

– Pamiętam – szepnął Kiedajew. – Już o tym mówiliśmy. Prawda?

– Prawda – potwierdziłem.

– Czy to znaczy... Czy wszystko już się stało?

Przytaknąłem.

Szybko zamknął oczy, jakby próbował zgnieść powiekami coś, co było nie do zniesienia.

– Jestem gotów? – zapytał.

– Nie istnieje żaden sposób, by się do tego przygotować. Odwagi.

Powiedzieć „odwagi” to najlepszy sposób, żeby wystraszyć klienta. Ale lepiej wydoić wszystkie jego strachy od razu.

Kiedajew nagle się szarpnął.

– Chyba ktoś mnie trzyma za nogi...

Zerwałem się i przewróciłem stół.

Rzeczywiście trzymały go za nogi dwie ogromne szare ręce – jak gdyby z suchego spękanego drewna. Pod nimi był ruchomy piasek. Dziecinne filmowe strachy, pomyślałem. A potem zauważyłem na jednej z rąk zegarek. Na prawej. Wszystko stało się jasne.

Kiedajew spojrzał na mnie żałośnie i w kilka sekund pogrążył się w piasku z głową. Wskoczyłem za nim w szary lej, runąłem w dół i wylądowałem na twardej powierzchni. Zamknąłem oczy i znów je otworzyłem.

Zobaczyłem korytarz w podmiejskim domu, urządzone z tandetnym przepychem. Za oknem padał śnieg. Kiedajew właśnie wchodził w wysokie białe drzwi ze złotymi deseniami. Zobaczywszy mnie, odetchnął z ulgą. Poszedłem za nim.

W pokoju, do którego weszliśmy, było ciemno.

Wiedziałem, że tak się robi na tajnych naradach: czasem gasi się światło, żeby nie można było nakręcić tego, co się na nich dzieje. Tu jednak tajność doprowadzono do surrealizmu – każdy z siedzących przy okrągłym stole był zasłonięty czarnym płóciennym ekranem, przypominającym ogromną maskę szermierczą. Ekran oświetlała czerwona lampka, a siedzącego za nim w ogóle nie było widać. Zdawało się, że przy stole zebrali się jacyś owalni Marsjanie.

– A oto nasz pi-pi-pi – usłyszałem niski męski głos, zmieniony elektronicznie i całkowicie nierozpoznawalny.

Nie sposób tu było nawet nagrać prawdziwych głosów – a nazwiska wypikiwano jak bluzgi w telewizji. Ciekaw byłem, czego dotyczą te wszystkie środki ostrożności.

– Mam tylko pięć minut – odpowiedział takim samym głosem Kiedajew, który ukrył się już za jedną z masek. – Dlatego od razu przejdę do rzeczy. Nie wchodzę w to.

– Mówiłem wam, chłopaki – powiedział drugi elektroniczny głos – jak w pewnym hotelu zobaczyłem w windzie plakietkę z takim emblematem: jakby kółko, a w środku góra. I napis: „17 persons, 1160 kg”. I podpisane na czerwono, jakby krwią: „Schindler”.

– Do czego zmierzasz? – zainteresował się Kiedajew.

– Możesz nie trafić na listę Schindlera – odrzekł elektroniczny głos. – Tam znajdują się tylko ci, którzy płacili.

Przy stole rozległ się cichy elektroniczny śmiech.

– Już od dwudziestu lat nie jesteśmy chłopakami – burknął Kiedajew.

– Znów nie jesteś na bieżąco. W loży „Wielki Wschód” stworzono taki specjalny stopień dla nobilew z Rosji z uwzględnieniem specyfiki narodowościowej<sup>[34]</sup>.

Przy stole znów rozległ się śmiech.

Wreszcie zrozumiałem, w jaki sposób

rozmówcy się rozpoznają – ktoś mówi, a na jego masce zapala się zielona dioda. Kiedy zebrani się śmieją, zielone światełka palą się na wszystkich maskach.

– Nie robię inwestycji skazanych na fiasko – powiedział Kiedajew. – Finansowanie nie ma sensu.

– Dlaczego? – spytano z ciemności.

– Dlatego że Rosjanina nie da się dziś nastawić na pożądaną formę protestu. Całym sobą czuje, że walka na proponowanym froncie nie sprawi, że istota i jakość jego życia zmienią się na lepsze. A zawsze może być gorzej.

– Rosyjskie życie jest podłe – powiedziała ciemność.

– Podłe – zgodził się Kiedajew. – Ale powiedzmy sobie uczciwie: jedyne, co mogą zaproponować człowiekowi dzisiejsi działacze polityczni, to codzienna konsumpcja wydzielanego przez nich mentalnego forszmaku. I może jeszcze karalność. Oprócz dostępu do tych ostrych potraw

protest niczego nie przyniesie. Nawet jeśli założymy, że kraj nie rozpadnie się na odłamki, strzelające do siebie na żywo w telewizji... No i co da zwycięstwo opozycji? Nie nam, tu jest wszystko jasne, ale plebsowi? Za komuny był to dostęp do zachodniego typu konsumpcji. Otrzymali go. A teraz?

– Możliwość wyrażenia swoich poglądów – powiedziała ciemność.

– A co takiego będą wyrażać? Że nie mają pieniędzy? A któż im da?

– A poczucie własnej godności? – nie poddawała się ciemność.

– Jakiej godności, skoro nie ma pieniędzy? Kiedy nie ma pieniędzy, może być tylko złość na tych, którzy je mają. Jak tutaj u niektórych chłopaków z loży...

Za stołem rozległ się elektroniczny śmiech.

– Nie ma sensu nakłaniać ich do radykalnych działań – ciągnął Kiedajew. – Każdy głupek rozumie, że nawet przy najkorzystniejszym dla



komitetu organizacyjnego wyniku walki szeregowy piechur tak samo niskobudżetowo zdechnie w swojej betonowej norze. I to, podkreślam, w najlepszym wypadku. Jeśli go nie zarzną na freedom-bajram.

– Możemy przekonać ludzi, że wszystko się zmieni.

Teraz Kiedajew zaśmiał się elektronicznie.

– Nie sądzę. Wszyscy wiedzą, że zmieniają się tylko słowa dobiegające ze skrzynki. I nawet nie same słowa, ale ich konsekwencje. No i spis beneficjentów reżimu na stronie „kompromat.ru”. Niewykluczone, że znajdziemy się na niej o kilka linijek wyżej. Ale tak czy owak nie będzie tam ani jednego piechura. Kogo przekonamy, żeby ryzykował za to życie i wolność? Nawet samych siebie nie przekonamy. To nierealne. *No pasaran!* I dlatego „no finansan”. Gdzie tu jest toaleta?

W ciemności zapaliła się zielona strzałka.

Kiedajew wstał i ruszył w jej stronę. Dyskretnie wyslizgnałem się za nim. Chyba już o mnie nie

pamiętał.

Znalazłszy się w barokowym klozecie, Kiedajew załatwił małą potrzebę i pochylił się nad różową muszlą. Kilka razy prysnął sobie wodą na twarz, opłukał ręce i zapatrzył się w ścianę.

Ze ściany wyłoniła się ogromna szara ręka – ta sama, co w restauracji. Kiedajew przybrał poważną i skruszoną minę, ale ręka nie próbowała go złapać. Po prostu pogroziła mu palcem i cofnęła się w głąb ściany, realistycznie zgrzytnąwszy zegarkiem o kafelek.

Kiedajew uśmiechnął się i podłubał paznokciem w zębach. Nagle zobaczyłem jego duży paznokieć tuż przy swojej twarzy. Na paznokciu był małeńki kawałek czerwonego mięsa. Tuńczyk, odgadłem. Świeżutki *blue fin*.

A potem spostrzegłem, że po podłodze cieknie woda. Nie wiadomo, skąd się przesączała, ale przybywało jej z każdą sekundą.

Spróbowałem otworzyć drzwi, ale było już za późno – zamieniły się w prostokątny ornament na

glazurze. Zdążyłem tylko wdrapać się na sedes. Podłoga toalety obniżała się i szybko zamieniała w basen, w którym szamotał się Kiedajew. Basen rozrastał się i rozciągał na kształt kanału o kaflowych brzegach. Podskoczyłem i wylądowałem na jednym z nich.

Kiedajew wreszcie mnie dostrzegł.

– Tuńczyk! – krzyknął. – Ratunku, tuńczyk!

Zobaczyłem ogromną rybę, zbliżającą się do miejsca, w którym pływał Kiedajew – była tak wielka, że nie mieściła się cała w kanale i jej pokryty łuską grzbiet wystawał z wody.

To też łatwe.

Podniosłem rękę i tuż przed rybą zjechała do wody stalowa krata. Rybi pysk wbił się w nią z potworną siłą. Krata wygięła się, ale wytrzymała uderzenie. Z ran na rybim pysku wypłynęła gęsta czarnobrazowa ciecz, a przez dziurę po wybitym oku widać było zielony mózg. Zapachniało wasabi i sosem sojowym.

Robiło się śmiesznie.

Kiedajew popatrzył na mnie ze strachem, zwinął się w wodzie – i poszedł na dno.

To była już poważniejsza sprawa, bo nie wiedziałem, gdzie ono jest. Zanurkowałem za Kiedajewem.

Był jeszcze widoczny, ale prąd szybko unosił go w dół, w głębinę. Było tam dość ciemno, ale wkrótce dostrzegłem piaszczyste dno i górę zardzewiałego żelaza ze sterczącymi we wszystkie strony rurami. Najwyraźniej jakiś zbiorowy Titanic. Co za szczęście, że bogacze mają taką ubogą wyobraźnię...

Dogoniłem Kiedajewa, kiedy zbliżał się do oblepionego różowymi koralami iluminatora wśród wodorostów, wyglądających jak długie włosy. Iluminator był otwarty. Kiedajew z zaskakującą łatwością przecisnął się do środka, a ja wpłynąłem za nim.

Za zatopioną kajutą znajdował się stromo biegnący w górę korytarz wypełniony powietrzem. Kiedajewa w korytarzu już nie było. Zobaczyłem

za to następny ślepy korytarz, zakończony zamkniętymi drzwiami sejfu.

Kiedajew zaczynał stwarzać problemy.

Nie ukrył się jednak całkowicie. W drzwiach znajdował się wizjer. Zajrzałem przezeń i zobaczyłem umeblowany z przepychem pokój, w którym uwijały się dwie gołe dziwki. Kiedajew też tam był – już w czarnej uprząży BDSM. Zapomniał chyba, że znajduje się pod wodą – i teraz układano go na łóżku. Wizjer mocno wszystko zniekształcał, ale dostrzegłem, że pokój ma jeszcze jedno wyjście. Trzeba się było śpieszyć.

Spróbowałem wejść. Rozległ się elektryczny pisk i wesoły głos powiedział:

– Jesteś niewłaściwie ubrany! Jesteś niewłaściwie ubrany!

Nie cierpię kotłować się z klientem w jego seksualnych projekcjach – ale cóż robić. Klnąc, odsunąłem się od drzwi i próbowałem nadać sobie odpowiedni wygląd – włożyłem skórzaną

uprząż, czarną półmaskę, hełm z pióropuszem z końskiego włosia i skórzaną obrozę z kolcami i pierścieniami. Pewnie wyglądałem w tym stroju bardziej na gladiatora niż sadomasochistę, ale nie było czasu na poszukiwanie bardziej odpowiedniego rozwiązania.

Znów nacisnąłem kłamkę. Tym razem drzwi się otwarły. Wszedłem do pokoju, ale teraz drogę zagrażała mi gruba żelazna krata od podłogi do sufitu.

Kiedajew z kneblem w ustach był przywiązany do łóżka. Po jego bokach stały dziewczyny. Były dobrze zbudowane, ale...

Pierwszy raz widziałem tak obfite owłosienie łonowe. Nawet nie przypuszczałem, że w tym miejscu u kobiety może wyrosnąć tyle włosów.

Jedna z dziewczyn miała maskę rysia, a w ręku długi czarny bicz. Druga trzymała elegancki tomik w skórzanej oprawie. Książka na moment znalazła się tuż przed moimi oczami i przeczytałem słowa, wytłoczone na okładce:

**„do użytku służbowego**

ANDRIEJ TURGIENIEW

BURZA,

czyli koniec Świety.

egz. № 24”.

Dziewczyna z książką recytowała tekst. Było widać, że sztuka niezbyt ją interesuje – monotonicznie odczytywała kwestie razem z imionami postaci, nie robiąc między nimi nawet pauz:

– Goła dama z piłą i nieogoloną cipką: On chce coś powiedzieć. Goła dziewczyna w masce rysia, podnosząc bicz: Chcesz coś powiedzieć, maleńki? Już się nas nie boisz? Związany z kneblem w ustach: M-m-m-m! M-m-m-m! Goła dama z piłą i nieogoloną cipką: On chce, żebyśmy ściągnęły z niego kołdrę. Goła dziewczyna w masce rysia: A jak on wtedy będzie robić ho-ho-ho? Pewnie

będzie mu wstyd? Czy nie? No co, maleńki, całkiem już nie masz wstydu? Chcesz, żebyśmy cię ukarały? Goła dama z piłą i nieogoloną cipką: Może ty się boisz burzy, maleńki? Chcesz ukryć twarz w czymś puszystym i miękkim? Związany z kneblem w ustach: M-m-m-m! M-m-m-m! Goła dziewczyna w masce rysia: A może chcesz, żebyśmy znów zawołały Świętę? Związany z kneblem w ustach: M-m-m-m! M-m-m-m! Goła dama z piłą i nieogoloną cipką: Święta! Ej! Święta!

Za każdym razem przy „M-m-m-m!” druga dziewczyna podnosiła bicz i lekko uderzała Kiedajewa po owłosionym brzuchu. Choć obiecanej piły nigdzie nie było widać, Kiedajew wyraźnie rozkoszował się sytuacją – w jego oczach malował się lubieżny, maślany strach. Pewnie przed tym, że wszystko to może się skończyć...

Pociągnąłem kratę w bok i wsunęła się w ścianę, zupełnie jak drzwi windy. Dziewczyny zobaczyły mnie – i zapiszczały ze strachu. Ta, która



czytała, chciała wleźć pod łóżko, ale nie zdołała się wcisnąć i zamarła na podłodze. Druga przykucnęła w kącie i uniosła nad głową bicz – zupełnie jakby się osłaniała przed nadchodzącą burzą.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnałem, odrywając Kiedajewa od łóżka. – Nie jestem psychoanalitykiem! Jestem przewodnikiem! Dlaczego się zamknąłeś?

– Wstydzilem się – wyszeptał Kiedajew.

– Jeszcze raz się zamkniesz i cię zostawię. Tylko nie z nimi – wskazałem na dygoczące dziwki – ale z tym, o!

I pokazałem na drzwi, którymi wszedłem.

Kiedajew zbladł.

Z korytarza do kajuty wpełzała gruba szara żmija z rozwartą bezzębną paszczą. Była podobna do zabłąkanej słoniowej trąby. Możliwe, że był to właśnie koniec Swiety – ale nie zamierzałem zawierać znajomości z samą Swietą.

– Biegiem! – krzyknąłem i powlokłem

Kiedajewa do drugich drzwi. Były otwarte. Wyszliśmy i udało mi się je od razu zatrzasnąć, a nawet zamknąć na grubą żelazną zasuwę. Wybacz, Swieta.

Kiedajew już nie pamiętał o romantycznym buduarze – teraz otaczał go kamienny korytarz ze sklepionym sufitem. Zmierzał ku dalekiemu wyjściu – w oświetloną słońcem przestrzeń. Były tam łuki, starożytne ceglane ściany i powietrze, drżące w słonecznym upale.

Doleciał do mnie ryk tłumy i brzęk metalu. Rozejrzałem się, próbując znaleźć inną drogę. Nie było jej. Co więcej, w korytarzu za moimi plecami pojawili się dwaj Murzyni, przyodziani mniej więcej tak jak ja – tylko oprócz skórzanej uprząży BDSM mieli jeszcze zbroje.

Zakląłem – najwyraźniej chodziło o mój dziwaczny strój, który zapomniałem zmienić. A szczególnie o ten hełm z końskim ogonem.

Chociaż przewidywalność wydarzeń była uspokajająca. Najpierw *Titanic*, a teraz *Gladiator*.

Podświadomość współczesnego człowieka przeżarta jest standardowymi filmowymi reminiscencjami i odciskami jednych i tych samych wygaszaczy ekranu. Praca z nim jest nudna, ale wygodna...

Kiedy wybiegliśmy na wysypaną piaskiem arenę, ujrzałem dokładnie to, czego się spodziewałem – prowincjonalny amfiteatr, pełen gladiatorów. Ci zresztą nie wyglądali szczególnie groźnie – wszyscy w czarnej skórze, w takich samych maskach i hełmach jak moje, w obrożach i bransoletach sado-maso. Bardziej przypominali uczestników berlińskiej parady równości niż cyrkowych zabójców, ale lwy na arenie były prawdziwe. Dobrze, że znajdowały się daleko i dojadły na razie jakiegoś aktywa w czerni.

Gladiatorzy najbliżej nas byli zajęci sobą – niemrawo markowali walkę i na moje wyczucie wcale nie chcieli umierać. Należało szybko się wynieść z tej heroicznej przestrzeni, nie nawiązując wymiany kulturalnej.

Kiedajew patrzył zafascynowany na gladiatorów i lwy. Zanim mnie zobaczył, zmieniłem strój na koszulkę piłkarską i spodenki (gdyby można było się tak szybko przebierać również w życiu), a potem okleiłem najbliższą ścianę areny skleconymi na chybcika reklamami, z których mniej więcej prawdopodobnie wyglądały tylko „Coca-Cola” i „Michelin”.

Ale za to były tam prawdziwe drzwi. W sekundę w moich rękach pojawiła się piłka, którą z całej siły rzuciłem w kark Kiedajewa. W samą porę – już zaczynał się nim interesować jeden z lwów.

Kiedajew obejrzał się i natychmiast szarpnąłem go za rękę. Silne szarpnięcie pomaga wyłączyć focus i przejść do nowej klatki.

– Szybko!

Posłusznie pobiegł za mną do drzwi z „Coca-Colą”, gdzie przepuściłem go przodem, przezornie trafiając w plecy jeszcze jedną piłką, żeby nie zainteresował się za bardzo, dlaczego ma pod nogami piasek.

Za drzwiami, tak jak się spodziewałem, wszystko stało się łatwiejsze.

Przepchnąwszy się przez tłum piłkarzy w pasiastych koszulkach, idących do wyjścia na boisko, Kiedajew zobaczył przed sobą ludzi z kamerą telewizyjną – i odruchowo rzucił się do bocznych drzwi z napisem „Auth. Pers. Only”, w biegu obrastając garniturem i krawatem.

Za drzwiami były prowadzące w dół metalowe schody w czworokątnym betonowym szybie, oświetlonym zimnymi halogenowymi lampami. Jeszcze nie wygaszacz ekranu, ale już blisko.

Chyba wreszcie oderwaliśmy się od pamięci cyklicznej – zesłiśmy, jak mówią profesjonaliści, z trasy osobowości. Tym razem obeszło się bez referencji finansowych. I bardzo dobrze – nie znoszę tego. Echo działalności biznesowej, jakie dociera do limbo, rzadko przypomina filmy o Wall Street. Najczęściej wygląda mało zachęcająco – jakieś błąkanie się po cuchnącym bagnie w poszukiwaniu bagiennych ogników albo

lewatywa z wielu wiader, robiona pobitemu i związanemu hipopotamowi, który ma się zesrać do basenu ochranianego przez FSB.

Z pewnością przyczyną było to, że Kiedajew na krótko przed śmiercią porzucił interesy – i już właściwie przestał o nich myśleć.

Teraz zanurzaliśmy się w odmętach sumienia. To na ogół wygląda jak długie schodzenie w dół. Najczęściej po schodach, chociaż zdarza się symbolika bardziej egzotyczna: za jednym z chaldejów złąziłem po linie z olbrzymiej sekwoi.

Schodziliśmy długo – i Kiedajew wkrótce zapomniał, że za nim idę. Pogрузył się w myślach i były to ponure myśli, sądząc po tym, jak zmieniała się przestrzeń otaczająca drabinę.

Najpierw na ścianach pojawiły się graffiti o charakterze kryminalno-etnograficznym: skrzyżowane noże, szkielety, karciane asy i kopuły cerkiewne. Potem światło lamp zaczęło przygasać, a schody stawały się coraz brudniejsze. Wkrótce wykwitły na nich plamy zaschniętej krwi. A po

kilku dalszych biegach dotarliśmy do dna.

Ujrzałem długi, jakby więzienny korytarz – ciemny i brudny. Snuli się po nim podobni do bandytów ochroniarze albo podobni do ochroniarzy bandyci w jednakowych uniformach. Po obu stronach mijaliśmy zardzewiałe, odrapane żelazne drzwi z wizjerami.

O dziwo, Kiedajew nie objawiał strachu – przeciwnie, w jego krokach pojawiła się jakaś napoleońska stanowczość. Jak gdyby upadał do przodu, w ostatniej chwili łapiąc równowagę na wystawionej nodze. Idący z przeciwka ochroniarze nie próbowali go zatrzymać – znalazłszy się w polu jego przyciągania, dołączali do nas. Wkrótce utworzyli na korytarzu całą procesję. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli zostanę trochę z tyłu i zmienię strój na taki sam ciemny uniform.

Kiedajew szukał wyjścia.

Podszedł do jednych drzwi i wskazał na nie podbródkiem. Natychmiast podskoczył do nich ochroniarz ze świty i dzwoniąc pękiem kluczy,

otworzył zamek.

W celi stał fotel ginekologiczny, na którym leżał przywiązany mężczyzna w jasnozielonej dwurzędowej marynarce; spodnie miał spuszczone do kolan, a usta zaklejone taśmą. Przed nim stali dwaj ludzie wyglądający na mechaników samochodowych. Jeden trzymał wiertarkę.

Wyjścia nie było.

Na widok Kiedajewa mężczyzna z zaklejonymi ustami zamuczał, jakby chciał powiedzieć coś ważnego, ale Kiedajew przecząco pokręcił głową i ruszył dalej.

Minąwszy kilka cel, zbliżył się do kolejnych drzwi. Otwarto je i zobaczyłem pusty pokój. Krata w oknie była przepiłowana. Jej pręty wyginały się na zewnątrz, w migoczące trwoźnie gwiazdziste niebo. Kiedajew odwrócił się do swojej świty i podniósł palec. Ochroniarze skulili się, chowając głowy w ramiona, i zrozumiałem, że ten gest podziałał silniej niż najgroźniejszy krzyk. Pomyślałem, że Kiedajew spokojnie mógł sam



wyleźć przez okno, ale najwyraźniej nawet nie przyszło mu to do głowy.

Drzwi następnej celi, przy której się zatrzymał, ochroniarze długo nie mogli otworzyć – i doprawdy lepiej by było, gdyby tego nie robili. Kiedy się otworzyły, zobaczyłem powieszzonego za nogi człowieka – w takim samym uniformie jak ochroniarze. Był nieprzytomny. Pod jego głową postawiono miednicę, do której skapywała krew. Sporo jej już naciekło. Wokół stali młodzi ludzie z kijami w rękach. Na nasz widok chyba się zmieszali.

Kiedajew poszedł dalej.

Zorientowałem się, że zaszło coś nieprzyjemnego. Chód Kiedajewa był teraz szybszy i nerwowy, a jego ochroniarze rozmawiali ze wzburzeniem. Jeden dogonił Kiedajewa i popchnął go w plecy. Kiedajew nie obejrzał się, tylko przyśpieszył kroku. Widać już było cel: dwuskrzydłowe dębowe drzwi na końcu korytarza. Wyglądały tutaj na tyle dziwnie, że od razu stało

się jasne – to było wyjście.

Ale nie zdążyliśmy.

Znów popchnięto Kiedajewa. A potem drugi ochroniarz zarzucił mu na szyję pętlę ze sznura.

Był najwyższy czas, żebym się wtrącił.

Przypomniałem sobie kelnerów samurajów z restauracji, w której rozpoczęliśmy zejście – i stałem się jednym z nich. Ochroniarze odskoczyli ode mnie z przestachem. Wyciągnąłem miecz i przeciąłem sznur, na który Kiedajew ostatkiem sił starał się nie zwracać uwagi, z godnością wlokąc dusiciela za sobą. Potem kilka razy pchnąłem ostrzem w otaczającą mnie grupę, celując w miękkie części.

Świta rozsypała się na boki.

Kiedajew rzucił z szyi pętlę, obciągnął garnitur i przekroczył próg. Wyślizgnąłem się za nim, póki drzwi były jeszcze otwarte, i szybko je za sobą zamknąłem. Jeżeli drzwi, oddzielające jedną część zejścia od drugiej, zdążą się zamknąć między tobą a klientem, możesz go stracić z oczu. Nie wiem,

dlaczego tak jest, ale przez drzwi lepiej przechodzić razem.

Znaleźliśmy się w kabinie windy. To już lubię najbardziej – wyraźny wygaszacz.

Tak się zdarza, kiedy uda się minąć kilka skrętów karmicznych jelit. Jeżeli znajdziesz jeden wygaszacz, następne pojawiają się jeden za drugim. Najważniejsze, żeby dotrzeć do pierwszego. A to nie zawsze jest łatwe. Gdyby nie ja, Saławat Awiessałomowicz wisiałby teraz głową w dół nad miednicą...

Jechaliśmy w dół. Wszystko było dobrze.

Kiedajew obejrzał się i drgnął, widząc stojącego obok samuraja. Poklepałem go po ramieniu.

– To ja. Dzielnie się pan spisuje, Saławacie Awiessałomowiczu. Prawie nie trzeba panu pomagać.

Kiedajew wydał z siebie ni to wycie, ni jęk – i zrozumiałem, jak bardzo jest już tym wszystkim zmęczony.

– Długo jeszcze? – zapytał. – Nie jestem w stanie tego kontrolować.

– I nie musi pan – odparłem. – Cała rzecz polega na tym, żeby usunąć napięcia i żeby animogram się wyprostował.

– Kiedy to się skończy?

– Kiedy znajdzie pan miejsce, w którym będzie się pan czuł bezpiecznie – powiedziałem. – W którym nic panu nie będzie zagrażać. I w którym zapragnie pan pozostać. Najczęściej jest to coś z dzieciństwa. Nazywamy to kotwicą... Środek będzie tam, gdzie pan ją rzuci.

O tym nie należy mówić na początku zejścia – zanim przewiną się najbardziej prymitywne obsesje i strachy. Bo inaczej kotwicą może się okazać kryjówka za zakurzoną kotarą – albo nawet pustka pod szafą, gdzie można schować głowę (miałem w swojej praktyce taki przypadek). Ale tu wszystko zmierzało do końca.

Kiedajew zmarszczył brwi i dotknął ręką głowy, jakby usiłował coś sobie przypomnieć.

Skorzystałem z tej przerwy, żeby przeobrazić się z samuraja w zwykłego, przeciętnego faceta.

Winda się zatrzymała i wyszliśmy z niej na zalaną słońcem stację kolejową. Przy peronie stał gotowy do odjazdu pociąg podmiejski. Zdążyliśmy do niego wskoczyć na sekundę przed zamknięciem drzwi. Jeszcze jeden wygaszacz. Najprawdopodobniej ostatni.

Wagon, do którego wsiedliśmy, był pusty. Kiedajew usiadł na ławce i zapatrzył się w okno. Żeby nie zakłócać procesu produkcyjnego, usiadłem za nim. Należało się skupić – musiałem teraz śledzić jego wizje, obserwując jednocześnie otaczającą nas przestrzeń.

Za szybą migały drzewa. Potem jarmarczne budki i wzgórza. Dymy, mgły i dale. Wszystko było w czystych, delikatnych kolorach, jasne, spokojne i smutne – zwyczajne świadectwo tego, że uruchomione zostały wspomnienia z dzieciństwa.

Jak zwykle w tej fazie przewijania, w kolejności obrazów za oknem brakowało

logiki – nawet trudno było je opisać. Perony podmoskiewskich stacji przeplatały się z gigantycznymi landszaftami pełnymi chmur. Dudniący czarny tunel nagle przechodził w wojowniczą huńską kukurydzę, potem długo mknęły wilgotne jesienne lasy. Migał pomarańczowy zachód słońca nad ruskim polem bitwy. Niby starożytne gęśle brzęczały drobne fale chińskich jezior. Wiosna, noc, wiatr. Młodość jest u wszystkich jednakowa. Wystarczyło odwrócić się od okna, a już lato ustępowało zimie. Kiedy czujnie rozglądałem się po wagonie, za oknem znów następowało lato.

Nie było w tym wszystkim grubych szwów i spawów – przemiany były naturalne, jakby Kiedajew rzeczywiście patrzył przez okno pędzącego szybko pociągu. Chociaż gdyby nie ja, padłby pod nożami dwóch skinów, którzy kilka razy próbowali wejść do przedziału, ale nie dali rady.

Kiedy pociąg się zatrzymał, było już ciemno. Za oknem był czarny peron na skraju sosnowego lasu.

Zauważyłem, że żelazna ramka, w której powinna się znajdować nazwa stacji, jest pusta – widocznie Kiedajew sam jej nie pamiętał.

Wysiedliśmy z wagonu, zeszliśmy po obtłuczonych betonowych schodach i ścieżką ruszyliśmy w ciemność. Gdzieś między sosnami paliły się elektryczne latarnie. Dwa razy z krzaków rzucały się na Kiedajewa wściekle syczące koty – i musiałem je wdeptać w ziemię. Z ciemności między drzewami zapikowało kilka szybkich ptasich cieni – i bezlitośnie odrzuciłem je w mrok. Zapewne były to zwierzaki zabite w chuligańskim dzieciństwie – ostatnie grzechy. Wyraźny znak, że jesteśmy już blisko celu.

A potem zobaczyłem ten cel.

Był to stary wiejski dom za drewnianym płotem. Kiedajew wszedł na podwórze – ale nie skierował się do drzwi wejściowych, tylko do stojącej obok szopy. Wszedł do środka i pewnie zapalił światło. Zobaczyłem zwyczajne wnętrze gospodarskiej dobudówki – półki z różnymi rupieciami, sterty

drobnych gospodarskich sprzętów, które pozostały w jego pamięci przez wszystkie te lata...

Zdumiałem się, jak dokładnie Kiedajew pamięta to miejsce – włącznie z czerwoną rakieta na etykietce pudełka po zapalniczkach z małymi gwoździkami, z pierwszą stroną starej gazety sowieckiej, w którą zawinięto szpulę z błyszczącym zielonym kablem. Nie mogłem się powstrzymać i przeczytałem jeden akapit. Składał się z okrągłych wieloznacznych zdań, które bez śladu pękały w głowie natychmiast po przeczytaniu. Czegoś takiego nie sposób podrobić – klient rzeczywiście zachował w pamięci szczegółowe odbicie tego miejsca.

Tymczasem Kiedajew już wspinał się po drabince na górną półkę szopy, gdzie leżała sterta desek.

– Dokąd? – spytałem.

– Mam tam sekretny azyl – powiedział. – Chłopcę kryjówkę. Nie widać jej za deskami. Tam zacząłem palić. Najpierw papierosy, a potem



zioło. Pamiętam, jak za pierwszym razem przez trzy godziny bałem się zleźć, che, che... Tam na pewno nikt mnie nie znajdzie.

– Dobrze – powiedziałem. – Skoro to właśnie jest pańska kotwica, nie widzę żadnych problemów. Całkiem odpowiednie miejsce. Ale musi pan dopełnić pewnej formalności.

– Jakiej?

– Powiedzieć kilka słów do bliskich.

– A jak oni mnie usłyszą? – zdumiał się Kiedajew.

– Mamy taką możliwość – powiedziałem z uśmiechem.

– Filmujecie mnie?

– W pewnym sensie tak.

Kiedajew zszedł na podłogę, rozejrzał się w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca i usiadł na stołku pod ścianą.

– Tu będzie dobrze?

Skinąłem głową. W moich rękach pojawiła się

fotografia w srebrnej ramce. Były na niej dwie starsze kobiety i jedna młoda – wszystkie trochę podobne do siebie i do Kiedajewa. Na zdjęciu był poza tym kot sfinks z kokardą.

– Pańscy *loved ones*<sup>[35]</sup> – powiedziałem. – Żeby łatwiej panu było się skupić.

Kiedajew się uśmiechnął.

– Zawsze mnie bawiło to amerykańskie określenie – powiedział. – Jak wobec tego należy nazywać pozostałych? *Hated ones*? *Indifferent ones*?<sup>[36]</sup>

– Proszę się nie rozpraszać.

– Okej.

Skierował wzrok na fotografię jak do kamery.

– Ludoczko, Dino, mamusiu – powiedział. – U mnie wszystko dobrze. Jeśli to w ogóle możliwe. Było ciężko. Ale teraz przybyliśmy w bezpieczne miejsce, możecie być spokojne. Zostanę tu, dopóki wszystko się nie... przejaśni. Tutaj jest spokojnie i cicho. Nie martwcie się o mnie. Żyjcie – pociągnął nosem – w miłości

i radości. Żegnajcie.

Oddałem mu ramkę; położył ją na półce zdjęciem w dół.

Rozległo się głośne klaśnięcie w dłonie.

– Stop!

Twarz Kiedajewa znieruchomiła – i zaczęły przez nią prześwitywać małe dziurki na ekranie.

– Zapalcie światło – powiedział Enlil Maratowicz.

Zapaliło się światło.

Pośrodku pokoju stały trzy krzesła. Siedziały na nich kobiety w okularach 3D – te same, do których przed chwilą zwracał się z ekranu Kiedajew. Tylko na fotografii były w jasnych, kolorowych strojach, a w życiu – całe w czerni, tak że można je było wziąć za wampiry. Nie były jednak nimi. Na szyjach miały złote plakietki przepustki z wizerunkiem maski.

Wampiry siedziały dokoła.

My z Enlilem Maratowiczem wyglądaliśmy

skromnie – po prostu dwaj mężczyźni w czerni na krzesłach pod ścianą.

Za to trzej demonstratorzy media, siedzący w głębi sali w niskich wygodnych fotelach, robili imponujące wrażenie. Nawet na mnie, chociaż od dawna przywykłem do ich niesamowitego wyglądu.

Byli pogrążeni w transie. Oczy mieli zamknięte. W czarnych obcisłych koszulkach i z ogolonymi bladymi czaszkami, przysypanymi zielonkawym pudrem transmitterem do złudzenia przypominali trzech fantomasów. Na ich głowach lśniły jednakowe srebrne półkule z szyszkowatymi naroślami podobne do opływowej wersji hi-tech niemieckiego hełmu z czasów pierwszej wojny światowej. Hełmy były oznakowane kolorowymi emaliowanymi obręczami – zieloną, niebieską i czerwoną.

Na podwyższeniu za plecami mediów stały trzy połączone drążkiem aparaty projekcyjne z soczewkami w kolorach czerwonym, zielonym

i niebieskim. Gwoli oczywistości dobrane kolorami hełmy i projektory były połączone przewodami – chociaż system mógł działać także bez nich. Przed każdym z mediów stała maleńka probówka z czarną gumową zatyczką. W probówkach było moje mocno rozcieńczone DNA, pobrane z palca przed rozpoczęciem procedury w obecności pań.

Rytuał powinien być przekonujący.

Hełmy wampomediów oficjalnie nosiły nazwę „koron transmisyjnych”, ale mnie – i nie tylko mnie – najbardziej kojarzyły się z antenkami teletubisiów. Właśnie dlatego przyłgnęła do nich ta ksywka. Obrażali się za to przyzwisko – ale tak trafnie, krótko i obrazowo określało ono ich funkcję, że żadne inne dodatkowe słowa po prostu nie były potrzebne.

Przez te lata Ez, Tet i Tar mocno się zmienili. Bardzo wydorośleli. A może wydawało się tak dlatego, że teraz musieli się strzyc na zero. Ale było im z tym do twarzy.

Enlil Maratowicz odwrócił się do pań.

– Człowiek nie może widzieć tego, co widzi wampir – powiedział. – Z wyjątkiem wypadków, kiedy wampir sam chce to pokazać. Mamy do tego firmowe technologie i specjalistów. Przybyli tu z daleka, żeby mogły panie na własne oczy zobaczyć, za co wasza rodzina zapłaciła takie pieniądze. Teraz wszystko już wiecie. Oczywiście musicie zachować to, co widziałyście, w ścisłej tajemnicy. Czy macie panie jakieś pytania? Wątpliwości?

Kobiety porozumiały się wzrokiem. Najstarsza powiedziała:

– Nie. Nie mamy żadnych wątpliwości... To ten dom, ta szopa... Nie ma ich już od jakichś trzydziestu lat. A może czterdziestu. Nie zachowały się nawet zdjęcia. Nie sposób byłoby tego podrobić nawet przy największych chęciach. A poza tym to, co Salik powiedział... Wiedziałam, że palił tam papierosy, ale to drugie... Spuściłabym mu łanie...

Chlipnęła.

– Możecie panie zadać ostatnie pytania Kawalerowi Nocy – powiedział Enlil Maratowicz. – Jest tutaj. – I wskazał na mnie.

– To pan przeprowadzał Salika? – spytała druga kobieta, prawdopodobnie siostra nieboszczyka.

Przytaknąłem.

– Jak się to filmuje?

– To nie jest film. Nauczyliśmy się przekształcać pamięć wampira przewodnika w zapis wideo, który transmitują wampiry media. To jest technologia wampiryczna, a nie ludzka. A dokładniej, ludzka tylko w swoim prymitywnym aspekcie technicznym.

– Widziałyśmy to samo co Salik?

– Widziałyście panie to samo co ja – powiedziałem. – A ja widziałem to samo co on. Czyli ogólnie rzecz biorąc tak – z niewielkimi zniekształceniami interpretacyjnymi. Ale trójwymiarowy obraz daje jedynie uproszczone wyobrażenie o tym, co się dzieje w limbo. Brak tu

składowej emocjonalnej. A wszystko zasadza się na niej.

– Czy było strasznie?

– Prawie wcale – odparłem. – Wyjątkowo dobrym człowiekiem był... Był i jest Saławat Awiessałomowicz. Pozostawił na tym świecie niewielu wierzycieli.

– Za to my mamy wielu wierzycieli – powiedziała trzecia kobieta, najmłodsza i najśmielsza. – Teraz.

– Miałem na myśli wierzycieli karmicznych – odparłem, wzruszając ramionami. – Tych, którzy przychodzą do przyszłych wcieleń, żeby się zemścić. Możecie panie być dumne z Saławata Awiessałomowicza.

– A dlaczego doprowadził go pan akurat do tego miejsca?

– Zauważyły panie zapewne – powiedziałem – że Saławat Awiessałomowicz ciągle pakował się w sytuacje, z których chciał się jak najprędzej wydostać. Nawet ta kajuta z gołymi...



– Niech pan nie kończy – poprosiła matka.

– Gdybym pozostawił go w którymś z tych stanów, jego animogram nie byłby chroniony. Mógłby się rozerwać pod działaniem wolnych memów, jeszcze zanim padłoby na niego odradzające spojrzenie Wielkiego Wampira...

– Rama – wtrącił Enlil Maratowicz – nie męcz pań.

– A tak, przepraszam. Krótko mówiąc, rozerwałoby go na strzępy. Pośmiertna konserwacja osobowości jest możliwa po osiągnięciu przez animogram pewnego, niezachwianego środka. Cała ta podróż była schodzeniem do środka.

– Środka czego?

– Saławata Awiessałomowicza. Kiedy znów spojrzy na niego Wielki Wampir, a wcześniej czy później patrzy on na wszystko, co znajduje się w limbo, Saławat Awiessałomowicz zdoła wytrzymać jego spojrzenie, ponieważ w tym punkcie znajduje się w całkowitej harmonii

i z samym sobą, i z Wielkim Wampirem. Jasne białe światło go nie zetrze, jak stałoby się to bez przewinięcia, ale przebudzi w nim nasienie nowego życia.

– Co to za Wielki Wampir?

– Tak nazywamy Boga – powiedział Enlil Maratowicz z czarującym uśmiechem.

– Wsadziliście go do czyjejś macicy? – zapytała najmłodsza.

– Raczej – odparł Enlil Maratowicz – troskliwie zasadziliśmy go w doniczce i podlaliśmy. Wiecie przecież, że nie wszystkie nasiona dają plon – niektóre padają na kamienie i giną. Większość. My nazywamy to rozerwaniem animogramu. Przeobrażenie podobne jest do nowego kielka, wyrastającego z nasienia, które trafiło w przyjazne środowisko. Teraz Saławat Awiessałomowicz znajduje się właśnie w takim środowisku. Jak już paniom powiedziano, spojrzenie Wielkiego Wampira go nie unicestwi, ale pozwoli mu wrócić do życia w nowej postaci.

Nowe życie będzie dobre i szczęśliwe. To właśnie jest reinkarnacja, za którą zapłaciłyście.

– Kiedy to nastąpi?

– Wszystko zależy od Wielkiego Wampira. Nie radzilibyśmy specjalnie przyciągać jego uwagi ludzkimi rytuałami religijnymi.

– A czy nie dałoby się zrobić tak, żeby urodził się w naszej rodzinie?

– Kiedyś robiliśmy takie rzeczy za dodatkową opłatą, ale teraz się tego nie praktykuje.

– Chyba że się jest Rothschildem – mruknęła najmłodsza z kobiet.

Enlil Maratowicz spojrział na nią przeciągle.

– Zapewniam panią – powiedział – że jest to w waszym interesie. I w interesie Saławata Awiessałomowicza. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Nagle zrobił się zmęczony i poważny – i całkowicie nieprzystępny. Kobiety zrozumiały, że audycja dobiegła końca. Wstały i najmłodsza znów próbowała coś powiedzieć.

Enlil Maratowicz podniósł dłoń.

– Nie trzeba podziękowań – rzekł. – Chaldeje, którzy wiernie nam służą, mogą liczyć na naszą wdzięczność. Idźcie w pokoju i nie smućcie się. Nie ma powodu do smutku. Macie powód do wielkiej radości. I pamiętajcie, że to, coście zobaczyły, macie trzymać w wielkiej tajemnicy nie tylko przed zwykłymi ludźmi, ale i przed innymi osobami z waszego kręgu. Nawet jeśli to wasi bliscy przyjaciele...

Kobiety kolejno złożyły niski pokłon i ruszyły do wyjścia. Były wyraźnie pod wrażeniem tego, co ujrzały. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Enlil Maratowicz z zadowoleniem zatarł ręce.

– Teraz będą o tym szeptać co najmniej przez rok. Reklamować dostęp do prestiżowej konsumpcji śmierci. Brawo, Rama, wszystko poszło świetnie.

– Jak zawsze – odparłem skromnie.

– A teraz obejrzyjmy zakończenie – powiedział Enlil Maratowicz. – Dopóki teletubisie nie zdjęły

rynsztunku...

Klasnął w ręce.

Światło zgasło i znów zobaczyłem na ekranie Kiedajewa – odłożył fotografię na półkę i odwrócił się do mnie.

– Mogę włączyć?

Kiwnąłem głową.

– Rozstajemy się?

– Tak, tak, Saławacie Awiessałomowiczu. Proszę wchodzić. A ja już pójdę.

Kiedajew spojrzał na mnie jeszcze raz – jak mi się wydało, trochę podejrzliwie.

– I co będzie?

– Zaśnie pan – powiedziałem. – A potem się pan obudzi.

– Na pewno?

Uśmiechnąłem się.

– Bez żadnych wątpliwości.

– No to żegnam – powiedział Kiedajew. – I oczywiście dzięki za pomoc. Wszelkiej

pomyślności. Chociaż to i tak pan ma...

– Niech pan idzie w pokoju, Saławacie Awiessałomowiczu. Przyjemnie się z panem współpracowało. Powodzenia w interesach.

Kiedajew zniknął za stertą desek. Opuściłem szopę, odszedłem jak najdalej i przesunąłem językiem po włoskach nekronawigatora. Otoczenie zaczęło się rozplýwać, jakbym patrzył na nie przez zalane deszczem okulary. Wyraźna pozostała tylko szopa, w której był Kiedajew. Wykonałem ledwie dostrzegalny ruch rękami i na szopę opuściła się arka – olbrzymi, pusty kamienny sześcian. Zdobiała go starożytna płaskorzeźba: zębata paszcza, zajmująca prawie całe miejsce, maleńki nos i dwoje okrągłych oczu. Mówiono, że to jaguar, ale mnie przypominał bardziej naćpanego zająca, który zaczął odlot od tego, że wzorem van Gogha obciął sobie uszy – i teraz wrzeszczał z bólu.

Podniosłem ręce.

Arka posłusznie wzniosła się w górę i zawisła w pustce. Była tak ogromna, że nawet w limbo

strach było pod nią stać. Na krawędzi sześcianu pojawił się pierścień z brązu. Potem zwisający z niego żółty sznur z zawieszka na końcu. Na zawieszce ukazał się numer „17”.

I już. Dawniej zamieniano ludzi w popiół. A teraz – po prostu w numer.

Teraz stałem na szczycie ogromnej piramidy z szerokimi kamiennymi schodami ze wszystkich stron. Piramida wyglądała ponuro. Byłem zadowolony, że żaden z moich klientów jej nie widzi – a i *loved ones* też. Sam zresztą także nie lubiłem na nią patrzeć, bo było to bardzo wyczerpujące. Mimo siedemnastu wizyt na tym płaskim wierzchołku nadal jej szczegółowo nie zbadałem. Nie wiedziałem nawet, co znaczy końcowy rytuał z arką. Ale był on obowiązkowy.

No, teraz robota była skończona.

Odwróciłem się i ruszyłem kamiennymi schodami w dół. Przede mną i wokół mnie była tylko czerń. Wiedziałem, że gdybym się w nią długo wpatrywał, zobaczyłbym kolorowe

świątełka swobodnych memów – ale to ćwiczenie już dawno mi się znudziło.

Było niejasne, gdzie stoi piramida, i takie pytanie chyba w ogóle nie miało sensu. Jedynym źródłem światła byłem tu ja. Fragmenty piramidy z minimalnym opóźnieniem powstawały w miejscach, na które padał mój wzrok, i byłem przekonany, że stwarzam ją sam – właśnie tym, że zaczynam na nie patrzeć.

Do końca schodów było jeszcze daleko. Nie miałem nic więcej do roboty w tych ciemnościach.

Mocno tupnąłem nogą i kamienne bloki schodów runęły. Nie miałem pod sobą żadnego innego oparcia. Poleciałem głową w dół, w gęstą czerń, a zgięte w kolanach nogi znalazły się na górze.

Na ekranie pojawiła się wirująca spirala i migające białe cyfry – 5, 4, 3, 2, 1. Zapalił się napis „koniec transmisji”, ale jeszcze przez kilka sekund przez to wszystko prześwitywałem ja – w tej samej pozycji, wiszący głową w dół



w swoim własnym hamlecie. Mój ekranowy sobowtór popatrzył na siedzących w sali, ziewnął – tak że było widać nałożony na zęby nekronawigator – i rozłożył ręce.

Ekran zgasł.

Enlil Maratowicz trzykrotnie klasnął w dłonie.

Media Francuzi zaczęli przychodzić do siebie – poruszyli się, otworzyli oczy, jeden z nich coś zamamrotał.

– Szybko przeszedłeś – powiedział Enlil Maratowicz. – Robi się z ciebie prawdziwy profesjonalista. Chcesz o coś zapytać?

– Tak. Dlaczego arka ma taki kształt? Po co ten żółty sznur? I co to za piramida? Skąd pochodzi?

– Z twojego wamponawigatora – odrzekł Enlil Maratowicz.

– Dzięki – powiedziałem. – To wiem. Proszę mi nie mydlić oczu jak Chaldejowi. Interesuje mnie, czemu ona odpowiada w rzeczywistości?

– Była taka budowla w Meksyku – powiedział Enlil Maratowicz. – I się zmyła. Ale podobno

kiedyś znów będzie. Nie nabijaj tym sobie głowy, Rama. To po prostu tradycja. Ile lat ci powtarzam: normalny wampir nie stara się wiedzieć więcej, niż wymagają tego okoliczności. Stara się wiedzieć jak najmniej. Każde ukąszenie obciąża nas nowym bólem. Jakiś ty jeszcze młody...

Popatrzył na media, które już całkiem się ocknęły – i teraz zdejmowały z ogolonych głów swoje błyszczące hełmy.

– Idź się gdzieś zabawić z Francuzami. Zdaje się, że razem przechodziliście wtajemniczenie, tak?

– Tak – odrzekłem.

– Ile to już lat temu?

– Pięć – powiedziałem. – A może siedem. Dużo.



Wydawnictwo Literackie

## HAUTE SOS

– Dokąd jedziemy, cesarze? – spytał Grigorij, odwracając się do mnie od kierownicy.

Siedzący obok Grigorija Ez popatrzył na niego ze zdziwieniem, a potem też obejrzał się na mnie. Pozostali dwaj Francuzi byli zajęci rozmową i niczego nie zauważyli.

– Do klubu – powiedziałem.

– Dlaczego „cesarze”? – zapytał Ez. – Czy w Rosji jest taki obyczaj?

Westchnąłem.

– Nie, po prostu takiego mam kierowcę. To profesor teologii z Kiszyniowa. Nieustannie zajęty zbawianiem duszy. Głównie mojej.

Ez łypnął na Grigorija jak na grzechotnika

i znów odwrócił się do mnie.

– Po co ci to?

– On potrafi uwolnić od każdego stresu – odparłem. – Zawsze umie wywołać jeszcze silniejszy.

– Słowo prawdy dociera do najczarniejszych serc – potwierdził Grigorij.

– Co on, ćpa? – zapytał Ez.

– Nie ćpam – odparł Grigorij. – Ja go poskrwiam. Taka praca.

– Aha – powiedziałem. – Proszę cię oficjalnie, Grigorij, nie nazywaj mnie więcej cezarem. Oddawaj Bogu, co boskie, mniej ostentacyjnie. Mamy gości z Francji. Nie kompromituj Rosji. Bo jeszcze pomyślą, że mamy tu ustrój niewolniczy.

– Raczej rodowo-plemienny – odrzekł Grigorij. – Z elementami krwiożerczego feudalizmu.

– Sam widzisz – westchnąłem. – I tak przez cały dzień.

Ez się uśmiechnął.

– Niedawno byliśmy w Meksyku – powiedział. – Jeden stary wamp zrobił tam sobie ekwipaż jak u cesarza Heliogabala. Jeździ po majątku rydwanem. A ciągną go nagie kobiety, których uprząż jest połączona ze skórzanym biustonoszem. On sam już nic nie może, więc postanowił na ostatek przynajmniej za cycki sobie pociągać. Ale ty zakasowałeś wszystkich, Rama. Nie zdziwiłbym się, gdyby z czasem weszło to w modę. Ale na razie powiedz swojemu szoferowi, że jeśli jeszcze raz otworzy gębę, zabiję go, wypiję jego DNA i sam poprowadzę samochód. Chociaż strasznie tego nie lubię.

Autem lekko zarzuciło. Grigorij wiedział, że wampiry w tych sprawach nie żartują.

Po zmyciu zielonego pudru Ez, Tet i Tar odmłodnieli i stali się podobni do trzech początkujących Michelów Foucaultów – łysych, stylowych, sympatycznych okularników. Poza godzinami pracy byli to młodzi glamourowi

bogowie – ich wesołe zuchwałe oczy zdradzały dogłębne zepsucie i wysublimowaną znajomość wszelkich wynaturzeń życia. Czułem, że wyglądam przy nich co najmniej prowincjonalnie. Jak zwykle, miałem na sobie czarny garnitur, zdjęty z manekina na ekspozycji w „Archetypique boutique”, a oni byli ubrani z prawdziwym szykiem, w prawdziwe wampiryczne marki, których po wszystkich tych latach i tak się nie nauczyłem rozróżniać.

– Zrobiłeś się podobny do Ulla – podsumował mnie Ez.

– Dzięki – warknąłem. – I to mówi teletubiś.

– Nie – powiedział Ez. – Chodzi mi o to, że stałeś się prawdziwym profesjonalistą. Pogłębionym. A my wciąż latamy jak motylki. Z kwiatka na kwiatek... Ty, a dlaczego masz taką dziwną brykę? Co, też się sprostaczyłeś?

– Przecież próbowaliście mojej czerwonej cieczy – odparłem. – I co, nie widzicie?

– Kodeks, Rama, kodeks. Złożyliśmy przysięgę.

Odczytujemy tylko to, co transmitujemy. Myślisz, że to dla nas puste słowa? Chociaż u was w Rosji wszystko jest inaczej...

– Zresztą sprostaczenie jest teraz *en vogue* – powiedział Tet. – Rama jak zawsze trafił w dziesiątkę. To dzisiaj *top style* – praca dla dobra ludzkości, ostentacyjne ignorowanie pozorów, nawet pewne umyślne niechlujstwo. Takie właśnie są najbardziej stylowe amerykańskie wampy. Na przykład Sophie.

Odwrócił się do mnie.

– À propos, Rama, mam dla ciebie prezent od niej.

Nie spodziewałem się, że serce tak gwałtownie podskoczy mi w piersi.

– Jaki?

– Oddalone spotkanie.

– A co to jest? – zapytałem.

– List preparat na sześćdziesiąt minut. Nigdy takich nie dostawałeś?



Pokręciłem przecząco głową.

– To przywilej undead. Możesz się z nią spotkać w limbo. I wszystko będzie jak w życiu...

Chyba na mojej twarzy odbił się przestach, bo wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem.

– Gdzie ją widziałeś? – spytałem.

– W Nowym Jorku – odpowiedział Tet. – Umarł jakiś macher z Wall Street. Robili sekcję, a potem zjawiała się ona.

„Sekcją” teletubisie nazywały w swoim żargonie dopiero co zakończoną procedurę.

– Sama zaczęła o mnie mówić?

– Tak – powiedział Tet. – Dlaczego tak cię to dziwi? Myśleliśmy, że zrobimy ci miłą niespodziankę.

– Mogliście mnie uprzedzić. Ogoliłbym się.

Znowu się zaśmiali. Przechyliłem się na siedzeniu, żeby się przejrzeć we wstecznym lusterku, czym wywołałem nowy wybuch śmiechu.

– Wyglądasz uroczo – powiedział Tet. – Oracz

pozagrobowych pól, siewca i grabarz. Sophie od pierwszego wejrzenia pokocha cię z nową siłą...

– W jaki sposób ona się dowie, że list doszedł?

– Poczuj.

– A dlaczego Ull nic o tym nie mówił?

– Mówił – powiedział Tet. – Pewnie w tym czasie wisiałeś w szafie. Albo wylegiwałeś się w trumnie.

Możesz się spotkać w limbo z każdym undead dokładnie tak samo jak z animogramem. Możesz pogadać bez żadnych skype'ów czy innego elektronicznego badziewia. I nie tylko pogadać.

– A jak poznam, że to właśnie Sophie? – spytałem.

– A któż by to miał być? – zdziwił się Tet. – Co, nie wierzysz mi?

Postanowiłem nie wprowadzać go w szczegóły mojego życia prywatnego.

– Masz – powiedział Tet.

W dłoni trzymałem małego flakon w kształcie

serduszka z gwiazdą. Mój strach wreszcie się rozwiął. Francuzi nie próbowali mnie chyba wkręcić w tak wyszukany sposób.

Schowałem flakon do kieszeni. Ciekawe, czy rzeczywiście stałem się podobny do Ulla? To na pewno przesada. W końcu w każdym żarcie jest cząstka nieprawdy...

Podjechaliśmy już do klubu. Skończyły się ostatnie sosny, rozwarły się ciemne skrzydła niczym nieoznakowanej bramy, przepłynął punkt kontrolny, potem droga zanurzyła się pod ziemię i w głębi podziemnego parkingu zamigotał niebieski neonowy napis:

## HAUTE SOS

– Dlaczego „wysoki SOS”? – spytał mnie Tar. – Ez mówił, że to jest sto metrów pod ziemią.

– Podstawy dyskursu – powiedziałem. – Dół to góra, a prawdziwe światło to ciemność. Schodząc w podziemny mrok, wychodzimy na ś w i a t ł o i spotykamy w y ż s z e s f e r y... Takie momenty

należy rejestrować w nazwach i emblematach.

– A... jasne.

Zawsze to miło utrzyć trochę nosa Francuzowi w kwestii czczej paplaniny. Znow można się poczuć nadczłowiekiem.

Wysiedliśmy z auta.

– Żegnajcie, panowie wurdałaki – powiedział cicho Grigorij. – Z Panem Bogiem.

Ez odwrócił się i nachmurzył, jakby się zastanawiał, co zrobić z chamskim szoferem – ale postanowił się nie wysilać.

Podeszliśmy do neonowego napisu i część ściany przesunęła się w bok, ukazując wnętrze windy z surowej ciemnej stali.

– Ty – powiedział Tar, kiedy wsiedliśmy – słyszałem, że tu zabito jakąś chaldejską laskę. Oderwali jej głowę. Dziewczyna modliszka.

– Było coś takiego.

– To prawda, że do dziś składacie ofiary?

– *Blood libel* – odparłem ze znużeniem.

– A Chaldejów tu wpuszczają?

– Tylko obsługę – powiedziałem. – Winda dla Chaldejów jest na drugim parkingu. Zrobiono dla nich kilka sal, żeby czuli, że są blisko zwierzchności. Do nas przejść nie mogą. Ale niektórzy z naszych chodzą do nich. Żeby poświntuszyć. Mają tam perską tandetę, kawior i kokainę. Rusalki w basenie, śpiewające kariatydy, amorki. I nawet atlanci – tylko wtedy prostują grzbiet...

Drzwi windy się otworzyły i znaleźliśmy się w podziemnej galerii. Stali w niej dwaj wartownicy Chaldeje w złotych maskach. Na nasz widok jednocześnie odwrócili się do ściany.

Ruszyliśmy długim korytarzem obok nisz, w których stały woskowe figury wielkich wampirów starożytności. U dołu były tabliczki z podwójnymi imionami: boskim wampirycznym i nic nieznaczącym ludzkim. Nie było wśród nich ani jednej znanej postaci z historii ludzkości.

Zauważywszy w jednej z nisz swojego

imiennika w czapce frygijskiej, Ez złożył przesadnie uprzejmy ukłon. Ja też miałem tu imiennika – z wyglądu rosyjskiego kupca z końca dziewiętnastego wieku, w wysmarowanych dziegciem wysokich butach i kaszkiecie. Nie miałem jednak ochoty nawiązywać z nim nawet wymagowanego kontaktu.

Chciałem jak najszybciej otworzyć flakon serce. Przedtem jednak nieźle byłoby coś wypić – dla kurazu.

– Pójdziemy do baru? – zaproponowałem.

Ez zmierzył mnie wzrokiem.

– Coś ty, chcesz pić przed Czerwoną Ceremonią?

– A co... Mamy Czerwoną Ceremonię?

– Tak – potwierdził Ez. – Wasza myszka postanowiła się szarpnąć. Tak że tylko herbata.

– Nikt mnie nie uprzedził – powiedziałem.

– My cię uprzedzamy. Nie cieszysz się?

– Dlaczego?.. Ja...

– On już zapomniał, kiedy ostatni raz ssął bablos – wtrącił Tar. – Teraz poczęstują go dzięki nam. Rosyjskie wampiry podlizują się zachodnim i w związku z tym niekiedy okazują sobie życzliwość. Ale tylko wówczas, kiedy my to widzimy.

W milczeniu zacisnąłem pięści w kieszeniach marynarki. To ohydne, ale każde słowo Tara było prawdą.

Doszedłszy do rozwidlenia korytarza, Ez zahamował i popatrzył na zegarek.

– Zajrzymy do głównej sali? – zapytał. – Mamy jeszcze czas.

Główna sala Haute SOS przedstawiała sobą olbrzymią podziemną pieczarę, oświetloną rzadko rozrzuconymi kolorowymi lampkami. Choć słowo „przedstawiała” nie bardzo tu pasuje – po prostu była tą pieczarą. Co prawda, sztuczną, z przywiezionymi stalagmitami i stalaktytami, ale każda prawdziwa pieczara, spryskana hi-techem i drogim designem, wyglądałaby dokładnie tak

samo. No i oczywiście była tu klimatyzacja.

Nie lubiłem tego miejsca z przyczyn zawodowych – zbyt przypominało mi mroczne przestrzenie Tybetańskiej Księgi Umarłych, w których omal nie zabłądziłem, przeprowadzając pewnego wpływowego kałmuckiego menedżera. Od tej pory wydawało mi się, że mętne światła pod nierównymi sklepieniami to znaki drogowe, wskazujące zejście do dolnych sfer. Chociaż chyba już nie da się niżej...

Gości było w sali niewielu – głównie w głębi, gdzie świecił migoczący ekran na długich szarfach pary wodnej.

Widzowie, rozwaleni na szerokich orientalnych sofach pod wiszącym w powietrzu prostokątem światła, budzili we mnie niemal klasową wrogość. Byli to nasi bogowie glamouru, wampiry w moim wieku albo nieco starsze – tak zwana c z e r w o n a m ł o d z i e ż, której głównym obowiązkiem było piękne marnowanie życia pomiędzy rytualnym zażywaniem bablosu.



Oglądali najnowsze wydanie *Zmierzchu*. Od czasu do czasu rozlegał się śmiech. Lekko pachniało marihuaną i miłosnymi wydzielinami ludzkiego ciała – feromony rozpylano tu specjalnie, żeby podtrzymać w przesyconych gościach choćby niemrawe zainteresowanie świętem życia.

Zresztą ich robota wcale nie była łatwiejsza od mojej, jako że żaden z nich nie miał pewności, iż marnuje życie rzeczywiście pięknie. Stale domagali się oceny ekspertów i aprobaty, zupełnie jak dzieci. Spotkanie z Francuzami (którzy, w odróżnieniu od nich, nie byli darmozjadami) było dla nich czymś w rodzaju egzaminu – i Francuzi oczywiście o tym wiedzieli.

Zaczęto machać do nas rękami.

– Pójdziemy poćwierkać? – zapytał Tet.

– Idę do biblioteki – powiedziałem. – Spotkamy się za godzinę.

– A, jasne, jasne.

Z uśmiezkiem klepnął mnie w plecy jak podrywacz podrywacza.

Klubowa biblioteka był to tak naprawdę pokój, w którym zamykały się osoby poszukujące samotności. Stały tu kanapy i fotele, stół z przyciskiem wzywającym kelnera i kominek, w którym zawsze tliły się węgle. Kominek był prawdziwy. Nie bardzo sobie wyobrażałem, jak się udało zorganizować naturalny obieg powietrza na takiej głębokości, i przypuszczałem, że techniczne rozwiązanie tego problemu kosztowało sporo pieniędzy.

Dla uzasadnienia nazwy „biblioteka” znajdowała się tu półka z książkami. Były tylko dwie – *Fellatio za croissant* Paleny Birkin i *Dwadzieścia lat pod niemieckimi łózkami* Władimira Kamarina. Pierwszą wybrano zapewne z uwagi na wyszukany styl, a drugą na nazwisko autora (wampiry cenią sobie wszystko, co budzi choćby odległe skojarzenia z komarem – naszym tradycyjnym symbolem ulotnego i nietrwałego ziemskiego piękna).

Jak dla mnie, książek było za dużo. Kamarina jeszcze bym zostawił. Ale Palenę Birkin

wywaliłbym razem ze wszystkimi jej literackimi wartościami. Co to w ogóle są te „wartości literackie”? Coś, co się ustala w kręgach literackich? Ale czy warto się liczyć z opinią pospolitych, zawistnych i brzydkich ludzi o tym, jakie kombinacje słów są estetycznie doskonałe? Ich ekspertyza liczy się tylko w dziedzinie ich specjalności zawodowej – organizowania nanogeszeftów z towarzyszeniem mikroskandali.

Usiadłem w fotelu, wyjąłem z kieszeni flakon serce, otworzyłem go i wlałem sobie w usta jedyną kroplę płynu, jaką zawierał. Potem zamknąłem oczy i zacząłem czekać.

Nic się nie działo.

W ten sposób upłynął chyba kwadrans. W tym czasie zdążyłem wiele przemyśleć i zrozumieć. Na przykład, jak odbiera siebie i świat podstarzały narkoman, kiedy uświadamia sobie stopniowo, że przed chwilą nawąchał się proszku do prania, który sprzedano mu jako kokainę.

Wreszcie poczułem obok jakiś ruch.

Przełknąłem ślinę, otworzyłem oczy – i omal nie zakląłem. Klęczał przede mną kelner chaldej w złotej masce.

Podawał mi menu.

Zapomniałem powiesić napis „Nie przeszkadzać”. Tabliczka ze wzruszającym wizerunkiem zagłębionego w książce człowieka nadal wisiała na kłamce od wewnątrz. Ale obsługa i tak była zbyt natarczywa. Już miałem odesłać kelnera, kiedy obok rozległ się cichy kobiecy głos:

– Zamów ciastka i herbatę.

Obejrzałem się.

Na kanapie siedziała Sophie.

Zupełnie się nie zmieniła przez te lata. Nawet opalenizna pozostała ta sama – lekka, a zarazem intensywna, jaką miewają osoby, żyjące w szczęśliwym i beztroskim miejscu, gdzie ludzie nie szukają specjalnie słońca, ale przeciwnie, starannie go unikają. Miała na sobie cienką krótką sukienkę. Oczywiście czarną.

Kelner ciągle jeszcze czekał.

Byłem tak speszony, że posłusznie zagłębiłem się w menu.

Ociekało po prostu chaldejską kreatywnością – nazwę każdej potrawy ujęto w krótki wierszyk, wydrukowany drobną czcionką.

Pierwszym deserem, jaki rzucił mi się w oczy, było tiramisu. Obok obrazka, przedstawiającego coś na kształt zdjęcia rentgenowskiego dziecięcego szkieleciku w sejfie, czerniały rozchodzące się promieniście wersy:

„malutki chłopczyk wszedł do lodówki,  
drzwi się zamknęły, zgasły żarówki,  
już sople w nosku przy stopniach stu,  
nie, chłopczyk nie zje TIRAMISU”.

Słowo „tiramisu” wyróżniono kolorem i wielkością – zapewne dla podkreślenia, że na zamówienie podadzą właśnie tiramisu, a nie zamarznięte dziecięce smarki. Pomyślałem, że chaldeje chyba naprawdę wierzą, że ich władcy życzą sobie w każdej sekundzie wdychać ludzki

ból. Albo nie wierzą, tylko wiedzą... Z czym skojarzyli herbatę, już nie sprawdzałem.

– Tiramisu i herbata – powiedziałem. – I nie ma pośpiechu.

Kiedy kelner wyszedł, Sophie i ja patrzyliśmy na siebie przez kilka długich sekund. Potem wstałem, przewiesiłem tabliczkę „Nie przeszkadzać” na klamkę po zewnętrznej stronie drzwi, zamknąłem je, a potem jeszcze zaryglowałem. Wróciłem i usiadłem już nie na swoim miejscu, ale na kanapie obok Sophie.

Pochyliła ku mnie twarz. Mimo woli drgnąłem, ale ona tylko pocałowała mnie w policzek.

Jej wargi były żywe. Ciepłe. Prawdziwe.

– Ależ wy tu macie zwyczaje – powiedziała. – Podwójne i potrójne ukąszenia krzyżowe... Sprawdzanie lojalności... Na jakim wy świecie żyjecie?

Też cmoknąłem ją w policzek – co wypadło trochę szorstko i chyba w ogóle wyglądało głupio, bo zrobiłem to akurat wtedy, kiedy właściwy

moment już minął. Wszystko było dokładnie tak samo jak przy naszym pierwszym spotkaniu.

A potem pocałowaliśmy się już bez żadnych nieporozumień i zrozumiałem, co się teraz stanie.

To samo.

– Kelner cię widział? – zapytałem.

Roześmiała się.

– Oczywiście że nie. I nie będę mogła zjeść tiramisu. Będziesz musiał sam...

– Ja też go nie zjem – powiedziałem. – Malutki chłopczyk już zamknął drzwi i nikt tu nie wejdzie... Nieuniknione odbędzie się bez świadków.

Sophie zmarszczyła brwi.

– Rama – powiedziała – błagam cię, nie w limbo.

Ale ja już energicznie walczyłem o swoje szczęście. Obiema rękami.

– Proszę cię, tylko nie tutaj – szepnęła.

– Ale ja nie mogę nigdzie indziej – odparłem. – Chwytasz?

– Chwytam – westchnęła.

Wreszcie udało mi się przewrócić ją na kanapę.

Działiałem z zaskakującą dla samego siebie arogancją, a mimo to w moich ruchach było jakieś skrepowanie. Chodziło o to, że wciąż usiłowałem tak się ułożyć, żeby Sophie nie mogła mnie wyrznąć kolanem w krocze, jak uczą się tego młode wampirzyce na kursie „sztuki walki i miłości”. Doświadczenie z najsłabszym z takich ciosów, „ostrzegawczym”, zawdzięczałem Herze – a miała jeszcze w repertuarze „powstrzymujący”, „druzgoczący” i „triumfalny”. Nie interesowało mnie w najmniejszym stopniu, co się kryje za tymi nazwami. Sophie najwyraźniej wszystkiego się domyśliła – i tak ją to rozbawiło, że aż osłabła ze śmiechu.

W rezultacie moje zadanie stało się bardzo łatwe. I wspaniale sobie z nim poradziłem.

Otoczająca rzeczywistość przypomniała o sobie grzecznym pukaniem do drzwi – widocznie Chaldej przyniósł deser.



– Idiota! – krzyknąłem. – Tam jest tabliczka nie przeszkadzać!

Sophie znów wybuchnęła śmiechem. Był to niezwykły śmiech, srebrzysty, szczęśliwy i beztroski.

Tylko że to wszystko, niestety albo „stety”, było po prostu snem. Albo czymś podobnym do snu. No i co z tego, myślałem, za to śnimy ten sen razem. A to właśnie jest miłość...

– Słuchaj – powiedziałem – a co będzie, jak nas sfilmują?

– Nie mogą nas sfilmować – odparła.

– Dlaczego?

– Dlatego że mogą sfilmować tylko ciebie.

– I co zobaczą?

– Nic dobrego. Podczas takich spotkań lepiej wisieć w hamlecie.

– To prawda – zgodziłem się. – Ale wtedy zatarłyby się wszelkie granice między pracą a relaksem.

Wstałem z kanapy i nerwowo dwa razy obszedłem bibliotekę w poszukiwaniu ukrytych kamer. Oczywiście nigdzie ich nie było widać. Kiedy wróciłem do Sophie, doprowadziła się już do porządku.

– Wszystko wiem – powiedziała.

– O czym?

– O tobie. I o waszej Isztar...

– Zaraz, zaraz. – Podniosłem rękę. – Nic nie mów. Bo będę miał déjà vu. Mówiłaś mi już wiele razy, że wszystko o mnie wiesz. Ale tak naprawdę to nie byłaś ty, tylko ona...

– O tym też wiem. Ale teraz to jestem ja, zapewniam cię. Powiedz, jak wy ze sobą obcuje? Nie chodzi mi o stronę intymną, tylko techniczną.

– Zwyczajnie – powiedziałem. – Jak z każdym animogramem. Zawisam w jej komorze tronowej. Spacerujemy, rozmawiamy. Ona czasami nie pamięta, że jest Isztar. Wtedy jest taka jak na tydzień przed tym dniem..

– Jakim?

– Kiedy odcięli jej głowę. Myśli, że jest Herą. Że między nami wszystko się dopiero zaczyna. I mamy przed sobą całą wieczność... Muszę udawać – chociaż ja wszystko pamiętam. Ciężko mi to przychodzi. Ale za to ona jest wtedy szczęśliwa.

W oczach Sophie zamigotało wilgotne kobiece zrozumienie, więc podjąłem szybko:

– A czasami wszystko o sobie pamięta. I to jest dla mnie prawdziwy koszmar. Dlatego że wtedy ja wszystko zapominam. I nie pamiętam, że jesteśmy w limbo. Nie wiem, jak ona to robi – jest o wiele silniejsza. Przeszukuje moją pamięć. I udaje kogoś, kto mi się podoba. Zazwyczaj ciebie – to moje najpiękniejsze wspomnienie. I wtedy wydaje mi się, że spotykamy się w tym samym pokoju, i wszystko jest prawie tak, jak było wtedy... I za każdym razem mówię ci, jak mi obrzydła ta stara tłusta mysz, i jak bardzo cię kocham, a potem.. Potem ona mnie budzi. Najstraszniejszym

przeżyciem jest budzenie się na jej oczach. Ona nic nie mówi. Po prostu patrzy. Z taką leciutką kpina. Jakby nawet nie była specjalnie dotknięta – bo niby czegoż można się po mnie spodziewać... I za każdym razem czuję się tak, jakby wytarła o mnie nogi. Chociaż dawno już nie ma nóg...

– Nic niezwykłego – powiedziała Sophie. – Wszyscy undead tak robią. Jesteś przecież Kawalerem Nocy. Nie wpadaj w kompleksy. Po prostu taką masz pracę. Ona tego potrzebuje do normalnego metabolizmu.

– Już mi to tłumaczono – westchnąłem. – Tylko nie powiedziano, że chodzi o metabolizm.

– Gdybyś sam nie był zdolny do zdrady, pomogliby ci, możesz być pewien.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – powiedziałem. – Nie wyobrażasz sobie, jak oni wszystko kontrolują. Wamponawigator łąduje specjalna komisja. Wydają mi go tuż przed schadzka, żebym niczego tam nie dodał.

– Nie ufają ci? – uśmiechnęła się Sophie.

– Za wszystko odpowiada komitet złożony z trzech starych pierdzieli. Baldura, Lokiego i Marduka, może któregoś znasz. We trójkę pilnują, żeby nic bogini nie przestraszyło. Tak że mam w swoim arsenale tylko bukiety kwiatów i miłe prezenciki. Radosne niespodzianki. Nawet gdybym chciał, nie mogę jej popsuć nastroju. A wampoteki w tym nawigatorze nie mogą naprawić już drugi rok. Działa tylko litera „S”. Dlatego wszystkie mądre rozmowy, jakie z nią prowadzę, obracają się wokół tej litery... Ale najgorsze jest to, że ona stale przeobraża się w ciebie. Stale...

– Możesz się wyluzować i uważać, że to rzeczywiście ja – rzekła z uśmiechem Sophie. – Nie mam nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, będzie mi bardzo miło.

Zapukano do drzwi. I to dość natarczywie.

– Zabiję tego kelnera – powiedziałem. – I wypiję jego DNA...

Wstałem, podszedłem do drzwi i uchyliłem je odrobinę – tak, żeby nie można było zajrzeć do

środku. Co oczywiście było głupie, bo Sophie i tak nikt nie mógł zobaczyć. Zły, że dopiero po niewczasie zrozumiałem własną głupotę, rozłościł mnie i już miałem na końcu języka niezbyt uprzejme słowa – ale intruzem za drzwiami nie był kelner.

To był Ez.

– Idziesz na bablos? – zapytał. – Czekamy tylko na ciebie.

– Jeszcze pięć minut – powiedziałem błagalnie. – Mam ważną rozmowę.

Zamknąłem mu drzwi przed nosem.

– Kto to był? – spytała Sophie.

– Teletubisie. Wzywają mnie na Czerwoną Ceremonię.

– Musisz już iść?

Usiadłem obok niej i spojrzałem na zegarek.

– Mam jeszcze czas.

Sophie położyła dłoń na mojej ręce i zrozumiałem, że chce pomówić o czymś ważnym.

– Rama, pamiętasz tego drugiego komara z DNA Draculi? Którego zabrałeś na pamiątkę?

– No pewnie – odrzekłem.

– Masz go?

– Nie, skąd. Zabrali mi go po pierwszym kontrolnym ukąszeniu.

Sophie westchnęła rozczarowana.

– Dlaczego go oddałeś?

– A jak mogłem nie oddać? Powiedzieli, że jest to bardzo cenny zabytek kultury narodowej. I musi się znajdować pod specjalną ochroną. Myślałem, że dadzą mi za to chociaż trochę bablosu. Zaraz... Otrzymałem zachętę moralną.

– Jaka?

– Jakaś nagrodę Rady Niegodziwych. Nazywa się „Mrok i Szczęśliwość”. Albo „Szczęśliwość i Mrok”.

– A cóż to jest?

– Nawet nie wiem – odparłem. – Zasugerowano mi, że w dobrym tonie jest nie przychodzić na

wręczenie, no to nie poszedłem.

– Chyba niewiele straciłeś, biedny chłopcze...

Przesunęła palcami po moich włosach.

– Nie jestem chłopcem – powiedziałem – i dobrze o tym wiesz.

Roześmiała się, ale widziałem, że wiadomość o komarze z DNA Draculi zepsuła jej humor.

– A po co ci drugi komar? – zapytałem.

– Z tymi komarami wiąże się coś kompletnie niepojętego.

– Co mianowicie?

– Te komary są tak naprawdę z limbo. Ale w jakiś sposób można je ze sobą zabrać w wymiar fizyczny.

– Jak to możliwe?

– Sama nie wiem. Dracula już dawno odszedł z tego świata. Ale nie można go nazwać martwym w ludzkim sensie. Gnębi go chyba, że większa część jego wielkiej wiedzy pozostaje niedostępna dla żywych. I znalazł sposób, by wysyłać z limbo



take zaproszenia. Żeby można go było odwiedzić...

– Ze swojej czerwonej cieczy?

– Ze swojego DNA – poprawiła Sophie.

– Przepraszam. Ale jak to możliwe, skoro jego ciało już umarło? Skąd on je bierze?

– Przecież mówię, że to niewytłumaczalne.

– Skąd wiesz, że te komary są z limbo? A nie po prostu ze ściany w jego sypialni?

– Pamiętasz jego sypialnię?

– No pewnie.

– Nic cię tam nie zadziwiło?

– Zadziwiło – powiedziałem i położyłem jej rękę na biodrze.

Sophie się skrzywiła.

– Nie o tym mówię. Zastanów się. Podziemny mechanizm usuwa podłogę, zamieniając ją w stopnie. Zalewa wszystko farbą. Ze ściany wysuwa się ukryty obraz... Nawet jeśli w pozaprzyszłym stuleciu rzeczywiście umieli

robić takie podziemne mechanizmy, w co osobiście wątpię, to dzisiaj raczej by już nie działały. Zwłaszcza tak doskonale. Wszystko to było snem, Rama. Byliśmy w limbo.

– Ale przecież w całości powtórzyliśmy rytuał uwodzenia Draculi. Znaczy, że kiedyś to wszystko naprawdę działało?

Sophie się uśmiechnęła.

– Dracula był wielkim undead i mógł sprowadzić na człowieka dowolną halucynację. Po co miałyby budować takie gigantyczne maszyny, żeby za ich pomocą obniżać podłogę? Łatwiej by mu było zasugerować zaproszonej dziewczynie, że komnata się zmienia i zalewa ją czerwona ciecz. Myśmy po prostu zobaczyli, jak to wyglądało dla jego ofiary... Chciałam powiedzieć dla jego ukochanej.

– A dlaczego ja zobaczyłem to, co widziała ona? Nawet nie próbowałem jej DNA.

– Dlatego że byliśmy w limbo. Są tam przeżycia i myśli wszystkich ludzi, żyjących na ziemi.

Powtarzałam słowa Draculi, które jego ofia... jego ukochana słyszała w tej komnacie. I zobaczyłeś echo jej pamięci. I nie tylko zobaczyłeś, znalazłeś się w nim. Razem ze mną.

– Czyli chcesz powiedzieć, że w sypialni nic nie było naprawdę?

– Wszystko było naprawdę – powiedziała Sophie. – Ale w limbo. W zamku Draculi granica między rzeczywistością a limbo jest rozmyta. To nie jest przestrzeń czysto fizyczna. Prawie tak jak Hartland. Właśnie dlatego wysyła się tam adeptów na inicjację.

– A inni wcześniej też dostawali te komary?

Sophie przytaknęła.

– Komary wiele razy trafiały w świat. Ale niekoniecznie z tej sypialni. Czasem wampir powracający z zamku przywoził ze sobą komara z DNA Draculi. Pamiętał jakąś historię z tym związaną – tylko że ta historia była po prostu snem. Ale komar z DNA był prawdziwy. I wampir mógł się spotkać z Draculą w limbo.

– To znaczy, że tak naprawdę nie musieliśmy się tam kochać?

Sophie się uśmiechnęła.

– Może i nie. Ale postanowiłam się dodatkowo zabezpieczyć. I pomogło. Znaleźliśmy od razu dwa komary, co rzadko się zdarza.

– Z przyjemnością oddałbym ci swojego – powiedziałem. – Ale go nie mam. Może ktoś ci przywiezie?

– Teraz komary przestały się pojawiać.

– Dlaczego?

– Nie wiem dokładnie. Może dlatego, że oddałeś swojego w obce ręce. Dracula nie bardzo lubi, kiedy się tak traktuje jego dary.

– To nie moja wina – powiedziałem. – Gdybym wiedział, w ogóle bym go nie brał. Zostawiłbym go tobie...

Sophie nie odpowiedziała.

– Słuchaj, bo robię się zazdrosny. Dlaczego tak się interesujesz tym Draculą?

– I tak nie zrozumiesz – powiedziała z uśmiechem.

– Może zrozumiem.

– On jest największy ze wszystkich. *The undead...*

Nigdy nie miałem zaufania do niuansów znaczeniowych, wyrażanych za pomocą angielskich rodzajników.

– Właśnie dlatego Stoker chciał zatytułować swoją powieść „*The undead*” – ciągnęła Sophie. – Jako Chaldej wysokiej rangi coś tam jednak wiedział. Dracula to naprawdę był gigant... I nie był, ale jest do tej pory. Co więcej, niektórzy twierdzą, że przewyższył stan *undead*.

– Chcesz powiedzieć, że Dracula żyje do dziś?

– Do dziś jest *the undead*. Mniej więcej tak jak wasz Lenin. Ale nie chcę bez końca mówić o Draculi. Jak długo już tu siedzimy?

Popatrzyłem na zegarek.

– Pięćdziesiąt osiem minut. Co powiesz o nieuniknionym dwa?

– Nie ma już czasu. Zaraz zegar wybije północ i moja karetka zamieni się...

– W moją dynię – powiedziałem. – Wiem. Kiedy się spotkamy?

– Postaram się to zorganizować – odrzekła. – Obiecuję.

Postanowiłem nie tracić więcej czasu na rozmowy i objąłem ją. A raczej – chciałem objąć. Ale nie zdążyłem.

Sophie znikła.

Ale nie tak, jakby nagle rozplynęła się w powietrzu. Wszystko przebiegło inaczej, o wiele bardziej beznadziejnie. Było to jak gwałtowne wytrzeźwienie po upiciu.

Po prostu zrozumiałem, że nikogo przy mnie nie ma. I może nawet nie było od samego początku. Jediną realną rzeczą były kompromitujące ślady, jakie pozostawiłem na kanapie.

Podniosłem z podłogi flakon serce i z całej siły cisnąłem nim o ścianę. Stłukł się i natychmiast się zwymyślałem, bo teraz nie zostało mi w ogóle nic

na pamiątkę naszego fałszywego spotkania...

Znów zapukano do drzwi.

– Rama! – krzyknął gniewnie Tar. – Długo jeszcze mamy na ciebie czekać?

Po raz pierwszy w życiu zupełnie nie miałem ochoty iść na Czerwoną Ceremonię. Gdyby powiedziano mi jeszcze rok temu, że tak dalece stracę apetyt na życie, chyba bym nie uwierzył. Ale tak właśnie było.

Pod drzwiami biblioteki stali Ez, Tar i Tet – i kilku m a r n o t r a w c ó w ś m i e r c i, jak lubili o sobie mówić nasi glamourowi bogowie, żeby się odróżnić od ludzkiej złotej młodzieży. W rękach trzymali ozdobne szklaneczki z czerwonym „Tomato Virgin” – największym hitem sezonu. Wynikało z tego, że żaden z nich nie został zaproszony na Czerwoną Ceremonię – przed bablosem nie pije się wódki.

Ez dyskutował z jednym z naszych glamourowych obiboków (chyba imieniem Argus), a pozostali przysłuchiwali się pilnie, starając się

nie uronić ani kropli drogocennego francuskiego dyskursu. Chociaż Argus chyba zwyciężał w tym sporze – na twarzy Eza malowała się irytacja i zmieszanie.

– Wielki Wampir na pewno nie jest pederastą – powtórzył Argus.

– No a co z mitem o Ganimedzie? – zapytał Ez.

– Nie jest pederastą. Mogę to udowodnić jak dwa razy dwa.

– A to ciekawe – powiedział Ez. – No?

– Byłem niedawno w Londynie. Jacyś religijni ludzie chcieli tam umieścić na piętrowych autobusach taką reklamę, że jak się chce, to można się wyleczyć z homoseksualizmu. A burmistrz zabronił. Powiedział, że pedały się obrażą.

– No i co?

– A wcześniej jakaś grupa ateistyczna umieściła na tych samych autobusach hasło: „*There’s probably no God*”<sup>[37]</sup>. Burmistrz nie zgłosił sprzeciwu.



– Jaki to ma związek? – zapytał Ez.

– Bezpośredni. Gdyby Wielki Wampir był pederastą, burmistrz Londynu zesrałby się, a nie dopuścił, żeby pisano o nim na autobusach takie rzeczy. Że go nie ma. Naprawdę nie czaisz?

Ez w milczeniu analizował argument, który wydał mi się zaskakująco głęboki – i to właśnie na poziomie metafizycznym. Dosłownie czułem, jak jego lekki francuski umysł ugina się pod potwornym ciężarem rosyjskiego dyskursu.

Tar klepnął Eza w ramię.

– Chodźmy na ceremonię – powiedział. – Oświecisz barbarzyńców następnym razem.

Była to dobra sposobność, by przerwać dyskusję, i Ez z niej skorzystał. Uprzejmie skinął głową naszej czerwonej młodzieży, jak gdyby obiecując, że wysłucha wszystkich przy następnej okazji, i odwrócił się do mistrza ceremonii, Chaldeja w masce komara. Maską była bardzo stara, ze złotego brokatu, z oczami z pereł i nosem gwoździem.

– Jesteśmy gotowi – powiedział.

Mistrz ceremonii odwrócił się i poprowadził nas przez salę. Przeszliśmy przez masywne drzwi, po których obu stronach stali odwrócenii nogami do góry dwaj czarni atlanci (goście z nieznanym powodów nazywali ich „uzbeckimi jogami”), i ruszyliśmy zakręcającym w górę spiralnym korytarzem, oświetlonym ukrytymi w ścianach lampami.

Kiedy doszliśmy do przecinającej podłogę złotej linii, mistrz ceremonii przyklęknął i prawą pięścią uderzył się w lewe ramię. Przy tym energicznym ruchu przyszyte do jego chlamidy przezroczyste skrzydła uniosły się z szelestem i opadły, przez sekundę sprawiając wrażenie żywych.

Dalej mogły iść tylko wampiry.

Ruszyliśmy powoli ostatnim okrążeniem korytarza.

– À propos, Rama – odezwał się Tet – wiesz, że w trakcie zażywania bablosu można zajrzeć

w swoją własną przyszłość?

– Nie wiem – odparłem. – W jaki sposób?

– Wysiłkiem woli. Po prostu tam zajrzeć i już. Ale trzeba na to poświęcić fazę rozkoszy. I dlatego nikt tak nie robi.

– A jeśli wampir ma dużo bablosu?

– Wampiry, które mają dużo bablosu, i tak wiedzą, co je czeka. Wciąż to samo, a potem śmierć.

Trudno się było z tym nie zgodzić.

– Nikt nie chce wiedzieć, kiedy ona nastąpi – ciągnął Tet – dlatego wysoko postawione wampiry tam nie zaglądają.

– A ty? – zapytałem.

– Ja raz spróbowałem.

– I co zobaczyłeś?

– Jak chcesz wiedzieć, to sam zajrzyj.

– Ale przecież i tak się nie dowiem, co będzie z tobą – powiedziałem.

– Dowiesz się – odparł Tet. – Bo ja cię tam

widziałem.

– Czy jest tam coś strasznego?

– Nie wiem. Zależy, jak na to spojrzeć.

– Podczas Czerwonej Ceremonii różne rzeczy się majaczą – zauważyłem. – Skąd wiadomo, że to właśnie przyszłość?

– Gwarancji nie ma. – Tet wzruszył ramionami. – To takie samo wróżenie z używanych podpasek, jak cała reszta w naszym czarnym losie.

Przyszło mi do głowy, że Tet specjalnie mówi takimi sugestywnymi zagadkami, żeby mi popsuć Czerwoną Ceremonię – i że, co gorsza, trujące ziarno już zostało zasiane. Spróbujcie przez pięć minut nie myśleć o białej małpie...

Na szczęście byliśmy już na miejscu.

Czerwona Sala Haute SOS była maleńka i przypominała kabinę nawigacyjną statku kosmicznego, zaprojektowaną przez designera geja do opery mydlanej o galaktycznym multikulturalizmie. Pod ścianami stały masywne fotele wyposażone w skomplikowane elektryczne

mechanizmy, a na sklepionym suficie widniało, jak we wszystkich takich miejscach, złote słońce z falistymi promieniami. Słońce miało twarz i ta twarz się uśmiechała.

Muszę powiedzieć, że te słoneczne oblicza zaczęły mnie drażnić już wiele lat temu. W wielkiej Czerwonej Sali na dacy Baala Pietrowicza, gdzie zbierały się zazwyczaj wampiry z Rublowki, słońce było podobne do Chruszczowa. Tu nie było takiego podobieństwa – oblicze słońca było anonimowo umowne. Natomiast jego tarcza, ściśnięta między łukami sklepienia, przypominała wyrobiony przez lata używania pomarszczony odbyt. Ten odbyt się co prawda uśmiechał – ale wampira rzadko cieszy cudze szczęście...

Kiedy siadaliśmy w fotelach, podzieliłem się swoją obserwacją z Tetem, żeby mu odpłacić za jego sugestywny atak: na słońce trzeba było patrzeć przez całą Czerwoną Ceremonię i teraz Tet miał szansę zobaczyć dla urozmaicenia coś całkiem innego.

Ku mojemu zdziwieniu przytaknął energicznie.

– Ja też nienawidzę gejowskiego designu – powiedział. – Zwłaszcza odzieżowego. Niedawno próbowałem znaleźć w swoim butiku porządne majtki i wszystkie miały jednakową wielką sznurówkę przy rozporku. Którą zapewne bardzo fajnie się rozwiązuje zębami po zażyciu krystalicznej amfy, lubieżnie patrząc na partnera z dołu. Ale poza tym jest kompletnie niefunkcjonalna i majtki wечно się zsuwają. Co zapewne też należy do koncepcji. I cała odzież, którą robią geje, jest taka sama. Nie tyle niefunkcjonalna, ile funkcjonalna w bardzo specyficznym diapazonie. Ale nikogo innego od dawna nie biorą do designu – mafia. Właśnie za to ich nie lubimy. To znaczy projektantów odzieży...

Tet najwyraźniej popisywał się wolnomyślicielstwem albo chciał pokazać, jak nieustraszenie najnowszy europejski dyskurs potrafi zagłębiać w otchłań: wszyscy wiedzieli, że trzej teletubisie są niebiescy jak kwietniowe

niebo<sup>[38]</sup> (teraz się połapałem, że właśnie dlatego Argus wciągnął ich do dyskusji o orientacji płciowej Wielkiego Wampira). Chociaż nadal sobie nie wyobrażałem, jak konkretnie wyglądają ich wzajemne relacje. Pewnie był to jakiś trójkąt Eshera<sup>[39]</sup>. A zresztą, to nie moja sprawa.

– Tet, on próbuje ci popsuć Czerwoną Ceremonię – powiedział Ez. – Dokładnie tak samo, jak ty chcesz popsuć jemu... Chłopcy, *peace*.

Ez był najinteligentniejszy z nich wszystkich. Przekonywałem się o tym przy każdym kolejnym spotkaniu.

– Mylisz się – odparł Tet. – Z tą przyszłością to prawda. Sprawdziłem.

– Po co zaglądać w przyszłość, rezygnując z przyjemności w czasie teraźniejszym? – zapytał Ez. – Żeby się dowiedzieć, czy przyjemność będzie potem? To głupie. Zatraca się jedyny sens tej procedury. To coś takiego jak seks bez orgazmu... Mądre głowy twierdzą, że Czerwona Ceremonia w ogóle nie jest nam potrzebna. Nie

jest potrzebna nawet Wielkiej Myszy – potrzebuje jej tylko Wielki Wampir. Wciąga do niej, kusząc rozkoszą. Dokładnie tak samo jak ludzi do kopulacji. Gdyby nie było rozkoszy, to kto by płodził dzieci? Tak samo jest z nami – kto by się trząsł w tych fotelach?

– A po co Wielkiemu Wampirowi Czerwona Ceremonia? – zapytał Tar.

– Nie wiadomo – odrzekł Ez. – Może po prostu uczestniczymy w jego trawieniu...

– Nie bluźnij – skarcił go Tar.

– Racja – odparł Ez. – Przepraszam. Zapomniałem, że jesteśmy w Rosji.

– Dość tych żartów – powiedziałem. – Nastrójcie się poważnie i uroczyście. Pomyślcie o milionach bezimiennych pracowników, którzy uczynili możliwym nasze dzisiejsze szczęście...

Francuzi zachichotali – tym razem rzeczywiście udało mi się ich rozbawić. W tym momencie rozległ się delikatny dźwięk – jakby wiatr uniósł firankę obwieszoną srebrnymi dzwoneczkami –



i śmiech umilkł.

Ceremonia się rozpoczęła.

Na moich kostkach i nadgarstkach zamknęły się plastikowe zatrzaski. Potem zza oparcia fotela wysunęła się płyta, która przycisnęła mi pierś i brzuch – wszystko to miało mnie uchronić od urazów, gdyby w czasie przyjmowania bablosu moje ciało zaczęło się odruchowo skręcać.

Fotel powoli odchylił się do tyłu – i teraz nie widziałem już Francuzów. Przed oczami miałem tylko jarzące się na suficie słońce i pomyślałem z uśmiechem, że teletubisie mają w odwodzie na cały czas trwania obrzędu określony korytarz skojarzeniowy – jeśli któryś z nich zechce otworzyć oczy.

Dalej wszystko przypominało wizytę u dentysty. Rozległo się ciche brzęczenie i na moją głowę opuściła się przyłbica z miękkimi podkładkami. Dwa gumowe wałki ucisnęły mi szczęki, rozwierając usta, a wtedy z czarnej gałki nad moją twarzą wysunęła się cienka rurka i upuściła mi na

środek języka małą zimną kroplę, którą natychmiast odruchowo przycisnąłem do podniebienia...

Pamiętam, że pierwsza Czerwona Ceremonia wydała mi się czymś wspaniałym i niezwykłym. Ale po wielokrotnym przeżyciu tego doświadczenia zacząłem je traktować z pewnym sceptycyzmem. Cud się skończył – pozostało tylko pragnienie, jak nazywają w naszych kręgach nieustającą tęsknotę wampira. Najpierw wydaje się, że jest to tęsknota za bablosem – ale żadna jego ilość nie jest w stanie jej zaspokoić.

Z latami zaczynasz rozumieć, że Czerwona Ceremonia wcale nie zaspokaja pragnienia. Rozpala je.

Kiedy kropla bablosu spadnie na język, wampir przyciska ją do podniebienia – w miejscu, gdzie może jej dotknąć magiczny robak. Między bablosem, językiem i magicznym robakiem nie powinno być żadnych obcych elementów – to niebezpieczne. Właśnie dlatego w pierwszej

części procedury w ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat nie zaszły żadne zmiany jakościowe.

Nie można umieścić bablosu w żelatynowej pigułce czy zmodernizować tej fazy w jakiś inny sposób. Czerwona kropla spada w usta wampira dokładnie tak samo jak w starożytności, kiedy na czas ceremonii przywiązywano nas do łoża czy fotela sznurami. Tylko dawniej wampirowi wkładano między zęby specjalne drewnienko, jak epileptykowi. Teraz dzięki nowoczesnym zaciskom nie ma takiej potrzeby.

Jeśli się zastanowić, to już pierwsza sekunda Czerwonej Ceremonii zawiera jej estetyczną demaskację: mimowolny ruch chwytającego kroplę języka jest zbyt kurczowy i nerwowy, jak na coś związanego z bóstwem. Bardziej się kojarzy z narkotycznym niewolnictwem.

Potem zaczyna się długa i niezbyt przyjemna halucynacja, podczas której wydaje ci się, że przemieszczasz się w przestrzeni ze straszliwą szybkością (ciało zaczyna się mimo woli szarpać,

dlatego się je unieruchamia). Potem następuje etap najbardziej męczący – wydaje ci się, że dotykasz tysięcy, albo nawet milionów ludzkich umysłów – i ze straszną szybkością udaje ci się zajrzeć do każdego z nich.

Jak powiedział któryś z nieokrzesanych rosyjskich wampirów, jakbyś kopał kartofle i jakby cię zmuszano, żebyś pracował wciąż szybciej i szybciej... Obraz ten, mimo rolniczej estetyki, jest dość trafny. Najtrudniejsza do zniesienia jest właśnie ta nieludzka szybkość. Masz uczucie, jakbyś się stał rozpaloną ponaddźwiękową igłą, która nawleka cudze głowy na niewidzialną nić, łączy je w girlandy i ulatuje w niepojętą matową czerń. Niektórzy wierzą, że owa niepojęta czerń to Isztar, inni myślą, że to sam Wielki Wampir (mnie osobiście ten spór o etykiety nie interesuje). Właśnie upadkiem w tę nieskończoną czerń kończy się pierwsza część Ceremonii.

Przez lata opracowałem sobie kilka sztuczek, pozwalających trochę złagodzić nieprzyjemną fazę.

Można się skupić na jakiejś jednej myśli albo bez końca liczyć w duchu od jednego do dziesięciu. Ale najprostsza i najskuteczniejsza metoda to uczeplić się jakiejś pojedynczej świadomości i zatrzymać na niej uwagę jak najdłużej, pozwalając, by proces przebiegał bez naszego udziału. Po prostu trzeba się wpatrywać w mroki jednej wybranej duszy, odcinając się od rozpalonych fal wlatującej w ciebie informacji. Myślę, że nie jest to zbyt godne zachowanie – tak jak ukryć się w okopie, kiedy towarzysze Ceremonii idą do ataku. Ale tchórzostwa nikt tu nie dostrzega.

Gdyby Ez miał rację i gdyby Czerwona Ceremonia była potrzebna tylko Wielkiemu Wampirowi, byłby to pewnie mój sposób na uchylanie się od pracy na jego niwie. Ale, jak wiadomo, każdego przebiegłego krwiopijcę dosięgnie ręka kosmicznej sprawiedliwości ze śrubą. Podejrzewam, że tak rzadko trafiałem na Czerwoną Ceremonię właśnie przez ten mój zwyczaj obijania się podczas świętego rytuału –

i Wielki Wampir nie zsyłał mi bablosu, ponieważ nie chciałem na niego uczciwie zapracować. A wszystkie perypetie mojego wampirycznego losu były po prostu obiektywizacją tej okoliczności – stąd i nienawiść Wielkiej Myszy, i czarna zazdrość współbraci...

Chociaż w ten sposób można popaść w luteranizm albo psychoanalizę, a to nie jest nam do niczego potrzebne.

Pierwsza próba uchwycenia się cudzego umysłu zakończyła się fiaskiem. Przekoziółkowałem tylko przez grypowy koszmar jakiegoś politechnologa, któremu się majaczyło, że pracuje dla domu Burbonów („Ludwik – to jest od słowa «ludzie»!). Ale zaraz potem skutecznie uczepiłem się umysłu dziesięcioletniego chłopaczka, zajętego grą na malutkiej ręcznej konsoli – trochę większej od czekoladki. Nigdy wcześniej takich nie widziałem: miałem tylko standardowe Playstation i Xbox. Chłopiec walczył z jakimś lodowym gigantem, kierując wojownikiem z mieczem.

Konsolka perfidnie podgrywała na korzyść lodowego giganta, przytrzymując chłopca w decydujących momentach walki – tak że wciąż na nowo musiał ginąć o milimetr od zwycięstwa – i zaczynać długą bitwę od początku. Na czole chłopca zastygła głęboka niedzięca zmarszczka – czuł całą niesprawiedliwość tego, co się działo, i nie mógł zrozumieć, kto i dlaczego wymyślił, żeby nawet ten maleńki wirtualny świat, który można uczynić, jakim się chce, był urządzony tak podle i nieuczciwie. Dobrze znałem to uczucie z własnych doświadczeń w grach.

Najbardziej wstrząsnęło mną to, że w tym trudnym dziecięcym zajęciu (które rodzice uważali zapewne za przyjemne spędzanie czasu) był nie tylko hazard. Było w nim tyle samo śmiertelnego smutku co w ostatnich minutach idącego do boju żołnierza – ale w odróżnieniu od niego małego gracza zabijano ciągle na nowo. Potem, co prawda, znalazł sposób na pokonanie giganta, ale tego już nie zdążyłem zobaczyć, bo dłuższe trzymanie się cudzej świadomości stało się

niemożliwe. Postanowiwszy twardo, że kupię sobie taką samą mikrokonsolę, runąłem w czarną wsysającą mgłę, gdzie nic po mnie nie zostało.

Zakończyła się pierwsza faza Ceremonii.

Gdyby pozostawała nam w pamięci tylko ona, z pewnością nie rwalibyśmy się zbytnio, żeby powtórzyć to doświadczenie. Wszystko jednak zasadza się na tym, co następuje później – kiedy, jeśli wierzyć chaldejskim uczonym, potężny neuroprzekaznik magicznego robaka zmienia chemię naszego mózgu, zamykając w nim obwód nieznanej ludziom rozkoszy. Jednocześnie następuje korekta pamięci o przeżytym przed chwilą cierpieniu (wiele wampirów wierzy, że w ogóle zapominamy większość pierwszej fazy, i wydaje mi się to całkiem możliwe).

Ale jak opisać ten krótki i niewysłowiony moment, który następuje potem? Nie potrafię nawet powiedzieć, jak długo trwa. I kiedy konkretnie spostrzegamy, że to się już dzieje...

*Zawsze byłem.*



*Zawsze będę.*

Już pierwsza myśl, przebiegająca lekką falą po wieczności, która była mną, dowiodła tego z absolutną oczywistością.

To nie było po prostu szczęście. To było coś więcej, coś zupełnie nieznanego człowiekowi. Wszechmoc i wszechwiedza. Mogłem wszystko – ale do niczego nie dążyłem. Wiedziałem wszystko – ale właśnie dlatego niczego nie chciałem wiedzieć. Było w ogóle niepojęte, jak można czegoś chcieć.

Poza tym, żeby pozostać tu na zawsze.

Kiedy tylko w świadomości powstała ta drobna szczelinka, niemożliwe i niewysłowione przestało być mną i zaczęło się oddalać – i już nie mogłem stać się nim znowu. Nie mogłem właśnie dlatego, że chciałem. Chciałem wrócić do tamtej sekundy, w której nie chciałem niczego.

Dawniej zdawało mi się, że w tym momencie można jakimś właściwym duchowym posunięciem

zmienić sytuację. Teraz miałem długie doświadczenie i wiedziałem, że nic nie będę mógł zrobić do następnej Czerwonej Ceremonii, i im dalej od wieczności będzie mnie unosić wiatr myśli, tym silniejsze stanie się moje pragnienie.

Ale była to tylko część owego wichru doznań, którym kończy się każda Czerwona Ceremonia. Jest tam jeszcze wiele innych rzeczy, ale dość trudno wyjaśnić to ludziom, nie mającym takiego doświadczenia.

Chodzi o tę sztuczkę, jakiej dokonuje pamięć. Pamięć podpowiada, że przed chwilą skończyło się coś niewypowiedzianie pięknego, cudownego. I chociaż wiesz, że tak naprawdę nic szczególnego nie zaszło i wszystko było dokładnie tym, czym było zawsze (i to jest najważniejsze), pamięć utrzymuje, że zdarzył się cud. I poddajesz się temu słodkiemu kłamstwu, pojmując w przebłysku nieziemskiej ironii, jak ograniczony jest człowiek, jakim przesłodzonym szalbierstwem jest cały jego świat wewnętrzny i wszystko, co można myśleć i pamiętać.

Boskość tej sekundy polega na tym, że dostrzegasz, jak na twoich oczach dokonuje się prymitywne oszustwo, które ludzie biorą za rzeczywistość. Coś takiego naprawdę może wiedzieć tylko Bóg – przez pozostawiony w ludzkiej świadomości kontrolny wziernik.

Właśnie dla tej chwili wampiry znoszą wszystkie męki pierwszej fazy. Niekiedy się ona rozciąga i powrót do zwykłej rzeczywistości jest długi i płynny, czasem wszystko przebiega szybko – ale różnica nie gra roli. Jedyne, co ma znaczenie – to możliwość znalezienia się znowu na tym szczycie. Z haczyka nie da się urwać.

Tym razem jednak wydarzyło się coś dziwnego. Kiedy tylko w mojej świadomości pojawiła się pierwsza szczelina cierpienia, przypomniałem sobie słowa Teta – o tym, że zamiast próbować przedłużyć to мгnienie, można zajrzeć w przyszłość. I nieoczekiwanie dla samego siebie spróbowałem to zrobić, wykorzystując do tego resztki swojej umykającej wszechmocy.

Zobaczyłem coś na kształt fragmentu snu.

Patrzyłem na sztormowe morze; mgłę nad nim przecinały ukośne zygzaki błyskawic. Po morzu płynął statek. Tak ogromny, że fale nic mu nie mogły zrobić – zbyt wielki, żeby się kołysać od ich uderzeń. Statek był całkowicie czarny, z gładkim górnym pokładem, na którym nie zauważyłem ani nadbudówek, ani ludzi. I najbardziej przypominał ogromną czarną trumnę (wiem, że robię się już trochę śmieszny – ale mówię najprawdziwszą prawdę).

Potem nagle zrozumiałem, że jestem już na pokładzie. Miałem przed sobą długie, tonące w półmroku pomieszczenie, przypominające wnętrze olbrzymiej szafy. Porównanie to przyszło mi do głowy dlatego, że w kilku rzędach wisały tam jakieś ciemne ubrania...

Po chwili zorientowałem się, że to nie ubrania. To byli ludzie. A dokładniej wampiry.

Patrzyłem na coś w rodzaju ogromnego komunalnego hamletu. Opowiadano mi, że po

rewolucji siedemnastego roku coś takiego rzeczywiście istniało, dopóki nie wyrosło nowe pokolenie Chaldejów. Ale tu było co innego.

Wampiry wisiały na wąskich trójkątach, podobnych do wieszaków na ubrania – dlatego właśnie wydało mi się początkowo, że to ubrania. Ich całkowity bezruch budził lęk. Chyba wszyscy spali. Ale nie tak, jak się śpi w hamlecie, gdzie ciało wykonuje jednak podświadome ruchy, ale bardzo głębokim snem. Albo w ogóle były martwe.

Potem spostrzegłem u wielu z nich dość dziwne stroje. Mieli na sobie sutanny, kamizele, jakieś dziwne *slim fit* z koronkami – i przemieszane z tym surduty, frencze, fraki. Wszystko to było głównie czarne, toteż niezwykłość strojów zauważało się stopniowo.

Kobiet było mało. W ogóle wśród wampirów jest ich niewiele, ponieważ każda kobieta to potencjalna rywalka Wielkiej Myszy, ale tu było ich nawet mniej niż zwykle. Nogi miały cnotliwie owinięte długimi sukniami i wyglądały jak

wiszące obandażowane mumie.

Drugą niezwykłą rzeczą były długie brody u większości wampirów mężczyzn. Im dłuższa była broda, tym bardziej staromodny strój. Najdłuższa, kilkakrotnie owinięta wokół pasa, należała do drobnego łysego chłopiny, otulonego, jak mi się w pierwszej chwili wydało, w koc (potem po złotej sprzączce na ramieniu odgadłem, że to czarna toga).

A później zobaczyłem Eza.

Powieki miał niedomknięte, a na brodzie i policzkach długą rzadką szczecinę.

Obok wisiał Tet. Potem dwa grube wampiry i Tar. A dalej...

Dalej byłem ja.

Nie widziałem swojej twarzy. Ale wystarczył mi jeden rzut oka na swoje odwrócone plecy i znajomy kosmyk włosów, żeby poczuć zimny dreszcz rozpoznania. Miałem na sobie zwyczajny czarny garnitur, zdjęty z manekina w butik.

Pomyłka była wykluczona.

Tak się przeraziłem, że przestałem widzieć długie rzędy wiszących w półmroku wampirów. Przemknęły przede mną inne pomieszczenia czarnego statku – w jednych pomrukiwały jakieś mroczne maszyny, w innych, jak muzealnym magazynie, stały starożytne posągi i sarkofagi, jeszcze w innych groźnie połyskiwała broń... Pokoje były puste. Żywych ludzi (albo wampiry – wszyscy byli ubrani na czarno) widziałem zaledwie dwa razy. Przejeżdżali tunelami korytarzy obok składzików – w pudłach, podobnych do poruszających się poziomo wind.

Potem wyczułem coś w rodzaju środka ciężkości tej olbrzymiej łodzi. Znajdowała się tam żywa istota. Wywoływała skojarzenia z Wielką Myszą – ale była bez porównania starsza i potężniejsza (nie wyobrażałem sobie dotychczas, że jest to w ogóle możliwe). A potem ją zobaczyłem...

Było to coś na kształt ogromnej skrzydlatej ośmiornicy (właśnie tak), której macki przechodziły przez burty i pływały wokół statku,

niczym wrastające w wodę korzenie. Istota wiedziała, że ja widzę. Sama mi się pokazywała. A raczej nie tyle pokazywała, ile dawała do zrozumienia, że jest. Tak w ogóle jednak niczego ode mnie nie chciała.

Albo chciała, żebym tak myślał.

A w ostatniej sekundzie uświadomiłem sobie jeszcze jedno. Że jest tu Sophie. Ale nie w ładowni ze zdrętwiałymi wampirami, tylko gdzieś indziej na statku.

Wysyłała mi pozdrowienie. Chciała mnie widzieć.

To było takie dziwne... Jakby w jakimś ukrytym zakamarku cyklopicznego statku zielenił się delikatny kiełek. I ten kiełek prawie mnie kochał...

Zapomniałem już, kiedy ostatni raz miałem łzy w oczach.

– Rama! Żyjesz?

Otworzyłem oczy. Teletubisie już wstali z foteli. Czerwona Ceremonia dobiegła końca.

– Żyję, żyję – powiedziałem. Wstałem



i powlokłem się za nimi do wyjścia.

Kiedy znaleźliśmy się na korytarzu, pochwyciłem pytające spojrzenie Teta. Kiwnąłem głową. Podszedł i wziął mnie pod rękę.

– Widziałeś?

Znów przytaknąłem.

– Statek?

– Tak – powiedziałem. – I widziałem nas wszystkich. Co to było?

– Przyszłość. I to dość bliska.

– Tak naprawdę jesteśmy tam? Jak w *Matriksie*?

– Nie – powiedział Tet. – Jesteśmy tu. Ale będziemy tam. A potem być może powrócimy do świata. Nic więcej nie wiem, Rama. Widziałeś batmana?

– Nie – odparłem. – Widziałem jakiegoś Cthulhu<sup>[40]</sup>.

Tet się roześmiał.

– Batman i Cthulhu to jedno i to samo –

powiedział. – Legendy osłonowe. Jego maskujące mity.

– Jego czyli kogo? – spytałem.

Tet popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Naszego pana – powiedział.

– Jakiego pana?

– Skoro nie wiesz, to zaczekaj, aż ci to wyjaśnię.

– Nie mów zagadkami – poprosiłem.

– Wiesz co, zmienimy temat – powiedział Tet i cofnął rękę.

Doszliśmy do łuku z odwróconymi atlantami, gdzie czekał komarzy mistrz ceremonii. Ez odwrócił się do mnie.

– Fajnie było cię zobaczyć – powiedział.

– Dokąd się teraz wybieracie? – spytałem.

– Jutro odlatujemy do Rio. A teraz zaplanowano nam rozrywkę. Polowanie na niedźwiedzia w worku, jakaś stara rosyjska zabawa. Potem z jego mózgu przyrządzą kultową kaszę z cebulą.

– A kto będzie w worku? – spytałem. – Wy czy niedźwiedź?

Ez się skrzywił.

– Nie przeginaj. Jakby ci tego wszystkiego – wskazał na łuk, za którym pozostała Czerwona Sala – było mało. Do zobaczenia, Rama.

Pożegnałem się z teletubisiami (Tet unikał teraz mojego wzroku) i usiadłem przy najbliższym wolnym stoliku.

Głowa pękała mi od myśli. Sophie była na tym statku. Co ona tam robiła? A może wrażenie jej obecności było po prostu echem naszej schadzki? Przecież w końcu jej tam nie zobaczyłem.. Obiecała, że zorganizuje nam spotkanie. Ale jak? Kiedy? Gdzie?

Coś ciężkiego wylądowało obok mnie na stoliku. Podskoczyłem.

Stała przede mną mocno pomniejszona kopia starej radzieckiej lodówki – taki czterdziestocentymetrowy ZiŁ-bonsai. Zobaczyłem na niej nawet miniaturowy magnes w kształcie

biedronki, przyciskający do drzwiczek zapisaną  
mikroskopijnym maczkiem karteczkę wielkości  
paznokcia.

Z boku błysnęła martwym uśmiechem maska  
chaldejskiego kelnera.

– Co to jest? – spytałem, marszcząc brwi.

– Tiramisu, wasza niskość – odrzekł kelner,  
stawiając obok nakrycie do herbaty. – Tiramisu  
i herbata.



Wydawnictwo Literackie

# DIONYSUS THE ORACULAR

Taborety były stare, radzieckie – toporne i mocne, wyprodukowane w połowie ubiegłego wieku. Zachowane wprost idealnie – na starej brązowej farbie nie było ani jednej rysy. Wydawały się przepojone kosmicznym bólem – i kosmicznym marzeniem, które było po prostu odbiciem tego bólu, mirażem, odzwierciedlonym w drugą stronę...

Taborety znalazły się w Hartlandzie cudem – wiele dziesiątków lat temu przyniesiono je do jednej z sal pamięci z jakichś przyczyn technicznych i zapomniano zabrać.

A teraz przechowywano je obok komnaty Wielkiej Myszy i regularnie siadywaliśmy z Enlilem Maratowiczem na tych unikatowych

artefaktach podczas reprimend. W takich chwilach unikałem patrzenia na Isztar – i przestudiowałem nogi stołków do ostatniego sęczonego i zacieku farby. Nieznany więzień, który je kiedyś wykonał, z pewnością nie przypuszczał, że jego prosty wyrób zanurkuje tak nisko. Bo pewnie mniej by się starał.

Dzisiaj szczególnie nie miałem ochoty podnosić oczu. Nie mogłem jednak nic ze sobą zrobić i popatrywałem chwilami na migający ekran na ścianie sali tronowej.

Na ekranie była biblioteka Haute SOS. A konkretnie moje gołe nogi. Wierzgające na pustej kanapie. Dobrze jeszcze, że kamera była ustawiona tak, że nie obejmowała mnie całego. Bo to już by była całkowita klęska.

Najobrzydliwsze było to, że na sąsiednim taborecie siedział Enlil Maratowicz. Isztar, nie wiadomo dlaczego, lubiła wzywać nas na dywanik we dwójkę.

– No dobrze – nie wytrzymał Enlil

Maratowicz. – Wystarczy. Oburzające. Ramo Drugi, należy zachować jakiś umiar w rozpuście!

Wwierciłem się wzrokiem w nogę taboretu, jakby szukając tam szczeliny, w której mogłaby się ukryć moja dusza.

– Skarbie – wyszeptała czule Isztar – w twoich zdradach jest coś tak rozbrajającego... To takie świeże...

– Sam nie wie, co czyni – powiedział Enlil Maratowicz.

– Wiem – odrzekła Isztar. – Rama, dlaczego odwracasz wzrok? Skarżysz się, że całkiem cię wyssałam, a robisz skoki w bok? Znaczy, masz jeszcze siły.

– Ja się nie skarżę – mruknąłem.

– On się naprawdę nie skarży – powiedział Enlil Maratowicz. – Chłopak trzyma się nad podziw dzielnie. Ja bym tak nie potrafił. Może mu wybaczymy... Który to raz?

– Chyba pięćdziesiąty – odrzekła Isztar. – Wybaczyć wybaczymy. Interesuje mnie co innego.

Po co naszym partnerom komar z limbo?

– Nie wiem – powiedział Enlil Maratowicz. – Pewnie chcą mieć jak najpełniejszą informację. Ale tak w ogóle to mieli już komary od Draculi. I to dużo.

– A myśmy nie mieli – syknęła Isztar.

– Tak – zgodził się Enlil Maratowicz. – Rama świetnie się spisał, przywiózł. Zasłużył na tę prestiżową nagrodę.

– Czy to prawda, że przysłała je sam Dracula? – spytała Isztar.

Enlil Maratowicz przytaknął.

– To zaproszenie. Zazwyczaj otrzymują je potencjalni odszczepieńcy. Ci, którzy mogą się złapać na jego przynętę. Postacie w rodzaju Ozyrysa. Który się złapał.

– I co się tam odbywa?

– Na ogół Dracula ma dla gości długi i nudny wykład o swoich mistycznych odkryciach. Normalny wampir zasypia po trzech minutach.



– Chcę wiedzieć, czego on naucza – oznajmiła Isztar.

– To nic ciekawego, naprawdę – odrzekł Enlil Maratowicz. – Zwyczajne luzerskie gadanie.

Głowa Isztar szarpnęła się najpierw w górę, a potem w dół. Z powodu długiej szyi amplituda tego ruchu była taka, że mogło to oznaczać wszystko, od całkowitej zgody do absolutnej negacji.

– To dlaczego nasi partnerzy tak się tym interesują?

Enlil Maratowicz milczał.

– Tak przypuszczałam – powiedziała Isztar. – Nikt nic nie wie. Sama będę musiała to sprawdzić.

Pokręciła głową. Wyglądało to tak, jakby otrząsała szyję z wody, ale ja wiedziałem, że wydaje polecenia przez swoją giroskopową obrozę.

Minęło kilka sekund i otworzyły się drzwi. Do komnaty weszła jedna ze służących, z powodu zasłoniętej chustą twarzy podobna do czarnej

wdowy. W rękach niosła duży półmisek, na którym leżał mój służbowy wamponawigator, opieczętowany staromodną ołowianą plombą. Obok stał flakon w kształcie złotego pionka szachowego (jeszcze jedno przypomnienie o moim miejscu w hierarchii), a przy nim cienki przezroczysty wężyk zwiniętego przewodu kontrolnego.

– Komar został już przerobiony na preparat – powiedziała Isztar. – Podjęliśmy decyzję, by spotkać się z Draculą osobiście.

– Nic z tego nie będzie – odparł Enlil Maratowicz. – Dracula nie będzie rozmawiać z Wielką Myszą.

– Udam się do niego incognito – powiedziała Isztar. – Jako Hera. W towarzystwie Kawalera Nocy. Przy okazji wprowadzimy w ciemność naszą nową fryzurę.

Wielka Mysz za każdym razem osobiście wymyślała nowy *look* dla swego animogramu. Opracowywała go starannie i precyzyjnie – i nigdy

nie wiedziałem, w jakim stroju mi się ukaże. Wiedział to tylko mój wamponawigator, od którego służąca właśnie odcinała plombę. Nikt nie miał prawa ingerować w pracę mediów czyścicieli, wprowadzających artystyczne fantazje Isztar do preparatu (nie wiedziałem dokładnie, na czym polega ta technologia – a zresztą nie chciałem wiedzieć).

– To jest możliwe – powiedział Enlil Maratowicz – ale wtedy bogini nie będzie siebie pamiętać.

– Wszystko przypomni sobie potem – odparła Isztar. – A o bezpieczeństwo podróży zatroszczy się Kawaler Nocy.

– Ja bym nie...

– A ja bym tak – ucięła Isztar. – Rama, na poprzeczkę.

– Bogini chce wyruszyć zaraz? – zapytałem.

Nawet na mnie nie spojrzała, przestając na oszczędnym skinieniu głową. Ten gest wyrażał tyle lekceważenia, tyle... Było jasne, że nie jestem dla

niej niczym więcej niż papugą.

Chociaż właściwie powinienem się z tego cieszyć – gdyby traktowała mnie poważniej, wątpię, czy przeżyłbym już pierwszą zdradę. A czegoż można wymagać od domowego zwierzątka?

Enlil Maratowicz wstał, złożył ukłon i wyszedł na korytarz. Przy czynnościach intymnych Wielkiej Myszy mogły być obecne jedynie jej służące.

Popatrzyłem w górę. Z sufitu opuszczała się połączana poprzeczka. Cóż, nie bez powodu przyszło mi do głowy porównanie z papugą.

Minutę później wisiałem już głową w dół na wprost Wielkiej Myszy. Jej służebnica (nie znałem imienia żadnej z nich) z biegłością doświadczonej pielęgniarki wbiła mi w rękę igłę przewodu kontrolnego. Coś takiego robiono rzadko – tylko w najważniejszych wypadkach, kiedy trzeba było zagwarantować utrzymanie najściślejszego kontaktu. Potem nałożyła mi na górne (teraz już dolne) zęby wamponawigator. I przed

zamknięciem mi ust zrobiła rzecz najbardziej nieprzyjemną – wpuściła mi tam ze złotego flakonu pionka kroplę Wielkiej Czerwonej Pieczęci, preparatu z DNA Wielkiej Myszy. Bardzo silnego preparatu. Była to niemal czysta czerwona ciecz. Ogłuszała natychmiast.

Nienawidziłem przyśpieszonych pogrążeń. Przypominały bardziej nie zejście do limbo, ale zażycie cyjanku potasu. I nie jest to przenośnia – z jednego z preparatów kolekcjonerskich z biblioteki Brahmy wiedziałem, że cyjanek wywołuje jakby kosmiczne mdłości, bardzo szybko narastający wstręt do całego fizycznego świata, który kończy się całkowitym jego odrzuceniem. Działanie Czerwonej Pieczęci było właściwie takie samo – z tą różnicą, że po zamknięciu jednego świata otwierał się drugi.

Dalej wszystko zależało od nastroju Isztar. Najczęściej traciłem kontrolę i trafiałem w rodzaj snu, w którym ona ukrywała się za jakąś maską. Ponieważ nie wiedziałem, co się dzieje, nigdy nie mogłem ustalić, za jaką konkretnie. Nie

wiedziałem nawet, że mam wokół siebie maski – i wierzyłem we wszystko tak samo naiwnie jak w życiu. Tym bardziej niemiłe było przebudzenie.

Dziś jednak potrzebowała mnie jako przewodnika. Spała sama Isztar – i śniło się jej, że jest po prostu Herą. Ja zaś zachowałem jasny umysł i wiedziałem, z kim mam do czynienia – chociaż ta wiedza nie była całkowita: nie próbowałem ustalić, gdzie kończy się w niej Hera i zaczyna Wielka Mysz. Enlil Maratowicz miał rację. Czegoś takiego nie wolno robić nawet ze zwykłą przytomną kobietą. A tym bardziej ze śpiącą boginią.

Kiedy minął szok po uderzeniu Wielkiej Pieczęci, zobaczyłem, że leżymy na łożu w sypialni Draculi.

Na tym samym łożu.

Jakbyśmy jednocześnie się obudzili. Oboje byliśmy nadzy. Nasze ubrania leżały porozrzucone na podłodze. Widocznie Hera udała się do Draculi nie od razu.

Włosy miała ufarbowane na kolor spłowiałego siana, ściągnięte w kilka niesymetrycznych kucyków i podpięte kolorowymi spinkami, przedstawiającymi pełzające po jej głowie gąsienice. Sympatycznie i całkiem w jej stylu – ale niezbyt oryginalnie.

Rozejrzała się dokoła i odwróciła do mnie z niepewnym uśmiechem.

– Gdzie jesteśmy? – spytała. – Nic nie pamiętam. Co piliśmy? Czy coś braliśmy?

– Niespodzianka! – oznajmiłem dziarsko, sięgnąłem za siebie i wyciągnąłem bukiet.

Niezbyt duży, głównie z polnych kwiatów. Taki, jaki zebrałaby dziewczyna z podmoskiewskiej wsi. Sam bym nawet mógł tak pomyśleć, gdybym nie wiedział, że ułożyli go dwaj sprowadzeni z Japonii spece od ikebany.

Uśmiechnęła się i wzięła kwiaty.

– Gdzie ty je za każdym razem chowasz? Nigdy nie widzę, że przychodzisz z bukietem.

– Nigdy nie próbuj zgłębiać sekretu magii –

powiedziałem. – Zdemaskowanie moich sztuczek może zepsuć całą przyjemność.

Uniosła bukiet i zanurzyła w nim twarz.

– Nie pachną.

– A czym powinny pachnieć? – spytałem.

– Zdemaskowaniem sztuczki – odparła. – Dziękuję, skarbie. Ale mówiłam ci tyle razy, żebyś mi nie przynosił bukietów. Potem muszę je nosić przez cały dzień.

– To nie noś – powiedziałem. – Rzuć na podłogę. Podaruję ci nowy.

– Nie obrazisz się?

– Skądże.

Hera rzuciła bukiet na podłogę. Popatrzyłem na zegarek. Od początku seansu upłynęły trzy minuty. Można uznać, że odlecieliśmy.

– Chodź tu – powiedziała z radosnym uśmiechem.

Kobiety to niezbyt ciekawskie stworzenia, pomyślałem, wykonując polecenie. Choćby taka



Hera – spytała, gdzie jesteśmy, dostała bukiet i o wszystkim zapomniała. Nie obchodzi ich, jak jest urządzony kosmos. Chcą tylko wiedzieć, czy jaskinia jest dość bezpieczna, by można w niej wychowywać potomstwo. To atawizm.

Wiedziałem, że takie myśli są ryzykowne, jako że Isztar, gdy zechce, może zobaczyć wszystko, co mi przychodziło do głowy, i dostanie mi się za każdą myśl, niewyważoną w duchu gender: od czasu obcięcia głowy mocno się w niej rozwinął pierwiastek feministyczny. Nic jednak nie mogłem ze sobą zrobić.

A zresztą, Hera była ładną dziewczyną i to, co się działo, bynajmniej nie wydawało mi się ciężką próbą. Wręcz przeciwnie. Jak zawsze, zapomniałem o wszystkich strachach i obawach; o swoich zdradach też. Chciałem wierzyć, że to się dzieje naprawdę. I to rzeczywiście zaczęło się dziać naprawdę. W każdym razie przez jakiś czas...

Hera położyła mi ręce na głowie i lekko pchnęła

ją w kierunku swojego brzucha. Usłuchałem. I znów bez żadnego wewnętrznego przymusu – chociaż podejrzewałem, że upodobanie Hery do tej czynności jest rodzajem reakcji na nieświadomiony ból fantomowy. Poza tym pozagrobowa psychoanaliza nigdy nie była moim hobby.

W ogóle przychodziło mi do głowy znacznie więcej myśli, niż by należało. A jedna rozśmieszyła mnie tak bardzo, że musiałem przerwać ćwiczenie.

– Co? – spytała słabo Hera. – Z czego się śmiejesz?

– Przypomniało mi się – powiedziałem – jak pewien moskiewski seksuolog odpowiedział na cerkiewną krytykę seksu oralnego.

– Jak?

– „Wylizując samicy zewnętrzne narządy płciowe, samiec chce jej pokazać, że będzie się troszczyć o jaja, które ona zniesie. Ta tradycja liczy sobie wiele milionów, jeśli nie miliardów

lat, i obskuranci w sutannach nie...”

– Fuj – burknęła gniewnie Hera. – Głupek. Wszystko zepsułeś. A z tym seksuologiem to ściema, sam to przed chwilą wymyśliłeś. Zawsze tak z tobą jest. Zawsze.

– Za to właśnie mnie kochasz – powiedziałem.

– Nie. Za to akurat cię nie Kocham – odparła Hera, wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

Na szczęście zaraz zapatrzyła się na siebie w lustrze i zapomniała o obrazie.

Dziś była od stóp do głów ubrana w szare, wytarte rzeczy – jakby mocno spłowiałe czarne. Nawet jej bawełniany sweterek został chyba wielokrotnie wyprany razem z dziesiątkiem brukowców.

Mój strój był taki jak zawsze na tych spotkaniach – lekki czarny garnitur i czarna koszula z czerwonym guzikiem pod szyją. Możliwe, że pod łóżkiem znalazłby się też krawat, ale nie sięgnąłem po niego.

Zerknąłem na ścianę sypialni, czy nie pojawił

się na niej obraz z czerwonym kwiatem, ale go nie było. Nieuniknione odbyło się tym razem bez świadków.

Wyszliśmy na korytarz.

Nie bardzo się orientowałem, dokąd mamy iść, ale miałem dziwną pewność, że samo się to wyjaśni.

W korytarzu było jasno dzięki znajomym witrażom z jeźdźcami i amazonkami. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętałem, tylko kwiaty we wnękach były inne – i wazony chyba też. Może zmieniano je razem.

Minęliśmy malachitowy łuk z brązowymi satyrami i znaleźliśmy się na podeście schodów, wyłożonym różnobarwnymi rombami. Drzwiczki pożarowe w ścianie zniknęły – jakby zrobiono tu remont i ukryto je pod tynkiem. Za to masywne drzwi, do których prowadziły schody, były uchylone.

– Co tam jest? – spytała Hera.

– Wielka Sala Przyjęć – odparłem. – Ale nie

byłem tam.

Za drzwiami rzeczywiście znajdowała się wielka ciemna sala. Paliła się w niej samotna świeca w cienkim wysokim świeczniku, ale żółty płomyk oświetlał tylko kilka płyt podłogi. Sala była tak olbrzymia, że nie widzieliśmy, gdzie się kończy – tylko niewyraźnie to czuliśmy.

Podeszliśmy do świecy. Płomień zakołysał się, jakby gdzieś w pobliżu otwarto drzwi, i w głębi sali zobaczyłem drugą plamę światła.

Stała w niej przedziwna istota.

Był to wysoki i chudy młodzieniec o proporcjach żurawia. Na jego głowie połyskiwało jakieś kunsztowne nakrycie – coś pośredniego między złotą mitrą a wysokim hełmem. W rękę trzymał cienki złoty kij. Na nadgarstkach i przedramionach miał migoczące kolorowymi kamieniami cienkie bransolety, a na piersiach girlandę z żółtych kwiatów. Za całą odzież służyła mu tylko pomarańczowa przepaska biodrowa. Najdziwniejszy jednak był kolor jego

skóry.

Sinoniebieski.

W jego wyglądzie nie było absolutnie nic wspólnego z brodatym jegomościem, którego widziałem na portretach.

– Hare Kriszna – wyszeptała Hera.

Miała rację. Dracula (jeśli to był on) najbardziej przypominał Krisznę z okładki jednej z książek, które rozdają w przejściach podziemnych adepci *Bhagawadgity*<sup>[41]</sup>.

Pomyślałem, że Baldur i Loki, którzy ładowali mój wamponawigator, wszystko poplątali – albo po prostu ukradli mojego komara i zastąpili go czymś dziwnym.

Ale niebieski nieznajomy skinął nam życzliwie głową i ruszył w naszą stronę, zatrzymując się co kilka kroków, żeby zapalić swoim kijem niewidoczną świecę.

Po prostu dotykał nim jakiegoś punktu w ciemności i pojawiał się tam płomyk. Potem ukazywał się świecznik i z mroku wyłaniał się

niewielki fragment oświetlonej przestrzeni.

Im więcej świec zapalał, tym wokół stawało się jaśniej. Ale było w tym jakieś kuglarstwo. Dracula dotykał niewidzialnych świec z taką precyzją, że zaczęło mi się wydawać, iż stwarza je z niczego – co więcej, że ich żółto-błękitne płomyki nie oświetlają tego, co ukryte w ciemności, ale niczym maleńkie projektory same to rysują.

Przypomniałem sobie o świetle świadomości, które ożywia animogramy. Teoretycznie jego źródłem w tym doświadczeniu byłem ja, cała reszta była po prostu moimi cieniami. Ale hrabia Dracula był niezwykłym wampirem. Nie bardzo też wiedziałem, czy jest nieboszczykiem, czy nie. Nie potrafiłem powiedzieć z całą pewnością, kto tu jest animogramem, a kto nurkiem. Należało się mieć na baczności.

W sali zrobiło się prawie jasno – teraz widziałem głębokie skórzane fotele, kominek, dwa masywne biurka, dywany na podłodze, kanapy i półki z książkami wzdłuż ścian. Było to wnętrze

z angielskiego *manor house*. Zgromadzone tu sprzęty dzieliły od siebie tak wielkie przestrzenie, że sala robiła wrażenie prawie pustej. I – z tego samego powodu – niesamowicie zbytkownej: wszak o sukcesie w naszych czasach świadczą nie tyle zgromadzone w ludzkiej siedzibie obiekty materialne, ile odległości między nimi. Nawet w zwykłych betonowych komórkach puste miejsce kosztuje znacznie drożej niż to, czym się je zapełnia, z ludźmi włącznie...

Emocje nie pozwoliły mi jednak dokończyć tej myśli – hrabia podszedł całkiem blisko. Z tej odległości wyglądał bardzo młodo – nie miał jeszcze nawet zarostu. Jego ciało wydawało się ulepione z niebieskiej gliny.

Zbliżywszy się do nas, zatrzymał się i rozwarł dłoń, w której trzymał kij. Ten, zamiast upaść na podłogę, złożył się w powietrzu i zamienił w języczek błękitnego ognia, który błysnął jasnym światłem przed dłonią hrabiego i znikł.

Dracula opuścił rękę i powiedział:



– Witam. Zapewne mnie znacie, skoro zechcieliście mnie zobaczyć. A jak brzmią wasze imiona?

– Rama Drugi – odrzekłem.

– Hera Ósma – powiedziała Hera.

Spojrzawszy na mnie krótko, Dracula przyjrzał się Herze.

– Chyba nie jesteś tylko Herą Ósmą, pani...

– Ja odpowiadam za to, by jej podróż była bezpieczna – wtrąciłem się pośpiesznie. – Ośmieliliśmy się złożyć ci wizytę, panie, wiedząc o twojej gościnności i wielkoduszności...

– Ty jesteś Kawalerem Nocy? – zapytał.

– Tak, ekscelencjo.

Wydało mi się, że w jego oczach mignęło zrozumienie i smutek. Uśmiechnął się.

– Nie nazywajcie mnie „ekscelencją” – powiedział. – To było bardzo dawno. Teraz nie jestem hrabią, tylko bogiem.

– To jak mamy się do ciebie zwracać, panie?

– Sadhu – odparł.

– Sadhu? – powtórzyła Hera. – Tak się chyba tytułuje indyjskich ascetów?

– I jest to najodpowiedniejszy tytuł w kontaktach z bogiem, zapewniam was.

Dracula wskazał stojące obok siebie fotele.

– Proszę, siadajcie.

Hera i ja zajęliśmy miejsca w fotelach. Dracula usiadł na pobliskim biurku w nienagannej pozycji lotosu.

– W jakim sensie jesteś bogiem, sadhu? – zapytałem. – Przecież wampiry też uważają się za bogów.

– Wampiry noszą imiona bogów – powiedział Dracula. – Ale to są imiona wymyślone przez ludzi. Prawdziwi bogowie są całkiem inni. Ja rzeczywiście stałem się jednym z nich. Choć z dość nieoczekiwanego powodu.

– Czy nie będzie zuchwalstwem spytać, z jakiego? – zapytałem. – Oczywiście, jeśli to zrozumiemy.

– Zrozumiecie – uśmiechnął się Dracula. – Masz przecież zwyczaj wisieć w hamlecie, prawda?

– Oczywiście.

– I ile czasu spędzasz tam każdego dnia?

– Sporo – powiedziałem. – Pewnie ze dwie godziny. Czasem więcej, kiedy nie jestem zajęty. I w ogóle, kiedy mogę... Nawiasem mówiąc, sadhu, jeśli zawisam w hamlecie na zbyt długo, przywołują mnie do przytomności twoje słowa. Które mi pozostały po poprzednim Ramie. Słyszałem je tyle razy, że nauczyłem się na pamięć... „Niczego tak nie żałuję w swoich ostatnich dniach, jak długich lat, które bez sensu i bezproduktywnie przewisałem głową w dół w mroku otępienia. Godziny i minuty jednakowo znikają w tej szarawej nicości; głupcom się wydaje, że osiągnęli harmonię, ale tylko przybliżają śmierć... Hrabia Dracula, wspomnienia i rozmyślenia...”

– To nieprawdziwy cytat – powiedział Dracula. – Nigdy nie żałowałem ani jednej minuty

spędzonej w hamlecie. Ale wampiry nie udostępniają mojej prawdziwej historii. Nie leży to w ich interesach.

– Dlaczego ukrywają twoją historię, sadhu? – spytała Hera.

– Dlatego że nie jest podobna do mitu o Draculi. Składającego się z niezliczonych cytatów, w których zawarto, by tak rzec, ideologię wampiryzmu. Niektóre z tych sentencji rzeczywiście pochodzą ode mnie, ale większość jest po prostu wymyślona. Ten mit to najważniejszy filar systemu wampirycznego, fundament wampotożsamości. Dracula dla wampirów – to mniej więcej to samo co James Bond dla Anglosasów. Wampir zwycięzca, skupiający w sobie najlepsze cechy narodowe, symboliczny czempion, nienaganny wizerunek. Choć co prawda nikomu niepotrzebny.

– A co z twego życia należy ukrywać?

– Tu nie chodzi o wydarzenia z mojego życia – powiedział Dracula. – Chodzi o wnioski, do

których doszedłem. O to, czego się dowiedziałem o naturze ludzi i wampirów.

– I cóż to jest?

– Wampir wcale nie jest tajemnym władcą planety i beneficjentem wszystkich istniejących łańcuchów pokarmowych. Wampir to żałosna istota, całkowicie pogrążona w cierpieniu. I od ludzi różni go tylko to, że jego cierpienie jest bardziej intensywne i głębsze. Ludzie i wampiry to nie było i jego właściciele. To po prostu bracia w nieszczęściu. Wioślarze i nadzorcy na jednej niewolniczej galerze.

– Jak doszedłeś do takich wniosków, sadhu? – zapytała Hera.

– Stopniowo – odrzekł Dracula. – Zaczęło się oczywiście od zawisania w hamlecie. Wszyscy popełniamy ten grzech, ale ja zawisałem w nim nie na kilka godzin – potrafiłem tam spędzać kilka tygodni, miesiąc... Dziwne niemyślenie, w którym całkowicie zanikają czas, ciało i świadomość siebie, było największą osłodą mego życia. Przez

to nawet nie zawsze znajdowałem czas, by grzeszyć z kobietami. I zadałem sobie pytanie: co się dzieje w hamlecie? Zacząłem analizować to zagadnienie.

– W jaki sposób?

– Przede wszystkim spróbowałem zrozumieć, z czym jest związany stan niemyślenia, który osiąga wampir. I postanowiłem zbadać, czy jest to doznanie wampiryczne, czy ludzkie.

– Oczywiście, że wampiryczne – powiedziała Hera. – Człowiek może wisieć głową w dół nie wiadomo jak długo i oprócz bólu głowy nic z tego nie będzie miał.

– Racja – zgodził się Dracula. – Dlatego spróbowałem wejść w ten stan nie jako wampir, ale jako człowiek. To znaczy nie zwisając z żerdzi głową w dół, ale siedząc na ziemi z głową do góry. I po wielu latach prób z praktykami medytacyjnymi różnych religii to mi się udało. Ludzie już od wielu tysięcy lat znają ten stan, w który wampir popada w hamlecie. Nazywają go

dhjana.

Nie byłem przygotowany do podtrzymywania rozmowy na literę „D”.

– Dhjana? – spytała Hera. – Nigdy o tym nie słyszałam.

– Jest to stan najwyższego skupienia albo wchłonięcia, jaki może osiągnąć medytujący. Praktykował go na przykład historyczny Budda – zarówno przed swoim objawieniem, jak i później. I jest to jedna z niewielu rzeczy, jakie o nim wiemy. Dobrze wiecie, co to takiego. To, co się z nami dzieje w hamlecie – to coś pośredniego między trzecią a czwartą dhjana. Ale wampiry i ludzie wchodzą we wchłonięcie różnie. W naszym wypadku wystarczy, że po prostu zawiśniemy głową w dół, a magiczny robak, który kontroluje nasz mózg, sam wprowadza wampira w absorbcję. Przestajemy czuć swoje ciało już w kilka minut po zawiśnięciu na poprzeczce. A człowiek musi się trenować w koncentracji bardzo długo, niekiedy dziesiątki lat. I wcale nie

jest powiedziane, że nauczy się osiągać dhjany. Ale podsumowanie jest właściwie to samo – i człowiek, i wampir osiągają stan najwyższej szczęśliwości, ponieważ znika gdzieś osobowość ze swoim kłębkim myśli...

Wyglądało mi to na prawdę.

– Co więcej – ciągnął Dracula – zrozumiałem, że również podczas drugiego naszego sakramentu – Czerwonej Ceremonii – dzieje się to samo. Kiedy wampir przeżywa działanie bablosu, całkowicie znika ten, z którym się to dzieje. Wszystko pozostaje, a was w tym nie ma, i to jest piękne... To, co uważaliśmy za siebie i innych, to tylko lekka fala na oceanie bytu, który nas stworzył...

Słowa Draculi idealnie oddawały moje własne doświadczenia.

– Z tego wszystkiego, co wam tu przedstawiłem, wypływał dziwny wniosek. Okazało się, że najwyższą radością wampira nie jest jego tajemna władza nad ludźmi i światem, ale możliwość zniknięcia na jakiś czas. Uwolnienia się od samego



siebie. Dokładnie to samo odnosi się do ludzi. I to nie tylko do wpadających w dhjanę kontemplatorów, ale i do zwykłych zjadaczy chleba, kładących się wieczorem spać...

Znowu miał rację. Mnie też to przychodziło do głowy. Zawisanie na poprzeczce w hamlecie było prawie tak przyjemne jak kładzenie się spać po ciężkim dniu. Odprężający i radosny był już przedsmak tego, że oto zaraz, za parę minut, wszystkie problemy znikną i na ich miejsce nie pojawią się żadne nowe...

– To mną wstrząsnęło – ciągnął Dracula. – Zadałem sobie pytanie: czymże jest moje „ja”, skoro uwolnienie się od niego nawet na krótki czas wprawia w taką szczęśliwość? I poznałem odpowiedź. Poświęciłem temu prawie całe swoje życie. Było mi bardzo, bardzo trudno...

– Dlaczego? – spytała Hera.

– Chodzi o to, że my, wampiry, mamy fałszywe poczucie wszechmocy. Uważamy, że wystarczy cmoknąć językiem, a każde ludzkie przeżycie

będzie nasze.

– A czyż tak nie jest?

– Nie, nie jest – odrzekł Dracula. – Dotyczy to tylko tych przeżyć, które rejestrujemy jako coś nowego, intensywnego i interesującego. A najgłębsze z ludzkich doznań związane są akurat z odejściem od pogoni za stymulacją uczuć. I te są dla nas właściwie niewidzialne.

– Mówiłeś, sadhu, że dowiedziałeś się wszystkiego o „ja” – przypomniałem. – Czego konkretnie?

– Sama to wiem – powiedziała Hera. – Nie trzeba tego wyjaśniać. „Ja” to jest to, co czuję właśnie teraz...

Dracula popatrzył na nią z zainteresowaniem.

– Jeżeli myślisz, sadhu, że jestem głupia, to się mylisz – ciągnęła Hera. – Czytałeś Ramanę Maharisziego<sup>[42]</sup>? Istnieje „ja” prawdziwe i „ja” fałszywe. „Ja” fałszywe to ego. A „ja” prawdziwe – to świadomość. Ona jest wieczna.

Dracula zamknął oczy – i nagle odniosłem

wrażenie, że patrzy na nas drugą parą oczu: wypukłych i niebieskich, bez źrenic. To spojrzenie budziło lęk.

– Dziewczyno – powiedział – po pierwsze, zapamiętaj, że żadna „świadomość” nie istnieje. W każdym razie sama przez się. Istnieje rejestrowanie różnych zjawisk przez system nerwowy. Jest to proces, w którym za każdym razem uczestniczy wiele elementów. Coś w rodzaju ogniska, do którego niezbędne są drwa i powietrze. Ognisko płonie przez określony czas i potem gaśnie. Od jednej główki można zapalić drugą. Ale nie istnieje żaden „żywioł ognia” czy „element ognia”. Są tylko, jak by powiedział strażak, konkretne przypadki zapaleń. I odnosi się to zarówno do Wiecznego Ognia u was na placu Czerwonym, jak i do abstrakcyjnej idei ognia w twojej głowie. Wszystko ma przyczynę, początek i koniec. Rozumiesz?

Hera zrobiła dziwny ruch ramionami – ni to zgadzając się, ni to po prostu strząsając z siebie słowa Draculi.

– A po drugie, owo „ja”, które czujesz właśnie teraz, powstaje tylko na to jedno mgnienie, które nazywasz „właśnie teraz”. Ale podczas swego krótkiego istnienia to „ja” jest pewne, że właśnie ono było i będzie zawsze. Znika niezauważalnie dla samego siebie. I po jego zniknięciu nie pozostaje nikt, kto mógłby zauważyć, co się stało.

– „Ja” nigdy nie znika – powiedziała Hera. – Jest zawsze.

– Przez większość czasu – odparł Dracula – żadnego „ja” w ogóle nie ma. Nie ma go ani we śnie, ani kiedy prowadzisz auto na szosie, ani kiedy zajmujesz się prokreacją. Powstaje tylko na szczególne zapotrzebowanie umysłu B: co „ja” na ten temat myślę? Jak „ja” się do tego odnoszę? Jak „ja” mam postąpić? I każde nowe „ja”, powstające w ten sposób na ułamek minuty, jest przekonane, że właśnie ono zawsze było i zawsze będzie. A potem cicho znika. Na kolejne zapotrzebowanie powstaje inne „ja”, i tak w nieskończoność. Wszystko, co przydarza się nam w życiu, tak naprawdę dzieje się nie z nami, ale z określonym

odcinkiem czasu. Nasze „ja” to po prostu jego fotografie.

– Ale przecież pamiętamy siebie – nie poddawała się Hera. – I ta pamięć to właśnie nasze „ja”. Pamiętamy, jacy byliśmy.

– Nie da się powiedzieć, jakie były poprzednie „ja” – odparł Dracula. – Pamięć o nich jest skorygowana. Człowiek jest jedynie swoim chwilowym „ja”. I w jego istnieniu są długie interwały, kiedy tego „ja” po prostu nie ma, bo nie jest konieczne do utrzymania ludzkiego ciała przy życiu. Te pauzy jakościowo niczym się nie różnią od śmierci. Kiedy człowiek myśli: „kończę się”, „umieram” – kończy się tylko ta myśl. Potem będzie druga, potem trzecia. Albo nie będzie. To wszystko.

– To dlaczego nikt tego nie wie?

– Bo nie ma kto wiedzieć. Jak chwilowe „ja” może pojąć swoją nietrwałość, skoro za każdym razem dysponuje całą cielesną pamięcią? To ono decyduje, że wszystkie utrwalone wydarzenia

dotyczyły właśnie jego. Na pierwszy rzut oka to logiczne – skoro pamięta, to znaczy, że było zawsze. Ale w rzeczywistości...

Dracula się zamyślił.

– Co? – zapytałem.

– To tak, jak gdyby golem, stworzony do wizyty w bibliotece, uważał, że brał udział w wyprawie Aleksandra Macedońskiego, bo na pół godziny dano mu książkę Arriana *Wyprawa Aleksandra Wielkiego*. Z tym golemem po prostu nie ma sensu dyskutować – dyskusja byłaby dłuższa niż całe jego życie. Owe powstające chaotycznie „ja” mają tylko jedną wspólną cechę – każde jest przekonane o swoim nieprzerwanym trwaniu i, że tak powiem, fundamentalnym znaczeniu. Każda efemeryczna istota uważa, że właśnie ona była wczoraj i będzie jutro, chociaż w rzeczywistości nie było jej jeszcze sekundę wcześniej – i znów jej nie będzie po następnej sekundzie.

– Chcesz powiedzieć, sadhu, że nasze „ja” w ogóle nie są ze sobą powiązane?

– Dlaczego? Można powiedzieć, że po sobie dziedziczą. Jakby przekazują ojcowski dom synowi. A czasem przypadkowemu przechodniowi. Ale każdemu mieszkańcowi się zdaje, że mieszkał w tym domu zawsze, ponieważ rzeczywiście mieszkał w nim przez swoje krótkie „zawsze”. I takich Iwanów Denisowiczów<sup>[43]</sup>, Rama, w każdym twoim dniu jest więcej niż dni w roku...

Zdanie o Iwanie Denisowiczu było chyba cytatem z Czechowa. Nie miało jednak szczególnego sensu – Dracula prawdopodobnie posłużył się przykładem z naszej lokalnej kultury po prostu z czystej uprzejmości.

– Ale przecież ludzie mają stałe, powtarzające się stany – powiedziałem. – To, co nazywamy „trasą osobowości”! Wie o tym każdy wampir, który zaglądał w cudzą duszę.

– Słusznie – zgodził się Dracula. – Nieskończone osobowości powstające w jednym i tym samym domu po prostu z uwagi na jego

architekturę chodzą po jednej i tej samej trasie. Wszystkie samochody jadące Oxford Street jadą właśnie Oxford Street, a nie ulicą Twerską. I mają za oknami jednakowy widok. Ale to są różne samochody, Rama. Chociaż masz rację co do tego, że różnica między nimi jest niewielka. Nasze „ja” są cykliczne i zależą od krajobrazu. Różnią się między sobą równie mało jak niezliczone pokolenia Indian znad Amazonki albo chłopów spod Tambowa. Masowi zabójcy rodzą się w ludzkich umysłach dość rzadko. Ale za to długo się ich pamięta. Chociaż oczywiście policjanci łapią i stawiają przed sądem już kogoś całkiem innego.

– A więc uprawiamy samooszukiwanie? – spytała Hera. – I ludzie, i wampiry?

– Nie nazwałbym tego samooszukiwaniem, bo nie ma tu oszukanego. Ale na tym mechanizmie opiera się większość właściwych człowiekowi mylnych sądów w kwestiach „siebie” i „świata”. Istotą starożytnych praktyk duchowych jest właśnie próba zbudzenia się z tego stanu. Ale bardzo



trudno sprawić, by to przebudzenie było stałe, powód zaś jest dość komiczny. Nie ma kto uświadomić sobie na dłużej, że w człowieku nie istnieje prawdziwe „ja”. Każde „ja”, które to sobie uświadamia, natychmiast zostaje zastąpione innym, które już o tym nie pamięta. Albo, co jeszcze śmieszniejsze, jest przekonane, że pamięta, i uważa się za „ja” oświecone, które teraz może wykładać na kursach „poznaj samego siebie”.

– No więc można się obudzić czy nie? – zapytałem.

– Nie ma kto się budzić. To jest właśnie ta jedyna rzecz, jaką sobie uświadamiasz po przebudzeniu.

– A potem? – spytała Hera.

– Z reguły znowu zasypiasz. W ziemskim życiu jest tylko zombiczny trans, nieskończony szereg fałszywych samoidentyfikacji i śmierć...

Hera milczała zasepiona.

Już dawno zauważyłem, że kobiety nie znoszą gadaniny o nierealności człowieka. Może

z powodu swojej funkcji biologicznej? Rodzą  
wszak dzieci, a owo trudne i bolesne zajęcie staje  
się w dodatku dość głupie, jeżeli wokół jest tylko  
iluzja. Nie wiedziałem jednak dotychczas, że tę  
cechę kobiety zachowują także w limbo.

Poczułem, że powinienem się wtrącić do  
rozmowy.

– Mówiłeś, sadhu, że postanowiłeś zbadać  
naturę i przeznaczenie „ja” – przypomniałem. –  
Powiedzmy, że co do natury sprawa jest jasna. Ale  
co wobec tego jest przeznaczeniem „ja”?

Dracula odwrócił się do mnie.

– Zadałem sobie to samo pytanie –  
powiedział. – Po co się pojawiają te wszystkie  
niezliczone „ja”? Czym się zajmują?

– I co się okazało?

Dracula westchnął.

– Zajmują się tym, Rama, że cierpią,  
odczuwając tę czy inną formę niezadowolenia.  
I starają się to niezadowolenie zlikwidować. „Ja”  
nigdy nie jest w stanie spoczynku. Zawsze walczy

o swoje szczęście. I za każdym razem pojawia się na świecie właśnie dla owej walki.

– Racja – zgodziła się Hera. – Wszyscy klasycy humanizmu twierdzili, że naturą człowieka jest ciągle poszukiwanie szczęścia.

– Istnieje wszakże – powiedział Dracula – prawo Gautamy, odkryte dwadzieścia pięć wieków temu. Kiedy żadnych klasyków humanizmu nie było jeszcze nawet w projekcie. Prawo to głosi: „Kaźde drgnięcie umysłu, zajętego poszukiwaniem szczęścia, jest cierpieniem albo staje się jego przyczyną”.

– To nieprawda – zaoponowała Hera. – Radość życia polega właśnie na dążeniu do szczęścia. Od złego do dobrego. Gdybyśmy nie chcieli dobrego, po prostu nie byłoby go w życiu. A jest. Czyż nie?

Dracula się uśmiechnął.

– Dobrze, złe. Kto nazywa jedne rzeczy złymi, a inne dobrymi?

– Umysł B – powiedziałem.

– No właśnie. A dlaczego waszym zdaniem to

robi?

Wzruszyłem ramionami.

– Proszę wyjaśnić.

– Wyjaśniam – odrzekł Dracula. – Mówiąc metaforycznie, możemy wykorzystać swój umysł na dwa sposoby. Jako młotek i jako kompas.

– Jako młotek? – spytałem. – Czyli co, wbijać głową gwoździe?

– Dlaczego głową? Jeśli człowiek chce wbić gwóźdź w ścianę, wyobraża sobie tę czynność w umyśle, a potem realizuje w praktyce. I używa przy tym umysłu jako narzędzia pracy, na przykład jako młotka...

Dracula przeniósł spojrzenie na Herę.

– Natomiast jeśli człowiek „szuka szczęścia” – ciągnął – wykorzystuje umysł jako kompas, którego strzałki pokazują „złe”, „dobre”, „szczęście” i „nieszczęście”. Właśnie w tym kryje się przyczyna wszystkich problemów. Słuchacie Boba Dylana? Ujął to absolutnie genialnie: „*Every man's conscience is wild and depraved – you*

*cannot depend on it to be your guide, when it's you who must keep it satisfied..."*<sup>[44]</sup> Rozumiecie? To oszalały kompas, który wciąż musicie karmić własną krwią. Umysł jest tak zbudowany, że nieuchronnie rodzi się w nim cierpienie.

Przy słowie „krew” Hera się skrzywiła.

– Dlaczego? – spytała.

– Dlatego, że jest zajęty poszukiwaniem szczęścia. A umysł w pogoni za szczęściem może podążać tylko w stronę stworzonego przez samego siebie mirażu, który ciągle się zmienia. W świecie zewnętrznym nie ma żadnego szczęścia, są tam tylko obiekty materialne. Cierpienie to właśnie niemożność pochwycenia fantomu, stworzonego przez wyobraźnię. Na cokolwiek wskazywałby kompas, tak naprawdę zawsze wskazuje sam na siebie. Ponieważ zaś kompas z racji swej budowy nie może wskazać na siebie, jego strzałka cały czas będzie wirować jak śmigło. Nietrwałe obrazy szczęścia są tworem umysłu – a umysł, ścigający własny cień, zawsze będzie odczuwać ból, że nie

jest w stanie pochwycić tego, co nie istnieje... I nawet jeśli uda mu się uchwycić swoje odbicie, po sekundzie nie będzie mu już ono potrzebne.

– Jakoś tak skaczemy z tematu na temat – powiedziałem. – Sadhu, czy „ja” i umysł to jedno i to samo?

– Tak – odrzekł Dracula – oczywiście. „Ja” powstaje w umyśle. Albo można powiedzieć, że umysł staje się owym „ja”. Umysł B, jak słusznie zauważyłeś. Umysł, oparty na języku i stwarzający ludzkie znaczenia i cele.

– Ale skoro nie ma żadnego „ja”, to znaczy, że nie ma również żadnego umysłu?

Ku mojemu zdziwieniu Dracula przytaknął.

– Otóż to. W oderwaniu od owej pogoni za szczęściem żaden umysł nie istnieje. Sam umysł jest właśnie tą pogonią. Czymś, co powstaje na mgnienie tylko po to, by rzucić się w pogoń za własnym cieniem, cierpieć, że nie może go dogonić, a potem niezauważalnie dla samego siebie zniknąć na zawsze. Następny umysł będzie

już ścigać inny cień – i cierpieć inaczej. Ale zniknie równie niepostrzeżenie jak niezliczone umysły, które powstały przed nim.

– Z tego wynika – przerwała milczenie Hera – że tak naprawdę nic nie istnieje, ale wszystko niewyobrażalnie cierpi.

– Tak właśnie jest – przytaknął Dracula z niezmaconym uśmiechem. – Lepiej bym tego nie ujął.

– Żaden wampir się z tym nie zgodzi – powiedziała Hera. – Nawet ludzie, którzy coś osiągnęli, też się nie zgodzą. I powiedzą, że istnieją, i to jeszcze jak, i są przy tym całkiem szczęśliwi.

– A mało to się mówi? – Dracula machnął ręką. – Wampiry są tak zakompleksione, że już od wielu wieków nie pozwalają sobie swobodnie myśleć. A ludzie tego w ogóle nigdy nie umieli. Co więcej, dzisiejsza etykieta rynkowa wymaga, by sprzedawca siły roboczej cały czas się uśmiechał pod groźbą zwolnienia. Ludzie nie zdają sobie

sprawy, że nieustannie krzyczą z bólu. A jeśli ktoś nawet to zrozumie, nie odważy się przyznać nawet samemu sobie do takiej przegranej.

– Jak to ludzie nie zdają sobie sprawy, że krzyczą z bólu?

– A jak mogą sobie zdać sprawę? Ludzie nie pamiętają, co się z nimi w rzeczywistości dzieje minuta po minucie, ponieważ nie mają nawyku obserwowania samych siebie. I żadna nowa osobowość nie pamięta tej, która cierpiała na jej miejscu trzy minuty temu. Ludzie są tak dalece pogrążeni w cierpieniu, że nauczyli się uważać za „szczęście” taki jego poziom, kiedy jeszcze są w stanie rozciągnąć usta w wymaganym przez przyzwoitość uśmiechu. Człowiek musi odgrywać ten idiotyczny spektakl nawet w samotności, ponieważ w jego wewnętrznym wymiarze nie ma niczego prócz kontrolujących jego myśli i emocje socjalnych implantów, które od dziecka bierze za samego siebie...

Czułem, że Dracula zaczyna nie na żarty złościć



Herę, jakby nieustannie obrażał najskrytszą warstwę jej świadomości – już nie pierwiastek kobiecy, ale znacznie głębszy, wielkomysi. Należało skierować rozmowę na spokojniejszą tory.

– Wiele religii utrzymuje, że człowiek ma w sobie coś głęboko ukrytego i niezmiennego, czyli duszę – powiedziałem. – Która przeżywa różne nastroje i stany, ale jako całość przeznaczona jest do życia wiecznego.

Dracula kiwnął głową.

– Aha. Mamy na przykład urządzenie, które nazywamy „balonem”. Zakładamy, że jego zadaniem jest wznieść się w niebo. Tymczasem ono rok po roku sprawnie kosi trawnik, a reszta nie za bardzo mu wychodzi. W tej sytuacji należy przypuszczać, że w istocie mamy do czynienia z kosiarką do trawy, nieprawdaż?

– No dobrze – powiedziałem. – Ale po co istnieje ta kosiarka? Po co ta ociekająca cierpieniem iluzja w samym środku ludzkiego

istnienia?

– Naprawdę nie rozumiesz? – zapytał.

Pokręciłem przecząco głową.

– Ja wiem, do czego on zmierza – wtrąciła Hera. – Chce powiedzieć...

– Cierpienie płynące z iluzji to właśnie nasz pokarm – rzekł Dracula. – A raczej teraz już nasz pokarm. Wampiry nie żywią się jakimś abstrakcyjnym „agregatem M5”, jak to nazywacie zgodnie z poprawnością polityczną. Żywią się bólem. „Agregat M5” jest ze swej natury cierpieniem, którym kończy się praktycznie każdy akt myślowy umysłu B.

– Ale uczą nas, że „agregat M5” jest tym samym, co pieniądze – powiedziałem niepewnie.

– Słusznie – zgodził się Dracula. – A pieniądze – tym samym, co ból. Mają tę samą naturę. Ludzie przez całe życie skrecają się z bólu w pogoni za pieniędzmi. Czasem zaś mogą za ich pomocą na krótko wykupić się od cierpienia. No więc cóż to jest?

– Nie mogę uwierzyć... – zaczęła Hera.

Dracula podniósł rękę, prosząc, by się nie trudziła.

– Wampiry nigdy nie lubiły mówić o tym, że żywią się ludzkim cierpieniem. Ale obecnie doszły do tego, że nawet zabraniają sobie tak myśleć. Wmawiają sobie, że żywią się jakimś szczególnym produktem umysłu B, który nazywają albo „agregatem M5”, albo „bablosem”. Ale czyż zawartość pudełka zależy od etykiety? Bablos to nic innego jak skondensowane ludzkie cierpienie. Cała glamourodyskursywna ekonomika, której naucza się młode wampiry, istnieje tylko po to, żeby łopaty nie nazywać łopata. To po prostu listek figowy, ukrywający nieładną prawdę.

– Brzmi to prawie jak *blood libel* – powiedziała Hera. – Gdybym nie wiedziała, że rozmawiam z samym Draculą...

– Po prostu nazywam rzeczy po imieniu – odparł Dracula. – Przedstawiam swoją ewolucję duchową tak, jak przebiegała. Jeśli to was nie

interesuje, mogą zamilknąć.

– Interesuje nas – powiedziałem. – Proszę kontynuować, sadhu.

– Kiedy zrozumiałem, że człowiek jest po prostu fabryką bólu, zadałem sobie pytanie, czy ktoś przede mną doszedł już do takiego wniosku. I od razu stwierdziłem, że taki człowiek – właśnie człowiek, a nie wampir – żył już na ziemi. Był to Siddharta Gautama, znany jako Budda. Postanowiłem przestudiować jego naukę i sięgnąłem do starożytnych tekstów. Tu wszakże czekało mnie rozczarowanie. Słowa Buddy zostały po raz pierwszy zapisane dopiero pięćset lat po ich wypowiedzeniu. Wcześniej przekazywano je ustnie. Bardzo trudno było oddzielić jego autentyczną naukę od późniejszych nawarstwień. Zauważyłem jednak pewną dziwną rzecz. Budda nigdy nie odpowiadał na pytanie, dlaczego istnieje świat broczący cierpieniem, chociaż takie pytania niejednokrotnie mu zadawano. Mówił, że dla ranionego strzałą nie jest ważne, kto tę strzałę wypuścił – ważne jest, by ją wyjąć. To mnie

zdumiało. Została tu naruszona, za przeproszeniem, elementarna logika – jak to nieważne? Kiedy będziemy wyjmować jedną strzałę, on wypuści drugą... Od razu pomyślałem, że Budda miał jakąś umowę z wampirami starożytności. I wkrótce znalazłem dowody. Oczywiście nie w ludzkich dokumentach, ale w zachowanych preparatach ze starych wampotek.

– Gdzie się one zachowały? – spytałem.

– Teraz nie zostało już nic – odrzekł Dracula. – Wampiry umieją zacierać ślady. Znalazłem jednak na Sri Lance resztki starożytnej DNA, dzięki której mogłem zajrzeć w historię Buddy. I dowiedziałem się, co takiego się stało dwa i pół tysiąca lat temu...

Dracula umilkł, jakby się zastanawiał, czy kontynuować.

– Proszę, sadhu, mów dalej – poprosiłem.

– Budda myślał prawie tak jak ja, tylko z ludzkich pozycji. Wcześniej zrozumiał, że życie jest pełne cierpienia. Jednocześnie odkrył, że

jedynym źródłem tego cierpienia jest ludzki umysł. Logika Buddy była prosta. Skoro umysł jest organem produkującym cierpienie, należało ustalić, jakie konkretnie poruszenia umysłu je wywołują. Budda zbadał ten problem i doszedł do wniosku, że cierpieniem są wszystkie bez wyjątku poruszenia umysłu B.

– A zadowolenie? – spytała Hera.

– Rzadkie momenty zadowolenia to po prostu faza cierpienia. Zadowolenie, jak robak na haczyku wędki, służy do tego, by głębiej wciągnąć w ból... Był to wniosek bardzo śmiały w ówczesnej hedonistycznej epoce. Śmiały i zuchwały. Wniosek ten nie miał żadnych rozsądnych podstaw, jako że Budda nie wiedział jeszcze wtedy o istnieniu wampirów, które stworzyły umysł B dla własnych celów. Dlatego odważył się na coś, czego nie robił wcześniej żaden człowiek. Zatrzymał procesy, powstające w umyśle B. Nie zdławił ich, ale odwrócił się od wszystkich przepływających przezeń strumieni emocjonalnych i znaczeniowych – wyszedł,

jakbyśmy dziś powiedzieli, w off-line, całkowicie. Wampiry próbowały go zatrzymać, ale nie zdołały.

– A jak się w ogóle dowiedziały, że on się tym zajmuje?

– W tamtych czasach wampiry nie były dzisiejszymi glamourowymi robakami. Miały prawdziwe zdolności magiczne. Naszym koordynatorem do spraw Indii był wampir imieniem Mara. Władał wszystkimi wyobrażalnymi i niewyobrażalnymi magicznymi umiejętnościami, które zdobył głównie dzięki hamlet-jodze...

– Co to jest? – zapytałem.

– Zmieniając pozycję, w której się wisi głową w dół, można rozwijać takie właściwości, jak jasnowidzenie, umiejętność przenikania do cudzego umysłu na dowolną odległość i tak dalej.

– Rama, tylko nie proś, żeby sadhu ci to pokazał – powiedziała Hera akurat w chwili, kiedy chciałem o to poprosić. – Mów dalej, sadhu.

– Wielu nie może zrozumieć, jak staroindyjski

asceta zdołał pokonać światłego wampira, władającego magicznymi mocami. Chodzi o to, że mag może oddziaływać na cudzą świadomość tylko poprzez pojawiające się tam intencje i myśli. Mara mógł pokonać każdego przeciwnika, ale musiał go w ogóle mieć. A Budda wcale nie próbował kontrolować umysłu. Po prostu całkowicie wyszedł z obszaru B. I Mara nie miał gdzie pokazać swoich magicznych mocy – albowiem wampiry mają władzę tylko nad umysłem B.

– Co się stało dalej? – spytałem.

– Kiedy umysł B całkowicie się zatrzymał, Budda ujrzał to, co było poza jego granicami, i pojął to, co znajduje się poza słowami... – Dracula popatrzył w dal i ledwie dostrzegalnie się uśmiechnął. – Niestety, nie jestem w stanie opowiedzieć, co to było...

– Jakoś nie chce mi się wierzyć – powiedziała Hera – kiedy słyszę o tym, co się znajduje poza słowami. Mam wrażenie, że to po prostu ściema.



– To nie tak – odparł Dracula. – Wielu rzeczy nie sposób wyrazić po prostu dlatego, że nie są związane z działaniem umysłu B. Nie można ich opisać, jako że nie figurują w drugim systemie sygnałowym z założonym w nim podziałem na „ja” i „nie-ja”. Jeśli się zastanowić, to nasze doznania stają się nie do opisanego już od momentu, kiedy przestają być nanizane na słowa. A Budda poszedł bez porównania dalej. Zobaczył bezkresne pole niewerbalnych realności, dotychczas ukrytych za wodospadem myśli. Zobaczył to, co jest przed świadomością i po niej. Więcej – ujrzał tego, kto stworzył wampiry. I wiele, wiele innych rzeczy. A wampiry zobaczyły jego...

– Kto stworzył wampiry? – spytała Hera.

Dracula rozłożył ręce.

– Jak wiecie, wampiry zazwyczaj używają określenia „Wielki Wampir”. Ale te słowa tylko dezorientują.

– A co, można go zobaczyć?

Dracula przytaknął.

– Ale to będzie zupełnie nie to, czego oczekujesz – powiedział. – I w ogóle nie ma sensu o tym mówić.

– Co było dalej? – spytałem.

– Budda zawarł z wampirami tajne porozumienie. Polegało ono na tym, że Budda obiecał nie rozgłaszać prawdy o celu istnienia człowieka i jego prawdziwych panów, a wampiry ze swej strony obiecały nie przeszkadzać tym spośród ludzi, którzy zechcą pójść w ślady Buddy.

– Czy to znaczy, sadhu, że wampiry wypuściły na wolność wszystkich chętnych?

– Człowieka nie można wypuścić na wolność – powiedział Dracula. – Powinni byli wam to wyjaśnić na szkoleniu. „Wolność” to po prostu jedna z błyszek umysłu B. Wampiry kierowały się elementarną rachubą. Zrozumiały, że za Buddą pójdzie niewielu, ponieważ droga, jaką proponuje, przeczy fundamentalnej naturze człowieka. Postanowiły zostawić te drzwi otwarte, żeby rządzony przez nie świat z formalnego punktu

widzenia nie mógł się uważać za kosmiczny obóz koncentracyjny... Albowiem we wszechświecie wiele jest uważnych oczu, które obserwują to, co się dzieje w czasie i przestrzeni.

– I jak się to wszystko skończyło?

– Budda dotrzymał swojej części porozumienia. Nigdy nie odpowiadał na pytania o to, po co istnieje świat i kto stworzył człowieka. Władcy ludzkości nie okazali się równie uczciwi. Chodziło o to, że zaproponowane przez Buddę metody pracy nad umysłem B okazały się tak efektywne, iż w ślad za nim doznała objawienia ogromna liczba ludzi. Niektórzy doznawali go po wysłuchaniu zaledwie jednego kazania Buddy. Dlatego po śmierci Buddy jego nauka została wypaczona, a umysł B zmodyfikowany w taki sposób, by uczynić wyzwolenie znacznie trudniejszym.

– A na czym to wyzwolenie polega? – spytała Hera. – Dopiero co przecież powiedziałaś, że nie ma kto go osiągnąć.

– Istota wyzwolenia jest prosta – powiedział

Dracula – i całkowicie nie do przyjęcia dla wampirów. Wystarczy, że człowiek przestanie wytwarzać agregat M5 – albo, jak mówił Budda, dukhę. W tym celu powinien stopniowo wygasić generator cierpienia, który uważa za samego siebie. Umysł B, wygasając, staje się przezroczysty i zaczyna przezeń prześwitywać budulec, z którego wybudowano fabrykę bólu. Tym materiałem wyjściowym są nieskończony spokój, błogość i wolność, nie wymagające absolutnie żadnych działań.

– Raj? – spytałem.

Dracula przecząco pokręcił głową.

– Scholastyk mógłby powiedzieć, że to raj, z którego człowiek został kiedyś wypędzony. Ale takie postawienie sprawy zawiera pułapkę znaczeniową, albowiem człowiek nie może być wygnany z raju lub tam wzięty. Człowiek ze swej natury jest procesem, a ten proces to właśnie nieustanne wygnanie z raju. Istnienie człowieka polega na owym wygnaniu. Przy czym żadne byty,

które przedtem mieszkały w raju i stały się ludźmi, nie istnieją. Człowiek pojawia się jakby w rezultacie wywrócenia raju na lewą stronę, jego deportacji z samego siebie. Ludzie są jak zdania nieosobowe, w których nie ma podmiotu, tylko orzeczenie z różnych form czasownika „cierpieć”...

– A czym jest raj? – zapytałem.

– „Raj” jest błogością, wolnością i spokojem – odrzekł Dracula. – Ale tylko w porównaniu ze zwykłym ludzkim stanem nieustannego cierpienia. Sam jako taki jest całkowicie pozbawiony cech i właściwości.

– Czymże więc jest? – zainteresowała się ponuro Hera. – Niebytem?

– To zależy, jaki sens nadajesz temu słowu. Niebyt – to najjaśniejszy przebłysk w życiu człowieka. Co się dzieje, kiedy człowiek budzi się w nocy i myśli z przestrawieniem, że już czas do pracy, a potem patrzy na zegarek i widzi, że do rana jeszcze daleko? Odczuwa szczęście. Może

spać jeszcze trzy godziny! Dlaczego z taką ulgą pada na poduszkę? Otóż dlatego, że ma szansę zniknąć jeszcze na parę godzin. Przestać być ciągiem tych ociekających bólem „ja”. Ale nawet sen bez marzeń sennych nie jest wolnością – to po prostu nakręcenie sprężyny przed nowym dniem roboczym w fabryce cierpienia.

– No a ty, sadhu – spytała Hera – ty się w końcu przebudziłeś?

Dracula albo nie dostrzegł ironii w tych słowach, albo udał, że jej nie dostrzega.

– Wiele razy przeżywałem tak zwane przebudzenie, to jest zrozumienie, że za procesem psychosomatycznym, znanym jako życie wewnętrzne człowieka, nie kryje się żaden rzeczywisty podmiot. Wiele razy o tym zapomniałem i pojmowałem na nowo. W końcu prawie powtórzyłem to, co udawało się w starożytności wielu uczniom Buddy. Zbliżyłem się do punktu, w którym takie zrozumienie staje się nieprzerwane.

– Ale kto wtedy rozumie? – spytała Hera.

– W tym właśnie tkwi sedno – uśmiechnął się Dracula. – Nieustanne rozumienie to punkt, w którym nie powstają żadne „ja”.

– A jak się zbliżyłeś do tego punktu? – spytałem.

– Badając fabrykę bólu. Poświęciłem temu dużo czasu i opanowałem metody uwolnienia się od „ja” – w tej postaci, w jakiej uczono ich w starożytności.

– A co, było ich kilka?

– Było ich dość dużo – powiedział Dracula – ale ja stosowałem dwie podstawowe. W czasach Buddy nazywały się one „sprężenie” i „przedarcie się”. Ich ślady do dziś można znaleźć w stertach pisaniny, w której pogrzebano tę naukę, ale do tego trzeba być dobrym archeologiem.

– I co to jest? – zapytałem.

– Techniki walki z powstawaniem nowych „ja”. Chodzi tu o coś w rodzaju kontracepcji albo dezynfekcji. Tak jak wszystko na świecie, „ja” jest procesem. Wprawdzie bardzo szybkim, ale

procesem. Przypominającym błyskawiczne zapłodnienie i poród. Niemniej jednak „ja” zawsze potrzebuje pewnego odcinka czasu, w którym zapuszcza korzenie. „Ja” istnieje tylko w tym interwale. Jeśli umysł zaciska się w punkt, gdzie czas nie istnieje, „ja” nie może powstać. To właśnie jest „sprężenie”.

– A co to jest „przedarcie się”? – zapytałem.

Dracula zrobił gest, jakby rozrywał sznur.

– Proces narodzin „ja” składa się z kilku kolejnych faz. Widać je na zwolnionych zdjęciach umysłu, które potrafią robić niektórzy asceci. Budda naliczył dwanaście takich kolejnych stopni. Jest to pewien rodzaj reakcji łańcuchowej. Z praktycznego punktu widzenia nie jest szczególnie istotne, jak się te etapy nazywają i jak długo trwają. Wystarczy wyodrębnić jedną taką fazę powstawania „ja” i nie pozwolić się jej rozwinąć. Na przykład tę, kiedy strzałka waszego kompasu próbuje pokazać „dobre” i „złe”, „przyjemne” i „nieprzyjemne”. Za każdym razem



zatrzymujecie proces powstawania „ja” w tym punkcie – i rwie się cały łańcuch, bo żaden nie jest mocniejszy niż jego najslabsze ogniwo. Ale to nie jest teoria, tylko nawyk praktyczny. Którego, nawiasem mówiąc, do dziś uczą w niektórych azjatyckich klasztorach.

– I co pozostaje? – spytała Hera.

– Nic – odparł Dracula. – I na tym polega szczęśliwość.

– I ty się nią teraz spokojnie rozkoszujesz?

Dracula rozłożył ręce.

– Nie zdołałem zejść tak daleko jak Budda i jego uczniowie. Widziałem jedynie przebłyski pierwotnego spokoju. Częściowo dlatego, że dla nowożytnego umysłu ta droga jest znacznie trudniejsza. A częściowo dlatego, że nie starczyło mi życia. Zdążyłem jednak opracować ćwiczenia najbardziej odpowiednie dla wampirów – żeby nie powtarzały moich błędów i zmierzały do celu prostą drogą. Nazywają się one „Tajna Czarna Droga”. Wy też możecie spotkać któregoś z moich

uczniów.

– I co było dalej?

– Dalej umarłem – odrzekł Dracula.

– Nie otrzymałeś Złotego Spadochronu, sadhu?

– Nie był mi potrzebny – powiedział Dracula. – Nie miałem gdzie spadać. W tym czasie nie istniały dla mnie góra i dół.

– A potem? – spytała Hera.

Dracula wzruszył ramionami.

– Ponieważ moja praktyka nie była dostatecznie długa, narodziłem się znowu. Ale już nie jako wampir.

Hera zaśmiała się, ale ten śmiech był zimny i zły.

– Jak to? – spytała. – Dopiero co tłumaczyłeś nam przez całą godzinę, że tak naprawdę nie ma żadnego „ja”. A potem mówisz, że narodziłeś się na nowo. Czyli kto się narodził?

– Hero, uczyłaś się przecież w szkole fizyki – powiedział Dracula. – Kiedy fala rozchodzi się

w przestrzeni, każdy jej punkt staje się źródłem nowej fali, w której nie ma nic stałego – to po prostu ruch cząsteczek wody, w każdej sekundzie innych. Kiedy jednak fala napotyka na przegrodę, odbija się i rusza w drugą stronę. Śmierć to granica życia. Fala się o nią nie rozbija. Jedynie odbija się i płynie dalej. Nikt się nie przeradza w piekle czy raju. Po prostu kąt padania równa się kątowi odbicia.

– Większość animogramów donikąd się nie porusza – wtrąciłem. – Aby zaczęły się poruszać, potrzebny jest obserwator.

– Animogramy to kostiumy, zrzucone przez światło, które odleciało – odparł Dracula. – Łuski martwych os. Nadają się tylko do tego, żeby grzebać w przeszłości albo ogłupiać ludzi. Ale nie mają nic wspólnego z tym, co kiedyś nosiło ten kostium... świat pozagrobowy to świat ciemności. Co jednak nie znaczy, że światło, którego ślady badasz, umarło. Ono tylko nosi inne szaty i nie chce nic wiedzieć o tym, co się z nim działo wcześniej. Dlatego, że to się nie działo z nim. Ono

nie ma „ja”. Wampiry nie mają nad nim władzy. I to jest najpiękniejsza rzecz na świecie. Rozumiesz?

Przytaknąłem niepewnie.

– A więc zostałeś bogiem, sadhu? – spytała Hera.

– Tak się to nazywa u was – odrzekł Dracula. – Naprawdę nie ma w tym nic szczególnie dobrego. Zwykły los tych, którzy ponieśli klęskę w praktykach duchowych.

– Wielu przez całe życie modli się o taką klęskę – powiedziałem.

– Zostać bogiem wcale nie jest trudno – odparł Dracula. – Wystarczy tylko, by człowiek przestał karmić sobą wampiry. W tym tego najważniejszego. To właśnie jest ten sekret, który wampiry ukrywają przed ludźmi. Któryś z moich uczniów, Rama, z pewnością opowie ci resztę... Przy pierwszej sposobności.

Hera chwyciła się za głowę, jakby dostała nagłego ataku migreny. Podszedłem i objąłem ją za

ramiona. Drżała – i to drżenie z każdą sekundą narastało.

– Nie denerwuj się, moja droga – powiedziałem. – Po prostu...

Odepchnęła mnie z taką siłą, że odleciałem o kilka metrów i wpadłem na jeden z foteli.

– Zaraz wszystko zrozumie – oznajmiła. – Wszystko zrozumie i sobie przypomnę i będzie z tobą źle, sadhu... Bardzo źle...

Zastygły na jej twarzy ból stopniowo zmieniał się w grymas wściekłości. Machnęła rękami, jakby zarzucając coś na Draculę. Potem jeszcze raz. Był to piękny ruch – jakby próbowała dopłynąć do niego stylem motylkowym. Spostrzegłem jednak, że jej ręce zaczynają się zmieniać.

Najpierw zrobiły się szare. Potem zaczęły się szybko pogrubiać, a ich pokracznie wydłużające się palce, połączone ciemnymi błonami, jęły się zamieniać w ogromne mszyste skrzydła, które za każdym wymachem pędziły przed sobą falę wiatru.

Wiatr szybko nabierał siły huraganu,

wprawiając w ruch stojące w sali meble. Dywany poderwały w górę, fotele i kanapy pojechały po podłodze. Nieruchome pozostało tylko biurko, na którym siedział Dracula.

Na miejscu Hery było już coś nieokreślonego – szare cielsko, machające skrzydłami coraz silniej i szybciej. Biurko z Draculą zachwiało się – i wtedy sadhu podniósł rękę.

Rozjarzył się w niej złocisto-błękitny płomyk. Rozciągnął się w górę i w dół i zamienił w cienki złoty kij, którym Dracula uderzył w posadzkę. Błysnęło oślepiająco i na kilka sekund przestałem widzieć. A kiedy odzyskałem wzrok...

Biurko z siedzącym na nim Draculą znikło. Zamiast niego zobaczyłem wyrastający z podłogi ogromny kwiat o czerwonych płatkach. W jego środku stała cienka niebieska figurka Draculi, wykonującego rękami dziwne ruchy.

Dłonie miał puste, ale w niepojęty sposób tak je przemieszczał w przestrzeni, że w niektórych miejscach pozostawiały swoje odbicia albo

cienie. Każda z tych widmowych rąk trzymała jakiś przedmiot. Jeden przypominał w zarysach dzwon, drugi trójząb, trzeci wachlarz. Trzy pozostałe przedmioty nie były podobne do niczego, co znałem. Wszystko to natychmiast zaczynało blednąć i się rozplýwać, ale ręce Draculi znów ukazywały się w tych samych miejscach i ich odbicia w powietrzu znowu stawały się wyraźne i materialne. Potem ręce jęły się poruszać z taką szybkością, że przestały być widoczne. I wtedy ujrzałem wyraźnie istotę o sześciu rękach, z których każda dzierżyła atrybut nieziemskiej potęgi.

– Zdrajco! – krzyknęła Hera.

To już nie była Hera, ale rozrastająca się z każdą sekundą Isztar. Coraz gwałtowniej machała skrzydłami i wszystko, co się znalazło w zasięgu wzbijanego przez nie wiatru, odrywało się z miejsc, toczyło po podłodze i rozbijało o ścianę w głębi sali. Potem runęła sama ściana, za którą otwarło się czarne nocne niebo.

Wtedy stojący w olbrzymim kwiecie Dracula machnął jednocześnie wszystkimi sześcioma rękami i pomiędzy nim a Isztar pojawiła się przezroczysta błękitnawa ściana, podobna do zalodzonej szyby. Skrzydła Isztar kilka razy uderzyły w przegrodę, nie wyrządzając jej żadnej szkody, a potem jedno skrzydło rozrosło się tak, że zahaczyło o mnie i cisnęło mną na przezroczystą ścianę.

Ocknąłem się, kiedy ktoś prysnął mi w twarz bardzo zimną wodą. Chyba nawet z okruchami lodu, z których jeden ukłuł mnie boleśnie w zamkniętą powiekę. Otworzyłem oczy. Stała przede mną jedna ze służących Isztar. W rękach trzymała srebrne wiaderko do szampana.

W pierwszej chwili wydało mi się, że służąca zwisa z sufitu. A potem zrozumiałem, że ona akurat stoi na ziemi i że to ja zwisam z połączanej żerdzi.

Widząc, że oprzytomniałem, służąca natychmiast zniknęła za drzwiami. Chwyciłem pleciony jedwabny sznur, pociągnąłem zań i podobna do



olbrzymiego rzeźbionego strzemięcia konstrukcja opuściła mnie na podłogę. Ciągłe jeszcze omijając wzrokiem głowę Hery w jej perłowej muszli, zląłem z żerdzi, stanąłem na nogi (mocno zdrętwiały, co nigdy nie zdarzało mi się we własnym hamlecie) i objąłem rękami głowę. Bolała mnie tak, jakbym rzeczywiście uderzył się o tę ścianę.

Nagle usłyszałem cichy głos Hery i drgnąłem zaskoczony. Hera śpiewała:

– Hej, na stawie rzeża rdzawa, nie przegląda spod niej woda.

Rosła tutaj świeża trawa – i ja byłem kiedyś młoda...

Tego się nie spodziewałem. Spojrzałem na nią. Hera wpatrywała się w kąt. W oczach błyszczały jej łzy. Spostrzegłem między jej brwiami cieniutką pionową zmarszczkę – wcześniej jej nie było.

Jeszcze przed chwilą myślałem o tysiącu różnych rzeczy i moim głównym uczuciem był

strach. Ale teraz wszystko nagle zniknęło i pozostało tylko współczucie. Podszedłem, objąłem jej głowę i zacząłem ją gładzić po włosach, mamrocząc niewyraźnie słowa z gruntu fałszywej pociechy:

– No już, kochanie, no już. Nie płacz... Wszystko będzie dobrze...

Ale Hera płakała coraz gwałtowniej, tak że wkrótce miałem na koszuli wielką moką plamę. Potem popatrzyła mi w oczy i zapytała cicho:

– Powiedz mi, Rama. Tylko szczerze. Czy ty mnie jeszcze choć trochę kochasz?

– Daj spokój, myszko – powiedziałem. – Na pewno trochę tak. Po prostu nie w porę mnie kąsas. Kiedy jestem w depresji.

– Dziękuję – szepnęła. – Nawet jeśli kłamiesz. A teraz chodź tu... Nie, bliżej. Jeszcze bliżej... Nie bój się. Nie zjem.



Wydawnictwo Literackie

## TARCZA OJCZYZNY

Spóźniłem się bardzo na spotkanie w Sali Przyjęć. Kiedy wszedłem, Enlil Maratowicz wymyślał na czym świat stoi skulonym chaldejom:

– Muzułmanie mają proroka! Żydzi to, że są narodem wybranym! Amerykanie mają wolność! Chińczycy pięć tysięcy lat historii! A my nie mamy nic. W ogóle nic, za co się można normalnie obrazić. Władowaliśmy pięćdziesiąt milionów – i to się nie liczy. Przeciwnie! Jeszcze nam mówią, żebyśmy skakali na dwóch łapkach przed angielskim wywiadem! Oto, jak pracują zachodni chaldeje! A wy... Ile to już lat nie możecie nic wymyślić w odpowiedzi! Toniemy nawet w problemach technicznych. Mamy przesrane wszystkie dyskursy. Rosja nie jest w stanie

wygenerować ani jednego porządnego symulakru, który na informacyjnym polu bitwy mógłby konkurować z zagranicznymi wzorcami... Ani jednego! Wstyd! Co mam zrobić, poprzegryzać wam gardła i wypić krew, żebyście zrozumieli, jaka to poważna sprawa?

– Pracujemy – ledwie dosłyszalnie powiedział Kałdawaszkin.

– Chcę widzieć rezultaty, jasne? Rezultaty!

Enlil Maratowicz zauważył mnie wreszcie i z niezadowoleniem kiwnął głową.

– No dobra – powiedział, uspokajając się. – Wszyscy są. Możemy zaczynać.

Kałdawaszkin położył swoją dyplomatkę na podłodze, otworzył ją i ustawił znajdujący się w środku projektor w gotowości bojowej. Najwyraźniej miała się odbyć prezentacja.

– Nie ma tu ekranu? – zapytał.

Enlil Maratowicz wskazał na sufit.

– Może być tutaj. A co chcecie pokazać?

– Fazę końcową, tak jak pan kazał. Po ośmiu cyklach i sześciu odgałęzieniach.

– Co, już wszystko wyliczyliście? – zdziwił się Enlil Maratowicz.

– Uhm – odparł Kałdawaszkin. – Przecież to odpowiedzialna robota. Nie spaliśmy po nocach.

– No to zaczynajcie.

W sali panował półmrok, więc nie trzeba było gasić światła. Na suficie rozjaśnił się bładny prostokąt. Zobaczyłem salę pełną ludzi i długi wybieg z napisem „Гражд@нка ГламурЪ”<sup>[45]</sup>.

Po wybiegu szła modelka w jakimś skomplikowanym stroju, złożonym z kilku różnokolorowych szali, osłaniających jej piersi i biodra. Doszedłszy na skraj wybiegu, chwyciła się dłońmi za ramiona i odrzuciła głowę – taka świeca, topniejąca w ogniu namiętności. Odczekała parę sekund w tej pozie, po czym zapraszająco spojrzała w obiektyw i przemówiła:

– Cargo-liberalizm jako stan duszy powstaje wtedy, kiedy człowiek, żyjący

w niesprawiedliwym i fałszywym społeczeństwie widzi, że obok jest grupa ludzi, która z nieznanых powodów posiada poważne przywileje socjalne...

Zakołysała rękami i górna część jej stroju zsunęła się na podłogę, ukazując bladoliliowy stanik, po brzegi wypełniony silikonowym biustem.

– Obserwując elity – ciągnęła, wyginając się – człowiek przejmuje charakterystyczny dla nich zestaw rytualnych okrzyków, uzyskując w ten sposób symboliczne prawo do przywilejów socjalnych – zazwyczaj tylko w swoich własnych oczach.

Na podłogę upadło jeszcze kilka kolorowych szali i modelka pozostała tylko w liliowej jedwabnej bieliźnie i w pantoflach na wysokich obcasach.

– Większość ludzi myśli, że znaleźć się w tej wymagowanej kolejce po darmową zupełną zółwiową znaczy właśnie „podzielać ideologię” – powiedziała. – Klasyczny liberalizm jest jednym

z najwyższych humanitarnych osiągnięć ludzkości. Uczynić nawet z niego brudną rosyjską nieprawdę – to unikatowe know-how zbliżonego do kręgów władzy inteligenta, który już od ćwierć wieku jest na posyłki u złodziei. Zamienić słowo „liberalizm” w najbardziej plugawe narodowe przekleństwo – znaczy w istocie zmarginalizować cały naród, zepchnąć go na pobocze światowego postępu. Ale rosyjskich mafijnych consiglieri nazywa się „liberalną inteligencją” przez czyste nieporozumienie. Istnieje do tego nie więcej podstaw niż do nazwania kupczących swoim ludem afrykańskich szamanów „Europejczykami” tylko dlatego, że w celach rytualnych noszą holenderskie koronki. Coś takiego jest możliwe tylko w społeczeństwie, które przez osiemdziesiąt – a teraz już i przez całe sto lat – żyło w fałszu i całkowicie nim przesiąkło...

Przez kilka sekund wirowała jak fryga, następnie zatrzymała się gwałtownie, wbijając obcas w podłogę, a potem nagle straciła zainteresowanie kamerą i oddaliła się z powrotem



po wybiegu.

W drodze minęła się z ciemnooliwkową dziewczyną, przystrojoną w jakieś wesołe pióra, z barwami wojennymi na twarzy i najprawdziwszą włócznią w ręce.

Dziewczyna z włócznią nasuwała na myśl zadbaną walkirię na pięciogwiazdkowej plaży, z lekka skacowaną po imprezach i detoksie. Jej strój zapowiadał bardziej ekspresyjną prezentację. I rzeczywiście – podeszła na skraj wybiegu, machnęła włócznią i krzyknęła:

– Poczujesz tchnienie wolności! I oznajmiasz: koniec z obciążaniem brudnego fiuta tubylczym czekistowskim kacykom! Będę robić loda tylko certyfikowanym międzynarodowym korporacjom na poziomie globalnym! Bo tego wymaga mój honor! Ululu! Biedaku, jeszcze się nie skapowałeś, że najbliższy ci czekistowski kacyk to właśnie wycelowany w ciebie certyfikowany fiut międzynarodowych korporacji, albowiem siły dobra zawsze znajdują ze sobą wspólny język,

a poza nimi na świecie od dawna niczego już nie ma! Ululu!

Z tym „ululu” cisnęła włócznią w widownię, odwróciła się i dumnie ruszyła z powrotem.

Naprzeciw niej szła inna dziewczyna – w czymś w rodzaju kolorowej marynarki, spod której zwisały rzadkie paski przezroczystej tkaniny, ozdobione kosmatymi gwiazdami.

– Podstawowym zadaniem rosyjskiego liberalnego establishmentu – zaczęła, obróciwszy się o trzysta sześćdziesiąt stopni – jest nie dopuścić, by władza odeszła od chroniącej ją czekistowskiej junty. Właśnie dlatego wszyscy pokazywani przez telewizję luminarze liberalnej myśli budzą w widzach takie obrzydzenie, strach i uczucia niepoprawne politycznie, że rzadko który kulturalny człowiek ma odwagę się do nich przyznać nawet przed samym sobą. Taka właśnie jest ich podstawowa funkcja...

Rozpięła marynarkę, zrzuciła ją z ramion i marynarka płynnie zsunęła się na podłogę. Teraz

dziewczyna pozostała tylko w luźno poszczepianych przezroczystych paskach z czerwonymi gwiazdami z mechatego materiału. Wyglądało to i pięknie, i niepokojąco – gwiazdy przypominały coś pośredniego między kwiatami a ranami.

– Gdy tylko czekistowskiej juncie ziemia zaczyna się usuwać spod nóg – ciągnęła, wykonując biodrami takie ruchy, jakby kręciła się na nich niewidzialna obręcz – cargo-liberalna inteligencja tworzy kolejny „komitet wolnej Rosji”, który w tak obrzydliwy sposób przypomina o roku siedemnastym i dziewięćdziesiątym trzecim, że wywołuje to u widzów skrzyżowanie odruchu wymiotnego z syndromem sztokholmskim i czekistowska junta otrzymuje siedemdziesiąt procent głosów, po czym cargo-liberałowie przez kilka lat pyskują na to, jaki im się dostał naród, a naród z poczuciem winy odwraca oczy...

Teraz kręciła biodrami z taką szybkością, że paski tkaniny na jej ciele właściwie niczego już nie ukrywały.

– Potem cykl się powtarza – ciągnęła, z trudem chwytając oddech. – Cargo-liberalne i czekistowskie podzespoły tego mechanizmu to nic innego, jak elementy jednego i tego samego złodziejskiego schematu, jego aspekty siłowy i kulturowy, yin i yang, które są jeden bez drugiego równie nie do pomyślenia, jak Wyższa Szkoła Ekonomiki i spółdzielnia „Oziero”<sup>[46]</sup>...

Zrobiła ostatni ruch biodrami – bardzo szybki, jakby zrzucała obręcz – odwróciła się i odeszła.

– Rozumiem – powiedział Enlil Maratowicz. – Będzie się nosić wszystko jasne i lewicowe. Dalej nie trzeba.

Prostokąt światła na suficie znieruchomiał.

– Dlaczego w słowie „glamour” daliście na końcu twardey znak<sup>[47]</sup>, a w słowie „grażdanka” małpę?

– To są takie ololo z kultury młodzieżowej – wyjaśnił Samarcew. – Nazywamy je memokodami.

– Memokody? – powtórzył Enlil Maratowicz. – Co to jest?

– Taki... Jakby to powiedzieć... specjalny tag, który wskazuje, że dana informacja pochodzi od młodych, świątłych i modnych sił. Z samego łona klasy kreatywnej.

– A czemu to ma służyć?

– Za pomocą takich tagów można podnosić poziom zaufania do swojej informacji – powiedział Samarcew. – Albo obniżać poziom zaufania do cudzej. Jeżeli obywatele nie znający kodów kulturowych o coś pana oskarżą, wystarczy, że przedstawi pan parę odpowiednich memokodów i wszelkie oskarżenia pod pańskim adresem wydadzą się absurdalne. Oczywiście, jeśli będzie pan miał na sobie właściwą koszulkę i w odpowiednim momencie powie pan „czad” albo „szacun”.

– Rama, czy ty rozumiesz, co on mówi? – zapytał Enlil Maratowicz.

Kiwnąłem głową.

– Klasa kreatywna, co to za jedni?

– To tacy, którzy ściągają przez torrenty

i bluzgają w komentach – odparłem.

– I co jeszcze robią?

– Ćwierkają na twitterze.

– A z czego żyją?

– Jak wszyscy – powiedział Kałdawaszkin – z naftowej renty. Coś przecież jednak dopływa.

– Burzą się teraz w Ameryce – dodał Samarcew. – Niczym lud rzymski. Żądają welfare’u i contentu, jak kiedyś chleba i igrzysk. Teraz cała ich demokracja się wokół tego kręci.

– Rozumiem – powiedział Enlil Maratowicz. – Zawsze tak do mnie mówcie – krótko, jasno i treściwie. Bo wciąż ze wszystkich stron słyszę o tych interseksualistach, a nie chce mi się kąsać. Rama, ty jesteś tu najbardziej kreatywny. Powiedz, czy te ololo-memokody cię przekonały?

Poczułem, że trzeba rozzuchwalonym Chaldejom utrzyć nosa.

– Niezłe – powiedziałem. – Ale są niedoróbki. Protest został ukazany od strony glamouru. Ale glamour od strony protestu nie. Na przykład

płomienny rewolucjonista, który ma na sobie nie zwykłą marynarkę, ale marynarkę właściwą. Akcent. Rozumiecie?

– Oczywiście – powiedział Szczepkin-Kupernik.

– Zgodzicie się chyba – ciągnąłem – że to już znacznie więcej niż po prostu płomienny rewolucjonista.

– Zapamiętam.

– Właściwy rewolucjonista w płomiennej marynarce – zażartował Samarczew. – Można to zorganizować. Gdzieś w Kazaniu.

– A pan – zwróciłem się do niego – powinien popracować nad nazwą. Bo ta brzmi przedpotopowo. Jakoś po sowiecku. Jakby to był serial o procesie lekarzy morderców. Wreszcie, zastępowanie w słowach rosyjskiej litery „a” małpą z adresu elektronicznego to już właściwie ubiegłe stulecie. Memokody szybko się starzeją. Trzeba ich używać ostrożnie. Szczególnie kiedy nie jesteśmy już zbyt młodzi i z duszy wyraźnie

nam śmierdzi.

Samarcew tylko zachichotał i spróbował szturchnąć mnie palcem w brzuch. Najwyraźniej z zasady się nie obrażał.

– Weźmiemy to pod uwagę – powiedział Kałdawaszkin. – Rzeczywiście Akelle<sup>[48]</sup> lepiej będzie usunąć. Bo wygląda to jakoś wtórnice.

– À propos – wtrącił niedbale Szczepkin-Kupernik – co do ololo. Proszę zwrócić uwagę, jak szybko mainstream utylizuje antymainstreamowy content, który społeczność internetowa wypracowuje po to, by maksymalnie się od niego zdystansować! To po prostu jakieś piekło albo Izrael...

„Izrael” wymówił jak „Izraelg”, by zaznaczyć, że w domyśle jest tam twardy znak. Samarcew chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Enlil Maratowicz chyba się zorientował, że jeśli chaldeje zaczną po kolei przytaczać wszystkie znane im memokody, by pokazać, jak są jeszcze młodzi, może to bardzo długo potrwać.



– No dobra – rzekł, machnąwszy ręką. – Teraz dajcie ten sam fraktal w dyskursie.

– W dyskursie poszliśmy dalej – powiedział Kałdawaszkin. – O trzy cykle. Chce pan zobaczyć ostatni? Gdzie mamy całkowite wygaszanie? Ale materiał jest jeszcze surowy – w zasadzie tylko orientacyjny.

– No dawaj.

Kałdawaszkin pochylił się nad projektorem.

Na suficie pojawił się skraj lasu w wieczornym zmierzchu. Paliło się kilka ognisk, przy których siedziała młodzież o wyglądzie, jak mi się wydało, nieco skinowskim. Między ogniskami a lasem wznosił się rząd chorągwi o wąskich płachtach na długość całego drzewca – zupełnie jak w filmach Kurosawy. Chorągwie były białe, z czerwonym sierpem i młotem. Na ich tle groźnie czerniała współczesna taczanka – pikap z ustawionym na pace wielkokalibrowym karabinem maszynowym na obrotowej podstawie.

Obok karabinu stał mężczyzna z ogoloną głową,

w czarnych okularach. Ubrany był w ciasną skózaną kurtkę, w lekko gejowskim typie, na czole miał białą przepaskę z czerwonym sierpem i młotem. Wyglądał na nieco starszego niż słuchający go skini.

– Problem nie w tym – zagrzniał – że w latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych paru drani ukradło wielką kasę. Problem w tym, że najnowsza historia Rosji zdemoralizowała naród ostatecznie i na zawsze, bez żadnej nadziei na wyleczenie. Jak mamy uczyć dzieci uczciwej pracy, skoro cały wszechświat powstał w wyniku oślepiającego wybuchu złodziejstwa? I uczciwej pracy – dla kogo? Dla tych, co zdążyli się nakraść przed wydaniem rozkazu uczciwości? I ci ludzie, jak powiedział pewien oficer drogówki, zabraniają nam dłużyć lizakiem w nosie... Panowie! Cóż to, serio zamierzacie podnieść poziom moralny społeczeństwa, zabronić rzucania mięchem? Nie warto nawijać z telewizora o moralności, póki ostatniego kocha nie zaduszą kiszka ostatniego czubajsa<sup>[49]</sup>, póki nadal istnieje tak zwana elita –

to jest zorganizowana grupa osób, która zawiąawszy spisek, przesrała szóstą część ładu, przyznała sobie za to astronomiczny bonus i wyjechała do Londynu, zostawiając tu obserwatorów z migaczami i wieżami telewizyjnymi. Ale ci ludzie ze swoim wiecznie zielonym geszeftem zamierzają się ostać pod każdą władzą, co jakoś pozbawia barw romantyczny horyzont przyszłej rewolucji. Człowiek zaczyna rozumieć, że w dzisiejszej Rosji słowo „rewolucja” oznacza tylko jedno – oprócz zardzewiałych szczęk Gułagu, które już rozpiłowali i sprzedali, chcą przepisać na siebie całą ziemię, wodę i powietrze, przygotowując nas do tego, tak jak za pierwszym razem, kaskadą dowcipnych kupletów. *Vive la liberte!*

W mózgu któregoś ze skinów uruchomił się chyba jakiś przypadkowy trigger i gość kilka razy zaklaskał. Rozległy się brawa, co pozwoliło mówcy złapać oddech.

– Bądźmy jednak realistami – podjął – to jest, mówiąc językiem współczesnym, bądźmy

postmodernistami. Wystarczy, że spojrzymy na przeciwną stronę barykady i przestajemy rozumieć, dlaczego jest ona przeciwna. Jest ta sama. Oczywiście, korupcja jest wstrętna. Ale najwstrętniejsza forma korupcji to walka z korupcją na dany znak. Nowa Rosja prawdopodobnie wchłonie wszystko najgorsze, co stworzyła historia, i połączy władzę podstarzałych koleśków z elementami doświadczeń afrykańskich w ramach nowego, jeszcze nie przetestowanego modelu kryptokolonialnego, natchnionego Duchem Świętym. I jeśli jest jeszcze jakieś świństwo, które zapomniałem wymienić w tym krótkim przeglądzie, możecie być pewni, przyjaciele, że w liberalno-dżamahirycznych rządach koleśków przyszłości na pewno się ono znajdzie...

– Co to za Danton? – zapytał Enlil Maratowicz, kiedy prostokąt na suficie znieruchomiał. – Kogo grillujemy?

Samarcew odchrząknął.

– Sam pan zawsze mówi, żeby bez zahamowań.

– Nie, nie, nie szkodzi – powiedział Enli Maratowicz. – Ja przecież nie krytykuję. Chwalę. Ale trzeba to podszlifować. Że się tak wyrażę, wprząc również inne dyskursy. Dla równowagi. I bez tego komuszego lewactwa, to już nudne. Lepiej... Nie wiem. Może jakoś ludowo i pobożnie. Zanotuj sobie. I się zastanów.

Samarcew kiwnął głową.

– Dawaj następne.

Obraz na suficie zamrugał. Pikap z karabinem zniknął i zobaczyłem przełączające się kanały telewizyjne. Przeleciał kawałek mrocznego serialu, kręconego, zgodnie z kanonami nowej wiarygodności, z ręki; kamera podrygiwała w rytm prawdy życia. Nie zdążyłem się jednak połapać, o co chodzi. Ekran zafalował i serial zastąpił inny obraz z plamami zakłóceń. Co najwyraźniej miało wyobrażać nielegalne wejście na antenę.

Zobaczyłem typową scenerię skype'a: dwie skrzyżowane maczety na ścianie i człowieka w masce Guya Fawkesa (w pierwszej chwili

wziętem go za Chaldejca, ale potem spostrzegłem, że maska jest z białego plastiku). Człowiek chyba nie wiedział, że transmisja już się zaczęła – zerkał na swoje odbicie w lustrze.

Zorientowawszy się, że jest już na wizji, Guy Fawkes drgnął i natychmiast zaczął mówić w bardzo szybkim tempie, jakby chciał wcisnąć jak najwięcej informacji w wyrwane cenzurze sekundy.

– W warunkach zagarnięcia renty naftowo-gazowej przez grupę podstarzałych samców alfa, jedyną dostępną technologią rozmnażania, jaka pozostała młodemu pokoleniu, jest odgrodzenie się od reszty społeczeństwa nieprzeniknioną tajemnicą kulturową, by zwabić w jej mgłę niezajęte samice beta. Dlatego współczesny rewolucjonista walczy nie o szczęście ludu, ale o przyczółek na polu informacji, którego potrzebuje po to, by rozpocząć stamtąd walkę o rozprzestrzenienie swojego genomu – a dopiero potem o szczęście ludu... Kiedy zaś nadchodzi wreszcie moment czynu, w strumieniu informacji takiego rewolucjonisty już

nie ma. Zniknął, bo wszystkie siły poświęcił walce o sukces własnego projektu biologicznego...

Kiedy mówił, zdążyłem zauważyć nad skrzyżowanymi maczetami dziwne słowa „DER NEUNUCH” i „HEOCKOII” oraz zawieszony na ścianie zwój z cytatem: „Błogosławiony, kto sam się oskopił, jego bowiem będzie Królestwo Niebieskie”.

– Jaki wniosek powinien z tego wyciągnąć rewolucjonista – prawdziwy, nie parkietowo-facebookowy?

Guy Fawkes z obawą spojrział na zegarek i nagle, w całkowitej zgodzie ze swoją nauką, zniknął ze strumienia informacji.

Obraz znów się zmienił. Teraz widziałem wiec przed świątynią Chrystusa Zbawiciela – nad morzem tęczowych chorągwi wznosiła się scena, gdzie stał przy mikrofonie przejęty młody człowiek w białej włóczkowej czapeczce z zielonym liściem konopi. Ludzkie morze przed nim huczało groźnie.

– Prawa homoseksualistów – wrzeszczał młody człowiek, usiłując przekrzywić tłum – wiążą się z seksem rekreacyjnym, czyli seksem dla przyjemności, a nie dla prokreacji! Oczywiście, takie prawo powinni mieć wszyscy. Logika wskazuje jednak, że problemy te należy rozpatrywać w jednym kontekście z prawem do rekreacyjnego korzystania z używek. A z tego punktu widzenia jest absolutnie niezrozumiałe, dlaczego pederastia i seks lesbijski zostały zalegalizowane, a kokaina i marihuana jeszcze nie. Tak, zgoda, każdy obywatel ma prawo rozporządzać częściami swego ciała. I odnosi się to nie tylko do genitaliów, ale i do posiadających błonę śluzową organów o dwojakim przeznaczeniu. Ale tak samo powinny być traktowane również płuca, żyły i mózg – w kontekście środków farmakologicznych! Żeby łatwiej wam było to zrozumieć, panie i panowie parlamentarzyści, uznajcie je za rodzaj chemicznych wibratorów! A w chwili obecnej w społeczeństwie powstała groźna asymetria...



Młody człowiek uchylił się zręcznie przed rzuconą z tłumu różową prezerwatywą z wodą i ciągnął:

– Gejom zezwolono na homoseksualizm *per se*, ale oni żądają prawa do nazywania się rodziną – i nawet zawierania ślubów w cerkwi. W kontekście legalizacji byłoby to analogiczne do walki o prawo przyjmowania podczas obrzędów religijnych komunii nie w postaci wina, ale haszyszu i ketaminy. Oto gdzie powinien dziś przebiegać front walki! Jesteśmy w tyle o całą epokę. Ciemnota i zacofanie dławią nas w najważniejszych kwestiach, związanych z nowoczesnym stylem życia – a cała uwaga opinii publicznej do tej pory skupia się na tych ciotach i lachociągach...

– Wystarczy – powiedział Enlil Maratowicz.

Wiec na suficie zgasł.

Samarcew podszedł do Enlila Maratowicza i podał mu gruby skoroszyt. Nawet nie zauważyłem, skąd go wyciągnął.

– Tu są przedstawione wszystkie kierunki. Spisane na maszynie, tak jak pan lubi.

– A po cóż mam czytać? – powiedział Enlil Maratowicz. – Zróbmy to po naszymu...

Wykonał szybki ruch głową i Samarcew cofnął się z przestraczem. Na jego szyi pojawiła się mała plamka krwi.

Enlil Maratowicz pokręcił głową i popatrzył spode łba na Samarcewa. Ten zaczerwienił się gwałtownie. Nawet nie podejrzewałem, że ten człowiek potrafi się czerwienić. Enlil Maratowicz pogroził mu palcem.

– Ale z ciebie sukinsyn – powiedział. – Jak ci nie wstyd?

– Proszę o wybaczenie – odrzekł Samarcew i poczerwieniał jeszcze mocniej.

– Niech ci Wielki Wampir wybaczy – powiedział Enlil Maratowicz. – To nie moja sprawa. A ty musisz z tym żyć.

Samarcew przytaknął posepnie.

– No dobrze – zlitował się Enlil Maratowicz

i zamknął oczy. – Nie mam do ciebie więcej pytań. Przejdźmy do projektu... Tak... Tak... „Autoprezentacja jako sprężyna protestu politycznego...” Chyba raczej odwrotnie?

– Nie – odrzekł stanowczo Samarcew. – Protest polityczny jako sprężyna autoprezentacji to już było wiele razy. W ubiegłym wieku. Natomiast autoprezentacja jako sprężyna protestu politycznego to prawdziwie nowe słowo. Biorę to na swoją odpowiedzialność.

– No dobrze – zgodził się Enlil Maratowicz. – Chociaż nie za bardzo cię rozumiem...

Zrobiło mi się żal Enlila Maratowicza, który z pewnością popsuł sobie dzień tym ukąszeniem.

Wyglądał jednak dostojnie i nieprzystępnie, jak przystało na wampira jego rangi.

Odwrócił się, podszedł do czarnego bazaltowego tronu, zasiadł na nim – i tak jak poprzednim razem całkowicie się z nim złął. Teraz wydawał się czarną prostokątną bryłą z bladą plamą twarzy. Potem od bryły oddzieliła się ręka –

Enlil Maratowicz poszperał z boku tronu i wziął opartą o niego bałałajkę, której wcześniej nie zauważyłem z powodu jej czarnego koloru.

Bałałajka pokryta była lakierem z Palechu<sup>[50]</sup>, na którym widniało kilka cienkich żółtych zawijasów, tworzących zarys czegoś skrzydlatego i dwugłowego. Czarne pudło rezonansowe połyskiwało groźnie, niczym cholewa buta Stalina na obrazie Nałbandiana<sup>[51]</sup>.

Enlil Maratowicz trącił struny i wydobył z nich serię niepokojących dźwięków, które jak gdyby zapytywały o coś ciszę. Nie usłyszeliśmy odpowiedzi. Ale Enlil Maratowicz chyba usłyszał.

– No cóż, Samarcew – powiedział – przekonałeś mnie. Bierz moich najlepszych chaldejów i zrób mi rosyjski bunt, bezsensowny i bezlitosny. Ale żeby mi wszystko było cywilizowane i łagodne. I żeby nie trwało dłużej niż trzy miesiące. Nie chcę się za was wstydzić przed światem. A teraz idźcie, przyjaciele. Mamy z Kawalerem Nocy ważne sprawy.

Kałdawaszkin szybko spakował swój podróży projektor. Chaldeje nałożyli maski, ukłonili się i gęsiego ruszyli do wyjścia.

– Zaczekajcie – powiedział Enlil Maratowicz.

Mówił bardzo cicho, ale chaldeje usłyszeli go z daleka i znieruchomieli.

– Nie podobają mi się niektóre nazwy w projekcie. Co to za „Sabertoothed Cunts”?<sup>[52]</sup> Co my tu mamy – afrykańską sawannę? Milion lat przed naszą erą? Przecież to pójdzie w newsach na cały świat. Stare baby dostaną zawału...

Przypomniałem sobie fragment *Kalendarza Aztlańskiego* – i domyśliłem się, o co chodzi. Dreszcz przebiegł mi po plecach: naprawdę wydało mi się, że słyszę kocie kroki historii. Już nawet otwierałem usta, żeby odpowiedzieć, ale Enlil Maratowicz dał znak, żebym milczał.

– Może przetłumaczyć na rosyjski? – zapytał Kałdawaszkin.

– Nie – odparł Enlil Maratowicz. – Zostawcie po angielsku. Tak będzie lepiej dla

kontrpropagandy. Żeby od razu było wiadomo, co do czego. Tylko nazwijcie to jakoś delikatniej. Nie mam nic przeciwko temu, żeby było prowokacyjnie. Ale... – poruszył palcami w powietrzu – rodzinie i serdecznie... Jakoś tak puszyście... Zastanówcie się. I bez samowolki – macie mi przysłać do zatwierdzenia...

– Tak jest – wychrypiał Samarcew.

Chaldeje czekali na dalsze wytyczne, ale Enlil Maratowicz siedział, milcząc, z zamkniętymi oczami i tylko od czasu do czasu trącał struny.

Podjęli więc marsz do wyjścia. Tak jak poprzednio, większość drogi przebyli, cofając się, twarzami do nas – jakby w oczekiwaniu, że Enlil Maratowicz się rozmyśli i każe im zostać. Nie rozmyślił się jednak i drzwi za chaldejami się zamknęły.

– Właściwie nic pan nie powiedział – szepnąłem z zachwytem. – Tylko troszkę ich naprowadził... Będą przekonani, że sami to robią! I, co najśmieszniejsze, będą mieli rację...

– Tak właśnie kieruje się światem. Ucz się.

– Ma pan do nich świetne podejście – powiedziałem. – Robi pan z siebie takiego generała głupka.

– Głupka, który jest mądrzejszy, bo jest generałem. W Rosji inaczej nie rozumieją. A co powiesz o bałajce?

– Super – powiedziałem. – Naprawdę super.

– Mnie też się podoba. To wynalazek Marduka. Taki muzyczny przerywnik. Dobraliśmy specjalnie taką barwę dźwięku, żeby Chaldejczycy poczuli ucisk w brzuchu. Myślała nad tym cała grupa.

– A przeciw czemu konkretnie jest ten protest? – spytałem. – Oni o tym nie mówili.

Enlil Maratowicz się skrzywił.

– Co za różnica. Ja tam nie zaglądałem.

– Jak to, nie jest pan ciekawy?

– I tak wiem. A raczej nie wiem, ale i tak czy owak wiem.

– Nie rozumiem – powiedziałem zaskoczony.

Enlil Maratowicz popatrzył na mnie ze smutkiem.

– Jakiś ty jeszcze młody, Rama. Wampir powinien umieć nie tylko udawać głupca – co zresztą wychodzi ci wspaniale. Powinien być mądrzejszy od każdego ze służących mu Chaldejów. Wiesz, skąd się bierze protest?

Wzruszyłem ramionami.

Enlil Maratowicz leciutko przeciągnął palcem po strunach. Bałałajka wydała niepokojący i zły dźwięk.

– Dracula ci wyjaśnił, że ten świat jest światem cierpienia – powiedział. – Każda radość w nim jest ulotna. Bierze swój początek z bólu i w nim się roztopia. Ale ludzi stale otaczają obrazy szczęścia. Rytuał konsumpcji uczy człowieka zachwycać się tym, co w istocie jest narzuconą mu marnością i męką. Cała sztuka masowa kończy się happy endem, który zwodniczo przedłuża szczęście w nieskończoność. Wszystkie inne szablony są zakazane. Niby każdy głupiec rozumie, że za



następnym zakrętem drogi czeka go starość i śmierć. Ale nie ma kiedy się nad tym zastanowić, bo ze wszystkich stron bombardują go obrazy szczęścia i powodzenia.

– Pamiętam – powiedziałem. – To tak jak pomidory, które lepiej rosną przy muzyce majorowej.

– Właśnie – przytaknął Enlil Maratowicz. – Przy takiej obróbce człowiek daje więcej bablosu. Ale tak naprawdę szczęście to tylko przynęta. Animacja na ekranie, zawieszonym na przybitym do głowy wsporniku. Do tego ekranu nie można się zbliżyć, dokądkolwiek byś bowiem szedł, ekran będzie się przemieszczać razem z tobą.

– Chce pan powiedzieć, że szczęśliwych ludzi w ogóle nie ma?

– Są oczywiście szczęśliwi chwilowo. Żaden człowiek na świecie nie może być szczęśliwszy niż jego własne ciało. A ludzkie ciało jest z natury nieszczęśliwe. Zajęte tym, że powoli umiera. Nawet zdrowego człowieka prawie zawsze coś

boli. Jest to, by tak rzec, górna granica szczęścia. Można jednak być znacznie bardziej nieszczęśliwym niż własne ciało – i to jest unikalne ludzkie know-how.

– A jaki to ma związek z protestem?

– Jak najbardziej bezpośredni. W codziennej rzeczywistości człowiek bynajmniej nie przeżywa owego permanentnego orgazmu, którego obrazy otaczają go ze wszystkich stron. Przeżywa wciąż narastające z wiekiem męki, które kończą się śmiercią. Ale z powodu owego bombardowania obrazami szczęścia i pomyślności człowiek dochodzi do przekonania, że ktoś go oszukał i ograbił. Jako że jego życie wcale nie przypomina raj z potoku informacyjnego, którym piorą mu mózg.

– To fakt – westchnąłem.

– Protest to właśnie próba przedarcia się z codziennych mąk do szczęścia, jakie obiecuje cała suma ludzkiej kultury. Mówiąc między nami, wyjątkowo wrednej kultury, która hipnotyzuje i łąze

nawet wówczas, kiedy udaje, że piętnuje i zdziera maski.

– Ale czyż nie jest ważne, przeciwko komu ten protest?

– Protest, Rama, zawsze jest skierowany przeciw nieodłącznemu od życia cierpieniu. A skierować go można przeciw każdemu, kogo wyznaczymy, by to cierpienie uosabiał. W Rosji najlepiej nastawiać wszystkie kierunkowskazy na władzę, ponieważ ona odpowiada za wszystko. Nawet za zmiany pór roku. Ale można też na kogo się chce. Na Kaukazczyków. Na Żydów. Na czekistów. Na oligarchów. Na gastarbeiterów. Na masonów. Albo jeszcze na jakichś innych głupich i nieszczęsnych cierpliwców. Bo poza nimi nie ma wśród ludzi nikogo innego.

– Pod jakim hasłem zaczną się zamieszki?

– Tym niech się zajmie Samarcew. Najważniejsze to dać ludziom poczucie, że coś mogą. Bez emocjonalnego zaangażowania w dramat życia nie działają ani glamour, ani

dyskurs. Tu Chaldejcy mają absolutną rację. Niech ludzie uwierzą w swoją siłę. Pozwólcie korporacyjnemu proletariatu w przerwie pomiędzy biegunką a grypą zakrzyknąć „yes we can!”. I wszystko będzie dobrze. Luz w głowach minie. Naród znów zacznie oglądać seriale, szukać moralnych autorytetów w sferze showbiznesu i majstrować dla nas nocami nowych nadzianych kołosiów. A my na jakiś czas wycofamy się w cień...

– Ale po co zaraz walić po jajach? – spytałem.

– Po to – odparł Enlil Maratowicz – że wszelkie posunięcia władz z zasady powinny wywoływać przykrą konsternację i rozżalenie, budzić w sercach niewytłumaczalny, tępy gniew... Główne zadanie państwa rosyjskiego wcale nie polega na wzbogacaniu urzędnika. Polega na tym, by uczynić ludzkie życie nieznośnym.

– A wtedy – podjąłem kęśliwie – umysł B wytworzy jeszcze więcej cierpienia i my, panowie życia, wyssiemy go pod postacią bablosu?

Enlil Maratowicz spojrział na mnie przeciągle.

– Nie, Rama, wcale nie. Swój bablos zdobędziemy i tak. Jeśli będziemy ich zbyt uciskać, nie wytrzymają i się zbuntują. Ale jeśli zbyt osłabimy ucisk, pograżą się w jeszcze większym cierpieniu, ponieważ uświadomią sobie potworny bezsens życia... Takie rzeczy przydarzały się już w starożytności na Wschodzie przedstawicielom rodzin królewskich. I niektórym wielkim wampirom także – chyba wiesz, o czym mówię. Należy unikać obu tych skrajności.

Szarpnął strunę, wydając przeciągły dźwięk.

– Kiedyś zorganizowaliśmy limbo most z amerykańskimi wampirami. I ci mówią: u was w Rosji umysł B za bardzo cierpi. A Loki w tym czasie już sobie podpiał i jak nie palnie: „I niech sobie cierpi, ściervo, właśnie po tośmy go milion lat temu wyhodowali...”. Przy samym batmanie, che, che...

– Przy kim?

– Nieważne. Powiedziane brutalnie, ale

prawdziwie. Dracula mówi prawdę, Rama. Główna funkcja umysłu B to promieniowanie bólem. We wszystkich narodowych systemach dzieje się właśnie to – tylko z innym kodem kulturowym..

Enlil Maratowicz znów trącił strunę i smętnie popatrzył w dal.

– Ale człowiek nie może po prostu promieniować bólem – ciągnął. – Nie może żyć ze świadomością swego losu, w którym każdy dzień przybliża rozpad ciała. Żeby jego istnienie stało się możliwe, musi być pod narkozą i śnić. W każdym kraju stosuje się inne metody wprowadzania człowieka w trans. Można tak zbudować kulturę, by ludzie zamienili się w wystraszonych aktorów, którzy odgrywają sukces życiowy przed sobą nawzajem. Można ich uzależnić od maleńkich błyszczących pudełeczek, sączących bezużyteczną informację. Można skłonić do bicia czołem przed ikoną. Ale takie metody są niepewne i często zawodzą. A rosyjska technologia jest najbardziej humanitarna, ponieważ

działa zawsze i niezawodnie.

– A na czym polega? – spytałem.

– Na tym, Rama, że tu hoduje się typ umysłu najbardziej wyrafinowany i subtelny, wszystko rozumiejący. Przypomnij sobie Błoka: „Nieobca nam galicka jasna myśl ani germański mroczny geniusz...”<sup>[53]</sup>. A potem stwarza mu się absolutnie dzikie, niemożliwe i nieznośne warunki egzystencji. Umysł rosyjski to umysł europejski, zagubiony między wysypiskami śmieci i policyjnymi budkami bez żadnej nadziei na ratunek. Jesteśmy, jeśli wolisz, unikalnymi i jedynymi spadkobiercami wszystkich wielkich i cennych wartości, jakie stworzyła ludzkość. Jesteśmy, że tak powiem, nie tylko piątą Kartaginą, ale także szóstym Metropolis i siódmym Coruscantem. Wrzuconym w bezdenną i beznadziejną lodowatą dupę.

Czułem, że nie mam co dyskutować ze starym mądrym wampirem – moje pytania odbijały się od niego jak groch od czołgu.

– Ale po co było ich wrzucać w tę dupę? Po co te śmietniki i policyjne budki? Czy bez nich nie byłoby lepiej?

Enlil Maratowicz przyjrzał mi się spod zmrużonych powiek, jakby nie mogąc uwierzyć, że w ogóle możliwa jest taka naiwność.

– Nie, Rama, nie lepiej. Właśnie te śmietniki i budki czynią właściwe naszemu krajowi cierpienie tak intensywnym i ostrym.

– Ale po co?

– To jest uwarunkowane geograficznie. Popatrz na nasze olbrzymie przestrzenie. Tylko bardzo silny ból jest w stanie dotrzeć ze znajdującego się we Władywostoku umysłu B do naszej Wielkiej Myszy.

– Ale czy to nie zbyt wysoka cena...

– Nie, nie jest zbyt wysoka. Rosyjski umysł właśnie dzięki tej swojej cesze stworzył największą na świecie kulturę artystyczną, która w swej istocie jest reakcją duszy na owo niezwykle cierpienie, z niczym nieporównywalne



w całym swym bezsensie. O czym jest cała wielka rosyjska klasyka? O tym, że życie w Rosji jest nie do zniesienia pod każdym względem. I już. Nic więcej tam nie ma. A świat to łyka. I prosi o więcej.

– Po co im to? – spytałem.

– Dla nich jest to krótka iniekcja szczęścia. Przez pięć minut wierzą, że piekło jest u nas, a nie u nich. Ale piekło jest wszędzie, gdzie pulsuje ludzka myśl. Cierpi nie tylko Rosja, Rama. Cierpi cały świat. U nas po prostu jest mniej obłudy i piaru.

– Ale przecież w Rosji wszyscy myślą, że tak okropnie jest tylko u nas – powiedziałem.

– Tak – zgodził się Enlil Maratowicz. – W rosyjskiej mentalności dominuje poczucie, że wszystko, co dzieje się w Rosji, jest bezwartościowe i mroczne w porównaniu z tym, co dzieje się gdzie indziej. Ale to tylko jedna z cech rosyjskiego umysłu, które czynią jego los szczególnie nieznośnym. I rękojmią trudnego

rosyjskiego szczęścia.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Rosjanin prawie zawsze żyje nadzieją, że oto za chwilę zerwie okowy, obali tyranię, pokona korupcję i zimno – a wtedy zacznie się nowe życie, pełne światła i radości. Właśnie to odwieczne marzenie, te, jak powiedział poeta Wertyński, bezdenne przepaści ku niedostępnej wiosnie<sup>[54]</sup>, nadają życiu sens, stwarzają nadzieję i cel. Ale jeśli tyrania przypadkiem sama skręca sobie kark i okowy pękają, zawieszony w pustce rosyjski umysł zaczyna wyć, nie mogąc znieść podłości tego, co się dzieje dokoła i wewnątrz, albowiem staje się dlań jasne, że przyczyną cierpienia nie był ucisk katów, ale jego własna natura. I wtedy szybko i niepostrzeżenie wznosi wokół siebie nowe więzienie, na które może się dowcipnie uskarżać przed ludzkością sześciostopowym jambem. Kryje się przed zimnem w znajomej dupie, w której spędził tyle czasu, że dla niego nie jest to już dupa, tylko przytulna nora

z karmiącym go ogrodem, w którym rosną złoczyńcy i wyzyskiwacze, szlachetni bojownicy, skromny rewolucyjny glamour i niewymyślny uczciwy dyskurs. Gdzie jaśniej daleka jutrzienka przyszłego szczęścia i jest pomarszczony iluminator z widokiem na Europę. Pojawia się pole znaczeniowe, którego linie siłowe nadają rosyjskiemu umysłowi znaną pozycję. Został wyhodowany właśnie po to, by w takiej pozycji żyć...

Chciałem coś wtrącić, ale Enlil Maratowicz podniósł rękę, jakby zamykając mi usta. A potem nagle uderzył w struny czarnej bałałajki, wydobywając ostry dysonansowy dźwięk, który odbił mi się w brzuchu bolesnym skurczem.

– To, co się wydaje bezsensownie podłym cierpieniem rosyjskiego życia – to właśnie stworzona wysiłkiem wielu pokoleń Tarcza Ojczyzny, która nie pozwala rosyjskiemu umysłowi pojąć, że ludzkie życie samo w sobie jest cierpieniem, całkowicie pozbawionym sensu. Niechże to objawienie pozostanie udziałem

wschodnich carewiczów, znużonych spacerami po pałacowych ogrodach. A nam, Rama, potrzebny jest sprawiedliwy sąd i uczciwe wybory i stopniowo, bardzo powoli do tego dojdziemy. Ale krętymi drogami, lawirując i matacząc. Tak że cała klasa kreatywna będzie przez wiele lat rzygać karmelowym cappuccino ze „Starbaksa”. I im więcej pokoleń zdąży się zestarzeć i umrzeć w walce, tym lepiej dla nich. Rosjanin po prostu nie rozumie, jak jest szczęśliwy za tym niewidzialnym pancierzem. Możesz być dumny, Rama, że jesteś Rosjaninem. Rosyjskim wampirem...

– Przykro żyć w tej ciemności – szepnąłem. – I strasznie...

– Jesteśmy wybrańcami, Rama – odrzekł Enlil Maratowicz. – Wraz z wielką władzą przychodzi wielki smutek... Ludzie mają łatwiej – ich jedynym obowiązkiem jest umrzeć we właściwym czasie. Nie wymaga się od nich niczego innego...

Pochylił głowę i zagrał *Świeci miesiąc*.

Grał z niezwykłym kunsztem, wprost niesamowicie – zasłuchałem się. I na moment rzeczywiście wydało mi się, że widzę nocne niebo, rzadkie obłoki jak na rysunkach z Palechu, i świecący między nimi jajecznie żółty księżyc, nawet nie próbujący udawać, że jego światło jest oszustwem i jedynie odbiciem prawdziwego światła, ukrytego przed ludźmi za sprawą nocy. Nocy, w której wypadło im żyć.

– Enlilu Maratowiczu – zapytałem – co pan zobaczył u Samarcewa?

– Pisze dziecinne wierszyki – odparł Enlil Maratowicz. – W sieciowym dialekcie. A potem zawiesza na stronach dla nastolatków. „Zwieże śpiom, a wydra stara do odlotu blanta jara...”

Odstawił bałałajkę i popatrzył na zegarek – skomplikowany chronometr, pokazujący ruchy ciał niebieskich.

– Wiesz już o Ozyrysie?

– Nie – odparłem. – A co powinienem wiedzieć?

– Umarł.

Drgnąłem.

– Szkoda staruszka.

– Wszyscy się tam znajdziemy – westchnął Enlil Maratowicz. – Jedni wcześniej, inni później. A ty już bardzo niedługo. Co prawda, na razie służbowo. To będzie twoje wyjątkowo odpowiedzialne zanurzenie. Pierwszy raz odprowadzasz wampira. To całkiem co innego niż wygłupy z chaldejami.

Kiwnąłem głową.

– Będziemy cię obserwować na żywo. Ja, Marduk i Baal. Startujesz z mojego hamletu.

Znów kiwnąłem głową. Dobrze przynajmniej, że nie z Hartlandu.

– Wamponawigator ze specjalnym środkiem otrzymasz przed seansem. Czasu mamy mało, na Ozyrysa dali tylko jedną czuszkę<sup>[55]</sup>. Ale jedna mu wystarczy. Praktycznie jest święty.

– Co to za środek? Jak się go zażywa?

– Instrukcja jest w wamponawigatorze. Nie będzie problemów.

– A dlaczego czuszka?

Enlil Maratowicz spojrział na mnie z niezadowoleniem.

– Ozyrys ci wszystko opowie, Rama.

– Przecież umarł?

– O tym się mówi tylko w limbo. I tylko z umarłym.



Wydawnictwo Literackie

# WIELKI WAMPIR

Pokój Ozyrysa był zagracony i ciemnawy, a okna szczelnie zasłonięte storami. Nikt więcej spośród znanych mi wampirów, a i spośród ludzi, nie mieszkał w takiej zapuszczonej komunałce.

W rzeczywistości był to oczywiście jego własny apartament, przy pomocy najlepszych historyków i dekoratorów zamieniony w kopię typowego mieszkania z połowy ubiegłego wieku – i gdzieś tam uszlachetniony nowoczesnymi udogodnieniami.

To swego rodzaju wyzwanie rzucone reżymowi. Ozyrys był tołstojowcem i słynął ze skandalicznych praktyk sprostaczenia – odmówił zażywania bablosu i pił czerwoną ciecz mieszkających u niego gastarbeiterów. Krążyły



słuchy, że cierpi na zapalenie wątroby typu C, którym zaraził się przez krew, nikt jednak nie wiedział, czy to prawda. Podejrzewam, że plotki rozpuszczały wampiry z kręgów władzy, żeby Ozyrys nie znalazł naśladowców.

Jeden z jego byłych gastarbeiterów, profesor teologii z Kiszyniowa, Grigorij, teraz był moim kierowcą.

Język Ozyrysa przeniósł się już do jego następcy, który powoli przychodził do siebie i szykował się do szkolenia – słowem, powtarzał moją niedawną drogę. W sensie ściśle naukowym po wampirze Ozyrysie pozostało tylko martwe ludzkie ciało – zamrożone i oczekujące kremacji.

W limbo jednak wszystko było jak dawniej.

Znalazłem Ozyrysa w jego pokoju, w ulubionym miejscu – głębokiej wnęce z łóżkiem, bardzo podobnej do alkowy w domu Draculi. Leżał na materacu przykrytym pikowaną kołdrą. Jego głowa, jak zwykle, przypominała źle ogolony kaktus. Nawet poza była ta sama – leżał na boku,

z jedną nogą niewygodnie założoną na drugą, jak zwykli leżeć jogowie, wykorzystujący na trening każdą minutę.

– Siadaj...

Wskazał mi stojący obok fotel.

Przypomniałem sobie, jak w czasie pierwszej wizyty tutaj oglądałem podłogę pod fotelem, obawiając się jakiegoś podstępu – i dokładnie powtórzyłem tę czynność. Tak jak się spodziewałem, Ozyrys się roześmiał.

– Mam tremę – przyznałem się, siadając. – Co innego odprowadzać tych całych Chaldejów, a co innego... W porównaniu z panem jestem w limbo nowicjuszem. Nawet nie wiem, jak mogę się przydać. I czy w ogóle mogę...

– Możesz – odrzekł Ozyrys. – Zapewniam cię. Ale najpierw kilka słów. Bardzo wobec ciebie zawiniłem, Rama.

– Zawinił pan? – zdumiałem się. – Czym?

– Kiedy się poznaliśmy, nikt nie brał cię poważnie. Wszyscy myśleli, że przeznaczą cię na...

Jakby to ująć... Na obrzędowe części zapasowe. Dlatego nikt nie traktował serio twojego wykształcenia. Ja również. I kiedy przyszedłeś do mnie ze swoimi głupimi pytaniami o Boga i sens życia, odpowiadałem ci formalnie i bezdusznie.

– Nic podobnego – zaprzeczyłem gorąco. – Bardzo mi pan pomógł.

Ozyrys powstrzymał mnie gestem.

– Nie byłem z tobą do końca uczciwy. Staralem się nie rozwijać twojego umysłu, by oszczędzić sobie czasu. Na szczęście, ten błąd można naprawić. Wciąż jeszcze mogę odpowiedzieć na twoje pytania. Dziś jest po temu ostatnia okazja. I zanim rozpoczniemy naszą przechadzkę, coś ci pokażę. Jesteś gotów?

Przełknąłem ślinę, która zebrała mi się w ustach (dokładnie tak jak na jawie) i kiwnąłem głową.

– No to jazda.

Przed alkową Ozyrysa stało coś w rodzaju stoło-ławy (dawny stół obiadowy z odpiłowanymi w połowie nogami). Błat zawalony był

technicznymi i gospodarskimi rupieciami z epoki sowieckiej i przedsowieckiej – tak interesującymi i rzadkimi, że z powodzeniem można by je było przekazać do jakiegoś muzeum. Spod rupieci wystawały rogi ceraty – też bardzo starej, może nawet przedwojennej, w wyblakłe fioletowe kwiaty.

Ozyrys ujął w dwa palce róg tej ceraty i mocno szarpnął.

Spodziewałem się wszystkiego. Na przykład tego, że cerata w jakiś sposób wysunie się spod rupieci. Ale nie tego, co nastąpiło.

W sposób absolutnie niepojęty okazało się, że cerata i podłoga, na której stał mój fotel, to jedno i to samo. Jakbyśmy na sekundę znaleźli się na obrazie Eschera, gdzie dziwne efekty optyczne stają się rzeczywistością. I ta sekunda wystarczyła, by zburzyć cały świat. Podłoga zniknęła i zrozumiałem, że spadam w pustkę. A potem upadek ustał, zamrażając mnie w jednej chwili jak muchę w kostce lodu.

Nie byłem jednak szczególnie wystraszony.

W gruncie rzeczy całe życie wampira to historia upadków i już dawno przywykłem do spadania w różne przepaście, z trudem powstrzymując się przy tym od ziewania. Spadanie w otchłań jest dla nas czymś tak zwyczajnym jak dla moskiewskiego urzędnika jazda metrem do firmy. Co więcej, z wiekiem zaczynasz rozumieć, że między tymi podróżami nie ma większej różnicy – a wszystkie przywileje socjalne, które uzmysławia ci przykuta do ciała świadomość, sprowadzają się w istocie do wyboru stojaka na worek nieczystości... Ale nie będę się rozpraszać na sprawy oczywiste.

Zamarłem w pustce wraz z fotelem. Naprzeciw mnie zawisł materac ze znieruchomiałym nad nim Ozyrysem, który trzymał się czegoś w rodzaju rączki od walizki, umieszczonej z boku materaca. Palce jego drugiej ręki wciąż jeszcze ścisnęły róg ceraty. Nie było już jednak widać stołu z rozsypanymi na nim śmieciami.

Zniknęła nie tylko podłoga. Zniknął cały pokój.

Otoczał nas bardzo szeroki szyb o szarżółtych ścianach – ale znajdowały się one tak daleko, że nie dało się dostrzec szczegółów. Zresztą i sam szyb mógł być po prostu efektem optycznym w spowijającej nas gęstej mgle.

A potem odczułem coś niewyobrażalnego.

Zauważyłem środek ciężkości wszechświata. Punkt, do którego zacząłem spadać po sztuczce Ozyrysa.

Trudno opisać, jak to się stało, że go wyczułem. Było to podobne do sposobu, w jaki nietoperz postrzega świat fizyczny – kiedy niezliczone rozmazane, ulotne i sprzeczne echo-wersje rzeczywistości nakładają się na siebie, tworząc w punkcie swego przecięcia jednoznaczny obraz.

Tu jednak wszystko było odwrotnie. Jednoznaczność zawierała się właśnie w tym punkcie, do którego niewiarygodnie szerokimi spiralami zbiegała się jakby cała rzeczywistość. A cała reszta, w tym ja i Ozyrys, była właśnie ulotnymi i sprzecznymi wersjami bytu, które nic nie

znaczyły i powstawały na jedno mgnienie.

Najpierw zrozumiałem, że jestem rozmazany po mnóstwie trajektorii, biorących swój początek i koniec w owym centrum wszystkiego. Moje „bycie” oznaczało, że stale odbywam nieprzeliczone mnóstwo bardzo szybkich podróży, w wyniku których powstają. Dlatego mogłem istnieć tylko w czasie – to jest, innymi słowy, nie było żadnego konkretnego momentu, kiedy rzeczywiście istniałem. Pojawiałem się tylko jako wspomnienie o odcinku czasu, który już się kończył.

A potem uświadomiłem sobie jeszcze jedną rzecz, najbardziej przerażającą.

To wspomnienie nie było moje.

Na odwrót, ja sam byłem tym wspomnieniem. Po prostu sprawozdaniem finansowym, które ciągle wyczyszczano i poprawiano. A poza tym żadnego mnie nie było. Sprawozdania nikt nie czytał – i nawet nie zamierzał. Nigdzie nie istniało ono jednocześnie jako całość. Ale w każdej chwili

na żądanie świata zewnętrznego można było otrzymać dowolny wyciąg.

I to wszystko.

Żaden ze składających się na mnie procesów nie był mną.

Żadnego z nich nie potrzebowałem.

Ustanie któregoś nic dla mnie nie znaczyło. A wszystkie one łączyły się, tworząc mnie – niezbędnego samemu sobie i bardzo obawiającego się śmierci, chociaż śmierć działa się ciągle, sekunda po sekundzie – kiedy czyszczono i poprawiano sprawozdanie. Było to niepojęte. Ale nie dlatego, że nie sposób było tego zrozumieć, tylko dlatego, że rozumieć nie miał kto.

Nigdy nie byłem sobą. Nie wiedziałem nawet, kto pokazuje ten film – i komu. I całe moje życie upłynęło w epicentrum tego potężnego oszustwa. Ono samo było tym oszustwem. Od pierwszej minuty.

Ale oszustwem wobec kogo?

Nagle zrozumiałem, że to pytanie nieogarnione,



absolutnie bezgraniczne, że ono właśnie jest tą przepaścią, do której lecimy nieskończoną spiralą – i w którą ja spadałem przedtem przez całe życie. Pytanie było początkiem i końcem wszystkiego. Wszystko, co istnieje, było próbą odpowiedzi.

Ale kto odpowiadał?

Wydało mi się, że zaraz zrozumie coś ważnego, coś najważniejszego – ale zamiast tego uświadomiłem sobie, że jest to po prostu to samo pytanie, uchwycone w innej fazie.

Ale kto je zadawał?

I komu?

Uchyliłem się przed wciągającym mnie wirem, przed ową zawrotną nieskończonością, doganiającą samą siebie – i się zaśmiałem. Bo nie mogłem zrobić nic innego. Poza tym rzeczywiście było to bardzo śmieszne.

I mój śmiech zerwał zatrzymaną sekundę z uwięzi.

Usłyszałem brzęk tłukącego się szkła –

i zrozumiałem, że tak naprawdę nigdzie nie spadamy. Nadal siedzieliśmy w pokoju Ozyrysa. Nawet nie ruszyliśmy się z miejsca.

Po podłodze toczyły się jakieś żelastwa ze stosu rupieci, zrzuconego na ziemię razem z ceratą. Stłukł się klosz starej lampy naftowej z dwoma odbijającymi się nawzajem lusterkami, na której kiedyś Ozyrys objaśniał mi działanie umysłu B.

– Co to było? – spytałem.

– Właśnie widziałeś Wielkiego Wampira – odrzekł Ozyrys.

– Wir? Ten potworny nieskończony wir?

– Można i tak powiedzieć. Ale jeśli przyjrzeć mu się uważnie, widać, że środek jest absolutnie nieruchomy.

– Nie zdążyłem – powiedziałem. – A dlaczego ludzie tego nie widzą?

– Widzą. Tylko odsiewają.

– W jakim sensie?

– Dosłownym. Człowiek jest jak telewizor,

gdzie wszystkie programy mają znak „live”, ale lecą z nagrania. Przez niewielką pętlę wstrzymującą. Zjawiska dochodzą do świadomości dopiero po przejściu przez nią. Siedzący w montażowni mają dość czasu, by wyciąć, co chcą. I wstawić, co chcą.

– A kto siedzi w montażowni człowieka?

– My – odrzekł z uśmiechem Ozyrys. – A ktoś by inny?

– Ale jak to można wyciąć w montażowni, skoro oprócz tego w ogóle niczego nie ma?

– Widać, Rama, że nigdy nie pracowałeś w mediach.

– A dlaczego to się ukrywa przed ludźmi? Przecież gdyby sami wszystko widzieli, nie mieliby żadnych pytań.

– Właśnie dlatego się ukrywa – odparł Ozyrys. – Żeby były pytania. Żeby było ich dużo. I żeby człowiek stale wytwarzał z nich agregat M5. Prawda jest ukryta nie tylko przed ludźmi, Rama. Jest ukryta także przed wampirami. Nawet przed

większością undead. Kiedyś dawno temu undead byli uczniami Wielkiego Wampira. Pograżali się w jego tajemniczych głębiach w poszukiwaniu mądrości i wynurzali się stamtąd z przerażeniem i czcią. A potem zamieniono ich w pozagrobowych szulerów, pomagających właścicielom bablosu kontrolować Chaldejów.

– Dlaczego szulerów?

– Wkrótce się dowiesz – westchnął Ozyrys.

– A zwierzęta? – spytałem. – Widzą to?

– Żadne zwierzę nigdy nie utraciło łączności z Bogiem. Każde zwierzę to jest właśnie Bóg. Tylko człowiek nie może tego o sobie powiedzieć. Człowiek – to umysł B. Absolut, ukryty za tamą ze słów. Ta elektrownia jest w każdej ludzkiej głowie. I jest bardzo interesująco zbudowana, Rama. Nawet kiedy ludzie zaczynają się domyślać, że są po prostu baterijkami matrycy, jedyne, co mogą z tym domysłem zrobić, to wcisnąć ją sobie samym pod postacią blockbustera...

Ozyrys zaśmiał się cicho.

– Ale to przecież okrutne – powiedziałem. – Ukrywać przed człowiekiem to, co najważniejsze...

– Nie takie okrutne, jak się wydaje – odrzekł Ozyrys. – Ludzie zapewniają się nawzajem, że są szczęśliwi. Niektórzy nawet w to wierzą. Wiesz, że na dnie oceanu żyją straszne ślepe ryby, których nikt nigdy nie widział – i które nigdy nie widziały samych siebie? To właśnie jesteśmy my. Jedyna ze zwróconych ku nam twarzy Wielkiego Wampira jest zrobiona ze słów.

– Tak – odparłem – rozumiem. Ale dlaczego wobec tego mogłem ją zobaczyć?

– Zobaczyłeś ją nie ty – powiedział Ozyrys. – Zobaczyłem ją ja w chwili śmierci. Ty tylko byłeś przy tym obecny. Jesteś tutaj po prostu, że tak powiem, jako świadek nieuniknionego, che, che.

Ogromna wiedza Ozyrysa mnie nie zdziwiła. Ale mroczne przypomnienie o tym, dlaczego siedzę w tym pokoju, podziałało na mnie otrzeźwiająco.

– Dzięki – powiedziałem. – To bardzo

puczające doświadczenie. Nie rozumiem, po co panu w ogóle przewodnik? Zwłaszcza taki jak ja. Co, nie może pan sam?

– Sam, czyli jak?

Przypomniałem sobie niedawne przeżycia i westchnąłem z goryczą.

– No tak... Chodziło mi po prostu o to, że pan sam może przeprowadzić każdego.

– To nie tak – odparł Ozyrys. – Jestem teraz cieniem. I potrzebuję pomocy dokładnie tak samo jak wszyscy.

– A konkretnie jakiej pomocy?

– Chodźmy – powiedział Ozyrys. – Opowiem ci po drodze.

Wstaliśmy. Zauważyłem, że Ozyrys jest jakoś dziwnie ubrany. Wyglądał jak podstarzały retro playboy. Miał na sobie wąziutkie džinsy i białą bluzę zrobioną na drutach – długą i z dużym kapturem. Wyglądała jak całun. Odniosłem wrażenie, że wcześniej miał na sobie coś innego.

– Jak pan był ubrany, kiedy przyszedłem? –

zapytałem.

– Już nie pamiętasz?

Pokręciłem przecząco głową.

– A więc – powiedział Ozyrys – nijak nie byłem ubrany. Pytanie jest bez sensu. To, co widzisz w limbo, to tylko echo twojej ciekawości. Mówiąc po nietoperzowemu, odbicie twojego krzyku lokacyjnego. Jeżeli nie zadałeś pytania, to skąd się mogła wziąć odpowiedź? Cóż to, nie uczono was tego?

– Uczono, uczono – mruknąłem. – Pewnie i w życiu jest tak samo?

– Niezupełnie – odpowiedział Ozyrys. – W życiu przez cały czas widzimy odpowiedzi na pytania zadane przez kogoś innego. Życie to impreza kolektywna. A w limbo jesteśmy sami... A raczej ty jesteś sam.

– Mnie w ogóle nie ma tu ani jednego – odparłem. – Tutaj po prostu nikogo nie ma. Nikogo i niczego.

– Otóż to – rzekł Ozyrys i ruszył ku drzwiom. –

Ale to nie powód, żeby się poddawać...

– Tak w ogóle to zgodnie z zasadami ja powinienem otworzyć drzwi – powiedziałem. – Co tam jest?

– Cmentarz wampirów – odrzekł Ozyrys i przymrużył oko. – Jesteś gotów?

Przytaknąłem – chociaż nie byłem tego pewien.

Ozyrys pociągnął drzwi do siebie.

Uderzył w nas prąd powietrza i nagle znaleźliśmy się w tej samej mgłę, przez którą dopiero co spadaliśmy. Prześwitywało przez nią coś jakby ściany ogromnego szybu. Ozyrys od razu ruszył przodem i musiałem pospieszyć za nim.

Wkrótce mgła tak zgęstniała, że w ogóle przestałem się orientować, gdzie jesteśmy. Zresztą, nie miałem czasu się rozglądać – ciągle musiałem pilnować Ozyrysa. Wystarczyło, że pozostałem o kilka kroków w tyle, a już zaczynałem tracić go z oczu. Podchodząc zaś zbyt blisko, ryzykowałem, że na niego wpadnę.

Szliśmy dość długo – kwadrans, a może dłużej.



Stopniowo robiło się jaśniej, jakby przez mgłę przeglądało dalekie słońce. Nie mogłem jednak powiedzieć dokładnie, gdzie się ono znajduje – mgła była zbyt gęsta. Przy ziemi w ogóle zagęszczała się tak dalece, że nie widziałem, gdzie stawiam nogi.

Potem pod stopami zaczęły chlupać niewidzialne kałuże i teraz już naprawdę z trudem nadażalem za Ozyrysem. Szedł coraz szybciej i właściwie musiałem biec na oślep.

– Możemy iść trochę wolniej? – spytałem.

– Nie – odparł Ozyrys. – Wręcz przeciwnie, musimy iść szybciej.

– Ja nie mogę – powiedziałem.

– To podkul nogi.

Nagle zrozumiałem, że nie słyszę jego kroków i widzę przed sobą tylko ramiona i głowę, które równo płyną naprzód. Spróbowałem podkulić nogi – okazało się, że wcale nie muszę przestawiać ich po ziemi.

Teraz płynąłem naprzód, skulony

w embrionalnej pozycji. Nie mogłem pojąć, na czym opiera się moje ciało i natychmiast poczułem pod sobą ławkę. Opuściłem stopy i dotknąłem desek podłogi. Znajdowała się tak blisko, że mogłem rozróżnić szczegóły.

Było to dno łodzi.

Kiedy tylko to sobie uświadomiłem, zaraz zobaczyłem ją całą – była ciemnoszara i zniszczona. Ozyrys usiadł o dwie ławki dalej i patrzył przed siebie.

Zauważyłem na dnie łodzi dwa odrapane wiosła.

– Dokąd płyniemy? – spytałem. – Nie musimy wiosłować?

– Tutaj wiosłowanie nic nie da – odparł Ozyrys. – Chyba że chcesz się rozgrzać.

– Jak długo mamy płynąć?

– Aż przyjdzie karma.

– A długo to potrwa?

– Mam nadzieję że nie. Patrz na boki...

Teraz wokół łodzi widoczna była dość duża połącz woda. Dalej nadal rozpościerała się tylko mgła. Zdawało się, że płyniemy w samym centrum promienia jakiegoś ogromnego reflektora.

– Ile czuszek ci dali? – zapytał Ozyrys.

– Jedną – powiedziałem.

Odwrócił się do mnie i dostrzegłem zdumienie na jego twarzy.

– Żartujesz?

– Nie. Powiedzieli, że pan przeżył święte życie. I że nie potrzebuje pan nawet jednej.

– No tak – rzekł Ozyrys. – Dużo tam oni o mnie wiedzą. Święte... To dranie, co? Nawet tu potrafią oskubać. Wszystko tylko dla siebie, dla siebie...

W głosie Ozyrysa było tyle smutku, że się przestraszyłem.

– A co, mamy problemy?

Ozyrys kiwnął głową.

– Jedna świnka to nierealne – powiedział. – Gdyby były przynajmniej dwie, trzy...

– Co to za świnki? – zapytałem. – Nikt mi nic nie mówił.

– Nic dziwnego. O tym mówi się tylko w limbo. Kiedy młody nurek odprowadza starego. Uważa się, że tylko w taki sposób można utrzymać sekret przed Chaldejami.

– A teletubisie wiedzieli od samego początku – powiedziałem. – Pytali o to Ulla.

– Bo wszyscy o tym wiedzą – uśmiechnął się Ozyrys. – Oprócz samych nurków. Którzy mają się tego dowiedzieć przy robocie. Takie mamy tradycje...

– Jeśli pan chce mieć ze mnie pożytek – powiedziałem – to najwyższy czas mi to wyjaśnić.

– Racja – odrzekł Ozyrys, wpatrując się w mgłę. – Powiedz mi, jak myślisz, dlaczego możliwy jest Złoty Spadochron?

Wzruszyłem ramionami.

– Kiedy ja się uczyłem, zadawałem to pytanie bez końca – rzekł Ozyrys. – A mnie żaden z uczniów nie zapytał ani razu, dokąd zmierza ten

świat... Za moich czasów młode wampiry stale pytały: a co ze sprawiedliwością po śmierci? Kim my jesteśmy, żeby ratować grzeszników przed karą? Jak wyższe siły świata mogą na coś takiego pozwolić?

– Chciałem o to zapytać – powiedziałem cicho. – Ale nie miałem odwagi. Na świecie w ogóle jest tyle strasznych rzeczy. Mówi się przecież: jak na dole, tak na górze... Może do wyższych światów też można kupić przepustkę.

– Od kogo?

– Od wyższych sił.

– Wyższe siły, niższe siły to różne aspekty Wielkiego Wampira, Rama. Istniejemy – i wampiry, i ludzie, i cała reszta – w jednym i tym samym boskim umyśle. Jesteśmy po prostu jego myślami.

– Uhm – mruknąłem.

– Każda myśl ma własny los. Jeśli była zła, to i kończy się źle. Jeśli dobra, to dobrze. A jeśli była bardzo dobra, to kiedy się skończy, Wielki

Wampir może ją sobie znowu przypomnieć – i myśleć ją wciąż od nowa. Czy to jest dla ciebie jasne?

– Tak – odrzekłem.

– Ale myśli – ciągnął Ozyrys, odwracając się do mnie – nie są dobre czy złe same przez się. Stają się takie tylko w porównaniu jednej z drugą. I wampiry nauczyły się sztańcować... Jak by to powiedzieć... Takie myśli, które bardzo drażnią Wielkiego Wampira. Drażnią do takiego stopnia, że my w zestawieniu z nimi wydajemy się mu raczej dobrymi myślami. W rezultacie Wielki Wampir o nas zapomina, a my odchodzimy cicho w jego pełną szczęśliwości podświadomość. A potem przypomina sobie nas znowu jako coś stosunkowo znośnego. I rodzimy się znów, aby się stać wampirami.

– To znaczy, że oszukujemy Wielkiego Wampira?

– Jacy my? Dopiero co sam wszystko widziałeś. Wielkiego Wampira nie można oszukać – poza nim

nikogo nie ma. Jeśli wszystko przebiega w taki sposób, to wyłącznie dlatego, że on sam tego chce...

Nagle z wody za plecami patrzącego na mnie Ozyrysa wyłoniło się coś ciemnego.

Była to podobna do kolumny szyja, zakończona niemal ludzką głową z czarnymi punkcikami wściekłych oczu. Otworzyła usta, tak czerwone, jakby były umalowane szminką, i zaczęła się wyginać w naszą stronę.

Nie zdążyłem nic powiedzieć Ozyrysowi, ale ten dostrzegł chyba przestrach w moich oczach. Odwrócił się szybko, chwycił wiosło z dna łodzi i machnął nim. A dalej nastąpiło coś strasznego.

Szyja wyłoniła się z wody daleko od nas. Była ogromna, kilkumetrowa. A wiosło w ręku Ozyrysa bardzo krótkie. Nie wydłużało się i nie powiększało. Niemniej Ozyrys w jakiś sposób uderzył tym wiosłem w szyję – i strącił z niej głowę niczym szyszkę rzepu.

Ja oczywiście też poradziłbym sobie z tą głową,

ale nie miałem w swoim arsenale tak wyrafinowanie prostych sztuczek. Co więcej, Ozyrys nie miał przecież wamponawigatora. Nie miał go na co nałożyć.

– Jak pan to zrobił? – sapnąłem.

– Osiąga się to dzięki ćwiczeniom. Na czym to stanęliśmy?

– Na tym, że wszystko dzieje się z woli Wielkiego Wampira.

– Tak – powiedział Ozyrys. – Ale co to znaczy: z jego woli? Nawet w ludzkim umyśle jest mnóstwo myśli sprzecznych! A o ileż więcej w boskim! Ten umysł pierwotnie nie jest po niczyjej stronie. Patrzy, która z myśli okaże się silniejsza albo piękniejsza – i cała rzeczywistość skłania się ku niej. W boskim umyśle działają proste i jasne reguły, znane nam wszystkim. Ale te zasady można wykorzystać w bardzo sprytny sposób...

Ozyrys uniósł się w łodzi i znów machnął wiosłem. Zobaczyłem jeszcze jedną szyję,



pograżającą się w wodzie daleko za nami. Była podobna do pierwszej – tylko z mnóstwem odgałęzień, z których każde zakończone było taką samą ohydną głową. Widziałem owo czarnoczerwone drzewo tylko przez ułamek sekundy, ale miałem wrażenie, że cios Ozyrysa jakimś sposobem trafił we wszystkie głowy naraz.

– Wielki Wampir na nikim się nie mści, nikogo nie karze. Żadne demony zemsty tak naprawdę nie istnieją, są tylko swego rodzaju antyciała, dbające o higienę Jedyne go Umysłu. Dla nas jednak prościej jest uważać je za siły ciemności, dla których grzeszna świadomość stanowi rodzaj pożywienia.

Ozyrys jeszcze raz machnął wiosłem. Coś olbrzymiego z pluskiem runęło w wodę za moimi plecami. Tym razem nawet się nie obejrzałem.

– Tak więc – ciągnął Ozyrys – wampiry mają odwieczną umowę z siłami ciemności. Zresztą nic w tym dziwnego, jako że my też się do nich w pewnym sensie zaliczamy. Umowa polega na

tym, że duchy zemsty nie przeszkadzają nosicielom magicznego robaka przeradzać się w sprzyjających okolicznościach. A wampiry płacą im za to daninę. W jedynej walucie, jaką tam przyjmują.

– Czyli co, składamy ofiary? – spytałem.

– Niezupełnie – odrzekł Ozyrys. – Nikogo sami nie zabijamy. Po prostu... Cóż, hodujemy określoną formę pożywienia. Mieszkańcy mrocznych piekieł najbardziej lubią rozdzierać na strzępy wydelikacną i wyrafinowaną świadomość bogatych grzeszników. Potrafią czynić tę procedurę niemal wieczną, powtarzając ją wciąż od nowa, dopóki im się nie znudzi. My hodujemy takich bogatych grzeszników. Pomagamy im w gromadzeniu potwornego bogactwa specjalnie po to, by złożyć ich w darze siłom zła. Kandydatów wybiera się w młodym wieku spośród ludzi skłonnych do hedonizmu. I zamienia się ich życie w bajkę, w której kroczą od jednego nieprawdopodobnego sukcesu do drugiego – najczęściej nawet nie wiedząc, za co spotyka ich takie szczęście. Na drodze do sukcesu muszą

niszczyć życie wielu innych ludzi, toteż ich karma jest dość przerażająca.

– A jeżeli po prostu dostają spadek?

– Bez różnicy. Pieniądze – to alchemiczny produkt, uzyskany z ludzkiego cierpienia. Jeśli masz go zbyt wiele, po prostu siedzisz przez całe życie na ogromnej górze ludzkiego bólu. Zaprawdę, lepiej już być świnia, utuczona na ucztę Papuasów...

– Rozumiem – powiedziałem. – A kim są te mirskie świnki? Czy ja je widziałem?

– Wiele razy, Rama – odparł Ozyrys. – To ci, którzy kupili od nas Złoty Spadochron.

Wreszcie mnie olśniło. Jakby zapaliła mi się w głowie żarówka, która wszystko oświetliła.

– Mirska świnka – ciągnął Ozyrys – to skompaktowany w specjalny sposób grzeszny umysł. Złoty Spadochron to nie tylko fałszywy film dla oszukania krewnych. To również specjalna pozagrobowa powłoka. Mam mówić dalej?

– Nie trzeba – odparłem.

Wszystkie wcześniejsze zagadki zniknęły, ułożywszy się w prosty, wyraźny i oszczędny obraz rzeczywistości. I, jak już nieraz mi się to zdarzało, ogarnęła mnie złość, że sam nie wpadłem na takie proste rozwiązanie. Przecież wszystko było oczywiste. Jasne od samego początku...

– Nie jesteśmy wergiliuszami, Rama – powiedział Ozyrys ze smutkiem. – Jesteśmy...

– Szulerami – dokończyłem ponuro. – Słusznie pan to określił. Zwykłymi szulerami.

– Weź wiosło...

Nagle zauważyłem, że niedaleko płynie jeszcze jedna łódź. Siedziały w niej ładne nagie dziewczyny i przyglądały się nam. Kiedy spostrzegły, że na nie patrzę, zaczęły do mnie machać.

Były po prostu śliczne. Miały co najwyżej po dwadzieścia lat. Na ich twarzach malowało się wyraźne zawstydzenie, że musiały się rozebrać, ale maskowały je ostentacyjną brawurą, przesadnie gestykułując i chichocząc.

– Spróbuj teraz ty – powiedział ochryple Ozyrys. – Może uda ci się przejąć nawyk.

– Ale co one zawiniły? – szepnąłem. – Takie laleczki?

Ozyrys z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jak to co? Cóż to, nie widziałeś filmu *Solaris*?  
Bij, póki nas nie zagryzły.

Nie widziałem filmu i nie czytałem książki – kompletnie nie rozumiałem tych wszystkich dziwolągów z lat sześćdziesiątych. Sądząc z kontekstu, był to horror o potworach, udających niewinne dziewczątka.

Ozyrys mógł mieć rację – zauważyłem, że łódź z dziewczynami niepojętym sposobem szybko zbliża się do naszej – chociaż dziewczynom ani się śniło wiosłować, zasłaniały się tylko i chichotały. Dziwne.

– Jak mam bić? – zapytałem.

– Tego się nie da wyjaśnić – odparł Ozyrys. – Po prostu spróbuj.

Podniosłem wiosło. Gdyby nawet było dziesięć

razy dłuższe i tak bym nie sięgnął do zbliżającej się łodzi. Ale Ozyrys dopiero co dokonał tej sztuki na moich oczach, więc było to możliwe. Założyłem, że powinienem uderzyć w miejsce, w którym widzę łódź – tak, żeby wiosło i łódź zetknęły się na linii mojego wzroku – i spróbowałem to zrobić.

Nic się nie wydarzyło – jeśli nie liczyć tego, że omal nie wpadłem do wody. Dziewczyny zapiszczały szyderczo.

– Nie przymierzaj się – powiedział Ozyrys. – Po prostu bij.

Wreszcie zrozumiałem, co ma na myśli. Nie chodziło o to, żebym geometrycznie wyliczył cel. Miałem po prostu utopić prześladowczynię. I oczywiście mogłem to zrobić. Zamachnąłem się i uderzyłem wiosłem w łódź. Nie myśląc o tym, że wiosło jest krótkie i łódź nie ucierpi, nawet jeżeli jakimś cudem dosięgnę – po prostu uderzyłem i już.

Wrzask dziewczyn omal mnie nie ogłuszył, ale

na szczęście trwał krótko. Łódź od razu poszła na dno.

– Też mi Hamlet – powiedział z niezadowolaniem Ozyrys. – Bić albo nie bić. Nie masz się co litować. Oni nigdy się nad nami nie litują.

Oczywiście miał rację. Cokolwiek miał na myśli.

W ciągu następnej godziny próbowało się do nas zbliżyć jeszcze kilka łodzi z zalotnymi obywatelkami, na których ostatecznie udoskonałem transcendentalne uderzenie wiosłem. A potem pojawiła się różowa płaskodenka pełna bezwstydných chłopców z drągami w rękach – tę zaczerwieniony Ozyrys osobiście rozwalił w drzazgi.

– Że też zapomniałem – mruknął.

– A co to było?

– Czyściłem, czyściłem, ale trudno o wszystkim pamiętać...

Ozyrys osłonił ręką oczy i z napięciem wpatrzył

się w mgłę.

– Szykuj się – powiedział. – Zaczyna się wampokarma.

Zobaczyłem płynących w naszą stronę ludzi.

Było ich wielu. I wyglądali wręcz okropnie. Nie ze względu na rany, krew czy jakieś trupie efekty specjalne z rodzaju tych, jakimi filmowcy ozdabiają masowe produkcje o zombie.

Wręcz przeciwnie. Ich twarze – i męskie, i kobiece – miały perfekcyjny makijaż. I to w jednakowym stylu. Jakby najpierw każdą z nich zagruntowano białą gliną, a potem narysowano na niej kreskami prościutką buzię z filmów animowanych – szczęśliwą, naiwną i nieznośnie młodą. Wiek zbliżających się do nas pływaków można było odgadnąć jedynie na podstawie przypadkowych szczegółów – po obwisłej skórze na szyi czy plamkach starczej pigmentacji.

Potem usłyszałem coś jakby płacz – wielu z nich wyło, ale bez łez, samym gardłem. I płynęli dziwnie...



Zrozumiałem, o co chodzi: starali się, żeby woda nie ochlapała im twarzy i nie zmyła charakterystyki. Ale uniknięcie tego było właściwie niemożliwe i za każdym razem, kiedy woda przyskała na czyjąś młodą twarz i splukiwała jej część, obnażając zmarszczki i fałdy, pływak wydawał bolesny jęk i znikał pod wodą.

– Co z nimi zrobić, kiedy dopłyną? – spytałem.

– Nie dopłyną – odpowiedział Ozyrys.

Tak się też stało. Mimo że płynących było wielu, tonęli, zanim zdążyli do nas dotrzeć. Nawet najszybsi i najbardziej zdeterminowani mimo wszystko znikali pod wodą o kilka metrów od łodzi.

Trwało to dość długo. Zauważyłem, że maski w istocie nie były jednakowe – różniły się wyrazem narysowanych twarzy. Były twarze zamysłone, rozmarzone, wesołe. Ale wszystkie jednakowo szły na dno.

– Kto to jest? – zapytałem.

– Ofiary umysłu B – odrzekł Ozyrys. –

Ponieważ jesteśmy wampirami, płyną do nas jako do swojego źródła. Zmusiliśmy ich, by włożyli te maski. Teraz chcą wiedzieć, dlaczego. To bardzo stare misterium, Rama.

– Jesteśmy wobec nich winni?

– Oczywiście – rzekł Ozyrys. – Dlatego potrzebujemy świń.

– Ale przecież oni nie mogą dopłynąć – powiedziałem.

– Ja już dawno przestałem pić bablos. Normalny wampir jechałby już na trzeciej świni... Zaraz będzie *surge*<sup>[56]</sup>. A potem spadek...

Ozyrys najwyraźniej dobrze wiedział, co i w jakiej kolejności ma się wydarzyć. Wszystko odbyło się tak, jak mówił: najpierw wokół zrobiło się tak dużo białych twarzy, że powierzchnia wody była prawie niewidoczna, jakby rozpościerało się przed nami pole, gęsto zarośnięte kapustą. Ale głowy szły na dno, nie docierając do naszej łodzi. Pojawiało się ich coraz mniej i wkrótce wokół pozostała tylko czysta woda.

– Co teraz? – spytałem.

– Teraz czerwony grzech – odpowiedział Ozyrys. – Mea culpa. Ale to pójdzie szybko.

Usłyszałem niskie brzęczenie. W pierwszej chwili pomyślałem, że z przeciwka zbliża się motorówka. Ale z mgły wyleciał olbrzymi komar, nabrzmiały ciemną krwią. Kiedy się zbliżył, zobaczyłem, że ma twarz mojego kierowcy Grigorija – siną i gniewną, z zamkniętymi oczami. Zaczął krążyć wokół naszej łodzi, to się oddalając, to podlatując całkiem blisko.

– No – powiedział Ozyrys – na co czekasz...

Trzepnąłem go wiosłem i komar pękł, zamieniając się w chmurę czerwonych bryzgów. Dopiero potem spostrzegłem, że w tym momencie dzieliło nas od niego co najmniej dwadzieścia metrów.

Zapadła cisza. Dokoła nie było już ani łodzi, ani głów, ani latających profesorów teologii. Zdawało się, że po prostu płyniemy sobie rzeką w porannej mgle.

– Nauczyłeś się – powiedział Ozyrys. – Brawo.

– Proszę mi powiedzieć – zagadnąłem – dlaczego pił pan czerwoną ciecz Grigorija?

– To on mnie w to wciągnął – westchnął Ozyrys. – Nie dawał mi spokoju. „Może chciałby się pan napić mojej krwi? Proszę się nie krępować...” Najpierw pomyślałem, że to utajony gej. Chciałem go zwolnić. Ale przedtem postanowiłem ukąsić, żeby niesprawiedliwie nie skrzywdzić. Okazało się, że chodzi o co innego.

– O co?

– No więc – powiedział Ozyrys – Grisza to bardzo porządny człowiek. Uczciwy. Dobry. Ale nie całkiem normalny. Postanowił sobie w duszy, że za swoją rodzinę i dzieci odda całą czerwoną ciecz do ostatniej kropli. Ale jak to zrobić? Ma tylko złote serce, ale żadnego prawdziwego zawodu. Nie może znaleźć pracy. A musi jakoś wyżywić dzieci. No i wymyślił sposób. Jest pan przecież wampirem, powiada. Niech pan pije moją krew i da mi pieniądze, bo nie mam za co wyżywić

rodziny. A mnie z delikatności niezręcznie było odmówić. A wiesz, jaki taki Mołdawianin potrafi naciskać?

– Wiem – powiedziałem. – Przekonuję się o tym codziennie.

– Mówię mu – ciągnął Ozyrys – Grisza, jak możesz? To przecież *blood libel*! Mieszkamy pod jednym dachem. Jak możesz mnie o coś takiego... Chcesz, to po prostu dam ci pieniądze? A on się zaparł i już. Nie potrzebuję jałmużny, powiada, potrzebuję roboty. No i musiałem... Chociaż oczywiście było to wstrętne. Dobrze, że wzięłeś go na kierowcę...

– I co, naprawdę pił pan czerwoną ciecz?

– Tylko jego – powiedział Ozyrys. – Ale rozpuszczałem słuchy.

– Po co?

– Jeżeli uprawiasz poważne praktyki duchowe, lepiej, żeby otoczenie o tym nie wiedziało. I myślało o tobie niestworzone rzeczy. Wtedy mniej się będą ciebie czepiać, bo wszystko będzie

dla nich jasne. Tak jest wygodniej... Oczywiście dopóty, dopóki nie pojawi się jakiś Grigorij...

I Ozyrys znów ciężko westchnął. Zdaje się, że wspomnienie nie było dlań przyjemne.

– To dlaczego mieszkali u pana gastarbeiterzy? I sam Grigorij?

– Częściowo dla kamuflażu – odparł Ozyrys. – Żeby wszyscy myśleli, że piję ich czerwoną ciecz. A częściowo... Byli mi potrzebni w moich praktykach.

– Jakich?

– Jestem uczniem Draculi – powiedział Ozyrys. – I przez całe życie szedłem jedną z wytyczonych przez niego dróg.

Podciągnął wysoko rękaw bluzy i zobaczyłem nad jego łokciem znajomy tatuaż – czerwone serce z czarną gwiazdą w środku.

– Pan też? – spytałem zaskoczony.

Ozyrys przytaknął.

– Dracula pozostawił po sobie wiele różnych

nauk. Jedna z nich, najdziwniejsza i najbardziej rewolucyjna, była o tym, jak stać się szczęśliwym za pomocą samego rdzenia ludzkiej męki – umysłu B.

– A to jest w ogóle możliwe?

– Teoretycznie nie. Ale Dracula znalazł wyjście. Nazwał tę metodę „wampiryzmem pozytywnym”.

– Co to jest?

Ozyrys zapatrzył się w mgłę, tam, dokąd powolny nurt unosił naszą łódź.

– Jest to tak proste, Rama, że obawiam się, że nie zrozumiesz. Jesteś zbyt typowym dziecięciem naszych czasów. Pomyślisz, że oszalałem.

– Niech pan spróbuje – odparłem.

– No dobrze. Jak wiesz, problemy człowieka są związane z tym, że człowiek ciągle chce uczynić się szczęśliwym, nie rozumiejąc, że nie ma w nim żadnego podmiotu, żadnego „ja”, które można by było uszczęśliwić. Dracula mówił, że to tak jak z kompasem, który usiłuje wskazać na samego siebie i wiruje niczym śmigło.

– Pamiętam – powiedziałem.

– Można jednak rozwiązać ten problem – ciągnął Ozyrys – jeżeli zamiast czynić szczęśliwym siebie, spróbujesz uszczęśliwić kogoś innego. Zupełnie nie zastanawiając się nad tym, czy w tym innym jest jakieś „ja”, które będzie szczęśliwe. Jest to możliwe, ponieważ inny człowiek zawsze pozostaje dla ciebie tym samym obiektem zewnętrznym. Stałym. Zmienia się tylko twój stosunek do niego. Ale kompas ma gdzie wskazywać. Rozumiesz?

– Przypuśćmy – powiedziałem.

– Dalej sprawa jest prosta. Utożsamiasz się nie ze sobą, ale z nim. Dla wampira jest to szczególnie łatwe – wystarczy jedno ukąszenie. Uświadamiasz sobie, że temu drugiemu jest jeszcze gorzej niż tobie. Wszystko, co złe w twoim życiu, jest także złe w jego życiu. Ale dobre – nie wszystko. I starasz się zrobić tak, żeby on był chociaż przez minutę szczęśliwy. I to się często udaje, jako że większość ludzi, Rama, gryzie się problemami,



które my rozwiązujemy z łatwością.

– I co dalej?

– Dalej zaczyna ci być dobrze.

– Ale dlaczego? – spytałem.

– Dlatego że utożsamiasz się nie ze sobą, ale z nim. Drugi człowiek, kimkolwiek by tak naprawdę był, jest iluzją znacznie bardziej długowieczną niż wszystkie twoje wewnętrzne fantomy. Dlatego twoje szczęście będzie trwać dłużej. Jest w tym wypadku trwałe.

– Ale...

– Brzmi to dziwnie i nieprawdopodobnie – przerwał mi Ozyrys. – Wiem. Ale to działa, Rama. Dracula nazwał to „wampiryzmem pozytywnym”, ponieważ my jak gdyby żywimy się cudzym szczęściem, czyniąc je swoim własnym. Zdajesz sobie chyba sprawę, że dla większości wampirów coś takiego jest nie do przyjęcia.

– Dlaczego?

– Dlatego że jest to droga do szczęścia, która przebiega z dala od bablosu i wszystkiego, co się

z nim wiąże. Niemal świętokradztwo.

– I co – spytałem – każdego człowieka można uczynić obiektem takiego wampiryzmu?

– W zasadzie tak.

– A na czym polega technika?

– Przecież już powiedziałem. Patrzysz na drugiego człowieka i rozumiesz, że walczy z życiem ostatkiem sił, i wkrótce go zabraknie. Dotyczy to zarówno dziesięciolatka jak i siedemdziesięciolatka – po prostu przychodzisz mu na ratunek i robisz tak, żeby dzięki tobie jego życie chociaż na krótko stało się lepsze... To wszystko. Pomyśl, a gdyby wszyscy tak żyli?

Na sekundę ujrzałem oczami duszy cień tego niewyobrażalnego świata; zabłysnął ściskającą za serce zorzą i zniknął.

– Brzmi pięknie – powiedziałem. – Ale nie chce się wierzyć, że to możliwe...

– Musisz to wypróbować – odparł Ozyrys. – Inaczej nie zrozumiesz. Tylko jest tu jedna ważna zasada.

– Jaka?

– Nie wolno się uprzedzać. Wrzucać wstecznego. Że na przykład ten jest dobry, temu pomogę, a ten nie – niech zdycha. Jeżeli pomagasz tym, którzy ci się podobają, po prostu łechcesz swoje ego. Kiedy twój kompas zaczyna się kręcić jak szalony, nie zwracasz na niego uwagi. Ponieważ robisz to nie dla siebie. I o to chodzi. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową.

– Ideałem jest pomagać pierwszemu z brzegu. Dlatego, żeby zawsze mieć takich pod ręką, po prostu wynająłem brygadę Mołdawian, nie patrząc, kto i co. I umieściłem ich w swoim mieszkaniu... Żeby wampiry nic sobie nie pomyślały, rozpuściłem pogłoskę, że ćpam czerwoną ciecz... No i Mołdawianin mnie podszkolił w udawaniu. Nie masz pojęcia, Rama, jak tym chłopakom mało było potrzeba do szczęścia. Posłać forszę rodzinie, obalić flaszkę i pograć w karty. No i oczywiście telewizor.

I pogadać o polityce. Jakież ja byłem z nimi szczęśliwy... Coś niesamowitego...

– Grigorij też był w tej brygadzie? – zapytałem.

– Był moją ostatnią pokusą – powiedział Ozyrys. – Bałem się, że nie wytrzymam i go odtrączę. Ale wytrzymałem.

– Uhm – mruknąłem. – Teraz kusi mnie.

– Dla ciebie to za ciężka waga, Rama. Nawet ja z trudnością z nim sobie poradziłem. Uważaj, żeby cię nie wciągnął w czerwonuchę. On to potrafi. Mołdawianin. U nich w Transylwanii naprawdę się to zdarza. Sam z początku nie wierzyłem.. A potem..

– Nie – powiedziałem. – On jest teraz szoferem. Przyzwoicie zarabia. Nie musi handlować czerwoną ciecżą, żeby posyłać pieniądze do domu.

– Skoro tak, to dobrze...

Umilkliśmy. Na twarzy Ozyrysa malowało się rozczulenie i smutek. Zdawało mi się, że jeszcze chwila, a się rozpłaczę. Postanowiłem zmienić temat – zwłaszcza że już od kilku minut nurtowało

mnie jedno pytanie.

– Gdzieś słyszałem – odezwałem się – że ten, kto zobaczy Wielkiego Wampira, zyskuje nieśmiertelność. Czy to prawda?

Ozyrys popatrzył na mnie z uśmiechem.

– Nieśmiertelność – powiedział – polega po prostu na zrozumieniu, że nie ma w tobie nikogo, kto żyje. Dlatego również nie ma kto umierać. Kiedy rozmawiałem o tym z Draculą, wspomniał Boba Dylana. „*People don't live or die, people just float...*”<sup>[57]</sup> Nie wiem, Rama, czy ty jesteś nieśmiertelny, czy nie. Zapytaj samego siebie...



Wydawnictwo Literackie

## TAJNA CZARNA DROGA

Powierzchnia wody we wszystkie strony była spokojna i równa – i już od dłuższego czasu nic nie wypływało ku nam z mgły, jeśli nie liczyć różnych drobnych śmieci – zapisanych arkuszy papieru, pustych butelek i pudełek po papierosach. Ale nawet tego było niewiele.

– Czysto – powiedziałem. – Pierwszy raz widzę taką karmę.

– W ciągu całego swojego życia trzy razy rozpamiętywałem i czyściłem – odparł Ozyrys. – Wszystko, od samego dzieciństwa. Szkieletów w szafie nie będzie.

– Przepraszam, a skąd pan ma ten tatuaż? Serce i gwiazdę?

– Zrobiłem sobie u przyjaciół.

– Co to za przyjaciele?

– Amerykańskie wampiry. O zbliżonych poglądach.

– Znałem jedną dziewczynę z takim tatuażem – powiedziałem. – Bardzo się interesowała Draculą.

– Sophie? – zapytał Ozyrys.

Przytaknąłem.

– Wiem, wiem – powiedział Ozyrys z uśmiechem. – Co, jesteście pokłóceni?

– Skądże...

– To dlaczego się z nią nie witasz?

Najpierw nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Potem zrozumiałem, ale nie uwierzyłem. A potem się obejrzałem – i zobaczyłem siedzącą na rufie Sophie.

Wyglądała dokładnie tak samo jak podczas naszych dawnych odwiedzin w sypialni Draculi. Miała na sobie rodzaj czarnego dresu. Obok niej leżał bukiet biało-żółtych kwiatów. Szczecinka

włosów na jej czaszce była nieco dłuższa niż poprzednim razem. I gdzieś znikła opalenizna – Sophie była zupełnie blada. Ale też było jej z tym do twarzy.

– Cześć, kolego – powiedziała z uśmiechem.

Byłem oszołomiony.

– Cześć... Dawno tu jesteś?

– Od samego początku – powiedziała. – Ozyrys jest przyjacielem mojej rodziny.

– A dlaczego cię nie widziałem?

– Bo się mnie nie spodziewałeś. To przecież limbo, Rama.

– Mogłaś się odezwać.

– Nie chciałam cię rozpraszać. Jesteś tu w pracy. Więc proszę cię, rób swoje. Ochroniaj klienta.

Odwróciłem się. Miała rację – nie powinienem się rozpraszać. Ale oczywiście trudno mi było wyrzucić z głowy myśl o tym, że ona siedzi tak blisko... Chociaż co to znaczy „siedzi tak blisko”?



Gdzie jest to „blisko”? Mógłbym jej w ogóle nie zobaczyć, myślałem, więc nie ma co się tak ekscytować. Trzeba się skupić na robocie...

Tylko że właściwie nie miałem nic do roboty.

Pamięć Ozyrysa już się przewinęła. Z mgły zaczął występować wysoki skalisty brzeg. Wpływaliśmy w długi wąwóz – jakby wyrąbaną w skale gigantyczną ulicę.

W jej pionowych kamiennych ścianach były prostokątne zagłębienia, przypominające okna. Gdy zatrzymywałem na którymś wzrok, stawało się przezroczyste. Za jednym oknem była ulica w nocy, rozświetlona kolorowymi neonami. Za drugim – dom nad rzeką, las i wieczorne niebo. Za trzecim – różnobarwne domki na palach nad morzem o poranku. Wszystko wyglądało bardzo prawdziwie. Tyle tylko że obszary przestrzeni, które odkrywałem, w żaden sposób nie mogły ze sobą sąsiadować...

– Jeśli będziesz otwierać wszystkie drzwi – powiedział Ozyrys – utkniemy tu na bardzo długo.

Nazywał drzwiami to, co mnie wydało się oknami.

– Co mam robić? – spytałem.

– Patrz przed siebie.

Gdy tylko się odwróciłem, ukazało się miejsce, do którego zmierzała nasza łódź. Było to takie samo prostokątne zagłębienie w skale, tylko przed nim znajdowała się płycizna i porośnięty krzakami pagórek z piaszczystą ścieżką. Na brzegu była maleńka drewniana przystań – i łódź sama do niej płynęła.

Wpatrzyłem się w ciemny prostokąt – i po kilku sekundach zobaczyłem Moskwę.

– Tam jest Moskwa – powiedziałem. – To dobrze?

– Dla mnie to bez różnicy – odparł Ozyrys. – Ja się tam nie wybieram. Skacz!

Łódź przepłynęła obok przystani i przeskoczyliśmy na szare deski pomostu. Łódź popłynęła dalej w mgłę. Sophie teraz nigdzie nie było widać. Staralem się o niej nie myśleć, ale nie

wiem dlaczego byłem pewien, że nadal jest obok.

– A dokąd się pan wybiera? – zapytałem. – Skoro nie do Moskwy?

– Zaczekaj – powiedział Ozyrys. – Jeszcze trzeba dojść do drzwi.

Zdawało mi się, że jeśli o to chodzi, nie ma żadnych przeszkód – równiutka piaszczysta ścieżka wspinała się od przystani prosto do prostokątnego wejścia.

Ale stało się coś dziwnego.

Kiedy idący przede mną Ozyrys dotarł do połowy zbocza, dało się słyszeć soczyste cmoknięcie, podobne do specjalnego sygnału komputera, informującego o czymś nieprzyjemnym.

Ozyrysa odrzuciło do tyłu – stracił równowagę i pokoziołkował w dół, omal nie zbijając mnie z nóg. W powietrzu zaświeciły różnobarwne cyfry, podobne do roju tańczących motyli, zamigotały tajemniczo – i rozpląnęły się bez śladu.

Ozyrys wstał, pokazał mi gestem, żebym się nie wtrącał, i znów ruszył pod górę.

Kiedy dotarł do tego samego miejsca, wszystko się powtórzyło. Teraz na sekundę ujrzałem wielką świecącą pięść, która wyłoniła się z pustki dokładnie przed nim i zbiła go z nóg. Znowu zamigotały wesołe cyfry, a potem rozległ się głos podobny do krzyku papugi:

– Key-o!

– Tak myślałem – powiedział Ozyrys, wstając. – Wiedziałem.

Obrastając szybko sztuczną zbroją z animowanych filmów (rogaty hełm, kwadratowa tarcza i ogromna maczuga z błyszczącą brylantową gwiazdą), ruszył ścieżką pod górę. Cios się powtórzył, ale tym razem trafił w tarczę i Ozyrys zdążył zamachnąć się swoją maczugą i oddać uderzenie. Pięść pozieleniała i posypały się z niej na ziemię kolorowe gwiazdki, stożki i sześcianiki. Potem pięść zniknęła.

Ozyrys przeszedł jeszcze kilka metrów w górę i nagle powaliła go na ziemię ta sama pięść, która tym razem wyłoniła się z boku. Znowu zamigotały

cyfry i rozległ się dźwięczny elektroniczny śmiech.

Ozyrys podniósł się i popatrzył na mnie z konsternacją.

– Co to jest? – spytałem.

– Nie wyczyściłem karmy konsolowej – powiedział. – Jakoś wyleciało mi z głowy. A dużo grałem. I często po trawce...

– Mogę jakoś pomóc?

Ozyrys przecząco pokręcił głową.

– To można załatwić tylko w pojedynkę – powiedział.

– Czy to niebezpieczne? – spytałem.

– Nie. Ale długo trwa. Wergiliusz nie jest tu potrzebny. Możesz na razie zająć się Sophie, tylko nie odchódź daleko. Jak skończę, to cię zawołam...

Nie mogłem uwierzyć, że wszystko się tak bajecznie składa. Obejrzałem się i znów zobaczyłem Sophie.

– Eksboks? – spytała.

– Tu jest wszystko naraz – odrzekł Ozyrys,

prawie niewidoczny pod zbroją. – Postaram się jak najszybciej... Idźcie, nie przeszkadzajcie mi.

Sophie wzięła mnie za rękę i poprowadziła w bok.

– Coś takiego – mruknąłem. – Wyruszyłem, żeby odprowadzić na tamten świat starego krwiopijcę, a tu nagle...

– Ładna dziewczyna prowadzi cię w krzaki – dokończyła Sophie.

Najpiękniejsze w jej słowach było to, że były prawdą. Odeszliśmy od miejsca, w którym walczył Ozyrys, bardzo niedaleko – ale całkowicie zasłoniła nas ściana zielonych liści.

Wcale się nie zdziwiłem, widząc na małej polance wśród krzaków łóżko z sypialni Draculi – to samo. Możliwe, że sam je stworzyłem. Zapewne tak właśnie było, bo Sophie skrzywiła się na jego widok (jeśli oczywiście nie była to zwykła kobieca kokieteria). Potem jednak chyba zrozumiała, że nieuniknione jest nieuniknione.

– Zdejmij ten czarny dres – powiedziałem

w króciutkiej pauzie między pocałunkami. – Chcę zobaczyć twój tatuaż. I zrobić sobie taki sam.

Byłem pewien, że powód wyda się jej przekonujący.

Było słyhać, jak Ozyrys za krzakami stęka i pokrzykuje. Zdaje się, że ciągle zbijali go z nóg – ale znowu się podnosił. Jazgotały elektroniczne głosy i syreny, dobiegał szczęk broni i coś jak brzęczenie automatu kasowego, liczącego pieniądze albo naliczającego punkty... Ozyrys rzeczywiście nie miał do nas głowy. My zaś – a przynajmniej ja – do niego.

Kiedy przyszliśmy do siebie, Sophie powiedziała:

– Dzisiaj sytuacja znów jest wyjątkowa. Ale tak w ogóle nie należy tego robić w limbo.

– Dlaczego?

– No... To się uważa za upadek. Transgresję. Panuje opinia, że wampir degraduje się w swoim aspekcie ludzkim.

– Przecież sama przysłałaś mi list –

powiedziałem.

– W moim liście nie było żadnej rozpusty – odparła Sophie. – Rozpusta była w tobie. Ja po prostu się nie sprzeciwiałam.

– Powiedz to Isztar – mruknąłem. – O transgresji. Ja i teraz się boję, że cię pocałuję, a ty raptem zaczniesz machać skrzydłami...

– Uspokój się. Nie zacznę. Po prostu trzeba to robić w normalnym stanie czuwania przy osobistym spotkaniu fizycznym. To jest w dobrym tonie.

– A ja, jak widzisz, całe życie osobiste mam w limbo – powiedziałem. – Jak student, który nie ma gdzie się bzykać...

– Chcesz trochę pomieszkać u mnie? – spytała Sophie.

– Nie puszczą mnie – powiedziałem. – Jestem przecież Kawalerem Nocy.

– To można zorganizować. Przez papikamamika<sup>[58]</sup>.



– Jakiego papika-mamika?

– Dowiesz się – odparła z uśmiechem.

– Mówisz zagadkami.

– Kobieta powinna być zagadkowa – odrzekła Sophie. – Inaczej jej towarzystwo szybko staje się nudne. Wiesz, dlaczego nie lubię tego robić w limbo?

– Dlaczego?

– Bo tutaj nie można ugryźć do krwi. A kiedy kąsasz kochanka do krwi, a on kąsa do krwi ciebie – stajesz się z nim jednością. To coś niewyobrażalnego... Niesamowitego...

– Nawet nie słyszałem o czymś takim – mruknąłem.

– Zwyczajne wampiry tak nie robią – odparła Sophie. – Tylko „Leaking Hearts”.

Popatrzyłem na jej tatuaż i przyszła mi do głowy niepokojąca myśl.

– Słuchaj – powiedziałem – może Ozyrys zaczął to robić pod waszym wpływem? No, popijać

czerwonuchę? Zrobił sobie dziarę, a potem...

Sophie zmarszczyła brwi i poczułem, że ta rozmowa jest jej nie w smak. Być może przypadkiem powiedziałem prawdę – a w takich wypadkach dobrze wychowane wampiry starają się jak najszybciej zmienić temat.

– A właśnie, jak tam Ozyrys? – rzuciłem. – Czy nie jesteśmy mu potrzebni?

I nagle uświadomiłem sobie, że już od dłuższego czasu nie słyszę poprzednich odgłosów – ani metalicznych szczęknięć, ani brzęczenia kasy, ani zdyszanych okrzyków. Zamiast tego do moich uszu dolatywał nierówny pisk o wysokiej częstotliwości, przypominający ni to dźwięk piły tarczowej, ni to nagranie odtwarzane w przyśpieszonym tempie.

– Co to?

– Przechodzi na dużej prędkości – powiedziała Sophie. – Dlatego prosił, żebyśmy odeszli. Żeby się mógł rozpędzić. Inaczej czekałbyś na niego cały miesiąc.

– Nie jestem mu potrzebny?

– Myślę, że niespecjalnie. Pozwól, niech się nieboszczyk rozluźni.

– Aha – powiedziałem. – A skąd będziemy wiedzieć, że już skończył?

– Usłyszemy. Chodź tu.

Znów na długo przestaliśmy mówić. Słowa rozpraszały.

Nie wiedziałem, co czuje Sophie – ale wszystkie moje doznania nieprawdopodobnie się rozciągnęły. Każdy dotyk, każdy pocałunek trwały, jak mi się zdawało, godzinami. Ozyrys zaś, sądząc po dobiegających dźwiękach, przeciwnie, ekstremalnie przyśpieszył swój indywidualny czas. Mignęła mi myśl, że być może te dwa procesy są ze sobą związane i wzajemnie się uzupełniają.

Wszystko jednak kiedyś się kończy.

– Czas na ciebie – powiedziała Sophie.

– Mamy jeszcze pół godziny – szepnąłem.

Nie byłem tego całkiem pewien, ale

postanowiłem zaryzykować.

I nastąpiła jeszcze jedna maleńka podwojona wieczność, wzruszająca i piękna. I nawet zdążyłem wymyślić dla niej nazwę: „*eternitee for two*”. Nie mam najmniejszej ochoty opisywać szczegółów, jako że sprawozdania z takich historii wyglądają na papierze (i nawet na taśmie filmowej) jednakowo – i nie dają żadnego wyobrażenia o tym, co się dzieje w rzeczywistości... On to, ona tamto... Tfu. To wszystko nieprawda. To jest coś zupełnie, ale to zupełnie innego.

Kiedy znów zacząłem zwracać uwagę na odgłosy z zewnątrz, zauważyłem, że nie słychać już elektronicznego wycia. Zamiast niego dobiegał groźny warkot. Potem jakby zajazgotał olbrzymi zwierz – i natychmiast rozległ się pełen bólu krzyk człowieka.

Krzyczał Ozyrys. Potem jego krzyk umilkł.

Zerwałem się z łoża i przeklinając samego siebie najgorszymi słowami, rzuciłem się tam, gdzie go zostawiłem. Znalazłem się na miejscu

w kilka sekund – ale już za późno.

Ozyrys leżał na tym samym pagórku, na którym widziałem go ostatni raz. To znaczy domyślałem się, że to Ozyrys. Bo były tam po prostu kawałki mięsa wymieszane ze szmatami, przesiąkniętymi krwią i błotem. Chyba tak mniej więcej wygląda po wybuchu terrorysta samobójca.

Nad pokonanym wampirem stał potwór.

Był to olbrzymi jaszczur (chyba właściwiej byłoby powiedzieć dinozaur) z wysokim tęczowym grzebieniem i zębata paszczą, z której leciały strzępy fioletowej piany. W okrągłych ślepiach zwierza jarzyła się wściekłość i ból, w czym nie było nic dziwnego, jako że pozostała zeń tylko przednia połowa, która z trudem pełzła na dwóch łapach. Mimo to jednak potwór nadal wściekle syczał – i wciąż szarpał zębami to, co kiedyś było Ozyrysem.

Na mój widok połówka smoka zajazgotała – ruszyła w moją stronę. Byłem już w pełnym bojowym rynsztunku i właśnie miałem rozwalić

gadowi łeb, kiedy nad stertą skrwawionych szmat nagle błysnęło nieznośnie jasne światło, rozległo się uderzenie gongu – i zobaczyłem Ozyrysa, żywego i zdrowego. Miał na sobie ciemny chałat, a w rękę trzymał okrągły biały wachlarz.

Jednym susem podskoczywszy do pełznącego potwora, Ozyrys zaczął ze straszliwą szybkością okładać go wachlarzem – podskakując, koziółkując, zawisając w powietrzu – i w ogóle wykonując całe mnóstwo całkowicie nieprawdopodobnych ruchów.

Najpierw zwierz próbował się bronić – ale nawet nie mógł odwrócić się do Ozyrysa paszczą. Ten wciąż znajdował się za nim. Miejsc, gdzie wachlarz uderzał w łuskę, nie było widać wśród wyładowań, dymu i migających cyfr. A potem Ozyrys poczerwieniał i zaczął młócić smoka ze zdwojoną siłą i częstotliwością. Smok już się nie ruszał – smętnie opuścił łeb ze wspaniałym grzebieniem i czekał końca. Znów rozbłysło oślepiające światło, aż musiałem zmrużyć oczy. Kiedy znów zacząłem widzieć, smoka już nie było.

Ozyrys rzucił wachlarz na ziemię, ten błysnął na pożegnanie i zniknął.

– Gotowe? – spytałem.

– Tak – odparł Ozyrys. – Musiałem parę razy umrzeć. Wszystko jak w życiu.

– Możemy teraz przejść?

Kiwnął głową i nagle w jego oczach mignęło przerażenie.

– Nie wysadziłeś przypadkiem świni<sup>[59]</sup>? – zapytał.

– Nie zdążyłem.

Ozyrys z ulgą otarł ręką czoło.

– Nawet nie próbuj, póki ci nie powiem.

– Już nie miałem nadziei, że pana jeszcze zobaczę – powiedziałem. – Co to za stwór?

– Jaszczur Fafnir – powiedział Ozyrys.

– Skąd się wziął?

– Sony entertainment w rozumie rodzi potwory, che, che... Za życia ani razu nie mogłem tego zwierza pokonać, miałem marną broń... Nie

zmodernizowałem jej we właściwym czasie...

– Czyli co, po prostu pan grał?

– Coś w tym guście – odrzekł Ozyrys. – Postanowiłem się na ostatek pofechtować. Póki ty walczyłeś z samotnością. Ale dlaczego się denerwujesz? Tak ze mną rozmawiasz, jakbym ja się objął, a ty robił coś ważnego. Powiedz lepiej, jak tam Sophie. Jak żywa, prawda?

Poczułem, że się strasznie czerwienię.

To, co sugerowało pytanie, było tak obraźliwe, że nie chciałem uwierzyć. Ale słowa zostały wypowiedziane i usłyszane. I natychmiast sobie uświadomiłem, że są prawdziwe. W moim wamponawigatorze nie było DNA Sophie. I nie dostałem od niej listu w kształcie flakonu serca.

To nie mogła być ona.

Odwróciłem się i powlokłem w stronę krzaków z łóżkiem – już z góry wiedząc, co zobaczę. Przeczucie mnie nie oszukało. Żadnej Sophie tam nie było. Nie było nawet łoża. I w ogóle to miejsce wyglądało zupełnie inaczej niż je zapamiętałem.



Wróciłem do Ozyrysa.

– Chce pan powiedzieć... Że Sophie... Że nie była prawdziwa, tak?

– Prawdziwa? – powtórzył Ozyrys. – Tutaj? To przecież limbo. Tutaj wszystko jest równie prawdziwe jak ty sam.

– I ona tak naprawdę nie przyszła?

– To znowu zależy, jak na to spojrzeć. Pomyślałeś o niej i ją zobaczyłeś. To znaczy, że w jakimś sensie przyszła.

– Czyli to była po prostu moja myśl?

– Dlaczego twoja? Ja też znam Sophie. I to od takiej strony, jakiej ty chyba nie znasz. To ja ją dla ciebie nadmuchałem. No, a skorzystałeś tylko ty... Mnie ani to przez myśl nie przeszło.

– Po co pan to zrobił? – spytałem.

Ozyrys wzruszył ramionami.

– Wampiryzm pozytywny. Zapragnąłem po raz ostatni kogoś uszczęśliwić. Zgoda, jest w tym pewna dwuznaczność. Ale to nie moja wina, że

masz już takie szczęście...

Poczułem nieprzewartą chęć, by dać mu w łeb.

– To z kim się teraz bzykałem? – szepnąłem, ledwie nad sobą panując. – Z martwym wampirem? Który przy tym jest moją własną halucynacją?

– A co, brzydzisz się?

Nie odpowiedziałem.

– Ech, młodość, czerwono w głowie – uśmiechnął się Ozyrys. – Uspokój się, Rama. Jeśli chcesz być szczęśliwy w miłości, nigdy się nad takimi rzeczami nie zastanawiaj. Bo tylko wszystko popsujesz. Mówię ci to jak nurek nurkowi.

– A ja myślałem, że ona mnie do siebie zaprosiła – szepnąłem z goryczą. – I że będziemy razem... A to wszystko kłamstwo, tak?

– Posłuchaj – rzekł Ozyrys – skoro już masz takiego hopla na tym punkcie, zorganizuję wam prawdziwą, fizyczną schadzkę w realu w gniazdku miłości. Obiecuję. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Ty mi teraz pomożesz.

– Jak?

– Chodź – powiedział Ozyrys – pokażę ci.

Ruszył piaszczystą ścieżką pod górę. Powlokłem się za nim. Za każdym razem, kiedy przypominałem sobie pocałunki Sophie, miałem ochotę splunąć.

Doszliśmy do ciemnego wejścia w nowe życie. Najpierw był to po prostu połyskujący mętnie prostokąt wulkanicznego szkła – ale im dłużej na niego patrzyłem, tym bardziej stawał się przezroczysty i wkrótce wpatrywałem się już w panoramę centrum Moskwy.

W Moskwie był letni wieczór – ogromne korki we wszystkich kierunkach, zachód słońca i obłoki z piętrowskim podbiciem koloru krwawnika. Wszystko jak zwykle. Smogiem źle się oddycha, ale z daleka wygląda pięknie.

– Nie idę tam – powiedział Ozyrys. – Nie chcę się przeradzać w tym sierpentarium i młotarium.

Zamierzam zniknąć bez śladu. Całkowicie.

– Gdzie? – zapytałem.

– W ciemności i spokoju – odparł Ozyrys. – Pamiętasz, jak spadaliśmy? Chcę, żeby wszystko się zatrzymało. Chcę się na zawsze złąć z Wielkim Wampirem.

– Czy coś takiego jest możliwe?

– Tak. Wielu tak robi. Oczywiście spośród tych, którzy mogą. Ale ty możesz mieć nieprzyjemności za to, że mi pomogłeś. Bo to jest... No, jak zdrada ojczyzny. Tylko jeszcze gorzej.

– Jeśli tak, to nasi zrozumieją – powiedziałem. – I wybaczą.

– Zrozumieć zrozumieją. I wybaczą. Ale nieprzyjemności i tak będą. Więc decyduj. Pomożesz?

Zamyśliłem się.

– Łatwiej mi będzie zorganizować twoje spotkanie z Sophie – powiedział Ozyrys. – Wtedy samo nastąpi. Automatycznie.

– Nie kłamie pan? – spytałem.

– Ja nigdy nie kłamię.

– No dobrze – westchnąłem. – Co mam zrobić?

– W odpowiednim momencie wysadzić świnie<sup>[60]</sup> – powiedział Ozyrys. – I to wszystko.

– Gdzie? – spytałem. – Tutaj?

Ozyrys przecząco pokręcił głową i wskazał palcem w górę.

– Nie. Tam. A po drodze coś ci opowiem.

– Co?

– Coś, co może zmienić całe twoje życie. I całą twoją śmierć.

Podszedł do ściany i spojrzawszy w niedalekie żółte niebo, zaczął się wspinać po skale, czepiając się nierówności i szczelin. Zakląłem i ruszyłem za nim.

Wspinaczka okazała się łatwa – nawet jeśli palce albo stopa ześlizgiwały się z kamiennej podpory, wcale nie musiałem spadać. Wystarczyło po prostu przywrzeć do ciepłej skały i wymacać

pewniejszy występ. Pomyślałem, że pewnie tak się czuje na ścianie gekon.

Po kilku minutach ziemia na dole zniknęła w żółtawej mgle. Teraz widziałem tylko ścianę, uchodzącą w górę i w dół, i wdrapującego się po niej Ozyrysa. Czasem zaczynało mi się wydawać, że nie włączymy w górę, ale pełzniemy po bezkresnej kamiennej pustyni. To bardzo uspokajało. Natomiast przestawienie perspektywy napawało grozą. Za każdym razem wydawało mi się, że jednak spadnę.

Żeby nie myśleć o własnym strachu, zacząłem mówić.

– Urządza pan tu różne sztuczki z reinkarnacją. Nie chce pan iść tam, gdzie powinien. Czy to znaczy, że buntuje się pan przeciw Wielkiemu Wampirowi?

– Już o tym rozmawialiśmy, Rama. To, co się dzieje – to właśnie jego wola. I dlatego wszystko, czego uda się nam dokonać, także się nią stanie.

– No dobrze – powiedziałem. – A kto się

przeradza?

– Sam widziałeś.

– Ale tam... Tam nikogo nie było. Tylko kompletna niejasność. Powiedziałbym, wręcz monstualna.

– I właśnie ona się przeradza.

– Jak?

– Dokładnie tak, jak przedtem żyła.

– Nie rozumiem – poskarżyłem się. – Dracula mówił, że stałe „ja” nie istnieje. Zresztą sam to widziałem. Więc kogo ja teraz odprowadzam? I dokąd? Jak to w ogóle pogodzić?

– A po cóż miałbyś cokolwiek godzić? Niech godzi Wielki Wampir. To jego problem...

Oczywiście była to prawda. Ale na razie nie potrafiłem tak szeroko patrzeć na rzeczy i Ozyrys to chyba rozumiał.

– Pytanie „kto?” w ogóle nie ma sensu – powiedział, wpatrując się w mgłę nad swoją głową. – Z kim się to wszystko dzieje? W tej

chwili martwy Ozyrys żyje poprzez światło, które przechodzi przez wergiliusza Ramę. Ale poprzez jakie światło żyje wergiliusz Rama? Skąd to światło przychodzi i dokąd odchodzi? Przecież chyba nie myślisz, że zaczyna się ono i kończy w twojej głowie? W limbo nie ma duszy. Ale w czym jest? Biegające po ziemi ludziki to po prostu koniki jesiennej karuzeli, która kręci się dlatego, że stróż Tadżyk zapomniał wyłączyć silnik. Chociaż koniki wyglądają na wesołe i kolorowe, nie znaczy to wcale, że jest im wesoło i mają kolory. To nawet nie znaczy, że w ogóle istnieją...

– To smutne.

– Wampir pamięta, że umysł B będzie go dręczyć przez całe jego życie – powiedział Ozyrys.

– Czyli co, w ogóle nie ma wyjścia?

– Jest – odparł Ozyrys.

– Wampiryzm pozytywny?

– To nie jest wyjście. To jedynie higiena umysłu,



która sprawia, że wyjście staje się możliwe. Samo wyjście polega na czymś innym.

– Na czym?

– Wyjściem jest Tajna Czarna Droga.

Przypomniałem sobie, że słyszałem to określenie podczas spotkania z Draculą. Wszystko przebiegało dokładnie, tak jak zapowiadał.

– Co to jest?

– Droga absolutnej podłości.

– Jak to należy rozumieć?

– To bardzo prosta doktryna, Rama. I niezwykle głęboka. Właśnie ze względu na tę prostotę utrzymuje się ją w tajemnicy. Jest w specjalny sposób zaszyfrowana.

– W jaki sposób?

– Leaking Hearts użyli do jej ukrycia Czarnej Zasłony. Ukryli ją w już istniejących kombinacjach słów. W folklorze, cytatach i nawet w slangu przestępczym. W różnych krajach doktryna brzmi nieco inaczej. I mimo największych chęci nie

można jej przekazać niewtajemniczonym.

– Dlaczego?

– Wszystko i tak jest powszechnie znane. Fragmenty ludzkiej kultury, w których porozmieszczano doktrynę, nazywają się *pillars of abomination*<sup>[61]</sup>. Wiedza jest w sekrecie przekazywana od nauczyciela do ucznia, kiedy nauczyciel wyjaśnia ukryty sens któregoś *pillar of abomination*. Dzisiaj na kilka minut ja zostanę twoim nauczycielem, Rama. Dopóki wspinamy się w górę. Wyjaśnię ci dwa pierwsze filary. Tak chciał Dracula...

Zadarłem głowę. Kamienna ściana zniknęła wysoko w żółtej mgle. Nie sposób było określić, jak daleko jeszcze do szczytu – i czy ten szczyt w ogóle jest.

– Dlaczego nazywamy Wielkiego Wampira Wielkim Wampirem? – zaczął Ozyrys. – Dlatego, że przez całe życie pracujemy w jego fabryce, nawet o tym nie wiedząc. Wampiry różnią się od ludzi tylko tym, że są nadzorcami – ale i nadzorcy,

i więźniowie są ulepieni z jednego ciasta. To ciasto, Rama, to właśnie Wielki Wampir. Wszyscy pracujemy na niego. I o nic nie możemy go obwinić, bo bez niego w ogóle by nas nie było.

– Ale przecież ludzie pracują na wampiry. Czyż nie?

– Nie. W ogóle nie jesteśmy władcami ludzi, Rama. Jesteśmy po prostu sługami Wielkiego Wampira, który wyczynia z nami to samo, co z ludźmi. Mechanizm tego, co się dzieje, znamy tylko dlatego, że zostaliśmy wyznaczeni do jego obsługi. Ale nie rozumiemy go całkowicie. Widzimy, że tak powiem, tylko te jego części, które powinniśmy oliwić...

Przypomniałem sobie ostatnią Czerwoną Ceremonię – i swoją rozmowę z teletubisiami. Zdaje się, że Ez mówił coś podobnego.

– A jak konkretnie pracujemy na Wielkiego Wampira? – zapytałem.

– Biorąc powstające w świadomości myśli i pragnienia za swoje własne. W rzeczywistości są

to myśli i pragnienia Wielkiego Wampira. Wprowadza je w naszą świadomość – która tak naprawdę jest jego świadomością – żebyśmy się ich wściekle uczepili i ogrzali je swoją nienawiścią i miłością, przepoili swoją siłą żywotną, która w rzeczywistości jest jego siłą żywotną. Nasza świadomość służy Wielkiemu Wampirowi za rodzaj pieca, na którym gotuje swoje pożywienie. Droga absolutnej podłości polega na tym, że przestajesz obsługiwać ten piec.

– Czyli dławię myśli?

– Nie możesz ich zdławić – powiedział Ozyrys. – Nie są twoje. Nawet głowa na karku nie jest twoja. Wszystko to jest prywatną własnością Wielkiego Wampira. I to, co wydaje ci się rzeczywistością zewnętrzną, i to, co udaje twój świat wewnętrzny, ciebie samego – nie powinno budzić w tobie żadnych osobistych uczuć. To nie jest twoje. Nie potrzebujesz tego. Może ci jedynie sprawić ból. Ale jeśli zaczniesz wszystkiego nienawidzić, odczujesz jeszcze większy ból. Tego należy unikać. Pierwszy *pillar of abomination*

zawiera tę właśnie przestrożę. Jest to cytat z poety Lermontowa. „Obrzucił pogardliwym wzrokiem swojego Boga ziemskie dzieło. Żadne wzruszenie na wysokim czole się jego nie poczęło...”<sup>[62]</sup> Żadne. Rozumiesz?

Zapewne powinienem był doznać mistycznego objawienia, ale zamiast tego pomyślałem o tym, ile wolnego czasu mieli kiedyś oficerowie kawalerii.

– Tylko tak należy postępować ze zjawiskami, które powstają w świadomości – powiedział Ozyrys. – Nie nicować ich na wszystkie strony. Widziałeś Wielkiego Wampira i wiesz, że ty jako ty stanowisz po prostu całokształt procesów, z których żaden nie podlega twojej kontroli. Co więcej, żaden z nich nie jest ci potrzebny. Wszystko to jest potrzebne tylko Wielkiemu Wampirowi. Ty nie masz z tego żadnego pożytku, bo żadnego ciebie w ogóle nie ma. Wielki Wampir jest potrzebny tylko samemu sobie. We wszechświecie istnieje tylko on i jego niewidzialne lustra, które są właśnie światem.

Wielki Wampir za pomocą oszustwa zmusza cię, byś uwierzył we własne „ja”, by uruchomił się w tobie motor. Potem przez całe życie zasuwasz w jego fabryce, myśląc, że to twoja własna fabryka – a kiedy nadchodzi śmierć, okazuje się, że wszystkie te „ja” nigdy nie były tobą, lecz były tylko nim. Twoje życie nie ma z tobą nic wspólnego, Rama. Jest w nim ten, kto je przeżywa.

– Kto wobec tego wierzy w owe „ja”?

– Same „ja”. Na tym polega cała magiczna sztuczka. Ten oparty sam na sobie błąd to właśnie źródło energii, którą przez siedemdziesiąt lat wytwarza każda bateryjka matrycy, dopóki jej ekologicznie nie zakopią w ziemi. Możliwość zrozumienia tego to jeden z najdziwniejszych bagów, które Wielki Wampir pozostawił w swym dziele. Dlatego że po tym pojawia się niezwykle interesująca w sensie metafizycznym szansa zbuntowania się przeciw kosmicznemu porządkowi rzeczy.

– Dlaczego? – spytałem.

– Bunt przeciw Wielkiemu Wampirowi jest bez szans, dopóki myślisz, że jesteś. Błąd nigdy nie stanie się kiełkującym ziarnem. Ale kiedy jesteś świadomy, że tak naprawdę cię nie ma, a jednak się buntujesz – wówczas bunt staje się wołą samego Wielkiego Wampira. I dlatego nie można go zmiążdżyć. Wielu naszych braci fascynowało się tym jeszcze w głębokiej starożytności. Z pewnością słyszałeś...

Przytaknąłem niepewnie.

– Ja jednak uważam – ciągnął Ozyrys, wpatrując się w kłęby mgły nad głową – że oznacza to tylko jedno: Wielkiemu Wampirowi udało się jednak zrobić ich w balona. Nie kijem go, to pałką. Nie, piękne dzięki. Bunt przeciwko Wielkiemu Wampirowi nie jest potrzebny nikomu poza Wielkim Wampirem. Tajna Czarna Droga – to nie powstanie.

– A więc co to jest?

– Bardziej przypomina strajk włoski. Najpierw dociera do ciebie, że istniejesz nie sam przez się,

ale jako część ogromnej całości. Jesteś trybikiem w tytanicznym mechanizmie Wielkiego Wampira – trybikiem, który nie ma żadnego samodzielnego znaczenia i wartości. Jesteś po prostu częścią cudzego planu. Ale trybik musi wierzyć, że żyje sam dla siebie – tylko wtedy będzie się obracać z właściwą prędkością i we właściwym kierunku. To, że tkwisz w błędzie, to także część planu. Rzucono cię, żebyś się lepiej obracał. Kiedy to pojdziesz, olewasz wielki plan. Masz to wszystko gdzieś. Drugi *pillar of abomination* to po prostu czastuszka. Chcesz ją usłyszeć?

Zamarłem na ścianie, patrząc na Ozyrysa. On też się zatrzymał, zamknął oczy i zadeklamował śpiewnie:

– W naszym zakładzie  
wciąż praca wre.  
ja lachę kładę –  
a pierdol się!

Ruszyliśmy dalej. Nie powiem, żeby to drugie



uchylenie rąbka tajemnicy wstrząsnęło mną bardziej niż pierwsze – zapewne dlatego, że słyszałem już tę czastuszkę. Tylko że wcześniej oczywiście nie rozumiałem całej jej głębi.

– Tu znajduje odbicie dwoistość tego, co zachodzi w świadomości – podjął Ozyrys. – Z jednej strony jest ona nasza, bliska, jako że innej świadomości nie mamy. Z drugiej strony, kiedy zaczynasz rozumieć, że tak naprawdę jest to świadomość Wielkiego Wampira, tracisz wszelkie zainteresowanie tym, co się dzieje w jego fabryce. Przestajesz na niego pracować. Kiedy spostrzegasz, że przez twoją głowę przetacza się kolejny wózek z jego myślami, przestajesz go popychać swoim zainteresowaniem i udziałem. Nie walczysz z powstającymi w świadomości fenomenami. Po prostu opuszczasz ręce za każdym razem, kiedy spada ci w nie przeznaczony dla ciebie ładunek. Z punktu widzenia Wielkiego Wampira jest to największa podłość, jaka tylko może być.

– Więc co trzeba robić, żeby przestać na niego

pracować?

– Nic. Każde działanie jest właśnie pracą na Wielkiego Wampira. Tajna Czarna Droga nie zawiera w ogóle żadnego działania. I tak z sekundy na sekundę. Tylko to. Przez całe życie. A potem przez całą śmierć. Nie spadać w otchłanie, ale spokojnie wisieć w hamlecie i nie gryźć się żadnymi problemami. I jeżeli rzeczywiście się nie gryziesz, po kilku latach staje się dla ciebie jasne jak słońce, że wszystko, co powstaje i znika, w ogóle wszystko bez wyjątku, czymkolwiek by było, potrzebne ci jest jak dziura w moście. I nigdy nie było ci potrzebne.

– I co dalej?

– Stopniowo przechodzisz do negacji. Najpierw w poszczególnych parametrach. A potem do całkowitej negacji. A potem do negacji negacji, żeby nie inwestować w cudzy biznes w ogóle żadnych emocji. I trybik przestaje się obracać. Wszystko się zatrzymuje. Jak to ujął w symbolicznym języku pewien Chaldej, spokój –

to duchowa podłość<sup>[63]</sup>. Kiedy twoja duchowa podłość staje się absolutna, stajesz się równy Wielkiemu Wampirowi. Albowiem jest on jedynym absolutnie nieruchomym punktem całego puszczanego przezeń w ruch mechanizmu... Tylko pomyśl, Rama – równy Wielkiemu Wampirowi! Jego lustra już nie mogą cię zatrzymać, jako że nigdzie więcej nie idziesz. To właśnie jest Tajna Czarna Droga.

– A Wielki Wampir nie protestuje?

– Jak może protestować przeciwko temu, że jest równy samemu sobie?

Przyszła mi do głowy nowa myśl.

– Zaraz, zaraz – zacząłem z przejściem. – Ale przecież bezruch jest zawsze względny. Każdy punkt mechanizmu można uznać za nieruchomy, i wtedy się okaże, że wszystkie pozostałe punkty...

– To, co teraz robisz, Rama – przerwał mi Ozyrys – to właśnie praca na Wielkiego Wampira. A Tajna Czarna Droga – to kiedy już na niego nie pracujesz. Nie gryziesz się tym, jaki jesteś –

względny czy absolutny. Co za różnica, skoro i tak nie istniejesz? Rozumiesz, o czym mówię?

– Mniej więcej – odparłem z westchnieniem. – W każdym razie teraz. A co będzie jutro, nie wiem. I czym się kończy ta cała Tajna Czarna Droga?

– Niedługo zobaczysz – powiedział Ozyrys. – Przygotuj się. Jesteśmy na miejscu.

Gdy tylko wyrzekł te słowa, moja ręka wymacała górny skraj ściany. Był idealnie równy. Podciągnąłem się – i jakbym przeleciał przez krawędź ogromnego sześcianu.

Rozciągała się przede mną kamienista pustynia, nad którą płynęły kłęby żółtej mgły, podobne do niskich chmur, jakie można zobaczyć tylko na górskich szczytach. Ozyrys podniósł się na nogi i wpatrzył w mgłę.

– Co tam jest? – spytałem.

– Ostatnia strażnica – odpowiedział.

Zobaczyłem coś ciemnego, prześwitującego przez żółty tuman. Jakby był tam niski nierówny las, którego gałęzie kołyszą się na wietrze. Dziwne

wszakże było to, że żadnego wiatru nie czułem.

– Co to za drzewa?

– To nie drzewa – powiedział Ozyrys. – To diabły.

I w tym samym momencie sam zrozumiałem, że to nie las.

Na przedzie stał szereg najwstrętniejszych istot, jakie kiedykolwiek widziałem. Były czarne, pozieleniałe i połyskiwały mętnie, jakby ich porośnięte sierścią boki posmarowano tłuszczem. Rogi miały podobne do krowich. Przypominały w jakiś sposób zdegenerowanych wiejskich alkoholików, których zdradzają żony. I było ich dużo. Bardzo dużo. Za pierwszym szeregiem stał drugi, za drugim trzeci i następne, aż wszystkie zlewały się w nieprzejrzaną czerń.

– Staraj się jak najmniej ruszać – powiedział Ozyrys. – Wtedy nas nie zobaczą.

– Co one tu robią? – spytałem.

– Czekają na nas – uśmiechnął się Ozyrys.

– Pytam poważnie.

– To jest granica rzeczywistości, Rama. Chińczycy nazywają ją Wielką Ostatecznością.

– A dlaczego pilnują jej halucynacje z rosyjskiego folkloru?

– One jej nie pilnują. One są tą granicą. Widzimy ją w taki sposób, dlatego że to jest nasza narodowa symbolika. Rosjanie od niepamiętnych czasów dochodzili do Wielkiej Ostateczności w alkoholowej delirce i stopniowo, przez wieki i tysiąclecia, wypracowali taki szablon percepcji. My dostaliśmy go w spadku...

– A co jest za tą granicą?

– Za nią nie ma w ogóle nic. Nic oprócz Wielkiego Wampira. Cały świat istnieje tylko po to, żeby Wielki Wampir mógł się za nim ukryć przed naszym wzrokiem.

– Byliśmy już za tą granicą? – spytałem. – Kiedy widzieliśmy Wielkiego Wampira?

– To nie byliśmy my – odparł Ozyrys. – To był sam Wielki Wampir. Tam jest tylko on.

– I co pan chce zrobić?

– Chcę przekroczyć granicę – powiedział Ozyrys. – I pozostać tam na zawsze.

– Ale jak pan to zrobi? Przecież za nią już pana nie będzie?

– Tam będzie Wielki Wampir – rzekł Ozyrys. – A on może wszystko. I nie martw się o mnie, Rama.

– Dobrze – zgodziłem się. – Co mam robić?

– Ja zaraz ruszę naprzód. Postaram się podejść jak najbliżej granicy. Ale wcześniej czy później i tak mnie zobaczą. I wtedy ty wysadzisz świnię.

– Kiedy konkretnie?

– Powiem ci.

– Wróci pan?

– W żadnym razie – odparł Ozyrys z uśmiechem.

– A co się z panem stanie?

– Stanę się nie do odróżnienia od Wielkiego Wampira – powiedział Ozyrys. – I on na zawsze o mnie zapomni. W każdym razie taką mam nadzieję.

– A w jaki sposób pan wtedy zorganizuje... No, to, co pan obiecał?

– Zaufaj mi – odparł Ozyrys. – Wszystko będzie tak, jak obiecałem... Żegnaj, Ramo Drugi.

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć, kiedy odwrócił się i pobiegł naprzód.

O dziwo, chociaż biegł dość szybko, jego sylwetka prawie nie malała, tylko ulegała zniekształceniu – zupełnie jakby niewidzialna soczewka wykrzywiała go tym bardziej, im dalej odbiegał. Kiedy czyhające w oddali diabły zauważyły go i rzuciły się, by przeciąć mu drogę, okazało się, że w porównaniu z Ozyrysem są bardzo małych rozmiarów. Były nie większe niż szczury w porównaniu z człowiekiem.

Ale za to było ich dużo.

Przez jakiś czas Ozyrys brnął przez tłum diabłów jak przez płytką czarną rzekę, rozrzucając je na boki kijem, który pojawił się w jego ręce. Ale diabły napływały ze wszystkich stron i stawały się coraz większe, jakby ciosy Ozyrysa



je nadmuchiwały. Kilka diabłów uczepiło się jego pleców. Ozyrys zachwiał się, ale utrzymał na nogach. Strąciwszy je, jeszcze kilka razy machnął swoim kijem, po czym odwrócił się do mnie i krzyknął:

– Wysadzaj świnię!

Trzykrotnie nacisnąłem językiem płytkę wamponawigatora i szybko przesunąłem nim po wysuniętych włoskach.

Nad moją głową ukazał się pierścień z brązu. Nie był z niczym połączony – po prostu unosił się w powietrzu. Zwisał z niego żółty pleciony sznur z przywieszką, na której widniał numer „17”. Nie było czasu na refleksje.

Wiedziałem już, co mam robić.

Chwyciłem za sznur i pociągnąłem go w dół, jakbym spuszczał wodę. Nie wiedziałem, co ma się stać, ale byłem gotów na wszystko. W każdym razie tak uważałem.

Ale na to, co nastąpiło, z pewnością nie byłem przygotowany.

Mgłę przeciął rozbłysk światła, nieznośnie jasny. Zamknąłem oczy – i runął na mnie w ciemności dźwięk gigantycznego gongu.

Kiedy znowu zacząłem widzieć, nad równiną wznosił się olbrzymi trójkąt. Była to kamienna piramida, zalana purpurowym światłem. Nie widziałem jej wcześniej w takiej perspektywie – ale była to ta sama piramida. Na jej krawędziach rysowały się szerokie ciemne stopnie, a na płaskim wierzchołku...

Na wierzchołku stał nagi Kiedajew.

Znajdował się bardzo daleko, ale o dziwo, widziałem go z najdrobniejszymi szczegółami – podobnie jak Ozyrysa, kiedy się ode mnie oddalał. Kiedajew wyglądał tak, jakby przed chwilą zbudzono go ze snu – rozglądał się dokoła ponuro i z odrazą.

Najdziwniejsza jednak była rozlewająca się wokół niego purpurowa poświata. Najpierw pomyślałem, że jest to padający na niego odbłask jakiegoś ognia. A potem dotarło do mnie, że

źródłem światła jest on sam. Świecił jak czerwona żarówka widoczna z daleka i ze wszystkich stron.

W dodatku rozumiałem, co oznacza to światło. Kiedajew był niezwykle apetyczny. Purpurowe promienie oznajmiały wszystkim zainteresowanym, że na wierzchołku piramidy oczekuje ich wykwintne, sycące i niewiarygodnie smaczne danie. I ci zainteresowani – z rozwartymi pyskami – już się wdrapywali po kamiennych stopniach na szczyt. Wzdrygnąłem się na myśl, że animogram Kiedajewa ożywia teraz już nie moje spojrzenie – ale ich...

Kiedajew kilka razy obszedł płaski wierzchołek, spoglądając w dół. Ale nie miał gdzie się ukryć. A potem zakryła go napływająca ze wszystkich czterech stron czarno-zielona żywa fala.

Popatrzyłem na Ozyrysa.

Najpierw go nie dostrzegłem. W miejscu, gdzie dopiero co się przedzierał przez tłum diabłów, teraz były tylko strzępy żółtej mgły.

A potem go jednak znalazłem.

Nie mógłbym nawet określić, gdzie jest. Ozyrys stał się tak ogromny, że to pytanie po prostu utraciło sens. Przed nim nie było już nic – on sam stwarzał miejsce dla swego następnego kroku, po prostu go robiąc. Przyszło mi do głowy, że to samo dzieje się z balonem wysokościowym, rozdymającym się w stratosferze – tylko że Ozyrys wznosił się nad wszystkim, co istnieje, tak wysoko, że zajął prawie cały wszechświat. A potem to „prawie” straciło rację bytu. Ozyrys rozrósł się tak bardzo, że stał się naprawdę wszystkim.

I zniknął.

Miałem poczucie, że na moich oczach stało się coś niewiarygodnego. Potężnego. Coś, czego nie miałem prawa widzieć. Najpierw przez jakiś czas zdawało mi się, że na wprost mnie świeci oślepiająca gwiazda, która jednocześnie była Ozyrysem i wszystkim, co istnieje. Potem pojąłem, że to niemożliwe, i gwiazda znikła.

Teraz nie widziałem ani piramidy z Kiedajewem, ani żółtej mgły – nie widziałem w ogóle niczego. Dokoła była nieprzenikniona ciemność, poruszana porywami ciepłego wiatru. Wiedziałem jednak, że drzwi otwarte przez Ozyrysa jeszcze się nie zamknęły. Pozostał ślad jego ucieczki – szeroki jak cały świat, i mogłem pójść tym śladem. A w każdym razie mogłem się trochę przespacerować w zakazanym kierunku...

Ruszyłem naprzód.

Najpierw nie widziałem, gdzie stawiam nogi, ale wkrótce w ciemności zaczęło się rysować coś na kształt ścieżki. Z każdym krokiem rozróżniałem coraz więcej szczegółów.

Było to coś z dzieciństwa – już mojego własnego. Stopniowo zacząłem widzieć nie tylko samą dróżkę, ale i rosnące wokół niej drzewa. Ścieżka była obsadzona po bokach kwiatami w pięknych i rzadkich odcieniach. Chyba były to bratki.

Wiedziałem, że gdy uda mi się zobaczyć świat

w całości i dostrzec niebo nad głową, stanie się coś ważnego. Może nawet nie będę musiał wracać...

I już prawie odgadłem, jakie powinno być to niebo – letnie, spłowiałe, bladoniebieskie z rzadkimi białymi strzępkami obłoków – kiedy tuż przede mną wyrosli dwaj czarni mnisi o bardzo nieprzyjemnym wyglądzie.

Stali na ścieżce, którą szedłem, tarasując mi drogę. Ręce mieli założone na piersiach, a twarze ukryte pod ciemnymi kapturami.

Wyglądali na tyle groźnie, że w mojej ręce pojawiła się włócznia Aidesa. Druga ręka obrosła tarczą, a na głowie utworzył się hełm – w obliczu zagrożenia te atrybuty nurka pojawiały się u mnie odruchowo.

Mnisi zareagowali bardzo żywo. Nie tracąc godnej postawy, szybko się cofnęli – a nawet chyba pobiegli w tył, nie opuszczając założonych na piersiach rąk i wciąż tak samo zwracając ku mnie zasłonięte kapturami twarze. Niebawem

zniknęli mi z oczu.

Cokolwiek by się rzekło, dobrze jest należeć do nielicznego, ale wpływowego starożytnego bractwa... Już chciałem ruszyć dalej ścieżką, kiedy nagle spostrzegłem, że wraz z mnichami zniknęła również ona: jak gdyby uciekając, zwinęli ją niczym dywan.

Zrobiło mi się kwaśno na duszy.

Niemniej, chociaż nie mogłem iść dalej tą ścieżką, pamiętałem jej usytuowanie w przestrzeni. Ze zwykłej ciekawości ruszyłem przez gęstą, nieprzejrzaną ciemność w stronę, w którą wiodła ścieżka.

Wkrótce stwierdziłem, że mnichom nie udało się całkowicie ukryć swoich śladów. Zauważyłem w ciemności światełko. Podszedłszy bliżej, zobaczyłem ptasie pióro. Było tęcze i jasne i świeciło jak wiór rozpalonego metalu. Nie podniosłem go w obawie, że się poparzę.

Ruszyłem dalej, uważnie patrząc przed siebie i powoli zaczynając już kombinować, jakby się tu

wynieść z tej nieżyczliwej ciemności. Niezbyt mi się podobało, że dokoła spotykam to diabły, to mnichów. I czego, u licha, oni chcą od wędrowca, którego kompletnie nie interesuje taka symbolika?

Chociaż właściwie rozumiałem, czemu się pojawiają. Podczas Czerwonej Ceremonii wielu wampirom zdarzają się wizje religijne, tak że mamy nawet specjalny kurs „Confidence revival”<sup>[64]</sup>, który w swoim czasie skwapliwie przerobiłem, ujrawszy po zażyciu bablosu jakiegoś anioła światła (wyglądał jak objęty błękitnym płomieniem samolot cysterna do przewozu spirytusu – ścigał mnie przez jakiś czas, a potem pozostał w tyle).

Ludzie mają takie powiedzenie: „każdemu będzie wedle jego wiary”. Zazwyczaj używają go w niewłaściwym kontekście, w znaczeniu, że trzeba wierzyć w to, co dobre, być optymistą, i wszystko będzie okej. W rzeczywistości sens tych słów jest bardziej prozaiczny. Chodzi o to, że nasze wizje – w tym także rzeczywistość



pozagrobowa – wyrastają z naszych nieświadomych pragnień. Jeśli urodziliście się w rzece o nazwie „Wołga” i spędziliście w niej całe życie, znaczy to, że w jakimś momencie znajdziecie się w Morzu Kaspijskim (pod warunkiem, że Gorki nie kłamie).<sup>[65]</sup> Najzabawniejsze jednak, że ludzie najczęściej nie bardzo wiedzą, po jakiej rzece płyną.

Niekiedy taki gość wierzy, że płynie Gangesem albo Missisipi, albo dzięki specjalnym ćwiczeniom duchowym w ogóle zamienił się w krokodyla nilowego – a w rzeczywistości wciąż spławiają go matuszką-Wołgą razem z butelkami po piwku, zmurszałymi balami i innym śmieciem. Żeby ostatecznie przeanalizować problem i zrozumieć, w co wierzy (i czy w ogóle wierzy), człowiek musi najpierw umrzeć – i znów przyjść do siebie pod spojrzeniem Wielkiego Wampira. Wtedy wszystko wyjaśnia się dość szybko.

Wiara nie zależy niestety od tego, co człowiek myśli o sobie za życia. Jest związana z położonym

w dzieciństwie fundamentem, który mimo różnych zwrotów w dorosłym życiu prawie zawsze pozostaje na miejscu. Dobry i szczery Rosjanin, który całkiem serio uważa się za wyznawcę Buddy, po śmierci może się odnaleźć w chrześcijańskim życiu pozagrobowym z tego samego powodu, z którego przez całe życie widział w ciągach alkoholowych małe zielone diabełki – a nie na przykład trójkie himalajskie demony. Inny, który uważa się za chrześcijanina, z łatwością może się stać celem ataku swobodnych memów w ateistycznej strefie chaosu.

Ale my, wampiry, rzadko się co do siebie mylimy (w każdym razie po kursie „Confidence revival”). Zdawałem sobie sprawę, że znalazłem się w tej mniszej przestrzeni siłą inercji, z powodu ukrytych dziecięcych doznań: baśnie, kopuły cerkiewne, żar-ptak z obrazka w starej książce – niby same głupstwa, ale kiedyś na pewno dochodzą do głosu. Można się tego bać, a można się, jak radzi „Confidence revival”, rozluźnić i czerpać z tego przyjemność.

Co też zamierzałem uczynić.

Miałem jeszcze szansę. Zauważyłem przed sobą złoty błyszczący punkcik, a potem jeszcze dwa takie same. Nie poruszały się. Po kilku krokach zamieniły się w światełka, a potem w jasne plamki – i rozpoznałem migoczące w pustce złote jabłka.

Podniosłem jedno i spróbowałem je nadgryźć – tak jak zrobiłbym to na ziemi. Nic z tego. Jabłko pękło z elektrycznym trzaskiem i zniknęło, a ja...

Nagle poczułem słodki smutek. I zrozumiałem, że człowiek nie powinien żałować tego, co utracił. Po prostu dlatego, że tak naprawdę to nigdy do niego nie należało, a więc nie doznał utraty. Ta myśl dawała wyzwolenie i otuchę. Dziwne jednak było to, że przedtem wcale nie myślałem o utracie.

Podniosłem jeszcze jedno jabłko, trochę mniejsze. Znów nie udało mi się go nadgryźć – tak samo pękło mi przy ustach. A mnie przyszło do głowy, że przejmować się sukcesami i porażkami też nie trzeba, jako że nigdy nie wiemy, co tak

naprawdę jest dla naszego dobra...

Dopiero teraz dotarło do mnie, że ta myśl w jakiś sposób kryła się w jabłku. I poprzednia także.

Podniosłem trzecie, rozgryzłem je i pojąłem, że nie trzeba się na nikim mścić – zawsze mścimy się na cieniu, który rzuca nasz własny umysł, a trafiamy w inne... I nawet jeśli te inne rzeczywiście wyrządziły nam krzywdę i tak nie mają nic wspólnego z tą umysłową pantomimą, która wysyła nas w bój...

Wszystkie te myśli były mi znane i chyba nazwałbym je banałami. Ale w jabłkach kryła się prosta i mocna mądrość, holograficzna głębia znaczeniowa, przypominająca własne doświadczenie życiowe. Okazało się, że żadnego z tych banałów nigdy naprawdę nie rozumiałem.

Najważniejsze jednak, że po każdym jabłku robiło mi się na duszy jaśniej i spokojniej. I było to tak przyjemne, że zapragnąłem więcej tych jabłek. Jak najwięcej. Bo niezwykle miłe było to

poczucie wzniosłego, jasnego smutku.

Ze smutkiem u wampirów wszystko jest w porządku, ale jest on ciężki, mroczny i nieskończony – ten zaś przez kontrast był słodki jak miód. Jabłka wyraźnie nie były przeznaczone dla nas i stanowiły chyba coś w rodzaju leku duchowego. Ale, jak wiadomo, w Rosji mikstura na kaszel to coś więcej niż mikstura na kaszel. To samo dotyczyło też rajskich owoców.

Tylko że nigdzie dokoła już ich nie było widać.

Zauważyłem natomiast szczelinę, z której się według wszelkiego prawdopodobieństwa wytoczyły. Wyglądała jak cienka pionowa smużka światła między nie do końca zaciągniętymi zasłonami. Też mi mistrzowie kamuflażu...

Wysunąłem do przodu włócznie, dotknąłem pionowej smużki światła i lekko pociągnąłem ją w bok.

Nie powinienem był tego robić.

Myślałem, że zobaczę jakiś rodzaj dziury w płocie, a za nią rajski ogród, który wyobrażałem

sobie zamglony, chłodny i rosisty, z jabłoneczkami co kilka metrów.

Okazało się jednak, że to pułapka. A najgorsze było to, że rozsypane przede mną jabłka mądrości z całym zawartym w nich nieziemskim smutkiem były zwykłą przynętą. Jasne, że wampir nie powinien się uskarżać na cudzą przewrotność, ale mimo to, mimo to... Ech.

To, co wyglądało jak smuga światła, trzasnęło i pękło. Miałem wrażenie, jakbym rozdarł zbutwiały worek z kartoflami, na którym ktoś narysował farbą fluorescencyjną pionową linię. Kartofle posypały mi się pod nogi i spostrzegłem z obrzydzeniem, że są żywe.

To nie były kartofle, ale...

Diabły. Te same, które widziałem wokół Kiedajewa i Ozyrysa.

A więc jednak nie przekroczyłem granicy. I nie zobaczyłem nieba – zdążyłem tylko o nim pomyśleć.

Najpierw skaczące mi pod nogi diabły

wydawały się całkiem małe. Ale im więcej się ich pojawiało, tym stawały się większe – jakby co prędzej chciały wypełnić sobą całą przestrzeń. Ich fala dosłownie odrzuciła mnie od pułapki i po kilku sekundach już walczyłem z tłumem, który coraz bardziej gęstniał.

Walka okazała się niezbyt trudna – wystarczyło powtarzać jeden prosty ruch z bojowej biblioteki: obrót z wysuniętą włócznią, która w rezultacie zataczała wokół mnie szerokie koło.

Wszystko, co trafiało na linię ciosu – pyski, rogi, kończyny – rozlatywało się w mokre strzępy. Diabły rzeczywiście były okropne, ale strachliwe, i po chwili miałem wrażenie, że atakują mnie fala za falą pod naciskiem niewidzialnego oddziały zaporowego, który grozi im jeszcze większą karą i męką. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie stoją za nimi taczanki z kropidłami i krzyżami.

Atakując, usiłowały ubóść rogami albo zahaczyć szponiastą łapą – ale działały kompletnie bez entuzjazmu, kryjąc się jeden za drugim. Poważne

zranienie było dla nich najwyraźniej czymś w rodzaju przepustki do domu: odwracały się wtedy i ruszały z powrotem. Nie miały ogonów – tylko kosmate zielone kikuty, jak na przykład doberman. Zapewne, jak wszystkie tchórzliwe i żałosne stworzenia, w charakterze oprawców były szczególnie straszne.

Domyślałem się, że w ich działaniach może być jakiś podstęp – ale do ostatniej chwili nie uświadamiałem sobie jaki. A potem się okazało, że mnie nabrały.

Otóż, z różnych stron następowały z różną siłą, do czego nie przywiązywałem wagi, gdyż atak był całkowicie bezładny. W rezultacie jednak cały czas musiałem się przesuwać do tyłu i w bok, dopóki przy którymś obrocie nie zobaczyłem za swoimi plecami troskliwie przygotowanej otchłani – w duchu cerkiewno-parafialnych ilustracji do poematu Lermontowa *Mcyri*. Świadczyły o tym majaczące nad jej skrajem dalekie błękitnawe góry we włoskim stylu czy



rozwiązła cygańska winorośl<sup>[66]</sup>, oplatająca zbocza urwiska. Podejrzewam, że gdyby w tej przestrzeni były zapachy, pachniałoby octem i kadzidłem.

Było jasne, że wcześniej czy później będę musiał runąć w tę otchłań – ponieważ to właśnie stąd zabrąłem do tego przytulnego, gościnnego światka. Nadal jednak przez zwykły upór opierałem się naporowi diabłów, nawet wtedy, gdy za moimi plecami pozostała tylko pustka.

Mógłbym pewnie długo balansować na skraju przepaści, ale w tym momencie ruszyła na mnie kompania gwardyjska z czerwonymi rogami. Nie zwracając uwagi na straty w swoich szeregach, diabły dodawały sobie odwagi przeciągłym posępnym śpiewem i w ciągu kilku minut nawaliły przede mną taką górę potwornych ciał, że nie tyle z powodu niezdolności do dalszej walki, ile z obrzydzenia pozwoliłem, by powinęła mi się noga – i przy wtórze triumfalnego wycia ześlizgnąłem się z urwiska w czarny niebyt.

Okazało się jednak, że niebytu tam nie ma. Wraz z otchłanią nieznanymi mistrzowie stworzyli jej nieskończenie dalekie dno, buchające tam płomienie wiecznej pomsty i nawet ciągnącą w dół siłę ciężkości – pewnie mieli w swoim arsenale wszystkie niezbędne detale do walki z agresywnym złem.

Tak jak ja w swoim. Nasyciwszy wzrok skalistymi ścianami (co sto metrów migały tam jednakowe gigantyczne pajęczyny i tkwiące w rozpadlinie szkielety), zaczekałem, aż bijący z dołu żar stanie się nie do zniesienia – i przeciągnąłem językiem po szczecinkach wamponawigatora, przerywając misję.

Kiedy minął zawrót głowy, otworzyłem oczy.

Wisiałem głową w dół w hamlecie Enlila Maratowicza, a tuż za nim zaczynała się przepaść, w której żyła Wielka Mysz. Najdroższe miejsce na Rublowce.

Między dwiema przepaściami, jak by powiedział poeta Mereżkowski, majaczył rym

niedokładny... I tym rymem byłem ja.

Enlil Maratowicz, Marduk Siemionowicz i Baal Pietrowicz, siedzący w niskich fotelach pod półkolistą ścianą, wypluli rurki, połączone z biegnącym do mojej żyły plastikowym węzłem, i podnieśli na mnie wzrok. Ich głowy były odwrócone i w półmroku trudno było się zorientować w ich mimice, ale nie miałem wątpliwości, że twarze mają ponure. Już pierwsze słowa, jakie usłyszałem, potwierdziły mój domysł.

– Iszta Borisowna wie, że robisz skoki w bok z umarlakami? – zapytał słodkim głosem Enlil Maratowicz.

Dopiero teraz do mnie dotarło, że ten złowieszczy sanhedryn widział ze wszystkimi szczegółami moje spotkanie z fałszywą Sophie. Jak to często bywa, zmieszanie dodało mi tupetu.

– A ja myślałem, że to ona – powiedziałem, niewinnie trzepocząc rzęsami. – Często tak z Iszką robimy. I na pańskim miejscu nie wcinałbym się w prywatne życie Wielkiej Myszy...

Wszyscy oni oczywiście doskonale wiedzieli, że zobaczywszy Sophie nawet nie pomyślałem o Wielkiej Myszy, ale tak czy owak niebezpiecznie było wiedzieć zbyt wiele o prywatnych upodobaniach Isztar, nie miałem więc wątpliwości, że moja rada przemówi im do rozsądku.

Marduk Siemionowicz i Baal Pietrowicz popatrzyli pytająco na Enlila Maratowicza.

– Do tego się nie wtrącamy – powiedział Enlil Maratowicz. – Ale współudział w absolutnej ucieczce... To poważna sprawa. I osądzić ją może tylko batman.

– Sąd imperatora? – Baal Pietrowicz zmarszczył brwi. – Rama jest naszym Kawalerem Nocy. Mamy publicznie prać brudy?

– Nie ma innego wyjścia – odparł Enlil Maratowicz. – Ozyrys jest przecież mądry. Wiedział, co mu obiecać.

– A co, on mnie oszukał? – spytałem.

Enlil Maratowicz przyjrzał mi się uważnie.

– Obawiam się, że nie – powiedział. – Ale ja bym się na twoim miejscu nie cieszył.

– Oddaj wamponawigator, Rama – polecił Marduk Siemionowicz.

– Proszę bardzo – odparłem. – I tak działa tylko na literę „S”. Jak będziecie mi wydawać nowy, dopilnujcie, żeby wampoteka była kompletna.

Wamponawigator wysunął mi się z ust i spadł na poduszkę zabezpieczającą. Było to zachowanie aroganckie i wręcz obraźliwe. Ale niczego się już nie bałem.

Na twarzach Marduka Siemionowicza i Baala Pietrowicza odmalowała się przykrość. Enlil Maratowicz także miał smutek w oczach.

Miałem wrażenie, że ta trójca znów składa mnie do trumny. Tylko że poprzednim razem ta procedura była tylko komicznym rytuałem – chociaż trumna była prawdziwa. A teraz, chociaż żadnej trumny nie było w robocie, wszystko było już na serio. Nie wiedziałem, skąd mi się wzięło takie ponure przeczucie. Ale nie oszukało mnie.

Poczułem ukłucie w plecy.

Dalej była ciemność.



Wydawnictwo Literackie

## OMEN

Kiedy przyszedłem do siebie, nadal wisiałem głową w dół.

Najpierw pomyślałem, że wciąż jeszcze jestem w hamlecie Enlila Maratowicza – że po prostu starsze wampiry, oburzone moim chamstwem, na jakiś czas mnie wyłączyły, żeby się spokojnie naradzić nad moim dalszym losem.

Nagle jednak coś mną szarpnęło i zrozumiałem, że jestem gdzie indziej. A potem szarpnęło jeszcze raz, żołądek podjechał mi go gardła i domyśliłem się, że jestem w samolocie, który wpadł w dziurę powietrzną.

Gdy tylko to do mnie dotarło, usłyszałem przytłumiony warkot silników.

Moje nogi tkwiły w elastycznych pierścieniach w rodzaju obręczy gimnastycznych. Wiedziałem, że niektóre wampiry instalują takie hamlety w swoich samolotach – podczas lotu niezależne zawieszenie jest znacznie wygodniejsze.

Oczy miałem zawiązane, a ręce skrępowane czymś w rodzaju skocza. A więc byłem aresztowany...

Lekko napiąłem ręce i skocz, o dziwo, pękł. Zdjąłem opaskę z oczu. Okazało się, że jest to miękka pluszowa półmaska, którą się zakłada, żeby światło nie przeszkadzało spać. Z nadgarstków zwisały mi cienkie paski podartego klejącego papieru – użyto go chyba nie po to, by mnie skrępować, ale dla utrzymania moich rąk w wygodnym położeniu.

A więc nie było tak znowu strasznie.

Wisiałem w małym przytulnym hamlecie biznes-jeta. Odczekałem, aż minie skurcz w nogach, opuściłem się na podłogę, otworzyłem drzwi i zajrzałem do salonu.



Znałem ten samolot – nawet parę razy nim latałem. Po prostu nigdy nie byłem w jego hamlecie.

Dassault Enlila Maratowicza w środku miał wystrój dość ascetyczny – pewnie miał to być przytyk wobec tarzających się w luksusie chaldejów. Chociaż nie byłem pewien, czy Enlil Maratowicz wpuszcza ich do swego latającego gabinetu. W jakim celu? Żeby wspólnie obserwować nocne światła wielkich metropolii? Enlil Maratowicz lubił porównywać ludzkie miasta do farm mlecznych, ale nie miał skłonności do takich poetyckich inspekcji. Miał zbyt wiele prawdziwych trosk.

W salonie stał olbrzymi fotel-tron z pionowym oparciem i zwrócone do niego cztery mniejsze fotele, przeznaczone zapewne dla osób towarzyszących. Usiadłem na czarnym tronie, który – jak przystało na siedzisko najwyższej władzy – okazał się zimny, twardy i niewygodny.

Natychmiast pojawił się chaldej steward

w niebieskim chitonie i lekkiej złotej masce i wręczył mi flakon w kształcie dwugłowego nietoperza. Przez kilka sekund zastanawiałem się, kto mi naznaczył to spotkanie w przestworzach – Isztar czy Enlil Maratowicz. Potem jednak postanowiłem nie zadrećcać się domysłami, wyjąłem rozdwojony korek i przyłożyłem zimną szyjkę do języka.

W sąsiednim fotelu pojawił się Enlil Maratowicz. Był w szlafroku kąpielowym i wyglądał, jakby wyszedł z łaźni parowej. Widocznie złapałem go w trakcie zabiegów wodnych.

– Jak przebiega lot? – zagadnął.

– Czy koniecznie trzeba mnie było wysłać w charakterze zwierzęcej tuszy? – spytałem.

– Wybacz – uśmiechnął się Enlil Maratowicz. – Takie rygory są niezbędne, choćby dla zachowania pozorów. Im gorzej cię potraktuję, tym mniej Marduk i Baal będą cię nienawidzić.

– Ćpają mój bablos i jeszcze mnie nienawidzą?

Enlil Maratowicz się zaśmiał.

– Dlaczego twój? Skoro go ćpają, to znaczy, że to ich bablos.

Trudno było temu zaprzeczyć.

– Dokąd ja lecę? – spytałem.

– Na sąd do batmana.

– Ale co to za batman? Tyle razy już to słyszałem, a nikt mi nie potrafi wytłumaczyć.

– O nim nie mówi się bez potrzeby, Rama. Ale powinieneś zdawać sobie sprawę, że skoro wampiry mają imperium, to muszą mieć też imperatora. Batman to nasz najwyższy arbiter. Dobry i mądry pasterz, który jednocześnie sprawuje najwyższą kontrolę nad światem.. Popełniłeś występki. Na tyle poważny, że batman będzie cię sądzić osobiście. Myślę jednak, że ci się upiecze. Najprawdopodobniej wyznaczy ci formalną próbę i to wszystko.

– Jaką próbę?

– Nazywamy ją „bohaterskim czynem Apolla”.

– Dlaczego Apolla? Chyba raczej Heraklesa?

– Właśnie Apolla. Batman nosi imię Apollo, a nie Herakles.

– A co to za czyn?

– Jest to rodzaj procedury odkupienia. Ja też to przeszedłem w młodości. Batman przywiązuje do niej wielką wagę. Ale nie powiedziałbym, że jest trudna.

– Na czym polega?

– Nie przyśpieszaj wydarzeń, Rama. Jeśli Batman każe ci dokonać tego czynu, to znaczy, że faktycznie już ci wybaczył. Ale do tego musisz jeszcze dożyć.

– On nami rządzi?

Enlil Maratowicz tylko wzruszył ramionami.

– Rosyjskie wampiry opowiadają się za wielobiegunowością. Ale batmana to niestety niewiele obchodzi. Mamy... Jak by to powiedzieć... Niestabilną równowagę interesów. Niechętnie pozwalamy mu wścibiać nos w nasze sprawy. Ale też w żadnym wypadku nie chcemy

zaostrzać stosunków. Dlatego musisz się załadować pewną ilością informacji międzykulturowej.

Pomyślałem, że dobrze by było usunąć Enlila Maratowicza z pola widzenia – i zacząłem wyglądać przez iluminator.

Za skrzydłem samolotu wisiała daleka chmura, podobna do niebiańskiej twierdzy. Nad nią ciągnął się łańcuch kolczastych chmurek, przypominających powietrzne eksplozje. Wyglądało to pięknie.

Ale przez groźną wspaniałość nieba nagle zaczęła prześwitywać twarz Enlila Maratowicza, który ani myślał zniknąć, przeciwnie, rozrósł się wręcz po chamsku.

– Słuchaj uważnie i zapamiętuj – powiedział. – Oni mają kompletnego hopla na punkcie rytuałów i poprawności politycznej, niemniej najważniejszy rytuał polega na tym, żeby go w ogóle nie było widać i żeby wyglądało, że kontakty są bezpośrednie i niewymuszone. Dlatego na czas

wizyty będziesz się musiał zmobilizować i doprowadzić swoją hipokryzję do takiego poziomu, na którym dialektycznie nie będzie się ona różnić od absolutnej szczerości. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową w stronę chmur w iluminatorze.

– „Batman” to oficjalny tytuł imperatora. Bardzo prosty i bardzo głęboki. Z jednej strony po prostu człowiekonietoperz, którym staje się od czasu do czasu każdy wampir, przechodząc w Odwieczne Ciało. Z drugiej – najwyższa ranga na ziemi... Sykofanci rozszyfrowują nawet to słowo jako „Big Atman”<sup>[67]</sup>. Ale to już oczywiście przesada...

– I dlatego kręcą filmy o batmanie? – spytałem.

– Czarna Zasłona *at its best*. Jeżeli do ludzi wycieknie informacja, że światem rządzi batman, nikt się nawet nie zdziwi. Wszyscy i tak o tym wiedzą...

– Już rozumiem – powiedziałem.

Przejrzyste oczy Enlila Maratowicza popatrzyły na mnie szyderczo przez iluminator.

– A teraz powiem ci coś nowego. Wiesz, czym północnoamerykańska Wielka Mysz różni się od naszej?

– Czym?

– Ma męską głowę. Ta głowa to właśnie jest batman.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Czyli co, to jest Wielki Mysz?

– Nie – powiedział Enlil Maratowicz. – Ciało Isztar jest zawsze kobiece.

– To dlaczego przyczepili do niego męską głowę?

Enlil Maratowicz wzruszył ramionami.

– Uważa się, że taka psychika posiada boską stabilność. Ale nie powiedziałbym tego. Wręcz przeciwnie – tam się coś takiego wyprawia z hormonami, że trudno sobie nawet wyobrazić. Nieboszczka Isztar Borisowna myślała, że to po prostu wyparcie szowinizmu gender i brak zaufania do kobiet. Nie chcą dawać kobiecemu mózgowi zbyt wielkiej władzy. Ale to nie na nasze

głowy.

Przytaknąłem.

– A więc imperator świata jest hermafrodytą – ciągnął Enlil Maratowicz. – Prawdziwym półbogiem. Dlatego można go również nazywać „batwoman”. A jeżeli kontekst nie podpowiada, jak należy się do niego zwracać, można mówić „matey bat”. Tylko nie powiedz „matey mouse”, nasi często popełniają takie gafy.

– Aha.

– Przy osobistym kontakcie do batmana należy się zwracać w trzeciej osobie, tytułując go „He or She”. Właśnie stąd rozpowszechniło się u nich to całe pojębstwo.

I Enlil Maratowicz zaśmiał się cicho.

– Więc on jest po prostu Apollo albo?...

– Albo. Apollo Trzynasty.

– A od którego roku rządzi?

– Odwała tę robotę od głębokiej starożytności. Niemal od czasów Atlantydy. Prościej będzie



przyjąć, że jest wieczny.

– Jak to możliwe?

– Udało im się rozwiązać problem starzenia się szyi. Dlatego głowa może żyć tak długo jak Wielka Mysz. Ale trzymają tę metodę w tajemnicy. Żeby realna władza stale się odnawiała wszędzie, tylko nie u nich.

– A gdzie on czy ona mieszka? – spytałem. – W Ameryce?

– Nie. Na morzu.

– A dlaczego ona jest trzynasty, skoro głowa jest wieczna?

– Dlatego że Apollo przeżył już dwanaście pływających rezydencji. Ta jest trzynasta. Dom batmana Apollo i północnoamerykańskiej Wielkiej Myszy to jacht lotniskowiec. Trzynasty z kolei imperatorski okręt, na którym mieszka ten sam Apollo, co na pierwszym. Właśnie tam teraz lecisz.

Przypomniałem sobie wizję, jaką miałem podczas Czerwonej Ceremonii.

– Czy to jest taki ogromny czarny statek?

Enlil Maratowicz przytaknął.

– A jak się nazywa?

– To zależy od ciebie – powiedział Enlil Maratowicz.

– W jakim sensie?

– Każdy widzi własną nazwę, Rama. Nazwy się zmieniają. Batman Apollo posiada niewyobrażalną moc.

– A dlaczego mieszka na statku?

– Żeby nikt nie wiedział, gdzie dokładnie przebywa imperator.

– Jacht dużo łatwiej namierzyć i zatopić.

– Nikt nie jest w stanie go zobaczyć. Wielkie Wampiry potrafią pochłaniać dowolną ilość skierowanej na nie uwagi. Po nas nie pozostaje pamięć. Potrafisz to nawet ty. Przypomnij sobie, jak latałeś do Hartlandu...

– Pamiętam – powiedziałem. – Ale przecież mogą tam podpłynąć inne statki...

– Nie zdajesz sobie sprawy, kim jest imperator świata. Powiem tak: w oceanie zawsze jest jakieś puste miejsce, w którym ludzie nie mają nic do roboty. Na które nikt nie patrzy. I gdzie nic się nie dzieje.

– Ale kto to sprawia?

– Nikt tego nie sprawia. To się dzieje samo przez się. Związki przyczynowo-skutkowe na świecie są takie, że ludzie mają mnóstwo powodów, by patrzeć w inną stronę. Ludzie nie widzą nawet własnych karków, Rama. To jak mają zobaczyć imperatora? Stoją tyłem do osi, wokół której kręci się świat. A ty teraz lecisz do punktu, przez który ta oś przebiega. Jeśli wolisz, do bieguna światowej przyczynowości.

– A ten biegun może się przemieszczać razem ze statkiem? – spytałem.

– Ukryty biegun może się przemieszczać dowolnie. Ale z własnej inicjatywy nie może go znaleźć nikt z ludzi. Po prostu dlatego że ludzkie życie jest właśnie obracaniem się wokół tego

bieguna. Jeżeli żyjesz, nie jesteś na biegunie. A jeśli umarłeś, już tam nie trafisz.

– No dobrze – nie dawałem za wygraną – a jak tam doleci nasz pilot?

– Według przyrządów – odparł z uśmiechem Enlil Maratowicz. – Naprawdę myślisz, że wampiry nie potrafią rozwiązać takich prostych problemów? Na jachcie imperatora jest pełno Chaldejów. Ale nikt nie może się tam znaleźć bez zaproszenia. Nie do końca zrozumiałeś zasadę, o której mówię. Popatrz w dół.

Zauważyłem, że już znacznie obniżyliśmy lot. Wyraźnie widziałem baranki fal.

– Widzisz coś?

– Morze – powiedziałem. – Fale. I chmury w górze.

– Teraz popatrz uważnie – rzekł Enlil Maratowicz. – Jacht jest tam. Już przybyłeś na miejsce.

I tu coś się ze mną stało.

Uświadomiłem sobie, że jakaś część mnie już

od dłuższego czasu odczuwa strach – na tyle nieprzyjemny, że cały obszar, porażony tym uczuciem, został jakby wyłączony ze świadomości, jak zeszywniała noga albo monotony dźwięk.

I nagle ta strefa znów stała się dostępna.

Zobaczyłem za oknem statek. Olbrzymi i czarny, o bardzo prostej sylwetce – podobny do jednego ze starych japońskich lotniskowców z płaskim pokładem, przykrywającym cały korpus. Statek nie miał na górze żadnych występów, anten, kominów – tylko tę czarną płaszczyznę, pociętą żółtawymi znakami lądowania. Stało na niej kilka kolorowych biznes-jetów, podobnych do tego, którym przyleciałem.

Gdy tylko pozwoliłem sobie wreszcie zobaczyć statek, coś trzasnęło mi w głowie, jakby wybuchła tam petarda, i w tej samej chwili odraza i strach minęły. Ale w tym samym momencie pojąłem, że mógłbym spędzić całe życie obok tej gigantycznej czarnej łodzi, nieustannie świdrując ją wzrokiem – i ani razu bym jej nie zauważył. I coś w tym

rodzaju dzieje się w codziennej rzeczywistości ze wszystkimi ludźmi bez wyjątku...

A potem zobaczyłem na dziobie statku cienkie białe litery.

## OMEN

– Widzę nazwę – powiedziałem. – To...

– Nigdy nikomu tego nie mów – przerwał mi Enlil Maratowicz. – To dotyczy tylko ciebie. Nie wciągaj w swój los innych.

Kiwnąłem głową.

– Jeszcze jedno – powiedział Enlil Maratowicz. – Steward da ci walizeczkę. Przekażesz ją osobiście ode mnie batmanowi. To trochę poprawi mu nastrój.

Chciałem zapytać, co jest w walizeczce, ale zamiast tego wyrwało mi się całkiem inne pytanie:

– A Sophie? Ona też tam jest?

Enlil Maratowicz zmarszczył brwi.

– To są wasze sprawy, twoje i jej – powiedział z niezadowolaniem. – Ja nawet nie chcę o tym wiedzieć, wolę mieć spokój. Ale myślę, że ona jest na jachcie. Połamania nóg...

Z tymi słowy Enlil Maratowicz rozpląnął się w powietrzu. Zdawało mi się, że nie zniknął, ale po prostu dał nura pod ową zasłonę wypartego wstrętu, która jeszcze przed chwilą ukrywała przede mną statek – i być może nadal ukrywa większość wszechświata.

Statek znowu zniknął mi z pola widzenia. Tym razem jednak skrył się po prostu za skrajem iluminatora – samolot schodził do lądowania.

Po uderzeniu kołami o pokład zatrzymaliśmy się podejrzanie szybko – przy czym wydało mi się, że hamuje jakaś siła zewnętrzna. Uprzytomniłem sobie, że podczas lądowania na lotniskowcu samolot zazwyczaj zaczepia specjalnym hakiem o rozciągniętą nad pokładem linę amortyzatora. Najwyraźniej Dassault Enlila Maratowicza był przystosowany do takich przelotów.

Niezły sposób pozbycia się niewygodnej osoby – zaprosić, by przyleciała samolotem, i usunąć linę. Śmignie po pokładzie, wpadnie do morza, i nie trzeba nikogo dusić żółtym sznurem... Chyba nie mnie pierwszemu taka myśl przychodzi tu do głowy podczas lądowania.

Z kabiny pilota znów wyłonił się steward chaldej w niebieskim chitonie. Wręczył mi pękata aluminiową walizeczkę, następnie odchylił drzwi, które zamieniły się w schodki – i przyklękawszy, odwrócił się ceremonialnie od otworu w ścianie, jakby się lękał zobaczyć to, co się za nią znajduje.

Wyjrzałem na zewnątrz – i natychmiast zrozumiałem, że wylądować na tym czarnym pasie można bez żadnych gumowych urządzeń. Samoloty, które widziałem z góry, stały tak daleko, że niemal nie było ich widać. Statek był ogromny. Tak ogromny, że w ogóle nie czułem kołysania – zdawało mi się, że stoję na idealnie płaskiej wyspie.

Powitali mnie dwaj chaldeje w czarnych



kombinezonach. Nie mieli masek i odgadłem, że są Chaldejami, tylko po znaczkach na piersi – miniaturowych złotych maskach nad pęczkami białej wełny. Było to bardzo funkcjonalne, zwłaszcza dla personelu technicznego.

Kiedy zszedłem z trapu, zgięli się w głębokim ukłonie i odwrócili ode mnie twarze – tak samo jak steward. W innej sytuacji takie zachowanie pewnie uznałbym za chamskie, ale tu wyrażało niewątpliwie najwyższy szacunek: nawet nie śmieli na mnie spojrzeć. Było to kolejne potwierdzenie tego, że uprzejmość i chamstwo, jak yin i yang, przy stężeniu przepływają jedno w drugie.

Chaldeje zaczęli się oddalać od samolotu, zatrzymując się co kilka kroków i zachęcając mnie, bym szedł za nimi. Nadal się ode mnie odwracali i wyglądało to dość strasznie.

Na pokładzie przed nami widniała żółta linia. Doszedłszy tam, Chaldejki uklęknęły na jej końcach i zakryli twarze dłońmi, by na pewno nie zobaczyć,

co będzie dalej. Czarny luk w podłodze odsunął się, odsłaniając prowadzące w dół schody.

Czekałem – ale nic się nie działo. Chaldeje w milczeniu klęczeli nad lukiem, zasłaniając przede mną twarze. Zebrałem się w sobie i przekroczyłem żółtą linię. Kiedy zszedłem po schodach na głębokość swojego wzrostu, luk nad moją głową się zamknął.

Schody prowadziły do czarnego sześcianu pustki wielkości windy. Przestrzeń oświetlały jasne igły elektrycznego światła – małe lampki, z przyjemną asymetrią rozrzucone na ścianach, suficie i stopniach. Kiedy tylko znalazłem się w windzie, wyjście zamknęła czarna płyta z takimi samymi świecącymi punktami. Po lekkiej wibracji odgadłem, że już ruszyliśmy. Ale nie wiedziałem dokąd – w górę czy w bok.

Powietrze wydawało się chłodne, ostre i świeże, jakby z domieszką jakiegoś stymulatora – kokainy, a może gazu rozweselającego. Kiedy winda stanęła, mój strach już zniknął. Czułem

wesołość i lekki niepokój.

Płyta przed moją twarzą pojechała w górę.

Zrobiło się bardzo jasno. I usłyszałem muzykę.

Stałem w drzwiach wielkiego pokoju.

Był to chyba salon – z kilkoma oknami, przez które biło do środka gorące słońce (nie zastanawiałem się w tym momencie, skąd się tu wzięło słońce, którego nie było nawet nad pokładem).

Do pokoju nie mogłem jednak wejść. Albo raczej mogłem, ale tylko na dwa, trzy kroki: resztę pomieszczenia zagradzał czerwony sznur na stalowych stojakach – jak w sali muzealnej, którą wolno oglądać tylko z maleńkiego skrawka podłogi przy drzwiach.

Salon był pusty.

Czuło się jednak, że ktoś tu niedawno był. Na środku pokoju znajdowało się podwyższenie – prostokątny pomost, przykryty matami i dywanami. Leżała na nim przyplaszczona poduszka, a obok stały przybory do herbaty i szklana dymiąca fajka

wodna – jakby ktoś, kto jeszcze przed chwilą tu wypoczywał, nagle wyszedł.

Pachniało wonnościami – dość niewyszukanymi i tanimi.

Rozbrzmiewała jakaś indyjska melodia, przyjemnie bezpretensjonalna i nawet jakby znajoma: takie rozluźniające śiwaistyczne mantry w wykonaniu anglojęzycznego chóru najjaranych poszukiwaczy prawdy z drugiej połowy ubiegłego wieku. Prościutkie brzmienie tandetnego syntezatora, jeszcze z epoki przedkomputerowej, budziło zaufanie i sympatię do chropawego śpiewu, a zarazem do miejsca, w którym gra taka muzyka.

Na ścianach salonu wisiały wizerunki indyjskich bogów, oblicza Buddy, kilka kiczowatych chrześcijańskich ikon (w nich także czuło się hinduskie podejście do rzeczy niebiańskich) i nie wiadomo dlaczego duży portret amerykańskiej pisarki Ayn Rand<sup>[68]</sup> pod postacią pani BDSM.

Zresztą pisarka doskonale się wpisywała w kolekcję bóstw, jako że przedstawiono ją u schyłku życia – ze swymi czarnymi pończochami i lateksowym gorsetem przypominała alegorię Śmierci (albo przynajmniej Dżumy). W jednej ręce trzymała bicz, a w drugiej książkę W.S. Maughama *Of Human Bondage*<sup>[69]</sup>. Jeśli była w tym jakaś subtelna aluzja kulturowa, nie dostrzegłem jej.

Poza tym na ścianach wisiało jeszcze kilka sztychów z zielonymi arabskimi esami-floresami na czarnym tle – chyba dla równowagi wielokulturowej. I wszystko to wyglądało tak, jakby zostało kupione po długich targach na straganach w pobliżu dwugwiazdkowych hoteli w różnych krańcach ziemi. Krótko mówiąc, wcale bym się nie zdziwił, gdyby mi powiedziano, że w tym miejscu można zamówić wegetariański szaszłyk i kupić trawkę.

Nagle poczułem lekkie ukłucie w szyję. Ręka drgnęła mi odruchowo, kiedy się zorientowałem, że nie trzymam już aluminiowej walizeczki. Nie

miałem pojęcia, jak i kiedy zniknęła.

Po plecach przebiegł mi dreszcz grozy. Ale nie z powodu utraty walizeczki – ale dlatego, że tuż za sobą poczułem poruszenie czegoś masywnego i szybkiego. Jakby obok przejechała bezgłośnie ciężarówka, której kierowca nie tylko zdążył niepostrzeżenie wyciągnąć mi z kieszeni portfel, ale jeszcze pobrać krew do analizy.

A zresztą, wiedziałem już, kim jest ten kierowca – i domyślałem się, do czego jest zdolny. Obejrzałem się, żeby sprawdzić, czy walizeczka nie pozostała w windzie, ale oczywiście nie było jej tam. A kiedy znów się odwróciłem w stronę zalanego słońcem pokoju, na podwyższeniu siedział już jego gospodarz.

Był to chudy, łysawy człowiek z siwą bródką. Właśnie człowiek, a nie stercząca z wnęki głowa, którą spodziewałem się zobaczyć. Miał zwyczajne męskie ciało, chude i kościste, przyodziane w coś na kształt jedwabnego fioletowego szlafroka, i dość pociągającą twarz. Tak mógłby wyglądać

jakiś norweski krytyk sztuki, starszy programista z Cupertino albo kucharz z renomowanej restauracji w Melbourne. Siedział na pomoście z nogami ułożonymi w manierze birmańskiej – to jest nieskrzyżowanymi. A obok niego leżała aluminiowa walizeczka.

Nie patrzył na mnie. Wystukał szyfr na zamku, otworzył walizeczkę i zobaczyłem w jej czerwonym aksamitnym wnętrzu trzy spore metalowe pojemniki, podobne do lśniących stalowych termosów.

Kiwnął z zadowoleniem głową, zamknął walizeczkę, postawił ją obok siebie na podłodze – i walizeczka popłynęła w bok, jakby ją umieszczono na ruchomej gumowej taśmie, a potem po prostu przeniknęła przez ścianę i znikła.

Nawet się nie zdziwiłem.

– Witaj, Rama – przemówił, podnosząc na mnie smutne piwne oczy. – Mam na imię Apollo. Moi przyjaciele nazywają mnie po prostu Ape. Albo

Nieuczciwy Ape<sup>[70]</sup>, che, che... Pewnie po to, żeby podkreślić, że jestem podobny do starej wyliniałej małpy, która usiłuje wszystkich oszukać. Ty też tak myślisz?

– Na razie nie wiem, He or She – wymamrotałem, nie bardzo wiedząc, co mówię.

– Dobra odpowiedź – powiedział Apollo. – A więc mam jeszcze szansę, tak? Możesz mnie nazywać Ape. I nie używaj tego idiotycznego „He or She”; pojęcia nie mam, jak wszystkich tego oduczyć. Zarazili połowę ludzkości... Czy ty wiesz, Rama, co przywiozłeś?

Z ostrożności wolałem powiedzieć:

– Nie, He or... She.

Apollo zmarszczył brwi.

– Nie kłam. Nigdy mi nie kłam. Od razu to zobaczę, mój chłopcze.

– Nie kłamię – powiedziałem. – Naprawdę nie wiem. Ale domyślałem się, że to bablos. I mam niemal pewność.



Apollo się uśmiechnął.

– O, teraz mówisz prawdę. My, istoty klasy undead, nie powinniśmy się okłamywać. To nie ma sensu i prowadzi do ogólnego wzrostu entropii. Chyba wiesz, co to takiego?

Niepewnie kiwnąłem głową.

– Co?

– No... – zająknąłem się – to jakby ogólna suma całej kosmicznej nieprawdy.

– O! Wspaniale powiedziane! Chociaż... – Apollo podrapał się w kark – istnieje też taki punkt widzenia, że jest to akurat ostateczna kosmiczna prawda. A zresztą, ze słowami zawsze tak jest...

Popatrzył gdzieś ponad moją głowę.

– Ulokuj się wygodniej, czeka nas długa rozmowa. Jak to mówią w Rosji, w nogach prawdy nie ma... Można by pomyśleć, że jest w rękach, che, che...

Z początku pomyślałem, że zaprasza mnie, żebym wszedł za czerwony sznur, ale potem coś

lekko trąciło mnie w ramię i zobaczyłem poprzeczkę dla nóg, która wysunęła się z windy na grubym teleskopowym pręcie.

Nigdy nie udawało mi się zawisać głową w dół elegancko, jak to robiły wampiry przyzwyczajone do zawisania w wielkim świecie: opuścić poprzeczkę do podłogi, usiąść, swobodnie przerzucić przez nią nogi, pozwolić, by mechanizm uniósł cię do góry, i wszystko to – nie odrywając wzroku od rozmówcy i ze zrozumieniem kiwając głową w odpowiedzi na jego repliki...

Odwróciłem wzrok od imperatora tylko na kilka sekund – ale kiedy znów na niego spojrzałem, już zwisał z takiego samego strzemienia. Oszłamiająca zręczność.

Światło w pokoju zgasło i jednocześnie umilkła muzyka. Co więcej, zniknął zapach wonności. Potem światło zapaliło się znowu, ale było bardzo słabe i nie miało określonego źródła. Nie widziałem już żadnego pokoju, tylko imperatora.

Teraz znajdowaliśmy się dokładnie naprzeciw

siebie. Zaczęło mi się wydawać, że unosimy się na chmurze poprzedzającej świt. Tak mogłaby chyba wyglądać nieprzenikniona ciemność, z której Wielki Wampir kierował stworzeniem świata.

Apollo rzucił mi jakiś mały przedmiot, który poleciał dziwną trajektorią – najpierw opadł w dół, a potem, dolatując do mnie, znowu się wzniósł – i tylko cudem udało mi się go złapać. Był to mały flakon w kształcie ptaka – z brązowym ciałem i długim czarnym ogonem z prawdziwych piór. Bardzo piękny.

Należało się podporządkować. W milczeniu ukręciłem ptakowi łepkę i przyłożyłem szyjkę flakonowi do języka. Nic się nie stało. Puściłem flakon i ten poszybował w górę.

– Przesłano cię do mnie na sąd – powiedział Apollo. – Twoi szefowie obawiają się tego, co się stało, kiedy odprowadzałeś Ozyrysa. To przekracza ich możliwość pojmowania. Ale ja, w odróżnieniu od nich, dobrze wiem, czym jest Tajna Czarna Droga. Ozyrys był moim

przyjacielem – zanim nasze drogi się rozeszły. I wcale nie uważam, że popełnił przestępstwo... Błąd – tak, to możliwe.

Kamień spadł mi z serca. Skoro nie było przestępstwa, to znaczy, że nie było też współudziału.

– Nie jestem twoim sędzią, mój chłopcze. Nie będzie żadnej kary. Dracula i Ozyrys nie są przestępcami ani zdrajcami. To cieniasy. Zamiast się starać uczynić ten świat lepszym, wybrali ucieczkę. Nie mogę ci zabronić pójść za nimi. Ale chcę, żebyś się stał jednym z nas. Wiesz, dlaczego Tajną Czarną Drogę nazywamy Czarną?

Takie pytanie nawet nie przyszło mi do głowy – zakładałem, że słowo „czarny” automatycznie dodaje się do wszystkiego, co się wiąże z wampirami.

– Nie – powiedziałem.

– Nazywamy ją tak dlatego, że adept przez większość czasu wisi w hamlecie z zamkniętymi oczami. I widzi tylko czerń. I Dracula, i Ozyrys

uczyli cię zamykać oczy. A ja chcę ci pokazać, jak je otworzyć.

Poczułem kolejny przypływ strachu. Nagle wydało mi się, że śpię i mam straszny, bardzo głęboki sen, a moje oczy są rzeczywiście zamknięte. Ze wszystkich sił próbowałem je otworzyć. Ale nie mogłem, bo i tak były otwarte. Chcąc się ostatecznie upewnić, że wszystko jest w porządku, kilka razy silnie mrugnąłem. Apollo chyba zrozumiał, co się ze mną dzieje, bo zaśmiał się cicho.

– Znalazłeś się już dostatecznie wysoko w naszej hierarchii, Rama. Stałeś się undead. To znaczy jednym z najwyższego kręgu. Istnieje taka tradycja, że nauczycielem wszystkich undead staje się osobiście batman. Choćby na krótki czas. Dziś opowiem ci coś, czego nie mówili twoi poprzedni nauczyciele. Tylko nie myśl, że to będą jakieś mroczne tajemnice. Nie jesteśmy w Rosji. Moja opowieść może ci się wydać nudna. Ale właściwe rządzenie tym światem to bardzo nudna praca. A wystarczy, byś uczynił ją interesującą, i historia

nazwie cię nikczemnikiem... Rozumiesz sens słowa „undead”?

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie nie do końca.

– Tak nazywa się tych, którzy przeszli do limbo jeszcze za życia. Tak naprawdę oczywiście nigdzie nie przechodzimy – tylko po prostu uświadamiamy sobie to, że zawsze znajdowaliśmy się właśnie tutaj. Od samego początku. Wszyscy pozostali po prostu tego nie rozumieją. Uważają, że rzeczywiście przeżywają swoje życia sami...

– A my nie? – spytałem.

– My nie uważamy się za żywych. Ale też nie uważamy się za martwych. Jesteśmy członkami jednego rozwijającego się animogramu, a przyczyna naszego istnienia znajduje się w nas samych. W niczym nie jesteśmy lepsi od całej reszty. Ale z niewiadomych powodów cała reszta jest rządzona poprzez nas. Jesteśmy sługami Wielkiego Wampira, czymś w rodzaju jego palców... Nie, to brzmi nieskromnie – czymś

w rodzaju włosów na jego palcach.

Kiwnąłem głową.

– Wyżyna, na której stoimy – albo, jeśli wolisz, głębia, w której wisimy – nakłada na nas ogromną odpowiedzialność wobec Wielkiego Wampira. To my w istocie odpowiadamy za wcielenie w życie jego zamysłu. Dlatego chciałbym rozwiać ten mroczny obraz świata, jaki nakreślili przed tobą najpierw Dracula, a potem Ozyrys. Nie chcę przez to powiedzieć, że kłamali, nie. To mądre i wielkie wampiry. Ale mimo to zniekształcili rzeczywistość. Częścią zamysłu Wielkiego Wampira, Rama, jest współczucie dla naszych braci mniejszych. Mam na myśli ludzi. Powiedz szczerze, spodobał ci się Dracula?

– Tak.

– Kocham go jak brata – powiedział Apollo. – Byliśmy bliskimi przyjaciółmi. I w wielu sprawach ma rację. Właściwie we wszystkim, co ci mówił... Nie ma słuszności tylko w tym, że oczernia wszechświat. Opowiedział ci o naturze

cierpienia i jego nieuchronności. I ma rację – życie człowieka nie jest łatwe. Ale w naszej mocy, Rama, jest uczynić je, jeśli nie całkowicie szczęśliwym, to znacznie mniej tragicznym. Wiesz, kim są Leaking Hearts?

– Wyznawcami Draculi?

– Niezupełnie. Tak nazwały się wampiry, które od dawna czuły swoją winę i odpowiedzialność za ludzki ból. Podobnie jak Draculę, przeraziło je ludzkie cierpienie. Ale nie wszyscy Leaking Hearts opuścili ręce i odeszli w cień. Byli wśród nich i tacy, którzy przysięgli, że zmienią życie człowieka na lepsze...

– A kiedy oni żyli? – spytałem.

– Żyją także teraz – uśmiechnął się Apollo. – Jednym z nich był twój znajomy Ozyrys, dopóki nie wstąpił na Tajną Czarną Drogę. Pierwsi Leaking Hearts pojawili się wśród nas wiele tysięcy lat temu. W tamtych czasach nie określali siebie tym mianem. Ale ich wysiłki już wówczas były skierowane na ulżenie ludzkiemu losowi...



Nagle zauważyłem, że już nie unosimy się w chmurze, ale brniemy przez poranną mgiełkę. Pod stopami mieliśmy marmurowe płyty i mógłbym przysiąc, że sam po nich stąpam – chociaż nie potrafiłem sobie przypomnieć momentu, kiedy się to zaczęło. Apollo siedł obok, popatrując na mnie od czasu do czasu. Mówiąc, spokojnie i ładnie gestykułował.

Nigdy nie widziałem nikogo, kto emanowałby tak naturalną godnością. Przypominał starożytnego filozofa, przechadzającego się z towarzyszem po swojej posiadłości. Jedyne purpurowa szata (która już nie wydawała mi się fioletowym szlafrokiem) świadczyła o jego randze.

– Najwcześniejsze próby złagodzenia ludzkiego bólu były oczywiście naiwne. Niektóre wampiry na serio uważały, że zdołają rozwiązać problem, karmiąc się cierpieniem zwierząt. Było to wyobrażenie bardzo żywotne – właśnie dlatego starożytne religie praktykowały składanie ofiar. Ale to podejście okazało się nieproduktywne.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Chodzi o to – odparł Apollo – że ilości bólu przy tym musiały być olbrzymie. Pozyskiwanie agregatu „M5” ze zwierząt to jak produkcja benzyny z puchu topolowego. Technicznie możliwe, ale nieopłacalne. Zwierzęta bowiem prawie nie cierpią. Znają tylko ból fizyczny – i starożytne wampiry próbowały utylizować właśnie ten ból. Ale ból nie nadaje się dla nas na pokarm. My potrzebujemy właśnie cierpienia – a zwierzęta prawie go nie odczuwają...

Z półmroku zaczęły stopniowo występować szczegóły otaczającego nas świata – cyprysy po obu stronach ścieżki i niewyraźne zarysy licznych posągów. Zbliżał się świt. Świat dokoła wydawał się całkowicie realny.

Jak zawsze w limbo.

– A jaka jest różnica między bólem a cierpieniem? – spytałem.

– Ból to po prostu ból – odrzekł Apollo. – A cierpienie to ból z powodu bólu. Ból fizyczny

nie może być zbyt silny – ma swoje wyraźne ograniczenia biologiczne. Natomiast wytwarzane przez ludzki umysł cierpienie może być naprawdę nieograniczone. Dla produkcji agregatu „M5” istotny jest nie sam ból, ale jego nieskończone pomnożenie w lustrzanym korytarzu autorefleksji... Cierpienie jest unikatowym produktem myślącego ludzkiego umysłu, i zwierzęta nie są w stanie wytwarzać go w potrzebnych ilościach. Dlatego składanie ofiar ze zwierząt we wszystkich starożytnych kulturach szybko zastąpiono ofiarami z ludzi i wampiry, które chciały ulżyć ludzkiemu losowi, nic nie mogły na to poradzić... Stało się jasne, że naszym pokarmem zawsze pozostanie człowiek.

– Ale czy nie było odwrotnie? – spytałem ostrożnie. – Moim zdaniem uważa się, że najpierw były ofiary z ludzi, a potem stopniowo zaczęto zastępować ludzi zwierzętami i różnymi symbolicznymi figurkami...

Apollo skrzywił się i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że mało go interesują historyczne

poglądy ludzi.

– Leaking Hearts – podjął – postanowili zbadać dokładnie rozmaite metody wytwarzania agregatu „M5”, żeby uczynić ten proces maksymalnie humanitarnym. Okazało się, że nie ma zbyt wielu możliwości. Najokrutniejszym sposobem ekstrakcji cierpienia były ofiary z ludzi: wojny albo inne formy rytualnych masowych mordów. Najbardziej humanitarnym zaś – utylizacja cierpienia, wytwarzanego przez naturalne starzenie się człowieka i choroby. Ale największe ilości agregatu „M5” od najdawniejszych czasów przynosiła technologia, którą można umownie nazwać refleksją na temat własnej wartości. I do dziś ten właśnie przenośnik jest głównym miejscem pracy ludzkości.

– Wiem – powiedziałem – uczono mnie tego.

Apollo uśmiechnął się i wyczułem, że nie ma szczególnego zaufania do mojej wiedzy.

Doszliśmy do końca ścieżki. Za jej ogrodzeniem chyba zaczynał się ogród – było tam widać ciemne

zarysy drzew. Na murze ogrodu stały marmurowe posągi jakichś starożytnych sportowców. Pomyślałem tak, gdyż jeden z nich miał w ręku dysk, a drugi dziwnego kształtu hantle.

Na niebie czerwieniały już pierwsze rozbłyski świtu.

Apollo odwrócił się i położył mi rękę na ramieniu. Dłoń była prawie nieważka, ale miałem takie uczucie, jakby siedziało mi na ramieniu małe drapieżne zwierzę. Powoli ruszyliśmy w drugą stronę.

– Takie metody poboru sił żywotnych – ciągnął Apollo – są znane od dziesiątek tysięcy lat. Przez cały ten czas najlepsze wampiry miały wyrzuty sumienia. Próbowaly złagodzić cierpienia ludzkości. Najgorsi z nas, jak się domyślasz, myśleli tylko o tym, by wycisnąć z ludzi jak najwięcej bablosu. Cała widoczna historia ludzkości to właśnie rezultat ścierania się tych przeciwstawnych dążeń. Były tu zarówno zwycięstwa, jak i klęski. Świat stopniowo stawał

się coraz bardziej humanitarny – w każdym razie zewnętrznie...

– Ja uważam – powiedziałem – że wampiry zawsze będą stawiać na pierwszym miejscu bablos, a nie ideały humanitaryzmu.

– I tak właśnie jest – przytaknął Apollo. – I każdy imperator wampirów będzie imperatorem tylko tak długo, jak długo podziela to podejście. Problem polega na tym, jakie metody dają więcej bablosu, a jakie mniej. Leaking Hearts nie nawoływali, żeby zrezygnować z agregatu „M5” – wówczas nikt by ich nie słuchał. Ich główny przekaz był taki, że można wyciskać z ludzi więcej bablosu, jednocześnie poprawiając ich życie...

– Ale czy to w ogóle realne?

– Oczywiście. Na tym polega istota postępu. Było tu wiele eksperymentów, w tym także socjalnych. W ubiegłym wieku, w celu pozyskiwania wielkich ilości cierpienia, próbowano tworzyć społeczeństwa totalitarne, w których nie sposób żyć. Ale mniej więcej w tym

samym czasie dokonano odkryć naukowych, które umożliwiły Wielką Rewolucję Częstotliwościową.

Nigdy wcześniej nie słyszałem tego określenia.

– Co to jest? – spytałem.

– The Great Frequency Revolution – to najbardziej radykalny projekt wampirów od kilku ostatnich tysiącleci.

– O jaką częstotliwość tu chodzi? Częstotliwość czego?

Apollo uśmiechnął się i poklepał mnie po karku.

– Jak to powiedział rosyjski poeta Błok? „Serca niewzruszone prawo: radość – cierpienie...”<sup>[71]</sup> Każdy taki cykl wytwarza określoną ilość agregatu „M5”. Aby zwiększyć ogólną ilość...

– Trzeba zwiększyć częstotliwość? – zgodłem.

– Mądry chłopiec! – powiedział Apollo. – Otóż to. Ludzki mózg potrafi przeżywać cykle radość-cierpienie bardzo szybko. Człowiek może odczuwać fale pełnowartościowej frustracji nie raz i nie dwa dziennie, ale kilka razy na minutę.

Wampiry wiedziały o tym od dawna. Nie wiedziały jednak, jak osiągnąć tę granicę. Rzeczywistość społeczna nie zawiera scenariuszy, które pozwoliłyby umysłowi B nabrać maksymalnych obrotów.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Mimo najlepszych chęci wojny nie można urządzić co pół godziny. Nawet dialog wewnętrzny podlega określonym ograniczeniom. Na przykład, trudno zmusić człowieka, by co pięć sekund uświadamiał sobie, że jest nieudacznikiem i nie ma pieniędzy – chociaż pracują nad tym najlepsze umysły ludzkości. Zdarza się to najwyżej parę razy dziennie...

– U nas częściej – wtrąciłem.

Apollo kiwnął głową.

– Tak, to możliwe, wasza kultura jest twarda. Ale tak czy owak częstotliwość nie będzie zbyt duża... No i w pewnym momencie wampiry zadały sobie pytanie: czy nie można by stworzyć dla człowieka specjalnego sztucznego świata, żeby



poddawać jego świadomość cykлом radość-szczyście maksymalnie często?

– I co wymyśliliśmy? – spytałem.

Apollo uniósł brew.

– Ciągle jeszcze nie wiesz?

– Nie – przyznałem się uczciwie.

– Rama, *use your head*<sup>[72]</sup>. Skoro wampiry coś wynalazły i wprowadziły w życie, powinieneś o tym wiedzieć. I to nie jako wampir, ale jako człowiek. To powinno być coś, co dobrze znasz... Coś, co wedle miary historycznej powstało całkiem niedawno... W co jesteś zaangażowany emocjonalnie... Co lubisz...

– Gry wideo?

– Bingo! Ale dlaczego tylko gry wideo?

Postanowiłem wymienić wszystko, co mi przyszło do głowy.

– Film? Internet? Wiadomości telewizyjne?

Po każdym słowie Apollo z aprobatą kiwał głową.

– Bardzo dobrze. Każda z tych rzeczywistości jest ze swej natury czymś w rodzaju snu, w którym radość i cierpienie mogą następować po sobie z dowolną szybkością. Postać z filmu albo gry, z którą utożsamia się widz, nie je, nie śpi i nie rozwiązuje problemów życiowych. Nie musi przeżywać długiego życia, aby wytworzyć agregat „M5” w momencie śmierci. Może odczuwać przedśmiertną frustrację wiele razy w ciągu godziny. A umierać – nawet co minuta. Może wydzielać cierpienie właściwie bez przerwy...

– Ale przecież w grach nie cierpienie jest najważniejsze, wręcz przeciwnie – powiedziałem. – Gra się w nie dla przyjemności!

Apollo się zaśmiał.

– No właśnie. Na tym polega sztuczka. Człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy, że podstawową treść gier wideo stanowi frustracja. Naturalnie nie afiszujemy się z tym. Psychologowie chaldejscy uczą, że gracz, widząc niebezpieczeństwo, jakie grozi

narysowanemu bohaterowi w jego sztucznym świecie, rozkoszuje się tym, że sam jest bezpieczny...

– Ale czyż ludzie graliby w gry, gdyby sprawiały im to cierpienie?

– Oczywiście – odrzekł Apollo. – Głównym powołaniem człowieka jest cierpienie – po to został wyhodowany. Wcześniej czy później sprowadza do tego wszystko, czym się zajmuje.

– Ale przecież w grze wszystko jest na niby! Na tym polega cała rzecz!

– Mózg nie potrafi działać na niby. Człowiek może zdawać sobie sprawę, że gra na konsoli w grę akcji, ale za każdym razem, kiedy dżojstik drga mu w dłoni, a ekran pokrywa się plamami wirtualnej krwi, jakaś część jego jaźni – i to bardzo znacząca – na serio przygotowuje się na śmierć. Lubisz gry?

Przytaknąłem.

– Przypomnij sobie jakąś, w którą niedawno grałeś. Ze szczegółami. Możesz?

Przypomniałem sobie jakiś shooter. Apollo skinął głową.

– Bohater wspina się po murze zamku – powiedział. – Ty się cieszysz, że zaraz się wydostaniesz z tego mroku i piekła, ale w tym momencie odłupuje się gzyms, którego się trzymasz. Spadasz, ale nie zabijasz się, tylko czepiasz innego występu ściany i powtarzasz wspinaczkę inną trasą, tym razem wśród języków płomienia...

To, że potrafił zajrzeć w moją pamięć, nie zdziwiło mnie – już do tego przywykłem. Dziwne było, że przedstawiał moje wspomnienia w tym samym momencie, w którym się pojawiały – jak dron unoszący się nad mrocznymi rozpadlinami mojego mózgu.

– Kiedy wreszcie docierasz na górę – ciągnął Apollo – okazuje się, że czeka cię pojedynek z gigantycznym pajakiem, i im dalej w las, tym większe pająki. W tym świecie nie ma zwycięstwa. Zwycięstwo nad jednym pajakiem

prowadzi jedynie do spotkania z drugim. Na dodatek zaś pozostawione w grze bugi nie pozwalają ci pogрузić się całkowicie w wydarzeniach, stale sprawiając dodatkowe męki regularnym przypomnieniem o tym, że tak naprawdę nawet nie walczysz z pajakami, tylko po prostu marnujesz czas przed ekranem...

– Wszystko to prawda – odparłem. – Ale ja wcale nie cierpię, grając w gry akcji. Przez większość czasu odczuwam przyjemność. Oczywiście, bywają uciążliwe momenty, ale...

– Każda gra to wygładzone i zakamuflowane cierpienie – powiedział Apollo. – Cierpienie, jak gdyby ukryte pod cienką warstwą cukru. Nieprzyjemne emocje są takim samym niezbędnym składnikiem gry, jak ciągnięcie sanek pod górę. Satysfakcja, jakiej doznaje gracz, wiąże się właśnie z pokonaniem tych emocji... Jak sądzisz, dlaczego Wielka Rewolucja Częstotliwościowa stała się w ogóle możliwa?

Zastanawiałem się chwilę.

– Dlatego, że Leaking Hearts podnieśli na swoje wyżyny moralne pozostałe wampiry?

– Nie – uśmiechnął się Apollo. – Dlatego, że wampiry, trzymając człowieka przez miesiąc przed konsolą z *Call of Duty*, uzyskują więcej agregatu „M5”, niż gdyby kolejny raz pognały go na bitwę pod Kurskiem. Zamiast wysyłać go na prawdziwy bój, gdzie na sto procent zginie, przeganiamy go przez sto walk na niby, gdzie jego umysł B umiera umownie – powiedzmy, w dwóch procentach. *Do the math!*<sup>[73]</sup> Ilość wydzielanego cierpienia zwiększa się dokładnie dwa razy.

– Ale wobec tego czemu mam z tego przyjemność?

– Nie odczuwasz przyjemności, kiedy to robisz. Czujesz frustrację i strach, w najlepszym razie obojętność. Ale pozostaje w tobie fałszywa pamięć o doznanej przyjemności. To dokładnie tak samo jak z seksem. Wszyscy nie wiadomo dlaczego go lubimy, chociaż nie ma w nim ani jednej sekundy, którą warto by było lubić, kiedy

trwa...

I znów poklepał mnie po karku.

Denerwowała mnie ta ręka na moim ramieniu. Ale nie miałem odwagi jej strącić.

– Widzę, że nie do końca mi wierzysz – powiedział Apollo. – No dobrze, to powiedz: dlaczego w większości gier konsolowych nie ma natychmiastowego „zapisz”?

– Dlaczego?

– Ano dlatego, że zmuszamy gracza, by wiele razy powtarzał tę samą trasę w punkcie kontrolnym. Robi się to właśnie dla uzyskania maksymalnej ilości agregatu „M5”.

Przytaknąłem. To było dość przekonujące.

– A dlaczego twoim zdaniem – ciągnął Apollo – ograniczamy czas misji? Zmuszamy do przejścia jej w ciągu pięciu minut i ani sekundy dłużej?

– Z tego samego powodu? – spytałem.

– Z tego samego. Żeby za pomocą jednej stroniczki kodu móc wydoić gracza do sucha nie

jeden raz, ale dwadzieścia razy z rzędu. Sztuka pisania gier polega między innymi na tym, żeby ilość wydzielanego cierpienia była maksymalna, ale człowiek jak najdłużej nie rzucał dżojstika. To cała nauka...

– Tak – szepnąłem – to prawda...

– A dobry niewolnik zawsze przechodzi grę na poziomie hard.

Nagle spostrzegłem, że dokoła jest już całkiem jasno – po prostu, słuchając imperatora, zapomniałem o otaczającym świecie. Teraz ten świat znów wdarł się w moją świadomość. Wzeszło już nad nim słońce.

Szliśmy marmurową promenadą w stronę oplecionej kwieciami altany nad przepaścią. Za ogrodzeniem altany pionowo opadała w morze skała delikatnej jasnopopielatej barwy. Miałem dziwne wrażenie, że widziałem tę skałę już wcześniej.... Ten niezwykły kolor...

Na prawo od nas wznosiły się ku niebu czerwono-brązowe kolumnady i łuki starożytnego



pałacu. Na jego dachu tłoczyły się wręcz posągi bogów i herosów. Oślepiająco płonęły w porannym słońcu złote orły.

Na lewo błękitniało dalekie morze – i wyspy, gdzieniegdzie otulone jeszcze porannym mrokiem. Znajdowaliśmy się bardzo wysoko nad morzem. U nas już był ranek, a tam dopiero kończyła się noc. Zdawało się, że spoglądamy ze szczytu antycznego Olimpu na niedawno stworzony, jeszcze całkiem młody świat...

– No i co powiesz? – zapytał Apollo.

Przez jakiś czas próbowałem sobie przypomnieć, o czym przed chwilą rozmawialiśmy. Wreszcie mi się udało.

– Nigdy nie gram na poziomie hard – powiedziałem. – Wyłącznie na bardzo lekkim.

– Słusznie – pochwalił Apollo. – Jesteś przecież wampirem, a nie idiotą. Jeżeli rozumiałeś, jak są skonstruowane gry, to rozumiałeś całą infopaszę.

– Infopaszę? – powtórzyłem. – A co to jest?

– *Informational fodder* – powiedział Apollo. – Albo po prostu infodder. Nowy typ środowiska odżywczego, w którym zanurzamy człowieka zaraz po narodzinach. Wszystkie rodzaje stymulacji sensorycznej, w wyniku której ludzki umysł forsownie wytwarza agregat „M5”.

– A dlaczego zrozumiałem ją całą?

– Dlatego że nie ma żadnej różnicy między jej częściami składowymi – gramy, filmem, telewizją, Internetem i całą resztą. Absolutnie żadnej. Na każdym poziomie czekają cię jedne i te same wzorce stymulacyjne... Nie rozumiesz?

Tylko westchnąłem.

– Szczerze mówiąc, pojęcia nie mam, czego tu można nie rozumieć – powiedział Apollo. – Ale pytaj.

– Czy infopasza to to samo, co glamourodyskurs?

– Wampoeekonomika mówi dziś innym językiem, Rama. Wasi ideolodzy ze swoim glamourem i dyskursem wciąż pozostają w ubiegłym wieku.

Przywieźli z Paryża cudze brudne majtki, wciągnęli je na maszt w charakterze flagi i uznali, że na zawsze znaleźli się na czele całej planety... Nawet sami Francuzi już tak nie mówią... Mówią teraz „infourrage”. Zresztą, próbowaliśmy zaszczepić to słowo u was, myśleliśmy, że rosyjskie ucho usłyszy w tym coś rdzennego, huzarskiego... Choć, mówiąc między nami, są to te same brudne francuskie majtki, tylko bardzo stare... Ale nie chwyciło. I tak tkwicie w tym glamourodyskursie.

Dawno już przywykłem do odruchowej rusofobii stykających się z nami kultur, ale mimo to było mi nieprzyjemnie, że Apollo z takim lekceważeniem mówi o wampirach mojej ojczyzny.

– Co jeszcze wchodzi w infopaszę? – zapytałem.

– Wszystko – odrzekł Apollo. – Każda informacja wytwarzana dla ludzi. Wszystkie aspekty Czarnego Szumu.

– Ale dlaczego pan mówi, że to jedno i to samo? Przecież na przykład film po prostu się ogląda. A w gry się gra...

– Interaktywność większości gier jest fałszywa. Gra konsolowa to po prostu film rysunkowy, rozbity na porcje. Żeby uruchomić nową część, trzeba nacisnąć odpowiednią kombinację klawiszy z odpowiednią szybkością, i to wszystko. Najważniejszą rzeczą jest utożsamienie się z bohaterem, który broczy sokiem żurawinowym w walce z pajakami. To utożsamienie i w filmach, i w grach jest takie samo.

– A dramaty psychologiczne?

– Jeśli film jest dramatem psychologicznym, to po prostu będą tam psychologiczne pająki.

– Ale film nie wciąga tak jak gra – powiedziałem.

– Tak – zgodził się Apollo. – Męki widza kinowego nie są tak intensywne. Ale za to inteligentnemu widzowi nieporównywalną z niczym męką sprawia świadomość, że wszystko,

co się dzieje w filmie, to po prostu wynik kalkulacji.

– W jakim sensie?

– Fabułę buduje się wokół tego, że bohater musi pokonywać trudności. Tak zalecają wszystkie poradniki pisania scenariuszy... Bohater nie walczy dlatego, że ma problemy – ma problemy dlatego, że musi walczyć. Kiedy człowiek inteligentny zaczyna rozumieć, że film, który ogląda, to po prostu mechaniczna stymulacja jego emocji za pomocą świetlnej dożarki elektrycznej, odczuwa niewymowne cierpienie na myśl o tym, jak nieludzki jest świat. Takie niby głupstwo, a daje ogromne ilości agregatu „M5”. Inteligentnych nasza kultura potrafi doić znacznie wydajniej.

– A wiadomości? – spytałem.

– Nie ma tu żadnej różnicy. Powiedzmy, że znudził cię film i przełączyłeś telewizor na wiadomości. I widzisz, że kurs walut zmienił się wręcz fatalnie, w kopalni zasypało górników, nad

ich dziećmi znęcają się pedofile, a tymczasem reforma gospodarcza wszystkim wyżej wymienionym obywatelom ukradła przyszłość...  
Dobre wiadomości nie zdarzają się w ogóle.  
Zastanawiałeś się kiedyś, o czym mówi cała suma informacji światowych mediów?

– Nie tak łatwo to sformułować.

– Tak naprawdę bardzo łatwo – powiedział Apollo. – O niestałości i cierpieniu. Świat jest niestały – inaczej takie wiadomości nie byłyby potrzebne. A niestałość i cierpienie to praktycznie to samo. Jedno nieuchronnie prowadzi do drugiego. Nawet kiedy cierpienie maskuje się zadowoleniem z tego, że dzisiaj źle jest komuś innemu...

– A Internet?

– Internet to nasz najlepiej rokujący kierunek. Dużo czasu spędzasz w sieci?

– Na ogół tak – powiedziałem. – Chociaż teraz coraz częściej w hamlecie... Ale zdarza mi się.

– No więc sam powinieneś wiedzieć. Człowiek

zawsze wchodzi do sieci z nadzieją, że zaraz wyłowi z oceanu informacji coś cennego, interesującego i potrzebnego. I co się dzieje po trzech, czterech godzinach? Wstaje od monitora z uczuciem, że przez jego duszę przewaliło się stado świń. I to, powiedziałbym, świń ewangelicznych, w które wcieliły się przedtem wszystkie bliskowschodnie złe duchy. Człowiek przysięga sobie, że nie będzie już więcej tracić czasu na te pomyje. A na drugi dzień powtarza to samo doświadczenie.

– To prawda – przytaknąłem. – Ale dlaczego tak jest?

Apollo wzruszył ramionami.

– A jak może być inaczej? Internet to po prostu kosmos gier, filmów i wiadomości. Jakby czarne niebo, usiane kineskopami. Człowiek potrafi się przemieszczać od jednej gwiazdki do drugiej – i za każdym razem zmierza do tej, która obiecuje mu maksimum przyjemności. Oto cała psychologia surfowania po Internecie. Człowiek to maszyna

stale podążająca do punktu największej rozkoszy. Ale wytwarza przy tym nie rozkosz, tylko cierpienie. Człowiek uprawiający elektroniczną masturbację bardzo szybko zaczyna w swoim prywatnym kosmosie zataczać kręgi. Jak szczur, który wciąż ma nadzieję na pozytywny bodziec – ale znacznie częściej zwija się od uderzenia prądem, przypominając sobie, że nie ma ani pieniędzy, ani perspektyw, ani nawet czasu na to surfowanie. Cały Internet jest wprost usiany markerami, które o tym przypominają. Ten mechanizm zawsze wygrywa. Idealna pasza informacyjna, Rama, jest nie tylko absolutnie homogeniczna, ale też nienagannie fraktalna...

Nawet nie próbowałem pytać, co to znaczy. Wyszepiałem tylko:

– To nieludzkie.

– Dlaczego nieludzkie, skoro tej nieludzkości nie dostrzega żaden człowiek? Nikt się temu nie sprzeciwia, Rama. Przeciwnie, ludzie kupują sobie małe przenośne dojarki, żeby nie odłączać się



od nas nawet na sekundę. I płacą za to sporą kasę. Posłusznie kopiują wymyślone przez speców od marketingu wzorce zachowań, żeby mieć co fotografować swoimi gadżetami. Ludzie są niemal szczęśliwi... Uważają, że są wolni, gdyż mogą samodzielnie wybierać trasę przemieszczania się z punktu A do punktu B. Chociaż w rzeczywistości żadnego punktu B nie ma, są tylko, jak mówią u was na Syberii urkowie, te same jaja widziane z boku...

Doszliśmy do altany nad urwiskiem i zawróciliśmy. Teraz morze z dalekimi wyspami było po prawej stronie, a górujący nad światem pałac – po lewej.

Nagle dotarło do mnie, gdzie jesteśmy.

Był to dom Tyberiusza na Capri – Villa Jovis. Widziałem w jakimś albumie rekonstrukcję i pałac był do niej dość podobny. Tylko w albumie ściany miał śnieżnobiałe, a tu ciemnoczerwone.

Szliśmy tą samą ścieżką, po której kiedyś przechadzał się imperator... Chociaż, dlaczego

„kiedyś”? Spacerował nią również teraz.

Zaczęły już śpiewać ptaki. Wiał lekki morski wietrzyk... Tylko niezbyt podobali mi się ci nadzy marmurowi chłopcy wśród cyprysów. Może nawet nie zwróciłbym na nich szczególnej uwagi, ale w połączeniu z dłonią imperatora, głaszczącą mnie po szyi, trochę mnie to niepokoiło.

– To, co zdążyliśmy omówić, jest tylko drobnym ułamkiem nowych trendów, Rama – ciągnął Apollo. – Stoimy na progu nowej humanitarnej ery. Wielka Rewolucja Częstotliwościowa unicestwi cierpienie w jego brutalnych formach. Sprowadzi do minimum wojny. Zdejmie z wampirów odwieczną odpowiedzialność za ludzki ból i uczyni go prawie niedostrzegalnym, przesłoni „muzą”, „buźkami” i śmieszkiem sitcomów. Nie możemy wyprowadzić człowieka z boksu na wolność, jak marzą niektórzy utopiści. Ale możemy wywołać u ludzkości złoty sen, pełen erotyki i rozrywki – z lekką, niemal niedostrzegalną, równomiernie rozłożoną frustracją. Przy czym, Rama, będziemy mieć

więcej bablosu niż kiedykolwiek w historii. A ludzie przybliżą się do szczęścia na tyle, na ile pozwolą na to właściwości konstruktywne umysłu B. Czyż nie jest to wielki cel?

Byłem już zmęczony tym jego naporem i rozumiałem, że powinienem się zgodzić, choćby z grzeczności. Kiwnąłem głową. Apollo utkwiał we mnie długie, baczne spojrzenie, w którym, jak mi się wydało, mignął cień wątpliwości.

– Z pewnością trudno ci sobie wyobrazić to, o czym mówię, w całej pełni – powiedział pocieszająco. – Ale to nic. Zrozumienie przyjdzie stopniowo. Ramo Drugi, zapraszam cię, byś zajął w tym wielkim projekcie miejsce obok mnie. Bądź jednym z nas. Już stałeś się undead. Teraz powinieneś wstąpić w szeregi Leaking Hearts.

– A co to oznacza w praktyce?

– Przyjechałeś z dzikiego północnego kraju, rządzonego tak, jakby nie było ostatnich trzystu lat postępu. Do tej pory zbieracie agregat „M5” w szczytowych momentach ludzkiego cierpienia.

To barbarzyństwo. Kosmos jęczy z waszego bólu. Nie wtrącamy się bez szczególnej potrzeby w sprawy suwerennych... Jak to jest po rosyjsku... *batdoms*. Ale nie możemy już tego znieść. Nawet ludzie mają pewne prawa. Patrząc na to, co się wyprawia w Rosji, sam zaczynam wydzielać agregat „M5”...

Domyśliłem się, że ten żarcik miał mi dodać odwagi.

– Potrzebuję pomocników, Rama. Potrzebuję kogoś, kto będzie koordynować Wielką Rewolucję Częstotliwościową w Rosji...

Miałem wrażenie, że serce zaczęło mi bić trochę mocniej. Nie bardzo podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

– Rozumiem twój dylemat, mój chłopcze – ciągnął Apollo, patrząc na mnie uważnie. – Ale wcale cię nie namawiam, żebyś zdradził swoją ojczyznę. Przeciwnie, chcę, żebyś jej pomógł stać się lepszą. Stopniowo. Równomiernie. W sposób przemyślany.

– A co miałbym robić?

– Musimy skorygować strukturę waszego umysłu B. Trzeba precyzyjnie dostosować jego parametry do standardów cywilizowanego świata. Krótko mówiąc, od drgań wymuszonych musimy przejść do drgań swobodnych, zmieniając skład umysłu B w taki sposób, by uzyskać maksymalną możliwą częstotliwość i amplitudę. Wykasowujemy wszystkie mało produktywne wzorce i pozostawiamy w świadomości tylko zunifikowane procesy, które gwarantują maksymalny uzysk agregatu „M5”. To jest główny cel Wielkiej Rewolucji Częstotliwościowej – jeśli wolisz, nasz Call of Duty. Jeżeli sami tego nie zrobimy, niewidzialna ręka Wielkiego Wampira zacznie ukręcać nam jaja. *This is vampoeconomics, my boy*<sup>[74]</sup>. Postępu nie da się zatrzymać.

W tym, że Apollo tak często wspominał o jajach, z pewnością był jakiś freudowski podtekst.

– Kiedy wyrazisz zgodę – ciągnął – wyjaśnię ci,

co i jak należy robić.

Zwróciłem uwagę na owo „kiedy”, a nie „jeśli”.

– Ale kiedy się... Jeśli się zgodzę – szepnąłem – zaraz się o tym dowiedzą... U nas...

– Nikt się nie dowie, o czym rozmawiałeś z batmanem – powiedział Apollo, głaszcząc mnie po szyi. – Ani Enlil, ani nawet wasza Isztar. Oczywiście, jeżeli sam im nie opowiesz. Nawet przy najlepszych chęciach nie zdołają niczego zobaczyć. To dla nich za wysokie progi.

Zerknął na posąg nagiego chłopca z fletem i wydało mi się, że jego dłoń zaczęła się nagrzewać jak czajnik elektryczny.

W jednej chwili przemknęły mi przez głowę setki sprzecznych myśli – a wynikiem ich dodawania był tylko lepki szary strach. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć imperatorowi. I nie wiedziałem, co robić. Kompletnie. A dalsze milczenie byłoby po prostu niegrzeczne, graniczyłoby z obrazą majestatu.

Nie wymyśliwszy nic lepszego, delikatnie

wysunąłem się spod jego dłoni. Apollo się skrzywił, jakby zabolał go ząb.

Była to bardzo niezręczna chwila, bardzo.

Ale przyszedł mi z pomocą wszechświat.

Usłyszałem brzęczyk. Nie miałem pojęcia, skąd dobiega – zrozumiałem tylko, że jego źródło jest gdzieś w pobliżu. Był to dzwonek telefonu albo radiostacji, podwójne „bi-bi” w niskiej tonacji.

Dźwięk podziałał na imperatora – i na cały wszechświat – w sposób absolutnie porażający.

Cesarska promenada, którą przed chwilą szliśmy, zbladła i zwinęła się, przy czym nawet nie spostrzegłem, w jaki sposób – jakby w ułamku sekundy minęły dwa tysiące lat. Zniknęły złote orły, przepadły gdzieś zdemoralizowane marmurowe dzieci. Apollo także zniknął.

A potem zobaczyłem jego odwróconą twarz, zawieszoną w powietrzu naprzeciw mnie. Była zatroskana i poważna.

– Wybacz, Rama – powiedziała twarz. – Ważne sprawy, muszę się dwoić i troić. Dokończymy tę

rozmowę później, okej? Na razie zobacz się z Sophie, czekała na ciebie... Tylko nie słuchaj za bardzo, co ci będzie o mnie gadać...

Metalowe strzemię, na którym przez cały ten czas wisiałem, wciągnęło się z powrotem do windy, a potem tuż przed moją twarzą opuściła się płyta drzwi, odcinając mnie od sali z imperatorem.

Powietrze w czarnym pudle windy było upajająco świeże. Chciało mi się i spać, i śmiać jednocześnie. Pomyślałem, że jestem jak wisząca w szafie czarna marynarka, i ta myśl rozśmieszyła mnie do łez. Bez rozpuszczonej w powietrzu chemii coś takiego chyba byłoby niemożliwe.

Nie chciało mi się złączyć z poprzeczki.

Ale zdaje się, że było to nieuniknione – winda się zatrzymała i drzwi pojechały w górę.





Wydawnictwo Literackie

## AMERICAN DREAM

Marząc o nowym spotkaniu z Sophie, wiele razy wyobrażałem sobie, jak to będzie.

Czasem zdawało mi się, że wpadniemy na siebie w jakimś niesamowicie odłotowym nowojorskim klubie dla naszych. Ona będzie cała na czarno, a ja... Też będę w czerni. I będzie grać „The Suckumb”, jedyny zespół złożony wyłącznie z wampirów, którego muzyka nie jest przeznaczona dla ludzkich uszu (ciągle opowiadał mi o nich Ez, ale jakoś się nie zdobyłem, by ich posłuchać, uważając, że moje uszy są jeszcze zbyt ludzkie).

Czasem myślałem, że Sophie znów przyśle mi list preparat i, jak przystało na dwoje undead, spotkamy się w limbo (nie sposób zliczyć, ile razy przeklinałem się za to, że przy pierwszym

spotkaniu nie poprosiłem chociaż o kropelkę jej czerwonej cieczy). Ona, jak zawsze, zaczęła na mnie burczeć – a ja będę się cieszył nawet z erzacu.

Niekiedy myślałem, że przyjedzie do mnie z wizytą. Pójdziemy do Haute SOS i zamówię dla niej tiramisu...

Ale zupełnie się nie spodziewałem, że przy spotkaniu nawet na mnie nie spojrzy. I nie powie ani słowa.

Zupełnie się nie zmieniła. Nadal była tak samo króciutko ostrzyżona – fryzura sugerująca, że kobieta jest nie tyle lesbijką, ile zakonnicą. Jej zwisające ręce ułożone były w najprostszą hamlet-mudrą – luźny zamek ze stykającymi się kciukami. I była bez ubrania.

Co zresztą wcale nie oznaczało, że rada jest mnie widzieć – jedynie to, że postanowiła powiesić głowę w dół bardzo długo – i zdjęła z siebie wszystko, żeby nie tamować krwiobiegu. Sam tak robiłem, ponieważ po paru dobach jakaś

drobna gumka może się stać źródłem prawdziwej męki. Sądząc po lekkim zasinieniu twarzy, wisiała głową w dół już co najmniej trzy dni. Człowieka coś takiego mogło po prostu zabić.

Kosztowało mnie wiele wysiłku, by odwrócić od niej wzrok.

Miejsce, w którym mieszkała, spodobało mi się od pierwszego wejrzenia. Nie było tu żadnych wampoluksusów w tandetnym rublowskim rozumieniu. Wszystko było proste, funkcjonalne, minimalistyczne i stylowe.

Po pierwsze, nie było tu hamletu. Zamiast niego od ściany do ściany biegł lśniący niklowany drążek, przymocowany do sufitu stalowymi linami. Obok niego stała zwyczajna aluminiowa drabinka. A cały środek pokoju zajmowała okrągła kanapa z mnóstwem poduszek, na które można było w każdej chwili miękko i bezpiecznie spaść z poprzeczki... Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby urządzić sobie w domu coś podobnego: rutynowo używałem odziedziczonego w spadku

niewygodnego mechanizmu z poduszkami asekuracyjnymi. Oto, co znaczy nie kwestionować tradycji...

Potem zauważyłem leżące na jednej z poduszek czarne majteczki – i po stoicku odwróciłem wzrok.

Pokój był jasny i wesoły, z mnóstwem barwnych plam. W ścianach było kilkoro różnokolorowych drzwi. Cały wystrój wyglądał na prosty i niedrogi, ikeowsko demokratyczny, jakby to było jedno z pomieszczeń domu studenckiego (pomyślałem, że rosyjskie wampiry chyba nigdy nie zrozumieją, na czym polega prawdziwa klasa). Na stole stał unikatowy MacBook, a nad nim wisiała tablica korkowa pokryta przypiętymi papierkami...

Na ścianach znajdowały się naturalnie radykalne, zaciekle plakaty ze złośliwymi aluzjami, które tak uwielbia burżuazyjna dzieciarnia na całym świecie – na przykład stos z płonąca na nim czarownicą i podpisem:

„! FREE MADONNA!”.

Jeden z plakatów, rosyjskojęzyczny, mocno mnie zaskoczył. Był na nim ciąg fotografii z rosyjskiego „Forbesa” – ze świeczką pod każdym zdjęciem. Tekst głosił:

„POWSTRZYMAĆ AFERZYSTOBÓJSTWO!  
STOWARZYSZENIE OBRONY MIRSKICH ŚWINEK”.

Nie miałem pojęcia, kto w Rosji mógł zrobić coś takiego. Chyba tylko ja. A ja na pewno tego nie zrobiłem. Zapewne całe to stowarzyszenie – jeśli w ogóle istniało – składało się tylko z Sophie. Dziewczyna szykowała się na mój przyjazd...

Byłem wzruszony niemal do łez.

Najbardziej niesamowity był jednak wiszący na ścianie obiekt wampo-artu. Był to parodystyczny gobelin, przedstawiający korytarz Hartlandu: płócienna ściana z pluszowymi okienkami, z których sterczały zasuszone głowy (oczywiście nie prawdziwe, tylko szmaciane) Steve’a Jobsa,

Dalajlamy, Hitlera, jakiejś amerykańskiej blond aktorki, której nazwisko stale zapominałem i... tak, batmana Apolla Trzynastego.

Z głowy imperatora, utkanej ze szczególnym satyrycznym zacięciem, sterczało mnóstwo szpilek z kolorowymi plastikowymi łebkami. Dwie szpilki z mściwą precyzją wbito mu w oczy. A na ścianie pod nim zielonym markerem zamasyście wypisano:

„FUCK APALLO”.

Właśnie tak, przez „a” – pewnie do „*appaling*”<sup>[75]</sup>.

Obok głowy batmana była jeszcze jedna – męska, z czarnymi włosami i bladą twarzą o regularnych rysach. Sympatyczna, zrobiona bez żadnego sarkazmu... Nagle zrozumiałem, że to jestem ja. Nawet mały pieprzyk nad prawą brwią był na miejscu. I nie wetknięto we mnie ani jednej szpilki. Za to na pluszowym obramowaniu okna, z którego sterczała moja szmaciana głowa,

wyhaftowane było czerwone serduszko z czarną gwiazdą w środku – takie samo jak na ramieniu Sophie, tylko malutkie... Kiedy je dostrzegłem, poczułem się tak, jakby ktoś nakarmił moje serce kawałkiem czekolady.

Podszedłem do Sophie, pochyliłem się nad jej głową, niemal dotykając poduszek, i pocałowałem zimne nieruchome wargi.

Mogłem się domyślić, jaki numer mi wytnie. Ale i tak mnie zaskoczyła. Otworzyła oczy – szybko i szeroko – i złapała mnie za szyję.

– Znowu zakłóciłeś mi sen – zasyczała. – Poprzednim razem darowałam ci życie, ale teraz się nie wywiniesz!

I chociaż wiedziałem, że żartuje, i tak zdążyłem się przestraszyć.

Pocałowaliśmy się, a potem Sophie...

Powiedzieć „ześlizgnęła się w moje ramiona” byłoby elegancko, ale niezbyt precyzyjnie. W rzeczywistości runęła na mnie i mocno uderzyła kolaniem w nogę, traktując mnie jak dodatkowy



komplet poduszek. Ale w tym naiwnym egoizmie było coś tak kobiecego, a zarazem wampirycznego, że nie zwróciłem uwagi na ból. Zwłaszcza że inne kobiety wampiry w podobnych sytuacjach wyrządzały znacznie większe szkody mojemu zdrowiu.

Następne kilka godzin jak zwykle opuszczę. Szczególnie że wątpię, czy byłoby to ciekawe: fizycznie wszystko odbywa się u nas jak u ludzi. Tylko nasze doznania są znacznie bardziej intensywne niż średnia statystyczna i trwają o wiele dłużej. I jesteśmy dla siebie nawzajem bardziej czuli i delikatni.

Podobno jest to rezultat połączenia dwóch czynników – zmienionej chemii mózgu i fundamentalnej nieufności wobec partnera, co sprawia, że następujące mimo to zbliżenie jest podróżą znacznie bardziej zawrotną. Jeśli na przykład porównamy ludzką miłość do skoku ze spadochronem, to miłość wampirów jest skokiem ze stratosfery, przy którym nie ma się do końca pewności, czy w ogóle jest spadochron.

Nam otworzył się całe trzy razy. U wampirów to dużo.

Potem długo milczeliśmy. Nie myślałem w ogóle o niczym i podobało mi się to.

– Jesteś głupi, że przyjechałeś – odezwała się Sophie.

– Nie chciałaś się ze mną zobaczyć?

– Bardzo chciałam się z tobą zobaczyć. Ale jesteś głupi. Stąd nie tak łatwo wyjechać. Apollo robi z odwiedzających swoje zabawki.

– Z ciebie też? – spytałem.

Tylko wzruszyła ramionami.

– Mówił ci o wyzwoleniu ludzkości?

– Tak – potwierdziłem.

– Może o tym gadać bez końca – uśmiechnęła się Sophie. – Bardzo to lubi. Starzy mieszkańcy mówią, że sto lat temu uwielbiał śpiewać *Międzynarodówkę*. Aksamitnym barytonem...

Popatrzyłem na szmacianą głowę imperatora. Różnokolorowe łebki szpilek wyglądały jak

oblepiające ją owady.

– Widzę, że ty go jakoś nie za bardzo... Albo odwrotnie, za bardzo... To całkiem fajny gość. Tylko moim zdaniem pedzio.

Sophie się zaśmiała – gorzko i z rezygnacją.

– Słuchaj – powiedziałem. – On się tak maskuje... Że nawet nie widziałem jego szyi. Jest długa?

– Szyję mu zmieniają – powiedziała Sophie. – Co sto lat, kiedy wsuwa się w tułów. Specjalnie hoduują ją w ładowni.

– Z czego? – zapytałem.

– To jakiś starożytny gad – powiedziała Sophie. – Prawdziwa chtoniczna istota. Myśli, że jest najważniejszy w kosmosie. Trzymają go na uprzęży, pod kroplówką ze strasznie silnymi psychotropami i w niczym mu nie przeczą. Nie przeszkadzają mu w panowaniu nad wszechświatem. A raz na sto lat robią mu dekapitację. Widziałam zdjęcia – okropność. Głowę ma jak lew, a ciało jak wąż. Po stu latach

odrasta nowa szyja o odpowiedniej długości i wszystko się powtarza...

– A samej głowy rzeczywiście nigdy nie zmieniają?

– Głowy zmieniają tylko u was – powiedziała Sophie. – No i w pozostałych wielkich myszestwach. Przy czym, jeśli długo tego nie robią, Apollo zaczyna się denerwować. I próbuje włączyć wiatr przemian.

– Co sto lat nowa szyja – powtórzyłem w zamyśleniu. – To ile on ma lat?

– Nikt nie wie. Bardzo dużo. Jeżeli to pytanie w ogóle ma sens. A poza tym Apollo cały czas musi przebywać na morzu.

– Dlaczego?

– Żeby nie podziałała stara Klątwa Ziemi, która spada na wampiry, próbujące żyć wiecznie. Ziemia go odpycha. I dlatego zapuścił korzenie w wodę. Jak wodorosty. Od czasu do czasu trzeba je obrąbywać, bo statek traci szybkość. A poza tym krążą słuchy, że Wielka Mysz, na której żyje,

ciągle próbuje obrastać nowymi głowami – i Apollo musi odcinać pędy nowych szyj. Jak widzisz, nie brakuje mu problemów.

– A ty go dobrze znasz?

– Na tyle, na ile można go znać, Rama. Jest nieprzezroczysty. Ale podejrzewam, że jego celem jest istnieć wiecznie, zrzucając właściwe temu procesowi cierpienie na innych. Że tak powiem, toczyć się coraz dalej w przyszłość. I potrzebuje moralnego usprawiedliwienia. Albo czegoś w tym guście.

– To dziwne – powiedziałem. – Na mnie zrobił wrażenie normalnego gościa. Lewicowego i postępowego. Takiego *cultural marxist*.

Sophie uśmiechnęła się ponuro.

– Lewicowy? Postępowy? Rama, puknij się! On nie jest ani lewicowy, ani prawicowy. Wiecznie sprawdza, czy na świecie nie pojawiła się nowa jasna ideologia. Jakaś wzniosła nadzieja dla ludzkości, choćby nawet fałszywa. Stara się ją znaleźć, gdy tylko się ona narodzi. I natychmiast

robi z niej swoją nową maskę i spod niej rządzi światem. A kiedy oszustwo staje się widoczne, znajduje nową. I tak już od wielu wieków. Wszystkie olśnienia i wzloty ludzkiej historii – to po prostu jego maski.

– Ale ty chyba niespecjalnie się go boisz – powiedziałem.

– Apollo na wszystko pozwala, także na walkę z nim samym. Może nawet razem z tobą wciągać kokę i pogadać o Occupy Universe. Masz to jak w banku. Apollo jest liberałem. Ale to też maska.

Po policzku Sophie spłynęła łza, pozostawiając cienką lśniąca smużkę. Widocznie tą rozmową rozdrapała wszystkie swoje rany. Należało ją szybko uspokoić. Albo chociaż spróbować.

– Słuchaj – powiedziałem – ale przecież to tak czy owak super!

– Co?

– To, że imperator jest jednym z Leaking Hearts. Jednym z...

Omam nie powiedziałem „z nas”, ale w porę

sobie przypomniałem, że nie mam do tego podstaw.

– Jednym z ludzi – dokończyłem. – Chce złagodzić ich ból. I nawet ich uszczęśliwić!

Sophie popatrzyła na mnie ze smutkiem.

– Nadal niczego nie rozumiesz, Rama – powiedziała. – Kompletnie niczego. On wcale nie chce pomóc ludziom. On chce z nich zdzierać nie trzy skóry, ale trzydzieści trzy. I w tym celu stale trzymać ich pod narkozą. Chce ich bezustannie doić nawet w toalecie i w windzie za pomocą tych gadżetów, które na dodatek trzeba zmieniać co dwa tygodnie. Co więcej, analizuje wszystkie formy, w jakich może się objawić protest wobec istniejącego porządku, i zamienia je w filie swojego biznesu. Dlatego zamiast świadomej walki ludziom pozostały tylko prymitywne uliczne karnawały, wylewające ich gniew do kanalizacji...

– Ale ja miałem wrażenie... Miałem wrażenie, że on mówi wiele rozsądnych rzeczy. To, co proponuje, wcale nie jest takie złe. W porównaniu

z tym, co było sto lat temu.

– Po pierwsze, sto lat temu to też był on, tylko w innej masce. A po drugie... On nie jest prawdziwym Leaking Heart. Zafałszował najważniejszą rzecz. Chce doić ludzki umysł o wiele bardziej niż przedtem – do ostatnich granic. A prawdziwi Leaking Hearts marzą, żeby go opróżnić.

– Co? – zdumiałem się. – Chyba żartujesz?

Przecząco pokręciła głową.

– Ale człowiek stanie się bydlęciem. Nie będzie rozumieć słów.

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Opróżnić nie znaczy unicestwić. Właśnie opróżnić, to jest uczynić próżnym. Usunąć autorefleksję. Zrobić tak, żeby w umyśle B nie odbijał się sam umysł B. Człowiek będzie rozumiał słowa – jeśli zechce. Ale nie będą mu potrzebne.

– A o czym będzie myśleć?

– Nie będzie myśleć – odparła Sophie. – W ogóle zapomni o dobru i złu. Będzie się



beztrosko zmieniać wraz z całym wszechświatem z chwili na chwilę. Przywrócimy... Nazywamy to „*indigenous mind*”<sup>[76]</sup>. Sprawimy, że umysł stanie się taki, jaki był przed przekształceniem go w fabrykę bólu.

– Czy to w ogóle możliwe?

Przytaknęła.

– Na krótki czas tak. Przeprowadzaliśmy nawet eksperymenty. U was na Syberii.

– Na ludziach?

– Na ochotnikach. Pokażę ci.

Wstała z kanapy i usiadła przy swoim białym Mac-Booku.

– Tu są zdjęcia z doświadczeń kontrolnych. Patrz.

Podszedłem i zajrzałem jej przez ramię.

Najpierw na ekranie mignęło serce z gwiazdą, potem jakaś tablica z numerami i datami. Następnie zobaczyłem przyzbę wiejskiej chaty.

Pod szarymi belkami siedział dziwny chłop

w wesołej niebieskiej koszuli. Wyglądał jak przebieraniec z powodu czysto umytej puszystej brody – a poza tym dlatego, że jego twarz emanowała spokojną i łagodną radością, niezbyt stosowną na tle starej, zniszczonej ściany.

Górną część obrazu zasłoniło okienko z informacją techniczną – były tam cyfry, jakieś rubryki i długi pasek wskaźnik, oznaczony symbolem „M5”.

Przed obiektywem mignął klaps i po lewej stronie siedzącego ukazał się jeszcze jeden człowiek.

Był nagi do pasa, strasznie chudy i wszędzie wytatuowany w kopuły cerkiewne – na piersi miał cały sobór, a na palcach wykłute niebieskie pierścienie. Tatuaze ciemniały nawet na jego bosych stopach – pyski drapieźnych kotów z wyszczerzonymi zębami. Sądząc z wyglądu, był to kryminalista, który większość życia spędził w więzieniu.

Odwrócił się do chłopca na przyzbie,

rozczapierzył palce i powiedział głośno:

– Pedał jesteś! Pieprzona ciota! Przy wszystkich ci to mówię, skurwielu, żebyś potem nie leciał w zaparte!

Zobaczyłem, że wskaźnik z literami „M5” na sekundę mignął na pomarańczowo – i znowu zgasł. Chłop nawet nie spojrzał na wymyślającego. Nadal wpatrywał się w dal z tym samym radosnym zdumieniem.

Przed kamerą znów szczęknął klaps w czarną szachownicę. Chłop w niebieskiej koszuli pozostał na miejscu. A zamiast kryminalisty na ekranie ukazał się nazistowski oficer – chyba w mundurze Luftwaffe – z pejczem w rękę i jakimiś brylantowymi orderami na piersi.

– Ohydne wnętrza chłopskich chat – powiedział, mocno grasejąc – gdzie ludzie i bydło gnieźdzą się razem wciąż tak samo od setek, jeśli nie od tysięcy lat, każą się zastanowić, gdzie tak naprawdę przebiega geograficzna granica Europy... Być może odsuwaliśmy ją dotychczas zbyt daleko

na wschód...

Pomarańczowy wskaźnik znów mignął i zgasł. Chłop w niebieskiej koszuli spojrział na oficera i natychmiast przestał się nim interesować.

Znowu szczęknięt klaps.

Teraz na ekranie obok przyzby stał nobliwy brodaty pan w białym płaszczu.

– Choć nas dziś gnębią si-ły ponu-re – zaśpiewał przyjemnym, acz nieco przymilnym barytonem – chociaż niepe-ewne jutro niczy-je...

[77]

Wskaźnik z literami „M5” znów ożył – w jego lewej części pojawiła się na moment cieniutka pomarańczowa kreska. I natychmiast zgasła. Na twarzy brodacza jaśniał wciąż ten sam niezmacony uśmiech – chłop zdawał się z ogromnym zainteresowaniem obserwować jakieś pyłki w powietrzu przed sobą.

– Wystarczy – powiedziałem. – I co? To jest właśnie produkt waszych doświadczeń? Takich ludzi to my mamy pół kraju. I na odwrót, trzeba im

włączyć umysł B, żeby się wreszcie ruszyli. Bo każdy tylko od rana wali lufę i potem tak siedzi... A ja myślałem...

– Nie rozumiesz – odparła Sophie. – To zupełnie co innego. To jest... *indigenous mind!* Umysł przed językiem! Człowiek był taki, zanim nastały wampiry. My, Rama. Tu nie chodzi o to, jak to wygląda, ale o to, jak to się odczuwa wewnątrz.

Popatrzyłem na chłopca, który wciąż z tym samym radosnym zdziwieniem wpatrywał się w przestrzeń.

– On ma całkowicie wyłączony umysł B?

– W sensie technicznym nie – powiedziała Sophie. – Na wskaźniku jest pomarańczowa iskra. Ale umysł B jest odłączony od obwodów produkcji agregatu „M5”. Zminimalizowany. W tym stanie umysł B ocenia otrzymaną informację werbalną, zalicza ją do kategorii śmieci i sam się zagłusza, nie popadając w refleksję. Ponieważ zaś właściwie cała informacja werbalna jest

śmieciem, umysł B można uznać za zagłuszony.

– I jak się to odczuwa?

– To objawienie. Kiedy twój umysł jest całkowicie spokojny i beztroski, ty... jak gdyby zaczynasz dostrzegać najprostszą i najbardziej oczywistą warstwę świata. Który istnieje zawsze, ale ukryty pod troskami, stale kłębiącymi ci się w głowie. Zwyczajni ludzie nawet nie dostrzegają tej oczywistości – istnieje ona dla nich tylko jako tło.

– Tło czego?

– Trosk. Ludzka głowa zawsze jest pełna trosk. Stale nas niepokoi nie wiadomo co, i to nie wiadomo co wydaje się bardzo ważne. Ciągłe staramy się nie tracić go z oczu, żeby mieć wszystko pod kontrolą, chociaż to, co usiłujemy mieć pod kontrolą, cały czas zamienia się w coś innego...

– Rozumiem – powiedziałem. – Umysł B. Ale nie rozumiem, co to za najprostsza warstwa świata, którą przesłania?

– Pomyśl, patrzysz na niebo. I widzisz, że jest

niebieskie, a chmury białe. I masz całkowitą pewność, bez żadnych słów: sens twojego życia polega na tym, żebyś w tej sekundzie był świadkiem tej niebieskości i bieli. Już znalazłeś prawdziwego siebie. Nie musisz szukać niczego innego... To prawie to samo, co czujemy, zażywając bablos. Ale podczas Czerwonej Ceremonii jesteśmy ogłuszeni dopiero co zakończonymi udrękami. Dlatego ta percepcja jest zniekształcona. A potem zaraz się kończy.

– Mówisz poważnie?

Przytaknęła.

– To właśnie jest główna tajemnica, którą odkrył Dracula – i ukryły wampiry. Ukryły same przed sobą, żeby nie rujnować ustalonego na ziemi porządku. Kiedy zażywamy bablos, najważniejsze, co się z nami dzieje, to całkowite zatrzymanie umysłu B. Co prawda, działają jeszcze neuroprzekazniki, ale nie o nie tu chodzi. Chodzi o to zatrzymanie. Leaking Hearts chcieli uwolnić i ludzi, i wampiry. Ale wtedy bablos stawał się

absolutnie niepotrzebny... Dla Apolla jest to nie do przyjęcia. Wszystko, tylko nie to. No bo po cóż wtedy on sam? Po co cały ustalony przez niego porządek?

– I co, każdy człowiek... Każdy szmaciarz może mieć odłot jak jeden z nas?

– Może – powiedziała Sophie. – Mało tego. Wampir może się obejść bez bablosu. Wystarczy zatrzymać ten motor bólu.

– Ale to jest przecież – przeszedłem na szept – to jest Tajna Czarna Droga!

– Tajna Czarna Droga jest dla wampirów samotników – odrzekła Sophie. – A Leaking Hearts szukają sposobu, żeby obdarzyć tą swobodą wszystkich ludzi. Tylko że to jest niesamowicie skomplikowane. Nikt nie wie, jak sprawić, żeby ten efekt był stabilny. Właściwie ręce mi opadają...

I Sophie westchnęła smutnie. Znów zobaczyłem w kąciku jej oka łzę.

– Ale jaki to ma sens? – spytałem. – Co, całe



życie mamy tak patrzeć na niebo i chmury? Tego chłopinę – wskazałem na ekran – od czasów Piotra I próbuje się u nas odziać w coś europejskiego. I zgolić mu brodę...

– Wiem – powiedziała Sophie. – Wyzysk kolonialny, Rama. Zachodni styl życia wymaga od człowieka potwornej ilości zabawy. Każdego dnia, w każdej sekundzie. Kultura zachodnia opiera się na jednym tajnym aksjomacie – że życie, upływające w atrakcyjnych wizualnie formach, już przez to samo jest do zaakceptowania. Apollo wychował całe pokolenia dawców, reagujących nie na rzeczywiste życie, ale na obraz tej rzeczywistości. Dla widza kinowego nie ma różnicy pomiędzy „być” a „wyglądać”. Stajesz się generatorem obrazów wizualnych, które w sytuacji idealnej powinny budzić cudzą zawiść. Cały czas bierzesz udział w przedstawieniu, które ma przekonać innych i ciebie samego, że odnosisz sukcesy i jesteś szczęśliwy. Przez całe życie pracujesz jako emanujący bólem manekin, porównujący się z odbiciem innych woskowych

figur... Jeśli cię to interesuje, popatrz na maskę pośmiertną waszego Piotra. Wtedy wiele zrozumiesz.

– Ale nawet jeśli tak jest – powiedziałem – nawet jeśli po prostu pracujesz jako manekin w ładnej witrynie, to przecież nie tak źle. A w każdym razie lepiej niż jako strach na wróble w warzywniku...

– Komu lepiej? Umysłowi B?

– Rozumiem, co masz na myśli – odparłem. – Ale mimo wszystko...

– Teraz myślisz umysłem B, Rama, jak normalny człowiek. Najszczęśliwsze stworzenia na świecie to mały bonobo. A z punktu widzenia postronnego obserwatora nie robią nic innego, tylko się iskają, pieprzą i smrodzą. Gdyby opisać krótko historię ewolucji, to odebraliśmy ludziom zwykłe małe szczęście i zmusiliśmy ich, by cierpieli z powodu tak zwanego sukcesu i piękna, których obrazy muszą się co chwila wyświeślać na zewnątrz. Z punktu widzenia współczesnej kultury wszyscy,

którzy nie wpisali się w jej szablon wideo, powinni być głęboko nieszczęśliwi. I rzeczywiście stają się nieszczęśliwi, bo człowiek to bardzo posłuszne zwierzątko. Tej ohydnej tresurze poddawani są dzisiaj wszyscy ludzie bez wyjątku. I naprawdę uważasz, że Apollo jest humanitarny?

Wzruszyłem ramionami.

– Zdawało mi się, że tak.

– Dobrze – powiedziała Sophie i położyła palce na trackPadzie. – Pokażę ci jeszcze coś... Przeprowadziliśmy pewne bardzo interesujące badanie. Postanowiliśmy sprawdzić, jakie wydarzenia w różnych kulturach dają jednakową ilość agregatu „M5”. Wyodrębnić ekwiwalenty produkcyjne, że się tak wyrażę...

Na ekranie ukazał się obraz, podobny do tych, które widzieliśmy wcześniej – z mnóstwem różnokolorowych wskaźników i liczb, nałożonych na film wideo. Ale teraz ekran był podzielony na pół i rozgrywały się na nim jednocześnie dwa wydarzenia.

Po prawej stronie toczyła się zaciekle bójka. Bili się ludzie w szarych więziennych uniformach. W rękach mieli żelazne pręty i miski, którymi zasłaniaли się przed ciosami.

Po lewej stronie sunął powoli przejściem dla pieszych (chyba w centrum Nowego Jorku) wąsaty mężczyzna w granatowej bluzie, z siwą grzywą sięgających do ramion włosów. Zatrzymał się, podniósł oczy i obrzucił smutnym spojrzeniem strzelające w niebo zikkuraty. Potem westchnął, spuścił głowę i powlókł się dalej.

Paski z literami „M5” nad obydwoma obrazami były prawie do końca wypełnione drżącym pomarańczowym światłem – i zachowywały się bardzo podobnie, jak wskaźniki tego samego systemu stereo.

– Co to jest? – zapytałem.

– Po prawej stronie bójka o jedzenie w rosyjskiej kolonii karnej o zaostrowym rygorze FBU IK-11 – powiedziała Sophie. – A po lewej ostatnia przechadzka po Manhattanie grafika

designera Arona Koszewoja, który musiał uśpić sukę Dunię i przeprowadzić się na Bronx z powodu podniesienia czynszu. Pierwsze wydarzenie jest grupowe i długotrwałe. Drugie – to nawet nie wydarzenie, po prostu intensywne przeżycie duchowe jednego człowieka. Ogólny uzysk agregatu „M5” jest mniej więcej jednakowy... Albo to...

Zobaczyłem nowy klip.

W prawej części ekranu było morze. Na falach kołysała się jaskrawo pomalowana drewniana łódka, podobna do pływającego kurnika. Nad jej burtą błyszcząły lufy automatów. Było widać kilka czarnych głów. Nagle z burt we wszystkie strony poleciały drzazgi, wzbiły się słupy wody i łódkę przesłoniły kłęby czarnego dymu. Potem huknęła nowa salwa i wszystko zniknęło za ścianą ostrych białych bryzgów...

Lewa część ekranu ukazywała nagiego do pasa mężczyznę w średnim wieku, golącego się przed lustrem. Miał wydatny brzusek, cienkie blade

ręce, a w twarzy coś nienaturalnego i martwego, jakby zrobiono ją z wosku. Mężczyzna popatrzył na swoje odbicie, skrzywił się, zmrużył pełne smutku oczy i pociągnął brzytwą w bok. Na policzku zaczęła mu się rozplýwać czerwona smuga.

– Po prawej stronie rozstrzelanie dwunastu somalijskich piratów na barce „Aluta” – powiedziała Sophie. – Po lewej założyciel międzynarodowych kursów odmładzania Elder A. Zakling spostrzega, że już nie jest młody. To samo, jednakowy uzysk agregatu „M5”.

– Zgadza się – powiedziałem. – Apollo o tym mówił. Że w sposób humanitarny można uzyskiwać więcej bablosu niż w niehumanitarny. Wielka Rewolucja Częstotliwościowa...

– Rama, agregat „M5” to cierpienie. Co to znaczy „humanitarny”? Taki, który daje przyzwoity obraz na ekranie? Bez gówna i krwi? To nie jest humanitaryzm, Rama. To umiejętność zacierania śladów... Nikogo na świecie wampiry nie

eksploatują tak bezlitośnie i okrutnie jak ludzie Zachodu. Jesteśmy po prostu pokornymi tresowanymi zombie, bezmyślnie żrącymi od rana do wieczora swoją śmieciową infopaszę.

– Daj spokój – odparłem. – Po prostu nie żyłaś w Rosji.

– Nie rozumiesz, o co mi chodzi – powiedziała Sophie. – Jak myślisz, przez ile godzin na dobę statystyczny mieszkaniec Zachodu wytwarza bablos?

– Nie wiem – mruknąłem. – Osiem? Dwanaście?

– Czterdzieści.

– Doba ma dwadzieścia cztery godziny, Sophie!

Sophie westchnęła i uśmiechnęła się, jakby rozczulona moją naiwnością.

– Słyszałeś o American Dream?

Przytaknąłem.

– Co to jest twoim zdaniem?

Powiniennem był to wiedzieć. Informacja ta

znajdowała się w jakimś preparacie ogólnokształcącym. A w dodatku niedawno czytałem artykuł... Ale wszystko wyleciało mi z głowy.

– No, American Dream to... Dom, czteroosobowa rodzina i dwa samochody?

Sophie przecząco pokręciła głową.

Wytężyłem pamięć.

– Aa, przypomniałem sobie. *Work hard and play by the rules...*<sup>[78]</sup> I wtedy będziesz żyć na przyzwoitym poziomie, a twoje dzieci będą miały szansę urządzić się jeszcze lepiej... Tak?

Sophie pokazała mi pięść z zadartym w górę kciukiem, a potem skierowała go w dół.

Skupiłem się jeszcze bardziej – nie chciałem się skompromitować w takiej prostej sprawie.

– Nie, tam było jeszcze coś, zaczekaj... Nowe... Że teraz trzeba jeszcze regularnie się podciągać do nowego poziomu. Cały czas nabywać wymaganych przez rynek nawyków. I przy tym przestrzegać reguł gry... Teraz dobrze?



Sophie tylko się uśmiechnęła.

– Czarna Zaslona, Rama. To, co mówisz, to informacyjny homonim. Kamuflaż. Istota klasy undead ma prawo znać prawdę.

– Dobrze – odparłem. – Powiedz mi prawdę.

– I wampiry, i ludzie dobrze wiedzą, że w nocy mamy sny. Większości z nich nie pamiętamy. Zapamiętujemy tylko drobne fragmenty, które zdążą uchwycić budzącą się świadomość. Wampiry zastanawiały się od wielu stuleci, jak wykorzystać ludzkie sny dla swoich celów. American Dream to najnowsza, najbardziej efektywna technologia, opracowana przez amerykańskie wampiry pod osobistym kierownictwem He or She.

– Na czym polega? – spytałem.

– Każdej nocy człowiek ma sen, którego zupełnie nie pamięta. Sen sterowany. Tylko że nie steruje nim sam śpiący, ale siła zewnętrzna. W rzeczywistości ten sen trwa zaledwie pięć albo siedem minut i jest ukryty wśród innych snów, dlatego nie można ściśle określić, kiedy się śni.

Ale w czasie subiektywnym zajmuje około szesnastu godzin. Jest to maksymalna długość, po której umysł B może się zregenerować przed nowym dniem pracy. I przez całe te szesnaście godzin człowieka tarzają pyskiem w potłuczonym szkle...

– Co, naprawdę?

– Nie – powiedziała Sophie – w sensie metaforycznym. Nie w szkle, ale w jego socjalnych i osobistych kompleksach w całym tym, jak mówią u was, glamourze i dyskursie. Człowiek w tym śnie przez szesnaście godzin z rzędu cierpi, ponieważ nie odpowiada wzorcom piękna i sukcesu, cierpi nad swoją marnością i nędzą. A potem się budzi i nic nie pamięta.

– Zupełnie nic?

Sophie kiwnęła głową.

– Ale to niemożliwe – zaprotestowałem. – Ktoś na pewno by sobie przypomniał. Pod hipnozą. Albo na kozetce u psychoanalityka...

– Znowu nie rozumiesz – powiedziała Sophie. –

American Dream niczym się nie różni od tego, co się dzieje w ludzkim umyśle dzień po dniu. Nie możemy go sobie przypomnieć z tego prostego powodu, że ani na sekundę nie pozwalają nam o nim zapomnieć... Dlatego rano nie można go odnaleźć w pamięci, tak jak się to zdarza z innymi snami. Po prostu ludziom się zdaje, że myśleli o swoich problemach nawet we śnie...

– Śni się tylko Amerykanom?

– Teraz wszystkim. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym wampiry zawarły układ międzynarodowy i rozprzestrzeniły American Dream na całą planetę. Jego konkretna treść zależy od tożsamości narodowościowej i w różnych kulturach jego efektywność jest różna. Przypuszczam, że u jakiegoś Indianina z amazońskiej dżungli w ogóle nie wywoła agregatu „M5”. Ale w ogólnym bilansie przynosi wampirom prawie czwartą część całego bablosu.

– Wampirom też się on śni?

– Też, Rama. Umysł B mamy dokładnie taki sam

jak ludzie...

Zamyśliłem się.

– Czy ja przypadkiem nie przywiozłem zapłaty za American Dream?

– Nie – powiedziała Sophie. – American Dream przekazuje się bezpłatnie. Wcześniej było porozumienie o podziale produkcji, ale teraz je zniesiono. Przywiozłeś bablos za kalendarz.

– Za kalendarz?

– To o *Kalendarzu Aztlańskim* też nie wiesz? – zdziwiła się Sophie.

– Wiem, a jakże – odrzekłem z godnością. – Nie wiedziałem tylko, że trzeba za niego płacić. Po co to? Przecież przyszłość jest już znana.

– Jest znana jednemu Apollo – powiedziała Sophie. – A on odsłania ją tylko na kilka lat do przodu. I tylko po zapłaceniu daniny. To jeden z filarów jego władzy. Kalendarz jest potrzebny wszystkim. Inaczej wielkie wampiry nie wiedziałyby, dokąd pędzić swoje stada. Kiedy będziesz leciał z powrotem, dadzą ci kopertę

z przepowiednią. Przynajmniej wcześniej tak było...

Nagle w pokoju zabrzmiała muzyka – łagodna melodia z trzech powtarzających się nut. W pierwszej chwili pomyślałem, że to Blackberry w opcji budzika. Ale dźwięk był zbyt głośny. A potem biała matowa ściana zamieniła się w ogromny ekran i zobaczyłem pulsujące czerwone serce z czarną gwiazdą w środku.

– Apollo mnie wzywa – westchnęła Sophie. – Muszę iść.

Zaczęła się szybko ubierać.

Byłem zachwycony jej małą czarną sukienką – uważam, że takie sukienki powinna mieć każda piękna kobieta. Czarne ażurowe pończochy, które wciągnęła zaraz potem, spodobały mi się znacznie mniej – było w nich coś wulgarnego.

Potem znikła za jakimiś drzwiami i po minucie wynurzyła się stamtąd ze szkarłatnym owalem zamiast ust. W życiu nie widziałem jaskrawszej szminki – wydawała się wręcz fluoryzować. Co

więcej, na ramieniu Sophie wisiała teraz na złotym łańcuszku torebka z czarnej krokodyłowej skóry. Sophie popatrzyła na mnie i ściągnęła wargi w serduszko, pozostawiając między nimi małą czarną dziurkę – i rozpoznałem emblemat Leaking Hearts, który widziałem na jej ramieniu. To, do czego sprowadziło go życie i los... I wszystko, co myślałem o wulgarności jej stroju, nagle zostało zmyte falą litości.

Sophie przeniosła wzrok ze mnie na poprzeczkę nad kanapą.

– Powiś sobie na razie – powiedziała. – Postaram się szybko wrócić.

– A gdzie tu jest wyjście? – spytałem. – Tak na wszelki wypadek?

– Tu nie ma wyjścia. Winda jest bez guzików – sama wie, dokąd cię zawieźć... Apollo jest ostrożny, Rama. Może się do niego zbliżyć tylko ten, na kogo czeka...

Część ściany uniosła się do góry i Sophie zniknęła w windzie.

Postanowiłem posłuchać jej rady. Nie byłem przyzwyczajony do korzystania z drabinki, ale okazało się to wygodne. Znalazłszy się nad środkiem kanapy, zawisłem na poprzeczce i zamknąłem oczy.

We własnym hamlecie wystarczało mi kilka sekund, najwyżej minuta, by popaść w słodkie odrętwienie. Ale teraz spokój i obojętność wciąż nie nadchodziły. Być może przyczyną był nieco przerażający magnetyzm imperatorskiego statku, niepokojące tło psychiczne, od którego cały czas próbowałem się oderwać – i nie mogłem.

Kim Sophie jest dla imperatora? I dlaczego mieszka z nim na jednym statku? I dlaczego, dlaczego znów zapomniałem ją o to zapytać?

Ciągle nie wychodził mi z głowy jej strój. Nic tak nie podkreśla kobiecej urody, jak uniform taniej prostytutki – po prostu dlatego, że sugeruje natychmiastową i łatwą dostępność. Chociaż ta sugestia może być całkowicie fałszywa, i najczęściej jest prowokacją.

Kobieta przyszłości – to ubrana jak dziwka feministka pod ochroną aparatu karnego, złożonego z represjonowanych seksualnie mężczyzn... Tylko że tutaj nie chodzi o kobiece intrygi, myślałem zasypiając. Kobieta niczemu nie jest winna. Rozpasanie feminizmu, homohisterii i walki z molestowaniem seksualnym w krajach postchrześcijańskich – to tak naprawdę sposób na odrodzenie opresji seksualnej, która zawsze leżała u podstaw tych kultur. Jak zmusić termity, żeby budowały gotyckie mrowiska, zachowując sterylną czystość w miejscach użyteczności publicznej? Tylko poprzez konsekwentne tłumienie libido, skierowanie go w nienaturalne koryto. Zawrócenie wielkiej rzeki, że się tak wyrażę. A ponieważ Kościół chrześcijański przestał wypełniać tę funkcję, narody północne w celu utrzymania należytego poziomu represji płci zmuszone są uciekać się do swego historycznego know-how – totalnej hipokryzji. Ciągły napływ agregatu „M5” – Apollo będzie przeschęśliwy...

– Rama, obudź się!



Długi wywód o kobietach i termitach w żaden sposób nie pozwalał mi się obudzić, jak gdyby przykleił mnie do grząskiego i głębokiego snu, z którego nie mogłem się otrząsnąć. Wreszcie mi się to udało.

I wtedy zrozumiałem, że spałem bardzo długo.

Świadczył o tym ołowiany ciężar całego mojego ciała. Coś takiego zdarzało mi się tylko po kilku dobach w hamlecie. Sen nie pozostawił po sobie żadnych wspomnień, tylko zmęczenie. Czy nie był to aby rzeczony American Dream?

– Rama, obudzisz się wreszcie?

Z ogromnym wysiłkiem zmusiłem się, by otworzyć oczy i rzeczywiście zobaczyłem odwróconą Sophie, stojącą obok kanapy. Zdążyła się przebrać – teraz miała na sobie jedwabną zieloną piżamę, haftowaną w czarne smoki. Te smoki od razu mi się nie spodobały, przypomniały mi bowiem jej opowieść o szyi Apolla.

– Zaraz – wyszeptałem – zaczekaj... Już schodzę...

– Nie ruszaj się – powiedziała. – Wiś, tak będzie lepiej. Zabawimy się na pożegnanie.

– Jak? – zapytałem.

– Zawiążę ci oczy. Lubisz tak?

– Jeszcze nie wiem – odrzekłem. – Nigdy nikt mi ich nie zawiązywał. Albo nie rozwiązywał, teraz już niczego nie jestem pewien...

Oczy przesłoniła mi szeroka, chłodna zielona wstęga. Chyba pasek od pizamy Sophie.

– Gdzieś ty była? Tyle czasu...

– A co, długo, prawda? – spytała ze skrucą.

Teraz nic nie widziałem.

Poczułem, że jej palce rozpinają mi spodnie – i zdziwiłem się, że jestem w spodniach. Jeśli dobrze pamiętałem, nie wkładałem ich przed wejściem na poprzeczkę. A potem..

– Oj, tylko nie to – powiedziałem. – Proszę cię. Mam tego tak dosyć w pracy, że nawet sobie nie wyobrażasz.

– Może związać ci ręce? – spytała. – Mogę to

zrobić.

– Mówię poważnie – powiedziałem. – Co, nie rozumiesz, dlaczego? Chcesz pobyć Wielką Myszą?

– Jestem czymś więcej – odparła Sophie. – Jestem wielkim smokiem.

Pomyślałem, że pewnie jest zazdrosna o Herę. Nie obecną, ale dawną. Zresztą, kto by się połapał w kobiecych uczuciach? Sama kobieta rzadko je rozumie – przekonałem się o tym już dawno – kiedy po raz pierwszy ukąsiłem człowieka odmiennej płci...

Robiła to jednak absolutnie cudownie. Nawet sobie nie wyobrażałem, że to może być tak. Ale jakoś nie mogłem się rozluźnić i czerpać z tego przyjemności. Pomyślałem z niepokojem, że czekają mnie duże problemy z Isztar. Nie z powodu skoku w bok – takie rzeczy zdarzały się już wcześniej – tylko za porównywanie jej z Sophie w dziedzinie głównej specjalności podziemnej bogini. Nie mogłem tego nie zrobić, a porównanie

nie wypadło na korzyść Isztar. Ani trochę... A poza tym z pewnością nie uda mi się zataić, że nazwałem nasze stosunki „pracą”.

– Podoba ci się? – spytała Sophie.

– Bardzo – powiedziałem, powstrzymując się ostatkiem sił. – Ciekawe, gdzie się tak nauczyłaś? I kiedy?

– Zamknięte powieki – zadeklamowała śpiewnie Sophie. – Niebiosa, obłoki. Wody. Brody. Rzeki. Lata i epoki...<sup>[79]</sup>

Znowu cytuję, pomyślałem. Jak ja już mam dosyć tej ich międzykulturowej uprzejmości... Ale zaraz, kto to? Brodski? Zapomniałem wszystko, czego się uczyłem. Trzeba będzie odświeżyć wiadomości kulturalne...

– Który rosyjski poeta ci się najbardziej podoba? – spytała Sophie.

– Nabokov – powiedziałem.

Nie żebym go szczególnie lubił – po prostu byłem pewien, że człowiek z takim nazwiskiem rzeczywiście pisał wiersze: w trakcie szkolenia

zażywałem preparaty z jego mocno rozcieńczonym DNA i nawet pamiętałem parę linijek. „*My sister, do you still recall* jak Jelcyn walił mordą w głębę...”<sup>[80]</sup> Czy coś w tym guście. Przynajmniej nie dam plamy.

Sophie natychmiast zaczęła recytować nowy wiersz:

– „I pełen sił, w połowie drogi  
do szczęścia, z niczym pozostałem  
szarpnąłem się, zakołysałem  
na dziwnym wietrze. «Wpuść w swe  
progi» –  
krzyknąłem, widząc z przerażeniem,  
żem na ulicy, a nie w rajcu:  
dzieci z lubieżnym ożywieniem  
na mą buławę spoglądają”<sup>[81]</sup>.

Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że czynność, która obudziła we mnie tyle sprzecznych uczuć, ani na sekundę nie ustała.

Nie chciałem, żeby ustała, bo nikt nigdy nie robił mi tego w tak cudowny sposób. Upajałem się każdą sekundą, toteż zdolności analityczne mojego mózgu nieco osłabły.

Ale nawet w takim stanie zdołałem się połapać, że Sophie w żaden sposób nie mogła jednocześnie doprowadzać mnie do szaleństwa – i deklamować wierszy. I w tej samej chwili, kiedy ostatecznie to do mnie dotarło, działanie jej warg i języka stało się nieodwracalne.

Ale w samym centrum mojej ekstazy – trzeba dodać, że absolutnie nieziemskiej – już utworzyła się czarna gwiazdzista szczelina, która w kilka sekund zamieniła wszystko w ból. Ból i smutek.

To mistyfikacja, zrozumiałem. Oszustwo... Jakaś halucynacja albo sen...

– Sophie, przestań – poprosiłem cicho. – To boli.

I chociaż nazwałem ją „Sophie”, nie byłem już tego pewien. A ona ciągle recytowała ten potworny wiersz. Co więcej, z każdą sekundą jej

głos robił się niższy, jakby tuż obok mnie umierało elektryczne serce starego magnetofonu... Coraz niższy i niższy – aż w końcu w uszach zahuczał mi męski bas:

– „Wpuść mnie!» – Tłum gapiów  
koźlonogi

narastał ciągle. «Wpuść w swe progi,  
bo oszaleję!» – wyłem wściekle.

Drzwi – nic. Przy wszystkich, w progu sieni  
w męce rozlałem swe nasienie,  
pojmując nagle, żem jest w piekle”.

Przy ostatnim wersie głos stał się tak niski, że całkiem się zatrzymał – i umilkł. Wreszcie zostawiono mnie w spokoju.

– *Who the hell are you?* – wyszeptałem.

Odpowiedział mi równie cichy szept:

– *I'm batman.*

Sięgnąłem do twarzy, żeby zdjąć opaskę z oczu. Domyślałem się już, co zobaczę. Ale wcześniej

czekał mnie nowy szok.

Moja twarz zdążyła obrosnąć długą brodą. Nie szczeciną, ale właśnie brodą – takiej nie miałem jeszcze nigdy w życiu. Obmacałem ją i coś ostrego i twardego skrobnęło mnie w policzek. To były paznokcie. Moje własne paznokcie. Ryzykując, że wykluję sobie oko, wsunąłem palec pod opaskę i zerwałem ją z twarzy.

Spoglądały na mnie blisko osadzone oczy batmana Apolla. A na jego wargach, ocienionych siwą szczeciną, błąkał się uśmieszek, zadowolony, a zarazem pogardliwy.

– „Buława” to wasza nowa rakietka, tak? – zapytał. – Wieszcz, prawdziwy wieszcz... Teraz już takich poetów nie robią... Nieźle cię nabrałem, prawda?

Wisiałem na tej samej poprzeczce, co na początku audjencji. W tym samym miejscu, z którego patrzyłem na słoneczny salon z portretem Ayn Rand.

Tylko teraz wszystkie dekoracje zostały



usunięte.

Bez nich pomieszczenie przypominało pustą halę produkcyjną zakładów lotniczych. Był to ogromny pusty hangar o ścianach wyłożonych czarnymi dziurkowanymi panelami. Na biegnących pod sufitem szynach niby czerwony krab wisiał elektryczny wózek, z którego spuszczało się miękkie elastyczne chomąto, oplecione wiązkami kolorowych kabli.

W chomacie zwisało coś na kształt ogromnej czarnej żmii – o grubości nie występującej w przyrodzie. Pierścienie tej żmii kłębiły się nad pofalowaną siatką asekuracyjną i znikwały w najdalszej części sali, która była żywa – dysząca, pokryta zlepionymi kosmykami starej sierści.

Czarna żmija była szyją Apolla. Ale w żaden sposób nie mogłem oderwać oczu od jego twarzy.

Był dziwnie podobny do rzymskiego cesarza. Nie pamiętałem jednak, jakie imię nosił ten Rzymianin. A potem zrozumiałem, że mogło to nie

być zwykłe podobieństwo. Możliwe, że patrzyłem na tę samą głowę, którą uwieczniono w marmurze dwa tysiące lat temu. I ta głowa nadal żyła. Co więcej, nadal rządziła światem.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Wszystko w porządku – odparł Apollo. – Przeszedłeś się pożegnać.

– Pożegnać?

– No tak. Jedziesz do domu. I znowu jako kurier. Nie lubię zbyt wielu odwiedzających z waszego kraju. Dlatego musiałem cię na trochę zatrzymać.

– A... Sophie?

– Sophie będzie zajęta – powiedział Apollo z uśmiechem. – Chyba właśnie planuje, jak mnie obalić i ostatecznie wyzwolić ludzkość. Wszystko to są ważne sprawy i byłoby nierozsądnie zawracać jej głowę. Zwłaszcza że stale przyjeżdżają do niej młodzi współbojownicy z różnych stron świata, i byłoby niesprawiedliwością, gdyby poświęcała zbyt wiele czasu jakiemuś jednemu gościowi. Staralem

się ją zastąpić, jak mogłem... Ale jestem pewien, że waszej Isztar wyjdzie to lepiej. Dlatego byłoby niehumanitarne zatrzymywać cię w tym smutnym miejscu...

– Ja... Ja nie chciałem...

– A ja bardzo – powiedział Apollo i obliznął się. – Jeszcze się zobaczymy, obiecuję. Oczywiście, jeśli zechcesz, drogie dziecko...

Usłyszałem znajomy brzęczyk – ten sam, który przerwał naszą poprzednią rozmowę – i z twarzy imperatora natychmiast zniknął uśmiech.

Teraz zobaczyłem, skąd dochodzą te dźwięki.

Po wiszącym w pustce ażurowym mostku zbliżał się do Apolla człowiek w kamuflażu. Na jego piersi połyskiwał znaczek – mała złota maska na kłaczku białej wełny – a w ręku trzymał telefon o wojskowym wyglądzie: wielką i, sądząc ze wszystkiego, całkowicie niezawodną słuchawkę, przypominającą pierwsze telefony komórkowe z ubiegłego wieku. Właśnie z niej wydobywały się te alarmujące podwójne bucuki.

Apollo popatrzył na tę radiostację z niewysłowionym wstrętem. Tak wielkim, że ta, niczym żywe stworzenie, zakrzuszyła się i umilkła.

– Leć do domu. Powiedz swoim, że mi się spodobałeś. Zresztą, sami się domyślą, skoro wróciłeś. Kalendarz posyłam wam od razu na pięć lat. Bo coś za często zaczęliście do mnie przylatywać. Dostaniesz go przy samolocie. Spokojnie zawiązujcie sobie spiski i knujcie intrygi...

Imperator zaśmiał się upiornie – aż dreszcz przebiegł mi po plecach. Nagle na ludzkiej części jego szyi spostrzegłem znajomy tatuaż – serce z czarną gwiazdą. Było w nim coś dziwnego. Nie mogłem zrozumieć co, a potem do mnie dotarło.

Serce było odwrócone. Jego czubek wskazywał na ucho Apolla.

Może było tak dlatego, żeby gościom, wiszącym przed imperatorem do góry nogami, wydawało się, że z sercem jest wszystko w porządku i gwiazda spogląda w górę nie dwoma promieniami, tylko

jednym...

– Służ mi, Rama – powiedział Apollo. – Wracaj do świata. Zanurz się w gąszczu życia. Nasiąknij jego słonecznym sokiem. Zapomnij o piewcach bezruchu i śmierci. A ja będę cię uważnie obserwować. Pomogę ci z chłopca stać się mężczyzną. Ale by to osiągnąć, tak jak wszyscy inni, których przysyłają do mnie na sąd, musisz przejść próbę...

– Co, jeszcze jedną? – spytałem. – Może już wystarczy?

Imperator zmarszczył brwi.

– Być mężczyzną dla wampira nie oznacza hasania przed nagą Sophie. Mężczyzna to bohater. Chcę się przekonać, czy zasługujesz na moje zainteresowanie...

Jego utkwione we mnie oczy nagle zrobiły się fioletowe z wściekłości i kiedy zalała mnie fala prawdziwego przerażenia, od jego twarzy przeskoczyła ku mnie jasna liliowa iskra. Zadygotałem jak porażony prądem.

Zdawało mi się, że wyjęto ze mnie szkielet. Obwisłem bezsilnie na swojej żerdzi, a w samym środku głowy zapulsował mi cienki i bardzo nieprzyjemny ból.

Ból natychmiast ustąpił – ale wiedziałem, że stało się ze mną coś nieodwracalnego.

– Pozbawiam cię Odwiecznego Ciała, Ramo Drugi. Dopóty, dopóki nie dokonasz wielkiego czynu.

– Jakiego czynu? – spytałem oszołomiony.

– Jakiegokolwiek. Takiego, który będzie godny twojej przyjaźni z imperatorem. Przechodzi przez to każdy undead.

– Ale co konkretnie mam zrobić?

– Sam wymyśl.

– A skąd będę wiedział, że go dokonałem?

– Powróci do ciebie Odwieczne Ciało. To wszystko.

Tu radiostacja w ręku wojskowego znów zabrzęczała i płomyk w oczach imperatora zgasł.

Jego twarz odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni (teraz stało się jasne, dlaczego tak mnie zdumiał kunszt Sophie) i Apollo zapomniał o mnie, jeszcze zanim wojskowy podniósł do ucha aparat. Twarz imperatora zrobiła się stara i niezwykle zmęczona – a ja zdążyłem poczuć bardzo obraźliwą dla majestatu złośliwą satysfakcję.

Ale niczym się nie zdradziłem. A potem przed moją twarzą zjechała w dół ściana windy i z metalicznym kliknięciem połączyła się z podłogą.



Wydawnictwo Literackie

## CZYN

Na bezkresnym czarnym pokładzie wszystko było jak przedtem. Chaldeje ze złotymi znaczkami wciąż tak samo gorliwie odwracali ode mnie twarze – tylko teraz mnie nie witali, ale żegnali. Zapewne był to starożytny wschodni rytuał. Powinienem był zapytać Apolla, czy to nie on przypadkiem rządził Babilonem.. Chociaż byłby to chyba niegrzeczny przytyk do jego wieku.

Bez Odwiecznego Ciała nie będę mógł wejść do Hartlandu, myślałem. Nie zobaczę Hery. I już więcej... I już więcej po prostu nie będę sobą.

Czego ode mnie chce ten stary dziad czy baba? Żebym się roztrzaskał na dnie pierwszej przepaści? Albo żebym się bał nawet zbliżyć do jej krawędzi? A zresztą, nie ma co tego



komplikować. Może on albo ona rzeczywiście spodziewa się po mnie jakiegoś wielkiego czynu na miarę wampira.

Ale co to może być?

Popatrzyłem na morze. Dął wiatr, fale zwijały się w lekkie białe baranki, i przez kilka sekund rozkoszowałem się bezkresnym błękitno-białym przestworem – a potem po grzbiecie przebiegł mi dreszcz grozy. Zamajaczyło mi się – przy czym była chwila, kiedy zobaczyłem wszystko absolutnie wyraźnie – że ze wszystkich stron płyną do statku Apolla białe twarze-maski, takie same, jakie płynęły do łodzi Ozyrysa. Starannie chronią swój makijaż przez bryzgami wody i dokładnie tak samo nie mogą się nawet zbliżyć do czarowników, którzy namalowali ich twarze. I potulnie idą na dno. Tylko teraz wydawało mi się, że zmierzają ku statkowi ze wszystkich zakątków świata, zapełniając cały ocean, i kiedyś któraś z nich dopłynie...

Odpędziłem jednak dołujące myśli. To musi

umieć każdy wampir. Ten, który się tego nie nauczył, długo nie pociągnie.

Czekał na mnie ten sam Dassault, którym przyleciałem. Kiedy podszedłem do trapu, chaldej w czarnym kombinezonie skłonił się i odwracając oczy, podał mi żółtą kopertę z czarnym znakiem:



Byliśmy już gotowi do startu i gdy tylko usiadłem w fotelu, zaczął się rozbieg. Zdążyłem zobaczyć przez okno stojący na pokładzie szary wojskowy samolot z dwoma silnikami pod skrzydłami – podobny do tego, na którym prezydent Bush lądował na lotniskowcu po upadku Bagdadu. Samolot nie miał jednak żadnych znaków rozpoznawczych.

Wzbiliśmy się w górę i od razu weszliśmy w głęboki wiraż. Po minucie statek imperatora pojawił się w iluminatorze. Spróbowałem odczytać na burcie jego nazwę i po kilku

sekundach rozróżniłem cienkie białe litery:

## NEMO

Nazwa się zmieniła. Na widok czarnej łodzi ogarnął mnie lęk. Tak straszny, że coś przeskoczyło mi w głowie i przestałem ją widzieć. Całkowicie. Teraz w iluminatorach było tylko morze, pokryte jednostajnymi falami. Nie odczułem jednak z powodu tej transformacji żadnego szoku – tylko wielką ulgę.

Na szczęście w samolocie był prysznic i wszystko, co niezbędne. I czyste ubranie – duplikat garnituru, w którym przyleciałem. Przede wszystkim jednak obciąłem ohydne, zawijające się paznokcie u rąk, które bardzo utrudniały wykonywanie wszelkich czynności. Goląc brodę, zaciąłem się – nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z tak długim zarostem.

Steward w niebieskim chitonie i lekkiej złotej masce już nie odwracał ode mnie twarzy, z czego byłem bardzo zadowolony.

– Ile czasu spędziłem na statku? – zapytałem.

– Ja nie wiem – odparł.

Zrozumiałem, że mógł to być już całkiem inny steward.

– Co teraz jest – lato, jesień?

– Zima – odrzekł steward.

– Którego roku?

– Cztery tysiące trzysta dziewięćdziesiątego szóstego.

– Żarty sobie robisz? – spytałem ze złością.

– Od założenia Babilonu – powiedział, gnąc się w lekliwym ukłonie.

Zrobiło mi się głupio. Steward był wyszkolony do obsługiwania wampirycznej elity i skoro tak powiedział, to znaczy, że była to oficjalna rachuba czasu w sferach undead. Otaczał mnie personel wspaniale spełniający swoje obowiązki. To ja tu nie pasowałem.

– No tak, tak – mruknąłem. – Dzięki, stary. Dobrze pamiętasz.

Chaldej wręczył mi flakon w kształcie dwugłowej myszy.

– Wzywa Moskwa.

Wyciągnąłem korek i wytrząsałem zawartość flakonu do ust. Jak zawsze, była w nim tylko jedna kropla.

Steward cofnął się tyłem, otworzył drzwi dla personelu zręcznym pchnięciem zadka i zniknął w kabinie pilotów, jakby w obawie, że przypadkiem usłyszy, o czym będę rozmawiać z pustką.

Ukazał mi się Enlil Maratowicz w czarnym dresie. Wisiał w swoim hamlecie. Nie wiedziałem, czy mnie widzi, czy nie – a nie chciałem go zagadnąć pierwszy. Kilka minut upłynęło w ciszy. A potem Enlil Maratowicz otworzył oczy.

– Rama! Co słyhać?

– To, co widać – odparłem ponuro.

– Aha – powiedział. – Wiedziałem, że wszystko będzie dobrze. Wybacz, że cię nie uprzedziłem, że

mogą być... opóźnienia i komplikacje. Sam rozumiesz...

– Rozumiem – odparłem. – Jakże bym miał nie rozumieć. Teraz muszę dokonać jakiegoś czynu. Co to ma być? I po co?

Enlil Maratowicz rozłożył ręce.

– Batman ma swoje dziwactwa – powiedział. – Tu nikt ci nie pomoże. Musisz sam wymyślić.

– A pan go dokonał?

– Dokonałem. Tylko nie pytaj, jak.

– Dlaczego?

– Nie możesz tego powtórzyć za mną czy kimś innym. Gdybym ci opowiedział o swoich doświadczeniach, tylko bym ci przeszkodził. To zadanie trzeba rozwiązać samodzielnie. Musi się w tobie przebudzić duch wampira.

– Ale jak?

– Mogę ci tylko coś podsunąć – odrzekł Enlil Maratowicz. – Pozbawiono cię Odwiecznego Ciała. Musisz sobie stworzyć taką sytuację, żeby

stało ci się ono bardzo potrzebne. Ale na twoim miejscu nie próbowałbym skakać z dachu. To może nie podziałać. Tu trzeba czegoś innego...

– Czego konkretnie?

– Musisz postąpić najszczerzej, jak potrafisz. Wyrzucić cały ból swojego serca i całą jego pasję. A poza tym... Musisz przewidzieć zagrożenie i okazać siłę ducha. To może być niebezpieczne.

– Jak bardzo?

– No, bez przesady. W końcu jesteśmy wampirami, a nie kamikaze.

– Mógłby pan mówić jaśniej?

Enlil Maratowicz zerknął gdzieś w bok.

– Nie wolno – powiedział. – Myśl.

– Przypuszcza pan, że Apollo nas słucha?

– Raczej nie. Ale zawsze należy brać pod uwagę taką możliwość...

Enlil Maratowicz uświadomił sobie chyba, że wygląda niezbyt poważnie, i odchrząknął.

– No nic, trzymaj się. Wszyscy przez to przeszli.

To znaczy ci, którzy wrócili.

– A co, byli tacy, którzy nie wrócili?

– Dlaczego „byli”? – zdziwił się Enlil Maratowicz. – Teraz też są. W pewnym sensie. Statek jest wielki, sam widziałeś... Ale nie bój się, Rama. Dasz sobie radę. Tylko tego nie przeciągaj. Jesteś mi potrzebny na dole. Isztar znów wzywa nas obu na dywanik.

Tylko westchnąłem.

– No dobra, dość już o tym – rzekł Enlil Maratowicz. – Dali ci kopertę?

– Dali – powiedziałem.

– Otwórz.

– Teraz?

Enlil Maratowicz przytaknął.

Wziąłem żółtą kopertę, ostrożnie, żeby nie uszkodzić zawartości, oderwałem brzeg – i wyjąłem ze środka jeszcze jedną kopertę, mniejszą. Była gęsto pokryta niezrozumiałymi czarnymi zawijasami – mniej więcej takimi, jak na



kartach do bankomatu.

– Tę też.

Wstrzymałem oddech, szykując się na to, że za chwilę w mój mózg wedrze się przyszłość, rozerwałem drugą kopertę i wyjąłem złożoną na pół kartkę.

– Rozłóż.

Kartka była zapisana pismem klinowym. Jeśli w tych wydłużonych wąskich trójkątach, wyglądających jak zwrócone ku sobie groty strzał, krył się jakiś sens, to dla mnie był on niedostępny.

– Nic nie rozumiem – powiedziałem.

– Za to ja rozumiem – odparł Enlil Maratowicz.

– W jakim to jest języku? – spytałem.

– Górnorosyjskim. Miejscami po angielsku. Po prostu jest to zapisane naszym wewnętrznym szyfrem. Żeby przypadkowi ludzie tego nie odczytali... Słyszałeś o multikulturalizmie? No więc to jest właśnie to...

Przypomniałem sobie opowieść Draculi

o człowieku ranionym strzałą. Dracula miał rację – jaką tam strzałą? Raczej tysiącem strzał. I oto ja sam wiozę je do domu. Całą chmarę strzał...

– Dobrze – powiedział Enlil Maratowicz. – Przysłali od razu na pięć lat. Teraz to i owo się wyjaśnia...

Sądząc z jego wesołej miny, pismo nie zawierało nic szczególnie strasznego. Albo wręcz przeciwnie, pomyślałem nagle.

– Co tam jest? – spytałem.

– Nie wszystkie szczegóły zrozumiałem... Wybory ze świnia... Co oni chcą przez to powiedzieć? Przykra niespodzianka? Niezbyt sympatyczny kandydat? Czy to może w sensie – wysadzić świnkę?

– Co-co?

– Po prostu głośno myślę – mruknął Enlil Maratowicz. – Sam przecież wiesz, jakie to wszystko trudne. No nic, damy radę. W ostateczności zamówimy sztukę. Mamy już doświadczenie.

– A tak ogólnie? – spytałem. – Jakie perspektywy?

– Bardzo krzepiące. Wiatr historii, Rama, dmie w nasze żagle.

– W jakim sensie?

– Dosłownym – rzekł Enlil Maratowicz. – Wiem, co ci mówił Apollo. O tej ich rewolucji częstotliwościowej. Że niby tak jest bardziej humanitarnie i więcej bablosu. Bablosu więcej, nie przeczę. Na razie... Ale humanitaryzm.. Trzeba ci wiedzieć, że nasi partnerzy już nie pierwsze stulecie kruszą Tarczę Ojczyzny – i wciąż przy akompaniamencie tej pieśni. A co oni tam mają takiego humanitarnego, pytam? Co, człowiekowi tam żyje się lepiej? Zasuwa na trzech posadach, wieczorem bzyknie w dupę sąsiada i lulu. I śni mu się American Dream. I chcą coś takiego wprowadzić u nas. Ale nic z tego. Nie złamią Tarczy Ojczyzny. Oczywiście pod warunkiem – przeciągle popatrzył mi w oczy – że nie pomoże im jakiś Judasz z zewnątrz. Więc myśl, Rama, myśl –

z kim jesteś i jak...

– Nie mam teraz do tego głowy – powiedziałem cicho.

– A bablosem się nie martw – jakby nie słysząc, ciągnął Enlil Maratowicz. – Tutaj szykuje się taki przełom kulturowy, że wysuniemy się w udoju na pierwsze miejsce. Wyprzedzimy Chiny i Amerykę. Wszystkich będzie aż skręcać. Szczegóły, jak się spotkamy... Tylko nie zwlekaj z tym czynem, dobra?

– Uhm – mruknąłem. – A jak tam protest? Zorganizowaliście?

Enlil Maratowicz wyraźnie sposepniał.

– Już dawno mamy go za sobą – odparł. – Teraz walczymy z korupcją. Wyobraź sobie, że Chaldeje przejebali wszystkie fundusze. Wszystkie, jakie mogli. Do dziś nie mogę uwierzyć, że coś takiego w ogóle jest możliwe. W tym kraju nawet koniec świata przesrają. Ani trochę bym się nie zdziwił. Lecisz teraz do Moskwy?

– Do Moskwy – przytaknąłem.

– Gdybyś przypadkiem trafił na komisariat, niczego im nie tłumacz. Po prostu ukąś jakiegoś starszego psa. Zwyczajnie, zębami w szyję. Albo w co innego. Tylko uważaj, żeby to był co najmniej pułkownik. To jest teraz dla Chaldejów wewnętrzny kod rozpoznawczy. Jeżeli zamkną któregoś z naszych. Żeby nie musiał siedzieć z innymi na dołku.

Ogarnął mnie niepokój.

– Co się tam dzieje? Nie czytałem wiadomości od Licho wie kiedy!

– Normalka – powiedział Enlil Maratowicz. – Wszystko pod kontrolą. Psy szczekają, karawana idzie dalej.

Umilkliśmy na dłuższą chwilę. A potem, zupełnie nieoczekiwanie dla samego siebie, zapytałem:

– Proszę mi powiedzieć, kim tak naprawdę jest Sophie?

Enlil Maratowicz uśmiechnął się smutnie.

– To Apollo, Rama.

Wiedziałem, że to usłyszę. A jednak te słowa brzytwą chlasnęły mnie po sercu.

– Sam Apollo? Jakby w masce?

– Można i tak powiedzieć – odparł Enlil Maratowicz. – Ale to uproszczenie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Sophie to śpiący Apollo. Ona jest jego snem.

– A co to za różnica?

– Bardzo duża. Kiedy Apollo staje się Sophie, nie pamięta, że jest Apollem. On albo ona myśli, że jest Sophie. To tak jak z Isztar. Kiedy staje się Herą, rzeczywiście nią jest.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– To są sprawy między tobą a Batmanem, Rama. Nikt nie śmie się w to wtrącać. Jeśli chodzi o Batmana, wampir odpowiada za każde swoje słowo i każdą myśl. Kto by sam szukał problemów?

– Ale skoro Apollo naprawdę jest Sophie, to

dlatego ona walczy o wyzwolenie ludzkości? I to jeszcze z takim szczerym zapałem? Dlaczego nienawidzi samego Apolla?

– Żeby to zrozumieć, potrzebna jest mądrość – odparł Enlil Maratowicz. – Jeżeli w budowlu Empire V pojawi się szczelina, Apollo dowie się o tym pierwszy. Ponieważ sam ją znajdzie. Jest naprawdę wielkim imperatorem.

– To znaczy, że Sophie od samego początku mnie oszukiwała?

– Nie, Rama. Sophie jest właśnie tym, czym ci się wydaje. Ma czyste serce. Chce wyzwolić ludzi. Ale nic jej z tego nie wychodzi, dlatego ciągle płacze. To, co udaje się jej znaleźć – to zawsze kolejna ślepa uliczka. I tak właśnie powinno być. Nasz Empire stoi na pewnym i niezachwianym fundamencie. Ale jeśli Sophie znajdzie drogę do wolności, którą zdołają pójść nie jednostki, zdolne zrozumieć Draculę i Ozyrysa – ale miliony, to... Będzie się musiała obudzić. I przypomnieć sobie, kim jest. A dalej będą działać już zupełnie inne

siły.

– Czy ona się nie domyśla, że tak naprawdę jest Apollem?

– Nie. Wie o perfidii batmana wszyściuteńko – oprócz najważniejszego. Że to ona jest batmanem. Sophie nie wie, kim jest. Ale przecież my też tego o sobie nie wiemy... Jeśli pamiętasz, tego nie wie nawet sam Wielki Wampir. To są sprawy boskie, Rama. Nie próbuj tego zrozumieć. Po prostu z pokorą to przyjmij.

– A więc ja przez cały ten czas... Z batmanem?

Enlil Maratowicz parsknął śmiechem.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Na ten przykład pół Japonii onanizuje się, oglądając hentai<sup>[82]</sup>. No to z kim ci ludzie, że tak powiem, grzeszą? Z hentai? Z tłustym łysym facetem, który te hentai rysuje? Czy z tym, kto rysuje tego tłustego łysego faceta i nas samych?

– Rozumiem – powiedziałem z westchnieniem.

– Ozyrys dobrze ci radził – ciągnął Enlil Maratowicz. – Jeśli chcesz mieć szczęście



w miłości, nigdy o tym nie myśl. I ani się obejrzysz, kiedy znów się spotkasz ze swoją Sophie...

– Można ją spotkać w naszym świecie?

Enlil Maratowicz przecząco pokręcił głową.

– Tylko w limbo.

– Ale przecież w zamku Draculi... Ona tam była, prawda?

Enlil Maratowicz tylko się uśmiechnął.

– A ja... Ja tam byłem?

– Oczywiście. Tylko że nie wstawiałeś przy tym z trumny. Nadal myślisz, że dokądś cię zawieziono w czarnej skrzyni, a później w tej samej skrzyni przywieziono cię z powrotem? W ogóle nigdzie nie wyjeżdżałeś. Po prostu pomogli ci zasnąć mocniej niż zwykle. Żeby zostać undead, trzeba na jakiś czas umrzeć. Po to właśnie jest trumna. Nie jesteśmy estetami, Rama, tylko pragmatykami. Wszystkie wtajemniczenia, dotyczące limbo, otrzymuje się tylko w limbo. Ten zamek to sen szkoleniowy, który śnią wszyscy undead.

Łzy nabiegły mi do oczu.

– Sophie była pierwszą osobą, jaką tam spotkałem – szepnąłem.

– Apollo wszystkich nowych undead wita osobiście. Jest nie tylko władcą limbo, ale jego strażnikiem.

– No to kto powitał teletubisiów?

– Też batman – powiedział Enlil Maratowicz. – Myślę, że mają podobne wspomnienia. Oczywiście z wyjątkiem pewnych niuansów.

– A komar z DNA Draculi? Skąd go przywiozłem?

– Sophie już ci mówiła, że to jest komar z limbo. Ona zawsze mówi prawdę, Rama. Skąd się bierze ten komar, nikt nie wie.

– Ale po co batman miałby udawać Sophie?

Enlil Maratowicz uśmiechnął się smutnie.

– Pewnie po to, żeby było go za co kochać – powiedział.

– A gdzie ja teraz tak naprawdę jestem? Tam czy

tu?

– Nie wiem.

– Jak to pan nie wie?

– Tak samo jak ty – powiedział Enlil Maratowicz. – Nikt z nas tego nie wie. Mnie samego czasem korci, żeby dać sobie w żyłę. A myślę, że i batmana też. Tak to jest z undead.

– Ale wobec tego jak żyć? Kiedy się nie wie, gdzie to wszystko naprawdę jest? I co to w ogóle jest?

– Jak, jak – uśmiechnął się Enlil Maratowicz. – Kuj żelazo, póki się nie obudziłeś.

I jego twarz zgasła.

Następne dwie godziny poświęciłem na przejrzanie nieczytanych przez wiele miesięcy wiadomości, w których czasem rozpoznawałem jakieś wtłoczone w real chaldejskie szkice. I było to tak śmieszne, że zrobiło mi się trochę lżej na sercu.

Przypomniałem sobie słowa Apolla, że suma wszystkich wiadomości świadczy o niestałości

świata. Efektownie powiedziane, ale świadczy ona raczej o tym, że na świecie nic się nie zmienia. Nic i nigdy. Po prostu ta niezmienność cały czas jest tak zamaskowana, by udawała zmiany. Wyobraziłem sobie na chwilę, jak mógłby wyglądać coroczny sumaryczny news.

...prezentacja waginy 20XX

Jakaż jest ta nowa wagina, która wchłonęła w siebie rytm epoki i światowe twitter-trendy?

Cały świat w tych chwilach patrzy na ekrany ze strachem i nadzieją...

...Oto...

#juzbylopodsloncem

Można by pomyśleć, chłop@ki, że nie wiedzieliśmy tego bez waszych hashtagów. Wiedzieliśmy już trzy tysiące lat temu. Ech...

W tym strumieniu informacji trafiały się jednak

także interesujące zbliżenia, które skłoniły mnie do refleksji nad tym, jak bardzo forma ludzkiej modlitwy związana jest z odpowiedzią otrzymywaną od Bóstwa. Oto trzy dziewczyny w kominiarkach zwróciły się do Dziewicy Marii z nietradycyjną modlitwą – i objawiło im się nietradycyjne widzenie: czołgająca się po scenie Madonna z napisem „Pussy Riot” na plecach... Jak niewielki wpływ ma obecnie Bogurodzica na ludzki umysł. Nie zdołała nawet ocalić tych biedulek przed więzieniem.

Nie wszystko jednak było tak ponure. Obeszło się bez końca Świety. A może w tym zamęcie po prostu go nie zauważono.

Nagle uświadomiłem sobie z przerażeniem, że długa utrata świadomości na statku imperatora pozostawiła we mnie pewne ślady. Zdaje się, że nie było to po prostu wiszenie w ładowni. Dowiedziałem się wielu nowych rzeczy, przy czym nie zdawałem sobie sprawy, że je wiem – jak to się przydarza wampirom przy szkoleniu za pomocą preparatów z DNA.

Na przykład, rozmyślając o końcu świata, przypomniałem sobie niewyraźnie, że apokalipsa już była – gdzieś na styku starożytności i wieków średnich – i przesłania ją owa pomroka dziejów, o której mówi tylu historyków. Ale było to wydarzenie takiej natury, że objęło nie tylko „państwowość i cywilizację” zamieszkujących ziemię narodów, ale samą materialność świata widzialnego, toteż rzeczywiście nie pozostały po nim żadne ślady, i władcy odrodzonej ludzkości byli zmuszeni przykryć tę dziurę swoistą łata informacyjną – fragmentem historii, podrobionym na chybcika później.

Wcześniej tak dokładnie o tym nie wiedziałem.

Natomiast historia współczesna w postaci wczorajszych newsów budziła we mnie tylko złośliwą satysfakcję. Cały czas przypomiąłem sobie zwolenników teorii spiskowych: oto jakaś tajna grupa intrygantów lekkimi muśnięciami palców kieruje biegiem historii powszechnej, historia posłusznie skręca gdzie trzeba, a jej architekci przez setki lat pozostają w cieniu... No,

no. Gdyby tak wiedzieli...

Sorry, ale tu zadziałały siły znacznie potężniejsze niż ludzie. Ludzie – i to ci najlepsi – też mają w tym swój udział. I oto duża grupa profesjonalistów, którym podlegają wszyscy, wszyscy bez żadnego wyjątku, próbuje coś zrobić według nakreślonego wcześniej planu, mając przy tym nieograniczone środki – a piła i tak nie idzie tam, gdzie trzeba.

Chętnie wyciągałbym tych spiskowych teoretyków o piątej rano prosto z łóżka, jeszcze ciepłych od snu, i wywoził na jakąś zardzewiałą podmoskiewską bazę samochodową. I kazałbym im tańczyć tango z wywrotką, w której za kierownicą siedzi najarany pijany tadżyk, który każdym swoim oddechem przynosi hańbę szariatowi i całej islamskiej wspólnoty. A potem stawiałbym ich pod ceglana ścianą i pytał: no co, skończeni idioci, zrozumieliście już, co to znaczy kierować tym światem?

Chociaż zahukani chaldeje wyliczyli wszystko

mniej więcej trafnie – nie bez powodu Enlil Maratowicz porucił im w pierwszej kolejności właśnie to. Kolejny raz doceniłem mądrość starego wampira. Istotne jest przecież nie to, co się wydarzy w kulminacyjnym momencie procesu. To wszystko przemknie i zniknie, pozostawiając tylko parę przykurzonych filmików na Youtubie. Ważne jest tylko to, co pozostanie, kiedy wszystko się uspokoi i przycichnie. Jak wysokie okaże się łóżko, kiedy materac przestanie się huśtać. Jeśli się nie mylę, w matematyce nazywa się to składową swobodną i wymuszoną. Tylko że życie to nie matematyka – i za składową swobodną, która trwa pięć minut, trzeba zapłacić składową wymuszoną, która się ciągnie długie lata.

Tak oto, myślałem, patrząc na daleką soczewkę oceanu, powoli nabiera się doświadczenia. Ale jedno doświadczenie to dziś za mało. *Reinvent yourself or die*<sup>[83]</sup>. Jeśli chcesz być wampirem – ucz się równań różniczkowych... Będę musiał ukąsić jakiegoś matematyka i na serio zgłębić ten temat. I kiedyś zatańczę przed Wielką Myszą



i zamówię głowę Perelmana<sup>[84]</sup> na tacy.

Ale teraz musiałem myśleć o czym innym. Musiałem się przygotować do wielkiego czynu – i już prawie wiedziałem, co mam robić. Oczywiście spóźniłem się na pokłonne błoto<sup>[85]</sup> – ale w mojej duszy dojrzał już własny gest. Głęboko intymny i osobisty. Tylko on mógł mi pomóc.

Wezwałem stewarda i poprosiłem o papier i ołówek. Przyniósł je z kabiny i zamarł w oczekiwaniu.

– Czy możemy gdzieś wylądować?

– W Barcelonie.

– Świetnie. No więc tak. Potrzebny mi specjalista od tatuażu. Najlepszy. Tutaj, na pokładzie. Nie chcę iść do miasta. I trzeba jeszcze to i owo kupić i przygotować, dam ci listę... To bardzo proste. Czarny T-shirt XXL. Biały nadruk na piersi – powiem, co ma być napisane. Czarna kominiarka z rogiem na czole, to najtrudniejsze. Agraftki... Zamówimy od razu z powietrza, żeby nie

czekać.

Tatuażysta okazał się czarnym chudym mężczyzną z kędzierzawą bródką, w różowej włóczkowej czapce à la Bob Marley. Miał ze sobą aluminiową walizeczkę o obłych kształtach, podobną do tych, w jakich bohaterowie Hollywood przewożą przez mózg widza wielką kasę, a suwerenne wampiry dostarczają bablos batmanowi Apollo. On sam nie miał na ciele ani jednego tatuażu. Zresztą skórę miał tak ciemną, że musiałby się chyba tatuować na biało.

Wziął kartkę z moim szkicem i przez jakiś czas studiował ją z powątpiewaniem.

– Trzeba to zrobić pod pępkiem – zacząłem wyjaśniać po hiszpańsku. – Dwa nietoperze. Przy czym jeden powinien być płci żeńskiej, a drugi męskiej. Trzymają... No, taką wstęgę, coś jak rozwinięty transparent. A na transparencie ten napis...

– DON'T SUCK MY DICK – przeczytał

tatażysta powoli, jakby ważył każdą literę. – Why?

Domyśliłem się, że zna hiszpański jeszcze gorzej niż ja. Zrozumienie motywów klienta mogło go jakoś zainspirować, ale nie chciałem się zapuszczać w zbyt szczegółowe wyjaśnienia.

– *Because „don't suck my dick” is much more offensive than „suck my dick”*<sup>[86]</sup> – powiedziałem.

Wyjaśnienie chyba go usatysfakcjonowało. Kiwnął głową i otworzył swoją walizczkę.

Po dwóch godzinach tatuaż był gotowy – i wyglądał tak... Właśnie *offensive*, że trudno było sobie wyobrazić kogoś, kto nie usłuchałby tej przyjacielskiej prośby. Powiedziałbym nawet, że łatwo się tu było dopatrzeć *hate crime* – próby obrażenia całego wampirzego rodu. Ale to mógł być przejaw skażenia świadomości teorią spiskową, o której dopiero co myślałem z takim sarkazmem.

Z drugim zamówieniem poszło trochę gorzej.

Czarna kominiarka z naszytym na czole rogiem niezbyt się udała – róg najwyraźniej robiono w pośpiechu i był za słabo nabity. Kiedy włożyłem maskę na głowę, bezsilnie obwisł. Ale w momencie, kiedy zauważyłem ten defekt, byliśmy już w powietrzu i postanowiłem nie zawracać samolotu.

Za to czarna koszulka z białym nadrukiem wyszła wspaniale.

## OCCUPY PUSSY

Tak. Nie inaczej.

A jednak nie na próżno przez tyle lat studiowałem sztuki wampiryczne, myślałem. Oto wzorcowy homonim informacyjny.

Z jednej strony – największa koncentracja wszystkiego, co postępowe i jasne, jaką można osiągnąć metodami lingwistycznymi. Ileż rewolucyjności i jakież power zawiera owo motto międzynarodowego kreatywnego protestu, ileż przestrzeni dla medialnego zgiełku – a przecież to

zaledwie dwa słowa, stare jak świat i świeże jak wiosenny wietrzyk nad targiem rybnym.

Z drugiej strony – głęboko osobiste, rzekłbym, najskrytsze wołanie, dobrze ukryte pod lustrami znaczeń, powierzchownych, ale zrozumiałych dla epoki.

Koszulka miała długie rękawy. Najpierw chciałem je obciąć nożyczkami, a potem przyszło mi do głowy, że jest to jedna z tych subtelnych wskazówek losu, potwierdzających, że twoje serce bije unisono z sercem epoki – i podpowiadających zarazem, jak jeszcze dokładniej wyrównać rytm.

Przed kabiną pilotów leżała w salonie czarna kotara. Była złożona i pomyślałem, że nikt nie zauważy jej braku.

Resztę lotu poświęciłem na to, by pociąć ją na długie czarne paski i przypiąć je do rękawów małymi agrafkami, których dostarczono całe pudełko – w czym dostrzegłem jeszcze palec losu.

Kiedy już schodziliśmy do lądowania w Moskwie, przymierzyłem gotowy strój –

i machnąłem rękami przed wbudowanym w ścianę lustrem. Daję słowo: przez moment miałem wrażenie, że moje ręce zamieniły się w czarne skrzydła bez żadnego skoku w przepaść. Kostium świetnie się nadawał na Halloween – oczywiście, jeśli nie liczyć napisu na piersi: jak na burżuazyjny dyskurs był zbyt radykalny. I wszystko to zrobiłem sam, z tego, co było pod ręką, w jakieś parę godzin. Mogłem być z siebie dumny.

Mimo to jednak, wysiadając z samolotu, na wszelki wypadek narzuciłem na ramiona czarną marynarkę.

Padał rzadki śnieżek. Tuż obok trapu czekało auto z Grigorijem. Grigorij był bledszy niż zwykle i pomyślałem, że znów chałturzy na dwóch posadach i oddaje czerwoną ciecz. Ale potem zaleciał mnie znajomy zapach przetrawionego alkoholu i uspokoilem się.

- Dokąd jedziemy, cesarze? Do domu, na daczę? Pokręciłem przecząco głową.
- Zawieź mnie na bulwar Twerski. Przejdę się

trochę.

Szlaban, jeszcze jeden szlaban. Wąska betonowa droga kilka razy skręciła w lesie, wpadła w śnieżno-szarą asfaltową rzekę i wszystkie przywileje i różnice kastowe zniknęły bez śladu.

Jeszcze nie dotarliśmy do Moskwy, a cała szosa już stała w korku i nie było ucieczki z tych sinych oparów benzyny z czerwonymi plamami świateł stopu.

Grigorij zachowywał się tak, jakbym nigdzie nie przepadł i jakby ostatni raz widział mnie wczoraj. Chociaż jakiegokolwiek inne zachowanie wobec wampira byłoby obraźliwe. Okazywanie ciekawości było wręcz niebezpieczne i chyba zdawał sobie z tego sprawę.

Jak zawsze w długim korku, Grigorij postanowił popracować nad moim zbawieniem – wiedział, że zazwyczaj poprawia mi tym humor i daje dobre napiwki. Zapatrzyłem się w okno i przegapiłem moment, kiedy zaczął mówić – sens jego słów jał

docierać do mnie stopniowo, przeciskając się między dobiegającymi zza szyby przytłumionymi dźwiękami klaksonów. Najpierw zdawało mi się, że to beczy radio, które włączył mimo mojego zakazu. Potem zrozumiałem, że to jego własny głos.

– I to nieprawda, cesarze, że ludzkość nie wie o wampirach. Domyśla się. Wszystkich ludzi nie da się cały czas oszukiwać. Naród może i nie ma dokładnej informacji, ale ma wizje na poziomie emocjonalnym. Od wielu wieków ludzi nawiedzają niewyraźne myśli o niewidzialnych bezlitosnych władcach, żywiących się ludzkimi duszami. Niech pan sobie przypomni „Boga – pożeracza ludzi” z ewangelii gnostycznych. Takich przykładów jest bez liku. Wszelako ludzie zawsze wierzyli, że zło nie może triumfować bez końca – i rzeczywistość bożego świata wcale nie jest taka czarna...

Pochyliłem się do przodu i cicho kłapnąłem zębami przy jego szyi. Grigorij westchnął pokornie. Na sekundę przymknąłem oczy



i postanowiłem wyjaśnić mu wszystko raz na zawsze.

– No więc posłuchaj, Grisza. W tej chwili swędzą cię plecy, ciśnie cię lewy but. Z prawej strony pod żebrami coś cię boli i boisz się, że to rak wątroby. Nie lubisz wozić wampirów po Moskwie. Ale w twojej Mołdawii jest taka chujnia, zwłaszcza w kwestii teologii, że możliwości innej roboty po prostu nie masz. A twoje dzieciaki w Kiszyniowie codziennie surfują po iPadzie, żeby jak najszybciej poznać jakichś pedofilów, nauczyć się wytwarzać narkotyki i nabrać skłonności samobójczych. Czyli, krótko mówiąc, jest ci chujowo.

– Tak – zgodził się Grigorij. – Zdaję sobie z tego sprawę.

– Nie rozumiesz czegoś innego, Grisza. Myślisz, że jest ci chujowo tylko chwilowo. Z powodu zakłóceń w bożym planie. A to jest właśnie boży plan w odniesieniu do ciebie – żeby było ci chujowo.

– Dlaczego?

– Dlatego, że boży plan to jedyny plan, według którego wszystko się dzieje. I my, wampiry, jesteśmy w tym planie jakby żarnami. A wy, ludzie – ziarnem. Cała reszta to ludzkie domysły. Powiedz jeszcze raz, jest ci chujowo?

– Chujowo – potwierdził Grigorij. – Ale...

– Z tym swoim „ale” nie rozumiesz najważniejszego. Że jesteś potrzebny przyrodzie i kosmosowi właśnie do wytwarzania tego „chujowo”. Bo gdybyś był potrzebny do czegoś innego, działałoby się z tobą też coś innego. Rozumiesz? Chujowo jest nie tylko tobie jednemu, Grigorij, ale wszystkim ludziom. Pewnie za młodu w Kiszyniowie pędziłeś bimber? No więc wyobraź sobie, że wszyscy jesteśmy śrubkami planetarnej bimbrowni. W której pędzi się powszechną frustrację i bablos. A wszystkie ludzkie marzenia, nadzieje i plany to zacier, z którego się je pędzi. Tak było zawsze – i zawsze tak będzie.

– Tak – szepnął Grigorij – wróg jest potężny.

– Ale zapewniam cię, że wampirom jest jeszcze bardziej chujowo. Bo my nie mamy ostatniego schronienia, które ma każdy człowiek. Który może popaść w słoneczny idiotyzm. Zaangażować się w protest społeczny. Uwierzyć w Boga. Zająć się jogą. Albo pisać wiersze o językach do dziecięcych stron internetowych. Dla nas to jest technicznie niemożliwe. Bo tam, gdzie wy macie w głowie ten awaryjny otwór spustowy, my mamy tylko chłodne i bezlitosne zrozumienie prawdy.

– Ale za to wisicie głową w dół, żeby zapomnieć o pomście – wymamrotał Grigorij.

– To i o tym wiesz?

– Wiem – odparł. – Ozyrys mi pokazywał. A raczej nie pokazywał, tylko po prostu się przy mnie nie krępował.

– Mówił ci, że w taki sposób ukrywa się przed pomstą?

– Nie – powiedział Grigorij. – Sam potrafię to zrozumieć.

Przez kilka sekund milczałem zaskoczony. Tak mroczna interpretacja tego, co się dzieje w hamlecie, nawet nie przyszła mi do głowy. I jeśli uznać za pomstę codzienny strumień czarnych myśli, obmywających głowę wampira, Grigorij miał absolutną rację. Ten strumień czarnych myśli jak najbardziej można nazwać pomstą, jak najbardziej...

Grigorij nawet bez ukąszenia zrozumiał, że jego słowa trafiły w cel. Odkasznął.

– A jest mi chujowo nie dlatego – powiedział cienkim świętoszkowatym tonem, jakby zaczynając nie wprost – że Pan to dla mnie obmyślił. Pan... Jak gdyby nam wszystkim wyznaczył spotkanie. Ale nie w klubie „Odsysanie”, tylko w duchu i prawdzie. I jeśli przychodzimy, On na nas czeka. To właśnie jest Jego plan. Tylko że w tym planie nie jesteśmy trybikami, ale równoprawnymi uczestnikami. Możemy przyjść, a możemy też nie przyjść. I kiedy nie przychodzimy, jest nam chujowo. Bo czujemy, że zblądziliśmy. Wiemy, że dusza włóczy się nie tam, gdzie czeka na nią Pan.

Ja zbłądziłem, cesarze. I jest mi chujowo, nie z powodu bożego planu, ale z powodu grzechów moich wielkich.

– Jakież ty możesz mieć grzechy, Grigorij? – zdziwiłem się. – Jesteś przecież profesorem teologii. Utrzymujesz rodzinę.

– A z czego? Jestem woźnicą u krwiopijcy. Właśnie za to Pan się ode mnie odwrócił...

– Piękne dzięki – burknąłem. – To znaczy, że jest ci chujowo przeze mnie, tak?

– Jest pan przecież wampirem – odparł Grigorij. – Czemu się tu dziwić?

– No to wyjaśnij mi – powiedziałem. – Skoro to przeze mnie spóźniasz się na randkę z Bogiem, to dlaczego u mnie pracujesz?

– Albowiem powiedziano – odrzekł Grigorij – oddajcie Bogu, co boskie, a cesarzowi, co cesarskie... No więc oddaję, cesarze.

Umilkłem.

Dziwne, ale rozmowa z Grigorijem nie rozweseliła mnie jak zwykle, wręcz przeciwnie,

pogrążyła w smutku – by nie powiedzieć w zawiści. Prymitywne konkluzje, do jakich uciekał się ten człowiek, aby się zasłonić przed beznadziejnością ludzkiego losu, zaskakiwały swą absurdalną efektywnością. I czemu wobec tego mają służyć przemyślenia bardziej skomplikowane i mądrzejsze? Dlaczego ludzie porzucili ten pewny i sprawdzony okop, który przez wieki pozwalał im godnie wytrzymać do końca? Żeby ich poglądy odpowiadały „prawdzie”? Jakiej „prawdzie”? Tej, którą na nasze zamówienie majstrują im Samarcew i Kałdawaszkin?

– Nie po to żyjemy i cierpimy, cesarze, żeby wytwarzać zgrzytanie zębów i smutek – mruczał Grigorij, przestroiwszy się na inną nutę – ale po to, by w tej walce przeznaczenia dzień za dniem wykuwały się drobiny drogocennego doświadczenia duchowego. Które migoczą na duchowym nieboskłonie i radują Pana naszego. Jako gwiazdy na południowym niebie...

Chociaż, myślałem, słuchając go w pół ucha, ludzie nie wyszli z okopu. Nie są takimi głupcami.

Po prostu zapaskudzili go po brzegi, wypełnili swoim gównem – aż zniknął. I co tu ukrywać, my też im pomogliśmy ze swoim dyskursem. I już nie ma gdzie się schować. Na przykład ja – żeby nie wiem co, nie zdołam już się ukryć tam, gdzie Grigorij. Nie dlatego że nie chcę. Ja nawet nie widzę okopu, w którym siedzi. Dla mnie on nie istnieje. Nie rozumiem, jak można się ukryć w tym umysłowym nieporozumieniu. A dla Grigorija okop istnieje. Jest dla niego taką samą realnością jak dla mnie bablos, którego, nawiasem mówiąc, nie widziałem już diabli wiedzą od kiedy.

Różnica między nami polega na tym, że Grigorij, kiedy zmądrzeje i otrzeźwieje, będzie mógł jeszcze wyleźć ze swojego schronienia w tę przestrzeń, gdzie kulę się z kosmicznego chłodu. A ja... Ja już nigdy nie zdołam się wcisnąć do jego absurdalnego azylu. Nie zdołam nawet udać, że tam jestem.. To samo chyba czuł hrabia Tołstoj, dziwiąc się tajemnicom prostej chłopskiej wiary. I też nie potrafił wleźć z powrotem. Potrafił tylko przetłumaczyć z greki Ewangelię, kuląc się

w lodowatym wichrze...

Wkrótce włączył się mój zwykły mechanizm obronny i przestałem słyszeć gadaninę Grigorija. A raczej przestałem postrzegać sens jego słów, wsłuchując się tylko w ich brzmienie, ten ochryply kojący strumyczek, czasem wysychający na kilka sekund. Co chwila przypominała mi się Sophie i mój umysł natychmiast odskakiwał od tego wspomnienia, jak od rozpalonego pogrzebacza. Ale nie myśleć o niej nie mogłem...

Ech, gdyby ten wierszokleta wiedział, co to jest prawdziwe piekło.

Zresztą, czy w ogóle można metafizycznie ufać kobiecie?

Żeby się oderwać od czarnych myśli, włączyłem wmontowany w przegrodę telewizor i wybrałem jakiś film akcji. Ale po niedawnej rozmowie z Apollem zupełnie nie mogłem oglądać filmu – wręcz nie mogłem zrozumieć, jak mi się to udawało wcześniej.

Czułem, że film po prostu mnie doi, co sekunda



na nowo budząc we mnie napięcie, wywołane przydarzającą się bohaterowi katastrofą, która wszakże nigdy nie kończyła się jego śmiercią, tylko prowadziła do jeszcze straszniejszej katastrofy, nie pozostawiającej już żadnych szans na ocalenie, i tak dalej, i tak dalej. I cały sens szybkiego montażu polegał na tym, żeby stale utrzymywać mnie w stanie ciągłego wewnętrznego cierpienia.

Z jednej strony, całkowicie się to udawało. Ale z drugiej – jakkolwiek potworne wydawało się wiszące nad bohaterem niebezpieczeństwo, było jasne, że nic złego mu się nie stanie, ponieważ film dopiero się zaczął. W rezultacie, kiedy jedna część mojej świadomości skręcała się w adrenalinowych skurczach, druga ziewała znudzona. W końcu ziewająca część zwyciężyła. Wyłączyłem panel i zacząłem wyglądać przez okno.

Moskwa była wciąż ta sama – i w nieuchwytny sposób nowa. Widziałem bardzo dużo przyjezdnych. Przyszło mi do głowy, że wątpliwe,

by tak zwany „najazd barbarzyńców” Rzymianie piątego wieku odbierali jako coś więcej niż napływ niezwykle wielkiej liczby migrantów na tle nieustannie rosnącej tolerancji władz... A przecież tutaj, jak skarżył się Iwan Groźny, mamy nie tylko trzeci Rzym, ale także drugi Izrael. Trudno oczekiwać od Moskwy zimą, że poprawi ci nastrój swoimi widokami.

Kiedy do bulwaru Twerskiego pozostało już tylko jakieś pięć minut jazdy, znów zacząłem słyszeć głos Grigorija:

– ...i nie powinien pan sobą za to gardzić. Jeśli chce pan ode mnie possać, to niech się pan nie krępuje i powie. Pakowałem się w takie rzeczy...

Nawet się nie rozżłościłem.

Ull miał rację. Człowiek jest jak kalejdoskop, którego tekturowa rura nie rozpada się dopóty, dopóki w jej wnętrzu przesypują się błyszczące, zadowolone z siebie, ostre i odważne szkiełka, których ułamkowym odbiciem rozkoszuje się Wielki Wampir. Czy można się gniewać na

kalejdoskop, wiedząc, jak on działa? Nie. Człowieka można tylko kochać. Tylko kochać i litować się nad nim. Najlepiej – z daleka.

– Przestań, Grigorij – poprosiłem łagodnie. – Bo się porzygam.

Umilkł. Zdjąłem marynarkę i zacząłem porządkować splecione wstęgi. Skończywszy z tym, włożyłem na głowę czarną kominiarkę.

Samochód zatańczył i zrozumiałem, że Grigorij uważnie obserwuje moje poczynania w lusterku.

– Mówił pan o otworze spustowym – powiedział. – Wygląda na to, cesarze, że pan ma w głowie otwór.

– Co masz na myśli?

– Protest społeczny.

– Nie społeczny, Grisza. Głęboko osobisty.

– To po co ten dziób?

Nic nie rozumiejąc, popatrzyłem mu w lusterku w oczy.

– Przecież ma pan dziób? – zapytał.

– To jest róg, palancie. Róg. Mamy taki róg na głowie, kiedy jesteśmy w Odwiecznym Ciele.

– Wiem, wiem – powiedział Grigorij i oderwał jedną rękę od kierownicy, żeby się przeżegnać. Samochód znów zatańczył.

– Jedź normalnie. Bo w razie czego ty trafisz do nieba, a ja – nie wiadomo dokąd... Uważaj.

– Pomyślą, że to dziób – powiedział z troską Grigorij, ignorując moje słowa. – Pomyślą, że się pan przebrał za czarnego żurawia<sup>[87]</sup>.

– A niech myślą... Zaczekaj, mówisz to poważnie?

Grigorij przytaknął.

Taka możliwość nie przyszła mi do głowy. Cóż, to nawet lepiej... Dodatkowa fałda Czarnej Zasłony nie zaszkodzi.

– Zatrzymaj się – powiedziałem. – Wysiądę przy „Armenii”. I nie czekaj na mnie. Jedź od razu do garażu.

Samochód stanął.

– Po co to panu, cesarze? – zapytał Grigorij.

– Czytałeś *Splendor Nabokova*?<sup>[88]</sup>

Pokręcił głową.

– To przeczytaj – powiedziałem. – Tam na pewno o tym napisano.

Wysiadłem, zczekałem, aż samochód z Grigorijem zniknie za skrzyżowaniem, i kuląc się z zimna, ruszyłem do przejścia na bulwar. Miałem nadzieję, że wszystko skończy się szybko. Przy wejściu do jakiejś restauracji zaczęto mi bić brawo. W odpowiedzi machnąłem swoim szmacianym skrzydłem.

Łyżka dziegciu, dodana przez Grigorija, odebrała jednak wartość spojrzeniom, jakie na sobie chwytałem – bez względu na to, co w nich było: zachwyt czy nienawiść. Wiedziałem, że ludzie reagują nie na moje rzeczywiste przesłanie – ich rozgorączkowane umysły chyba go raczej nie pojmowały – ale na swoje własne projekcje, bo tylko je są w stanie rozpoznawać w otaczającym ich świecie. Oklaskują tylko siebie.

Zawsze tylko siebie. Nie potrzebują nikogo innego. Nawet nie wiedzą, że coś innego istnieje.

Ale nie wampirowi ich sądzić, myślałem, idąc bulwarem. Albowiem to z naszej woli wszystko jest właśnie takie. Kochać ludzi należy takimi, jakimi są. I muszę się skupić nie na tym, co nas dzieli, ale na tym, w czym jesteśmy jednością. Życie w wiecznym ucisku sprawia ludziom ból, jest im źle, chociaż nie bardzo rozumieją przyczynę tego ucisku. Mnie także jest źle, chociaż ja znam źródło swego bólu. Skoro ludzie wychodzą na place i ulice, żeby powiedzieć swoje „uj”, to dlaczego i ja nie miałbym przejść między nimi jak nieuchwytny czarny cień?

Już wszystkie możliwe formy istnienia białka przedelfowały ulicami tego miasta, wyrażając protest przeciw dokuczliwym obrazom mentalnym, dręczącym ich rozpalone umysły. Powinien się tam pojawić także ktoś od wampirów. Więc niech to będę ja...

*Ecce vampo!* Czy jak tam jest wampir po

łacinie – *lamia*? *Labia*? Nie wiadomo dlaczego tylko w rodzaju żeńskim.. Zresztą, nieważne. Patrzcie, ludzie, oto jest pomiędzy wami wampir, pokazujący światu swój ból i nieszczęście. Taki sam jak wy. Jeden z was. Śmiertelny poprzez mgnienie, jak mógłby to ująć Borys Pasternak<sup>[89]</sup>, gdyby zamówiono u niego taki okolicznościowy wiersz. I chociaż żyjemy na różnych poziomach socjalnych, dziś w tej walce jesteśmy razem. Ramię przy ramieniu. Skrzydło przy kopycie... A jeśli, mój chwilowy bracie, nie rozumiesz mojego szaleńczego gestu, to nie ma nieszczęścia.

„I nie trzeba – szeptał mój głos wewnętrzny – nikomu niczego nie trzeba tłumaczyć... Przejdę niezrozumiany i zniknę... Jak to tam jest u Jesienina? «Po swoim kraju przejdę bokiem, niby zacinający deszcz...»”<sup>[90]</sup>.

Ale na znikanie było już za późno.

Przedemną zmaterializowali się w mroźnym powietrzu jacyś zaafetowani ludzie z kamerą telewizyjną i mikrofonem na kiju, podobnym do

kosmatego melona. A za kratą bulwaru już hamował milicyjny samochód. Z jakiegoś powodu byłem pewien, że to wszystko ma bezpośredni związek ze mną.

I nie pomyliłem się.

Zwinęli mnie dokładnie naprzeciw MChAT-u. I to tak profesjonalnie, że nawet nie zauważyłem, jak do mnie podeszli.

Słowo „zwinęli” rzeczywiście wyjątkowo tu pasuje. Dopiero co szedłem główną aleją, wymachując czarnymi skrzydłami – dumny, że idę w tej wielkiej chwili właśnie bulwarem Twerskim, gdzie rozpoczęło się i zakończyło tyle pięknych ludzkich historii. I nagle moje ciało zostało zwinięte w niezwykle kompaktowy kształt, z głową przy nogach i rękami na plecach. Przy okazji niepostrzeżenie, ale bardzo boleśnie szturchnięto mnie czymś twardym w żebra, jakby dając do zrozumienia, że jeśli będę się szarpać, zaboli jeszcze bardziej.

Natychmiast mnie powlekli – a raczej zmusili



do poruszania się w bardzo niewygodnej pozycji: całą robotę dotyczącą przemieszczania się wykonywałem sam. Nie widziałem jednak, dokąd konkretnie zmierzam, ponieważ zsunięta kominiarka zasłaniała mi oczy. Natomiast słyszałem głosy. Oburzone głosy. Chociaż ktoś, przeciwnie, z zadowoleniem rechotał. W czasie krótkiego postoju udało mi się poprawić maskę własnym kolanem – i tuż obok zobaczyłem obiektyw kamery. Już się zorientowali, pomyślałem.

– Czy to jest młodzieżowy protest przeciw staczaniu się kraju w autorytaryzm i dyktaturę klerykalną?

– Nie chciałbym panów martwić – wychrypiałem – ale moje pretensje do waszego świata sięgają znacznie dalej... Nawet sobie nie wyobrażacie, jak daleko...

Mówiłem absolutną prawdę, ale komu jest ona potrzebna na tym targowisku fałszu? Ekipa telewizyjna w ułamku sekundy przestała się mną

interesować.

Ale gliny – nie.

Popchnęli mnie w plecy, zmuszając do wbiegnięcia na stopnie prowadzące do przejścia.

Nikt więcej za nami nie szedł. Wlekli mnie w zaułek, gdzie w głębi – no proszę, cóż za zbieg okoliczności – stała już milicyjna suka. Ale znajdowała się dość daleko. A świadków dokoła już nie było – i szybko to odczułem. Uderzono mnie w nogę czymś twardym. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze...

Najpodlejsze było to, że niczym nie sprowokowałem tych uderzeń. W ogóle nie miały nic wspólnego z moim zachowaniem – jakby nie bili mnie żywi ludzie, tylko loteryjna maszyna losująca. Teraz przez tydzień nie będę mógł wisieć w hamlecie, pomyślałem.

Wyobraziłem sobie tępego, wrednego omonowca, który niezbyt mocno, ale celnie uderza mnie przy każdym kroku. Po prostu dla rozrywki. Wyobraziłem sobie jego mroczny świat

wewnętrzny, jego duszę, przesiąkniętą nienawiścią i cierpieniem... I oto teraz wylewa na mnie całe wysysane od niemowlęctwa zło.

Ogarnęła mnie nieokiełznana wściekłość. Skondensowana nienawiść do tych marionetkowych klawiszów, których tylko słabo poinformowani ludzie mogą nazywać reżimem. Dranie, myślałem, omal nie płacząc ze złości, co za dranie... Uważają, że ja... Że mnie... Że po prostu im wolno...

A potem w jakiś sposób udało mi się obejrzeć i zobaczyłem, co mnie uderza w nogę.

Była to ciężka metalowa tarcza jednego z omonowców kosmonautów, którzy mnie zwinęli. Kołysała się przy każdym kroku i celnie, ale całkowicie mechanicznie uderzała mnie kantem w łydkę.

Gliniarz niosący tarczę też nie zdawał sobie z tego sprawy.

I nagle coś przeniknęło mnie do kości.

Czy może raczej odpuściło. Bo w mojej duszy

w tym momencie nie było już ani nieskończonej samotności, ani metafizycznej nieufności do kobiety, ani beznadziejnego zrozumienia, że z mojej egzystencjalnej ślepej uliczki nie ma wyjścia i być go nie może.

Piećlo gdzieś zniknęło.

Co więcej, nawet nie było mi zimno.

Wszystko zostało zmyte gniewem na tych błądnów w *riot gear*<sup>[91]</sup>, którzy chcieli się nade mną poznęcać. A teraz, kiedy się okazało, że błądny nie mają z tym nic wspólnego, nastąpiła długa sekunda ciszy, jakiegoś zamarłego zakłopotania. Kropka w kropkę jak przy zażywaniu bablosu. I prawie jak przy spoglądaniu w oblicze Wielkiego Wampira. Była to niesamowita chwila.

Łzy nabiegły mi do oczu.

– Tarcza ojczyzny – wyszeptałem – tarcza ojczyzny...

Trudno było powiedzieć, że coś zrozumiałem.

Wręcz przeciwnie.

Nagle przestałem rozumieć wszystko to, co z tak żarliwym zapomnieniem siebie rozumiałem przez cały ten dzień. I nie chciałem już tego rozumieć. Nigdy więcej.

Nie chciałem mieć w głowie tego koła, w którym biegałem jak wiewiórka i z którego tylko przypadkowo wydostałem się na wolność. Pewnie właśnie to miała na myśli Sophie, mówiąc o *indigenous mind*.

Ale zaprowadzenie tam wdzięcznej ludzkości było niemożliwe. Wolność była niedosiężna. Znajdowała się zbyt blisko, by można było zrobić w jej stronę choćby jeden krok. Istniała wcześniej niż jakakolwiek myśl i jakikolwiek krok.

Niestety, wolność kończyła się właśnie tam, gdzie zaczynał się człowiek. Nawet ja, wampir, nie mogłem się na dłużej wyrwać spod władzy umysłu B.

Dowleczono mnie już do więźniarki i poczułem, jak znika czarodziejskie doznanie wewnętrznej pustki. Ale nie lękałem się tego. Wiedziałem, że

niczego nie należy zatrzymywać, niczego...

Z więźniarki wysiadł oficer w mundurze – sądząc z wyglądu, ktoś w rodzaju sztabowego centuriona.

– Co tam? – zapytał chmurnie. – Zadyming?

– Puting – odpowiedział jeden z omonowców.

Oficer z niedowierzaniem zmierzył mnie wzrokiem.

– Na pewno nie zwykły zadyming?

– Nie – odrzekł omonowiec. – Na sto procent puting. Ma dziób na masce i skrzydła. W sensie jak żuraw. Wszyscy już o tym zapomnieli, a on jeszcze pamięta...

Zauważyłem na pagonach oficera trzy duże gwiazdy. Pułkownik. Oto mój bilet do domu.

– No cóż – powiedział pułkownik, wciąż tak samo ponuro patrząc na mój strój. – Za puting nie karzemy... W żurawie możecie się bawić na zdrowie, obywatela...

Jego spojrzenie zatrzymało się na moim T-

shircie.

– Ale nawoływanie do aktów przemocy o charakterze seksualnym... Publiczne nawoływanie do masowych akcji seksualnych... To już poważniejsza sprawa. Ale puść go. Bo będzie się potem obnosić z siniakami...

Trzymający mnie omonowiec rozluźnił swoje kleszcze.

– Wczoraj jeden taki też miał ciekawą bluzeczkę – ciągnął pułkownik. – „Mutien Sudak”<sup>[92]</sup>. Niby nie ma się do czego przyczepić. Dziewuchy patrzą jak na bohatera. Bezczelny dupek. Myśli, że nikt mu nie podskoczy. A w kieszeni dwadzieścia gramów marychy...

Omonowcy zarżeli wesoło.

– Panie oficerze – odezwałem się – czy mogę panu powiedzieć coś ważnego?

– Ważnego? No, gadaj.

– Prywatnie – powiedziałem. – Żeby pańscy podwładni nie słyszeli. To tajna informacja wagi państwowej.

Pułkownik spojrział na mnie z zainteresowaniem.

– No to wal. Na ucho.

Odwrócił do mnie ucho – duże i niezawodne, czerwone od mrozu ucho rosyjskiej władzy.

Podszedłem do niego, wspiąłem się na palce (był ode mnie wyższy prawie o pół głowy) i powiedziałem cicho pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy:

– Cierp, chaldeju, awatarem będziesz.

A potem przez dziurkę w kominiarce szybko i mocno ukąsiłem go w szyję. Nie tak, jak to robimy zazwyczaj, ale zwyczajnie, zębami. Brutalnie i po ludzku.

Byłem zdumiony niezwykłą energią mięśniową, rzekłbym, beethovenowską siłą, jaką włożyłem w to zaciśnięcie szczęk. Jak gdyby coś przez długie lata gromadziło mi się w piersi – i wreszcie wyrwało się na swobodę radosną, zwycięską pieśnią, która „nie zamilknie, nie ucichnie”. Przez jedną sekundę doznawałem zawrotnego szczęścia, a potem się przeraziłem, zrozumiawszy, że



dotychczas sam siebie nie znałem.

Na szyi pułkownika pokazała się krew. Zbladł, odskoczył i wyszarpnął z kabury pistolet na cienkim rzemieniu.

– Stać!

Nigdzie się nie wybierałem – i nagle pojąłem, że krzyczy nie na mnie, tylko na omonowców, którzy już zamierzali się na mnie pięściami.

– Sam porozmawiam z tym skurwielem – powiedział pułkownik i wskazał lufą drzwi do suki. – Do środka, ale już, łajzo!

Omonowcy byli wściekli, że ani razu nie dostało mi się od nich po grzbiecie – widziałem to po ich twarzach.

– Spokojnie, chłopcy, spokojnie – powtórzył pułkownik, ocierając krew z szyi. – Sam to zrobię, osobiście... Tylko daj mi to...

Wziął od uśmiechającego się ze zrozumieniem omonowca pałkę i popchnął mnie do obszernego wnętrza samochodu.

– Nie przeszkadzać, dopóki nie zawołam –

polecił.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, zachowanie pułkownika zmieniło się uderzająco. Przede wszystkim przeszedł obok mnie i włączył na cały regulator płaski telewizor, zawieszony na pręcie pod sufitem (najwyraźniej nie był to samochód do przewozu aresztantów, tylko samych glin – wnętrze przypominało zapobiegliwie wyposażoną pakamerę budowlańców).

– Żeby zagłuszyć krzyki – rzekł z uśmiechem, odgiął klapę i pokazał mi małą złotą maskę znaczek.

Kiwnąłem głową.

– Po co pan osobiście ryzykuje? – zapytał pułkownik, wskazując na moje poszarpane czarne skrzydła.

W jego głosie brzmiało szczere zatroskanie.

– Chciałem nasiąknąć – odparłem.

– Czym?

– Słonecznymi sokami życia. A poza tym uważam, że wampir powinien być w pierwszych

szeregach protestu społecznego. Szczególnie kiedy protestu już nie ma.

– Tak? A przeciw komu pan protestuje?

– Przeciw panu.

Pułkownik przez jakiś czas przetrawiał moje słowa, przy czym odniosłem wrażenie, że w pewnej chwili jego iteracje mózgowe po prostu rozminęły się i wygasły.

– Tak jest! – powiedział.

Podszedł do składanego stolika, na którym stał czajnik elektryczny, wziął papierową serwetkę i przyłożył ją do krwawiącej szyi.

– Pan oczywiście wie lepiej – powiedział, krzywiąc się. – Ale mimo to proszę przekazać swoim zwierzchnikom, że jest to bardzo niedobry system identyfikacji. Mało tego, że niehumanitarny w stosunku do nas, to jeszcze niebezpieczny dla was samych. Zdarza się, że wampiry kęsają niższe szarże, a oni nie są poinformowani. I powstają komplikacje. Po co to?

– A wy co proponujecie? – spytałem.

- Możemy wam wystawić każde zaświadczenie.
- To nie jest wyjście – powiedziałem.
- No to co mamy robić?
- Walczyć przeciwko nim – powiedziałem. –

Razem.

- Przeciwko komu?
- No, przeciwko nam.

Pułkownik znów rozmyślał przez jakiś czas – i tym razem cykle mózgowych wyliczeń chyba się zgodziły. Zbladł.

– Przepraszam – powiedział. – Zapomniałem się.

– Nie szkodzi – odrzekłem uprzejmie. – Niech się pan nie denerwuje. Każdemu się może zdarzyć.

– I proszę do mnie nie mówić „pan” – poprosił pułkownik.

– Dlaczego?

– Bo głowa mi od tego pęka. Najpierw mnie pan ukąsił, a potem nagle per pan. Boję się, że nie wytrzymam. A tak czuję się bardziej komfortowo.

– Dobrze – zgodziłem się. – Uznajmy to za bruderszaft. Mogę zadać jedno profesjonalne pytanie?

– Tak jest, słucham – powiedział pułkownik.

– Jak się nazywa ta tarcza? Ta, którą mają pańscy oprycznicy?

– Tarcza? – pułkownik natychmiast się ożywił, jak filatelista, którego zapytano o znaczki. – „Witraż”. Tylko teraz już panu nie powiem, jaki – „Witraż-AT” czy „Witraż-M”. Chociaż... Jeżeli ma otworki obserwacyjne, to to jest „Witraż-AT”. A gumowa pałka, jeśli chciałby pan wiedzieć, nosi nazwę „Argument”. Są argumenty długie i krótkie. Logiczne, prawda? A czemu to pana interesuje?

– Nie, nic. Tak pytałem.

Przyszła mi na myśl opowieść Ulla o witrażach. Ach, gdyby wiedział, jakimi barwami mienia się one w dalekim północnym kraju... Zrobiło mi się smutno, jakbym sobie przypomniał cząstkę cudownego, zapomnianego minionego życia.

Serwetka w rękę pułkownika całkowicie

prześlą krwią, więc zamienił ją na czystą.

– Proszę posłuchać – powiedział – może nie na mój rozum, może niepotrzebnie się wcinam... Ale czy mógłby mi pan powiedzieć pod sekretem, o co chodzi z tymi ukąszeniami? Przecież wy nie potrzebujecie krwi, to wszystko brednie.

– Racja – odparłem. – Nie potrzebujemy.

– To po co taki kod powiadamiania? Dlaczego akurat musicie nas kąsać?

– Ja tego nie wymyśliłem – westchnąłem. – Ale mogę wyjaśnić. Tylko uprzedzam, temat nie jest prosty.

– Proszę spróbować – powiedział pułkownik i na jego twarzy odbił się bolesny wysiłek, jaki często można zaobserwować u niezbyt rozgarniętych ludzi, którzy spodziewają się usłyszeć coś mądrego.

– Męczy cię chyba to pytanie, skoro je zadajesz, prawda? Męczy. No więc właśnie dlatego kąsamy, żeby dalej cię męczyło. I ze wszystkimi innymi problemami i zagadkami jest tak samo. Pytania

w twojej głowie nie są po to, żebyś otrzymał na nie odpowiedzi, tylko po to, żeby odpowiedzi nie było.

– Znów nie rozumiem. Nie mógłby pan wyjaśnić tego prościej?

– Mógłbym. Doją cię jak neptka. Przez całe życie i przez całą śmierć.

– Kto?

– Oni. To jest my. Ale to jest aspekt natury produkcyjno-bytowej. A jest jeszcze aspekt kulturowo-antropologiczny. I na poziomie kulturowym, zapamiętaj sobie, to jest Tarcza Ojczyzny.

– Jaka Tarcza Ojczyzny?

– To coś takiego jak „Witraż”. Przez który wszystko wygląda trochę inaczej. Ty ją przecież trzymasz, prawda? Trzymasz. No i właśnie ona cię osłania.

Pułkownik wolno pokręcił głową, jakby przyznając, że prawda przekroczyła jego zdolność pojmowania.

– Tylko nie należy o tym myśleć – powiedziałem niemal czule. – Wcale. Nasi starcy tyle lat mi powtarzali: nie zaprzataj sobie tym głowy, nie przeciążaj się, a ja ciągle im nie wierzyłem. I teraz ty mi nie wierzysz. A szkoda. Uważasz, że będzie ci lżej, jeżeli to zrozumiesz? Będzie ci ciężej. Tutaj nie należy rozumieć, tylko wręcz przeciwnie.

– To znaczy, że nadal będziecie kęsać? – zapytał.

– Wygląda na to, że tak.

– A co by mi pan poradził?

– Kontrolować wampofobię – powiedziałem sucho.

Ale w tym momencie ogarnęła mnie fala współczucia dla tego dużego, silnego i od stu lat zapóźnionego człowieka – wiarusa, uczciwie i po chłopsku usiłującego się przystosować do życia, które już dawno przestał rozumieć.

– Ale nie trzeba się dołować, brachu – powiedziałem. – Mówię ci, walczmy z tym razem..



Pułkownik jednak nie potrzebował mojej spóźnionej serdeczności. Już nie słuchał.

– Zostawiłem panu otwarte okienko – powiedział sucho. – Lufcik. Teraz wyjdę do chłopaków. A pan niech się pośpieszy. Bo za jakieś dziesięć minut pójde do punktu pierwszej pomocy, a klucz zostawię im. Żeby dalej to oni za pana odpowiadali. Jeżeli nie będzie pana w samochodzie, to już ich problem. Ale jeżeli pan tam będzie... Sam pan powinien rozumieć.

Popatrzyłem na okno. Górna część szyby była odsunięta na bok, ale w samym oknie, tak jak w pozostałych oknach w samochodzie, tkwiła gęsta krata, przez którą można było przesunąć tylko palec. No, może dwa.

Lufcik – to był jeszcze pikuś, takie rzeczy już mi się w życiu zdarzały... Ale krata...

– A krata? – spytałem.

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Nie było rozkazu, żeby zdejmować kratę. Kłaniam się, panie wampir. Szczęśliwego lotu.

Odwrócił się, wyszedł z więźniarki i zatrzasnął za sobą drzwi. Obraził się, pomyślałem. Głupek. Sam sobie winien. Proponuje mu się, żeby walczył, a on nie chce. Daleko się z takim narodem nie zajędzie.

Widziałem przez kratę, jak pułkownik, ciągle jeszcze przyciskając do szyi serwetkę, mówi coś do swoich podwładnych. Potem jeden z nich łypnął w moją stronę, więc na wszelki wypadek odszedłem od okna.

Czy powróci do mnie Odwieczne Ciało?

Dowiedzieć się tego na pewno mogłem tylko w jeden sposób – przechodząc w nie. Kratą w oknie niezbyt się przejmowałem – wiedziałem, że po transformacji prawa świata fizycznego stają się dla nas równie nieistotne, jak paragrafy kodeksu karnego. Martwiło mnie co innego. Aby nastąpiła transformacja, trzeba się było przestraszyć. A ja się nie bałem. Wcale. Czułem tylko – jak by to precyzyjnie określić? – cynizm. A z niego mało jest w życiu pożytku.

Zauważyłem w przeciwnym kącie autobusu milicyjne trofea: czarno-żółto-białą tarczę z długim napisem: „Żądamy zrównania Rosjan w prawach z homoseksualistami i gośćmi stolicy!” oraz pognieciony plakat ze sloganem: „Femen. Pizda pachnie!” pod emblematem przypominającym ni to sprostowany symbol procentu, ni to wizualną metaforę zazdrości o penisa. Smętne trupki czyichś zdławionych porywów...

Podniosłem wzrok na płaski telewizor. Jak przystało na samochód glin, był nastawiony na jakiś ambitny kanał. Leciał program publicystyczny. Mówił gniewny młody człowiek w stalowoszarym połyskliwym garniturze:

– Czego dowiódł ostatni marsz? Tak, rodzina ma trzydzieści tysięcy botów. Ale Put’ i tak dziesięć razy więcej!

– Rok temu rodzina też miała dziesięć razy więcej – odparł rozmówca, gruby brodac w swetrze. – Mogli spokojnie zaddosować<sup>[93]</sup>

komisję wyborczą, limon<sup>[94]</sup> ma rację.

Zaledwie kilka miesięcy, a tak byłem daleki od życia. Przełączyłem kanał i trafiłem na wesoły klip o gadżetach.

– Smartfon – broń aktywisty! Jeżeli jesteś człowiekiem kreatywnym, konstruktywnie oburzonym, z poczuciem własnej godności, jeżeli jesteś zwolennikiem wesołej i hałaśliwej presji z elementami karnawalizmu, twój naturalny wybór – to iPhone najnowszej generacji. A jeżeli nie sposób cię już powstrzymać, jeśli jesteś posępnym i poważnym konspiratorem, skłaniającym się ku półlegalnym formom walki – wówczas, oczywiście, potrzebny ci jest Samsung Galaxy...

Wyglądało na to, że tę światową falę pędził daleki Apollo. W dodatku wcale nie tam, gdzie z myślą o nim grzeszyła społeczność spiskowa... Znów przełączyłem kanał.

Po ekranie popłynęły złote kopuły na tle niebieskiego lazuru. Popowską manierą

przeciągając samogłoski, mówił natchniony i poważny młody bas:

– Wszystkie narody świata mają swoje nietykalne świętości, coś, czego nie wolno bezkarnie obrażać i bezcześcić. Właśnie wokół nich jednoczy się każda zdrowa społeczność. Tylko u nas, Rosjan, na pierwszy rzut oka niczego takiego nie ma. Oprócz zwycięstw wojennych, z których owoców skorzystały – tak się jakoś złożyło – zupełnie inne narody. I tak się toczy jak róża jerychońska na pustyni od jarzma tatarsko-mongolskiego do judeo-saskiego. I nie chodzi tu o słabość rosyjskiego oręża. Rosyjski żołnierz jest niepokonany. Ale za to rosyjski humanista... Tam, gdzie naród powinien mieć głowę, jest tylko jakiś ociosany pień ze zgniłkami zamiast oczu i z czarną dziurą gotowych na wszystko ust. Nasza elita duchowa powinna się mocno zastanowić nad swoją słabą przydatnością do służby, jak to określają wojskowi. Może po prostu uparcie nie dostrzega tego, co najważniejsze, co może nas wszystkich zjednoczyć, niezależnie od wieku

i wyznania? Stać się fundamentem naszego nowego wielowyznaniowego bytu? Popatrzmy uważnie na naszą historię. Tak! To oczywiste! Jak można było tego nie widzieć przez tyle lat! Przyjaciele, mamy naszą prywatyzację! Za ruską prywatyzację – i przestańmy się wreszcie bać słowa „ruski” – zapłacono nie mniejszą liczbą istnień niż za wielkie historyczne dramaty innych narodów. Swym monumentalizmem wydarzenie to nie ustępuje stworzeniu USA. Jest to jedna z niewielu dziedzin, gdzie zdecydowanie wyprzedzamy Chiny. Dlatego faktyczne rezultaty ruskiej prywatyzacji – i przeszłej, i przyszłej – powinny być równie święte i nietykalne jak skutki Holocaustu.

To już nie był Apollo, tylko swoi. Wprzęgli wszystkie dyskursy, żeby nikt nie miał wątpliwości.

Przełączyłem program jeszcze raz i zobaczyłem młode stworzenie z krzyżem na piersi i iPadem w ręce. Patrząc na ekranik i potrząsając bursztynowymi kędziorami, stworzenie recytowało wiersz:

– „Lajkowałem twe jeziora  
I słitaśne pola.  
Jesteś swag i jesteś fejmi,  
Ojczyzno ty moja!”.

Alchemiczne dziecię nowego wieku było znacznie młodsze ode mnie i już przez to odsuwało mnie dalej w życie – jakby w głąb bardzo długiej skrzyni... Odwróciłem się od telewizora. I nagle zobaczyłem na ścianie trzy małe ikony – takie, jakie wieszają na desce rozdzielczej taksówkarze i łebkarze.

I wtedy wreszcie ogarnął mnie strach.

Nie chodziło o to, że moja czarna dusza zadrżała na widok świętości. I nie o to, że zadumałem się nad klerykalizacją społeczeństwa, jak radzili reporterzy telewizyjni z bulwaru.

Nagle pomyślałem, że pułkownik mógł nagle zgłupieć i wypaplać swoim junakom, że jestem wampirem.

Gliniarze byli przecież całkowicie realni.

Znajdowali się za drzwiami, nie w limbo. Żeby tylko nie padł ofiarą zbrodni na tle nienawiści religijnej, którą media raczej by się nie zainteresowały...

Było to oczywiście mało prawdopodobne – ale wstrzyknęło w moją zmęczoną duszę potrzebną dawkę strachu. Kilka razy przemierzyłem nerwowo kabinę więźniarki.

Czy zatem dokonałem już swego czynu, czy nie?

Nagle poczułem, że z trudem oddycham, przestrzeń wokół mnie zawibrowała i rozpadła się, gdzieś mignęła odwrócona twarz Apolla – i w chwili, kiedy poruszyła się klamka w drzwiach, runęła na mnie ściana z zakratowanym oknem. A w następnej chwili zrozumiałem, że patrzę na więźniarkę już nie od środka, ale z zewnątrz.

Dwaj omonowcy właśnie do niej wchodzili.

Pułkownik już odjechał – nigdzie nie było go widać.

Zatoczyłem nad furgonetką pożegnalny krąg,



pomknąłem ku brązowej ścianie MChAT-u, potem w dół, do zaśniewanego asfaltu, a potem w górę – i znalazłem się nad zimowym bulwarem.

Nikt mnie nie dostrzegał. Po prostu nikt nie patrzył w moją stronę. I gdybym przeleciał tuż przed twarzami przechodniów, i tak znaleźliby powód, by w tym momencie popatrzeć gdzie indziej.

Wszystko było dobrze. Udało mi się.

Ale co konkretnie Apollo zaliczył mi jako wielki czyn moralny? Ukąszenie? Czy tatuaż? Czułem, że te pytania będą mnie nurtować jeszcze długo.

Strach, jaki wzbudziły w mojej duszy ikony, powoli opadał. Czyżbyśmy naprawdę osuwali się w nowe średniowiecze?

Iluż jest na tym świecie takich, myślałem, którzy pragną stać się jednością z Wielkim Wampirem. Iluż takich, którzy usiłują dokonać właściwego wyboru, znaleźć się po właściwej stronie barykady – a nie razem z Kaframami, bluźniercami

i innymi gojami...

Można tych ludzi zrozumieć. Mają zmysł praktyczny, starają się ulokować swoje oszczędności w najpewniejszym banku. Tylko że ich wyliczenia są naiwne, i zapracują sobie co najwyżej na karę za podłe świętokradztwo – za to, że wyobrazili sobie Wielkiego Wampira jako analnego despotę z historii własnego kraju.

Przywilejów za przejście do „obozu światła” nie będzie. Albowiem na tym padole każdy stanowi jedność z Wielkim Wampirem. I ten, kto tego chce, i ten, kto nie chce. I ten, kto modli się w świątyni, i ten kto w niej oddaje mocz. Wielki Wampir – to wstęga Möbiusa. Cały świat jest po jego stronie.

Nawet w Odwiecznym Ciele wciąż czułem ludzki ból fantomowy. Ćmiła mnie łydka, stłuczona przez Tarczę Ojczyzny. Ale na dnie tego bólu kryła się też gorzka słodycz – zdawało mi się, że swoim cierpieniem coś odkupiłem. I jeżeli tak, to dobrze.

A teraz czas lecieć na Rublowkę.

Bulwar już się skończył. Nie miałem ochoty miotać się między domami w kłębach spalin, więc szerokimi, powolnymi kręgami zacząłem się wzbijać w górę.

Stopniowo na moją duszę spłynął spokój, jak to się zawsze działo, gdy leciałem wysoko – i kiedy spojrzało na mnie purpurowe oko Wielkiego Wampira, niewidoczne już z pogrążających się w mroku ulic, nie zląkłem się i nie zawstydziłem jego wzroku.

Byłem chłodny i radosny, jak przystało na Kawalera Nocy. Przypomniał mi się mój nowy tatuaż – niespodzianka, którą przywożę Isztar. Jeśli oczywiście to jest Isztar, a nie...

Wysiłkiem woli odpędziłem doła. Wiedziałem, że to duchowe ćwiczenie będę musiał teraz powtarzać wiele razy dziennie. Ale przecież życie to wieczna walka!

Rewolucja trwa!

Wspaniałe hasło. Trzeba będzie je wypowiedzieć Chaldejcom. Chociaż chyba ktoś je

już wykorzystał. Tylko nie pamiętam, kto. Albo Volvo, albo błotne spa w Marjonej Roszczy, albo to nowe reality show z życia gwiazd protestu. Oczywiście, jeżeli satrapowie już go nie usunęli z powodu niskiego ratingu.

Przypomniałem sobie pułkownika, któremu zapewne robiono już zastrzyk przeciw wściekliwości – i zrozumiałem, że jednak nie udało mi się zajrzeć mu w duszę. Dziwne. Dawniej chyba nic takiego by mi się nie zdarzyło. A więc wydorósłałem. Stałem się poważniejszy i spokojniejszy. I oczywiście mądrzejszy. Bez porównania mądrzejszy.

I znowu mądrość nie okazała się wcale tym, co sobie wyobrażałem. Nie dogłębną wiedzą o wszystkim, ale wręcz przeciwnie. Umiejętnością ograniczania i osłaniania własnego umysłu.

Pokorą.

Tak, pokorą, myślałem, i nie ma w tym momencie pomiędzy niebem a ziemią istoty bardziej pokornej niż ja. To dlatego niestraszne mi

purpurowe oko, w które lecę. Albowiem nie ma we mnie własnej woli – tylko Twoja, o Wielki Wampirze. Spójrz na mnie i powiedz: czyż kłamię? Nie, nie kłamię, nawet gdybym chciał, nie mógłbym skłamać. I nawet jeśli wstąpię na Tajną Czarną Drogę, to czyż nie dlatego, że jest to część Twojego planu?

Właściwie powinienem się śmiać i śmiać. Ale gdyby lodowate powietrze na wysokości mogło czuć, wyczułoby na moich czarnych, porośniętych sierścią policzkach dwa skąpe zimne strumyczki.

Nie, nadal jestem wesoły. To po prostu wiatr.

Wielki Wampirze, czemu nie wolno mi ujrzeć Cię znowu?

A zresztą, nie odpowiadaj. Ja wiem.

Światło, jasne białe światło przewraca karty księgi życia, pełnej martwych animogramów. O czym jest ta księga? O smutku, marności, cierpieniu i niestałości, o iluzjach i oszustwach – a przede wszystkim o tym, że nie ma się komu poskarżyć.

Ale nie w tym sensie, że nie istnieje Ten, który usłyszałby skargę. On akurat istnieje, i to jeszcze jak.

Nie istnieje ten, który mógłby się poskarżyć. Bo ile jest słów w skardze, tylu ma ona różnych autorów. I kiedy zostaje wypowiedziana do końca, żadnego z nich nie ma już przy życiu. Dracula ma słuszność. Po tysiącokroć tak.

Kto będzie wstrząsać wszechświat potężnymi skrzydłami, napełniając go wiatrem, czyje gniewne oblicze ujrzę przed sobą, kiedy ostatni sen, zdmuchnięty, odleci precz?

Bardzo głupie pytanie, powiedziała by Dracula. Ostatni sen właśnie na tym polega, że wydaje się, iż istnieje ktoś, kto śpi – i może się obudzić. I kiedy budzisz się z tego ostatniego snu, nie ma już ani nadziei, ani strachu...

Chociaż tutaj słowa zaczynają zawodzić. Ale mnie nie są już potrzebne.

R

*Pisał Rama Drugi,  
Oberwergiliusz, pokornego serca Wielki Zmarły  
i doskonały w bezkształcie  
Kawaler Wiecznej Nocy*



Wydawnictwo Literackie

# ZAŁĄCZNIK

## ZAPIS NA LITERĘ „S”

Chyba Samuel Beckett<sup>[95]</sup> mówił, że jeśli w pierwszym akcie na scenie stoi szubienica, to w trzecim akcie powinna wystrzelić. Sens tych słów jest taki, że jeśli w tekście swojej opowieści wymieniacie jakąś postać, to powinna ona jakoś w nim uczestniczyć, rozwijać akcję, pomagać w ukazywaniu „charakterów” (taką nazwę noszą fałszywe i bezsensowne, i nie odpowiadające niczemu w rzeczywistości obrazy „człowieków”, które uczy tworzyć debilna ludzka historia literatury, żeby książki były przewidywalne, fałszywe i zrozumiałe dla krytyków – i żeby w żadnym razie nie czytał ich nikt inny). Innymi słowy, w historii nie powinno być elementów



niefunkcjonalnych.

Ale ta zasada obejmuje oczywiście tylko ubogie pisarskie wyroby, wysrane z wiadomego palca po to, by wcisnąć się w ciepły smrodek literackiego establishmentu. Nie dotyczy ona wielkich dzieł, opisujących rzeczywiste doświadczenia życia, śmierci i niepojętego.

Poważne książki nie mogą i nie powinny podporządkowywać się tej aroganckiej zasadzie po prostu dlatego, że nie wszystkie szubienice, jakie napotykamy, są sprawne. W świecie przypominającym potiomkinowską transmisję telewizyjną, której jedyną misją jest zaistnienie w światowym czasie antenowym, wymagać czegoś takiego od książek mogą tylko skończeni idioci. Biorąc jednak pod uwagę ich liczbę, nic dziwnego, że właśnie ich punkt widzenia stał się ogólnie przyjęty.

Wampir wszakże nigdy nie walczy z ludzkim idiotyzmem, tylko spokojnie płynie z jego nurtem, walkę o słuszną sprawę pozostawiając innym.

Łatwiej mi jest podredagować tekst, żeby odpowiadał śmiesznym ludzkim wyobrażeniom o harmonii, niż wypowiadać wojnę gwardyjskiemu pułkowi literackich diabłów. Sczytując ten tekst, zauważyłem w nim pewne przeoczenie – wielokrotnie wspominam, że mój wamponawigator udostępniał informację wyłącznie na literę „S”, ale ta okoliczność nie ma żadnego wpływu na fabułę.

Mimo to nie mam ochoty opisywać, jak raczyłem zarumienioną Wielką Mysz blaskiem wampirycznej mądrości – to zbyt osobisty temat.

Mógłbym usunąć wszelkie wzmianki o literze „S” i wampotece, pozostawiając je poza tekstem wraz mnóstwem innych szczegółów naszego życia, nad którymi się nie rozwodziłem. Pomógł mi jednak przypadek.

Chodzi o to, że wamponawigatora używa się często przy kontaktach z chaldejami – i nawet ze zwykłymi ludźmi. Musimy omawiać z nimi bohaterów lokalnej kultury, wrzutki medialne,

wydarzenia polityczne i tak dalej – a nie jesteśmy z tym na bieżąco. Musimy jednak sprawiać na ludziach wrażenie, że orientujemy się w ich życiu znacznie lepiej niż oni sami – i tu wampoteka jest niezastąpiona.

Ładowana do niej informacja jest tak dobrana, by pasowała do środowiska kulturowego, w którym wampir zamierza bryłować. Bynajmniej nie odzwierciedla ona naszych własnych opinii o przedstawianych kwestiach. Nie mamy takowych. Podejrzewam, że tak naprawdę nie mają ich nawet obsługujący wamponawigator chaldeje, którzy wyłapują najnowsze wiodące dyskursy i podwieszają je pod nasze czarne skrzydła. Ale takie specjalistyczne przygotowanie lokuje nas w samym centrum ludzkiej rzeczywistości i sprawia, że nasi rozmówcy wierzą, iż oddychamy tym samym powietrzem, co oni – tylko głębiej.

W rzeczywistości my, wampiry, słabo się orientujemy w ludzkich sprawach. Redaktor tej książki nawet z początku nie zrozumiał, co to jest „prymatyzacja”. A ja naprawdę usłyszałem to

słowo w milicyjnym telewizorze zamiast „prywatyzacja”, i nawet jakoś je sobie przetłumaczyłem (teraz już wszystko jest poprawione). O prywatyzacji też oczywiście słyszałem – ale tak działa mózg wampira. Zwłaszcza Kawalera Nocy, który zupełnie nie ma głowy do ludzkich obsesji.

Dlatego wamponawigator przydaje się nie tylko w limbo. Kiedy zostaje nałożony na zęby, wampir zaczyna trochę seplenić. Chcąc się pozbyć tej wady, często ćwiczymy się w sztuce oratorskiej z nawigatorem w ustach – zupełnie jak ów starożytny Grek, który wkładał sobie do ust kamyki – i nagrywamy to na dyktafon, żeby kontrolować dykcję.

Już po skończeniu tej książki znalazłem dyktafon, na którym nagrywałem, jak ćwiczę wymowę. Wszystkie zapisy ze zrozumiałego powodu dotyczą tylko słów i zwrotów na literę „S”. Dzięki temu mogę zademonstrować czytelnikowi, jak działają wampiryczne nośniki informacji.

Nie jest na nich zapisany jakiś konkretny tekst, jak to jest w wypadku ludzkich informatorów i słowników. Te nośniki zawierają jedynie sens. Kiedy tylko preparat trafia na język, wampir już wie wszystko, czego potrzebuje – nasz kunszt jest szybki jak cyjanek potasu. Dopiero potem jakoś dobieramy słowa, by wyrazić swoje doskonałe rozumienie w ludzkim języku. I staramy się mówić wyraźnie, żeby nie peszyć rozmówcy.

Przyznaję się od razu, że jest to kunszt efektowny, ale fałszywy. Jego celem nie jest prowadzenie człowieka do wolności i szczęścia, ale urzekanie go holograficznym blaskiem pustych znaczeń, żeby nie zauważył ukąszenia. To samo zresztą robią z ludźmi ich własni cargo-filozofowie i telewizyjni mędracy – tylko znacznie mniej elegancko. Zresztą, nie mogą porządnie kąsać z powodu spróchniałych zębów i stać ich jedynie, jak się wyraziła niezapomniana Palena Birkin, na fellatio za croissanta.

Jeśli czytelnik jest Chaldejcem, życie da mu szansę zetknięcia się z wampirycznym kunsztem

bez mojej pomocy. Dla pozostałych załączam jako próbkę wydruki zapisów ze swojego dyktafonu – w tej kolejności, w jakiej zostały zrobione. Zredagowałem je tylko pobieżnie, usuwając „yyy”, słowa-pasożyty i zaznaczając akapity.

Wyobraźcie sobie monotony, cichy, lekko sepleniący głos, rozlegający się w półmroku za waszymi plecami. Teraz możecie przez kilka minut porozmawiać z wampirem.

## WULGARYZMY [\[96\]](#)

Wasz mózg to lingwistyczny komputer plus prywatne studio filmowe. Bez względu na to, czy tego chcecie, czy nie, studio kręci krótkie animowane filmy na podstawie wszystkich wpływających do niego scenariuszy. Takim scenariuszem jest każda fraza, docierająca do mózgu (nawet niekoniecznie do świadomości). Jeżeli ktoś mówi wam zwyczajne „xxxxx xxxx xxxxx xxxxxxxx twoja mać w tę i nazad”, czujecie szok i odrzucenie, ponieważ mózg niezależnie od

waszej chęci musi nakręcić i obejrzeć cały serial pornograficzny, w którym oprócz was występuje także wasza biedna mama w kostiumie bogini płodności.

Wszystko to z ogromną szybkością przebiega w waszej świadomości właściwie na równych prawach z resztą „rzeczywistości”. To, co usłyszeliście, jest w pewnym sensie prawdziwym magicznym zaklęciem. Właśnie dlatego w głębokiej starożytności prawie nie odróżniano słów od czynów: powiedziawszy coś, już to zrealizowaliście w świadomości tego, kto was usłyszał.

Działanie wulgaryzmów jest wielopoziomowe. Wybiórcza aktywacja neokorteksu za pomocą leksyki, rzekomo objętej tabu, opartej na prymitywnych erotycznych scenach, blokuje subtelne funkcje psychiki – poprzez szok wywołany werbalnym gwałtem w komplecie z wymuszonym podnieceniem seksualnym, które podświadomie odczuwa krwiobiorca.

Dodatkowym efektem brzydkich słów jest poczucie upadku moralnego, zmieszane z satysfakcją z powodu naruszenia tabu. Ten podstawowy rytuał gromadzi jak gdyby wszystkich uczestników wydarzenia (cały kraj) w jednym i tym samym zaspermionym baraku mobilizacyjnym, gdzie nie widzi ich już ani Bóg, ani diabeł – tylko politruk i nadzorca, którzy przyszli tu razem ze swoim narodem.

Świadomość większości Rosjan znajduje się w tym baraku stale, od wczesnego dzieciństwa. Nie bez kozery wojskowi mawiają, że bluzgi to podstawa walki ogólnowojskowej. Jest to także fundament całej tutejszej kultury (nie potiomkinowskiej, ale realnej). Dlatego wulgaryzmy mają w Rosji taki dwuznacznie sakralny status. Gdyby do naszego sektora rzeczywistości zabłądził jakiś Majtreja, musiałby głosić swe przesłanie bluzgami, bo inaczej na głębszym poziomie po prostu nikt by go nie usłyszał.

Nieoficjalny konsensus w kwestii roli bluzgów



w rosyjskiej kulturze jest taki: należy rozróżniać wulgaryzmy potoczne i artystyczne. Pierwsze są odrażające, drugie – to jedyne dobro narodowe Rosjanina, jeszcze nie zagrabione przez tych, o których nie wolno mówić. Oto teraz chcą je odebrać i wyciągają po nie swoje czarne kleszcze, i szczują swoje jazgotliwe kundle...

Polityk, który znajdzie sposób zwrócenia się do obywateli wyszukany i serdeczny językiem wulgaryzmów, otrzyma dostęp do warstw psychiki, zamkniętych przed innymi komunikatorami, warstw, w których bytuje rosyjska dusza. W ten sposób zyska ogromną przewagę nad kolegami, którzy są zmuszeni mówić okastrowanym – w dosłownym sensie – językiem fałszywych dobrych manier...

Taki polityk wywoła falę ostentacyjnego oburzenia, ale od tej pory będzie odbierany jako dobry, serdeczny i szczery człowiek w tłumie hipokrytów. Będzie jedynym, który przemówi językiem prawdy, dlatego że prawdę ostateczną Rosjaninowi zawsze przekazuje się bluzgami.

Technologicznie może to być zalew mnóstwa niecenzuralnych rozmów telefonicznych, w których klient szczerze charakteryzuje swoich współbojowników i rywali oraz ogólną sytuację w kraju...

Hhh, trzeba to powiedzieć chaldejom.

## STOLICA

Najtrafniejszym odpowiednikiem „stolicy” jest wprowadzone przez amerykańskiego antroponautę C. Castanedę pojęcie *assemblage point* – punkt montażowy<sup>[97]</sup>. Taką nazwę nosi świecące centrum umysłowania, które może się przemieszczać po ciele energetycznym człowieka. W zależności od położenia na tym ciele punktu montażowego percepcja człowieka jest w stanie składać ze sobą całkowicie różne światy, zupełnie do siebie niepodobne. Zmienia się też sam człowiek. Kiedy punkt montażowy powróci do pozycji wyjściowej, on powróci do stanu, w którym rozpoczął swoją podróż.

Oczywiście wszystko to należy rozumieć jako metaforę.

To samo odnosi się do usytuowania stolicy narodu – z tą różnicą, że z uwagi na inercję procesów geopolitycznych zmiana rzeczywistości może się nie pokrywać z przemieszczeniem punktu montażowego. W wypadku Rosji „Moskwa” to usytuowanie punktu montażowego odpowiadające konstruktowi kulturowemu i geopolitycznemu, znanemu jako „Carstwo Moskiewskie” – charakteryzujące się wszechstronnym rozkładem i degradacją, pół-wrogą i pół-wasalną zależnością od dzikich południowych plemion, chamowate podlizywanie się Zachodowi, zacofanie techniczne, marazm, wszechobecne złodziejstwo i niezdolność do efektywnego kontrolowania zbyt wielkiego terytorium.

„Petersburg” to usytuowanie punktu montażowego odpowiadające imperium światowemu. Jest rzeczą oczywistą, że przy przesunięciu stolicy z „Moskwy” do „Petersburga” carstwo moskiewskie będzie dążyć do

transformacji w petersburskie światowe imperium. A przy przesunięciu stolicy z pozycji „Petersburg” na pozycję „Moskwa” po światowym imperium, zmontowanym wokół Petersburga, z czasem pozostanie tylko carstwo moskiewskie ze wszystkimi swoimi odwiecznymi, nieuleczalnymi syfilisami.

Ciekawa rzecz, że przy przesunięciu stolicy na pozycję „Daleki Wschód” Rosja mogłaby się znaleźć w całkowicie dla siebie nowym wymiarze pacyficznym, narodziwszy się jako azjatyckie mocarstwo równe Japonii i Chinom. Obecnie jednak wampiry nie rozpatrują takiego schematu. A zresztą „rosyjscy Europejczycy” mogliby tego nie zrozumieć – obiecano im przecież, że już za dwadzieścia lat zaczną ich wpuszczać do Europy.

## STATUS SPOŁECZNY

Nikt nie przeczy, że to ważna rzecz.

Paradoks polega jednak na tym, że współczesna

nauka wierzy, iż ludzkie myśli i emocje – w tym poczucie wartości społecznej i sukcesu życiowego – to rezultat zachodzących w mózgu reakcji elektrochemicznych. A raczej nie tyle rezultat, ile same reakcje i procesy.

W dodatku nauczyciele ludzkości uznali sukces społeczny za cel w pełni zasługujący na to, by poświęcić na jego osiągnięcie całe życie.

Czyli z jednej strony okazuje się, że znaczenie socjalne to określona kombinacja atomów w mózgu. A z drugiej – że dla osiągnięcia owej konfiguracji, o znikomych rozmiarach i wartości, trzeba przez całe życie tyrać w tak zwanej rzeczywistości nie wiadomo na kogo, przerzucając łopata olbrzymie ilości materii. Jest w tym jakiś krzyczący absurd.

Chociaż, to wciąż ten sam *hard problem*, którego ludziom nie wolno rozumieć.

Interesująca jest inna rzecz.

Czy człowiek w ogóle może „zrealizować się społecznie”? Czy nie jest to fałszywy happy end

z amerykańskiego filmu, poza którym kryją się starość i śmierć? Nawet jeśli osiągnięty status społeczny będzie rozmiarów piramidy Cheopsa czy jachtu Steve'a Jobsa, co się z nim stanie po śmierci zrealizowanego?

Jak powiedział w prywatnej rozmowie Grzegorz z Nyssy, „człowiek jest tylko małym, szybko mijającym fetorem”. I o tym aspekcie problemu nauczyciele ludzkości wolą nie mówić – i wspominają o nim tylko wtedy, kiedy zainwestują w reklamę jakiegoś cementarza czy funduszu emerytalnego.

Jakiś czas temu w prasie rosyjskiej toczyła się niemrawa sprzeczka na temat: „czy Limonow jest równy Sacharowowi, Sołżenicynowi i Brodskiemu, czy taka pretensja jest śmieszna”? Odpowiadamy: równy. I Sołżenicynowi, i Brodskiemu, i Sacharowowi. I Kopernikowi. I nawet samemu towarzyszowi Stalinowi. Wszystkim razem i każdemu z osobna. Oni zaś, i każdy z osobna, i cała sala chorych, są równi zeru. To samo odnosi się do każdego napoleona

z każdego psychiatryka, włącznie z oryginalną francuską marką. Niestety, dotyczy to również mówiącego te słowa – chociaż jest Kawalerem Nocy.

SRKN<sup>[98]</sup>

Religia pieniądza, mimo swej absolutnej dominacji we wszystkich krajach świata, nie ma dziś konkretnego obiektu kultu. Wiąże się to z tym, że złoty cielec przestał być fizycznym złotem i stał się czystym duchem, elektroniczną abstrakcją.

I tu z pomocą postępowej religii ludzkości przychodzi psychoanaliza. Stawia ona znak metaforycznej równości między złotem i ekskrementami, pozwalając zastąpić kult złotego cielca poruszeniem wokół symbolicznego kału, którego źródłem staje się tak zwana kultura.

Stąd bierze się cała współczesna sztuka i jej „kuratorzy”, dbający o prawo kapitału do tego, by mianować złotem dowolnie wybrany kawałek

gówna – nie tylko w przenośni, ale w najbardziej dosłownym sensie inwestycyjnym. Trwająca nieustannie alchemiczna przemiana kału w pieniądź i pieniądza w kał, o której wynikach aukcyjnych z zapartym tchem informują wszystkie media, staje się jądrem procesu kulturowego.

Wychowawcza funkcja entertainmentu, w którego trzewiach zamieszkuje niewidzialna, ale ruchliwa i obowiązująca wszystkich ideologia, teraz staje się prosta i jednoznaczna. Jest to reklama złota. Pozytywne obrazy kultury masowej – to ludzie, posłusznie tłoczący się wokół złotej góry o skrytym w chmurach wierzchołku. Ich sakralnym obrońcą jest chutliwy sługus światowej oligarchii James Bond, który, dowcipkując, unicestwia na swojej drodze wszystko, co wzniosłe i jasne (patrz *Skyfall*). Narzucaną powszechnie praktyką tantryczną jest symbolicznie przybliżająca do złota sodomia.

Sam bóg pieniądza jest niematerialny – ale trzeba go jakoś czcić. Dlatego od personelu złotej góry wymaga się, by wymyślił sakrament, będący



przeciwieństwem chrześcijańskiej komunii: zrobił z gówna cukierek, pomalował go świecącymi farbami, a potem zmarginalizował rozpatrywanie – i wręcz rozumienie – tego, czym jest w rzeczywistości substancja wyjściowa („nieudacznicy, kochani, tak mówią wszyscy nieudacznicy”). Rozpowszechniając ten artefakt wśród mas w charakterze życiowego punktu orientacyjnego, wzorca zachowań, informacji politycznej i poradnika samopomocy, otrzymamy współczesną przestrzeń kulturową.

Ale dość o sprawach wzniosłych. Wróćmy do Rosji, która odstaje od Zachodu o dwieście lat (albo wyprzedza go o trzysta, jako że historia jest cykliczna). Kraj znajduje się na samym początku wielkich dokonań i dopiero zaczyna rozprostowywać odbytnicę, która przejęła pałeczkę władzy od zgniłych rogów i kopyt.

Wydaje się, że jedyną przestrzenią, w której „dusza” może jeszcze jakoś oddychać, jest literatura.

I oto widzimy bohatera, dumnego, wspaniałego i cierpiącego nad niedoskonałością świata, który, jak Martin Buber, zwraca się wprost do Boga i mówi:

„Stworzyłeś ten świat jako padół cierpienia i mroku, przykułeś moją duszę do ciała pełnego ohydy, zmusiłeś, bym się starzał i gnił, popełniając jedną ohydę po drugiej, by żyć w tym mrocznym wszechświecie... Ale poczekaj. Odrzucę twój twór z takim gniewem i siłą, że zadrży i rozpadnie się na kawałki!”.

O purpurowym jak szankier zachodzie rzuca się w otchłań kału i gnoju i leci w dół, w dół, w dół – w bladym kielichu z mastki, w otoczeniu roju żywych wszy i woni moczu.

Ale Bóg milczy.

„Milczysz?! – krzyczy zbuntowany gnostyk. – No to patrz. Zrobię coś takiego, że sam lucyfer się złęknie. Posunę się dalej – nawet piękno uczynię szpetotą, łącząc je w jedną całość z ohydą... Na to będziesz musiał odpowiedzieć... Nie zdołasz

pomiąć tego milczeniem... Będziesz się musiał objawić...”

Niżej i straszniej upaść chyba nie można – ale bohater podejmuje ostatni bluźnierczy wysiłek, spada jeszcze niżej i...

I nagle przebija sufit jakiegoś pokoju. Podniósłszy się, widzi, że znalazł się w przyzwoitym cargo-burżuazyjnym hotelu. Zebrani robią mu owację na stojąco.

– Ach – przebiega szept – wiedzieliśmy, zawsze wiedzieliśmy, że jest pan z nami...

Kiedy szok po upadku mija, bohater przyjmuje kielich z żółtym musującym płynem i po krótkiej wymianie zdań orientuje się, że tam, gdzie się tak samobójczo rzucił z bluźnierstwem i pianą na ustach, zebrali się przyzwoici, życzliwi ludzie, że tutaj żyją, wychowują dzieci i nawet latają na zakupy do Londynu.

Egzaltowane matrony wreszcie się rozstępują. Do bohatera podchodzą mężczyźni w wieczorowych strojach i zapraszają go na małą

przechadzkę. Bohater wychodzi za drzwi, tłumiąc skurcz przerażenia – przekonany, że będzie tam ogień i kotły z płonąca smołą... Ale za drzwiami znajduje się coś na kształt pracowni alchemicznej. Widoczne są ślady prac, ale nie widać rezultatu.

Mężczyźni, jękając się z onieśmienia, zaczynają wyjaśniać, że już od dawna pilnie pracują nad symboliczną komunią postępu dla Rosji. Budżet jest ogromny. Alchemiczną retortę ducha monitorują międzynarodowe duchy dobra. Niestety jednak początkowo nie mogli uzyskać nic, co przypominałoby cukierek. A potem rosyjskim obyczajem ukradli całą kasę i przejebali całe gówno. Nawet symboliczne – tak że teraz nie pomaga nawet Freud.

– A pan, Władimirze Georgijewiczu, z chuligaństwa i złości ulepił tak wspaniale, że nawet o czymś takim nie marzyliśmy... Nie ma pan pojęcia, jak to się pokrywa z wektorem metodycznym. Pan to zrobił z czystego szyderstwa. A my nie potrafiliśmy tego dokonać z całą powagą i przy wielkim budżecie... Zawrzyjmy przyjaźń...

– A co miałbym robić?

– Ależ to samo... Niech pan mówi pięknie o gównie, a już my potrafimy się odwdzięczyć naszemu piewcy.

Odprawiają bohatera do alkowy, gdzie ten pada na pierzynę.

Coś podobnego – myśli, patrząc w sufit. – Kimkolwiek jest stwórca tego świata, ma poczucie humoru. Całkiem niezłe...

## WSPÓLNIE<sup>[99]</sup> Z „WALL STREET JOURNAL”

W Rosji lubią metafory i nabieranie – przy czym metafory literackie z reguły są nabieraniem. Niemniej niektórych wysublimowanych metafor należy unikać, zwłaszcza kiedy mogą rzucić zbyt wiele światła na warsztat twórczy stylisty.

Na przykład, nie można napisać: „Drwa syczały jak rozmoczony w pisuarze niedopałek, którym usiłują się zaciągnąć niecierpliwe i chciwe usta”.

Ponieważ od razu nasuwa się pytanie, gdzie autor słyszał to syczenie i jak często. I jak tego rodzaju doświadczenie życiowe można pogodzić z pretensjami do pięknego stylu. Człowiek chciał pewnie zaimponować kumplom spod celi bogactwem języka, a w rezultacie doczekał się mnóstwa pytań.

Ten sam błąd można zaobserwować w poezji. Oto znane na Wschodzie wersy:

„Lepiej upić się kumysem i kłusować przez  
manowce,

Niż naślinić sobie pałę i cichaczem jebać owcę”.

Niby racja. A jednak jest w tym wierszu jakaś sprzeczność.

Spróbujmy zrozumieć, na czym ona polega. Pierwszy wers to klisza, przedstawiająca piękne i chwackie życie dżygita. Wydaje się napuszona, wymuskana i bezbarwna, gdyż nie ożywia jej jakiś trafny szczegół, który pozwoliłby czytelnikowi przeżyć tę przygodę razem z narratorem. Natomiast

w drugim wersie taki szczegół jest – czuje się konkretne praktyczne doświadczenie, o którym rozsądny człowiek powinien raczej milczeć.

Dlatego też, chociaż trudno się z tym dwuwierszem nie zgodzić na poziomie konceptualnym, mamy tu do czynienia nie z perłą życiowej mądrości, ale z ubolewaniem autora nad tym, że źle żyje.

Cudze serce poruszyłby raczej taki oto wariant:

„Lepiej upić się kumysem i cichaczem jebać owcę,

Niż naślinić sobie pałę i kłusować przez manowce”.

To byłaby przynajmniej filozofia tłustego pingwina, kryjącego się wśród skał z tomikiem Murakamiego. A w omawianym wyżej oryginale nie ma nic poza fałszywą „ładnością” i konstatacją własnego upadku.

Należy też unikać wszelkich błyskotek, znaczków pamiątkowych i symbolicznych odznaczeń w rodzaju rzędu medali na niebieskiej

kozackiej piersi, gdzie przy silnym powiększeniu można dostrzec metalowe krążki z napisami „Z powinszowaniem urodzin” i „Matka bohaterka”.

Wszystko to jednak nie jest jeszcze szczytem tandety.

„Wiedomosti” to moskiewska gazeta, wydawana, jak na niej napisano, „wspólnie z «Wall Street Journal»”.

Nie bardzo wiadomo, na czym polega ta współpraca, ale to nierzucające się w oczy logo znacznie zmienia status tego, co się tu pisze. Czytając jakiś artykuł w tej gazecie, z góry nabieracie przekonania, że macie przed sobą nie zwyczajny poroniony płód umysłu zakłamanego i durnego moskiewskiego zombie, ale w dodatku cały komplet szamańskich zaklęć, pozostający w skomplikowanym mistycznym związku z burczeniem w brzuchu najgroźniejszej finansowej swołoczy świata.

Albo ujmijmy to inaczej: rozbrzmiewające tu



głosy wydają się szczególnie ważne i autorytatywne, ponieważ w jednej trzeciej dobiegają jakby spod napletka Ruperta Murdocha. I chociaż, jeśli się zastanowić, to ostatnie jest niemożliwe z przyczyn antropologicznych, respekt i zaufanie do przeczytanego tekstu pozostają.

My, wampiry, też lubimy metafory. Dlatego też często z rana przebiegamy tę gazetę niecierpliwym i chciwym wzrokiem – i widzimy skurczoną figurkę rosyjskiego cargo liberała, śliniącego cichcem coś wyimaginowanego na śmietniku nieefektywnych znaczeń. I serce czuje: już niedługo, już wkrótce skończy się w Rosji czas głupców – i zacznie się czas innych głupców.

## SYMULAKR

Symulakr jest to pewnego rodzaju podrabiany byt, cień nieistniejącego przedmiotu lub wydarzenia, który w przekazie nabiera cech rzeczywistych. Na przykład może to być jakaś pikieta pod ambasadą lub taniec w cerkwi, które organizuje się tylko po

to, żeby nakręcić z tego masowo powielany materiał – i które trwają dokładnie tyle, ile trwa nagranie tego „dokumentalnego świadectwa rzeczywistych wydarzeń” (twórcy omawianego pojęcia żyli w czasach, kiedy pikiety i tańce mogły mieć także inne cele).

Słowem – symulakr to szulerka na oczach widza, która zmusza go, by włączył w realny pejzaż jakąś chmurę, jezioro czy wieżę, które tak naprawdę są wycięte z papieru i sprytnie podstawione mu pod sam nos.

Ale co to znaczy „realny pejzaż”?

Nauka o symulakrach, mimo całej swojej „rewolucyjności”, oparta jest na podświadomej wierze w istnienie prawdziwych, autentycznych, fundamentalnych i stałych bytów oraz znaczeń, ponieważ samo pojęcie „symulacji” zakłada istnienie „prawdziwego”. Problem wszakże polega na tym, że absolutnie wszystkie byty, wśród których spędza swój czas człowiek, są jednej i tej samej natury. Wszystkie w jednakowym stopniu są

podrabiane – i dla „symulakru” nie istnieje żadna opozycja, która uzasadniałaby wprowadzenie tego terminu.

Jest to po prostu określenie owego jedyne­go sposobu, w jaki istnieje absolutnie wszystko. Różnica jest tylko w jakości podróbki. To, co podrobiono niedawno, prymitywnie i na chybcika – to symulakry polityczne. To, co podrobiono już dawno i nieco subtelniej – to symulakry kulturowe. A symulakry najbardziej podstawowe stwarza oparty na języku ludzki umysł. Są to konstrukty językowe, odbierane jako rzeczywistość zewnętrzna (albo wewnętrzna).

Człowiekowi pozwala się kwestionować niektóre symulakry polityczne, ponieważ domaga się tego „społeczeństwo reportażu o nabożeństwie punkowym” (dawn. „społeczeństwo spektaklu”). Ale w całą resztę powinien żarliwie wierzyć, jeśli nie chce umrzeć z głodu, a za niektóre fałszywe byty musi się rzucać do walki na pierwszą sugestię państwa (swojego albo cudzego, to zależy od okoliczności życiowych).

Ale człowiek jest skazany na życie wśród fantomów nie dlatego, że tak zdecydowała jakaś tajna loża. Rzecz w tym, że sam jego rdzeń, jądro, samo jego „ja” także jest uwarunkowanym lingwistycznie symulakrem. Nie istnieje nigdzie poza odbijającymi słowa lustrami świadomości. Tam zaś pojawia się tak samo jak narysowana chmura, jezioro czy wieża – z tą tylko różnicą, że zamiast wyciętych z papieru sylwetek do oczu niepostrzeżenie zbliżają mu umocowaną na szpilce literę „Я”.

## WSPÓŁCZESNA FILOZOFIA [\[100\]](#)

Ma ona przed sobą dwa główne zadania: apologię stosowania bezzałogowego lotnictwa bojowego i filozoficzne uzasadnienie słowa „aktywista”. Na całą resztę nie przewidziano grantów, toteż rozwodzić się nad współczesną filozofią raczej nie ma po co.

# ŚWIADOMOŚĆ

Pojawienie się świadomości jako zjawiska transfizycznego związane jest z kwantową nieoznaczonością – a dokładniej z jej collapsem. Pierwotna nieoznaczoność zawiera ogromną liczbę potencjalnych wariantów i form, w jakich mogą wystąpić. Świadomość to efekt, który powstaje przy przejściu od nieskończonej liczby niezaistniałych możliwości do jednego wariantu ostatecznego. Świadomość jest właśnie aktualizacją jedyne pozostałego wariantu – który jest przy tym uzmysławiany. Jest to jak gdyby rozjarzona trójwymiarowa korona niewidzialnego i wielowymiarowego czarnego słońca – albo, jak mówimy, Wielkiego Wampira. Z metafizycznego punktu widzenia świadomość to śmierć wolności, toteż nazywamy ją ciemnicą.

Jeżeli zauważyliście, że istniejecie i jesteście siebie świadomi, już przydarzyła się wam rzecz najgorsza z możliwych w kosmosie prawdopodobieństw. To, co się stało, jest tak

straszne, że teraz nawet nie pojmiecie, co się stało i z kim, i jak w ogóle może być inaczej – albowiem świadomość to samostwarzające się dożywotnie więzienie, z którego nie można wyrzeć nawet myślą.

Dlatego świadomość to nic dobrego, chociaż czczą ją masoni i Hindusi. Jest to jakby piwnica uniwersum, ślepy zaułek absolutnej ostateczności. Sama świadomość jest właśnie ślepym zaułkiem, z którego nie ma wyjścia, dopóki więzienie nie runie. Jak powiedział poeta – choć pociąg właśnie skończył bieg, wagonom wolność nie zaświta, nie ujrzy też wolności wiek i wolność wieku nie powita, i nawet spytać nie ma kto, po co tu siedzisz, na co czekasz, skąd przyjechałeś na ten tor, śpiący na ławce człowieka...

Ale dla większości ludzi jest to zbyt skomplikowane. Wampir wcale nie chce wyjaśniać im wszystkiego do końca. Tylko co najwyżej, jak ma fazę, postraszyć tych najmądrzejszych.

Wydawnictwo Literackie



## PRZYPISY

[1] W *Empire V* „Chaldejczycy”; ros. „chaldej” oznacza zarówno Chaldejczyka jak i (w żargonie złodziejskim) kelnera, obrotnego sługusa z ambicjami.

[2] W języku rosyjskim.

[3] *Babł, babło* – w ros. slangu szmal, kasa

[4] Wiersze przytoczone w tekście, nieopatrzone przypisami, zostały przełożone przez Ewę Rojewską-Olejarczuk.

[5] Proroczy, zagadkowy, odnoszący się do wyroczni.

[6] Rozmiar ma znaczenie. Czasami.



[7] Łoże z róż.

[8] Kosmetyczka, dosł. „zestaw próżności”.

[9] Księżę złodziei

[10] Seminarium 1 – Trudny Problem człowieka i łatwa droga wampira

[11] Seminarium 2 – co to jest diving i czym nie jest. Limbo, animogramy i nekronawigatory.

[12] Jasna śmierć

[13] Zawsze mnie zdumiewa, jak przeciętny Amerykanin godzi taką ilość gówna w głowie z tym, że mózg ma wyprany do samej dupy.

[14] *Eugeniusz Oniegin*, przekład Juliana Tuwima.

[15] Łączna ilość wydzielanego dwutlenku węgla, prowadząca do globalnego ocieplenia.

[16] Nieprzetłumaczalna gra słów: ros. *poł* znaczy zarówno „płeć”, jak i „podłoga”.

[17] Seminarium 3 – Złoty Spadochron, różności, inicjacja końcowa.

[18] Międzynarodowa elita.

[19] Tak potocznie nazywa się w Rosji kilkusetmilionowe odprawy, wypłacane menedżerom spółek skarbu państwa.

[20] Dosł.: „wielkoświatowe świnki” – nazwa wymyślona przez autora analogicznie do *morskije swinki* – świnki morskie, symboliczne zwierzęta doświadczalne; w slangu internautów *morskaja swinka* to programistka komputerowa.

[21] Ostrze postępu.

[22] Rosyjska rubaszka z niesymetrycznym zapięciem.

[23] Określenie z *Roku 1984* Orwella.

[24] Chodzi o Michaiła Susłowa (1902–1982) sowieckiego działacza partyjnego i państwowego, zwanego szarą eminencją za czasów Breżniewa.

Prowadził skromny, niemal ascetyczny tryb życia. Kawaler wielu orderów i odznaczeń państwowych.

[25] Maska z podobizną Guya Fawkesa – znak rozpoznawczy grupy Anonymous.

[26] Parafraza słów z wiersza W. Majakowskiego *Lewą marsz*: „dzisiaj ma głos towarzysz mauzer” (przekład Antoniego Słonimskiego).

[27] Impreza rozrywkowa, połączona z amatorskimi występami artystycznymi.

[28] Konsumpcja na pokaz

[29] Siergiej Jewgieniewicz Mochnatkin (ur. 1954) – rosyjski opozycjonista oskarżony o pobicie funkcjonariusza milicji i skazany na 2,5 roku kolonii karnej. 23 kwietnia 2012 roku ułaskawiony przez prezydenta Miedwiediewa, mimo że nie przyznał się do winy.

[30] *Senatus Populusque Romanus* – Senat i Lud

Rzymski.

[31] Ssat (ros.) – sikają, szczają.

[32] Jesteśmy tylko pyłem na wietrze...

[33] W religii prawosławnej dusza zmarłego przez czterdzieści dni wędruje, odwiedzając przybytki niebieskie i otchłanie piekielne, po czym przechodzi do wyznaczonego jej miejsca, gdzie będzie czekać na zmartwychwstanie i Sąd Ostateczny.

[34] W oryginale nieprzetłumaczalna gra słów z nawiązaniem do tamtejszej popkultury; aluzja do narodowości kaukaskiej.

[35] Ukochani ludzie.

[36] Znienawidzeni ludzie? Obojętni ludzie?

[37] Według wszelkiego prawdopodobieństwa Bóg nie istnieje.

[38] Określenie geja w ros. slangu homo – *gołuboj*

(niebieski).

[39] Maurits Cornelis Escher – holenderski malarz i grafik. Jego rysunki tzw. figur niemożliwych oparte są na złudzeniu optycznym.

[40] Istota fikcyjna, Wielki Przedwieczny, postać stworzona przez H.P. Lovecrafta (1890–1937), amerykańskiego autora fantasy i powieści grozy.

[41] Część *Mahabharaty*, jedna ze świętych ksiąg hinduizmu.

[42] Bhagawan Śri Ramana Mahariszi (1879–1950) – święty hinduizmu, guru, mistyk, filozof.

[43] Bohater opartego na wątkach autobiograficznych opowiadania Aleksandra Sołżenicyna *Jeden dzień Iwana Denisowicza*, opisującego jeden dzień więźnia sowieckiego łagru. Opowiadanie, opublikowane w 1962 r. w magazynie „Nowyj Mir”, przyniosło autorowi międzynarodowy rozgłos.

[44] „Świadomość człowieka jest nieokiełznana i zdemoralizowana – nie możecie polegać na nim jako na przewodniku, bo to wy musicie zaspokajać jego zachcianki”.

[45] Obyw@telka Glamour.

[46] Spółdzielnia deweloperska, założona w 1996 r. przez Władimira Putina (wówczas byłego mera Petersburga) wraz z siedmioma udziałowcami, która zbudowała ekskluzywne osiedle dacz na Przesmyku Karelskim. Po wyborze Putina na prezydenta stała się kuźnią kadr jego administracji i najbliższego otoczenia.

[47] Twardy znak „Ъ”, oznaczający twardość poprzedniej głoski, przestano stawiać na końcu wyrazu po reformie ortografii w latach 1917–1918. Obecnie użycie tego znaku ma nawiązywać do tradycji przedrewolucyjnych, stąd pojawia się on np. w nazwach firm czy na znakach towarowych.

[48] Akella – rosyjska firma, specjalizująca się

w produkcji, publikacji i dystrybucji gier komputerowych i programów multimedialnych.

[49] Alfred Koch i Anatolij Czubajs – działacze państwowi, wicepremierzy Federacji Rosyjskiej, ministrowie skarbu państwa, obaj oskarżeni o ciągnięcie nielegalnych zysków ze sprzedaży majątku narodowego i liczne defraudacje.

[50] Palech – ośrodek sztuki zdobniczej i malowania miniatur; wyroby mają charakterystyczne czarne lakierowane tło i odznaczają się wielkim kunsztem artystycznym.

[51] Dawid Nałbandian (1906–1993) – malarz radziecki, portrecista, nazywany „pierwszym pędzlem biura politycznego”. Stworzył m.in. portrety Stalina, Chruszczowa, Breżniewa.

[52] Szablozębe cipy.

[53] Aleksander Błok, *Scytowie*, przekład Mieczysława Jastruna.

- [54] Aleksander Wertyński, romans *To, co muszę powiedzieć*.
- [55] W grach dziecięcych ołowiana kulka do zbijania pionków przeciwnika.
- [56] Przybór.
- [57] Ludzie nie żyją i nie umierają, ludzie po prostu płyną z prądem.
- [58] Rosyjski portal społecznościowy.
- [59] W grze komputerowej Angry Birds – postać z planszy, którą należy zlikwidować.
- [60] W grze komputerowej Angry Birds celem wysadzenia świni kamikaze jest zlikwidowanie wszystkich postaci z planszy.
- [61] Filary obrzydzenia.
- [62] Michał Lermontow, *Demon*, przekład Zbigniewa Bieńkowskiego.
- [63] Lew Tołstoj, *Dzienniki*.



[64] Odrodzenie pewności siebie.

[65] Rama jest strasznym nieukiem – chodzi o powieść Borysa Pilniaka z 1930 roku pt. *Wołga wpada do Morza Kaspijskiego. Opowieść o pięciolatce*.

[66] Nieprzetłumaczalna gra słów: *cyganskij winograd* – rodzaj tańca.

[67] Wielki Atman; w hinduizmie określenie duszy, rozumianej jako indywidualna jaźń, obecna w każdej żywej istocie.

[68] Ayn Rand (urodzona w Petersburgu jako Alisa Zinowjewna Rozenbaum, 1905–1982) – amerykańska pisarka i filozofka, twórczyni filozofii obiektywizmu.

[69] *W niewoli uczuć*.

[70] Nawiązanie do Abrahama Lincolna, zwanego przez zwolenników Uczciwym Abe.

[71] Aleksander Błok, dramat *Róża i krzyż*, przeł.

Seweryn Pollak.

[72] Włącz myślenie.

[73] Policz!

[74] To jest wampoeconomika, mój chłopcze.

[75] Okropny.

[76] Rdzenny umysł.

[77] Waław Świącicki, *Warszawianka 1905*.

[78] Ciężko pracuj i graj według zasad.

[79] Borys Pasternak, *Baśń*, z *Wierszy Jurija Żywagi*, przekład Adama Pomorskiego.

[80] Parodia angielsko-francusko-rosyjskiego wiersza z *Ady Nabokova*.

[81] Tu i dalej Vladimir Nabokov, *Lilith*.

[82] Gatunek pornograficznych filmów animowanych o perwersyjnej tematyce.

[83] Wymyśl się na nowo albo umrzyj.

[84] Grigorij Perelman – współczesny matematyk rosyjski; rozwiązał hipotezę Poincarégo – jeden z problemów milenijnych.

[85] Chodzi o plac Błotny w Moskwie, gdzie w 2012 r. odbyła się brutalnie stłumiona manifestacja opozycji przeciwko inauguracji Putina na prezydenta, i Górę Pokłonną, na której 1 lutego 2012 odbył się wiec poparcia dla Putina z udziałem setek wynajętych statystów.

[86] Ponieważ „nie ssij mojego wacka” brzmi znacznie bardziej obraźliwie niż „ssij mojego wacka”.

[87] We wrześniu 2012 r. Władimir Putin na motolotni wziął udział w eksperymencie „Lot nadziei” nad Obem. Co roku ornitologowie wypuszczają na wolność wyhodowane w rezerwacie młode żurawie białe (gatunek zagrożony) i uczą je latać za pomocą motolotni. Popis Putina (w wyniku którego doznał kontuzji

kręgosłupa) wywołał w Internecie mnóstwo ironicznych komentarzy. Być może również nawiązanie do kultowej powieści fantastycznej Władimira Michajłowa *Czarne żurawie* (1963) o kosmicznych istotach, żywiących się energią supernowych.

[88] W oryginale rosyjskim książka nosi tytuł *Podwíg* (czyn, czyn bohaterski, czyn ofiarny); Nabokov wersję angielską powieści zatytułował *Glory* (chwała, splendor). W Polsce książka ukazała się w przekładzie z angielskiego, stąd taki tytuł.

[89] „Nieśmiertelni poprzez mgnienie” – z wiersza B. Pasternaka *Sosny*, przełożył Leonard Podhorski-Okołów.

[90] Włodzimierz Majakowski, *Do domu*.

[91] Ciężki ekwipunek.

[92] Dosł. „mętny sandacz”; rodzaj gry półsłówek: po zmianie liter można to odczytać jako „Puti(e)n

Mudak” – „Putin Złamas”.

[93] Od DDos – *Distributed Denial of Service* – rozproszona odmowa usługi, atak na system komputerowy.

[94] Eduard Limonow – znany rosyjski pisarz i opozycjonista.

[95] Kolejny dowód nieuctwa Ramy: autorem słów o strzelbie na scenie jest Antoni Czechow.

[96] *skwiernosłowije*

[97] Nieprzetłumaczalna gra słów: w oryginale „*toczka sborki*”; punkt zborny – ros. „*sborocznojaja toczka*”, „*sborka*” – montaż, składanie.

[98] WŁDMR SRKN – tytuł oficjalnej strony internetowej Władimira Sorokina; cały rozdział jest aluzją do twórczości Sorokina, pełnej ostrej pornografii i sugestywnych opisów fizjologicznych wydzielin.

[99] Ros.: *sowmiestno*.

[\[100\]](#) Ros.: *Sowriemiennaja fiłosofija*.

Wydawnictwo Literackie